

BEN KANE



# ZAPOMNIANY LEGION

Walczyli o honor, wolność  
i dla zemsty

HORYZONT  
znak

BEN KANE

ZAPOMNIANY  
LEGION

Przekład Arkadiusz Romanek  
Znak Horyzont  
Kraków 2015

*Z podziękowaniami dla C.V. i P.v.G.*

# EURAZJA W PIĄTYM WIEKU PRZED CHRYSZTUSEM



Od galicyjskich wrogów Brutus imię nosi.  
On Hiszpanię w krwi skąpał. Lecz, jak to się zdarza;  
Smutek miesza się z szczęściem i lud nie potrafi  
Z całego serca cieszyć się świętem bogini:  
Nad Eufratem utracił Krassus syna, orły  
I całe swoje wojsko, by polec ostatni.  
„Skąd, Partowie, ten amok? – spytała bogini. –  
Zabiorą wam sztandary, pomszczą śmierć Krassusa”.

Owidiusz, *Fasti*<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Owidiusz, *Fasti. Kalendarz poetycki*, ks. VI, przekł. Elżbieta Wesołowska, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2008, s. 490–497.

Pliniusz Starszy wspominał w *Historii naturalnej*, że Rzymianie, którzy przeżyli bitwę pod Carrhae w 53 r. p.n.e., zostali wysłani do Margiany.

Kraina ta, obecnie w granicach Turkmenistanu, znajdowała się ponad tysiąc pięćset mil od miejsca, gdzie trafili do niewoli. Dziesięciu tysiącom rzymskich legionistów powierzono zadanie ochrony lokalnej granicy Królestwa Partów. W ten sposób dotarli oni dalej na wschód niż jacykolwiek Rzymianie w historii.

Słuch o nich zaginął? Ta historia tak się nie kończy.

W 36 r. p.n.e. chiński historyk Ban Gu zanotował, że żołnierze armii wodza Hunów, o imieniu Jzh-jzh, i władcy miasta na Jedwabnym Szlaku, walczyli w „formacji rybiej łuski”. Termin użyty w jego opisie ma charakter unikalny w chińskiej literaturze i wielu historyków twierdzi, iż odnosi się do ściany zachodzących na siebie tarcz. W tym czasie tylko Macedończycy i Rzymianie walczyli w taki właśnie sposób. Aby żołnierze Hunów mogli naśladować Greków, wiedza na temat taktyki wojsk greckich musiałaby przetrwać w tej okolicy przez ponad wiek. Co ciekawe, bitwa, o której wspomina Ban Gu, odbyła się zaledwie siedemnaście lat po bitwie pod Carrhae, w miejscu leżącym w odległości mniejszej niż pięćset mil od granicy Margiany.

Dalej na wschodzie, już w granicach Chin, znajdowała się niegdyś osada nazywana Liqian. Nie wiadomo dokładnie, skąd wzięła się nazwa miejscowości, ale naukowcy uważają, że pierwotnie nosiła nazwę Li-Jien, co w starym chińskim dialekcie oznaczało ni mniej, ni więcej tylko „Rzym”, a została założona między 79 r. p.n.e. a 5 r. n.e. Wyjątkowo duża liczba współcześnie zamieszkujących te tereny osadników wyróżnia się cechami rasy białej – jasnymi włosami, orlimi nosami i zielonymi oczyma. Badacze z pobliskiego uniwersytetu analizują obecnie próbki DNA, aby przekonać się, czy ludzie ci mogą być potomkami dziesięciu tysięcy legionistów, którzy spod Carrhae pomaszerowali na wschód i... na karty historii.

Zapomniany legion.

# Prolog



Rzym, 70 r. p.n.e.

**H**ora undecima<sup>2</sup>. Jedenasta godzina pory dziennej. Ściany budynków bezładnie rozrzuconych nad brzegami Tybru zabarwiał już delikatnie czerwony blask zachodzącego słońca. Rzadko wdzierająca się aż tak daleko w głąb wybrzeża bryza znad morza przyniosła rześkie podmuchy powietrza, które penetrowały gęstą zabudowę, obdarzając mieszkańców łaską ulgi od dusznych letnich upałów. Ludzie wylegli wreszcie z domów i mieszkań, aby dokończyć sprawy, których nie zdążyli załatwić wcześniej, pogawędzić ze znajomymi przy rozstawionych kramach lub napić się czegoś mocniejszego w wychodzących na ulice gospodach. Handlarze głośno pokrzykiwali, walcząc o uwagę przechodniów, a ich zachęty mieszały się ze śmiechem dokazujących dzieci, które bawiły się beztrąsko pod czujnym okiem matek. Gdzieś z centrum miasta, od strony forum, dochodził jednostajny dźwięk śpiewów z jakiejś świątyni.

To był czas spotkań towarzyskich. Bezpieczny czas. Jednak w wąskich uliczkach i na małych podwórkach cienie zaczynały się już wydłużać. Światło słoneczne

powoli ześlizgiwało się po wysokich kamiennych kolumnach i posągach bogów, oddając władanie nad ulicami ciemniejszym i mniej przyjaznym szarym barwom. Najdłużej nocy opierać się będzie siedem wzgórz, tworzących serce Rzymu. Tam słońce zawsze gości najdłużej, choć co wieczór i tak w końcu oddaje wzniesienia we władanie mrokowi.

Mimo późnej godziny Forum Romanum wciąż było pełne ludzi. To centrum religijnego, towarzyskiego i politycznego życia miasta sąsiadowało z budynkiem senatu. Otaczały je świątynie i *basilicae*, ogromne namioty ze straganami sklepikarzy, kramami wróżbitów, prawników i skrybów, niestrudzenie trwających przy swoich niewielkich stoiskach. Dzień już się kończył, ale przecież ktoś może nagle potrzebować pomocy do spisывania testamentu. Ktoś może potrzebować przepowiedni lub pisma opisującego niecne czyny wroga. Obnośni sprzedawcy krążyli po okolicy, oferując soki owocowe, które dawno już przestały być chłodne i orzeźwiające. Po zakończeniu długich obrad w budynku senatu do domów wracali też politycy, zatrzymujący się niechętnie i tylko wówczas, gdy nie dało się już uniknąć kontaktu wzrokowego i rozmowy z jakimś poplecznikiem. Niewolnicy, gdy tylko dostrzegli swoich panów, natychmiast odrywali się od gier prowadzonych na prowizorycznych planszach, sporządzonych na schodach. Ostrożnie unieśli lektyki, aby nie urazić pęcherzy na spalonych słońcem ramionach, po czym szybko zniknęli w tłumie.

Na schodach świątyni została tylko garstka najbardziej zdeterminowanych żebraków, liczących na jałmużnę. Wśród nich znalazło się kilku okaleczonych weteranów, wciąż jeszcze pełnych dumy niezwykłych legionów, którym Republika zawdzięczała swoje bogactwo i pozycję. Ci ciągle mieli na sobie poszarpane resztki ryszunka – kolczugi, w których było więcej rdzy niż pierścieni z żelaza, i ledwo trzymające się w całości brązowe tuniki. Za miedzianą monetę gotowi byli opowiedzieć o swoich wojennych losach, dzieląc się historiami o przelanej krwi, utraconych kończynach i towarzyszach pochowanych w obcych krainach.

Na chwałę Rzymu!

Pomimo zapadającego zmierzchu nie pustoszało również Forum Boarium, gdzie handlowano zwierzętami. Po dniu spędzonym pod palącym słońcem niesprzedane bydło ryczało z pragnienia. Owce i kozy zbijały się w grupy, przerażone zapachem krwi, spływającej z nieodległych bloków rzeźników rozbierających mięso. Ich właściciele, drobni rolnicy z okolicznych wsi, przygotowywali się do



odprowadzenia zwierząt na nocne pastwiska, znajdujące się tuż za murami miasta. Wśród kramów z jadem na Forum Olitorium ciągle uwijali się sklepikarze. Zapach dojrzałych melonów, brzoskwiń i śliwek mieszał się z aromatem orientalnych przypraw, charakterystyczną wonią świeżych ryb i tego, co zostało ze sprzedawanego tu przez cały dzień chleba. Handlarze starali się już pozbyć resztek owoców i warzyw, dlatego gotowi byli dać spore upusty każdemu, kto okazał choćby najmniejsze zainteresowanie oferowanymi produktami i przyciągnął ich uwagę. Plebejuszki wracały z zakupów, zaaferowane plotkami z innymi kobietami. Przed powrotem do domów może zdążą wstąpić do świątyń na krótką modlitwę. Wysłani w ostatniej chwili po brakujące do przyrządzenia wieczornej uczyty składniki niewolnicy przeklinali zapadające ciemności.

Niemniej jednak wszędzie tam, gdzie nie można było liczyć na ochronę, jaką dawały otwarte przestrzenie, ludzie starali się jak najszybciej wrócić do domów. Każdy porządny Rzymianin wołałby raczej nie zamarudzić na dworze po zachodzie słońca, zwłaszcza w ponurych zaułkach pomiędzy *insulae*, zbitych w ciasne grupy czynszówek, w których mieszkała większość obywateli miasta. W nocy nieoświetlone ulice dostawały się we władanie złodziei i morderców.

---

2 Wyjaśnienia łacińskich nazw znajdują się w *Słowniczku* na s. 608 - przyp. red.

Rozdział I  
*Tarkwiniusz*



Północna Italia, 70 r. p.n.e.

**K**ruk podskoczył i wylądował na głowie martwej owcy, po czym spojrzął wyzywająco na Tarkwiniusza. Wciąż jeszcze dzieliło ich ponad pięćdziesiąt kroków. Ptak zaskrzeczał z pogardą i uderzył swoim potężnym dziobem w martwe oko ofiary. Truchło nie było starsze niż trzy dni, a wilki polujące w górach pożarły już większość mięsa, którego i tak zwierzę nie miało za wiele.

Tarkwiniusz schylił się po mały kamień, który szybko umieścił w łatce procy.

Blondyn niepozornej postury nie rzucał się w oczy. Był odziany w luźną tunikę, sięgającą do ud i opasaną w talii. Na nogach miał solidne sandały.

– Oszczędź ptaka. To nie on zabił owcę – Olenus Aesar poprawił ręką nakrycie głowy, przyklepując lekko czubek skórzanego nakrycia głowy. – *Corvus* bierze tylko to, co zostawią inni.

– Nie podoba mi się, że wyjadają im oczy – Tarkwiniusz wykonał wolno półobrotu, przygotowując się do wystrzelenia kamienia.

Starzec nic nie odpowiedział. Osłonił oczy przed słońcem, uniósł głowę i długo wpatrywał się w szerokie końcówki skrzydeł wyraźnie odcinających się na tle chmur mysołowów, unoszących się nad ziemią na ciepłych prądach powietrza.

Tarkwiniusz spojrział na niego z uwagą. Nie śmiał wypuścić kamienia. Od czasu, gdy wiele lat temu haruspik wybrał go spośród innych dzieci i przyjął na nauki, młody Etrusk nauczył się zwracać uwagę na wszystko, co mówi i robi jego mentor.

Olenus wzruszył kościstymi ramionami, które okrywał zgrzebny wełniany materiał szorstkiego płaszcza.

– To nie jest dobry dzień, żeby zabić świętego ptaka.

– Dlaczego nie? Co znowu? – Tarkwiniusz z westchnieniem niezadowolenia opuścił procę.

– Ależ proszę bardzo, chłopcze – Olenus uśmiechnął się, irytując Tarkwiniusza jeszcze bardziej. – Rób, co chcesz – zamachnął się w kierunku kruka. – Sam wybierasz swoją drogę.

– Nie jestem chłopcem – Tarkwiniusz obruszył się. Pozwolił kamieniowi upaść na ziemię. – Mam dwadzieścia pięć lat!

Naburmuszony spojrział jeszcze raz na starca, po czym gwizdnął przesywająco i uniósł w górę jedną rękę. Odpoczywający niedaleko pies w czarno-białe łaty podniósł się szybko i ruszył szerokim łukiem po stromym zboczu, ze wzrokiem utkwionym w grupię owiec i kóz, skubiących trawę na znajdującej się wyżej polanie. Zwierzęta natychmiast dostrzegły ruch psa i zaczęły wspinać się pod górę.

Kruk zakończył swój posiłek, zatrzepotał skrzydłami i odleciał.

Tarkwiniusz śledził go wzrokiem.

– Dlaczego nie mogłem ustrzelić tego cholernego ptaka?

– Znajdujemy się w miejscu, gdzie kiedyś stała świątynia Tinii, najpotężniejszego z naszych bogów... – Olenus zrobił długą pauzę dla zwiększenia efektu. Tarkwiniusz spojrział pod nogi i dostrzegł wystający z ziemi kawałek płytki z czerwonej gliny. – A na niebie zaś unosi się dwanaście mysołowów.

Chłopak popatrzył w górę i zaczął liczyć ptaki.

– Dlaczego zawsze mówisz zagadkami?

Olenus postukał swoją krótką, zakrzywioną łaską pękniętą płytkę na ziemi.

– To nie pierwszy raz dzisiaj, prawda?

– Wiem, że liczba dwanaście jest w naszej kulturze święta, ale... – Tarkwiniusz obserwował psa, który zaczął zaganiać trzodę z powrotem w ich kierunku, tak jak życzyłyby sobie pasterz – ...co to ma wspólnego z krukiem?

– Ta owca była dziś rano... Była dwunasta.

Chłopak podliczył szybko stracone zwierzęta.

– Ale przecież nie mówiłem ci o tej, którą znalazłem wcześniej rano w parowie! – zdziwił się.

– A *corvus* chciał pożywić się właśnie tu, w miejscu, w którym niegdyś składano ofiary – haruspik dodał enigmatycznie. – Może jednak lepiej było zostawić go w spokoju, co?

Tarkwiniusz zmarszczył brwi, sfrustrowany, że wcześniej nie zauważył myszołowów i nie powiązał ich z miejscem, w którym się znajdują. Był zbyt zajęty myślami o wytrzebieniu wilków.

Najwyższy czas na nie zapolować. Rufus Celiusz nie był specjalnie wyrozumiały i tolerował te wycieczki w góry tylko dlatego, że po jego powrocie mógł wypytać go o Olenusa i jego stada. Arystokrata nie byłby zadowolony, usłyszawszy o kolejnych stratach, i Tarkwiniusz już zaczynał obawiać się tego, co czeka go po powrocie do *latifundium* Celiusza, leżącego u podnóża góry.

– Skąd wiesz o owcy w parowie?

– Czego uczyłem cię przez te wszystkie lata? Obserwacji! – Olenus odwrócił się od niego i przez chwilę wodził niewidzącymi oczyma za czymś, co istniało tylko w jego wyobraźni. – Kiedyś biło tu serce potężnego etruskiego miasta, noszącego dumną nazwę Faleria. Tarchun, założyciel Etrurii, wyznaczył jej święte granice, używając pługa z brązu, ponad półtorej mili stąd. W miejscu, gdzie teraz stoimy, czterysta lat temu tłoczyli się Etruskowie, zajęci swoimi codziennymi sprawami.

Tarkwiniusz próbował wyobrazić sobie scenę, którą haruspik opisywał tak wiele razy: wspaniałe budynki i świątynie Westy pełne akolitek *Virgo Vestalis*, szerokie ulice, wybrukowane blokami skamieniałej lawy. Wiwatujące tłumy podczas zawodów bokserskich, wyścigów i walk gladiatorów. Arystokratów nagradzających zwycięskich zawodników wieńcami i zbierających się w wielkich salach na wystawnych ucztach.

Po chwili jednak wizja przeszłości zupełnie zniknęła z jego umysłu. Z Falerii – będącej dawniej jednym z klejnotów w koronie ligi Etrurii – zostało zaledwie kilka

rozpadających się kolumn i niezliczone kawałki rozbitych płytek. Po raz kolejny chłopak uświadomił sobie z bólem, że nie ma żadnego sposobu, by cofnąć czas. Długi związek z haruspikiem sprawiał, że historia starcia cywilizacji Etrusków z powierzchni ziemi wydawała mu się jeszcze trudniejsza do zaakceptowania.

– Zagarnęli wszystko. Prawda? – Tarkwiniusz splunął ze złością. – Rzymska cywilizacja jest niemal pełną kopią kultury Etrusków.

– Tak. Aż po dźwięki trąb na rozpoczęcie ważnych ceremonii i sygnały trąbek dla przekazania rozkazów na polach bitew – skwitował ironicznie Olenus. – Ukradli wszystko. Po tym, jak nas zniszczyli.

– Skurwysyny! Kto dał im do tego prawo?

– Tak było nam przeznaczone, Tarkwiniuszu. Wiesz o tym – Olenus spojrzał na młodego człowieka, po czym przeniósł wzrok na horyzont na wschodzie i południu. Woda w leżącym u podnóża góry jeziorze błyszczała, odbijając promienie słoneczne z oślepiającą intensywnością. – Znajdujemy się w samym sercu starożytnej Etrurii – Olenus się uśmiechnął. – U naszych stóp leży Jezioro Wadymońskie. Ziemia krywa fundamenty świętego miasta.

– Jesteśmy jednymi z nielicznych Etrusków czystej krwi na ziemi – stwierdził gorzko Tarkwiniusz.

Pokonani i wchłonięci przez Rzymian Etruskowie zasymilowali się i tylko kilka rodzin dbało o zachowanie tradycji, pamiętając o tym, żeby ich dzieci łączyły się w etnicznie czyste związki. Tak postępowała też rodzina chłopaka. A dawne rytuały i tajemnice przekazywane były z pokolenia na pokolenie przez jednego haruspika drugiemu. Olenus był ostatnim mężczyzną ze starego rodu o wielkich tradycjach, którego korzenie sięgały daleko wstecz, do czasów rozkwitu potęgi Etrusków.

– Naszym przeznaczeniem było ponieść klęskę – odpowiedział Olenus. – Pamiętaj, że gdy wiele wieków temu ułożono kamień węgielny świątyni...

– Spod ziemi wykopano krwawiącą głowę.

– Mój poprzednik, Calenus Olenus Aesar, stwierdził, że to miał być znak, iż nasi ludzie będą rządzić całą Italią.

– I nie miał racji. Spójrz na nas teraz! – zawołał Tarkwiniusz. – Niewiele różnimy się od rzymskich niewolników.

– Nie było już prawie żadnego Etruska, który dysponowałby jakąś realną polityczną władzą lub wpływami. Wszyscy stali się biednymi rolnikami lub, jak Tarkwiniusz i jego rodzina, ludźmi wynajmowanymi do ciężkiej pracy w dużych gospodarstwach rolnych należących do rzymskich nobili.

– Calenus był najlepszym haruspikiem w historii. Jak nikt inny potrafił

odczytywać przyszłość z wątroby! – Olenus, rozemocjonowany, zamachał w powietrzu sękatymi rękoma. – Ten człowiek wiedział to, czego w tamtych czasach Etruskowie nie rozumieli i czego nie mogli zrozumieć. Nasze miasta nigdy się nie zjednoczyły. Dlatego gdy Rzym stał się wystarczająco silny, zostaliśmy pokonani. Zdobyli jedno miasto po drugim. I chociaż potrzebowali na to ponad stu pięćdziesięciu lat, przewidywania Calenusa okazały się słuszne.

– Tylko że tak naprawdę miał na myśli tych, którzy nas zniszczyli.

Olenus skinął głową.

– Parszywi Rzymianie! – Tarkwiniusz wściekle cisnął kamieniem w tę stronę, w którą odleciał kruk.

Nie zdawał sobie sprawy, że haruspik skrycie podziwiał jego zwinność i siłę. Wyrzucony przez niego kamień poleciał tak szybko, że zabiłby każdego człowieka, który stanąłby na jego drodze.

– Nawet ja z trudem akceptuję ten stan rzeczy – westchnął Olenus.

– Zwłaszcza jeśli pomyślisz, jak nami pomiatają – młodzieniec wyciągnął z torby skórzaną sakwę z wodą i podał ją swojemu mentorowi. – Jak daleko stąd do jaskini?

– Niedaleko – haruspik przełknął kilka dużych łyków. – Dzisiaj jednak dzień nie jest właściwy.

– Zaciągnąłeś mnie taki kawał i chcesz teraz tak po prostu zawrócić? Myślałam, że pokażesz mi wątrobę i miecz!

– Miałem to zrobić – odpowiedział Olenus łagodnie. Odwrócił się i zaczął schodził w dół zbocza, podpierając się swoją laską dla zachowania równowagi. – Ale bogowie dziś nam nie sprzyjają. Najlepiej będzie, jak wrócisz do latyfundium.

Minęło osiem lat, odkąd chłopak usłyszał po raz pierwszy opowieść o gladiusie Tarkwina, ostatniego etruskiego króla Rzymu, i o wątrobie wykonanej z brązu, jednym z niewielu istniejących źródeł wiedzy haruspików, którzy chcieli opanować trudną sztukę przepowiadania przyszłości z wnętrzości zwierząt ofiarnych. Tarkwiniusz koniecznie chciał zobaczyć ów starożytny artefakt. Tak często o nim słyszał! Chłopak wiedział jednak, że lepiej nie dyskutować z Olenusem, a kilka dni nie robi żadnej różnicy. Podrzucił swój plecak i sprawdził, czy wszystkie owce i kozy ruszyły już w stronę doliny.

– I tak muszę wybrać się tu z łukiem. Chcę przez kilka dni polować na wilki – Tarkwiniusz zdobył się na nonszalancki ton. – Nie można pozwolić, żeby myślały, że im się upieczą.

Olenus tylko mruknął w odpowiedzi.

Chłopak przewrócił oczami sfrustrowany. I tak nie zobaczy wątroby, dopóki haruspik nie uzna, że nadszedł właściwy czas. Przywołał psa do nogi i podążył za Olenusem wąską ścieżką prowadzącą w dół zbocza.

Tarkwiniusz zostawił śpiącego haruspika w małej chatce w połowie drogi na dół. W nogach łóżka leżał jego pies, a z paleniska dochodziły słabe trzaski drewna. Mimo że noc była ciepła, odrobina chłodu wystarczała i kości Olenusa nie dawały mu spać.

Tarkwiniusz ruszył rażno w drogę prowadzącą przez pola i dalej wśród gajów oliwnych i winnic, które otaczały ogromną willę Celiusza. Gdy wreszcie dotarł na miejsce, grube ściany z wapienia wciąż jeszcze oddawały ciepło zgromadzone w ciągu dnia.

Nędzne chałupinki niewolników i surowe budynki gospodarcze dla pracowników gospodarstwa znajdowały się z tyłu głównego kompleksu. Tarkwiniusz dotarł do willi, nie napotkawszy na swej drodze żywej duszy. Większość ludzi budziła się o świcie, a o zachodzie słońca kładła się do łóżek, przez co wymknięcie się i niezauważony powrót do kompleksu gospodarczego w ciemności były dość łatwe.

Chłopak zatrzymał się przy wejściu na mały dziedziniec, skryty nieprzeniknionym mrokiem.

Nagle usłyszał głos.

– Gdzie byłeś cały dzień?

– Kto tam? – Tarkwiniusz spytał cicho.

– Na szczęście zarządca zasnął. Inaczej dostałbyś za swoje!

Tarkwiniusz się uspokoił.

– Olenus uczył mnie o naszych przodkach, ojczu. To o wiele ważniejsze niż praca w polu.

– I po co to wszystko? – jego oczom ukazał się niski, gruby mężczyzna, ściskający w dłoniach małą amforę. – My, Etruskowie, jesteśmy skończeni. Ten rzeźnik Sulla już o to zadbał.

Tarkwiniusz westchnął. Słyszał ten argument już tyle razy. Wiele rdzennie etruskich rodzin i klanów stanęło po stronie Mariusza w wojnie domowej przed prawie dwiema dekadami. Dostrzegli szansę odzyskania choć części autonomii i zaryzykowali. Jednak chyba nie mogli wyjść na tym gorzej. W tych starciach zginęły tysiące Etrusków.

– Mariusz przegrał. My też – wyszeptał Tarkwiniusz. – To jednak nie znaczy, że o przeszłości trzeba zapomnieć.

– To była ostatnia szansa, aby powstać z klęsk i odzyskać dawną chwałę!

– Jesteś pijany. Znowu.

– Ale ja przynajmniej cały dzień pracowałem – odpowiedział ojciec chłopaka. – A ty pałaszasz się po górach z tym dziwakiem. Słuchasz jego bajania i kłamstw.

Tarkwiniusz zaprotestował poważnym głosem.

– To nie są kłamstwa! Olenus uczy mnie tajemnych rytuałów i przekazuje wiedzę przodków. Ktoś musi pamiętać! Zanim nie będzie za późno i wszyscy zapomną.

– Rób, co chcesz. Teraz już nikt nie powstrzyma Republiki – Sergiusz siorbnął głośno kilka łyków wina. – Nic i nikt nie powstrzyma przeklętych legionów.

– Wracaj do łóżka...

Jego ojciec spojrział w kierunku kapliczki znajdującej się w odległym rogu podwórka, gdzie spędzał większość czasu, gdy był trzeźwy. Na ołtarzu nie świeciło się ani jedno światełko.

– Nawet nasi bogowie nas opuścili – wymamrotał.

Tarkwiniusz popchnął prawie bezwładnego ojca w kierunku małej, wilgotnej izby, zajmowanej przez jego rodzinę. Ten niegdyś dumny wojownik pod wpływem wina przemieniał się w samotnego, posępnego pijaka. A jeszcze kilka lat temu ojciec uczył go w tajemnicy posługiwanie się różną bronią. Dzięki temu Tarkwiniusz równie dobrze radził sobie teraz z gladiusem, jak i etruskim toporem bojowym.

Sergiusz przewrócił się z głośnym jękiem na materac z trawy. Dzielił łóżę z Fulwią, matką Tarkwiniusza. Po chwili już potężnie chrapał. Młody Etrusk legł po drugiej stronie pokoju, wsłuchując się w odgłosy wydawane przez ojca. Martwił się. Jeśli Sergiusz wciąż będzie tak dużo pił, długo nie pożyje.

Nie mógł zasnąć, ale gdy już mu się to udało, nagle znalazł się w samym środku snu, który wydał mu się wyjątkowo rzeczywisty.

Towarzyszył Olenusowi podczas rytuału ofiarowania młodej owcy w jakiejś nieznannej mu jaskini. Haruspik rozciął brzuch zwierzęcia, aby odczytać przyszłość z wnętrzości. Tarkwiniusz rozglądał się po pogrążonej w ciemności grocie, ale nigdzie nie dostrzegł wykonanej z brązu wątroby ani miecza, o których tak często słyszał.

Twarz Olenusa badającego uważnie kolejne organy owcy zmieniała się. Chłopak krzyknął do niego, ale staruszek wydawał się całkiem nieświadomy jego obecności. Z wyraźnym lękiem zerkał od czasu do czasu w kierunku wejścia do jaskini.

Chłopak nie był w stanie zrozumieć, co tak przerażało Olenusa. Haruspik położył ciemnoczerwoną wątrobę na bazaltowej płycie i uważnie się jej przypatrywał. Co jakiś czas przerywał i zerkał na wyjście z jaskini, za każdym razem stając się



spokojniejszy. Choć wydawało się, że trwało to wieki, w końcu pokiwał ze zrozumieniem głową, poweselał i oparł się plecami o ścianę, jakby na coś czekając.

Pomimo oznak wyraźnego zadowolenia mentora Tarkwiniusz zaczął odczuwać niepokój... tak duży, że w którymś momencie po prostu nie był w stanie go znieść.

Ruszył biegiem w kierunku wyjścia z jaskini.

Spojrzał w dół ostro opadającego zbocza i dostrzegł Celiusza na czele grupy składającej się z dziesięciu legionistów, o poważnych, ponurych twarzach. Wszyscy trzymali w dłoniach nagie miecze. Przed nimi ujadaly duże psy myśliwskie.

– Uciekaj, Olenusie! Ratuj się! – krzyknął Tarkwiniusz.

Wróżbita zwrócił się w jego kierunku. Tym razem wydawało się, że wreszcie go dostrzegł.

– Uciekać? – zachichotał. – Złamałbym sobie kark na tym zboczu.

– Żołnierze! Idą tu, żeby cię zabić. Prowadzi ich Celiusz! – w oczach Olenusa chłopak nie dostrzegł najmniejszego śladu strachu. – Musisz uciekać! Natychmiast!

– Nadszedł mój czas, Tarkwiniuszu. Dołączę do naszych przodków. Ty jesteś teraz ostatnim haruspikiem.

– Ja? – Tarkwiniusz był oszołomiony. Przez tyle lat nigdy jakoś nie przyszło mu do głowy, że staruszek uczy go po to, aby go zastąpił.

Olenus pokiwał głową z powagą.

– A co z wątrobą i mieczem?

– Już je masz.

– Nie! Nie mam – Tarkwiniusz niezgrabnie zamachał rękami.

Znów wydawało mu się, że mężczyzna nie słyszy, co się do niego mówi. Wstał i ruszył w kierunku postaci zbliżających się do wejścia jaskini.

Tarkwiniusz poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Obraz jaskini zacierał się, w miarę jak chłopak wracał na jawę. Chciał się koniecznie dowiedzieć, jaki będzie los Olenusa, ale było już za późno. Obudził się z krzykiem. Matka, z troską w oczach, pochylała się nad nim. Wydawała się zaniepokojona.

– Tarkwiniuszu?

– To nic – wymruczał, czując, jak galopuje mu serce. – Wracaj do łóżka, mamo. Musisz odpocząć.

– Obudziły mnie twoje krzyki – powiedziała z czułością w głosie. – Ojciec pewnie też by się obudził, gdyby nie był pijany.

Tarkwiniusz poczuł, jakby ktoś ścisnął mu żołądek. Olenus zawsze ostrzegwał go,

żeby nikomu nie mówił, jaką wiedzę mu przekazuje.

– Co takiego krzyczałem?

– Nie dało się zrozumieć. Coś o Olenusie i wątrobie z brązu. Ostatnia została utracona wiele lat temu... – Fulwa zdrętwiała. – Czy ten stary szelma ma jedną z nich?

– Nic mi nie mówił – Tarkwiniusz chciał jak najszybciej zmienić temat. – Wracaj do łóżka. Musisz wstać o świcie.

Poprowadził Fulwę w stronę łóżka. Zasmucił się, widząc jej zgarbione plecy i to, z jak wielkim trudem wspina się na niskie posłanie. Wiele lat ciężkiej pracy pozostawiło niezatarte ślady na ciele matki.

– Mój silny, mądry Arun – Fulwa użyła uświęconego tradycją etruskiego słowa oznaczającego najmłodszego syna. – Jesteś stworzony do wielkich czynów. Czuję to w kościach.

– A teraz już nic nie mów... – Tarkwiniusz rozejrzał się niespokojnie. Celiusz nie lubił, gdy ktoś używał dawnej mowy, która tak różniła się od języka Rzymian. – Prześpij się trochę.

Jednak Fulwa nie zamierzała przestać.

– Wiedziałam to, gdy tylko po raz pierwszy zobaczyłam twoje znamię. Takie samo miał Tarchun... Tarkwiniusz. Nie mogliśmy dać ci innego imienia...

Chłopak nieświadomie potarł dłonią czerwony trójkąt na karku. Rzadko przypominał sobie o istnieniu znamienia, na przykład wtedy, gdy patrzył na swoje odbicie w wodzie. Jednak haruspik często do niego nawiązywał.

– W ogóle nie zdziwiłam się, gdy Olenus się tobą zainteresował. Zaczął uczyć cię świętych rytuałów, zachęcał do nauki języków niewolników z różnych części świata – powiedziała z dumą Fulwa. – Tłumaczyłam to twojemu ojcu. Kiedyś mnie słuchał. Ale odkąd twój brat zginął na wojnie z Sullą, interesuje się tylko kolejnymi dzbanami wina.

Tarkwiniusz spojrział ze smutkiem na śpiącego mężczyznę.

– Niegdyś był dumny z tego, że jest wojownikiem ludu Rasenna.

– Gdzieś głęboko w środku zawsze będzie Etruskim – wyszeptwała matka. – Tak samo jak ty.

– Jest jeszcze wiele powodów do dumy z naszej kultury – chłopak ucałował czoło matki, która uśmiechnęła się i wreszcie zamknęła zmęczone oczy.

*Umiejętności i wiedza haruspików nie przepadły. Etruskowie nie zostaną zapomniani.* Nie powiedział tego głośno. Sergiusz rzadko pozwalał sobie na szczere rozmowy

z ludźmi z gospodarstwa, ale Fulwa lubiła plotkować. Tarkwiniusz musiał za wszelką cenę utrzymać w tajemnicy prawdziwe powody swoich wizyt u Olenusa.

Chłopak wdrapał się z powrotem na swoje łóżko. Gdy wreszcie zasnął, zaczynało świtać.

W ciągu kilku kolejnych dni Tarkwiniusz nie mógł nawet marzyć, że nadarzy się okazja, aby zapolować na wilki lub odwiedzić Olenusa. Zbliżał się czas żniw, a wtedy pracownicy w latyfundium pracowali bez wytchnienia od rana do nocy. Niewolnicy i członkowie rodzin, których wiązał kontrakt (tak jak rodzinę Tarkwiniusza), musieli pracować cztery razy intensywniej.

Z Rzymu przybył właściciel gospodarstwa Rufus Celiusz, żeby nadzorować prace. Większość dobrze zorientowanych pracowników sądziła, że wybrał się do stolicy, aby zebrać pieniądze dla ratowania swojego podupadającego latyfundium. Rudowłosy właściciel gospodarstwa był wzorcowym przykładem przedstawiciela rzymskiej arystokracji: umiejętnie posługiwał się mieczem, ale kiepsko radził sobie z finansami, handlem i gospodarką. Dziesięć lat wcześniej, gdy ceny zboża zaczynały spadać w związku z nagłym zwiększeniem importu z Sycylii i Egiptu, Celiusz podjął kilka nietrafionych decyzji, nie dostrzegł bowiem zmian zachodzących na rynku. Gdy bardziej przewidujący sąsiedzi zmieniali profile swoich gospodarstw, sadząc na przykład winorośl i oliwki, uparty ekslegionista, pełniący niegdyś ważne funkcje jako strateg przy planowaniu działań wojennych, wciąż upierał się przy uprawie pszenicy. Wystarczyło dziesięć lat, aby przynoszące zyski gospodarstwo znalazło się blisko ruiny.

Tanie importowane zboża szybko doprowadziły do upadku tysiące małych gospodarstw rolnych w całej Italii, wśród nich także i to w posiadaniu rodziny Tarkwiniusza. Duży właściciele ziemscy korzystali z okazji i wykupywali ziemię, zwiększając areał swoich gospodarstw kosztem sąsiadów. W takiej sytuacji pojawiła się potrzeba zatrudnienia większej liczby pracowników, którymi błyskawicznie stały się tysiące niewolników – trofea z ludzi, będące żywym dowodem potęgi Rzymu, podbijającego coraz to nowe terytoria.

Chociaż wszyscy członkowie rodziny Tarkwiniusza posiadali status obywateli rzymskich, nie mieli się z czego utrzymać i mogli uznać się za szczęśliwców, gdy udało im się podpisać kontrakt na pracę z Celiuszem. Nie zarabiali za dużo, ale... zarabiali. Z powodu rosnącej liczby niewolników biedniejsi obywatele nie mieli nawet tyle szczęścia, przez co w miastach zaroilo się od głodujących chłopów. *Congiaria*, w których można było liczyć na darmowy posiłek, potrzebowały coraz więcej zboża.

Jeśli Celiusz rzeczywiście widział się w stolicy z kimś, kto mógł pożyczyć mu

jakieś pieniądze, wyglądało na to, że jego misja zakończyła się sukcesem. Gdy codziennie rano wydawał polecenia, organizując prace, był w wyśmienitym humorze. Tarkwiniusz został wybrany do pracy przy żniwach, czym zresztą zajmował się latem regularnie od ośmiu lat, odkąd jego rodzina pojawiła się w gospodarstwie Celiusza.

Pszenica i owies na rozległych polach latyfundiów czekały na zżęcie i zebranie w snopki. To była naprawdę ciężka praca, wykonywana od zmierzchu do świtu przez tydzień albo i dłużej. Skóra Tarkwiniusza, choć i tak ściemniała po wielu dniach spędzonych na stokach pobliskich gór, teraz przybrała naprawdę ciemną, mahoniową barwę. Ku ucieście niewielkiej liczby niewolnic jego długie włosy wypływały na słońcu i stały się jeszcze jaśniejsze. Świadomie zapuścił je nieco dłuższe, żeby ukryć znamię na karku.

Fulwa była już za słaba na prace fizyczne, dlatego wraz z kilkoma starszymi kobietami zajmowała się dostarczaniem żniwiarzom jedzenia i picia. Celiusz próbował kiedyś zmuszać swoich ludzi do pracy bez przerw, ale przed dwoma laty, gdy podczas żniw żar nieprzerwanie lał się z nieba, zbyt wielu niewolników traciło przytomność z powodu odwodnienia. Jeden z nich nawet pożegnał się z życiem. Celiusz zrozumiał wtedy, że przerwa w pracy jest tańsza niż martwi pracownicy.

Czwartego dnia żniw słońce smagało ziemię promieniami z wyjątkową intensywnością. Wczesnym popołudniem wszyscy z utęsknieniem oczekiwali przybycia Fulwy i wózka ciągniętego przez muła, wypełnionego wodą, chlebem i warzywami. Kobieta zatrzymała się w cieniu dużego drzewa, gdzie natychmiast zgromadzili się wszyscy żniwiarze.

– Mam tu odrobinę sera... – wyszeptła, poklepując ręką małe zawiniątko przy boku.

Tarkwiniusz puścił jej oko w odpowiedzi.

Cała grupa mężczyzn miała na sobie tylko przepaski biodrowe i sandały. Długie sierpy kosy wisiały na skórzanych pasach, przydzielanych przez Celiusza. Niewolnicy pracujący przy żniwach nosili metalowe okowy na kostkach, które miały uniemożliwić im ucieczkę. Jak w każdym dużym gospodarstwie, pracujący tu niewolnicy pochodzili z różnych krain basenu Morza Śródziemnego. Judejczycy, Hiszpanie i Grecy pracowali na polu ręką w rękę z Nubijczykami i Egipcjanami. Wygłodniali rzucili się na jedzenie, wymieniając między sobą tylko zdawkowe uwagi. Kosze szybko pustoszały. Dla wróbla, z wielkimi nadziejami kręcących się pod nogami mężczyzn, zostało zaledwie kilka okruszków.

Maurus, jeden z greckich niewolników, przeżuwał ostatnią pajdę chleba

w smutnej zadumie.

– Ile bym dał za kawałek mięsa... Może dostaniemy trochę w czasie *Vinalia Rustica*?

– Celiusz za bardzo skąpi! A teraz naprawdę ma problemy finansowe – prychnął Dekster, *vilicus*, niegdyś twardy legionista z południa. – Ale za to taki Olenus pewnie nie odmawia sobie mięsa, co?

Przysłuchujący się tej rozmowie spojrzeli z ciekawością na Tarkwiniusza. Wszyscy wiedzieli, że chłopak często odwiedza staruszkę.

– Założę się, że ten guślarz za każdym razem przygotowuje ci na powitanie ucztę z pieczonej baraniny! – ktoś krzyknął.

– Czy to dlatego tak często go odwiedzasz? – na opalonej twarzy Maurusa dał się zauważyć grymas zazdrości.

– Nie. Uciekam tam, żeby nie słyszeć twojego utyskiwania.

Żniwiarze wybuchnęli śmiechem tak głośnym, że aż kilka przestraszonych ptaków poderwało się do lotu.

Nadzorca obrzucił Tarkwiniusza dziwnym spojrzeniem.

– Spędzasz w górach dużo czasu. Co cię tam tak ciągnie?

– Nic dziwnego, że chłopak ucieka od tego gorąca – zauważył krępy niewolnik o imieniu Sulinus.

Rozległo się kilka pomruków przyznających mu rację. To lato było wyjątkowo gorące. Łany pszenicy migotały i kołysały się poruszane gorącymi podmuchami, przypiekane palącymi promieniami słońca.

Tarkwiniusz nie odpowiedział, pozwalając, aby odgłos wydawany przez cykady wypełnił powietrze.

– A więc? – Dekster przesunął nieświadomie dłonią po starej bliźnie.

– A więc co? – Tarkwiniusz, zaniepokojony dziwną dociekliwością nadzorcy, udał zaskoczenie.

– Czy ten zwariowany wróżbita codziennie jada mięso?

– Tylko jeśli znajdzie jakąś martwą owcę albo jakiegoś dzieciaka – Tarkwiniusz poczuł, że w ustach zbiera mu się ślina. Jadł z Olenusem pieczone mięso tylko wtedy, że nie potrafiłyby zliczyć. – Nie inaczej. Celiusz by na to nie pozwolił.

– Celiusz! – Dekster zachnął się. – On nie ma bladego pojęcia, ile owiec i kóz liczy jego stado w górach. Wiele razy mówił, że osiem jagniąt z każdych dziesięciu owiec rocznie mu wystarcza.

– To kiepski wynik... – ocenił Maurus rzeczowo.

– Tylko Olenus może pilnować stada tam, na szczycie – Sulinus zdobył się na

pojednawczy gest. – Za dużo duchów i dzikich bestii krąży wokół tych wymarłych miast.

W oczach mężczyzn pojawił się strach.

Długie rzędy kurhanów ciągnące się w pobliżu ruin Falerii były bez wątpienia rzucającym się w oczy symbolem tragicznej przeszłości i tylko nieliczni pracownicy z latyfundium ośmielali się do nich zbliżyć. Nawet za dnia. Całe pasmo górskie, z nazwami pochodzącymi od dziwnych zjawisk, watah wilków i niesprzyjającej pogody, przypominało, że jest to miejsce, którym wciąż władali dawni etruscy bogowie.

– I dlatego Celiusz daje Olenusowi spokój – Tarkwiniusz chciał zmienić temat. Wizje z nocnego koszmaru wciąż jeszcze były wyjątkowo żywe w jego pamięci. – W tej części już prawie skończyliśmy – wskazał na pole. – Moglibyśmy postawić snopki przed zachodem słońca.

Dekster nie udawał zdziwienia. Zwykle trzeba było grózb, aby zmusić ludzi do pracy po przerwie na posiłek. Wychylił jeszcze jeden kubek wody.

– Wracać do pracy, ludzie! Nie zmuszajcie mnie, żebym użył tego... – wymruczał groźnie, poklepując bat zatknięty u pasa.

Robotnicy powlekli się przez ściernisko w stronę najbliższych łąnów pszenicy. Kilku z nich rzuciło Tarkwiniuszowi nieprzychylnie spojrzenia. Nikt jednak nie ośmielił się sprzeciwić woli nadzorca. Albo jego batowi. Dekster został zatrudniony specjalnie po to, aby dbać o porządek. I czynił to, nie szczędząc brutalności.

Fulwa odczekała, aż niewolnicy oddalą się na bezpieczną odległość, i dopiero wtedy podsunęła synowi zawiniątko z chytrym uśmiechem.

– Dziękuję ci, matko – Tarkwiniusz pocałował ją w czoło.

– Niech bogowie obdarzą cię łaskami – odpowiedziała z dumą.

Gdy tylko jego matka zawróciła wózek, Tarkwiniusz ruszył w stronę przysadzistego nadzorca.

– Dekster? Mam dla ciebie pyszny kozi ser.

– Dawaj go tu! – *vilius* wyciągnął chciwie ręce. Ugryzł kawałek i uśmiechnął się. – Przekaż moje podziękowania Fulwie. Jak ona go zdobyła?

– Ma swoje sposoby – wszyscy wiedzieli, że pracownicy kuchenni mają dostęp do jedzenia, o którym inni mogli tylko pomarzyć. – Miałem nadzieję...

– Że wcześniej dziś skończysz? – Dekster zaśmiał się rubasznie. – To kosztowałyby cię trochę więcej niż ten kawałek sera. Dostałoby mi się, gdyby

Celiusz dowiedział się, że znów się gdzieś włóczył.

– Nie o to chodzi – Tarkwiniusz ryzykował chłostę, ośmielając się przerwać nadzorca, ale dziwny wyraz twarzy Dekstera dawał mu do myślenia i jednocześnie niepokoił. – Miałem nadzieję, że powiesz mi, czy właściciel czegoś przypadkiem nie planuje. No, wiesz... W związku z Olenusem.

Dekster zmrużył oczy.

Nikt przez długi czas nie interesował się haruspikiem, który był tolerowany przez właściciela gospodarstwa tylko z powodu wyjątkowych zdolności do opieki nad zwierzętami oraz pustelniczego trybu życia. Jak większość Rzymian, Celiusz potępiał wszelkie przypadki praktykowania dawnych etruskich rytuałów. Dekster miał w tej kwestii podobne zdanie.

Tarkwiniusz wyczuł, że nadzorca coś wie.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich nie powiedział ani słowa.

– Załatw mięso, a ja się zastanowię – odezwał się w końcu Dekster. – A teraz wracaj do pracy.

Tarkwiniusz dłużej nie zwlekał. Gdy tylko żniwa dobiegną końca, zaproponuje Celiuszowi, że zajmie się wilkami. Jako że tego lata leśni łowcy dziesiątkowali stada na niżej położonych polanach, właściciel gospodarstwa zapewne zgodzi się na ten wypad, zanim przyjdzie czas zbierania winogron i oliwek.

A w górach nie będzie miał problemu ze zdobyciem mięsa dla Dekstera. Nie miał żadnej pewności, że nadzorca dotrzyma słowa, ale w tej chwili chłopak nie widział innego sposobu, żeby poznać plany Celiusza. Po wielu latach lekcji u Olenusa jego zmysły były wyjątkowo wyostrome. Ten sen... a teraz dziwne pytania Dekstera. Czuł, że coś się dzieje i że będzie to dotyczyć haruspika.

– Nie ociągaj się! – zawołał Dekster, podkreślając wagę swoich słów trzaśnięciem z bicia. – Przecież chciałeś szybko zabrać się do pracy.

Tarkwiniusz zagarnął lewą ręką pszenicę, zaciskając palce na łodygach. Jednym płynnym ruchem pochylił się i oddzielił dojrzałe kłosa od reszty, tnąc możliwie blisko ziemi. Odłożył trzymany w ręku pęk za sobą, po czym obrócił się i chwycił kolejny. Po obu stronach mężczyźni wykonywali takie same, rytmiczne ruchy, przesuwając się regularnie do przodu, w głąb pola. To był rytuał, w którym od wielu wieków uczestniczyli w tym miejscu Etruskowie. Ta świadomość podziałała na Tarkwiniusza uspokajająco. Pracował, wyobrażając sobie zamierzchłe czasy, czasy jego przodków, zanim pojawili się rzymscy najeźdźcy.

## Welwinna



Rzym, 70 r. p.n.e.

Siedmiu młodych arystokratów przemierzało wąskie, ciemne uliczki niedaleko forum. Drogie białe togi poplamione winem były wyraźnym świadectwem tego, że pijacka eskapada ma już swoją historię. Tego dnia odwiedzili wiele gospód na wszystkich siedmiu wzgórzach. Mężczyźni rozmawiali głośno, a w ich wypowiedziach pobrzmiwał arogancki ton. Nie dbali o to, czy ktoś ich przypadkiem nie podsłuchuje. Towarzyszyli im uzbrojeni w pałki i noże niewolnicy z pochodniami.

Jeden z podążających nieco z tyłu arystokratów, otyły mężczyzna, nagle potknął się i zatoczył, wpadając na ścianę domu. Zaklął głośno. Zgiął się w pół i zwymiotował, ledwo unikając ochlapania swoich skórzanych sandałów.

– Ejże! – jego chudy, gładko ogolony i mocno przystrzyżony towarzysz o orlim nosie wykrzyknął rozbawiony. – Przed nami jeszcze wiele godzin zabawy!



Trzasnęła otwierana okiennica, a z okna gdzieś nad nimi rozległ się krzyk.

– Hej! Chamie! Idź rzygać gdzie indziej!

Tęgi Rzymianin wytarł wymiociny rękawem togi, po czym spojrział w górę i zaryczał w ciemność:

– Jestem ekwitą Republiki. Rzygam, gdzie chcę. A teraz zamknij się, chyba że masz ochotę na parę siniaków!

Głowa w oknie zniknęła. Właściciel przybytku zapewne zrozumiał, że ma do czynienia z nie byle kim. Musiał też dostrzec uzbrojonych niewolników.

Przeglądający się tej scenie pijani mężczyźni z ulicy zarechotali.

Tylko głupiec ośmieliłby się wystąpić przeciwko grupie nobili. W Rzymie wszyscy obywatele mieli być równi, ale w rzeczywistości wielu z nich było „równiejszych”, a Rzymem rządziła elita, na którą składali się senatorowie, *equites* i najbogatsi właściciele ziemscy. Wszystkie rodziny tworzące rzymską arystokrację łączyły się na kształt kasty, do której niezwykle trudno było się dostać, chyba że dzięki wielkiemu bogactwu, na ogół otwierającemu wszystkie drzwi. Kilka wpływowych osób z tej nielicznej grupy miało rzeczywisty wpływ na kształtowanie losów Republiki.

Opierający się o mur mężczyzna ponownie zgiął się w spazmie wymiotów.

– Cholerny plebs... – po chwili wyprostował się i położył mięsistą rękę na ramieniu towarzysza. – Cierpliwości, stary przyjacielu. Moje nogi nie wytrzymują takiego tempa.

– Plebejusze... do niczego się nie nadają – zgodził się drugi z mężczyzn. – No, chyba że do ciężkiej pracy i do wypełnienia szeregów armii.

Większość uczestników nocnej eskapady uśmiechnęła się, słysząc te słowa, ale krępy rudzielec z przodu odezwał się zniecierpliwiony.

– Ruszajcie się, jeżeli mamy dotrzeć do Lupanaru!

Nobile poderwali się na wzmiankę o najsłynniejszym rzymskim domu publicznym, o którym słyszeli chyba wszyscy mieszkańcy Italii. Nawet ci najbardziej pijani nieco się ożywili.

– Wiecznie niezadowolony... chyba że załapiesz się wcześniej na jakieś chędożenie, co? Celiuszu? – odezwał się szczupły mężczyzna, w którego głosie wyraźnie dało się wyczuć uszczypliwość.

– To najlepszy burdel w mieście. Sam powinieneś spróbować od czasu do czasu – Celiusz aż zatarł ręce, podekscytowany. – Nigdzie nie znajdziecie atrakcyjniejszych

dziewek i lepszych, zwalających z nóg napitków.

– Słyszałem, że mają nowe kobiety z Germanii – tęgi Rzymianin odchrząknął, oczyszczając gardło. – Ale najpierw chcę więcej wina!

– A potem do burdelu! – Celiusz poklepał towarzysza po ramieniu.

– Jeśli dam radę go postawić...

– Ja też! – odezwał się najstarszy, czterdziestopięcioletni, uczestnik nocnej eskapady.

– Idziesz? Czy twoja żona potrzebuje cię w domu?

Szczupły mężczyzna uśmiechnął się bez urazy. Wiele razy słyszał już takie uwagi. Po części brały się one z zazdrości o status jego żony, pochodzącej z arystokratycznej rodziny, a po części miały związek z oddaniem i szacunkiem, jakim ją darzył. Dlatego tego typu pijacki przytyk nie był w stanie zepsuć mu humoru. Wszyscy towarzysze cenili go za jego szlachetną powściągliwość i spokój, a on nie miał powodu, aby zrobić coś, co wpłynęłoby negatywnie na jego wizerunek.

– Może się skuszę, jeśli kobiety, które tam mają, naprawdę są takie piękne, jak mówisz. Najpewniej znajdziemy tam jednak tylko ospowate czarownice!

Mężczyźni zaśmiali się głośno, gotowi przypodobać się swojemu potężnemu kompanowi, zręcznemu politykowi, który przetrwał krwawe czystki Sulli, następcy Lucjusza Korneliusza Cynny i Gajusza Mariusza, przez jakiś czas współrządzących Rzymem niemal jak samowładni dyktatorzy. Nie chciał rozwieść się z żoną, córką jednego z wrogów Sulli, mimo że ten niejednokrotnie posuwał się do gróźb. Po kilku miesiącach błagań i prośb rodziny oraz aktywnych działań różnej maści sprzymierzeńców Sulla zdecydował się na ich ułaskawienie. Przepowiednia dyktatora, który zakładał, że rzymska arystokracja ostatecznie utraci swoje wpływy, na szczęście nie spełniła się, a opinia publiczna uważała ambitnego ekwite za jednego z najbardziej obiecujących młodych polityków Republiki.

– To weź się lepiej za chłopców – rzucił ostro Celiusz. – Kobiety zostaw nam.

Zaatakowany nobil podrapał się po swoim orlim nosie.

– Myślałem, że wszyscy chłopcy są już w twoim domu.

Celiusz zacisnął pięści.

– Hej! Dajcie spokój! Jesteście wśród przyjaciół – powiedział Aufidiusz, na którego zwykle jowialnej twarzy zagościła teraz powaga. Powszechnie ceniono go za przyjazne usposobienie.

Szczupły nobil, który rzadko wychodził z roli polityka, wzruszył ramionami.

– Nie chcę się dalej kłócić.

– Co ty na to, Celiuszu? Pozostawimy te złe myśli za nami?

Zagryzając wargi z wściekłości, rudzielec skinął głową.

– W porządku.

Ton jego głosu wyraźnie mówił, że nie jest to szczere wyznanie, ale to wystarczyło Aufidiuszowi, który zwrócił się do reszty grupy.

– Gdzie jest najbliższa oberża?

– Po drugiej stronie Forum. Obok świątyni Kastora.

Tęgi ekwita ruszył naprzód.

– No to za mną!

Chwilę później wszyscy siedzieli już przy stole w karczmie z kamiennymi murami, wdychając cuchnące powietrze, przepełnione wonią taniego wina i potu. Żywy ogień pochodni z nasączonego sitowia, zamocowanych na uchwytych, osmalał ściany i rzucał długie, tańczące cienie. Karczma nie różniła się od innych tego typu przybytków. Goście gromadzili się na parterze w wielkiej sali, a powyżej, na trzech lub czterech piętrach, znajdowały się pomieszczenia mieszkalne. Ludzie przekrzykiwali się, czyniąc wielki harmider. Przy kilku stołach mężczyźni grali w kości, przy innych siłowali się na rękę i stawiali zakłady.

Nowi przybysze poczuli się trochę nieswojo, mimo że towarzyszyła im świta niewolników. Ta karczma różniła się od miejsc, do których byli przyzwyczajeni. Także kilku klientów oberży, nienawykłych do obecności nobili, kierowało w stronę nowych gości ostrożne spojrzenia.

– Co się gapiacie? – warknął Celiusz.

Siedzący najbliżej szybko odwrócili wzrok.

Celiusz skinął głową ze złośliwym uśmiechem na ustach i kilku największych niewolników natychmiast znalazło się za plecami ciekawskich obywateli. Gdy skinął drugi raz, niewolnicy wyciągnęli dwóch z nich na zewnątrz. Pozostała część straży została przy wejściu. Bawiący się wcześniej z wybranymi nieszczęśliwymi mężczyźni siedzieli w ciszy, bezsilni, podczas gdy do środka docierały krzyki pechowej dwójki. Nie poruszył się nawet potężnie zbudowany ochroniarz przy drzwiach.

– W ten sposób nie zdobędziesz wielu przyjaciół, Celiuszu – skomentował szczupły mężczyzna.

– Kto potrzebuje takich szumowin?

– Bij plebejuszy, gdy to konieczne – mężczyzna spojrział w kierunku drzwi. – Ale

poza tym pozwól im żyć, jak chcą.

– Zawsze wiesz najlepiej, prawda?

– Ci ludzie nie są niewolnikami.

– Ekwici mogą robić, co chcą.

– Jeśli chcesz, aby ekwici poparli twoje starania o stanowisko senatora, zachowuj się tak dalej...

Celiusz skrzywił się szyderczo, ale już więcej się nie odezwał.

– My, ekwici, jesteśmy najpotężniejszymi ludźmi największego imperium na świecie. Ci ludzie już to wiedzieli, Celiuszu. Rządź nimi przez szacunek, a nie strach.

Kompani pokiwali głowami, zgadzając się z tymi słowami. Jednak rudzielec znów tylko się skrzywił.

– Czy w pobliżu nie ma jakiegoś przyjemniejszego lokalu? – Aufidiusz zniżył lekko głos. – To miejsce przypomina chlew.

Większość towarzyszy spojrzała pytającym wzrokiem na Celiusza, który uważał się za eksperta od nocnych rozrywek.

– To prawda, wino smakuje gorzej niż końskie szczyny i przychodzi tu tylko plebs, ale dzieli nas stąd tylko krótki spacer do Lupanaru – stwierdził Celiusz, zadowolony, że znów znajduje się w centrum zainteresowania. Opróżnił swój kubek. – Wypijmy tu parę łyków, a potem dobrze przyjrzymy się tym blond dziwkom!

Towarzysze skinęli głowami na zgodę... Wszyscy poza chudym nobilem.

– W takim razie ja będę się zbierał do domu.

– Co? Zostawiasz nas? – gruby ekwita napełnił kubek przyjaciela i popchnął go wzdłuż stołu, rozlewając wino.

– Muszę przygotować się do jutrzejszej debaty w senacie.

– Geniusz ma więcej weny po nocy spędzonej w siodle! – Aufidiusz wykonał obsceniczny gest, który reszta skomentowała śmiechem.

– W przyszłym roku chcę zostać kwestorem, mój przyjacielu. Takich funkcji trudno dochrapać się przypadkiem.

Jako wysoki urzędnik sprawujący funkcję sędziego szczupły mężczyzna będzie miał okazję do dobrego zaznajomienia się z zawłościami systemu prawnego Republiki. Może też liczyć, że senat powierzy mu zarządzanie finansami publicznymi. Tego typu doświadczenie jest niezwykle cenne i może stanowić przepustkę do wyższej pozycji. Pretora.

– Na klejnoty Jowisza! Czy nie możesz się trochę zabawić? – zadrwił Celiusz, świadom, że bez potężnego sponsora nigdy nie będzie miał szansy na stanowisko, do jakiego aspirował jego dzisiejszy kompan.

– Nasz przyjaciel ma trochę racji – przyznał Aufidiusz. – W magistracie wieczory takie jak ten nie będą codziennością.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– No to zostań z nami!

– Wolę raczej poświęcić się dla dobra Republiki. Wy możecie pozwolić sobie na nieprzespaną noc.

– Nie tylko ty piastujesz ważną funkcję.

– Wybacz mi – szczupły mężczyzna szybko się zmytygował. – Nie chciałem nikogo urazić.

– Naprawdę? – Celiusz zacisnął palce na krawędzi stołu, aż zbiały mu knykcie.

– Jeszcze nie jesteś kwestorem. Na razie ciągle jesteś jeszcze ekwita, tak jak my! Arogancki kutas!

Spojrzenie szczupłego nobila stało się lodowate. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę, mierząc się groźnie wzrokiem.

– Daj spokój, Celiuszu – odezwał się Aufidiusz. – Im prędzej jakaś dziwka ukoi twoje nerwy, tym lepiej!

Rudzielec zmusił się do uśmiechu.

Oczy szczupłego mężczyzny dalej miały gromy.

– Może niech lepiej zajmie się jego jajami!

Większość kompanów Celiusza roześmiała się.

Ekwici zamówili kilka kolejek, ale atmosfera spotkania wyraźnie się pogorszyła. W końcu nadeszła chwila, że nikt już się nie odzywał. W gwarnej i zatłoczonej oberży zauważyli to tylko ci siedzący przy stole.

– Kto jest za tym, żebyśmy wreszcie poszli do Lupanaru? – Aufidiusz opróżnił kubek, słysząc liczne głosy poparcia.

Pierwszy podniósł się Celiusz. Wyprowadził kompanów na zewnątrz, na pełną kolein ulicę. Po kilku krokach od drzwi karczmy zauważyli dwa bezwładne ciała. Celiusz kopnął najbliższego nieprzytomnego mężczyznę w brzuch.

– Szybko tego nie zapomni.

Szczupły mężczyzna zacisnął usta z dezaprobatą.

Zrobili zaledwie kilka kroków, gdy nagle Celiusz zderzył się z młodą

dziewczyną, spieszącą się gdzieś w półmroku. Wylądowała na ziemi, rozsypując zawartość kosza, pełnego mięsa i warzyw.

Zauważywszy, że dziewczę ma na dłoniach lekkie metalowe obręcze i łańcuchy, Celiusz uderzył ją na odlew akurat w chwili, gdy próbowała się podnieść.

– Uważaj, gdzie leziesz! Niezdarna suka!

Dziewczyna upadła znów na ziemię, z krzykiem lądując w przeschniętym błocie i odsłaniając szczupłe, zgrabne nogi.

– Nie zrobiła tego specjalnie, Celiuszu – powiedział Aufidiusz, pomagając dziewczynie wstać.

Pechowa niewolnica okazała się młódką, mniej więcej siedemnastoletnią. Bardzo ładną, o ciemnych włosach i niebieskich oczach. Nie wiedząc, jak ma się zachować w obecności nobili, dziewczyna przytaknęła Aufidiuszowi i podziękowała mu za pomoc.

– Przepraszam, panie – wymamrotała, odwracając się, żeby czym prędzej ruszyć w dalszą drogę.

Celiusz nie miał jednak zamiaru jej puścić. Nie uszło jego uwadze, że ma przed sobą atrakcyjny kąsek. Chwycił za przód bawełnianej szaty i pociągnął w dół. Rozerwał tunikę aż do pasa, odsłaniając parę jędrnych piersi. Dziewczyna krzyknęła z przerażenia i wstydu. W żyłach Celiusza już pulsowała szybciej krew. Szarpnęła mocno jeszcze raz tak, żeby odsłonić nagie ramiona ofiary.

Dziewczyna cofnęła się, ale drogę zablokowali jej dwaj kompani Celiusza. Niewolnicy usunęli się dyskretnie w cień, świadomi, że nie są w stanie nic zrobić, aby zapobiec nieszczęściu. Nikt nie mógł pomóc biednej dziewczynie. Od zmierzchu do świtu ulice Rzymu stawały się królestwem bezprawia. Tylko ryzykanci mieli odwagę przemierzać je bez ochrony. Albo niewolnicy wysłani z jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą.

– Proszę... panie... – głos dziewczyny drżał. – Nie chciałam...

Celiusz chwycił ją za ramię.

– To nie potrwa długo.

Wokół rozległy się szmery akceptacji. Tylko szczupły mężczyzna i Aufidiusz nie odezwali się.

Dziewczyna jęknęła z przerażenia.

– Pozwól jej odejść.

– Co powiedziałeś? – spytał Celiusz z niedowierzaniem w głosie.

– Słyszałeś.

– Nie gadaj bzdur! – drżący z gniewu Celiusz zrobił krok do przodu. – Ona jest tylko cholerną niewolnicą.

Szczupły mężczyzna dobył sztylet o długim ostrzu, skrywany pod połamami togi.

– Mam cię dość – powiedział spokojnie. Sztylet trzymał za czubek. Pewnie i nonszalancko zarazem, gotowy do rzutu. – Rób, co mówię.

Celiusz rzucił spojrzenie w kierunku świty niewolników, mających dbać o bezpieczeństwo nobili. Szczupły mężczyzna zamierzył się.

– Poczujesz go w sercu, zanim oni zrobią pięć kroków.

– Uspokój się, mój przyjacielu – odezwał się zaniepokojony Aufidiusz. – Nie chcemy, aby komuś stała się krzywda.

Szczupły mężczyzna uśmiechnął się tylko.

– Wszystko zależy od Celiusza.

Kompani rudzielca, do którego skierowane były te słowa, obserwowali rozwój sytuacji. Ten konflikt tlił się już od miesięcy, a żaden z nich nie chciał sprzeciwić się wpływowemu i ambitnemu ekwicie.

Krzywiąc się wściekle, Celiusz wypuścił dziewczynę.

Szczupły mężczyzna dał jej znak, aby schowała się za jego plecami.

– Cieszcie się Lupanarem – powiedział, wskazując władczy ruchem, żeby ruszali.

– Najpierw nie podoba mi się, że dałem nauczki dwóm nisko urodzonym obywatelom, a teraz nie pozwala ekwicie zerznąć niewolnicy? – Celiusz wyszczał półgłosem. – Ten kutas staje się coraz miększy. Albo zwariował.

– Ani jedno, ani drugie... – Aufidiusz pokręcił głową. – Jest sprytniejszy, niż ci się wydaje.

– To o co tu chodzi?

Aufidiusz zignorował pytanie, jowialnie poklepując rudowłosego nobila po plecach.

– Czas na więcej wina!

Celiusz pozwolił się odprowadzić, a za pierwszą dwójką podążyli potulnie inni. Tym razem konflikt udało się załagodzić bez rozlewu krwi.

Nie zawsze tak będzie.

– Do zobaczenia jutro w senacie – zawołał za nimi szczupły arystokrata.

Stał w milczeniu, trzymając niewolnicę, dopóki grupa się nie oddaliła. Dwaj

ludzie jego osobistej straży przybocznej czekali cierpliwie w cieniu. Dziewczyna spojrzała na mężczyznę nerwowo, licząc, że będzie mogła odejść. Gdy jednak nobil odwrócił się do niej, dostrzegła w jego przenikliwym spojrzeniu pożądanie. Zaciśnęła mocniej palce i pociągnął swoją ofiarę do bocznej alejki.

Dziewczyna zapiszczała ze strachu. Natychmiast zrozumiała, co ją czeka. Zmienił się tylko gwałciciel.

– Bądź cicho, bo inaczej pożałujesz.

Gruby nobil podniósł wzrok po kolejnym ataku torsji i zauważył, jak para znika w bocznej alejce.

– Pewnie zaplanował to wcześniej, żeby mieć ją tylko dla siebie... – mruknął. – Ten człowiek mierzy o wiele wyżej niż urząd kwestora.

– Niedługo zostanie konsulem – poskarżył się Celiusz. On nie zauważył, co stało się z dziewczyną.

Od wieków Rzymem rządzą dwaj wybieralni konsulowie, wspierani przez trybunów wojskowych, sędziów i senat. System sprawdzał się dopóty, dopóki wszyscy przestrzegali prawa. Dwóch konsulów – w praktyce sprawujących najwyższą władzę w Rzymie – zmieniało się co dwanaście miesięcy. Ten uświęcony historyczną tradycją zwyczaj miał uniemożliwiać zamach na republikańskie wartości, gdyby ktoś za bardzo przyzwyczaił się do władzy. Jednak od czasu wojny domowej sprzed niecałych trzydziestu lat rzymska demokracja ludowa powoli chyliła się ku upadkowi, a ludzie na ważnych stanowiskach rzadko zmieniali się częściej niż kilkanaście razy na pokolenie. Ambitni nobile, tacy jak Mariusz, Cynna i Sulla, zapoczątkowali niebezpieczny trend, zmuszając osłabiony senat do zatwierdzenia sprawowania przez nich konsulatu przez dłuższy czas. W takiej sytuacji tylko nieliczni szczęśliwcy mogli mieć nadzieję, że kiedykolwiek uda im się sięgnąć po jakieś ważniejsze stanowiska, które były zazdrośnie strzeżone przez członków najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin rzymskich. Wyjątkowo rzadko zdarzało się teraz, że ktoś zostawał konsulem wyłącznie w uznaniu zasług.

– Ten kutas w końcu się doczeka – warknął Celiusz. – Każdy kiedyś popełnia błąd. – Mimo że rudzielec wciąż kipiał ze złości, dobrze wiedział, że jest zbyt pijany, aby przechytryć wroga. Zataczając się, ciągnął ze sobą towarzyszy. Zmierzała prosto do Lupanaru.

Szczupły mężczyzna ruszył w ciemną uliczkę. Jedną ręką wciąż mocno ścisnął ramię dziewczyny. Zaułek, w którym się znaleźli, zarzucony był najróżniejszymi odpadami i rozbitą ceramiką, śmieciami wyrzucanymi przez mieszkańców



okolicznych domów. Wreszcie znalazł odpowiednie miejsce i zerwał jednym ruchem resztę ubrania z ofiary, po czym popchnął ją tak mocno, że znalazła się na ziemi. Dziewczyna upadła niezdarnie, odsłaniając trójkąt ciemnych włosów w dolnej części brzucha. Mężczyzna zaczął szarpać nieporadnie togę, rozchylił nogi ofiary, po czym opadł na kolana. Dziewczyna krzyknęła z przerażenia. Wszedł w nią potężnym pchnięciem, wzdychając z przyjemności.

Poruszał się energicznie. Niecierpliwie. Jego żona od jakiegoś czasu nie czuła się najlepiej i nie dbała o jego fizyczne potrzeby. W pogoni za ambitnymi celami kariery politycznej od miesięcy jakoś obywał się bez seksu.

Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe jak spodki ze strachu.

– Spójrz na mnie tak jeszcze raz, a podetnę ci gardło!

Usłuchała, pośpiesznie zamykając oczy i zagryzając rękę, żeby nie wydawać żadnego odgłosu. Spomiędzy jej zaciśniętych powiek nieprzerwanie spływały łzy. Los niewolnicy.

Mężczyzna doszedł z głośnym jękiem, eksplodując głęboko w środku.

Jego ofiara wciąż bała się otworzyć oczy, podczas gdy oprawca wstał i zaczął poprawiać togę.

Spojrzał na nią z uśmiechem zadowolenia. Nawet z opuchniętą, moką od łez twarzą dziewczyna była naprawdę piękna. Zaspokoił żądze i może wrócić do domu. Musiał skończyć przemówienie na temat wydatków publicznych, które miał jutro wygłosić. Jeśli dobrze wypadnie, jego szanse w wyborach na kwestora znacznie wzrosną. Po służbie w świątyni Jowisza i kilku latach w armii chciał koniecznie piąć się, tak szybko, jak to możliwe, po ścieżce władzy – *cursus honorum* – którą mogli podążać tylko arystokraci.

Miał pewność, że jego ojciec byłby z niego dumny. Gdyby tylko mógł zobaczyć, jak daleko zaszedł! Choć wywodził się z rodu patrycjusza, jego rodzina nie była zbyt majątna. Ojciec ciężko pracował w senacie przez wiele lat i na krótko przed śmiercią wreszcie osiągnął stanowisko pretora, niewiele niższe w hierarchii od stanowiska konsula.

Na początku w karierze pomagały mu rodzinne koneksje, otwierające wiele drzwi, które w innych okolicznościach długo pozostawałyby zamknięte. Już w młodym wieku miał okazję przysłuchiwania się dysputom prowadzonym przez ojca z politycznymi sojusznikami. Opłacało się oglądanie debat toczonych na forum i bywanie na licznych uroczystościach. Dziś był wytrawnym politykiem, a zaaranżowane małżeństwo ugruntowało jego pozycję społeczną. Związek jego ciotki z ówczesnym

konsulem przyniósł mu wielkie korzyści. To dzięki niej wypłynął na szerokie wody i stał się jedną z ważniejszych postaci politycznych. Jednak gdy wuj dokonał żywota podczas wojny domowej, jego kariera nieco zwolniła.

Krwawe rządy Sulli były niebezpieczne dla każdego, kto miał inne zdanie niż dyktator. Jako pierwszy generał, który wprowadził wojsko do Rzymu, Sulla nie czuł oporów przed zgładzeniem każdego, kto wszedł mu w drogę. W ten sposób zyskał sobie przydomek: „rzeźnik”.

Udało mu się przetrwać rządy Sulli tylko dzięki wrodzonej inteligencji i woli przetrwania. Ciężko pracował nad stworzeniem sieci wpływowych i bogatych przyjaciół. Dziś znów był uznawany za ważną postać, wschodzącą gwiazdę na firmamencie rzymskiego świata politycznego. Zaczęli dostrzegać go ludzie, tacy jak Katon i Pompejusz. Marek Licyniusz Krassus, jedna z najważniejszych osobistości w Rzymie, wsparł go swoją fortuną, ale młody polityk potrzebował również poparcia maluczkich. Tej nocy nadarzyła się dobra okazja do pokazania, kto rządzi grupą.

Zastraszając Celiusza, udało mu się wzmocnić pozycję wśród mniej wpływowych ekwitów. Zmierzając po władzę, potrzebował posłusznych sojuszników. W stolicy zawsze znajdowało się pełno ludzi marzących o władzy, ale te najważniejsze stanowiska dostępne były nielicznym. Jeśli rozegra wszystko tak, jak planował, któregoś dnia i on zostawi ślad w historii Rzymu.

Szczupły mężczyzna wrócił myślami do chwili obecnej.

– Idź do domu. Bo może znaleźć cię tu ktoś mniej litościwy.

Na twarzy niewolnicy pojawił się wyraz niedowierzania. Na krótko.

– Dziękuję, panie – widziała sztylet i wiedziała, jak łatwo mógł się nim posłużyć.

– Nie ociągaj się albo skończysz w Tybrze – myśl o uśmierceniu dziewczyny jakoś mu się nie podobała. Nie był zimnokrwistym mordercą. Odwrócił się, zostawiając ją samą.

Dziewczyna odczekała, aż umilkną wszystkie odgłosy. Chwyliła rozdartą suknię i pobiegła w noc, kierując się w stronę domu swojego pana. Późny powrót bez kosza z żywnością... jej właściciel może zrobić coś gorszego niż to, co się właśnie wydarzyło. Tyle że i tak nie miała dokąd pójść.

## DZIEWIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ...

Kupiec otworzył drzwi bez pukania i wtoczył się do małej izby. Na jego twarzy zebrały się grube krople potu. Spojrzał na niemowlaka śpiącego w łóżeczku.

Welwinna, która tuliła akurat drugie z bliźniaków, spojrzała na swojego pana ze strachem i nienawiścią.

– Kolejne gęby do wykarmienia! To przynajmniej jest dziewczynką – stwierdził Gemellus, krzywiąc się. – Przy odrobinie szczęścia będzie podobna do ciebie i za kilka lat sprzedam ją do burdelu.

Odwrócił się do Welwinny. Młoda matka zmarszczyła brwi, czekając na wyrok.

– Jutro chcę cię widzieć w kuchni. Dwa dni odpoczynku to i tak więcej, niż potrzeba!

Welwinna mogła tylko wypełnić wolę pana. Mimo wyczerpania będzie musiała pilnować paleniska i umyć podłogi. Inni niewolnicy pomogą jej trochę. Przynajmniej tyle, ile będą mogli.

– I nie obijaj się – Gemellus zagroził – bo wyrzucę je na stos odpadków.

Tylko najbiedniejsi mieszkańcy miasta zostawiali nowo narodzone dzieci na śmietniskach miejskich. Welwinna przytuliła mocniej niemowlę, które trzymała w rękach.

– Będę pracować, panie!

– Dobrze – Gemellus pochylił się nad nią i przykrył swoją dłonią jej pierś. – Odwiedzę cię dziś wieczorem. – I lepiej będzie, żeby te bachory nie płakały.

Przygryzła wargi do krwi, tłumiąc instynktowny sprzeciw.

Na odchodnym kupiec rzucił jeszcze Welwinnie złowrogie spojrzenie, po czym zniknął.

Spojrzała na chłopca trzymanego przy piersi.

– Jedz, mój mały Romulusie – szepnęła.

Nie miała dla swoich bliźniaków złotych amuletów zwanych *bullae*, nie będzie ceremonii nadania imienia dziewięciodniowym bliźniętom. Jej dzieci, tak jak ona, były niewolnikami, a nie obywatelami tego miasta. Mogła im dać tylko swoje mleko.

– Rośnij zdrowy i silny.

*Pewnego dnia zabijesz Gemellusa.*

*I tamtego szczupłego arystokratę.*

## Rozdział III

# Olenus



Północna Italia, 70 r. p.n.e.

Obchody *Vinalia Rustica* dobiegły końca i nadal nie nadarzyła się żadna sprzyjająca okazja, aby Tarkwiniusz mógł opuścić latyfundium i spotkać się z Olenusem. Zwykle bardzo cieszył się na doroczne święto zbiorów i jego huczne obchody, które trwały kilka dni. Jednak w tym roku coś było nie tak. Inaczej. I nie chodziło tylko o to, że Tarkwiniusz stale wybiegał myślami do górskiej chaty Olenusa. Wprawdzie świętujący mogli do woli raczyć się winem i stoły były bogato zastawione, jednak Celiusz dbał o to, aby uroczystości nie wymknęły się spod kontroli. Tak jak przepowiedział Dekster, pracujący w gospodarstwie ludzie nie dostali mięsa. Właściciel nie marnował nawet jednego sesterca, jeśli nie musiał tego robić. Tymczasem Tarkwiniusz coraz bardziej się niecierpliwił. Chciał koniecznie porozmawiać z haruspikiem o wizji, która wracała do niego wiele razy. Jednak nie odważył się ruszyć w góry bez zgody nadzorca lub właściciela latyfundium,

ponieważ *vilicus* znał jego zamiary. Dekster lubował się w karaniu pracowników, którzy nie przestrzegali zasad Celiusza. Zdarzało się nawet, że ludzie umierali od zadanych im przez nadzorcę ran.

Pewnego poranka, około dwóch tygodni po rozmowie z Deksterem, młody Etrusk został wreszcie wezwany do znajdującego się w kamiennym budynku biura Celiusza. Tarkwiniusz był zachwycony. Wreszcie coś się działo! Chłopak nie czuł się jednak pewnie w obecności Rzymianina o nieodgadnionym wyrazie twarzy. Zdecydowanie nie lubił właściciela latyfundium – choć nie miał żadnych przekonujących dowodów na jego złe zamiary – a wizja, której doświadczał, tylko wzmacniała te negatywne emocje.

Celiusz studiował pergamin leżący na biurku i przez jakiś czas ignorował gościa. Tarkwiniusz czekał cierpliwie, oglądając z zaciekawieniem wystrój dużej, kwadratowej sali. Po obu stronach niskiego ołtarza stały greckie statuetki bogów. Na honorowym miejscu w alkwie znajdowało się popiersie przedstawiające jakiegoś mężczyznę, z charakterystycznie rzymskim nosem i o przeszywającym spojrzeniu. Ustawione było tak, aby każdy wchodzący do biura mógł mu się dobrze przyjrzeć. Na wbitych w ściany gwoździach wisiały różnego rodzaju tarcze i miecze, trofea z czasów służby wojskowej Celiusza. Ta broń – dowód istnienia świata poza latyfundium – poruszyła wyobraźnię Tarkwiniusza. Olenus wiele mu opowiadał, ale mówił właściwie o teorii, a te przedmioty były jak najbardziej rzeczywiste.

Właściciel w końcu podniósł wzrok. Nie zauważył zainteresowania Tarkwiniusza.

– Ostatnio straciliśmy za dużo zwierząt – odezwał się, stukając paznokciem o zęby. – Daję ci trzy dni. Po tym czasie chcę zobaczyć pół tuzina wilczych skór.

– Trzy dni? – Tarkwiniusz bardzo się zdziwił, słysząc, jak mało czasu dostaje. – Sześć wilków?

*Dlaczego teraz?* O stratach w stadzie Tarkwiniusz mówił Celiuszowi już przed miesiącem.

– Właśnie tak – potwierdził lodowatym tonem Celiusz. – Chyba że uważasz, że ktoś inny lepiej poradzi sobie z tym zadaniem? Mnóstwo ludzi wiele dałoby za szansę uniknięcia ciężkiej pracy w czasie zbiorów.

– Dam radę, panie – Tarkwiniusz odpowiedział szybko. Dzięki temu będzie miał możliwość dostarczenia mięsa Deksterowi.

Celiusz machnął ręką na znak, że Tarkwiniusz może się oddalić.

Chłopak dotarł do drzwi, gdy rudzielec rzucił za nim ostatnie ostrzeżenie.

– Jak się spóźnisz, każę cię ukrzyżować.

– Panie? – wstrząśnięty Tarkwiniusz popatrzył tępo na Celiusza. Ta groźba brzmiała prawdziwie.

– Słyszałeś, co powiedziałem – właściciel latyfundium nie zamierzał dyskutować z chłopakiem. Jego oczy zmieniły się w ciemne szczeliny.

Tarkwiniusz skinął tylko głową i zamknął za sobą drzwi. Zaniepokoiło go to dziwne ostrzeżenie, więc czym prędzej wziął ze swojej izby kilka rzeczy, łuk i kołczan ze strzałami. Myśl o tym, że zobaczy się z Olenusem, szybko podniosła go na duchu. Uśmiechając się szeroko, ucałował matkę na pożegnanie i opuścił budynki gospodarcze.

Małe gaje na zboczach w pobliżu gospodarstwa pełne były niewolników pracujących przy zbiorach oliwek. Drzewka trafiły tu prosto z Grecji setki lat wcześniej. Zielone oliwki i uzyskiwany z nich cenny olej w ogromnej mierze przyczyniały się do bogactwa Rzymu. Tarkwiniusz zastanawiał się, dlaczego Celiusz nie posadził więcej drzewek, które pomogłyby mu wykaraskać się z problemów finansowych.

– Nie zapomnij o naszej umowie – krzyknął *vilicus*, gdy dostrzegł Tarkwiniusza. – W przeciwnym razie poślę cię do pracy w młynie.

Praca w młynie była jeszcze cięższa niż żniwa. Dlatego też często wysyłano tam ludzi za karę.

– Dobrze, że idziesz... – Dekster rzucił niepokojącą uwagę.

– Dlaczego? O co chodzi?

– Starcem zainteresował się Krassus. Bogowie tylko wiedzą dlaczego.

Tarkwiniusz otworzył usta, aby zadać pytanie, ale nadzorca już się odwrócił, wykrzykując polecenia pracownikom. *Po co Marek Licyniusz Krassus miałby interesować się Olenusem?*

Ów niezwykle zamożny rzymski arystokrata rok temu opromienił się chwałą po pokonaniu Spartakusa. Stłumił bunt niewolników, który niemal powalił Rzym na kolana. Wszyscy wiedzieli, że zwycięstwo to umiejętnie przypisał sobie Gnejusz Pompejusz zwany Wielkim, główny rywal Krassusa w walce o wpływy. Kłamstwo Pompejusza zostało jednak wzięte przez senatorów za dobrą monetę, podczas gdy Krassus musiał zadowolić się zaledwie pieszą owacją. W ciągu kolejnych miesięcy rozłuszczony Krassus próbował odzyskać przewagę polityczną. Nieskutecznie.

Ostatnio jednak dzięki zręcznym manewrom udało mu się zdobyć funkcję konsula, dzieląc władzę z Pompejuszem. W pierwszym okresie po objęciu władzy współrządzący konsulowie dali pokaz jedności i przywrócili trybunat, którego rola

została za czasów Sulli znacznie ograniczona. Trybuni byli wybierani tylko spośród plebejuszy. Dysponując prawem weta w senacie oraz zwoływania zgromadzeń publicznych z inicjatywą ustawodawczą, cieszyli się niezwykłą popularnością wśród mieszkańców Rzymu. Ta reforma była naprawdę sprytnym posunięciem i Krassus natychmiast wykorzystał chwilową przewagę do osłabienia poparcia udzielanego Pompejuszowi przez senatorów. Argumentował, że Pompejusz ma zaledwie trzydzieści sześć lat i z punktu widzenia prawa jest zbyt młody, aby sprawować urząd konsula. Ponadto nigdy nie był senatorem. Pompejusz szybko jednak zorientował się w taktyce Krassusa, co wkrótce doprowadziło do otwartego konfliktu. Zamiast wspólnie pracować dla dobra Rzymu, rywalizujący nobile walczyli ze sobą coraz ostrzej.

Tarkwiniusz zdrzął.

Przyczyna zainteresowania Krassusa mogła być tylko jedna. Wątroba z brązu. Miecz Tarkwina. Celiusz planował sprzedać święte artefakty człowiekowi, który chciał – ba, potrzebował! – znaków boskiej życzliwości.

Tarkwiniusz ruszył w drogę, zatopiony w myślach. Czas zaczął nagle przeciekać mu między palcami.

– Znów migasz się od pracy? – mimo kajdan na nogach Maurus znalazł sposób, aby wspiąć się na drzewo. Niewolnik spojrział zazdrośnie na Tarkwiniusza. Ciemnoskóry mężczyzna trzymał w jednej ręce mały, ostry nóż do przycinania oliwek, w drugiej – kosz. Większy wiklinowy kosz zamocowany był na jego plecach. – Pan o tym wie?

– Posłał mnie, żebym zabił kilka wilków. Pół tuzina w trzy dni. Chcesz pomóc?

Maurus zbladł na myśl o fizycznym zagrożeniu. Tarkwiniusz wykonał gest, udając naciąganie cięciwy i wypuszczanie strzały.

– Tak myślałem. To nie przerywaj sobie...

Wkrótce Tarkwiniusz wspinał się po zboczach powyżej linii drzew, pozostawiając za sobą sękate pnie drzew w gaju i zapracowanych robotników. Mógł teraz obserwować okolicę, którą kochał i znał tak dobrze. Tafla Jeziora Wadymońskiego błyszczała w słońcu. Delektował się widokiem, który na chwilę pozwolił mu zapomnieć o jego obawach związanych z planami Celiusza i komentarzem Dekstera.

Silny zapach dzikich ziół wypełnił jego nozdrza. Odetchnął głęboko. Zerwał małą gałązkę rozmarynu z najbliższego krzaka, po czym włożył ją do plecaka. Szukał wzrokiem wilków, choć zdawał sobie sprawę, że to mało prawdopodobne zobaczyć je w ciągu dnia. Tutejsze drapieżniki trzymały się wyższych partii górskich, spędzając

większość czasu w lesie, a wybierały się na polowania o zmierzchu lub o świcie. W kilku miejscach zauważył tropy i ślady świadczące o obecności watahy. W pobliżu ścieżki dostrzegł nawet kości dorosłej owcy, które zaczynały już bieleć w słońcu, obrane dokładnie z resztek mięsa przez ptaki. Na miejscu zbrodni pozostał tylko szakal, wysysający szpik z pękniętej kości udowej. Padlinożerca czmychnął jednak szybko w gęstwinę, zanim Tarkwiniusz sięgnął po łuk.

Zmierzał pewnie do chaty Olenusa, obserwując uważnie niebo i stoki. Szukał nietypowych znaków. Staruszek na pewno od razu zapyta go, co widział podczas wspinaczki. Naliczył na niebie osiem myszołowów, które wykorzystywały prądy termiczne nad szczytem. Zadowolony, że nie było ich więcej, a ich liczba nie sugerowała żadnej niełaski bogów, i że chmury wyglądały całkiem niewinnie, nie układały się w żadne dziwne kształty, Tarkwiniusz ruszył pewnie po piarżysku z drobnych okruchów skalnych, pokrywających wyższe partie zbocza.

Zwiększył tempo marszu, gdy tylko dostrzegł małą chatkę Olenusa. Wraz ze wzrostem wysokości rosła również temperatura i chłopak marzył już o odpoczynku. Prowizoryczna chatka jego mentora znajdowała się na skraju polany, w miejscu, z którego rozciągał się wspaniały widok na południe od jeziora i dalej. To było jedno z jego ulubionych miejsc. Pełne dobrych wspomnień.

– Wreszcie zaszczytasz mnie swoją obecnością.

Tarkwiniusz odwrócił się i dostrzegł Olenusa, który musiał przez jakiś czas podążać jego śladami.

– Jak się tu znalazłeś? – Tarkwiniusz czuł tak wielką ulgę, widząc haruspika żywego, że gotów był go mocno uściskać.

Olenus uśmiechnął się i poprawił swoją skórzaną czapkę.

– Mam swoje sposoby. Dobrze cię widzieć, chłopcze. Zauważyłeś coś wyjątkowego po drodze?

– Nic szczególnego. Szakal. Osiem myszołowów – Tarkwiniusz uniósł rękę w przeproszającym geście. – Przyszedłbym wcześniej, ale zbiory trochę się przeciągnęły...

– Nieważne. Grunt, że jesteś – Olenus zρέcennie wyminął go na ścieżce. – Mamy mnóstwo spraw do omówienia, a niewiele czasu.

– Nie mogę zostać długo – Tarkwiniusz wskazał łuk wiszący na lewym ramieniu. – Mam tylko trzy dni na upolowanie sześciu wilków.

– No to chyba dobrze, że wcześniej kilka z nich przypadkiem wpadło w moje siła, co? – Olenus wskazał gestem stojaki przed chatą, wykorzystywane do suszenia



skór. Na żerdziach wisiało pięć charakterystycznych szarych futer.

– Jeden wilk w trzy dni? To będzie łatwizna – Tarkwiniusz uśmiechnął się. – Co się dzieje? Zazwyczaj polowanie zostawiasz dla mnie.

Harusplik wzruszył ramionami.

– Człowiek zaczyna się nudzić, gdy przez całe dni musi rozmawiać z owcami.

– Wiedziałeś, ile skór zażąda Celiusz?

Olenus skinął na niego.

– Chodź i odpocznij w cieniu. Musisz być spragniony po wspinaczce.

Zadowolony z odkrycia Tarkwiniusz podążył za Olenusem w stronę kłody w cieniu pod drzewami. Obaj rozsiedli się wygodnie i w milczeniu kontemplowali niesamowity widok na dolinę. Słońce prażyło, a nad stokiem zaczęła unosić się mgiełka, która po jakimś czasie zasłoniła panoramę. Tarkwiniusz ugasił największe pragnienie, nabrał wody w usta i przekazał skórzany bukłak harusplikowi.

– Miałeś ostatnio jakieś wyjątkowo wyraziste sny?

– Co? – Tarkwiniusz niemal zakrztusił się, przełykając wodę.

– Słyszałeś.

– Miałem jeden. O jaskini. Może o tej, w której schowana jest wątroba z brązu – Tarkwiniusz zmarszczył nos, gdy doszedł do niego zapach suszonych skór. – W końcu mogłem ją zobaczyć!

– Co jeszcze?

– Nic – Tarkwiniusz wpatrywał się w niemożliwy do opisanego błękit jeziora.

– Nie umiesz kłamać, chłopcze – Olenus zaśmiał się cicho. – Boisz się powiedzieć mi, że wkrótce umrę?

– Nie widziałem tego – na myśl o tym, że harusplik umie czytać w jego myślach, Tarkwiniusz poczuł dreszcze na plecach. – Ale widziałem, jak Celiusz z żołnierzami zbliżał się do jaskini. Wyglądało to poważnie.

– Sprzedał wiedzę o mojej obecności komuś w Rzymie.

– Krassusowi! – to słowo wyrwało się Tarkwiniuszowi, zanim zdążył je zatrzymać.

Olenus nie wydawał się zdziwiony.

– Ma teraz pieniądze, które wystarczą na prowadzenie latyfundium przez rok – Olenus przeszywał wzrokiem chłopca. – Nieźle, jak na staruszka w moim wieku, co?

Tarkwiniusz zastanawiał się, czy podzielić się z Olenusem swoimi podejrzeniami.

– Moim zdaniem zależy mu na wątrobie z brązu.

– Ona jest bardzo ważna. Mimo że to artefakt Etrusków, Rzymianie wiedzą, że ma wielką moc – zgodził się Olenus. – Jeśli trafi w ręce fałszywych wieszczów, Krassus może wyrzucić sobie, co mu się tylko spodoba – trudno było nie zauważyć pogardy w głosie starca. – I jestem pewien, że każdy ambitny generał chciałby móc położyć łapy na mieczu Tarkwina. Krassus zrobi wszystko, aby stać się bardziej popularny niż Pompejusz.

– Ale dlaczego miałyby cię zabijać?

– Nie chce świadków mogących udowodnić, że kłamie. Przecież jestem etruskim haruspikiem – Olenus roześmiał się głośno. – A Rzymianie mnie nie lubią. Jestem dla nich symbolem niezbyt chętnie przypominanej przeszłości.

– Skąd wie o istnieniu tych artefaktów?

– Celiusz ma swoje podejrzenia, ale nie jest pewien.

– Więc dlaczego nie próbował wyciągnąć od ciebie tej wiedzy wcześniej?

– Za bardzo się bał. Zawsze dbałem o to, aby niewolnicy pracujący w latyfundium znali moje wizje. Ostrzegałem ich o nieurodzaju, powodziach, chorobach. Celiusz to wszystko słyszał.

Tarkwiniusz skinął głową, przypominając sobie historie z dzieciństwa. Już jako dziecko słuchał opowieści o haruspiku, który wiedział, gdzie uderzy piorun czy które krowy się nie ociełają.

– Kłopoty finansowe okazały się większe od jego lęków. Wysłał cię na górę, bo chce mieć pewność, że wciąż tu będziesz, gdy pojawi się z żołnierzami – *lituus*, ze złotą głową byka na zwieńczeniu zaczął lekko wirować w sękatych dłoniach Olenusa. – A to oznacza, że nie mamy za dużo czasu na ukończenie twojej nauki.

– Nie! Musisz uciekać – krzyknął Tarkwiniusz z zapalem. – Ja też pójdę z tobą. Mielibyśmy co najmniej trzy dni przewagi. Celiusz nigdy nas nie znajdzie!

– Nie mogę uciec przed przeznaczeniem – stwierdził spokojnym głosem wróżbita. – Twój sen był aż nazbyt oczywisty. Legioniści *naprawdę* mnie zabiją.

– Kiedy?

– Za cztery dni.

Serce Tarkwiniusza zabiło mocniej.

– To ja skończę z Celiuszem – zagroził.

– Legioniści i tak przybędą tu z Rzymu.

– Więc zostaną i będę z nimi walczyć.

– I zginiesz. Zupełnie niepotrzebnie. Masz przed sobą wiele lat życia. Czeka cię

wielka podróż, Arunie.

Spieranie się z Olenusem zawsze było bezcelowe. Tarkwiniuszowi nigdy nie udało się wpłynąć na niego tak, żeby zmienił zdanie.

– Jaka podróż? Nigdy o tym nie wspominałeś.

Olenus wstał, krzywiąc się, gdy prostował plecy.

– Idziemy do jaskini. Weź łuk i plecak. Możesz zabrać też skóry, a ostatniego wilka zabijesz w drodze do domu – starzec ruszył w kierunku chaty, gdzie czekało jagnię na postronku.

Gdy związywał powrozem nogi baranka, zwierzę zabeczało żałośnie, a po chwili wylądowało bezpiecznie na ramionach Olenusa.

Tarkwiniusz podążył za haruspikiem tą samą ścieżką, którą przemierzali kilka tygodni wcześniej. Szli w milczeniu, dopóki nie dotarli do miejsca, gdzie jedyną roślinnością była krótka trawa, tak uwielbiana przez owce i kozy. Tylko ona pokrywała kamienisty grunt. Pogoda wyjątkowo dopisywała. Zaledwie kilka chmur wisiało nieruchomo nad ich głowami.

W pewnym momencie nad grzbietem grani pojawił się wielki orzeł, który wywołał uśmiech na twarzy Tarkwiniusza. Obecność najbardziej królewskiego z ptaków zawsze uważana była za dobry omen.

Całe wczesne popołudnie wspinali się po stromych zboczach. Chłodny wiatr sprawiał, że temperatura utrzymywała się na znośnym poziomie, chociaż w dolinie musiało być zupełnie inaczej.

Olenus zatrzymał się, ocierając pot, pokrywający jego pomarszczone czoło.

– Jesteś w dobrej formie, starszku – zadowolony z przerwy Tarkwiniusz pociągnął łyk ze swojego bukłaka.

– Sześćdziesiąt lat mieszkam na tej górze – Olenus powiódł wzrokiem po płataninie skał i skarłałych krzewów, które tu i ówdzie wciskały się w załamania w nadziei przetrwania kapryśnych pogody. Otaczało ich pustkowie. Ale jakże piękne pustkowie! Teraz niebo było zupełnie wolne od chmur, a jedynym punktem zaczepienia dla wzroku na absolutnym błękitcie były małe kropki drapieżnych ptaków, które dryfowały na prądach termicznych. – To było dobre miejsce do życia. I będzie to dobre miejsce, żeby odejść.

– Przestań tak mówić, proszę!

– Lepiej przyzwyczaj się do tej myśli, Arunie. Haruspikowie żyli i odchodzili z tego świata na tej górze od niepamiętnych czasów.

Tarkwiniusz szybko zmienił temat.

– Gdzie jest ta jaskinia?

– Tam – Olenus wskazał swoją łaską krętą drogę, wijącą się wyżej. – Jeszcze jakieś sto kroków.

Nauczyciel i jego uczeń pokonali ostatni odcinek dzielący ich od wejścia do jaskini, zupełnie niewidocznej aż do chwili, gdy prawie wpadli do środka. Otwór wejściowy był tak wąski, że ledwo mieściło się w nim dwóch mężczyzn stojących ramię przy ramieniu.

Młody Etrusk patrzył na wejście do jaskini z niedowierzaniem. Musiał przechodzić obok niezliczoną ilość razy, wypatrując owiec, ale jaskini nigdy nie mógłby znaleźć ktoś, kto nie wiedziałby, gdzie jej szukać. Uśmiechnął się. Długie lata oczekiwania prawie dobiegły końca.

– Uważaj na głowę – haruspik zatrzymał się na chwilę, mrużąc pod nosem jakąś modlitwę. – Strop jest dość nisko.

Tarkwiniusz ostrożnie podążył za Olenusem, mrużąc oczy, które przyzwyczyły się do ostrego światła na zewnątrz. To była jaskinia z jego snów, z przedsionkiem tak prostym, jak zapamiętał. Jedyнным dowodem obecności człowieka był mały pierścień kamieni zabezpieczający miejsce na ognisko na środku podłogi.

Olenus położył owieczkę na ziemi, obwiązując linką dużą, owalną skałę. Wszedł głębiej, uważnie studiując ścianę jaskini. Zatrzymał się po około trzydziestu krokach od wejścia. Sięgnął z wysiłkiem do szczeliny, macając obiema rękami.

Tarkwiniusz zafascynowany obserwował haruspika, który wyciągnął ze szczeliny jakiś ciężki podłużny przedmiot, owinięty w tkaninę. Olenus strzepnął grubą warstwę pyłu i odwrócił się w stronę chłopaka.

– Wciąż tu jest!

– Święta wątroba?

– Pierwsza wykonana przez haruspika – odparł Olenus uroczyście. – Przynies owcę.

Ruszył w kierunku wyjścia, ale zatrzymał się przy płycie z czarnego bazaltu, którą Tarkwiniusz zauważył po drodze. Olenus odłożył *lituus* i wyciągnął zza pasa długi sztylet, który położył na krawędzi płaskiej skały.

– To miejsce przypomina ołtarz, który widziałem we śnie!

– Jest jeszcze jeden, w głębi jaskini – Olenus odwinął wątrobę z brązu, kładąc ją z szacunkiem obok sztyletu. – Jednak dzisiejsza przepowiednia musi być wykonana

w świetle słonecznym.

Tarkwiniusz spojrział na gładką bryłę metalu, która po wielu latach zabarwiła się na zielono. Jej kształt odpowiadał idealnie kształtowi purpurowego organu, który widział przy okazji szlachtowania wołu czy owcy. Prawa jej część była nieco większa, a na środku znajdowały się dwa trójkątne elementy, wystające nad powierzchnię niczym płaty prawdziwej wątroby. Większa powierzchnia pokryta była liniami dzielącymi artefakt na kilkanaście obszarów. Na każdej części wyryto pająkowane, tajemnicze symbole. Po kilku chwilach Tarkwiniusz stwierdził, że jest w stanie zrozumieć inskrypcje znajdujące się na wątrobie.

– To imiona bogów i nazwy gwiazdnych konstelacji!

– Udowadniasz, że nauka nie poszła w las – Olenus chwycił koniec sznura spętanej owcy. – Przeczytałeś dwa razy całą *Disciplina Etrusca*, więc to, co zamierzam zrobić, nie będzie dla ciebie żadną niespodzianką.

Tarkwiniusz poświęcił niezliczone godziny na studiowanie pożółkłych stronic dzieł, które Olenus trzymał w swojej chacie. Pochłonął kilkadziesiąt opasłych tomisk, nieustannie zachęcany przez wiszącego nad nim staruszka, który wykorzystywał każdą okazję, aby podkreślać znaczenie co niektórych ważniejszych akapitów, wskazując je swoimi długimi, pożółkłymi paznokciami. Dobrze zapamiętał przynajmniej trzy woluminy. Księga zatytułowana *Libri Haruspicini* była poświęcona przepowiedniom z organów zwierząt, *Libri Fulgurates* omawiała znaczenie grzmotów i błyskawic, a ostatnia – *Libri Rituales* – dotyczyła etruskich rytuałów i uświęconych obrzędów, odprawianych w miastach, świątyniach i w obozach armii.

– Spokojnie, maleńka – wyszeptał Olenus.

Jagnię szarpnęło się, naciągając linę. Z jej ciemnobrązowych oczu bił strach.

Haruspik, uspokajając owcę, ułożył ją na środku bazaltowej płyty.

– Dziękujemy za ofiarę z twojego życia, która pomoże nam zrozumieć przyszłość.

Tarkwiniusz zbliżył się do płyty. Widział już wielokrotnie, jak Olenus składa ofiary bogom, ale nie robił tego od kilku miesięcy. Co więcej, haruspik nigdy dotąd nie korzystał z amuletu. I chociaż Tarkwiniusz przy okazji wspólnych polowań próbował już nawet sam wróżyć ze zwierzęcych organów, były to tylko rutynowe działania, podejmowane dla wprawy, których celem było przewidzenie pogody lub zbiorów.

– Nadeszła ta chwila – Olenus podniósł sztylet. – Zobaczysz, jak odczytywać przyszłość ze świeżej wątroby. Przytrzymaj owcę.

Tarkwiniusz chwycił głowę jagnięcia i wyciągnął jego szyję w kierunku Olenusa.

Szybkim ruchem noża staruszek podciął gardło zwierzęciu. Ciemnoczerwona krew chlusnęła na ołtarz silnym strumieniem, pokrywając obu mężczyzn czerwonymi kropelkami.

– Widzisz, że płynie na wschód? – Olenus wyraźnie się ożywił. – Wróżby będą pomyślne!

Tarkwiniusz spojrział na wschód, w kierunku morza. Właśnie stamtąd przybyli wiele wieków temu Etruskowie. Zgodnie z ich wierzeniami bogowie przychylnie nastawieni do ludzi również zamieszkiwali siedziby na wschodzie. Nie po raz pierwszy Tarkwiniusz poczuł silną potrzebę udania się do ojczyzny przodków.

Olenus przesunął martwą owcę, odsłaniając jej brzuch. Zręcznymi ruchami przeciął skórę i mięśnie od pachwiny do klatki piersiowej. Błyszczące pętle jelita wylały się na ołtarz i połyskiwały w słońcu.

Olenus wskazał je sztyletem.

– Zwróć uwagę na to, jak jelito cienkie i grube układają się na kamieniu. Powinny mieć zdrową różowoszarą barwę. Tak jak te. Jeśli nie wyglądają zdrowo, najprawdopodobniej wróżba będzie nieudana, gdy sięgniesz po wątrobę.

– Co widzisz?

– Perystaltyka jelit wciąż jest silna. To dobrze – Tarkwiniusz obserwował regularne ruchy jelita cienkiego, które przesunęło trawiony materiał w daremnej próbie utrzymania zwierzęcia przy życiu.

– Coś jeszcze?

Haruspik pochylił się nad ołtarzem.

– Nie. Kiedy byłem chłopcem, niektórzy starcy twierdzili, że umieją uzyskać więcej informacji z jelit i czterech części żołądka. Ale to byli szarlatani.

Olenus zagłębił obie ręce w brzuchu ofiary. Odciął nożem wątrobę przy przeponie. Kilka szybkich cięć wystarczyło, aby usunąć duże żyły, utrzymujące wątrobę w miejscu. Po chwili wyciągnął przedramiona całe umazane we krwi. W lewej ręce trzymał zaokrąglony narząd.

– O, wielki Tinio! Daj nam dobre wróżby przyszłości tego tu Aruna.

Olenus uniósł oczy ku niebu, szukając orła, który towarzyszył im wcześniej.

– Co robisz? – zapytał Tarkwiniusz.

– Chcę odczytać twoją przyszłość w wątrobie, chłopcze – Olenus roześmiał się głośno. – Czy znasz jakiś lepszy sposób, aby zakończyć okres twojej nauki?

Tarkwiniusz wstrzymał oddech, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Po chwili jednak

uznał, że nie ma w tym niczego niestosownego. Przekonywał sam siebie, że przecież i tak powstrzymywał się już wiele lat.

– Najwięcej informacji znajduje się na wewnętrznej powierzchni. Zwróć uwagę na psią gwiazdę, Syriusza. To jest wielka niedźwiedzica. Ursa Major.

Tarkwiniusz przyglądał się podekscytowany wskazanym przez starca miejscom. Wreszcie wiedza teoretyczna z ksiąg zaczynała nabierać więcej sensu. Haruspik szczegółowo opisywał różne interpretacje, zależnie od koloru, kształtu i konsystencji narządu. Ku zdumieniu chłopaka mówił też o wielu szczegółach z jego dzieciństwa, których nie mógł znać. Właściwie opowiedział całe życie Tarkwiniusza, zatrzymując się co jakiś czas, aby umożliwić uczniowi interpretację jego słów.

– Woreczek żółciowy – wskazał workowaty element w kształcie łyzy, wystający z centralnej części wątroby. – Mówi nam o tym, co jest ukryte. Czasami da się z niego coś wyczytać, czasem jest to niemożliwe.

Tarkwiniusz dotknął ciepłej torebki wypełnionej płynem.

– Ile da się zobaczyć?

To była najtrudniejsza część wróżby i nigdy nie udało mu się wyczytać za wiele z narządów, na których praktykował.

Olenus milczał przez kilka chwil.

Tarkwiniusz przyglądał się uważnie twarzy haruspika z kołataniem serca. Coś zauważył. Czuł to.

– Widzę, że wkrótce zaciągniesz się do armii i udasz się w podróż do Azji Mniejszej. Widzę wiele bitew.

– Kiedy?

– Wkrótce.

Tarkwiniusz wiedział, że we wschodnich krainach Azji Mniejszej od dłuższego czasu tliło się zarzewie buntu i sytuacja dojrzała do otwartego konfliktu. Pokolenie wcześniej Sulla pobił Mitrydatesa, wojowniczego króla Pontu, ale jego obawy o niepewną sytuację polityczną w Rzymie sprawiły, że wycofał się, nie zadając ostatecznego ciosu. Mitrydates wykorzystał dany mu czas i cztery lata temu poprowadził swoje armie na Pergamon, zdobywając kontrolę nad dużą częścią rzymskiej prowincji. Wysłana na wschód przez senat armia rzymska pod dowództwem Lukullusa odnosiła imponujące zwycięstwa, ale wojna wciąż trwała.

Miałby walczyć dla Rzymian? Tarkwiniusz uśmiechnął się. Po chwili poczuł

jednak ból w boku, gdy staruszek wymierzył mu kukuksańca.

– Uważaj! – prychnął Olenus. – Czekają cię długie lata podróży i nauki. Jednak w końcu Rzym znów zacznie cię przyciągać. Żądza zemsty.

– Na kim?

– Walka – Olenus mówił jak w transie. – Ginie ktoś ważny.

– Z mojej ręki? – Tarkwiniusz zapytał podejrzliwie. – Dlaczego?

Wkrótce miał poznać szczegóły.

– Morska wyprawa do Lidii. Tam dwaj gladiatorzy zostaną twoimi przyjaciółmi. Obaj będą odważnymi ludźmi. Staniesz się ich nauczycielem, tak jak ja twoim.

Czubek sztyletu krążył od pęcherzyka żółciowego do innych punktów na purpurowym organie. Haruspiak zaczął mówić coraz szybciej, ale i coraz ciszej. Tarkwiniusz rozumiał tylko pojedyncze słowa. Patrzył na wątrobę zachwycony, że widzi to samo, co Olenus.

– Wielka bitwa, którą Rzymianie przegrają. Niewola. Długi marsz na wschód. Ścieżka lwa z Macedonii.

Tarkwiniusz znów się uśmiechnął. Niektórzy twierdzili, że lud Rasenna – jak nazywali sami siebie Etruskowie – wywodzi się z miejsca położonego o wiele dalej na wschód niż Lidia. Być może dowie się czegoś o podróżach Aleksandra Macedońskiego.

– Margiana. Rejs po rzece, potem podróż morzem – wyraz twarzy wróżbity zmienił się. Olenus wydawał się zmartwiony. – Egipt? Siedlisko zła.

– O co chodzi? – Tarkwiniusz próbował zobaczyć to, co tak zaniepokoiło jego mentora.

– Nic! Nic nie widziałem! – Starzec upuścił wątrobę, po czym zrobił kilka kroków w tył. – Musiałem się pomylić.

Tarkwiniusz pochylił się nad ołtarzem. Z pęcherzyka żółciowego zaczął wyciekać rzadki, zielonkawy płyn. Mimo że chłopak ze wszystkich sił starał się skoncentrować na wizji, nie był w stanie niczego dostrzec. Wtedy nagle odzyskał ostrość widzenia.

– Egipt! Miasto Aleksandra!

– Nieprawda – w głosie Olenusa czuć było złość i przerażenie. Starzec odepchnął młodzieńca i odwrócił wątrobę tak, żeby nie dało się zobaczyć tego, co znajdowało się na spodzie.

– Czas na miecz Tarkwina.



– Dlaczego? Co zobaczyłeś?

– Wiele rzeczy, Arunie – oczy Olenusa pociemniały. – Czasami lepiej o nich nie mówić.

– Mam prawo znać swoje przeznaczenie – Tarkwiniusz wyprostował ramiona. – Ty swoją przyszłość poznałeś.

Olenus posmutniał.

– To prawda – wskazał wątrobę ostrzem sztyletu. – A zatem spójrz na nią jeszcze raz.

Tarkwiniusz zawahał się, rozważając swoją sytuację. Wiedział już, jak odczytać wszystkie znaki z wątroby, będzie też miał jeszcze wiele okazji, żeby poćwiczyć. Jego mentor widział fascynującą przyszłość, ale i coś, czego się zupełnie nie spodziewał.

Tarkwiniusz wcale nie chciał znać wszystkich szczegółów.

– Moja przyszłość objawi mi się w swoim czasie – powiedział spokojnie.

Olenus odetchnął z ulgą. Podniósł *lituus* i pokazał, że powinni wejść głębiej do jaskini.

– Musimy znaleźć miecz. Jesteś gotowy – czule poklepał Tarkwiniusza.

Przed wejściem do ciemnego korytarza jaskini Olenus wyciągnął garść sitowia, łodyg, w które wcześniej wsiąkał воск. Użył dwóch kawałków krzemienia do zapalenia pochodni.

– Weź jedną.

Upewniwszy się, że воск nie spływa mu na rękę, Tarkwiniusz podążył za starszkiem do wnętrza. W miarę jak zagłębiali się coraz dalej, korytarz jaskini rozszerzał się. Pokonali dobrze ponad trzysta kroków, zmierzając do wnętrza skały. Powietrze było chłodne, ale suche.

Aż podskoczył ze zdumienia, gdy w świetle pochodni ujrzał barwne obrazy na ścianach, zaskakująco dokładnie oddające szczegóły.

– Od wielu wieków to miejsce uważane jest za święte – Olenus wskazał postać haruspika, którego można było rozpoznać po obłym nakryciu głowy i lasce. – Widzisz? W lewej ręce trzyma wątrobę i spogląda na niebo.

– A to musi być Tinia – Tarkwiniusz pokłonił się przed ogromnym malowidłem przedstawiającym postać, którą znał z małej terakotowej statuetki w sanktuarium domowym w chacie wróżbity. Bóg Etrusków miał świdrujące oczy w kształcie migdałów, prosty nos i ciasno zwinięte loki oraz krótką, ostro zakończoną brodę.

– Rzymianie nazywają go Jowiszem – Olenus skrzywił się. – Przywłaszczyli sobie nawet naszego najważniejszego boga.

Wróżbita skinął na Tarkwiniusza, po czym zagłębiali się dalej w mrok, mijając wiele malowideł, przedstawiających starożytne rytuały i święta. Naskalni muzycy grali na lirach i *auletos* – podwójnych etruskich fletach. Pełne wdzięku ciemnoskóre kobiety w kolorowych, powłóczystych szatach tańczyły z muskularnymi, nagimi mężczyznami, czemu zza pobliskich skał przyglądali się satyrowie. W jednej scenie kobiet strzegli potężnie zbudowani etruscy wojownicy w pełnych zbrojach, a nad nimi unosił się nagi mężczyzna ze skrzydłami i głową lwa. Przenikliwość oczu i spojrzenie bestii poruszyły w Tarkwiniuszu jakąś głęboko osadzoną strunę.

– Bogowie! – serce Tarkwiniusza rosło z dumy na widok obrazów Etrurii w dniach chwały. – Piękniejszych malowideł nie widziałem nawet w domu Celiusza.

– Nie znajdziesz ich również w większości rzymskich willi.

Starzec zatrzymał się przy wejściu do bocznej komory. Unosząc pochodnię, postąpił kilka kroków do przodu, w stronę dużego przedmiotu, mającego w cieniu.

– Co tam jest?

Haruspik nie odpowiedział, a Tarkwiniusz wreszcie oderwał wzrok od naskalnych rysunków. Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiał, na co patrzy. Ozdobne panele z brązu. Pokryte metalem obręcze kół. I kwadratowa platforma etruskiego rydwanu bojowego. Aż wciągnął powietrze, nie dowierając.

– Matka Achillesa, Tetyda, ofiaruje swojemu synowi zbroję – Olenus wskazał scenę wrytą na przedniej części rydwanu.

Rzeźbienia zdobiły kawałki kości słoniowej, bursztynu i półszlachetnych kamieni. Dyszel i końskie kapy również były pokryte niewielkimi rzeźbieniami przedstawiającymi bogów. Nawet koła o dziewięciu szprychach wyróżniały się bogatymi rzeźbieniami świętych symboli.

Zadziwiony Tarkwiniusz przebiegł palcami po drewnie i brązie, jakby chciał odczytać wszystkie szczegóły, ścierając grubą warstwę kurzu.

– Ile ma lat?

– Należał do Priscusa, ostatniego godnego miana króla Etrusków – odpowiedział Olenus uroczyście. – Ponad trzy wieki temu rządził w Falerii. Mówią, że kiedyś poprowadził do boju ponad sto takich rydwanów.

Tarkwiniusz zadrżał przejęty, wyobrażając sobie imponujący obraz króla w pełnej zbroi płytowej z brązu, stojącego z wyciągniętym łukiem za szeregiem rydwanów

bojowych. Za potężnym klinem wozów podążały kolejne rydwany, a na końcu maszerowały niekończące się szeregi pieszych wojowników.

– Jednak wrogowie w formacji *testudo* mogli wytrzymać nawet uderzenie rydwanów bojowych – westchnął Olenus. – Legioniści po prostu chowali się pod tarczami i przetrzymywali deszcz strzał.

Tarkwiniusz pokiwał głową ze smutkiem. Znał historię upadku Falerii. Miasto istniało jeszcze ponad siedemdziesiąt lat po tym, jak Rzym ujarzmił wszystkich sąsiadów. Jednak w końcu los Falerii – ostatniego z dumnych miast państw ligi etruskiej – zdecydował się w ciągu kilku krótkich godzin. Rzymscy legioniści rozbili szeregi mniej zdyscyplinowanych pieszych wojowników i unieszkodliwili wiele rydwanów dzięki celnym oszczepnikom. Gdy armia Priscusa została zdziesiątkowana, śmiertelnie ranny król uciekł z pola walki.

– Czy został tu pochowany? – zapytał Tarkwiniusz, rozglądając się po jaskini.

Olenus pokręcił głową.

– Ostatnim życzeniem króla było, żeby jego ciało zostało spalone. Ci, którzy przetrwali rzeź, spełnili jego rozkaz. A potem wciągnęli rydwan aż tutaj, żeby nie wpadł w ręce grabiących miasto legionistów.

– Czy nie powinni byli spalić też rydwanu?

Olenus wzruszył ramionami.

– Być może mieli nadzieję, że któregoś dnia Etruria podniesie się z tej klęski.

Tarkwiniusz skrzywił się.

– Żaden z nich nie mógł być haruspikiem.

– Nie wywalczysz siłą zmiany przeznaczenia naszego ludu, Tarkwiniuszu – powiedział Olenus, klepiąc go po ramieniu. – Nasz czas dobiega końca.

– Wiem.

Chłopak zamknął oczy i zmówił modlitwę za wiernych towarzyszy króla, którzy nieźle się napocili, aby wciągnąć ten wspaniały rydwan na górę, w nadziei, że pewnego dnia odzyska dawną świetność. Nic takiego się nie stało. Etruria nigdy już nie odzyska dawnej chwały. Wiedział to. Najwyższy czas to zaakceptować.

Olenus obserwował chłopaka z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Chodź – skinął na niego i poprowadził z powrotem do głównej komory jaskini.

Ruszyli dalej we wnętrze góry. Zatrzymali się dopiero przed niskim kamiennym ołtarzem, nad którym znajdował się dziwny obraz.

– To jest Charon. Demon śmierci – Olenus pokłonił się. – Strzeże miecza

Tarkwina od ponad trzystu lat.

Tarkwiniusz wpatrywał się w niebieskiego stwora o rudych włosach z mieszaniną fascynacji, odrazy i strachu. Postać stworzona przez nieznanego artystę miała upierzone skrzydła wyrastające z pleców oraz otwarte usta z widocznym szeregiem ostrych zębów. W uniesionych rękach Charon trzymał wielki młot bojowy, gotowy zmiażdżyć nim każdego, kto śmiałyby się do niego zbliżyć.

Na płaskiej płycie pod ścianą z malowidłem leżał krótki prosty miecz ze złotą głownią. Światło pochodni roztańczyło się na polerowanej powierzchni metalu. Olenus uklonił się jeszcze raz, po czym z nabożną czcią wręczył broń Tarkwiniuszowi.

Chłopak chwycił za misternie rzeźbioną rękojeść i zważył miecz w dłoni, a potem zamachnął się w powietrzu, wyprowadzając cios po łagodnym łuku.

– Doskonale wyważony. Dobrze leży w dłoni.

– Oczywiście! Został wykuty dla króla. Priscus był ostatnim, który go dzierżył – haruspik pokazał gestem, aby chłopak oddał mu miecz. Tarkwiniusz szybko wręczył go Olenusowi.

Wróżbita wskazał na ogromny rubin, osadzony w podstawie rękojeści.

– Ten kamień jest wart fortunę. Przyciąga wiele uwagi, więc postaraj się ukryć go w bezpiecznym miejscu. Ktoregoś dnia może się przydać.

Źrenice Tarkwiniusza rozszerzyły się, gdy przyglądał się wspaniale oszlifowanemu rubinowi, większemu od każdego kamienia szlachetnego, jaki widział w swoim życiu.

– Wystarczy jak na jeden dzień – Olenus nagle stracił całą energię. Wyglądał, jakby się postarzał, a zmarszczki na jego twarzy stały się jeszcze bardziej widoczne.

– Chodźmy. Upieczemy jagnię.

Tarkwiniusz nie protestował. Wszystko, co zobaczył podczas tej wyprawy, przekroczyło jego najśmielsze wyobrażenia. Miał o czym myśleć.

Mężczyźni skierowali się w milczeniu do wejścia.

Zanim zrobiło się całkiem ciemno, Tarkwiniusz poszedł nazbierać drewna na ognisko, zwracając uwagę na podejrzaną odgłosy i poruszenie, które mogły świadczyć o obecności w pobliżu dzikich zwierząt lub ludzi. Z ulgą stwierdził, że widzi tylko ślady wilków. Wracał z pełnymi rękami. Okazało się, że Olenusowi udało się już rozpalić małe ognisko, w którym paliło się kilka mniejszych gałęzi. Wkrótce przy wejściu do jaskini zapłonął wielki ogień.

Mężczyźni usiedli obok siebie na kocu, ciesząc się ciepłem i pilnując mięsa. Kuleczki tłuszczu turlały się prosto w płomień, podsycając ogień.

Jakby z myślą o poprawieniu sobie humorów Olenus zaczął mówić o wielkiej sali biesiadnej w mieście Etrusków, które niegdyś wznosiło się w dolinie poniżej jaskini.

– To była wspaniała długa sala z dużymi ławami, rozstawionymi wokół stołów – Olenus zamknął oczy i pochylił się w kierunku ognia. – Błaty stołów wykonano z marmuru. Były dość niskie, z pięknie inkrustowanymi nogami, zdobionymi złotymi elementami. Muzyka grała, a na stołach pojawiały się przeróżne potrawy. W ucztach uczestniczyli zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

– Naprawdę? – rzymscy arystokraci zwykle nie pozwalali kobietom siadać przy stole w czasie oficjalnych uczt. Tarkwiniusz przekręcił lekko mięso na rożnie. – Jesteś pewien?

Olenus skinął głową, wpatrując się w ogień szeroko otwartymi, lśniąco-czernymi oczyma.

– Widziałeś malowidła ściennie?

– Nie. Opowiadał mi o tym najstarszy żyjący haruspik, gdy byłem jeszcze małym chłopcem – wróżbita, przejęty, machnął pochodnią z sitowia. – Nasi przodkowie mieli gest! W salach rozstawione były wielkie trójnożne statuy z brązu, wykute na kształt lwich pazurów, zakończone srebrnymi kandelabrami.

Jedynym znanym Tarkwiniuszowi wyznacznikiem luksusu była prosta sala biesiadna w willi Celiusza. Znajdujące się w niej posągi i malowidła bledły jednak w porównaniu z tym, co niedawno widział i o czym opowiadał mu Olenus. Właściciel latyfundium nie marnował pieniędzy na takie frywolne głupstwa.

– Ludzie Rasenna byli bogaci – kontynuował Olenus. – W czasach świetności Etruskowie kontrolowali Morze Śródziemne, handlując biżuterią, figurkami z brązu i *amphorae* ze wszystkimi sąsiadami.

– Jak wyglądali nasi przodkowie?

– Majętne kobiety, ubrane w suknie z materiałów najlepszego gatunku, nosiły piękne naszyjniki, pierścionki i bransolety na ramionach, wykonane ze srebra i złota. Niektóre rozpuszczały długie włosy, które spadały luźno na ramiona. Inne wołały warkocze, układające się na bok.

– Świetne towarzystwo!

– Nie jestem pewien, czy chętnie by z nami usiedli do posiłku. Oto my! Stary haruspik i młodzieniec, którego jedynym dobytkiem poza dobrym imieniem są łuk

i strzały – zaśmiali się obaj, wyobrażając sobie, jak widzieliby ich przodkowie. Dwóch odrapańców w jaskini, wspominających wspaniałe dni cywilizacji, która dawno już przemieniła się w pył historii.

Trzeba jednak przyznać, że jagnięcina była bardzo delikatna. Mięso z łatwością odchodziło od kości. Gdy Tarkwiniusz patrzył, jak haruspik pochłania ponad połowę upieczonego mięsa, przypomniał sobie o Deksterze. Wcześniej jakoś wyrzucił go z pamięci. Chciał za wszelką cenę cieszyć się posiłkiem, spędzając ostatnie dni z Olenusem.

Gdy skończyli zjadać się pieczystym, skulili się przy ciepłych kamieniach ogniska. Tarkwiniusz nie mógł jednak zapomnieć o smutku, choć Olenus najwyraźniej napawał się ciszą i spokojem.

Długo obserwował śpiącego wróżbitę. Widział, że na jego pomarszczonej twarzy od czasu do czasu pojawia się słaby uśmiech. Pogodził się z sobą i światem.

Zanim chłopak zasnął, minęło wiele godzin.

Gdy otworzył oczy, stwierdził, że Olenus wydobyl skądś grube tomiska rękopisów i ułożył je w zakurzonych stosach na bazaltowym ołtarzu. Kazał mu studiować je godzinami, stale zadając pytania. Haruspik zachowywał się tak, jakby naprawdę brakowało im czasu, dlatego Tarkwiniusz starał się, jak mógł, aby zapamiętać każdy szczegół.

Olenus wręczył mu także starą mapę, rozprostowując popękaną skórę z ogromną ostrożnością.

– Nigdy wcześniej mi jej nie pokazywałeś.

– Nie było takiej potrzeby – starzec uśmiechnął się chytrze.

– Kto ją sporządził?

– Jeden z naszych przodków. Prawdopodobnie żołnierz z armii Aleksandra – haruspik wzruszył ramionami. – Kto wie? *Periplus* był już stary, gdy się urodziłem.

Tarkwiniusz pochylił się nad pergaminem. Nigdy nie widział takiej mapy, a świat poza granicami Etrurii wydał mu się absolutnie fascynujący.

Olenus wskazał na środek.

– To jest Morze Śródziemne. Gdy Rzymianie zniszczyli Kartaginę, zaczęli nazywać je *Mare Nostrum*. Nasze morze.

– Aroganckie łajdaki.

– Uważaj! – powiedział Olenus ostro. – Italię i Grecję znasz. Oto Lidia. Leży

w południowo-zachodniej części Azji Mniejszej. Dalej, wzdłuż wybrzeża, znajdują się: Syria, Egipt i Judea.

– A to? – Tarkwiniusz wskazał krainę leżącą dalej na wschód.

– To jest Partia, a jeszcze dalej leży Margiana – na twarzy Olenusa pojawił się dziwny grymas, który po chwili zniknął. – Tarchun pochodził z Resen, miasta nad rzeką Tygrys. Tę ziemię nazywano Asyrią na długo przed tym, jak podbili ją Partowie.

– Tarchun! – Tarkwiniusz wymówił głośno imię z nieukrywaną dumą.

– Był wielkim bohaterem, któremu udało się sprowadzić do Italii swoich ludzi mimo tylu niebezpieczeństw – Olenus znów poklepał wyblakłą skórę, tym razem wskazując obszar znajdujący się blisko prawej krawędzi mapy, nad Margianą.

– To jest Sogdiana. Mieszkający tu ludzie mają żółtą skórę i długie, ciemne włosy. Są świetnymi jeźdźcami i walczą, posługując się łukami. Na południowym wschodzie leży Scytia, gdzie Aleksander Macedoński dokonał żywota.

Tarkwiniusz był zaintrygowany. Te krainy znajdowały się tak daleko na wschodzie, że aż trudno mu to było sobie wyobrazić.

– Czy lud Rasenna przybył z Partii?

– Kto wie? – Olenus uniósł krzaczaste brwi. – Sam musisz się tego dowiedzieć.

Tarkwiniusz przypomniał sobie sceny z przepowiedni haruspika. Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że kiedyś przyjdzie mu pokonać drogę przebytą przez pierwszych Etrusków.

– Podróż do naszych źródeł – Olenus spoglądał na zbocza góry, na której spędził całe swoje życie. – Sam chciałbym móc się tam wybrać – powiedział cicho.

– W każdym miejscu moje myśli będą z tobą.

– To by mnie zadowoliło, Arunie.

Świadomość zbliżającego się smutnego końca pewnego etapu życia i bliskiej śmierci Olenusa nie opuściła Tarkwiniusza, ale chłopak chciał cieszyć się każdą chwilą, jaką dane im było jeszcze razem spędzić. Ku jego przerażeniu drugiego dnia wieczorem staruszek stwierdził, że Tarkwiniusz powinien opuścić go następnego dnia rano.

– Weź to wszystko! – powiedział. – Wątrobę, miecz, *lituus*, mapę. Wszystko.

– Powinniśmy spędzić razem jeszcze co najmniej jeden dzień – prosił Tarkwiniusz. – Muszę się jeszcze wielu rzeczy nauczyć!

– Nauczyłem cię wszystkiego, co wiem, Arunie – zwracając się do niego, haruspik od dłuższego czasu używał tego uświęconego słowa. – I ty to wiesz. Musisz jeszcze zabić tego szóstego wilka, pamiętasz?

– Nie dbam o to! – Tarkwiniusz uniósł gladius, przeszywając nim wyimaginowanego Celiusza. – Wypatroszę tego drania!

– Nie teraz.

Tarkwiniusz spojrział podejrzliwie na wróżbitę.

– Co masz na myśli?

– Nie unikniesz przeznaczenia. Celiusz pojawi się tu po trzech dniach, tak jak to wyśniłeś.

Tarkwiniusz zacisnął pięści.

– Jutro rano odejdziesz, a ja spędzę ostatni dzień z przodkami, przygotowując się do odejścia.

Tarkwiniusz westchnął. Ostatnie kilka godzin razem równie dobrze mogą spędzić w miłej atmosferze.

– Opowiedz mi jeszcze raz o wszystkich punktach na wątrobie.

Haruspik uśmiechnął się i spełnił prośbę chłopaka.

– Zakopię wątrobę z twoją łaską w pobliżu budynków gospodarstwa. Tam będą bezpieczne.

– Nie! – Olenus zareagował ostro. – Artefakt z brązu możesz ukryć, tak jak mówisz, ale wszystko inne musisz ze sobą zabrać.

– Dlaczego? Będą tu, kiedy wrócę.

Pomarszczona twarz haruspika była nieprzenikniona. Tarkwiniusz zadrżał.

– Nie będzie powrotu?

Dostrzegł prawdziwy smutek w oczach Olenusa. Wróżbita potrząsnął głową w odpowiedzi.

– Niech zatem moja podróż trwa wiele lat!

– Tak się stanie, Arunie. Będziesz podróżować ponad dwie dekady. – Wróżbita dotknął delikatnie mapy.

– *Periplus* bardzo ci się przyda. Zapisuj wszystko, co widzisz. Uzupełnij wiedzę naszych przodków i zabierz pergamin do miasta Aleksandra.

Tarkwiniusz próbował objąć wyobraźnią skalę stojącego przed nim zadania.

– *Litius* musisz mieć ze sobą do końca – głos Olenusa stał się mroczny. – I niech spłonie razem z twoim ciałem.



Tym razem Tarkwiniusz nie przejął się komentarzem wróżbity.

– A gdy przyjdą tu legionisci...

– Ptaki zajmą się moimi kośćmi, obierając je do czysta – powiedział Olenus spokojnie. – To nie ma znaczenia.

– Ja tu wrócę! – obiecał Tarkwiniusz. – Zbuduję stos żałobny. Odprawię ceremonię pogrzebową.

Olenus wyglądał na zadowolonego.

– Upewnij się, że Celiusza tu nie będzie. Nie chcę, aby cała moja ciężka praca poszła na marne.

Tarkwiniusz poczuł gulę w gardle.

– My, Etruskowie, będziemy żyć przez Rzymian. Nawet bez wątroby. Ich ambicje i wiedza zawarta w *libri* pomogą im podbić świat – Olenus zauważył, że Tarkwiniusz rzucił spojrzenie w stronę jaskini, myśląc o zgromadzonym w niej ogromnym stosie rękopisów. – Spalę je. Jednak Rzymianie posiadają wiele woluminów skradzionych z naszych miast. Najważniejszy zestaw jest już dobrze strzeżony w świątyni Jowisza w Rzymie – zaśmiał się. – Ci przesądni głupcy zaglądną do tych dzieł tylko w czasach wielkiego niebezpieczeństwa.

Tarkwiniusz czuł przepełniający go smutek. Zmuszał się, aby spojrzeć starszemu prosto w oczy.

– A nasi ludzie po prostu rozplyną się w mroku dziejów?

– Wiele z tego, co wiesz, przekażesz innym – odparł enigmatycznie Olenus.

– Komu? Na świecie żyje zaledwie garstka Etrusków czystej krwi.

Olenus zdjął mały złoty pierścień z palca wskazującego lewej ręki.

– Weź jeszcze to.

Starszek nosił ten ozdobiony skarabeuszem pierścień, od kiedy Tarkwiniusz pamiętał.

– Gdy przyjdzie czas, daj go swojemu adoptowanemu synowi. Mimo że będzie Rzymianinem, ludzie uznają go za przyjaciela ludu Rasenna. Niektórzy zawsze będą pamiętać.

– Adoptowany syn?

– Wszystko zrozumiesz w swoim czasie, Arunie.

Tarkwiniusz czekał, mając nadzieję, że usłyszy coś więcej.

Nagle Olenus złapał go za ramię.

– Cezar musi pamiętać, że jest śmiertelny – wyszeptał. – Nie zapomnij. Twój syn

musi mu to powiedzieć.

– Co? – Tarkwiniusz nie miał pojęcia, o co chodzi Olenusowi.

– Pewnego dnia wszystko się wyjaśni – haruspik odwrócił się i nie odpowiadał już na pytania. Skurczył się w sobie, wchodząc w głęboki trans, który trwał aż do następnego ranka. Wydawało się, że coś wyszło z niego całą energię, zostawiając tylko pustą skorupę.

Tarkwiniusz czuł ciężar na sercu, rozmyślając o słowach Olenusa. Delikatnie ułożył staruszka w wygodnej pozycji przy ognisku i siedział przy nim przez całą noc. Zaakceptował to, że wszystko jest z góry przesądzone, ale nigdy nie wyobrażał sobie, jak trudne jest zaakceptowanie śmierci kogoś tak bliskiego. Przelewały się w nim fale żalu i zanim pogodził się z odejściem kogoś dla niego droższego niż własny ojciec, zaczynało już dnieć. Został ostatnim haruspikiem i tylko od niego zależało, czy starożytna wiedza zostanie zapomniana na zawsze. Jeśli nie liczyć wersji historii przekazywanej przez Rzymian. Nie może zmarnować tych wszystkich lat, kiedy Olenus obdarzał go miłością i podjął wysiłek przekazania swojej bogatej wiedzy. To było ogromne obciążenie, ale duma z własnych korzeni dała młodemu Etruskowi poczucie znaczenia celu.

Ranek był chłodny i jasny. Z powodu wysokości, na jakiej znajdowała się jaskinia, temperatura wewnątrz spadła tylko nieznacznie w porównaniu z tą w dolinie. Ostre, chłodne powietrze przepełniała cisza. Na niebie nie widać było żadnego ptaka. Brak żywych stworzeń na stokach mógł wydawać się zaskakujący, ale Tarkwiniusz wiedział, że to dobry czas na polowanie. Tropy, które widział poprzedniego wieczoru, doprowadzą go do leż wilków.

Nie odzywali się, gdy Tarkwiniusz pakował plecak i posilał się kawałkiem suchego chleba. Haruspik usiadł na skale przy wejściu do jaskini, obserwował świat w spokoju ducha, z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

– Dziękuję. Za wszystko – Tarkwiniusz z trudem przełknął ślinę. – Zawsze będę o tobie pamiętał.

– I ja nigdy nie zapomnę.

Chwycili się za przedramiona. Wydawało się, że Olenus z dnia na dzień bardzo się postarzał, ale jego uścisk nadal był silny.

– Bezpiecznej drogi, Arunie. Spotkamy się w zaświatach – staruszek był spokojny i pogodny. Pogodził się z losem.

Tarkwiniusz podniósł plecak. Z wątrobą, łaską i mieczem był o wiele cięższy. Mapę schował w małej saszetce wiszącej na piersi. Próbował znaleźć słowa...

- Nie ma nic więcej do powiedzenia – jak zawsze haruspik czytał w jego myślach.
- Idź już. I bądź błogosławiony.

Tarkwiniusz odwrócił się i ruszył w dół ścieżki. Niósł łuk ze strzałą założoną na cięciwę.

Nie oglądał się za siebie.

## Rozdział IV

# *Brennus*



DZIEWIĘĆ LAT PÓŹNIEJ...

Galia Zaalpejska, 61 r. p.n.e.

**S** trzelaj, zanim nas zwietrzy!

– Duża odległość – galijski wojownik spojrział na swojego młodszego kuzyna i uśmiechnął się. – To co najmniej sto kroków – wyszeptał.

– Dasz radę – Brac uspokajał dwa psy, gładząc je delikatnie, żeby nie wydały żadnego odgłosu.

Brennus skrzywił się, ale przeniósł spojrzenie na jelenia między drzewami. Trzymał w pogotowiu łuk, naciągając już częściowo cięciwę, do której przycisnął wykonaną z gęsich piór lotkę strzały. Ostatni fragment pokonali, skradając się na czworakach, żeby schować się za zwalonym drzewem. Dzięki temu, że wiatr im sprzyjał, ich ofiara wciąż jeszcze była zupełnie nieświadoma obecności mężczyzn.

Myśliwi tropili jelenia cały ranek, korzystając z umiejętności psów, które wyraźnie wyczuwały zwierzyńę w letnich zapachach runa leśnego. Ich ofiara poruszała się bez lęku, pogryzając liście z niższych gałęzi. Potem jelenź zatrzymał się na chwilę, żeby napić się wody deszczowej, która zebrała się w poskręcanych korzeniach starego dębu.

*Belenusie, poprowadź moją strzałę.* Brennus naciągnął cięciwę ze skręconych jelit tak mocno, jak tylko się dało. Zamknął jedno oko i wycelował. Trzeba było ogromnej siły, aby utrzymać w rękach łuk z napiętą cięciwą, ale grot z zadziorami wydawał się nieruchomy niczym skała. Gał wypuścił pocisk, pozwalając sobie wreszcie na wypuszczenie zatrzymanego w płucach powietrza. Strzała pomknęła prosto jak po sznurku, trafiając w pierś jelenia z miękkim kłapnięciem.

Rogacz runął na ziemię.

Brac poklepał Brennusa po ramieniu.

– W samo serce! Oszczędziłeś nam długiego pościgu.

Myśliwi wychynęli zza osłony, ruszając ku swojej ofierze, niemal niewidoczni na tle lasu w swoich brązowych koszulach i zielonych spodniach. Brac był wysoki, miał silne nogi i umięśnione ręce, ale jego kuzyn górował nad nim posturą. Wielki mężczyzna miał szeroką, wesołą twarz, zdominowaną przez duży, płaski nos. Włosy zaplótł w warkocze, zabezpieczone kawałkiem tkaniny, tak jak to zwykle robili członkowie plemienia Allobrogów. Obaj wojownicy mieli łuki i długie włócznie, niezastąpione podczas polowań. U pasów wisiały sztylety.

Oczy jelenia już zaczęły zachodzić mgłą. Po kilku precyzyjnych cięciach nożem Brennus uwolnił strzałę i oczyścił jej grot, wycierając go o mech. Gdy umieszczał strzałę z powrotem w kołczanie, wymamrotał kolejną modlitwę do Belenusa, ulubionego bóstwa.

– Jeleń sam nie przespaceruje się do obozu. Zetnij tamto drzewko.

Za pomocą skórzanych pasków, które Brennus wyciągnął z kieszeni, przywiązali nogi jelenia do drewnianej tyczki. Stękaając z wysiłku, podnieśli swój łup z ziemi. Głowa jelenia podskakiwała z każdym ruchem. Psy piszczały podekscytowane, zlizując krew ściekającą z rany na piersi zwierzęcia.

– Ile jeszcze potrzebujemy?

– Jednego, może dwóch. Wystarczy mięsa dla obu rodzin – Brennus przesunął lekko drzewce, zmieniając miejsce, w którym wciskało się w jego ramię. Uśmiechał się na myśl o żonie Liath i synku. – To i tak więcej, niż mają ci głupcy w wiosce.

– Oni nie mają czasu na polowanie – zaoponował Brac. – Caradoc mówi, że

bogowie zatroszczą się o nas, gdy Rzymianie zostaną pokonani.

– Stary głupiec – mruknął Brennus i natychmiast pożałował, że pozwolił sobie na otwartą krytykę wodza. Zazwyczaj zatrzymywał swoje opinie dla siebie. Brac był wstrząśnięty.

– Caradoc przewodzi plemieniu!

– Niech sobie będzie wodzem, ale moja rodzina potrzebuje zapasów, żeby przetrwać zimę. Kiedy te będą wystarczające, dołączę do buntu. Nie wcześniej – Brennus spojrzał poważnie na Braca, który był jeszcze młodzieniaszkiem z ledwo sypiącym się wąsem pod nosem.

– Powiedz mu to.

– Caradoc dowie się w swoim czasie.

Braku dwóch wojowników, którzy zwykle zajmowali pozycję w pierwszej linii, na pewno nie da się przegapić. Brennus będzie musiał wytłumaczyć swoją nieobecność.

– To ty powinienesz być na jego miejscu – stwierdził Brac.

Brennus westchnął. Ostatnio słyszał te słowa coraz częściej. Wielu wojowników zachęcało go do rzucenia wyzwania starzejącemu się Caradocowi, który przewodził Allobrogom już od prawie dwudziestu lat.

– Nie lubię rządzić ludźmi, kuzynie. Chyba że chodzi o dowodzenie w czasie bitwy. A walki trzeba unikać. Nie nadaję się do negocjacji – Brennus wzruszył potężnymi ramionami. – Wolałbym być na polowaniu lub z moją kobietą, niż zajmować się łagodzeniem konfliktów.

– Gdybyś to ty dowodził rok temu, Rzymianie by nie wrócili – Brac był przekonany o prawdziwości swoich słów. – Rozbiliśmy ich całkowicie!

– Caradoc nie jest mi przyjacielem – powiedział cicho Brennus – ale to dobry przywódca. Nikt nie poradziłby sobie lepiej z tymi draniami.

Brac zamilkł. Nie chciał dłużej się kłócić. Darzył swojego kuzyna wielkim szacunkiem, uważając go za prawdziwego bohatera. Właśnie dlatego wybrał się na polowanie, a nie siedział w wiosce, przygotowując się do wojny.

– Caradoc mówi, że żaden najeźdźca nie ujdzie z życiem z naszych ziem – odważył się wreszcie odezwać Brac, którego oczy płonęły.

Brennus poczuł się winny swojego wcześniejszego wybuchu.

– Na pewno zostanie kilku wrogów dla nas – powiedział uspokajająco. – Zwiadowcy donoszą, że w sąsiedniej dolinie jest kilka tysięcy Rzymian.

– Nie za dużo? – zaśmiał się Brac.

– Nikt nie pobije Allobrogów. Jesteśmy najodważniejszym plemieniem w całej Galii! – Brac uśmiechnął się promiennie.

Brennus zdawał sobie sprawę, jak puste są jego słowa. W zeszłe lato Caradoc stwierdził, że dość już niespełnionych obietnic, i poprowadził plemię do boju, protestując przeciwko zbyt dużym podatkom nałożonym przez Rzymian. Najpierw chciał szukać sprawiedliwości na drodze negocjacji, ale jego apele nie przyniosły żadnego skutku. Rzym rozumiał tylko język siły. I okazało się, że pierwsza kampania zakończyła się powodzeniem. Rzymskie legiony musiały opuścić ziemię Allobrogów.

Jednak za to zwycięstwo zapłacono wysoką cenę.

Przeszło połowa wojowników Allobrogów zginęła lub odniosła rany. Podczas gdy Galowie nie mieli możliwości uzupełnienia szeregów, wydawało się, że Rzymianie dysponują niewyczerpanymi rezerwami. Zaledwie dwa miesiące po klęsce rzymskie podjazdy znów zaczęły nękać odległe przygraniczne osiedla. Fala brutalnych represji została powstrzymana dopiero przez nadejście złej pogody.

Wkrótce Brennus miał już pewność, że jego ludzie zostaną pokonani, rozbici i zniewoleni, tak jak stało się z każdym plemieniem, które wcześniej zamieszkiwało te okolice. Allobrogowie mieli zbyt mało wojowników, aby odeprzeć nieuniknione uderzenie armii Republiki.

Pomptinus, gubernator Galii Zaalpejskiej, oraz ambitni rzymscy politycy, tacy jak Pompejusz, potrzebowali niewolników, bogactwa oraz gruntów i gotowi byli zdobyć te zasoby w każdy sposób, jaki tylko uznają za konieczny. Przez wiele lat zdążyli przyzwyczaić się do widoku spalonych wiosek i pełnych krwawych opisów opowieści kupców, pokonujących ziemię plemienia. Nowi osadnicy, twardzi ekslegioniści, którzy świadomie wkraczali na terytorium plemienne, stanowili aż nazbyt przekonujący dowód na agresywną politykę Republiki. Podniesienie podatków stało się środkiem do celu, a celem było sprowokowanie Allobrogów do buntu.

Teraz plemię stanęło samotnie przeciwko potędze Rzymu.

A Caradoc nie słuchał rad.

Sfrustrowany Brennus postanowił zająć się przygotowywaniem zapasów mięsa na zimę, przekonany, że do żadnych walk nie dojdzie co najmniej przez najbliższy tydzień. Polowanie było daremną próbą zapomnienia o tym, co dzieje się w dolinach.

– Chcę insygnium z orłem – odezwał się Brac pełen zapału. – Takie, jak to zdobyte latem ubiegłego roku.

– Będziesz miał swojego orła – skłamał Brennus – kiedy Rzymianie zostaną pobici.

Młody wojownik zamachnął się wolną ręką w powietrzu, udając pchnięcie mieczem. Drzewce prawie spadło z jego ramienia.

– Ostrożnie... – powiedział Brennus niemal z czułością.

Po kilku godzinach Galowie dotarli do tymczasowego obozu, zmęczeni dźwiganiem jelenia. Brac z ulgą opuścił swój koniec nosidła. Jeden z psów natychmiast rzucił się w kierunku jelenia i zaczął lizać krew, ale Brennus kopnął go, przeklinając głośno.

Tymczasowe obozowisko było ich domem przez ostatnie cztery dni. Wielki mężczyzna wybrał się z kuzynem na polowanie daleko od wioski, znajdującej się przy wylocie z doliny, równie daleko od miejsc, gdzie zazwyczaj polowali inni Allobrogowie. Przez cały ranek wspinali się po zalesionych górskich stokach, aż w końcu dotarli do dużej polany, której środkiem przepływał płytki strumień.

Brennus rozłożył ręce.

– Woda i drewno na opał. Otwarta przestrzeń pozwalająca słońcu wysuszyć mięso. Czego nam więcej trzeba?

Mężczyźni, gdy tylko przygotowali ukryty w gęstwinie szałas, który miał chronić ich przed deszczem, wybrali się na polowanie. Pierwsze popołudnie było nieudane, ale Brennus wrócił spokojnie do obozu, żeby przygotować kilka drewnianych stojaków.

Spoglądał w niebo i uśmiechał się.

– Jutro Belenus nas pobłogosławi. Czuję to w kościach.

Następnego wieczoru psy walczyły o kości dwóch jeleni, a Brennus i Brac siedzieli przy ognisku, poklepując się po pełnych żołądkach. Kolejne polowania również okazały się owocne, udało się im bowiem ustrzelić kolejnego jelenia oraz dzika. Nowe zdobycze sprawiły, że na drewnianych stelażach suszyło się już mięso pięciu zwierząt.

– Nie potrzebujemy więcej – Brac wskazał na stojaki obciążone mięsem. – A dzisiaj pewnie odbędzie się liczenie włóczni. Powinniśmy wracać.

– Bardzo dobrze – westchnął Brennus. – Najedźmy się porządnie dziś wieczorem, a rano wrócimy do wioski. To, co dzisiaj upolujemy, zawsze może suszyć się w wiosce.

– Nie przegapiliśmy walki, prawda? – Brac czuł wielką potrzebę utoczenia krwi



kilku najeźdźcom. Zbliżająca się konfrontacja stała się od tygodnia głównym tematem rozmów wszystkich wojowników. Caradoc był bardzo charyzmatycznym liderem i jak mało kto potrafił wpoić swoim ludziom nienawiść do legionistów, podczas walki przerażającą się w szal bitewny.

– Wątpię – Brennus próbował nie okazywać zaniepokojenia. – Przed bitwą rok temu trzy tygodnie toczyliśmy małe potyczki. Pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć? – Brac ciągle miał przed oczyma obrazy oszołomionych sukcesem wojowników galijskich, którzy wracali z wypraw obciążeni bronią i rzymskim oporządzeniem.

Galia Zaalpejska znajdowała się pod kontrolą Republiki od ponad sześćdziesięciu lat, dlatego w pobliżu większych skupisk ludzkich zwykle stacjonowała duża liczba wojsk. Zwycięstwo Allobrogów, możliwe dzięki umiejętnemu wykorzystaniu ukształtowania terenu w lasach i partyzanckim wypadom, okazało się sporym zaskoczeniem. I Allobrogowie zapłacili za to wysoką cenę. Nielu członków plemienia zdawało się to dostrzegać.

– Może Caradoc dobrze wie, co nas czeka – wymruczał cicho Brennus. – Czy nie lepiej jest umrzeć, niż uciekać jak tchórze, oddając za darmo nasze ziemie?

– Co mówisz?

– Nic, chłopcze. Rozpal ogień. Czuję ogromny głód. Jak niedźwiedź po zimie.

Brac musiał się jeszcze wiele nauczyć i rola nauczyciela, jak przystało na najstarszego męskiego członka rodziny, przypadła Brennusowi. Gdy zaczął rozbierać jelenia, modlił się, aby bogowie pozwolili mu dobrze wykonać powierzone zadanie oraz ochronić żonę i dziecko – osoby, które były dla niego najważniejsze na świecie. Myśl o zaplanowanym wyprowadzeniu rodzin w góry, zanim rozpoczną się pierwsze potyczki, powodowała, że mężczyzna nie czuł się najlepiej, choć wiedział, że podobnie jak nieunikniona jest klęska, równie nieunikniona była ucieczka, będąca w tej sytuacji jedynym słusznym rozwiązaniem. Brennus był zdania, że każdego, kto będzie chciał zmierzyć się z Rzymianami, czekała pewna śmierć. Caradoc przekonał jednak wojowników do innej wizji przyszłego starcia. Zmartwiony i sfrustrowany Brennus jakiś czas wcześniej wybrał się do druida plemienia, prosząc go o pomoc, ale Ultan nie zamierzał się angażować. I tak jak spodziewał się Brennus, Caradoc nawet nie próbował zastanowić się nad propozycją poprowadzenia swoich ludzi w bezpieczne miejsce.

– Allobrogowie nie uciekają jak psy! – ryknął. – Zgnieciemy legiony. Damy Rzymowi lekcję, której nigdy nie zapomni!

Caradoc upierał się przy swoim zdaniu, a w jego oczach Brennus dostrzegł groźbę. Starzejący się wódz plemienia znany był ze swojego porywczego usposobienia, więc Brennus wypowiedział wówczas tylko kilka słów standardowej formułki, przysięgając lojalność i w obecności innych więcej już nie wracał do tej kwestii. Nie mówił nic nawet przy swoich przyjaciółach. Dozwolone były tylko rozmowy nawiązujące do walki z Rzymianami.

Różnica zdań między Caradokiem i Brennusem uczyniła decyzję tego ostatniego łatwiejszą. Zamierzał wykorzystać polowanie do zbadania okolic, a po powrocie chciał zabrać obie rodziny w góry, opuszczając wioskę na zawsze. O planie wiedziały Liath i matka Braca, ale Brennus postanowił aż do ostatniej chwili nie wtajemniczać kuzyna. Wciąż jeszcze przepełniony naiwnymi ideałami Brac mógłby nieopatrznie wygadać się przed jakimś wojownikiem.

Mężczyźni pracowali w milczeniu, patrosząc jelenia, krojąc jego mięso na cienkie paski, które zawieszali na stojakach. Jedna noga jelenia trafiła na rożen i teraz opiekała się nad ogniem. Zanim zaszło słońce, na całej polanie pachniało pieczonym mięsem. Psy nie oddalały się od swoich panów, wiedząc, że w końcu i one dostaną jakiś smakowity kąsek.

Kiedy mężczyźni wreszcie znaleźli czas, żeby się posilić, na niebie na dobre zagościł księżyc. Górskie powietrze szybko się ochładzało. Usiedli bliżej siebie, owinięci w koce. U ich stóp psy zajęły się obgryzaniem kości.

– To chyba... prawie najlepsze miejsce na świecie – Brennus zrobił szeroki ruch ręką, pokazując panoramę, po czym beknął z zadowoleniem. Księżyc wisiał nisko nad pobliskimi górami, rzucając piękne światło na ośnieżone szczyty. Wszechogarniającą ciszę zakłócały tylko trzaski płonących kłód. – Dobry dzień na polowaniu, a potem pełny brzuch i ciepły ogień.

– A gdzie to naprawdę najlepsze miejsce? – zapytał Brac z ciekawością.

– Pod kocem ze swoją kobietą, oczywiście!

Brac zaczerwił się i zmienił temat.

– Opowiedz mi o czasach przed przyjściem Rzymian.

Brennus nie miał nic przeciwko temu. Dzielenie się opowieściami o polowaniach lub wyprawach po bydło z pastwisk wrogów było jedną z jego ulubionych rozrywek. Zresztą równie popularną wśród wszystkich wojowników z wioski. Gał postanowił, że opowie historię o największym wilku, jaki kiedykolwiek padł z ręki Allobroga.

Twarz Braca pojaśniała z zadowolenia.

– Zima dziesięć lat temu była jedną z najcięższych, jakie znali Allobrogowie –

zaczął Brennus. – Potężne zamiecie śnieżne sprawiły, że watahy głodnych wilków coraz częściej schodziły nisko w doliny w poszukiwaniu pożywienia. Doszło do tego, że wilki co noc wybierały bydło z zagród. Jednak żaden z naszych wojowników nie odważył się stanąć naprzeciwko głodnych bestii – Gal wzdrygnął się mocno. – Śnieg sięgał do pasa, a wataha rzadko składała się z mniej niż dwudziestu sztuk.

Brac rozejrzał się nerwowo po polanie.

– W ciągu miesiąca straciliśmy kilka tuzinów krów. Któregoś dnia wilki zaatakowały nawet pewnego staruszka zbierającego drewno na opał na skraju lasu. Wtedy Conall, twój ojciec, uznał, że tak dalej być nie może. Pracował kilka dni nad przygotowaniem pułapek. A ja mu pomagałem.

– I udało się! – oczy Braca błyszczały. Gal potarł palcami długi kiel na rzemieniu, wiszący na jego szyi. Brennus skinął głową.

– W ciągu pięciu dni złapaliśmy pięć wilków. Wtedy reszta stała się ostrożniejsza i morale naszych ludzi wzrosło. Jednak wkrótce w pobliżu wioski pojawił się lider watahy w otoczeniu innych wilków. Po każdej takiej wizycie nie mogliśmy doszukać się jakiegoś zwierzęcia. Lecz teraz wilki wiedziały już, że nie powinny atakować przynęty w klatkach. Ludzie zaczęli mówić, że to nie zwykłe wilki, ale złe duchy w zwierzęcych futrach.

– Ultan stwierdził, że ludzie byli zbyt przerażeni, żeby wam pomóc.

Brennus uniósł brwi, popijając trochę wody z bukłaka.

– Zaczęliśmy się z Conallem zastanawiać się nad rozwiązaniem. Nie było mowy o wybraniu się do lasu. Wśród drzew zasy pyły powyżej głowy. Dlatego następnej nocy Conall przywiązał starą krowę do pala poza palisadą. Nie było księżycy, a na niebie świeciło zaledwie kilka gwiazd. Nie pozwolił mi pójść z nim. Powiedział, że jestem za młody. – Brennus uśmiechnął się z czułością, przypominając sobie człowieka, który nauczył go wszystkiego, co dziś wiedział o broni. Jego ojciec zmarł, gdy Brennus miał zaledwie kilka miesięcy. – Tak więc usiadłem na ścieżce, ściskając w jednym ręku łuk, a w drugim pochodnię.

– Gdzie był wtedy mój ojciec? – Brac słyszał tę historię już tysiąc razy, ale zawsze zadawał to samo pytanie.

– Owinął się w futro i zasadził głęboko w zaspie w pobliżu przynęty. Czekał długo, marznąc niemiłosiernie.

– Mówił, że tkwił tam pół nocy.

Potężnie zbudowany Gal skinął głową.

Oczywiście krowa poczuła zbliżające się niebezpieczeństwo i zaczęła ryczeć jak

szalona. Conall czekał jednak spokojnie, jak każdy dobry myśliwy. Ja ze swojego miejsca nic nie widziałem – Brennus uniósł dłoń do oczu, mrużąc je dramatycznie, i udawał, że wpatruje się w ciemność. – Nagle pojawiły się wilki. Siedem szarych cieni pełzło w śniegu.

Brac aż zadrżał z przejęcia.

– Lider watahy ruszył od razu do ataku. Szybko zapaliłem pochodnię i wspiałem się na palisadę, aby oświetlić miejsce starcia. Wilki boją się ognia, ale były wtedy tak głodne, że nawet się nie zatrzymały.

– Ojciec powiedział, że krzyczałeś, jakby goniło cię stado demonów – zaśmiał się Brac.

– Jasne, że tak! W każdej chwili mogły go wyczuć – Brennus zadrżał. – Jeden człowiek przeciwko tylu wilkom nie ma szans.

– Gdy wyskoczył z ukrycia, ty zabiłeś już trzy wilki strzałami z łuku.

Brennus wzruszył ramionami.

– Jego zadanie było o wiele niebezpieczniejsze. Gdy ja strzelałem do trzeciej bestii, Conall obciął głowę czwartemu wilkowi i okaleczył piątego. Został tylko lider i jego samica. Były zajęte rozszarpywaniem biednej krowy. Zabiłem wilczycę i właśnie wycelowałem w ostatniego przeciwnika, który odwrócił się w stronę Conalla. Dzieliło ich jakieś dwadzieścia kroków i mogłem bezpiecznie wypuścić strzałę. Jednak twój ojciec krzyknął, żeby mnie powstrzymać: Ten skurczybyk jest mój!

Zapadła cisza.

Brennus wpatrywał się w Braca.

– Był najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem. A ten wilk był naprawdę ogromny. Wielkości niedźwiedzia! Conall nie miał ani tarczy, ani zbroi. Tylko miecz i nóż myśliwski.

Brac kołysał się tam i z powrotem, nie kryjąc podniecenia.

– Wilk podchodził go raz z jednej, raz z drugiej strony. Chciał go zmylić, ale Conall umiejętnie utrzymywał dystans, czekając na okazję. W którymś momencie jednak poślizgnął się na śniegu i upadł na plecy, wypuszczając miecz z ręki. Zanim zdążyłem zareagować, samiec skoczył w powietrze – Brennus ściszył głos. – Rzucił się prosto do gardła.

Brennus przerwał opowieść, a ręka Braca zacisnęła się na wilczym kle.

– Conall jakimś sposobem wyciągnął nóż i zdążył przekrócić go w górę, ściskając

mocno obiema rękoma. Ostrze weszło gładko w pierś wilka i przeszło serce. Myślałeś, że nie żyje!

– Tak mi się wydawało, dopóki nie zobaczyłem, że próbuje zrzucić z siebie ciało wilka – odpowiedział Brennus z uśmiechem. – W życiu nie czułem większej ulgi!

– Ojciec zawsze mówił, że nigdy nie poradziłby sobie bez ciebie. Byłeś jedynym, który mu pomagał.

– To nic – Brennus mruknął, czując się niezręcznie.

– To wiele dla niego znaczyło. I dla mnie.

Brennus szybko odwrócił wzrok.

– Opowiedz mi jeszcze jedną historię – poprosił Brac, próbując rozluźnić atmosferę. Nie udało mu się.

– Nie dzisiaj – Brennus wsadził kij do ognia, uwalniając strumień iskier, które poszybowały w górę, znacząc swoją drogę blaskiem na tle nocnego nieba. – Może innym razem.

Wpatrywał się ponuro w płomienie. Stracił dobry humor. Conall zginął minionego lata i Brennus ciągle jeszcze nie mógł się z tym pogodzić. Podczas jednej z większych potyczek z Rzymianami Brennus został odcięty od głównych sił Allobrogów. Otoczyły go dziesiątki legionistów. Widząc, że jego współplemieńcy wycofują się w stronę drzew, prosił już tylko bogów o szybką śmierć. Jednak Conall, zamiast uciekać jak reszta, poprowadził kilku mężczyzn w samobójczym kontrataku. Uratował bratanka, tracąc przy tym własne życie. Brennus czuł się winny tej śmierci i teraz przypominał sobie tamte wydarzenia, które przepełniły go smutkiem, dlatego Brac nic nie mógł wskórać.

– Odpocznij trochę. Musimy mieć dużo siły, żeby przetransportować to mięso do wioski.

Młodszy wojownik posłusznie zawiąnął się w koc. Czuł się bezpieczne, wiedząc, że ktoś się o niego troszczy.

Brennus nie mógł zasnąć. Rozmyślał o Conallu i wspominał ostatnie słowa Ultana.

Druid był już stary, gdy ojciec Brennusa miał zaledwie kilka lat. Nikt nie potrafił wyjaśnić, jak to możliwe, że Ultan żyje tak długo, ale druid był poważany i szanowany przez wszystkich Allobrogów. Jego błogosławieństwa i prognozy stanowiły integralną część życia plemiennego. Jeśli zachorowało jakieś dziecko lub zwierzę, wzywano Ultana. Nikt nie potrafił lepiej od druida poradzić sobie z wyciągnięciem strzały z rany lub ze zbiciem gorączki. Nawet Caradoc konsultował

z nim ważne decyzje.

Brennus był pod wielkim wrażeniem niesamowitych opowieści Ultana, których słuchał przy ognisku w domu spotkań podczas wielu zimowych wieczorów. Odnosił się do druida z wielkim szacunkiem, a i Ultan miał chyba słabość do chłopaka, który w końcu wyrósł na jednego z najpotężniejszych wojowników Allobrogów.

Zanim wybrał się z Brakiem na polowanie, poprosił Ultana o błogosławieństwo. Sfrustrowany, że druid nie kwapił się z interwencją w jego imieniu u Caradoca, nie chciał zostawać za długo w rozsypującej się chacie Ultana na skraju wioski. Zmówił tylko krótką modlitwę. Gdy już miał wyjść za drzwi, usłyszał frapujące słowa.

– Zawsze gotów do dalekich podróży...

Brennus próbował odczytać coś z twarzy druida, ale w półmroku panującym we wnętrzu chaty nie było to możliwe. U powały na gwoździach, obok wypchanych ptaków i skórek królików, wisiały pęki ziół i jemiola. Brennus zadrżał. Mówiło się, że Ultan potrafi przygotować eliksir, którego nie powstydziliby się nawet bogowie.

– Czy to będzie trudne polowanie?

– Chodzi o coś więcej – wymruczał Ultan. – Czeka cię podróż do miejsc, gdzie nigdy nie dotarł żaden z Allobrogów. I nigdy nie dotrze. Przeznaczenia nie da się uniknąć, Brennusie.

Gal zastygł w bezruchu.

– Mam zginąć w tym lesie?

Brennusowi wydało się, że widzi smutek w oczach starca. Niewiele widział wewnątrz chaty i nie miał żadnej pewności.

– Nie ty. Wielu innych. Ty zaś znajdziesz się na ścieżce wielkich odkryć.

Pomimo ciepła bijącego z ogniska Brennus poczuł przenikliwe zimno i dreszcze biegnące od karku w dół, wzdłuż kręgosłupa. Jak zwykle Ultan zbył Brennusa, który próbował uzyskać więcej wskazówek. Gdy wspinał się po zalesionych wzgórzach, prowadząc Braca na polowanie, był zaniepokojony zdarzeniem w chacie. Postanowił zmówić kilka dodatkowych modlitw, aby przebłagać Belenusa. Łowy poszły dobrze, ale Brennus wiedział, że przewidywania druida rzadko się nie sprawdzają. Czy jego rodzina będzie bezpieczna? A rodzina Braca? Nawet wczesnym latem na szlaku wiodącym przez góry czekają różne niebezpieczeństwa. Śnieg, lód, rwące rzeki i trudne do pokonania leśne ścieżki.

A może Ultan miał na myśli coś zupełnie innego?

Rozejrzał się po spokojnej polanie. Zawsze zachowujące czujność psy smacznie

spali, podrygując lekko przez sen. Pewnie śniło im się, że gonią jelenia. Nic się nie działo. Brennus zamknął oczy, wydając westchnienie ulgi i podciągnął koc, po czym przesunął się bliżej Braca. Spał dobrze, bez snów.

To była ostatnia tak spokojna noc Brennusa.

Gdy młodszy wojownik otworzył oczy, promienie słoneczne wspinały się już po stoku przeciwległej strony doliny, zabarwiając śnieg na ostrych szczytach najpierw na różowo, a potem na pomarańczowo. Brac odrzucił koc i wstał, drżąc z zimna w porannym chłodnym i rześkim powietrzu.

– Wyspałeś się? – stojący przy stojakach z suszonym mięsem Brennus uśmiechnął się od ucha do ucha.

Brac oblał się rumieńcem wstydu, gdy zobaczył, że jego rzeczy zostały już spakowane. Zostało mu tylko zwinięcie koca i wypełnienie bukłaków wodą ze strumienia.

– Jak długo spałem? – wymruczał, pospiesznie zwijając koc.

– Tyle, ile było ci trzeba – Brennus odezwał się życzliwie. – Czujesz się wypoczęty?

– Tak.

– Dobrze! Spróbuj to dźwignąć.

Zataczając się pod obciążeniem swojego plecaka, Brennus wskazał drugi pakunek. Z małą pomocą Bracowi udało się dopasować jakoś wszystkie toboły na plecach. Z zakłopotaniem zauważył, że był mniej obciążony niż kuzyn.

– Pozwól, że wezmę ten cięższy.

– Jestem większy i silniejszy. To wszystko na ten temat. Twój plecak i tak jest ciężki – Brennus poklepał go uspokajająco po ramieniu. – Zresztą radzisz sobie z ciężarem, którego większość by nie uniosła.

Brennus prowadził, używając włócznie używanej podczas polowań, żeby zachować równowagę w trudnym terenie. Brac szedł tuż za nim, prowadząc psy. Dobrze się im szło i po kilku godzinach pokonali ponad połowę drogi do osady, mimo że do południa było jeszcze daleko.

– Czas na odpoczynek – Brennus ostrożnie zdjął z pleców pakunek, umieszczając go pod rozłożystym bukiem.

– Mogę iść dalej.

– Siadaj – Brennus poklepał ręką pokryte mchem miejsce obok siebie, sądząc, że to dobry moment, aby powiedzieć kuzynowi o swoim planie. – Zjemy coś. Zawsze

to mniej do dźwigania.

Roześmiali się.

Siedzieli tuż obok siebie, opierając się plecami o szeroki pień. W ciszy, na którą mogą pozwolić sobie tylko dobrzy przyjaciele, popijali wodę i przeżuwali suszone mięso.

– Czy to dym? – Brac wskazał na południe. Na niebie pojawił się gruby szary pióropusz dymu, unoszący się teraz nad koronami drzew.

Brennus zacisnął palce na włócznie.

– Wstawaj! To z naszej wioski.

– Jak to... – Brac wyglądał na skonsternowanego.

– Zostaw plecak i koc. Weź tylko broń.

Młody wojownik nawet nie próbował oponować. Kilka chwil później obaj pędzili co tchu w kierunku wioski. Psy dotrzymywały im kroku. Brennus biegł tak szybko, jakby sami bogowie dali mu siłę. Wkrótce Brac zaczął odstawać. Młodzieniec był dobrze zbudowany i zdrowy, ale niewielu mężczyzn z plemienia potrafiło dotrzymać kroku Brennusowi w biegu, w walce czy w innej dziedzinie wymagającej siły fizycznej. Starszy Gal zwolnił, gdy zauważył zostającego w tyle kuzyna.

– Co się dzieje? – zapytał Brac. Jego klatka piersiowa falowała potężnie, gdy z wysiłkiem wciągał powietrze.

Brennus był beznadziejnym kłamcą.

– Nie wiem, chłopcze. Może ogień z jakiegoś paleniska wyrwał się spod kontroli.

Spuścił wzrok, powtarzając w głowie słowa Ultana: *Nie ty. Wielu innych.*

– Nie próbuj nic przede mną ukrywać. Jestem mężczyzną. Nie dzieckiem!

Brennus uniósł brwi. Brac nie był tak naiwny, jak sądził.

– W porządku. Wydaje się, że nasi wojownicy zostali pokonani – westchnął ciężko. – Te łotry najwyraźniej nie czekali, aż będziemy gotowi do bitwy.

Brac zbladł.

– A ten dym?

– Przecież wiesz, co się dzieje. Wioska płonie – Brennus zamknął oczy. *Liath. Ich nowo narodzone dziecko. Jak mógł nie być z rodziną w takiej chwili?*

– Na co czekamy? – Brac zebrał się do biegu. Szybko przebierał nogami, pewnie stawiając stopy na wąskiej ścieżce.

Biegli długo. Poczucie winy i gniew dawały im siłę. Milczeli i rzadko przystawali, żeby odpocząć. Gdy znaleźli się blisko osady, Brennus zwolnił



i wreszcie zatrzymał się. Nawet psy wydawały się zadowolone z okazji do odpoczynku. Brac biegł jednak dalej.

– Brac! Stój!

– Dlaczego? Oni mogą nadal walczyć!

– I chcesz stanąć do walki całkowicie wyczerpany? Jaki będzie z ciebie pożytek?

– Brennus oddychał głęboko, próbując uspokoić rozszalałe serce. – Jeśli masz walczyć, dobrze się przygotuj!

Brac cofnął się niechętnie, przystając tuż obok. Chwytał włócznię, sprawdzając jej ostrze.

– Ta włócznia powali dzika – uspokoił go Brennus, szczerząc zęby w groźnym grymasie. – Wystarczy, żeby zabić Rzymianina lub dwóch.

Brac splunął na ziemię na znak, że zgadza się ze starszym kuzynem. Zabrał się za sprawdzenie, czy wszystkie groty strzał dobrze trzymają się promieni. Potem podniósł wzrok.

– Gotowy?

Brennus skinął z dumą głową. To właśnie w takich chwilach wojownik wiedział, kto stanie z nim w jednym szeregu. Jednak po chwili poczuł, jak strach chwyta jego żołądek zimnymi mackami. Martwił się losem swojej rodziny, ale chciał też za wszelką cenę uchronić Braca przed niebezpieczeństwem. Tak jak Conall chronił jego.

Ruszyli w dół zbocza wolnym truchtem, koncentrując się teraz na otoczeniu. Wypatrywali znaków mogących świadczyć o ewentualnej zasadzce. Poruszali się po tylko sobie znanych ścieżkach i wkrótce dotarli na skraj lasu. Od razu zdali sobie sprawę, że coś było nie tak. Lato to dla współplemieńców czas wytężonej pracy, a tymczasem oni nie spotkali do tej pory żadnego myśliwego. Nikt nie zbierał drewna na opał. Żadne dziecko nie bawiło się w cieniu drzew.

Widok, który ukazał się oczom Brennusa, gdy mężczyźni znaleźli się na skraju lasu, będzie go prześladował przez wiele lat. Wioska znajdowała się za pasem ziemi uprawnej, ciągnącej się aż do linii drzew... W niebo były płomienie, które najwyraźniej pożerały wioskę, skrytą za obronną palisadą. Grube spirale dymu unosiły się nad strzechami domów. Powietrze wypełniły okrzyki przerażenia.

Pod drewnianym ostrokołem, który zwykle dobrze służył Allobrogom, ochraniając ich przed wrogami, tłoczyły się tysiące legionistów, odzianych w kolczugi i brązowe tuniki, sięgające ud. Legioniści uzbrojeni byli w krótkie miecze, zakończone ostrymi żeleźcami oszczepy oraz ciężkie prostokątne tarcze z metalowymi okuciami. Ich głowy chroniły zaokrąglone hełmy z brązu

z napolicznymi i nakarczkiem. Brennus znał każdy element wyposażenia rzymskiego żołnierza i szczerze go nienawdził.

Za linią ustawionych w zwartym szyku legionistów stały masywne drewniane *ballistae*, które miały płonące pociski w kierunku wioski. Trębacze z tyłu formacji przekazywali rozkazy oficerów w czerwonych płaszczach za pośrednictwem sygnałów z *bucinae*. Każdy człowiek wiedział, jakie ma zadanie. Każda sekwencja ruchów była wyćwiczona i zaplanowana. Wynik tej bitwy mógł być tylko jeden.

Jakże ten widok różnił się od typowego dla Galów bitewnego chaosu, instynktownego męstwa i lekkomyślności.

Głęboka fosa wokół palisady została już w wielu miejscach zasypana. Przy ścianach stały długie drabiny, przed którymi zbierały się oddziały. Inni legionieści obsługiwali taran przed główną bramą. Tu i ówdzie na palisadzie pojawiały się pojedyncze postaci strzelających z łuków obrońców, ale wydawało się, że właściwie nikt nie przeszkadza Rzymianom.

– Nie stawiają oporu!?

– Nasi wojownicy nie uciekliby – powiedział błady Brac.

Brennus pokręcił głową. Znów poczuł dreszcz i zimno na plecach.

Brak oporu mógł oznaczać tylko jedno: Caradoc i reszta obrońców wioski zostali pobici. Osady broniły tylko kobiety i starsi.

Nie mógł już uratować Liath i dziecka. Brennusowi zrobiło się słabo. Przygryzł wargi, aż poczuł słony smak krwi. Ból pozwolił mu zebrać myśli i trzeźwo ocenić sytuację, gdy zaślepiony wściekłością miał właśnie rzucić się do samobójczego ataku. *Nie ty. Wielu innych.*

Ultan przewidział atak Rzymian, a mimo to pozwolił mu się oddalić na polowanie.

– Ruszamy! – również Brac był gotów opuścić bezpieczne pozycje pod drzewami. Brennus chwycił go jednak mocno za ramię.

– Już za późno – zmarszczył brwi, wpatrując się w niebo. – Wróciliśmy o dzień za wcześnie. Bogowie chcieli, żebyśmy byli w górach, nie tutaj. Ultan mnie ostrzegł.

– Druid? On jest szalony. Nie możemy tak po prostu stać i patrzeć!

– Oni są już martwi.

– Ale co z twoją żoną, Brennusie!

Mężczyzna zacisnął zęby.

– Liath odbierze życie sobie i naszemu dziecku, zanim dotknie ich jakikolwiek

Rzymianin.

Brac spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Tchórz.

Brennus uderzył go mocno w twarz.

– Nas dwóch przeciwko tysiącom Rzymian?

Brac milczał. Po policzkach spływały mu łzy.

Brennus wstał, próbując zebrać myśli.

– Słuchaj... jeśli chcesz żyć...

Brac popatrzył na płonąca wioskę.

– Po co żyć po tym wszystkim? – zapytał beznamiętnym głosem.

Brennus rozumiał cierpienie kuzyna, które malowało się na jego twarzy. Sam czuł się podobnie. W wiosce skazanej na zagładę były też matka i siostry Braca. Wzdrygnął się, próbując nie myśleć o tym, co je czeka. Te kobiety – zaraz po Liath i ich dziecku – były jedyną jego rodziną. Przed oczyma stanął mu obraz Ultana, jego dziwny wyraz twarzy ostatniego dnia przed wyprawą na polowanie. Czy to był smutek? Nie był pewien. Ale teraz już wiedział, że Allobrogów czeka podróż na drugą stronę. Jednak według tego, co mówił druid, to nie była *jego* droga.

Dlaczego Ultan nie chciał rozmawiać z Caradokiem i nie uprzedził nikogo o tym ataku? Mogła być tylko jedna odpowiedź. Przesłanie druida pochodziło od bogów. Musiał w to wierzyć. Inaczej pogrążyłby się w otchłani szaleństwa.

– Wracamy tam, gdzie zostawiliśmy mięso. Weźmiemy tyle, żeby wystarczyło nam na miesiąc. Ruszymy przez góry i dołączymy do Helwetów. To silne plemię, nieprzyjazne Rzymianom.

– Ale nasi ludzie... – zaczął cicho Brac...

– Allobrogowie są skończeni! – stwierdził ostro Brennus. Nigdy nie sądził, że kiedyś do tego dojdzie. – Ultan powiedział mi, że mam się przygotować na długą podróż, jakiej nikt wcześniej nie był sobie w stanie wyobrazić – Brennus miał tylko kilka chwil na przekonanie Braca, obawiał się, żeby ktoś ich nie wypatrzył. – Musiało mu chodzić właśnie o to.

Brac zaczął wycierać oczy, przełknął ślinę i ostatni raz spojrział na wioskę. Na ich oczach dach domu spotkań zawalił się, a z miejsca, gdzie znajdował się budynek, wyrzucił wielki snop iskier i płomieni. Legioniści zgromadzeni za murami przywitali to chórem okrzyków.

Zbliżał się koniec.

Brac skinął głową, gotowy jeszcze raz zaufać swojemu kuzynowi.

Brennus objął go ramieniem.

– Chodźmy. Allobrogowie będą żyć w naszej pamięci.

Ruszyli. Psy też poderwały się ze swoich miejsc. Jednak przeszli zaledwie kilka kroków, gdy Brac nagle się zatrzymał.

– O co chodzi? – syknął Brennus. – Nie mamy czasu do stracenia.

Brac spojrział na niego ze zdumieniem na twarzy. Z jego ust wyciekała cienka strużka krwi. Gał runął na ziemię, lądując na kolana. Z jego pleców wystawało drzewce rzymskiego oszczepu.

– Nie!!!

Brennus rzucił się ku rannemu kuzynowi, przeklinając się za to, że nie dostrzegł legionistów, którym jakimś sposobem udało się zbliżyć niepostrzeżenie na odległość celnego rzutu. Było ich co najmniej dwudziestu. O wiele za dużo, aby mógł liczyć, że zabije wszystkich.

Brennus poczuł przepełniający go wielki smutek. Już nigdzie nie będzie uciekał.

– Przepraszam – wyszeptał Brac z wysiłkiem.

– Za co? – Brennus przełamał drzewce oszczepu wystające z pleców Braca, po czym ułożył chłopaka ostrożnie na boku.

– Za to, że nie umiałem biec tak szybko, jak ty. Że nie słuchałem... – twarz chłopca robiła się coraz bardziej popielata. To były jego ostatnie chwile.

– Nie ma za co przepraszać, mój dzielny kuzynie – powiedział łagodnie Brennus, ściskając dłoń Braca. – Odpocznij chwilę. Ja muszę zabić kilka rzymskich psów.

Brac skinął głową na znak, że rozumie.

Brennus poczuł w gardle rosnącą gulę żalu, ale gniew był silniejszy, natychmiast wypełniając jego żyły adrenaliną. Gał ucisnął rękę Braca na pożegnanie. Wstał.

Druid nie miał racji. On też dziś umrze. Nie miał już po co żyć.

W powietrzu rozległ się świst kilku kolejnych oszczepów, które nie trafiły celu, wbijając się w korę drzewa z głuchym trzaskiem. Jeden z psów zwałił się na ziemię, skowycząc z bólu. Z jego brzucha wystawał długi metalowy pręt. Drugi pies, niepewny, co powinien zrobić, stanął w miejscu z podkulonym ogonem.

Kilku legionistów znajdowało się już w odległości nie większej niż dwadzieścia kroków, pędząc ku niemu najszybciej, jak potrafili.

– Skurwysyny! – Brennus wyciągnął pierwszą strzałę z kołczana, szybko naciągając cięciwę do oporu. Wypuścił pocisk, prawie nie patrząc na najbliższego

żołnierza. Wiedział, że znajdzie swój cel w gardle wroga. Trzy kolejne strzały również okazały się śmiertelne. Jednak kolejni legioniści znaleźli się już tak blisko, że musiał odrzucić łuk i chwycić za włócznię. Wrogowie otoczyli go, unosząc wysoko zakrzywione tarcze, z mieczami gotowymi do walki. Brennus pozwolił, żeby wściekłość dodała mu sił. Wyrzucił z głowy wszystkie myśli o dalekiej podróży.

To przez niego zginęły jego żona i dziecko. Samotnie. To przez niego z życiem pożegnał się też Brac. Zawiódł ich wszystkich. A teraz chciał tylko zabijać!

– *Bastardi!* – od kupców, którzy odwiedzali osadę Allobrogów każdego roku, Brennus nauczył się kilku przekleństw w języku Rzymian. – No, dalej! Kto następny? – Nie czekając na odpowiedź, rzucił włócznią z potężną siłą. Ciężki pocisk bez problemu przebił tarczę, a potem wtoczył ogniwa kolczugi głęboko w klatkę piersiową nieszczęsnego legionisty. Mężczyzna upadł, nie zdążył nawet wydać dźwięku, bo krew chlusnęła z jego ust. Brennus pochylił się szybko i unióś broń Braca, uśmiercając w ten sam sposób kolejnego Rzymianina.

– Teraz masz tylko sztylet, galijska szumowino!

Ubrany w czerwony płaszcz oficer dowodzący legionistami machnął ręką ze złością.

– Brać go!

Jego ludzie unieśli *scuta* wywiczonym, zgrany ruchem. Zwarli szereg i przestępowali nad ciałami martwych towarzyszy.

Brennus wydał z siebie potężny ryk wściekłości. Runął na wrogów z wielkim impetem. Całe jego plemię zostało właśnie unicestwione w jednym krótkim, strasliwym starciu. I on miał umrzeć. Chciał umrzeć. Chciał zagłuszyć swój ból.

Legionista znajdujący się najbliżej stracił równowagę, a Brennus wytrącił mu z rąk tarczę, którą natychmiast obrócił. Wykonał szeroki łuk, przewracając kilku wrogów. W tym zamieszaniu Gal skoczył do legionisty, który nieostrożnie pozwolił sobie wyrwać tarczę. Unióś *scutum* i natychmiast uderzył nią pod kątem w dół, ucinając głowę legionisty metalowym okuciem. Z bezgłowego tułowia trysnęła krew, która ochlapała mu łydki, gdy schylał się po gladius leżący na ziemi. Jego właściciel już nie będzie go potrzebował. Oceniając wyważenie miecza, zamachnął się nim na próbę. Żałował, że nie ma w ręce długiego miecza celtyckiego.

Uzbrojony teraz Gal wydał się legionistom zdecydowanie groźniejszy. Trzynastu pozostałych Rzymian ociągało się. Trzymali się na dystans i nie chcieli iść na pewną śmierć.

– Schwytajcie go, głupcy! – krzyknął zirytowany oficer. Zdobiający jego hełm

pióropusz z końskiego włosa podrygiwał i falował na wietrze. – Sześciomiesięczny żołąd dla tego, kto weźmie go żywcem!

Zachęceni perspektywą nagrody legionieści ruszyli do przodu, tworząc szczelny krąg tarcz. Brennus zdołał zabić jeszcze trzech z nich, zanim pozostali go unieruchomili, w końcu poczuł uderzenie rękojeścią miecza z tyłu głowy. Potknął się i przewrócił, śmiertelnie przesywając jeszcze pachwinę kolejnego wroga.

Po chwili na jego ciało spadł grad ciosów.

Brennus znalazł się na ziemi na wpół świadomy od setki niewielkich ran.

– Podziękujcie Jowiszowi, że większość Galów nie przypomina tego tura! – oficer uśmiechnął się pogardliwie. – Nigdy byście ich nie pokonali! Jak baby!

Legionieści najwyraźniej zawstydzili się, ale żaden nie ośmielił się odpowiedzieć. Ich dowódca nie przebiegał w karach, a nie lubił żołnierzy o niewyparzonych gębach.

Obolały i zdezorientowany Brennus walczył rozpaczliwie, próbując się oswobodzić. Chciał wstać, ale siły go opuściły. Słyszał jeszcze głos centuriona, który dotarł do niego stłumiony, bo wszystko zamazywało mu się już w czerwonej mgle.

– Zwiążcie mu ręce i nogi. Zanieście do lekarza.

Jeden z legionistów ośmielił się odezwać. Gniew dodał mu odwagi.

– Pozwól nam zabić tego łotra, panie. Uśmiercił jedenastu naszych towarzyszy.

– Głupcze! Gubernator Pomptinus chce, żebyśmy przyprowadzili mu jak najwięcej niewolników. Za tego dostaniemy dużo złota, bo można go będzie sprzedać do szkoły gladiatorów w Rzymie. Jest więcej wart niż ty, nieszczęsny niedorajdo.

Brennus zamknął oczy, pozwalając, aby zawładnęła nim ciemność.

## *Romulus i Fabiola*



PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ...

Rzym, wiosna 56 r. p.n.e.

**P**rzeklęty bachorze. Do mnie! Pędem! Albo znajdę ci skrytkę, w której schowasz się na zawsze!

Gemellus przerwał swoją tyradę. Niski, gruby kupiec, z wiecznie czerwoną twarzą, często miewał straszne ataki wściekłości. Stał właśnie na środku dużego, nasłonecznionego dziedzińca swojego domu, pocąc się mocno, rozglądał się we wszystkich kierunkach. Zauważył jakiś ruch w pobliżu rzeźby między krzakami i drzewami. Zaskakująco szybko znalazł się na miejscu i sięgnął upierścienioną grubą ręką za postument uśmiechającego się satyra.

Jednak zamiast Romulusa Gemellus wyciągnął z cienia trzynastoletnią dziewczynę w poszarpanej tunice. Choć była brudna, a jej ubranie niewiele różniło

się od szmat, nie dało się nie zauważyć niezwyklej urody dziewczyny. Długie kruczoczarne włosy opadały miękko na kark i plecy, dopełniając obrazu kobiecego piękna, które przyciąga uwagę każdego mężczyzny. Dziewczyna pisnęła z bólu, ale Gemellus trzymał ją mocno za ucho.

– Gdzie jest twój brat, mała lisico? – kupiec rozejrzał się, spodziewając się zobaczyć gdzieś w pobliżu Romulusa. Bliźniaki zazwyczaj były nierozłączne.

– Nie wiem, panie! – Fabiola ze wszystkich sił próbowała wyrwać się z uścisku.

– Kłamiesz!

– Powinien być w kuchni!

– Tak samo jak ty. Ale w kuchni go nie ma! – odpowiedział kupiec triumfalnie. –

Więc gdzie jest?

Tym razem dziewczyna nic nie odpowiedziała. Gemellus uderzył ją w twarz.

– Znajdź go albo każę was wychłostać.

Nie płakała. Bez względu na to, co robił Gemellus, zawsze patrzyła na niego wyzywająco.

Rozwścieczony kupiec zamachnął się ciężką ręką, ale w tej samej chwili stracił równowagę i zachwiał się lekko.

Dziewczyna odskoczyła od niego jednym dzikim susem i czym prędzej rzuciła w kierunku otwartych drzwi, prowadzących do pomieszczenia jednego z boków dziedzińca.

– Powiedz temu bezużytecznemu huncwotowi, żeby się pospieszył! – głos kupca odbił się echem w całym domu. Rozzłoszczony mężczyzna usiadł ciężko na skraju rzeźbionej marmurowej fontanny, usytuowanej w cieniu tuż przy murze otoczonego kolumnadą ogrodu. Jedną ze ścian zbiornika udekorowano piękną mozaiką. Skomplikowane wzory miały być widoczne przede wszystkim dla gości odwiedzających jego *domus*, gdy spojrzą na *atrium* przez otwarte drzwi *tablinum*.

Mężczyzna zanurzył kilka palców w wodzie, po czym zwilżył mokre czoło. Fontanny i kanalizacja to były luksusy, na które w Rzymie mogli pozwolić sobie tylko ludzie bogaci. Gemellus zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie go stać na taką rozrzutność, zanim przyjdzie mu zmienić styl życia. Kupiec nie miał ochoty wracać do swoich korzeni w ubogich *insulae*.

Zegar słoneczny znajdujący się na środku dziedzińca wskazywał, że nadeszła prawie *hora quarta*. Do południa brakowało jeszcze dwóch godzin, ale temperatura wzrosła już tak bardzo, że powietrze było gorące jak w Hadesie. Gemellus zaklął



głośno, ocierając twarz brudną tuniką. Życie było wystarczająco ciężkie bez konieczności uganiania się za bękartami Welwinny, pałętających się po rezydencji. Niepewna przyszłość polityczna Republiki oraz zalew towarów importowanych z zagranicy zmienił sytuację ekonomiczną rodzimej gospodarki z kiepskiej na jeszcze gorszą. Osłabiony i bez prawdziwego lidera, toczony korupcją senat skapitulował trzy lata temu, pozwalając Krassusowi, Pompejuszowi i Cezarowi stworzyć triumwirat. W konsekwencji prawie cała władza w Republice znalazła się w rękach zaledwie trzech mężczyzn, a mimo to trudno było mówić o jakiegokolwiek równowadze i stabilności.

Machinacje polityczne ambitnego, ale skompromitowanego w oczach nobili arystokraty o imieniu Publiusz Klodiusz Pulcher również nie pomagały w ustanowieniu porządku w mieście. Odrzucony przez senat, teraz zaczął umiejętnie zdobywać coraz większe poparcie przedstawicieli najniższych klas społecznych. Klodiusz pragnął władzy i był gotów zrobić wszystko, aby swój cel zrealizować. Wkrótce zdobył wielką popularność w slumsach, wśród ludzi ubogich, którym obiecywał gruszki na wierzbie. Przebiegła taktyka Klodiusza doprowadziła nawet do tego, że zaczął odżegnywać się od swoich patrycjuszowskich korzeni, podając się za plebejusza tylko po to, aby zdobyć stanowisko trybuna ludowego.

Dostrzegając w Klodiuszu potencjalnie potężnego sojusznika, konsul Juliusz Cezar zgodził się na uwzględnienie jego wniosku o przyznanie mu statusu plebejusza, człowieka z ludu. Szybko wybrany na trybuna zdolny polityk zaczął swoją karierę od zreformowania *collegia*, zmieniając nieco ich rolę. Dawniej pełniły one funkcję gildii rzemieślniczych, zajmując zwykle kluczowe lokalizacje na każdym skrzyżowaniu dróg w stolicy. Oczywiście opłacani przez niego ludzie tworzący te nowe kolegia byli mu całkowicie oddani. Po kilku tygodniach ulice należały już do nowego trybuna ludowego, a Klodiusz nabrał takiej pewności siebie, że zwrócił się nawet przeciwko Cezarowi, swojemu niegdysiejszemu mentorowi i opiekunowi.

Tymczasem Cezar miał na głowie o wiele większe zmartwienia niż polityka tłumów plebejuszy. W uznaniu jego dokonań powierzono mu urząd konsula w trzech prowincjach Republiki. Szybko opuścił Rzym i udał się do krainy obiecującej największe zyski, zdeterminowany, aby dać się poznać jako wielki dowódca armii. Wyruszył do Galii.

Klodiusz utrzymywał dobre kontakty z Krassusem, zdając sobie sprawę z wielkich wpływów politycznych tego człowieka. Nie bał się jednak nikogo innego.

Jego następnym celem stał się Pompejusz. Wkrótce tego wpływowego człowieka zaczęto oskarżać publicznie na samym Forum Romanum o nieczne występki i często zdarzało się nawet, że tłum nie pozwalał mu w spokoju opuścić domu. Pompejusz nie zamierzał jednak pozostać bierny i przekonał do siebie Tytusa Milona, innego trybuna, który szybko zatrudnił rzezimieszków, a nawet opłacał co poniektórych gladiatorów, tworząc nieformalne grupy zbrojne, które mogły skutecznie przeciwstawić się bojówkom Klodiusza.

Od ponad roku na ulicach Rzymu toczyły się walki band hojnie opłacanych zwolenników dwóch wrogich sobie trybunów, a takie niepokoje wyjątkowo nie sprzyjały handlowi. Gemellus musiał regularnie przekupywać obie strony konfliktu, aby mieć pewność, że jego transporty docierały do Rzymu i bezpiecznie opuszczały miasto. Zyski kupca spadały na łeb, na szyję, a po kilkudziesięciu latach względnego powodzenia w interesach przyszedł czas na porażki, gdy inwestycja w dobra importowane z Egiptu zakończyła się katastrofą. Dosłownie. Potężne sztormy posłały na dno dwanaście statków Gemellusa, które przewoziły cenną kość słoniową, skorupy żółwi i papirus. Te straty zrobiły ogromną wyrwę w finansach kupca, a wszystko, czego się tknął od tamtego czasu, szybko obracało się w niwecz. Zaczął nawet wierzyć w przesąd, że zamieszkanie na Awentynie przynosi pecha.

Zbyt długo już chyba zwlekał z pozbyciem się Fabioli i Romulusa. Gdyby jednak sprzedał bliźniaki za kilka lat, zapewne uzyskałby lepszą sumę, Gemellus niestety pilnie potrzebował kilku tysięcy sesterców. Odsetki od długów zaczynały go przytłaczać i przerażać. Wzdrygnął się na myśl o tym, co gotowi są zrobić greccy lichwiarze i nasłane przez nich osiłki, gdyby się spóźnił z jakąś tygodniową płatnością. Na razie sama wielkość zaciągniętej przez niego pożyczki sprawiała, że nikt nie próbował zrobić mu krzywdy. Żaden z jego kredytodawców nie odzyskałby ani asa, gdyby któregoś dnia jego ciało znaleziono w Tybrze.

Gemellus znów wrócił myślami do Fabioli. Od dłuższego czasu miał na nią przemożną ochotę. Potrafił się jednak opanować, bo wiedział, że za dziewicę dostanie znacznie lepszą cenę. Zamiast około tysiąca dwustu lub tysiąca pięciuset sesterców, jak za zwykłego niewolnika, dostanie co najmniej trzy razy tyle, sprzedając Fabiolę do jednego z miejskich domów publicznych. Romulusa będzie musiał sprzedać taniej, ale trener gladiatorów i tak zapłaci za niego więcej, niżli dostałby na targu niewolników.

Rozmyślenia Gemellusa przerwał, ubrany tylko w brudną przepaskę biodrową, Romulus, który pojawił się w ogrodzie. Nie dało się ukryć, że ta dwójka jest

związana więzami krwi, choć oczywiście chłopiec był lepiej zbudowany, a czarne włosy na jego głowie zostały krótko przystrzyżone. Najbardziej rzucał się w oczy jego orli nos. Podobnie jak u Fabioli, także i w niebieskich oczach Romulusa kryły się upór i zawziętość.

– Panie? – odezwał się Romulus, myśląc tylko o tym, żeby – gdy będzie już wystarczająco silny – złapać kupca za ucho i wytarosić tak samo, jak Gemellus uczynił z jego siostrą. Bliźnięta były wyjątkowo lojalne wobec siebie.

Gemellus był zaskoczony. Nie spodziewał się, że młody niewolnik pojawi się tak szybko. Mimo częstego bicia bliźniaki zwykle ignorowały jego polecenia. Szybko musiał zakuć tę dwójkę w kajdany, aby pomysł ucieczki nie zagościł na stałe w ich umysłach.

– Podejź tu – warknął Gemellus, przyglądając się wzrostowi i mocnym opalonym mięśniom na nogach i rękach chłopaka. Romulus był dość wysoki jak na trzynaście i pół roku. Memor, szpakowaty *lanista* z największej szkoły gladiatorów w Rzymie, na pewno zapłaci za niego co najmniej dwa tysiące *sestertii*. A może i jego sprzedać do Lupanaru, burdelu dla arystokracji, gdzie zamierzał oddać Fabiolę? Wszyscy wiedzieli, że klientela tego przybytku ma bardzo różne upodobania.

Kupiec chwycił Romulusa za ramię.

– Potrzebuję kogoś, kto dostarczy mój list do Krassusa.

– Tego wielkiego generała?

– Właśnie tak.

Chłopak szeroko otworzył oczy.

– Czy wiesz, gdzie on mieszka?

Jak większość niewolników Romulus rzadko miał okazję wychodzić z domu sam, żeby nie być narażonym na pokusę ucieczki. Jednak bywał w mieście na tyle często, że znał jego podstawowy układ i wiedział, gdzie znajdują się domy najbardziej wpływowych mieszkańców. Pokiwał głową z zapałem.

Życie niewolnika w rzymskiej willi za grubymi, wysokimi murami nie było łatwe. Jako że Romulus pracował, od kiedy tylko skończył siedem lat, stał się ekspertem od mycia kuchennej podłogi, rąbania drewna do pieców, odblokowywania kanalizacji i innych tego typu męskich zadań, które zazwyczaj wykonują niewolnicy. Jednak przez większość czasu po prostu potwornie się nudził. Prawie wszystkie jego obowiązki można było wykonać w ciągu kilku godzin. Misja, z którą miałby udać się do *domus* jednego z najwybitniejszych ludzi w Rzymie, wydała mu się niesamowicie atrakcyjną odmianą, jakże różną od codziennej rutyny.

Gemellus sięgnął za tunikę i wyjął złożony pergamin opatrzony woskową pieczęcią. Zamarł, bo nagle przeszło mu przez myśl, że jego największy wierzyciel odmówi prośbie, którą opisał w dokumencie.

– Upewnij się, że nikt cię nie śledzi – Bandziory opłacane przez Greków obserwowały każdego dorosłego niewolnika, który opuszczał jego dom, a wierzyciele nie powinni wiedzieć, że kupiec jest też winien pieniądze innym. – Rozumiesz?

– Tak, panie.

– Zaczekaj na odpowiedź – Gemellus kazał mu odejść. – I wracaj szybko!

Romulus popędził przez *tablinum*, ślizgając się na chłodnych płytkach mozaiki. Zatrzymał się tylko na chwilkę, żeby wyszeptać nowinę Fabioli, która pojawiła się w pobliżu i zajrzała do ogrodu.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, gdy Romulus zerwał się do dalszego biegu, zadowolona z tego, że widzi brata tak podekscytowanego.

Pędząc przez pomieszczenie, w którym witano gości willi, chłopak niemal przewrócił Kwintusa, starszego niewolnika, zajętego czyszczeniem prostokątnego basenu w centrum nasłonecznionego atrium, gdzie zbierała się deszczówka.

– Przepraszam!

Kwintus odpowiedział szczerym uśmiechem. Zdając sobie sprawę z okrucieństwa Gemellusa, Romulus często pomagał Kwintusowi, jeśli tylko pozwalały mu na to jego obowiązki. Kopalnie soli z otwartymi ramionami przyjmowały każdego niewolnika, który nie sprawdzał się w domu swojego pana.

Szybko odzyskując równowagę, Romulus popędził dalej w kierunku ciężkich drewnianych drzwi, które odgradzały willę Gemellusa od świata zewnętrznego.

Potęźnie zbudowany odźwierny o imieniu Juba wstał, gdy zobaczył zbliżającego się Romulusa. Miał na sobie tylko przepaskę. Jego muskularne ciało pokrywała siatka starych blizn. Łysa głowa lśniła od tłuszczu, który Nubijczyk wsmarowywał w nią codziennie. Gemellusowi od razu spodobała się jego muskulatura i to, że Nubijczyk dobrze posługiwał się bronią. Kupił go pięć lat temu. Uznał, że tak dobrze zbudowany mężczyzna pilnujący drzwi będzie gwarancją, że nikt nieproszony nie ośmieli się do nich dobijać, a na dodatek pomoże mu w ujarzmianiu innych niewolników.

Nubijczyk uniósł brew.

Romulus rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nikt go nie podsłuchuje.

– Pan dał mi list – nadął oba policzki i zbliżył się do Juby, parodiując Gemellusa. – Dla Krassusa, słynnego generała.

Juba roześmiał się szeroko, odsłaniając kikut języka. Gemellus kazał go wyciąć zaraz po zakupie niewolnika, żeby Nubijczyk zawsze musiał konsultować się z panem lub zarządcą niewolników, gdy ktoś chciał wejść do domu. W ten sposób zmniejszało się prawdopodobieństwo, że jacyś złodzieje dostaną się podstępem na teren willi.

Romulus pamiętał swoje zdumienie, gdy Juba pojawił się po raz pierwszy w domu Gemellusa, wciąż jeszcze krwawiąc z ust. Był pierwszym czarnoskórym człowiekiem, którego widział. To okaleczenie, kiepskie jedzenie i częste kary sprawiały, że Nubijczyk nienawidził kupca równie mocno jak Romulus.

Niedługo po przybyciu do domu kupca Juba podarował Romulusowi własnoręcznie wykonany drewniany miecz, który stał się dla ośmioletniego chłopaka pierwszą zabawką. W podziękowaniu Romulus wykradł z kuchni bochenek chleba i dał go Jubie. Dzięki nocnym wyprawom Romulusa do kuchni dieta olbrzyma nieco się poprawiła. I to był początek wielkiej przyjaźni. Wcześniej jedynym sprzymierzeńcem Romulusa w domu kupca była Fabiola. Mimo że łączyła go z siostrą wielka zażyłość, chłopak nieświadomie Ignął do Nubijczyka, ponieważ potrzebował męskiego towarzystwa, twardego i szorstkiego. Przebywali ze sobą coraz częściej. A Nubijczyk, ciesząc się obecnością chłopca, gotów był dzielić się z nim miejscem w swojej prostej izbie, na nic się nie skarżąc. Welwinna wiedziała, jak ważny dla chłopca jest taki kontakt, i starała się im nie przeszkadzać. Romulus nie miał nigdy cieszyć się obecnością ojca. Miał go nigdy nie poznać.

A jeśli – to chyba tylko, żeby się zemścić.

Welwinna od zawsze planowała powiedzieć dzieciom o tym, że została zgwałcona. Czekala jednak, bo chciała zrobić to dopiero wtedy, gdy dorosną. Dzięki zwiększającej się popularności gwałciciela jego podobizny pojawiały się teraz często w świątyniach i sanktuariach. Welwinna widziała je i zdawała sobie sprawę, kto jest ojcem bliźniaków. Pragnęła im wszystko opowiedzieć, zwłaszcza Romulusowi. Mimo że minęło trzynaście lat, wciąż tlił się w niej ogień zemsty. Jednak wiedziała też, że bliźniaki zasługują na możliwie beztróskie dzieciństwo – zanim zostanie im ono odebrane przez Gemellusa, który miał wobec nich swoje plany. Gdy widziała, jak kupiec w zamyśleniu taksuje jej dzieci, modliła się jeszcze żarliwiej.

Tymczasem uśmiechnięty Romulus w ogóle nie zdawał sobie sprawy z rozterek

matki. Brama wejściowa rzadko pozostawała otwarta, chyba że akurat mieli przybyć jacyś ważni goście lub Gemellus wydawał ucztę. Mieszkańcy willi wchodzili i wychodzili przez drzwiczki znajdujące się w jej jednym skrzydle.

Juba wyciągnął żelazny bolec przy drzwiach, uśmiechnął się i pogroził surowo palcem chłopakowi.

– Tak! Będę ostrożny! – Romulus wymownie wskazał na zakrzywione ostrze miecza zawieszzonego na szerokim skórzanym pasku Nubijczyka. – Możemy później poćwiczyć?

Juba zrobił kilka gestów, udając cięcia i pchnięcia mieczem.

Uśmiechając się szeroko, Romulus dał nura przez bramę. Uderzył go zgiełk i fala gorąca, a ulica zaatakowała zmysły wszystkimi zapachami. Jak zawsze w ciepłe dni wonią dominującą na rzymskich ulicach był smród ludzkich odchodów, fermentujących na przyzmach w małych, ciemnych zaułkach.

Romulus zmarszczył nos z obrzydzenia.

Wąska nieutwardzona uliczka była zatłoczona. Dzień pracy w Rzymie zaczynał się o wschodzie słońca, zwłaszcza latem, gdy wysokie temperatury stawały się niezwykle uciążliwe. Mężczyźni i kobiety na ulicy potracali się i przepychali, zajęci swoimi sprawami. To była mieszanina ludzi najróżniejszych narodowości. Mieszkańców Italii, Greków, Hiszpanów, Nubijczyków, Egipcjan, Galów, ludzi z Judei, a od czasu do czasu zdarzył się nawet jakiś Got. Większość z nich była zwykłymi obywatelami lub przedsiębiorcami, usiłującymi zarobić na życie w mieście zaprojektowanym i rządzonej przez klasy wyższe.

Wielu przybywało do stolicy w nadziei zdobycia sławy i fortuny.

Niewielu się udawało.

Jednak ich życie i tak było lepsze niż życie tych, którzy przybyli do Rzymu jako niewolnicy w jednym celu – służyć panom niczym małe trybiki w ogromnej maszynie, jaką stała się Republika. Tylko bogaci nobile, których dziedzictwo sięgało pięćset lat wstecz, naprawdę mieli możliwość cieszenia się splendorem metropolii i korzystania z możliwości, jakie dawało życie w stolicy imperium.

O ścianę naprzeciwko wejścia opierało się dwóch dobrze umięśnionych mężczyzn. Uwagę zwracały nie tylko ich sylwetki, ale i całkowity bezruch. Wpatrywali się w drzwi willi Gemellusa niczym jastrzębie wypatrujące ofiary. Grube skórzane opaski na ramionach, na pasach miecze, pocięte bliznami ramiona oznaczały tylko jedno. Kłopoty.

Juba dostrzegł ich już wcześniej, gdy spoglądał na ulicę przez otwór w drzwiach.

Po opuszczeniu przez Romulusa willi jeden z tych podejrzanych osiłków ruszył za nim, próbując ukryć się w tłumie. Chłopak przyspieszył kroku, uśmiechając się do siebie. Wiedział, że nie będzie miał problemów ze zgubieniem prześladowcy. Choć nienawidził Gemellusa, czuł dziwną lojalność. Teraz liczyło się przede wszystkim dostarczenie wiadomości.

Romulus skręcił szybko za róg i niemal dał się stratować parze wołów, ciągnących wóz załadowany ceramiką.

– Patrz, gdzie idziesz, mały!

Poganiacz machnął kijem ze złością, próbując opanować zaskoczone zwierzęta. Głośne trzaski dochodzące z wozu oznaczały, że nie cały transport wyszedł z tego spotkania bez szwanku.

Przez chwilę Romulus czuł się winny. Nie zamierzał jednak czekać na rozwój wypadków i szybko zniknął w tłumie. Za plecami słyszał wściekłe okrzyki, ale ani woźnica, ani bandyta nie mieli najmniejszych szans, żeby go złapać. W ciągu dnia zatłoczone ulice sprawiały, że ludzie poruszali się w zaiste ślimaczym tempie. Tylko utwardzona Via Sacra, prowadząca ze wzgórza Velia do Forum Romanum, była na tyle szeroka, że bez problemu mogły się na niej wyminąć dwa wozy. Szerokość innych ulic zazwyczaj nie przekraczała dziesięciu stóp. Światło słoneczne nie zawsze zaglądało we wszystkie zakamarki takich wąskich uliczek, tworzących mroczny labirynt.

Romulus pochylił się nisko, korzystając z osłony przechodniów. Był mistrzem w przemykaniu się. Dzięki jego wciąż dziecięcej posturze potrafił poruszać się w gęstej cizbie, nie zwracając na siebie uwagi. Zgubił się swoim prześladowcom już po kilkudziesięciu krokach.

*Domus* Gemellusa znajdował się na Awentynie, dzielnicy na południe od centrum miasta, zajmowanej głównie przez plebejuszy. Kupiec nigdy nie zdecydował się zupełnie odciąć od swoich korzeni, nawet jeśli stać go było na przeniesienie się bliżej Forum Romanum. W tej dzielnicy, podobnie jak na większości terytorium Rzymu, domy bogatych i biednych obywateli stały przytulone jeden do drugiego. Potężne gmachy z zabytkowymi bramami, zbudowane na fundamencie z kamiennych ścian, wznosiły się tu obok pięciopiętrowych *insulae*, w których znajdowały się małe mieszkania, zajmowane przez większość biedniejszych mieszkańców stolicy.

Alejki łączące większe, utwardzone ulice nie zmieniały się przez wieki – pokryte mieszaniną błota i ludzkich odchodów. Tak daleko od głównych arterii prowadzących do centrum codzienne życie mieszkańców często koncentrowało się

wokół publicznych fontann i łaźni. Bogatsi członkowie społeczeństwa, mieszkający przy szerszych ulicach, mogli liczyć na luksusy, jakimi były bieżąca woda i kanalizacja. Oczywiście w domu Gemellusa zadbane o jedno i drugie.

List ściskany przez Romulusa w dłoni zaczął go parzyć. Co tam mogło być napisane? Dlaczego przed domem czekali na niego uzbrojeni ludzie, pilnujący willi w dzień i w nocy? Przez głowę chłopaka przemknęła myśl, aby zapoznać się z jego treścią. Tylko jak? Chociaż Romulus chciał nauczyć się czytać i pisać, był analfabetą – zresztą jak wszyscy niewolnicy Gemellusa, poza Serwiliuszem, pilnującym ksiąg kupca. Gemellus nie zwykł wydawać pieniędzy, chyba że te miały mu przynieść jakiś zysk. Romulus westchnął. Pomyślał, że może dowie się czegoś, gdy dotrze do domu Krassusa.

Próba zgubienia ogona sprawiła, że musiał nieco nadłożyć drogi. Szedł teraz Via Ostiensis, która biegła pomiędzy Palatynem a wzgórzami Celius, łącząc się z Via Sacra. Gdyby szedł dalej w tym kierunku, zmarnowałaby za dużo czasu, dlatego przy najbliższym skrzyżowaniu Romulus zdecydował się na skróty, wzdłuż Clivus Publicius. Ściany murów serwiańskich to pojawiały się, to znikwały z pola widzenia, w miarę jak droga wznosiła się lub opadała. Kamienne ściany tej potężnej osłony chroniły niegdyś rozległe przedmieścia, ale w miarę jak populacja *vici* rosła nieubłaganie, mur przestał wyznaczać granice miasta. Obecnie budowano wiele domów poza murami – często daleko, aż po Pola Marsowe, równinę rozpościerającą się na północnym zachodzie, i tereny na północ od Kwirynału. Republika niepodzielnie panowała nad całym półwyspem od ponad stu lat i niewielu było takich, którzy zastanawiali się nad możliwością wrogiego najazdu.

Na każdym skrzyżowaniu można było spotkać przedstawiciela *collegia*, które nie zrzeszały już tylko kupców, handlarzy i rzemieślników, ale stanowiły oparcie dla band Klodiusza, uzbrojonych i niebezpiecznych. Romulus wolał nie zwracać na siebie uwagi, w związku z czym pochylił głowę i spuścił wzrok, wpatrując się tylko w błotne koleiny pod swoimi sandałami. Kilka chwil później dostrzegł zmierzający z naprzeciwka kondukt żałobny, który poprzedzał specjalnie wynajęty *praeco*, czyli miejski krzykacz

– Obywatel miasta Markus Skaurus na zawsze zastygł w ramionach śmierci – zaintonował poważnie oficjel. – Wszystkich zainteresowanych zapraszamy na uroczystości pogrzebowe. Nieboszyk został zabrany z domu i spocznie w rodzinnym grobowcu przy Via Appia!

Romulus obserwował muzyków w pierwszym szeregu orszaku. Wydobywali ze



swoich instrumentów uroczyste tony, które miały pomóc w zachowaniu równego tempa marszu wszystkich żałobników. Umyte ciało nieboszczyka ubrano w dziewiczo białą togę i umieszczono na marach, niesionych przez sześciu mężczyzn, których wzajemne podobieństwo rzucało się w oczy. Niewolnicy trzymali w rękach płonące pochodnie. Ten zwyczaj przyjął się w Rzymie od czasu, gdy procesje z żałobnikami organizowano w nocy. Za marami z ciałem szła powoli, płacząc, atrakcyjna, około czterdziestoletnia kobieta. Była dobrze ubrana, a jej twarz pobielono pastą ołowianą. Za nią sunęli w ciszy pozostali członkowie rodziny i przyjaciele zmarłego, ubrani w szare togi i tuniki, w Rzymie symbol żałoby.

Romulus ruszył dalej. Nie miał zbyt wiele okazji, aby rozmyślać o śmierci. Wiedział, że choć nie ma grobowca rodzinnego przy Via Appia, nie chciałby, żeby jego ciało trafiło kiedyś do śmierdzącego dołu na wschodnich zboczach Eskwilinu, gdzie grzebano niewolników, nędzarzy i przestępców, gdyż trafiały tam też szczątki zwierząt i nadmiar odpadów z miasta. Odkąd Romulus zdał sobie sprawę ze swojego niskiego statusu, marzył, aby wyzwolić nie tylko siebie, ale i swoją rodzinę. Gemellus nie zawsze będzie ich panem. Na razie jednak chłopiec nie wiedział, jak miałyby zrealizować swój cel. Nie wystarczy mieć w sobie buntowniczego ducha.

Romulus znalazł się nagle przed grupą sześciu dobrze umięśnionych niewolników, dźwigających lektykę. Poprzedzał ich inny niewolnik, uzbrojony w kij, którym rozganiał ludzi zbyt wolno usuwających się z drogi. Kilku członków ulicznego gangu, najwyraźniej „po służbie”, rozłożyło się w przyulicznej gospodzie, popijając wino. Znak zmieniających się czasów. Dawniej takie szumowiny nie odważyłyby się pojawić tak blisko centrum miasta. Nawet niewolnicy zdawali sobie sprawę z ostatnich niepokojów politycznych i bezwzględnych metod stosowanych przez trzech arystokratów, tworzących triumwirat, w walce ze słabnącym senatem. W miarę jak Republika stawała się coraz słabsza, dramatycznie rosła przestępczość i liczba przypadków zakłócania porządku publicznego.

Oprychy, odziani w brudne tuniki, uzbrojeni w miecze i noże, pogwizdywali na kobiety i wykrzykiwali sprośne uwagi, nie bacząc, czy mają do czynienia ze starszą matroną, czy nastolatką. Jednak umilkli na krótko, gdy w pobliżu pojawiła się lektyka, nie chcąc mimo wszystko przyciągnąć uwagi jakiegoś przypadkowego arystokraty. Romulus zatrzymał się na chwilę przed wystawą jednego ze sklepów. Fascynowała go wszelaka broń. Wiedział, że ryzykuje ciężką karę, a mimo to nie mógł oprzeć się swojemu ulubionemu od wielu lat zajęciu – ćwiczeniom z Jubą.

Właściciele sklepów znajdujących się wzdłuż ulicy sprzedawali swoje towary,

wystawiając kramy daleko na drodze, czym znacznie zmniejszały przestrzeń zarezerwowaną dla ruchu ulicznego. Garnarze siedzieli przy wirujących kołach, pracując nad ceramicznymi naczyniami zastawy stołowej. Kowale z zapamiętaniem uderzali w kowadła, pracując nad metalowymi narzędziami. Na wypchanych trawą materacach rzędami leżały amfory z winem. Rzeźnik operował zręcznie tasakiem, a jego żona pilnowała patelni pełnej kiełbas.

Zapach smażonej wieprzowiny sprawił, że ślina spłynęła chłopcu do ust. W menu niewolników Gemellusa rzadko pojawiało się mięso.

– Masz jakiegoś asa na zbyciu? – zawołała żona rzeźnika, rozpoznając Romulusa, który od czasu do czasu bywał w sklepie ze zleceniem od swojego pana.

Chłopak spuścił wzrok. Rzadko dane mu było choćby potrzymać miedzianą monetę, nie mówiąc już o tym, żeby takową mieć tylko dla siebie. Kobieta spojrzała z ukosa na męża, po czym podała mu z uśmiechem pół kiełbasy.

Oczy Romulusa aż rozbłysły w reakcji na tę nieoczekiwaną życzliwość sprzedawcy.

– Następnym razem zgłoś się do mnie z dużym zamówieniem – powiedziała głośno kobieta.

Chłopak delektował się smakiem mięsa, mijając stanowisko rozmiennicza pieniędzy, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami w małej niszy. Przed nim leżały stosiki różnych monet, a za nim stał wielki, niezgrabny gocki strażnik, pilnujący swojego pana. Każdy wolny fragment ulicy wypełniali kalecy i żebracy, błagając o datki głosami, które mieszały się z zachętami sklepikarzy.

Romulus nie wiedział, jak długo przyjdzie mu czekać w domu Krassusa. Jeśli Gemellus uzna, że zadanie zajęło mu za dużo czasu, pewnie czeka go chłosta. Dlatego stwierdził, że im szybciej dotrze do celu, tym lepiej. Przyspieszył kroku.

Wkrótce znalazł się w pobliżu świątyni Wielkiej Matki Kybele. Była to jedna z wielu, rozrzuconych po całym mieście, świątyń poświęconych różnym bogom. Rzymianie na ogół nie mieli nic przeciwko obcym bóstwom, nawet tym, które czczono w kulturach podbitych narodów. Dzięki temu pokonani łatwiej akceptowali jarzmo Republiki.

Romulus poczuł ukłucie strachu. Jego serce zaczęło bić szybciej. Gemellus często groził, że sprzeda go do świątyni Kybele. Obca bogini – z jej osobliwie ubranymi kapłanami, dźwiękami rogów i dziwnymi praktykami – była traktowana przez większość mieszkańców Rzymu z wielkim szacunkiem. Kult Magna Mater jednak jakoś zupełnie nie pociągał Romulusa.

– Aby dowieść całkowitego oddania bogini, jej kapłani sami poddają się kastracji do 2 części Wróbla – Gemellus uśmiechał się ironicznie.

Groźba oddania chłopca do świątyni zwiększyła tylko nienawiść Romulusa do kupca. Od wielu lat marzył o tym, żeby kiedyś go zabić. Wciąż miał przed oczyma obrazy, które będą z nim chyba do końca życia – kupiec nachodzący jego matkę. Nigdy nie wybaczy Gemellusowi tego, co robił z nią każdej nocy.

– Dzieci! Zamknijcie oczy – zwykła mówić Welwinna, gdy kupiec pojawiał się w drzwiach ich pokoju.

Przerażone bliźniaki starały się ze wszystkich sił wykonać polecenie matki, ale gdy od strony łóżka zaczynały dochodzić głośne skrzypienia, trudno było je ignorować. Romulus nigdy nie słyszał, aby ich matka wydawała jakieś dźwięki, a spocony Gemellus sapiał i jęczał.

Oczom Romulusa ukazał się wreszcie ogromny budynek na wzgórzu kapitolńskim. Świątynia, od której nie mógł teraz oderwać wzroku, była poświęcona Jowiszowi, najważniejszemu rzymskiemu bogowi, o którego przychylność proszono zwykle przed każdą wojną. Ta najważniejsza z konstrukcji stworzonych przez założycieli Rzymu, Etrusków, górowała nad całą okolicą. Fasadę, z rzędami po sześć masywnych kolumn, zwieńczał trójkątny portyk, zdobiony terakotą. Do podzielonej na trzy pomieszczenia, poświęcone triadzie Junony, Minerwy i Jowisza, *cellae* prowadziły trzy wejścia. Na początku każdej kadencji konsulowie składali w ofierze wołu. W świątyni odbywało się też pierwsze w roku posiedzenie senatu. Również pochody triumfalne zawsze kończyły się na Kapitolu. Znaczenie świątyni dla ludu rzymskiego było wprost niewyobrażalne.

Romulus codziennie modlił się w duchu: *Jowiszu! Największy i najlepszy z bogów! Daj mi okazję do zabicia Gemellusa, zanim sam zginę.*

Wreszcie chłopak dotarł do rezydencji Krassusa, którą otaczał imponujący kamienny mur. Podobnie jak wszystkie domy bogatych ludzi, także i ta rezydencja nie wyróżniała się niczym szczególnym z zewnątrz. Gładką powierzchnię muru łamała tylko para dużych rzeźbionych drzwi z głowami lwów. Romulus podszedł do wejścia i chwycił ciężką żelazną kołatkę w kształcie głowy Jowisza. Uderzył trzy razy, po czym cofnął się niepewnie, onieśmielony głębokim, poważnym dźwiękiem uderzeń.

Drzwi otworzyły się z impetem. Stał w nich odźwierny o posturze porównywalnej z posturą Juby, wyróżniający się jednak skomplikowanymi spiralnymi tatuażami na opalonej twarzy.

– O co chodzi? – przenikliwe spojrzenie sprawiło, że Romulus zastygł w miejscu. Chłopak wyciągnął kartkę.

– Mam wiadomość dla Krassusa od mojego pana.

Niewolnik rozejrzał się po ulicy, a potem skinął głową.

– Do środka.

Romulus przekroczył próg domu najbogatszego człowieka w Rzymie. Potężnie zbudowany portier zatrzasnął drzwi i przesunął chroniące je sztaby. Szarpnął za linę zwisającą z sufitu, a następnie usiadł w swojej niszy, spoglądając groźnie na chłopaka. Nosił prostą tunikę, która nie zakrywała starych blizn na ramionach. Włosy splecione w warkoczyki kazały sądzić, że pilnujący drzwi niewolnik pochodzi z jakiegoś gockiego plemienia.

Romulus stał sztywno, w bezruchu.

Chwilę później usłyszeli kroki od strony wyłożonego kafelkami korytarza. Przy drzwiach pojawił się chudy mężczyzna, starannie ufryzowany i ubrany w czystą białą togę. Wydawał się lekko zirytowany. O tej porze raczej nie zakłócało się spokoju klasy rządzącej Rzymem.

– Tak? – odezwał się wysokim, władcym głosem.

– Wiadomość dla Krassusa, panie – powiedział Romulus, przekazując list.

*Majordomus* spojrział na ubrudzony przez Romulusa list z nieskrywanym obrzydzeniem.

– Wygląda, jakby ktoś wyciągnął go z kanalizacji – powąchał papirus.

– Trochę się ubrudził po drodze, panie – Romulus wpatrywał się w podłogę, usiłując ukryć grymas winy.

– Kto jest twoim panem?

– Kupiec Gemellus. Z Awentynu.

– Gemellus, mówisz?

– Tak, panie.

Chudzielec zastanawiał się chwilę, czy powinien zbyć chłopaka. Krassus robił interesy z wieloma ludźmi, nie tylko z kupcami, których działalność miała kluczowy wpływ na rozwój miejscowego przemysłu. Praktycznie wszyscy byli mu winni jakieś pieniądze. A tych, którzy się jeszcze u niego nie zadłużyli, Krassus potrafił zmiękczyć i owinać wokół palca, przynajmniej na tak długo, jak długo coś na tym zyskiwał. I brał to, co chciał. Wszystkie kontakty mogły kiedyś okazać się przydatne.

– Poczekaj tu.

Mężczyzna oddalił się, trzymając list w wyciągniętej ręce, tak żeby nie czuć jego zapachu.

– Zniewieściałą głupiec! Myśli, że jest tak cholernie ważny... – pilnujący drzwi niewolnik prychnął z dezaprobatą i zachwiał się zdenerwowany na swoim stołku. Za nim leżały miecz, włócznia i wełniany koc. Spał i spędzał większość czasu właśnie w tym miejscu. Przy drzwiach. Tak jak Juba.

Lekko rozluźniony Romulus rozejrzał się wokół z podziwem. Płyty chodnika prowadzącego do budynku wykonane były z litego zielonego marmuru. Wzdłuż korytarzy ustawiono wspaniałe posągi bogów, rzeźby wykonane z wielką dbałością o szczegóły i piękniejsze niż wszystkie, które widział. Każdy, kto wkraczał do tego domu, musiał dojść do wniosku, że jego właściciel jest wielkim bogaczem. Gemellus był zamożny, ale jego majątek nie umywał się do fortuny Krassusa.

Wszyscy wiedzieli, w jaki sposób Krassus dorobił się majątku. Za czasów Sulli bogacił się kosztem majątków straconych nobili, wykupując tanio nieruchomości tych, którzy zostali ukarani przez dyktatora. Inne metody gromadzenia majątku przez Krassusa były równie podejrzane. Jako że większość budynków w Rzymie zbudowano z drewna, pożary w mieście wybuchały dość często i zdarzało się, że duże obszary miasta regularnie obracały się w popiół, równane z ziemią przez ogień. Krassus zorganizował prywatną straż pożarną, która pojawiała się na miejscu pożaru, ale nie rozpoczynała pracy, zanim właściciel nieruchomości nie zapłacił Krassusowi, często na miejscu sprzedając swój majątek za bezcen. Krassus odbudowywał domy i sprzedawał je potem z ogromnym zyskiem. Podczas gdy ekwicy podziwiali bezwzględność Krassusa i doceniali jego umiejętności, zwykli obywatele nim pogardzali. Pojawiły się pogłoski, że nocne pożary nie były przypadkowe, ale nikt nie miał na to żadnych dowodów, a Krassus nadal się bogacił. I miał tylko jeden inny cel: zdobyć największą władzę w Republice. Aby to osiągnąć, potrzebował wsparcia obywateli. W Rzymie popularność najszybciej zyskiwało się dzięki sukcesom na polach bitew, dlatego gdy Krassus otrzymał stanowisko namiestnika Syrii, skoncentrował się na wykorzystaniu armii Republiki do poszerzenia granic państwa. Jego jedynym problemem było to, że ciesząc się na razie większą popularnością w Rzymie Pompejusz miał równie wielkie ambicje.

Ściany *atrium*, naprzeciwko którego stał Romulus, zostały ozdobione pomalowanymi stiukami. Zdając sobie sprawę ze swojego niskiego statusu, chłopak nie mógł podziwiać swobodnie przedstawionych scen. Starał się za bardzo nie

ruszać, choć jego wzrok przeskakiwał z jednej rzeźby na drugą. Na dobrze oświetlonej ścianie przedstawiono sceny polowania, na drugiej – Krassus dowodził wojskami.

Romulus aż podskoczył, gdy usłyszał słowa niewolnika pilnującego drzwi.

– To pan walczący ze Spartakusem.

Wszyscy dobrze znali historię trackiego gladiatora, który wystąpił zbrojnie przeciwko Republice. Bunt niewolników był największym zagrożeniem dla Rzymu od czasów, gdy Hannibal stanął pod bramami miasta sto pięćdziesiąt lat wcześniej.

Romulus otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale natychmiast zamilkł, gdyż dostrzegł zbliżającego się ciemnowłosego mężczyznę o okrągłej twarzy. Krępy nobil nie uśmiechał się. Wydawał się mieć ponad trzydzieści lat. Odziany był w togę wykonaną z najlepszych tkanin. Rzucił okiem bez zbytniego zainteresowania na parę stojącą w pobliżu drzwi.

Romulus poczekał, aż mężczyzna zniknie za drzwiami w korytarzu. Niewolnicy dobrze wiedzieli, że najlepiej nie zwracać na siebie uwagi.

– Spartakus? Ten Grek? – Gdy tylko chłopak usłyszał historię powstania, Spartakus stał się jego idolem. Ktoś, kto złamał wszystkie zasady i zrzucił kajdany, dawał nadzieję, napędzając marzenia o odzyskaniu wolności. Marzenia, o których nigdy nikomu nie mówił... z wyjątkiem Juby.

Potęźnie zbudowany odźwierny westchnął.

– To był dopiero wódz...

Romulus zadrżał.

– Znałeś Spartakusa?

– Cicho! Chcesz, żebym pożegnał się z życiem?

Romulus zbliżył się do niewolnika, na którego wytatuowanej twarzy pojawił się smutek. Got długo milczał, zanim wyszeptał.

– Byłem w Kapui, gdy Spartakus zabił lanistę. Jeden z gladiatorów został ranny i nie mógł walczyć. Lanista o imieniu Flaminiusz zaczął go maltretować. Nie pierwszy raz zachowywał się w ten sposób.

Romulus stał w miejscu, niezdolny do wydania głosu.

– Spartakus przyglądał się temu przez chwilę, a następnie podszedł do Flaminiusza i jednym cięciem miecza, bez słowa, pozbawił go głowy. Ryknął: Kto jest ze mną? Kriksos był pierwszy. A potem wszyscy się do niego przyłączyliśmy – jego głos drżał z dumy.

– Powstanie trwało długo, prawda?  
– Ponad dwa lata. Rozganialiśmy każdą armię, którą wysyłał Rzym.  
– Mówią, że ruszyliście na północ...  
– Chcieliśmy dotrzeć do Galii – na twarzy niewolnika pojawił się wieloznaczny, smutny uśmiech. – Spartakus myślał o tym, aby opuścić Italię. Jednak wtedy Kriksos przekonał go, że powinni obalić Republikę. I od tego czasu wszystko zaczęło iść źle...

– Krassus zmusił was do powrotu na południe. – Wszyscy wiedzieli, że powstańcy zostali zepchnięci w kierunku wąskiej pięty półwyspu, a potem odgradzeni murem obronnym.

– Ale nas nie pokonał! – odparł niewolnik. – Aż do Brundisium. – To właśnie tam Krassus rozbił armię niewolników.

– Myślałem, że wszyscy jeńcy zostali... – Romulus zamilkł. Wszyscy w mieście wiedzieli, co stało się ze schwytanymi żołnierzami Spartakusa. Sposób rozprawienia się ze zbuntowanymi niewolnikami gasił wszelką nadzieję.

– Ukrzyżowani... – rozmówca Romulusa pokiwał głową ze smutkiem. W jego oczach lśniły łzy. – Biedne chłopaki. Krzyże stanęły na całej długości Via Appia od Kapui do Rzymu. Sześć tysięcy. Tylko dlatego, żeby Krassus mógł zemścić się za to, że zdławienie powstania przypisano Pompejuszowi.

Dopiero po jakimś czasie ludzie dowiedzieli się, że Pompejusz tylko zagroził drogę kilku tysiącom niedobitków uciekających po przegranej bitwie. Jednak natychmiast zorientował się w sytuacji i zdążył przekazać list zaadresowany do członków senatu, w którym informował o pokonaniu Spartakusa, twierdząc, że to jemu należy się triumf za zdławienie buntu. Jego oportunizm opłacił się i senat pozwolił mu na triumfalny przejazd rydwanem ulicami Rzymu. To rozżłościło Krassusa, który nakazał ukrzyżowanie jeńców na głównej drodze do stolicy imperium, tak że po każdej mili znajdował się słup z umierającym niewolnikiem. Miał to być dowód jego zwycięstwa. Mówiono, że przez tydzień nad drogą krążyły stada sępów.

Romulus spojrział na nieładną bliznę, biegnącą przez bok twarzy niewolnika w kierunku karku. Ten skrzywił się i potarł ręką grubą pręgę.

– Zostałem ranny w nocy przed ostateczną bitwą. Niektórzy z nas uciekli z obozu, gdy Spartakus dał im swoje błogosławieństwo. Powinniśmy byli zostać. I umrzeć jak mężczyźni.

– Czy Krassus wie?

– A jak myślisz? – warknął niewolnik.

– Ale jak to się stało, że znalazłeś się w jego domu?

Niewolnik wzruszył ramionami.

– Uciekałem i tułałem się to tu, to tam przez cały rok. A potem zabiłem obywatela w pijackiej burdzie. Schwyтали mnie i trafiłem do szkoły gladiatorów w Rzymie. Krassus kupił mnie, gdy zobaczył, jak walczę.

– Przynajmniej jeszcze żyjesz.

– Równie dobrze mógłbym być martwy.

Ramiona niewolnika opadły. Rozmowa urwała się nagle, gdyż pojawił się chudzielec, który odebrał list od Romulusa. Na jego usta wypłynął uśmiešek.

– Czy Pertinaks znów opowiada swoje historie? Nie wierz w ani jedno słowo! – podał Romulusowi zwinięty pergamin. – Zwróć uwagę na zachowanie twojego pana, gdy otrzyma ten list.

– Dziękuję, *domine*.

– Wypuść chłopca.

Pertinaks wykonał polecenie. Romulus schylił się, żeby wyjść przez małą furtkę w bramie, która natychmiast się za nim zatrzasnęła.

Gdy kierował się w stronę domu Gemellusa, ściskając mocno zwinięty papirus, myśli w jego głowie wirowały. Kto by pomyślał, że zobaczy *domus* najbogatszego nobila w Rzymie? I że pozna jednego z ludzi Spartakusa? Mimo pogardliwej uwagi chudzielca Romulus wierzył w historię Pertinaksa. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie o wszystkim Fabioli i Jubie. Ale najpierw musiał znaleźć się bezpiecznie za bramą domu Gemellusa, nie dając się złapać pilnującym jej osiłkom. Uśmiechnął się. To było zadanie w sam raz dla niego.

Gdy znajdował się niedaleko domu, usłyszał głośne śpiewy. Ulica była zatłoczona jeszcze bardziej niż zwykle, a to mogło oznaczać większe kłopoty. Nie mógł sobie pozwolić na przepychanie się przez tłum, dlatego dał nura w wąską boczną uliczkę, żeby jakoś ominąć skrzyżowanie dróg. Wyraźnie słyszał krzyki z tłumy.

– Kto chciałby wybrać się na wschód? – pytał jakiś człowiek, nadający ton.

– Pompejusz! – odpowiadał chórem tłum.

Romulus zatrzymał się na chwilę, aby zrozumieć, o co chodziło. Wydawało się, że Klodiusz znów ucieka się do swoich sztuczek, manipulując tłumem. Od jakiegoś czasu lider *collegia* postawił sobie za cel upokorzyć Pompejusza.



– A kto powinien wybrać się tam za niego?

W odpowiedzi rozległ się potężny ryk.

– Krassus!

Romulus ruszył dalej, przypominając sobie słowa Gemellusa, który twierdził, że tolerowanie takich zachowań było po prostu kolejnym znakiem świadczącym o upadku wartości republikańskich.

Oszukanie dwóch osiłków obserwujących willę Gemellusa wcale nie było trudne. Romulus zaczekał, aż na ulicy obok domu pojawi się jakiś wóz, po czym przykucnął i skulony biegł obok. Ci naprzeciwko zupełnie nie zdawali sobie sprawy, że Romulus się zbliża, a gdy chłopiec doskoczył do drzwi, było już za późno. Zaczął mocno walić pięścią w skrzydło bramy. Gdy tamci zorientowali się w sytuacji, rzucili się z przekleństwami w jego stronę, sięgając jednocześnie po miecze. Jednak Juba był na posterunku i natychmiast wyskoczył na zewnątrz. Stał w słońcu z bronią w ręku.

Niewielu ludzi o zdrowych zmysłach chciałoby zmierzyć się z Nubijczykiem.

Zatrzymali się w pół kroku. Mogli tylko patrzeć, jak Romulus wciska się przez drzwi za plecami przyjaciela. Chłopak nie mógł teraz pozwolić sobie na pogawędkę z Jubą. Dostarczenie odpowiedzi Krassusa było ważniejsze niż cokolwiek innego. Uśmiechnął się tylko do Juby, dziękując mu za udzielone wsparcie, po czym udał się na poszukiwanie kupca.

Od razu usłyszał głosy dochodzące od strony *tablinum* i instynktownie na palcach ruszył w tamtym kierunku. Stojąc przy statuetce znajdującej się obok otwartych drzwi, mógł usłyszeć każde słowo wypowiedziane w ogrodzie. Bliźniacy odkryli już, że podsłuchując Gemellusa, mogli zdobywać naprawdę ciekawe informacje. Dzięki temu poznali też kilka jego mrocznych sekretów handlowych. Mimo że Romulus nie rozumiał wiele z tego, co udało mu się podsłuchać, chciał wykorzystać każdą okazję, aby dowiedzieć się czegoś więcej o świecie poza wysokimi murami.

Kupca absorbowwała właśnie rozmowa z księgowym. Serwiliusz był z pochodzenia Egipcjaninem. Miał wylupiaсте oczy i łysiejącą głowę. I był jedynym niewolnikiem, któremu Gemellus ufał. Doskonale znający się na pieniądzach Serwiliusz został znienawidzony przez innych niewolników, którzy nie mogli pojąć jego niezachwianej lojalności wobec Gemellusa.

– Kontynuuj... – Gemellus wydawał się w wyjątkowo dobrym humorze.

Serwiliusz odchrząknął.

– Mój kuzyn w Aleksandrii pisał w ostatnim liście o pewnym przedsięwzięciu,

które zamierza podjąć. Bardzo opłacalne. Ale nie bez ryzyka, *domine*.

– W dzisiejszych czasach wszystko jest obciążone jakimś ryzykiem – stwierdził kupiec. – Powiedz mi coś więcej.

– Menes prowadzi interesy z fenickim bestiariuszem o imieniu Hiero, który chce wyruszyć na wyprawę na dalekie południe, do źródeł Nilu. Tam zamierza schwytać dzikie zwierzęta z przeznaczeniem na arenę.

Romulus wyczuwał zainteresowanie Gemellusa. Wyciągał szyję i kręcił głową, żeby nie umknęło mu ani jedno słowo. *Bestiarii* parali się bardzo niebezpiecznym zajęciem... które wydawało się mu bardzo interesujące.

– Lwy, lamparty i słonie – księgowy dopiero się rozgrzewał – antylopy i nieziemskie istoty o długich nogach i jeszcze dłuższych szyjach. *Bestiarius* twierdzi nawet, że może złapać wielkie potwory w twardej skorupie ze śmiertcionośnymi rogami na nosach.

– Czy Menes gotów jest zainwestować?

Serwiliusz zakaszłał niezręcznie.

– Zapewnia dwie trzecie funduszy, panie.

Przez chwilę Gemellus nic nie mówił.

– Każda taka bestia będzie warta tyle złota, ile waży – wykrzyknął w końcu. Handel dzikimi zwierzętami, które sprzedawało się organizatorom walk gladiatorów, szybko stawał się jednym z najbardziej lukratywnych zajęć w Rzymie.

– Myślałem, że to was zainteresuje, panie.

– O jakiej kwocie z mojej strony mówimy?

– Chodzi o brakującą jedną trzecią – odparł Serwiliusz, wciągając powietrze – czyli sto dwadzieścia tysięcy sesterców.

Romulus otworzył usta. Takiej kwoty nawet nie był sobie w stanie wyobrazić.

– Na cucky Fortuny! – zaklął Gemellus. – Gdzie ja dostanę w tych czasach taki kredyt? I tak jestem po uszy zadłużony.

– A Krassus, panie?

Romulus, zaskoczony tym, że po raz kolejny słyszy nazwisko jednego z największych polityków w Rzymie w kontekście kłopotów Gemellusa, aż podskoczył. Nie miał pojęcia, że kupiec znajdował się w trudnej sytuacji finansowej. W tej samej chwili usłyszał kroki w korytarzu. Prawdopodobnie jakiś niewolnik z kuchni zbliżał się z chłodnym napojem dla pana. Romulus nie mógł ryzykować, że zostanie przyłapany na podsłuchiowaniu. Wyprostował się i ruszył prosto do ogrodu,

robiąc tyle hałasu, ile tylko się dało. Gdy Gemellus go zobaczył, jego twarz pociemniała. Serwiliusz natychmiast zajął się księgami, pochylając się nad olbrzymim tomiskiem, w którym zapisywał wszystkie szczegóły działalności kupca.

– Co tak długo? – Gemellus spojrział na zegar słoneczny. – Dwie godziny!

Chłopak nie ośmielił się odezwać słowem, wyciągnął tylko rulon pergaminu z wiadomością od Krassusa.

Gemellus studiował tekst w milczeniu. Słyszał tylko odgłos wydawany przez trzcinę skryby, drapiącego coś na papirusach za plecami kupca.

Romulus uzbroił się w cierpliwość. Wiedział, że czekają go razy, niezależnie od tego, jaka była odpowiedź Krassusa.

Gemellus, zamykając oczy, zmiął papirus w dłoni i rzucił go na podłogę. Oprocentowanie przeterminowanych kredytów, jakiego zażyczył sobie Krassus, było absurdalnie wysokie. Jeszcze tego było mu trzeba! Wyładowując swój gniew, kupiec pobił Romulusa jeszcze mocniej niż zwykle. Chłopak przyjmował jednak wszystkie ciosy, nie wydając żadnego dźwięku. Niespodziewana wycieczka po ulicach Rzymu i krótka rozmowa z Pertinaksem były tego warte.

Fabiola obserwowała wszystko zza krzaka, zagryzając bezsilnie wargi, żeby nie krzyknąć. Tylko pogorszyłyby sytuację, przysparzając Romulusowi jeszcze więcej rąw. Jej nienawiść do Gemellusa rosła z dnia na dzień. Kupiec nie tylko każdej nocy gwałcił jej matkę, ale regularnie bił też jej brata. Tylko strach przed tym, co mogłoby stać się z jej rodziną, powstrzymywała Fabiolę przed próbą uśmiercenia Gemellusa.

Siniaki zaczęły blednąć dopiero po dwóch dniach. Wtedy też nadarzyła się okazja do opowiedzenia Jubie o tym, co widział w domu Krassusa. Wcześniej, kiedy chłopak wybierał się porozmawiać z przyjacielem, ktoś lub coś stawało mu na drodze.

Gemellus przymilał się do różnych bankierów i lichwiarzy, starając się pozyskać kapitał dla sfinansowania planowanego przedsięwzięcia. Romulus podejrzewał, że miało to coś wspólnego z propozycją Serwiliusza. Jednak musiało się już roznieść, że kupiec ma ogromne długi, ponieważ goście przychodzili i odchodzili, kręcąc głowami z udawanym żalem. Gemellus reagował coraz większą wściekłością. W jego obecności niewolnicy musieli chodzić na palcach, żeby pozostać niezauważonymi. W końcu kupiec nie wytrzymał i postanowił odwiedzić Lupanar, ulubiony burdel. Skryba usłyszał, że Gemellusa nie będzie przez co najmniej dzień.

Gdy Romulus usłyszał, że Gemellus wybrał się do domu publicznego, czym prędzej popędził do Juby. Dzierżył w dłoniach swój drewniany miecz. Nubijczyk wysłuchał uważnie całej opowieści, kiwając głową z akceptacją, gdy tylko pojawiło się imię Spartakusa. Uniósł brwi zdziwiony, gdy usłyszał, że Pertinaks walczył ramię w ramię z trackim buntownikiem.

– Gdybym był starszy, dołączyłbym do Spartakusa – powiedział Romulus z przekonaniem. Chłopak urodził się dopiero w rok po stłumieniu powstania niewolników. Juba uderzył się w pierś, wyrażając w ten sposób, że zgadza się z Romulusem i pewnie zrobiłby to samo.

– Pokaż mi więcej ruchów! Muszę nauczyć się walczyć jak gladiator.

Nubijczyk uśmiechnął się i razem przeszli na korytarz. Juba, upewniwszy się, że Romulus uważnie obserwuje, stanął bokiem, żeby stanowić mniejszy cel dla ewentualnego przeciwnika. Miecz trzymał tuż powyżej pasa, tarczę na wysokości klatki piersiowej. Sprawdzał, czy Romulus robi to samo. Stanęli obok siebie, powtarzając te same czynności tak długo, aż Juba uznał, że jest zadowolony.

– Tarcza w górę. Pchnięcie. Krok do tyłu... – mruczał pod nosem chłopak. – Tarcza. Pchnięcie. Krok do tyłu.

Teraz Juba przekazał tarczę Romulusowi. Chłopak wsunął lewą rękę pod gładką skórę uchwytu, oceniając nieznaną dotąd ciężar. Nubijczyk pokazał mu, w oczekiwaniu na cios, jak utrzymywać miecz w pogotowiu, chroniąc klatkę piersiową i twarz. Potem stanęli do treningowej walki w zwolnionym tempie. Juba starał się nie uderzyć w drewniany miecz Romulusa zbyt mocno, bo sam posługiwał się prawdziwym gladiuszem wykutym z żelaza. Odgłosy tego sparingu niosły się echem po korytarzu, co zaintrygowało Fabiolę.

– A jak Gemellus się o tym dowie? – na jej twarzy pojawiło się nieudawane zaniepokojenie. – Przestań, Romulusie. Bo powiem matce!

– Idź stąd! Ucz się walczyć jak Spartakus!

Fabiola obserwowała brata z mieszaniną dumy i strachu.

– To zbyt niebezpieczne. Proszę cię, przestań!

Romulus wyobraził sobie, że ma w ręku prawdziwy miecz, który właśnie przyciska do szyi Gemellusa. Ponowił atak na Jubę, aż ten wylądował na ziemi. Nubijczyk pokazał wszystkie zęby w szerokim uśmiechu, który pojawił się na jego hebanowej twarzy. Był zadowolony z postępów ucznia.

To był ostatni raz, gdy Romulusowi dane było ćwiczyć z Jubą. Gdy skończyli, Romulus wrócił do małej celi, zajmowanej z rodziną, rozentuzjasmowany i pełen

pozytywnych emocji, z głową nabitą obrazami uwolnienia wszystkich niewolników i zabicia Gemellusa. Te wizje przerażały, ale jednocześnie poprawiały mu humor.

Wieczorem przed snem Romulus jeszcze raz opowiedział matce historię Pertinaksa.

– Bądź ostrożny, Romulusie – powiedziała z powagą Welwinna, choć jej głos był przepełniony dumą. – Nikt nie może zobaczyć cię z mieczem w ręku. A już na pewno nie Serwiliusz. Gemellus tego tak nie zostawi.

– Nie martw się, mamó – powieki Romulusa robiły się ciężkie ze zmęczenia, gdy Welwinna naciągnęła koc na ramiona syna. – Nikt nie wie...

Wyczerpany chłopak zasnął niemal natychmiast. Śniło mu się, że jest żołnierzem w armii Spartakusa.

Następnego ranka piękny sen przeistoczył się w brutalną rzeczywistość, gdy Romulus obudził się, czując zimne metalowe obręcze na nadgarstkach. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że obie ręce miał unieruchomione lekkim łańcuchem. Chłopiec usiadł na materacu i rozejrzał się półprzymkniętymi powiekami po pomieszczeniu. Jego zaniepokojenie szybko przerodziło się w przerażenie. Matka i Fabiola wciąż jeszcze leżały w łózkach, nieruchome, wpatrując się w Gemellusa.

Kupiec stał w drzwiach w towarzystwie Ankusa i Sosjusza, dwóch krzepkich niewolników kuchennych. Obaj unikali spojrzenia Romulusa. Większość domowników znała go przecież od dziecka.

– Ćwiczenia z mieczem pod moim dachem? Ty mały niegodziwcu! – Gemellus splunął. – A potem może chciałbyś zadźgać mnie we śnie? Nie mam wątpliwości. O wiele za długo byłem dla ciebie dobry. Teraz czeka cię szkoła gladiatorów. Dzisiaj – na ustach kupca na krótką chwilę pojawił się uśmiech. – Tam nauczysz się walczyć.

Romulus zrozumiał, że jego życie jako zwykłego niewolnika właśnie dobiega końca.

– Nie! Panie, proszę! – Welwinna rzuciła się do nóg Gemellusa.

Fabiola siedziała wyprostowana z twarzą skazańca pogodzonego z losem. Stało się to, czego tak się obawiała.

– Wstawaj, dziwko! – Gemellus pociągnął Welwinnę za włosy. Krzyknęła z bólu, a kupiec dzielił ją na odlew w policzek. Kobieta runęła z powrotem na łóżko, szlochając.

– Zabierzcie go – Gemellus wskazał chłopaka.

Łańcuch, którym unieruchomiono ręce Romulusa, miał długość kilku metrów.

Ankus szarpnął mocno i wyciągnął go z łóżka na podłogę.

Łzy wypełniły oczy Fabioli.

– Mój syn! – krzyknęła Welwinna.

– Tania kurwa. Już nigdy go nie zobaczysz – zadrwił Gemellus. – A po jego siostrę wrócę później!

– Nie martw się, mamó – Romulus był mało przekonujący, ale nie bardzo wiedział, co miały jej powiedzieć.

Welwinna lamentowała i płakała jeszcze głośniej. Wszyscy wiedzieli, co czeka chłopaka w szkole gladiatorów.

– Idziemy. Nie mogę tego słuchać. – Gemellus odwrócił się i poprowadził swoich ludzi na zewnątrz.

– Ja cię nie wydałam – Fabiola była zrozpaczona. – Romulusie!

– Opiekuj się matką!

Gdy chłopak chciał jeszcze coś krzyknąć, Gemellus pokazał gestem Sosjuszowi, aby zatrzasnął drzwi.

Prowadzony korytarzem do wyjścia Romulus słyszał coraz cichsze nawoływania dochodzące z pomieszczenia, w którym zostały jego matka i siostra. Wiedział, że Fabiola nie kłamała. Byli ze sobą bardzo blisko. Ktoś jednak musiał widzieć jego ćwiczenia z Jubą i poinformował Gemellusa, żeby zaskarbić sobie jego przychylność. Serwiliusz?

Niewolnicy nie mieli wielkiego wyboru. W każdej chwili mogli zostać kupieni lub sprzedani. Ale Romulus nigdy nie myślał, że kiedyś przestanie być własnością Gemellusa. Nie znał innego życia! Był rozdarty między strachem i podekscytowaniem, towarzyszącym oczekiwaniu na zmiany w życiu. Choć perspektywa zostania gladiatorem w pewnym sensie mu się podobała, rozumiał też, że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy swojej rodziny. Obrócił się i spojrzał po raz ostatni w stronę, skąd dochodziły krzyki. Szloch Welwinny sprawiał, że pękało mu serce. Jak bardzo żałował, że nie zachowywali się ciszej! Niewolnik trzymający koniec łańcucha był dwukrotnie większy od niego.

W kuchni często opowiadano historie o sławnych gladiatorach, mierzących się na arenach z barbarzyńcami i dzikimi zwierzętami. Romulus chłonął każde słowo tych niesamowitych opowieści. Nigdy jednak nie był w żadnej szkole gladiatorów i nie miał pojęcia, jak naprawdę wyglądają takie miejsca. Na myśl o romantycznej wizji, w której wciela się w rolę jednego z herosów oklaskiwanych przez tłumy, chłopak poczuł mocniejsze bicie serca.

Zmiana nie uszła uwadze Gemellusa, który zdzielił chłopca otwartą dłonią po głowie.

– Młokos taki jak ty nie przeżyje jako gladiator nawet miesiąca.

Romulus stracił rezon. Racja. Jakie szanse ma trzynastolatek stojący w szranki z doświadczonymi wojownikami, profesjonalistami w swoim fachu?

– Będziesz musiał cholernie szybko udowodnić, ile jesteś wart.

Weszli przez frontowe drzwi i dotarli do alkierza. Ku swojemu przerażeniu Romulus stwierdził, że Nubijczyka nie było w miejscu, które zwykle zajmował.

– Myślałeś, że zatrzymam kogoś, kto uczy innych, jak mają walczyć? – roześmiał się Gemellus. – Ten dzikus jest właśnie w drodze na Campus Martius. – Romulus wpatrywał się w Gemellusa zdeorientowany. – Tam będzie ukrzyżowany.

Chłopak rzucił się na Gemellusa. Z jego oczu biła mordercza furia.

Ankus niechętnie pociągnął za łańcuch, udaremniając atak i tłumiąc wściekłość chłopaka w zarodku. Romulus potknął się i upadł ciężko na ziemię. Zrozumiał, że tak naprawdę nie może nic zrobić, żeby uratować Jubę.

Gemellus kopnął go w brzuch.

– Urodziłeś się niewolnikiem! – Drugi cios. – Umrzesz jako niewolnik! A teraz wstawaj!

Drzwi otworzyły się z głośnym zgrzytem. Gemellus wyszedł na zewnątrz. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na niepozorną grupkę. Wszak niewolnicy znajdujący się poza domem właściciela często nosili łańcuchy.

Romulus nie zapamiętał zbyt wielu szczegółów drogi. Wciąż miał trudności ze złapaniem tchu po ciosach, które otrzymał. Szedł w odrętwieniu. Było mu żal Nubijczyka, bo czuł się odpowiedzialny za to, co stanie się z Jubą, zwłaszcza że jego winą było tylko to, iż uczył go, jak używać miecza. Ta śmierć obciąży jego sumienie. Tak samo jak to, co stanie się z Fabiolą. I co będzie z jego matką? A jak długo jemu uda się przetrwać w pełnym brutalności świecie gladiatorów?

Wystarczyła jedna noc, aby życie czterech osób zamieniło się w koszmar. Romulus zamrugał szybko, żeby osuszyć zbierające się w oczach łzy. *Nie okazuj słabości. Nie temu draniowi. Bądź silny. Jak Fabiola.* Romulus wziął głęboki oddech, próbując zebrać się w sobie i uwolnić od poczucia winy. *Jowiszu, powierzam ci swój los. Ochroniaj mnie i moją rodzinę.*

Zanim Gemellus zatrzymał się przed żelazną konstrukcją bramną blokującą sklepione przejście, Romulus odzyskał częściowo kontrolę nad swoimi emocjami. Mimo że wciąż miał zaczerwienione oczy, dobrze zbudowany chłopak śmiało patrzył

przed siebie... pozostało mu tylko z odwagą znieść to, co go czeka.

Nad ceglanym wejściem do budynku wmurowano kamienny blok z inskrypcją, na którą składały się dwa słowa. Chociaż Romulus nie umiał czytać, wiedział, co tam jest napisane. *Ludus Magnus*. Zmierzała do największej z czterech szkół gladiatorów w Rzymie, które wspierały także wykwalifikowanymi zabijakami gangi Milona.

Stojący przed bramą strażnik z odkrytą głową nosił pamiętajką lepsze czasy kolczugę, sięgającą mu do połowy ud. Obok, oparta o ścianę, stała długa włócznia. Na pasie strażnika, w zasięgu ruchu ręką, wisiał krótki miecz, w każdej chwili gotowy do użycia. Lewe ramię chroniła mocna owalna tarcza, ozdobiona jakimś dziwnym znakiem.

– Co was tu sprowadza?

– Chcę sprzedać tego smarkacza Memorowi.

Strażnik przyjrzał się uważnie Romulusowi.

– Trochę młody, nie sądzisz? – skomentował.

– Co ci do tego? – Gemellus odwarknął. – Wpuść nas do środka!

Strażnik niespiesznie otworzył najbliższą furtkę, zostawiając im tylko wąskie przejście, akurat na tyle szerokie, żeby mogli się przecisnąć. Gdy tylko znaleźli się po drugiej stronie, furtka zamknęła się za nimi z głośnym szcęknięciem.

Serce Romulusa zabiło szybciej. W dźwięku zatraskiwanej bramy dało się wyczuć jakąś ostateczność. Do szkoły gladiatorów trafiało wielu przestępców. Nic dziwnego, że brama jest pilnowana. Dla większości złoczyńców pobyt w *Ludus Magnus* był równoznaczny z wyrokiem śmierci. Tylko najlepsi z nich mogli liczyć, że przetrwają tu dłużej niż rok czy dwa. W tym momencie Romulus zrozumiał, że jego fantazje, marzenia o sławie... były wręcz niedorzeczne. Tyle że chłopak nie mógł nic poradzić na to, że poczuł przeszywający całe ciało dreszcz ekscytacji.

Gemellus ruszył pierwszy przez krótki korytarz. Po chwili wszyscy znaleźli się na odkrytym placu treningowym. Spory, dwukondygnacyjny budynek z dużym czworobokiem w centrum przypominał inny świat, zamknięty za murami *ludus*. Plac był wypełniony ćwiczącymi gladiatorami. Niektórzy prowadzili pozorowane walki.

Romulus rozglądał się zafascynowany widokiem. Para gladiatorów znajdująca się najbliżej bramy wcieliła się w dobrze znane z aren role. Oto *retarius* mierzył się z *secutorem*.

– Będziesz sieciarzem – Gemellus wskazał na mężczyznę w przepasce na biodrach, uzbrojonego tylko w trójzab i sieć, którą wymachiwał tam i z powrotem, przygotowując się do rzutu. Kupiec splunął Romulusowi w twarz. – Ofiarą.



Najpodlejszą formą wojownika. Dobrym łupem dla myśliwego!

Secutor przykucnął, osłaniając się wysoką owalną tarczą. W prawej ręce trzymał krótki drewniany miecz, którym w każdej chwili mógł zadać śmiertelny cios. Romulus patrzył z podziwem na hełm z ruchomą zasłoną, nagolennik na lewej nodze i skórzane osłony prawego ramienia secutora. Wydawało się, że wynik tego starcia był z góry przesądzony. Secutor był dobrze uzbrojony i zabezpieczony przed ciosami, a jedyną ochroną retiariusza był kawałek twardej skóry na prawym ramieniu.

Myśliwy zaczął kluczyć, zachodząc sieciarza to z jednej, to z drugiej strony. Rzucił się do przodu, potem w lewo, a następnie natychmiast wyrwał w prawo. Ale jego przeciwnik wybrał idealny moment. Rzucił sieć. Secutor wyładował na ziemi i, młócąc bezradnie rękami, próbował wyrwać się z pułapki. Mglenie oka i retiariusz był już przy nim, przyciskając drewniany trójząb do gardła swojej ofiary. Pokonany gladiator uniósł dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym, prosząc o litość. Retiariusz ze śmiechem pomógł mu wstać, po czym mężczyźni znów stanęli naprzeciwko siebie gotowi do kolejnej walki.

Romulus poczuł mały przypływ nadziei. Widział krzywiącego się kupca, niezadowolonego z nieoczekiwanego efektu starcia.

Gemellus ruszył dalej po obwodzie placu, kierując się w stronę grubego drewnianego słupa, wokół którego ćwiczyli inni gladiatorzy.

– *Palus...* – szepnął Ankus. – Jeśli dostaniesz do ręki miecz, to właśnie tu będziesz spędzać większość czasu.

Romulus zerknął na towarzyszących im przez całą drogę dwóch niewolników z kuchni. Żaden z nich wciąż nie patrzył mu prosto w oczy, ale chłopak nie miał im tego za złe. Gdyby Ankus i Sosjusz nie wykonywali bez szemrania poleceń Gemellusa, szybko zostaliby wysłani śladami Juby. Na Campus Martius.

Przy słupie stał niewysoki szpakowaty mężczyzna, ubrany w bogato zdobioną tunikę. Lanista. Jego długie, siwe włosy kontrastowały z pomarszczoną, ciemną od opalenizny skórą. Towarzyszył mu inny mężczyzna o potężnej posturze, z biczem w rękę. Gdy lanista ujrzał zbliżającego się Gemellusa, przerwał wykrzykiwanie rozkazów.

– Gemellusie? Rzadki to widok zobaczyć cię w tym miejscu – powiedział, po czym skierował wzrok na Romulusa.

Kupiec popchnął chłopaka do przodu.

– Ile dasz mi za tego młodzieńca?

– Potrzebuję mężczyzn. Nie dzieci.

Olbrym z biczem wykrzywił usta w grymasie, który miał przypominać uśmiech, ukazując bezzębne dziąsła.

– Spójrz, jak jest dobrze zbudowany! – zaprotestował Gemellus. – A ma tylko trzynaście lat!

Zimny wzrok lanisty spoczął na Romulusie.

– Umiesz walczyć z bronią?

Romulus odwzajemnił spojrzenie. Jeśli ma przetrwać w tym miejscu, nie może okazywać strachu. Skinął głową.

– To właśnie dlatego chcę się pozbyć tego gówniarza – wtrącił Gemellus.

Memor przejechał palcami po zaroście na brodzie.

– Tysiąc sesterców.

Gemellus się roześmiał.

– Więcej dostanę na targu! Jest wart co najmniej trzy tysiące. Spójrz na te mięśnie!

– Jestem dziś w dobrym nastroju, Gemellusie. Tysiąc pięćset.

– Dwa i pół tysiąca.

– Nie marnuj mojego czasu.

– Dwa tysiące? – Kupiec wciąż jeszcze miał nadzieję na lepszą cenę.

– Tysiąc osiemset i ani sesterca więcej.

Gemellus nie miał innego wyjścia, jak tylko zaakceptować ofertę. I tak dostał więcej, niż gdyby sprzedał chłopca na targu.

– Bardzo dobrze.

Memor strzelił palcami. Obok nich nagle pojawił się znikąd chudy człowieczek, z palcami pobrudzonymi inkaustem, ubrany w tunikę niepierwszej świeżości, z woreczkami wypełnionymi monetami w obu rękach.

Lanista zaczął przeliczać pieniądze z pietyzmem, jakby był dumny z posiadania umiejętności liczenia. Gdy skończył, wręczył sakiewkę Gemellusowi.

– Nie szczędź mu razów. To jedyny język, jaki rozumie.

– Moja siostra, panie? – Romulus spytał prosząco. Kupiec rozciągnął usta w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Mam zamiar sprzedać tę sukę do burdelu. Za tak atrakcyjną młódkę dostanę dobrą cenę. A co do twojej matki, dziwki... zobaczymy, co zaproponuje nadzorca w kamieniołomach.

Romulus spojrział na swojego byłego właściciela z niewypowiedzianą

nienawiścią. *Pewnego dnia cię zabiję. I będziesz umierać bardzo powoli.*

Ku zaskoczeniu chłopca Gemellus odwrócił wzrok. Okręcił się na pięcie i odszedł bez słowa. Chłopak nie miał jednak czasu, żeby rozkoszować się tym niewielkim zwycięstwem. Poczł nagle na swoim podbródku potężny uścisk.

– Teraz należysz do mnie – zmarszczki Memora krzyżowały się ze starymi bliznami. Jego twarz znalazła się nieprzyjemnie blisko twarzy chłopca. Zapach taniego wina przytłaczał. – *W Ludus Magnus* mężczyźni uczą się umierać. Gladiatorzy będą odtąd twoją nową rodziną, do końca twojego życia. Razem jecie, ćwiczyacie i śpicie. Razem się załatwiacie. Czy to jasne?

– Tak.

– Wykonuj bez zwłoki wszystkie moje polecenia, a nikt nie będzie cię bił, jak zasugerował ten łajdak – Memor zacisnął szczęki. – Ale jeśli nie będziesz robić tego, co ci każę, wtedy, na Herkulesa, bądź pewien, że pożałujesz. Znam takie sposoby sprawiania bólu, o których wielu ludzi nigdy nie słyszało.

Romulus nie spuścił wzroku.

– A teraz złoż przysięgę gladiatora w obecności wszystkich zgromadzonych!

Jedna wykrzyczana komenda Memora wystarczyła, aby gladiatorzy przerwali trening. Był to rytuał, przez który w swoim czasie przeszli wszyscy.

– Czy przysięgasz znosić ciosy z pokorą? Wytrzymać znaczenie rozżarzoną do białości żelazem? I czy przysięgasz na miecz, że jesteś gotów na śmierć?

Romulus przełknął ślinę, ale przemówił mocnym i pewnym głosem.

– Przysięgam.

W tym momencie na twarzach otaczających chłopaka łukiem gladiatorów, w miejsce widocznego wcześniej napięcia, pojawiło się wyraźne rozluźnienie. Nowy nabytek szkoły był przynajmniej odważny.

– Oznacz chłopaka i zdejmij mu te łańcuchy – Memor rozkazał administratorowi. – Znajdź mu jakiś koc i miejsce do spania. I przyślij go szybko z powrotem do mnie!

– Chodź, chłopcze – głos, który usłyszał Romulus, nie wydał się niemiły. – Rozpalone żelazo... nie boli aż tak.

Romulus rozejrzał się ostrożnie dookoła, po placu ćwiczeń i grubych kamiennych murach szkoły. Czy mu się to podoba, czy nie, odtąd był to jego dom. Czy przeżyje? Jeśli bogowie będą mu przychylni... Podążył za chudym administratorem z wysoko uniesioną głową.

## Rozdział VI

# *Ludus Magnus*



Forum Boarium, Rzym, 56 r. p.n.e.

**B**<sup>*re-nnus! Bre-nnus!*</sup> Tłum skandował ogłuszająco.

Gal stał nad pokonanym przeciwnikiem. Słuchał dobrze znanego zgiełku. W ciągu pięciu lat jasnowłosy wojownik stał się jednym z najpotężniejszych gladiatorów, jakich kiedykolwiek widział Rzym. A tłum go uwielbiał.

Ciepłe popołudniowe promienie słońca rozgrzewały piasek areny, ogrodzonej

doraźną drewnianą palisadą z trybunami. Tego ranka ziarnka piasku nabrały nasyczonej złotej barwy, a niewolnicy postarali się, aby plac był idealnie płaski i równy. Jednak po ponad godzinie dzikich walk wszystkie te wysiłki obrócono w niwecz. Piasek pokrywały rozległe plamy krwi martwych mężczyzn, których ciała leżały w różnych miejscach areny. Powietrze wypełniały jęki i krzyki rannych.

Obywatele Rzymu, którym dane było oglądać ów spektakl tego późnowiosennego dnia, właśnie okazali, jak bardzo podoba im się to przedstawienie. Gladiatorzy, podzieleni na dwie grupy, dali fenomenalny popis, chociaż większość wojowników biorących udział w tej walce już nie żyła lub została okaleczona. Na arenie pozostało tylko dwóch najlepszych.

Walki organizowali *lanistae* – właściciele rzymskich szkół gladiatorów – spotykających się regularnie w celu ustalenia szczegółów starć, które najbardziej przemawiałyby do wyobraźni tłumu. Gdy ktoś bogaty i wpływowy chciał zorganizować jakiś spektakl, mógł wybrać z oferty lanisty to, na czym mu zależało – od podstawowych potyczek typu jeden na jeden, po specjalnie zaaranżowane bitwy, w których udział brało jednocześnie wielu zawodników. Wszystko zależało od tego, jakim funduszem dysponował *editor* – sponsor walk – albo też, jakie wrażenie miało zrobić przedstawienie.

Starcie Narcyza z Brennusem miało być wydarzeniem, na które wszyscy – nawet sami laniści – czekali od dłuższego czasu. Po kilku miesiącach od przybycia do Rzymu wielki Gal pokonał chyba wszystkich gladiatorów, którzy zyskali jakąś renomę. W końcu obserwowanie, jak Brennus rozprawia się ze słabszymi od siebie, przestało być jakąkolwiek atrakcją. Walki miały trwać długo i zachwycać publiczność umiejętnościami i wytrzymałością zawodników. Memor szybko zdecydował się na ograniczenie liczby walk Brennusa, mimo że publika domagała się czegoś zupełnie przeciwnego.

Dziś sponsor życzył sobie konfrontacji, która zostanie zapamiętana na długo, i zwrócił się z bezpośrednią prośbą o Brennusa. Lanista musiał długo i daleko szukać godnego przeciwnika dla Gala. Ostatecznie wybrano Narcyza zwanego Grekiem, który na Sycylii zyskał sobie podobną reputację do tej, jaką Brennus miał w Rzymie.

Starcie dwóch wielkich gladiatorów wydawało się świetnym pomysłem. Grek przeciwko Galowi. Mięśnie przeciwko sztuce walki. Barbarzyństwo *versus* cywilizacja.

Na trybunach próżno było szukać wolnego miejsca.

A teraz Narcyz leżał na plecach, z odsłoniętą nagą pierśią, z trudem wciągając

powietrze przez szpary w pokrzywionej przyłbicy. Grzebień w kształcie ryby na jego hełmie został rozszczępiiony i wygiął się w obie strony. Jego miecz leżał dziesięć stóp dalej, odkopnięty poza zasięg rąk *murmillo*.

Walka nie trwała długo. Brennus nieoczekiwanie rzucił się z impetem na przeciwnika i uderzając ramieniem, sprawił, że Grek stracił równowagę. Wystarczyło potężne uderzenie wirującą tarczą, po którym na wpół ogłuszony nieszczęśnik wylądował na kolanach ze złamanymi kilkoma żebrami. Następnie Brennus rozplątał długim mieczem prawy bark Greka tuż powyżej *manicae*, grubych pasów ze skóry chroniących ramię. Narcyz upuścił broń, po czym runął na gorący piasek, wyjąc z bólu.

Pewny zwycięstwa Brennus przerwał walkę. Nie chciał zabijać kolejnego gladiatora. Podniósł w górę obie ręce, prosząc tłum o zadecydowanie o losach pokonanego. Mimo że Brennus zabijał szybko, obywatele Rzymu go kochali.

Jednak Narcyz jeszcze się nie poddał. Wyciągnął nagle sztylet ukryty pod *manicae* i rzucił się na Gala. Brennus zdołał jednak uskoczyć. Zaatakował z boku i uderzył przeciwnika okutą żelazem tarczą prosto w twarz, miażdżąc jego miękki metalowy hełm. Głowa *murmillo* opadła bezwładnie, gdy Grek stracił przytomność.

Brennus spojrział w stronę trybuny arystokratów w białych togach, osłoniętą przed słońcem *velarium* – markizami wykonanymi z tkaniny, ustawionymi na polecenie *editora* igrzysk. Jego wzrok spoczął na Juliuszu Cezarze, ubranym w nieskazitelnie białą togę z purpurowymi paskami na krawędziach, zajmującym honorowe miejsce na trybunach w otoczeniu swoich popleczników i adoratorów. Cezar skinął niemal niedostrzegalnie głową, a tłum podniósł jeszcze większą wrzawę.

Gał westchnął. Zdecydował, że dobije Narcyza w sposób najbardziej humanitarny z możliwych. Trącił *murmillo* nogą.

Ten otworzył oczy i jakimś sposobem znalazł w sobie siłę, żeby podnieść lewą rękę w powietrze. Powoli wyciągnął w górę palec wskazujący, w geście, który miał być błaganie o litość.

Publiczność ryknęła z dezaprobatą, zalewając zamkniętą przestrzeń areny potopem zwierzęcych odgłosów.

Cezar wstał i powiódł wzrokiem po arenie, po czym podniósł rękę we władczym geście. Gdy ludzie go zauważyli, wszystkie wrzaski i gwizdy ucichły. Na Forum Boarium zapadła dziwna cisza. Drewniane trybuny, wzniesione specjalnie na tę okazję, do ostatniego miejsca wypełniali najbiedniejsi plebejusze, kupcy i patrycjusze, których Juliusz Cezar nazywał przyjaciółmi.

Mieszkańcy Rzymu czekali na to, co powie największy strateg i wódz, jakiego Rzym widział w ciągu ostatniego wieku. Cezar pojawił się w stolicy wraz z legionami po zakończeniu niezwykle udanych kampanii przeciwko Helwetom i Belgom, łamiąc zasadę, zgodnie z którą żaden generał nie ma prawa zbliżyć się nawet do miasta na czele armii. Chociaż kampania galijska przysporzyła mu wielkiej popularności, Cezar płacił cenę za wiele miesięcy nieobecności w stolicy. Pomimo działań jego przyjaciół i sojuszników utrzymanie wpływów w mieście okazało się niezwykle trudnym zadaniem. Ta wizyta i zawody miały na celu przypomnienie obywatelom o istnieniu Cezara, odnowienie dobrych relacji z politykami i zjednanie sobie plebejuszy.

Zgodnie z dawną tradycją walki gladiatorów były jednym z elementów rytuałów towarzyszących pogrzebom. Organizowano je na cześć bogatych i sławnych obywateli. Jednak w ciągu ostatnich trzydziestu lat ich ogromna popularność skłoniła polityków i tych, którzy liczyli na objęcie ważnych stanowisk w Rzymie, do organizowania walk przy każdej nadarzającej się okazji. Gdy spektakle z udziałem gladiatorów stawały się coraz bardziej okazałe, coraz pilniejsza była budowa stałej areny. Desperacko walczący o zdobycie sympatii ludu Pompejusz ogłosił właśnie, że sfinansuje jej budowę na Campus Martius. Wiadomość ta niezwykle ucieszyła Memora i innych lanistów.

– Ludu Rzymu! Dziś na piasku areny legł gladiator, który odniósł ponad trzydzieści zwycięstw! – Cezar przerwał w teatralnym geście. Publiczność znów podniosła wrzawę. Jasne było, że podobał mu się wybór gladiatorów do tego spektaklu, a władza nad tłumem bardzo mu imponowała. – Kto pokonał Narcyza?

– Bre-nnus, Brennus! – Bębny, w które uderzali specjalnie wynajęci niewolnicy, wybijały rytm skandowania – Brennus! Brennus!

Decyzja Cezara mogła być tylko jedna.

Oslabiony *murmillo* uniósł prawą rękę, dając Brennusowi znak.

– Zrób to szybko, bracie.

Brennus ledwo słyszał Greka wśród krzyków, tumultu i hipnotycznego niskiego dudnienia bębnow.

– Obiecuję.

Między gladiatorami wytwarzała się specyficzna więź, równie silna, jak ta łącząca wojowników plemienia Brennusa.

Cezar ponownie wznosił ręce do góry.

– Czy mam okazać łaskę przegranemu? – spojrzał w dół, na piasek areny

i leżącego na nim gladiatora, który wciąż unosił palec wskazujący.

W kakofonii dźwięków pojawiły się nowe tony, wyrażające gniew. Mężczyźni na trybunach najbliższej świątyni Fortuny unieśli w górę ręce z kciukami skierowanymi ku ziemi, a gest ten został natychmiast skopiowany przez całą publiczność.

Przez trybuny przetaczała się fala uniesionych rąk z kciukami wskazującymi południe.

Cezar zwrócił się teraz do najbliższych towarzyszy.

– Ludzie domagają się nagrody – na jego wąskich ustach pojawił się uśmiech. – Czy chcecie, aby Narcyz zginął?

Publiczność kipiała żądzą krwi.

Cezar jeszcze raz powiódł wzrokiem po trybunach. Napięcie rosło. Potem sam podniósł prawą rękę z kciukiem w pozycji horyzontalnej. Trzymał go tak przez kilka długich uderzeń serca.

Wszyscy wstrzymali oddechy.

Szybkim ruchem Cezar przekręcił rękę, wskazując kciukiem ziemię.

Wrzawa, jaka się teraz podniosła, była jeszcze głośniejsza niż wcześniej. Śmierć dla pokonanego.

– Przygotuj się – Narcyz z trudem podniósł się na kolana. Rana na prawym ramieniu zaczęła mocno krwawić. – Zdejmij hełm – Brennus zniżył głos. – Dzięki temu cięcie będzie czyste. Trafisz prosto do Elizjum.

*Murmillo* jęknął, zdejmując metalowe resztki hełmu. Jego nos zamienił się w krwawą miazgę. Roztrzaskane kości policzkowe wbiły się do wewnątrz. Zadane przez Brennusa rany były śmiertelne. Na trybunach rozległy się głośne westchnienia dziwnej fascynacji i przerażenia.

– Nawet sam *Aesculapius* by sobie z tym nie poradził – stwierdził Brennus.

Narcyz skinął głową i spojrzał na Cezara.

– Ci, którzy idą na śmierć, pozdrawiają cię – wymamrotał. Grek uderzył się w pierś zaciśniętą pięścią, po czym wyciągnął drżącą rękę przed siebie.

*Editor* przyjął salut z satysfakcją.

Na forum zapadła cisza jak makiem zasiał.

Brennus cofnął się szybko dwa kroki i chwycił rękojeść długiego miecza obiema rękami. Przekręcił biodra, biorąc zamach, i na chwilę zamarł z naprężonymi mięśniami klatki piersiowej i ramion. Głowa Narcyza została oddzielona od ciała jednym potężnym cięciem. Leciała długo, wirując w powietrzu, po czym wylądowała



na piasku z mokrym plaśnięciem. Z tułowia trysnęła fontanna krwi. Ciało gladiatora opadło na ziemię, poruszając się jeszcze w skurczach. Ciepły piasek natychmiast wchłonął czerwoną posokę, a wokół *murmillo* pozostały tylko ciemne plamy.

Ludzie oszaleli.

Cezar uniósł rękę, zwracając się do Brennusa.

– Zbliź się, zwycięzco.

Brennus ruszył powoli w kierunku trybuny, na której zasiadali nobile. Starał się ignorować krzyki zachwyconego tłumu. Trudno było mu opierać się ogarniającej go euforii, gdy słyszał wyrazy uwielbienia tłumu. Gal był wojownikiem i walka sprawiała mu przyjemność. Na piasku areny zaczęły lądować monety i kawałki owoców. Ktoś rzucił nawet bukłak z winem. Schylił się, aby go podnieść, po czym wziął potężny łyk.

Cezar uśmiechnął się łaskawie.

– Kolejne wielkie zwycięstwo, wielki Brennusie.

Gal pochylił się lekko w niepełnym ukłonie. Ciasne warkoczki opadły na jego nagą pierś.

*Czy to taką podróż miałeś na myśli, Ultanie? Miałem skończyć jak zwierzę, zabawiając tych łajdaków?*

– Nagroda godna wspaniałego herosa! – Cezar podniósł ciężką skórzaną torbę, którą po chwili rzucił na arenę.

– Dziękuję ci, wielki Cezarze – Brennus skłonił się mocniej, chwytając jednocześnie swoją nagrodę. Zważył torbę trzymaną w zakrwawionej ręce. W środku było mnóstwo monet, ale paradoksalnie ten ciężar sprawił, że poczuł się jeszcze gorzej.

Za plecami Brennusa na arenie pojawiła się postać ubrana jak Charon, przewoźnik pilnujący przeprawy przez Styks. Człowiek ten od stóp do głów ubrany był w czarne skóry, a jego twarz zasłaniała maska. Z wielkim młotem w rękę ruszył w kierunku głowy Narcyza. Na trybunach rozległy się krzyki udawanego przerażenia. Mężczyzna w czerni uniósł wysoko w powietrze umazany krwią, pokryty kępkami włosów młot, po czym opuścił go z impetem, rozbijając czaszkę Narcyza niczym skorupkę jajka. Cóż... *murmillo* był teraz naprawdę martwy. Właśnie zaczęła się podróż Greka do bram Hadesu.

Brennus odwrócił się. Wciąż wierzył, że odważni wojownicy udają się do Elizjum, raj u wojowników. Dla niego ten rzymski rytuał był po prostu obrzydliwy. Przysięgał sobie, że nie pozwoli, aby coś takiego stało się z jego ciałem. Nie wyobrażał sobie też, że kiedyś się podda, w ten sposób kończąc swoje męki. Coś takiego było

całkowicie niezgodne z jego naturą. Gdzieś głęboko w środku Brennus uchwycił się kurczowo tej wątej nadziei, jaka mu pozostała. Dalej musiał zabijać ludzi, którzy nic mu nie zrobili. Jednak ta część jego osobowości, będąca pragmatycznym wojownikiem, traktowała walki gladiatorów jak wydarzenia, w których jedynym jego obowiązkiem była obrona własnego życia. *Mogę zabijać lub dać się zabić* – myślał z goryczą. Polowania z Brakiem, czas spędzony z żoną czy zabawy z dzieckiem teraz były zaledwie odległymi wspomnieniami. Wydawały się prawie nierealne.

Próbował przypomnieć sobie twarz Ultana i dźwięk jego głosu. Druid nie miał na myśli podróży, której celem było takie życie. Jednak po pięciu latach Brennusowi trudno było nie stracić wiary w bogów i ich wyroki. Przestać wierzyć w opatrność Belenusa, który kierował jego losem od dzieciństwa.

Ultan mówił, że to, co go czeka, będzie niesamowitym doświadczeniem. *To nie może być to.* Brennus usiłował zignorować hałas. Obiecał sobie, że na pewno nie dokona żywota na arenie. Nie wiedział jeszcze, jak mógłby zrealizować to postanowienie, ale... któregoś dnia ucieknie i odzyska wolność.

*Jestem ostatnim Allobrogiem. Stanę przed obliczem śmierci jako wolny człowiek. Z mieczem w ręku.*

– Postaraj się trochę! Wyobraź sobie, że to Gemellus! – trener wiedział, jak zachęcić Romulusa do większego wysiłku.

Gdy ten młody człowiek pojawił się po raz pierwszy na placu treningowym, widać było, że napędza go gniew. W jego oczach tlił się obiecujący blask. Cotta widział wielu niewolników trafiających do szkoły gladiatorów. Nieszczęśników, którzy łatwo załamywali się w świecie żelaznej dyscypliny. Jednak w chłopaku płonął ogień podsycany przez poczucie winy i odpowiedzialność za los Juby, matki i siostry.

Romulus zacisnął mocniej palce na rękojeści miecza i zamachnął się, celując w *palus*. Drewniany miecz i tarcza były znacznie cięższe od prawdziwej broni. Gdy miecz uderzył w potężny drewniany pał, jego ramię zawibrowało nieprzyjemnie.

– Tak lepiej! Jeszcze raz! – przez twarz Cotty przemknął ledwo zauważalny uśmiech. – Odpoczniesz wieczorem.

Cotta ruszył dalej, przyglądając się dwóm innym gladiatorom.

– Tarcza w górę. Pchnięcie. Krok do tyłu. – Romulus powtarzał te same słowa i ruchy, których uczył się z Jubą zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Myślał o Nubijczyku coraz rzadziej i rzadziej. Ostry reżim *ludus* sprawiał, że wszelkie myśli niedotyczące przetrwania wywietrzały mu z głowy. Jedynymi wspomnieniami, jakie

potrafił łatwo przywołać, były obrazy jego matki i Fabioli. Były żywe w jego umyśle. Podobnie jak żywe było poczucie winy z powodu tego ostatniego, fatalnego dnia. Wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie prosił Juby o trening z mieczem.

Gemellus wypalił na duszy chłopaka trwale zamię, którego nie mógł się pozbyć.

– Czekaj. Obserwuj. Obrót. Cięcie – Romulus zawirował i ciął z impetem *palus*, wyobrażając sobie, że ostrze wrzyna się głęboko w twarz kupca.

– Dobra robota. – Jego trener był najemnikiem pojmanym przez Rzymian do niewoli piętnaście lat temu. Szkolenie wojskowe pomogło mu przetrwać na arenie dłużej niż większości gladiatorów. W końcu odzyskał wolność, ale Cotta zdecydował się zostać w *Ludus Magnus*. Romulus z przejęciem słuchał opowiadań o ostatniej walce swojego obecnego mistrza. Pokonanie ponad sześciu przeciwników było dowodem wyjątkowej wytrzymałości. Generał Mariusz był pod tak wielkim wrażeniem, że secutor odzyskał wolność jeszcze na arenie.

Ów niewyróżniający się wzrostem, szczupły Libijczyk, mimo swoich ponad czterdziestu lat, ciągle był w świetnej formie. O dniu, gdy Cotta zdobył *rudis* – drewniany miecz symbolizujący odzyskanie wolności – przypominała mu w połowie sparaliżowana lewa ręka. Poważali go i szanowali niemal wszyscy gladiatorzy z *ludus*. Nawet Memor przystawał czasami na chwilę, obserwując, jak szpakowaty weteran szkoli swoich ludzi.

– Zwróciłem na ciebie uwagę już w chwili znakowania – powiedział Cotta. – Większość naszych nowych nabytków krzyczy, gdy przypala się ich żelazem.

Romulus spojrzął na czerwoną, lekko pofałdowaną skórę w miejscu znaczenia na prawym ramieniu. Znajdowały się tam litery *LM*, które oznaczały, że jest gladiatorem *Ludus Magnus*. Gdy wypalano te znaki rozżarzonym do czerwoności żelazem, ból wydawał się niemal nie do zniesienia, ale jakoś udało mu się nie rozpłakać, wytrzymać ból i zignorować smród przypalanej skóry. Podobnie jak przysięga posłuszeństwa chwila znaczenia była ważnym sprawdzianem odwagi.

– Coś mi powiedziało, że powinienem cię wybrać – przyznał stary gladiator, patrząc na Romulusa z aprobatą. – Jest coś, co wyróżnia cię z tego motłochu.

Romulus mógł mówić o szczęściu, Cotta bowiem zdecydował, że będzie go szkolił jako ciężkozbrojnego secutora. Będzie miał znacznie większe szanse przeżycia niż zwinny, ale lekko uzbrojony retiarius, którym prawdopodobnie zostałby w innym przypadku, gdyż nie miał więcej niż trzynaście lat. Wszyscy nowo przybyli mężczyźni poddawani byli ocenie muskulatury, wzrostu, siły

i umiejętności posługiwania się różną bronią. Pewnie niewielu trenerów umiałoby dostrzec w Romulusie potencjał. Na wyszkolenie gladiatora, przygotowanie go do walki trzeba było kilka miesięcy ciężkiej pracy. Romulus zmówił szybką modlitwę, dziękując Jowiszowi. Obiecał sobie, że złoży później w celi specjalną ofiarę.

– Memor chce, żebyś był gotowy do walki na arenie za miesiąc. Sprawuj się tak dalek, a tak się stanie. – Cotta wskazał kciukiem grupę *retiarrii* ćwiczącą w dalszym narożniku podwórza. – Prawdopodobnie wystawi cię przeciwko sieciarzowi. I nie będzie to żaden nowicjusz. – Cotta mrugnął. – To byłoby zbyt proste. Więcej satysfakcji da tłumowi oglądanie niedoświadczonego secutora walczącego z doświadczonym *retiarium*.

Romulus próbował włożyć w swoje ciosy jeszcze większą siłę. Po każdym uderzeniu z pala leciały drzazgi. Chłopak wiedział, że Libijczyk, samouk, poświęca mu więcej czasu niż innym nowym nabytkom szkoły. Czując głód wiedzy Romulusa, Cotta dawał mu również regularnie lekcje taktyki. Chłopak z wielkim zainteresowaniem poznawał szczegóły wielkich bitew, takich jak ta pod Kannami, kiedy Hannibal wyciął w pień osiem rzymskich legionów, czy pod Termopilami, gdzie trzystu Spartan powstrzymało milion Persów. Jednak wykłady Libijczyka nie ograniczały się tylko do historii dawnych wojen. Cotta opowiadał mu także o kampanii galijskiej Cezara i jego niesamowitych zwycięstwach nad połączonymi siłami plemion Galii. Romulus znał już podstawy sztuki wojennej i wiedział, że czasami inteligencja na polu walki pozwala pokonać wroga przeważającego liczebnie. Podczas gdy jego ciało przebywało w ścianach *Ludus Magnus*, umysł, stymulowany opowieściami Libijczyka, wędrował po odległych krainach. Teraz bardziej niż kiedykolwiek Romulus pragnął odzyskać wolność.

– Będę gotowy, mistrzu – wymamrotał. – Przysięgam.

Siwowłose gladiator uśmiechnął się i odszedł, pokrzykując na innych nowicjuszy.

Po pięciu miesiącach intensywnej ćwiczeń Romulus zbudował imponującą muskulaturę. Urosły mu włosy, dlatego zaczął związywać je na karku wąskim rzemieniem, odsłaniając opaloną twarz. Chłopiec stał się przystojnym młodym mężczyzną. Był już prawie tak wysoki, jak dorośli gladiatorzy, i równie szybki, nawet jeśli brakowało mu doświadczenia na arenie.

Gdy Cotta wreszcie pozwolił mu zakończyć trening, ramiona Romulusa paliły żywym ogniem. Opuścił tarczę, która ciężko upadła na piasek placu treningowego, i powłókł się do pomieszczeń mieszkalnych.

Na parterze budynku szkoły mieściły się głównie izby trenerów i zawodników. Pozostałą przestrzeń zajmowały łaźnie, kuchnia, dom pogrzebowy i zbrojownia. Na drugim piętrze były biura, ambulatorium oraz luksusowe kwatery Memora. Niewielu osobom dane było odwiedzać prywatne pokoje lanisty. Gościli tam tylko bogaci klienci i prostytutki.

Małe pomieszczenie, które Romulus dzielił z trzema innymi gladiatorami, znajdowało się w odległości zaledwie kilkunastu kroków od placu. Wystarczyło w nim miejsca tylko na łóżka i mały ołtarzyk poświęcony bogom. Najbardziej przyjaznym towarzyszem Romulusa był Sekstus, niewysoki, twardy Hiszpan, który odzywał się wyjątkowo rzadko. Z kolei Lentulus był najbardziej zbliżony wiekiem do Romulusa, ale Got miał już dwa lata doświadczeń na arenie i słynął z zaciętości. Ostatnim towarzyszem Romulusa był Gajusz, barczysty retiarius, który nie grzeszył inteligencją, a wyróżniał się tym, że jego wzdęcia często stawały się głównym tematem rozmów w izbie.

Na szczęście żaden ze współlokatorów Romulusa nie miał skłonności homoseksualnych, dzięki czemu chłopak przynajmniej wysypiał się w spokoju. Jednak widząc spojrzenia, jakie rzucali mu niektórzy zawodnicy, Romulus zdawał sobie sprawę, że jeśli kiedyś da się zaskoczyć i obezwładnić, zostanie zgwałcony. Kilka razy niemal cudem udało mu się uniknąć nieszczęścia. Wiedział, że nigdy nie powinien wybierać się sam do łaźni, i zawsze nosił za pasem ostry sztylet, po który mógłby sięgnąć w każdej chwili. Choć Memor nie zezwalał na przechowywanie w celach mieczów lub innej, groźniejszej broni, noże były na ogół tolerowane. Łucznicy lanisty nie musieli się ich obawiać.

Ściany w słabo oświetlonej celi spływały wilgocią. Każdy, kto miał pecha i spał przy ścianie, musiał nieustannie walczyć z mokrym materacem. A skoro Romulus był najmłodszym stażem gladiatorem w tym towarzystwie, najgorsze miejsce przypadło właśnie jemu. Znosił niedogodności w milczeniu, rozumiejąc, że był to element akceptacji w grupie. Każdego ranka przy akompaniamencie śmiechów współlokatorów regularnie wyciągał swój słomiany materac na zewnątrz izby do wyschnięcia. Każdego wieczora targał go też z powrotem.

Romulus oparł ciężki materac o ścianę obok drzwi i zatrzymał się, żeby odsapnąć. Po chwili jednak wziął głęboki oddech i wszedł do celi.

- Wciąż jesteś miękkim, chłopcze!
- Za bardzo przyzwyczaiłeś się do wygod!

Romulus zaczerwienił się. W tych docinkach było trochę prawdy. Życie w *Ludus*

*Magnus* było znacznie cięższe niż na służbie u Gemellusa. Rzucił materac wprost na nieociosane listwy łóżka.

– Poczekaj na zimę – zadrwił Lentulus. – Wtedy dopiero się przekonasz, jakie wady ma to miejsce przy ścianie!

Romulus nie lubił młodego krępego Gota, który zawsze szukał okazji do zaczepki. Miał już dość jego ciągłych uwag, dlatego nagle zdecydował, że czas się postawić.

– Mogę sobie wziąć twoje łóżko.

Gajusz popatrzył nieufnie na Romulusa.

– A niby jak masz zamiar to zrobić? – roześmiał się. – Ukłujesz mnie tą namiastką miecza?

Retiarius zaśmiał się cicho.

Lentulus położył się na swoim materacu i zajął się dłubaniem drzazgą w niezbyt zdrowych zębach.

Romulus chwycił za sztylet.

– Dam ci lekcję – odezwał się, cedząc słowa.

Got zeszytniał i zaczął szukać czegoś na podłodze. Po chwili rozległ się odgłos żelaza ocierającego się o kamień. Lentulus wyciągnął gladius skryty pod łóżkiem.

Romulus poczuł przypływ adrenaliny i... strach. *Lepiej byłoby walczyć na zewnątrz, a nie w takiej ograniczonej przestrzeni.* A jeszcze lepiej trzymać w ręku coś lepszego niż nóż czy drewniany miecz treningowy. Jego własny, prawdziwy, został zamknięty wraz z innymi w zbrojowni. Trzydzieści kroków i odległość równa jednemu życiu. Może odpowiedź na zaczepkę była błędem?

Lentulus usiadł i położył gladius na kolanach.

– Spokojnie, Lentulusie – rozległ się znajomy głos. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni i głodni.

Romulus spojrział z wdzięcznością na Sekstusa.

Mały Hiszpan był jednym z gladiatorów wzbudzających największy szacunek. Uzbrojeni w topory, którymi posługiwali się z niehumanitarną wprost skutecznością, *scissores* specjalizowali się w neutralizowaniu osłabionych lub rannych gladiatorów na arenie.

Lentulus nie czuł się na tyle pewnie, żeby sprzeciwić się Sekstusowi. Jednak Romulus zdawał sobie sprawę, że poważne starcie z Gotem jest tylko kwestią czasu. A nie zawsze będzie mógł liczyć na to, że *scissor* rozładuje napięcie. Prędzej czy

później będzie musiał zmierzyć się z Lentulusem. Ta myśl napełniła Romulusa mieszaniną strachu i podniecenia. Był on nie tylko pięć czy sześć lat młodszy od Lentulusa, ale i o wiele niższy niż *secutor*, który przeżył już pół tuzina walk jeden na jeden, nie odnosząc żadnej rany. Dla każdego gladiatora byłoby to całkiem niezłe dokonanie.

Nagle rozległ się głośny gong, informujący o tym, że nadszedł czas na obiad.

Sekstus uśmiechnął się i wstał.

– Czas coś zjeść.

Lentulus wykonał ruch, imitując cios mieczem, co nie uszło uwagi Romulusa.

Patrzyli na siebie, nie spuszczać wzroku.

– Czas coś zjeść – powtórzył twardo *scissor*.

Romulus chwycił swoją miskę i potulnie opuścił izbę, tak żeby Sekstus oddzielał go od Lentulusa. Następnym razem będzie bardziej ostrożny. Czując, że kiszki grają mu marsza, wyrzucił z głowy myśli o niedoszłym starciu.

– Nie przestawaj!

*Uuctor* upuścił kilka kropli aromatycznego olejku na atletyczne plecy Gala, ze znanstwem masując spięte mięśnie.

Brennus leżał nagi na prostym drewnianym stole, rozkoszując się masażem. Memor dbał o swoich najlepszych gladiatorów, pozwalając im czasami na przyjemności, o których inni mogli tylko pomarzyć. Po masażu Brennus miał zamiar sprawić sobie długą kąpiel w łaźni. A potem czekał go pyszny posiłek, przygotowany przez Astorię, jego kobietę.

– Zabiłeś *murmillo* zbyt szybko. Zorganizowanie tej walki trwało miesiącami.

Brennus otworzył oczy i spojrzał na Memora, który pojawił się w pokoju.

– Wyglądało na to, że ludziom się podobało – odparł swobodnie.

– Tłum jest zmienny – warknął lanista. – Ile razy mam ci mówić, że powinieneś walczyć tak, żeby przedłużać pojedynki?

To, że Gal rozprawiał się ze swoimi przeciwnikami szybko, od wielu lat drażniło Memora. Jednak mimo niekonwencjonalnego *modus operandi* Brennusa ludzie go kochali, co denerwowało lanistę jeszcze bardziej.

Brennus chrząknął, gdy *uuctor* natrafił na spięty mięsień na ramieniu. Nie potrafił sprawiać cierpienia innym ludziom i Memor dobrze o tym wiedział.

– Słuchaj mnie, jak do ciebie mówię!

Gal zamknął oczy.

– Słyszałem.

Memor zrobił się czerwony. Oburzył go taki brak szacunku.

– Wciąż jesteś moim niewolnikiem! – nacisnął znak wypalony na lewej łydce Brennusa. – Nie zapomnij o tym!

Brennus podniósł wzrok.

– Następnym razem będę zabijać powoli. Zadowolony?

Zdenerwowany *unctor* przerwał masowanie.

– Czy powiedziałem, że masz przestać?

Masażysta natychmiast wznowił swoje wysiłki.

– Po prostu zrób, jak mówię – Memor nie zwykł karać surowo swoich najlepszych zawodników. Gal wart był zbyt wiele. Jednak lata doświadczeń lanisty z gladiatorami sprawiły, że stał się ostry i oschły. – A tej twojej kurwie nic się nie stanie – dodał prawie refleksyjnie.

*Unctor* jęknął z przerażeniem, gdy Brennus jednym susem zeskoczył ze stołu, przewracając butelkę olejku, która rozbiła się na podłodze. Omijając odłamki ceramiki, potężny mężczyzna zacisnął pięści i nagi ruszył w kierunku Memora. Pięć lat temu nie miał żadnej szansy obronić swojej żony. Ale to już się nie powtórzy.

Lanista zrobił kilka szybkich kroków w tył.

– Ty rzymska kanalio! – Brennus zbliżył swoją twarz do twarzy lanisty tak, że oddzielało ich tylko kilka centymetrów. – Niech chociaż włos spadnie z głowy Astorii, a dopilnuję, żebyś udławił się swoimi jajami, a potem wyrwę ci serce.

Memor nawet nie drgnął.

– Ani ty, ani twoi przyjaciele nie są w stanie pilnować Astorii dzień i noc – wzruszył ramionami przeprasząco. – Może mieć jakiś przykry wypadek. O to jest strasznie łatwo. Wiesz o tym. Jakiś woźnica może stracić kontrolę nad końmi na ulicy. Złodziej może zagłębić ostrze w jej ciele w jakiejś bocznej alejce.

Brennus wściekle zazgrzytał zębami. Był aż nazbyt świadomy tego, że piękna Nubijka nie może być stale pod jego opieką.

– Bardzo dobrze, mistrzu – te słowa niemal go dławiły. – Następnym razem będę walczył lepiej. Wolniej.

Memor się uśmiechnął.

– Gdzie jest dar od Cezara?

Brennus wskazał stos ubrań leżących przy stole. Lanista szybko przesypał więcej



niż połowę monet do skórzanej torby.

– Zostało jeszcze sporo. Jak na niewolnika.

Resztę monet Memor rozsyłał na podłodze. Odszedł zadowolony, że pokazał Galowi, kto tu rządzi.

Brennus położył się z powrotem na ławie z westchnieniem rezygnacji, po czym gestem dał znać unctorowi, żeby ten wznowił masaż.

Zanim zakochał się w Astorii, jego życie w *ludus* było prostsze. Poza groźbą tortur i śmierci nie było żadnego sposobu zapewnienia sobie kontroli nad potężnym Galem. Jednak nie przerażało go ani jedno, ani drugie i lanista o tym dobrze wiedział. Po trzydziestu batach, które otrzymał zaraz po przybyciu do szkoły, Gal tylko śmiał się Memorowi w twarz. Od czasu rzezi, jaką Rzymianie zgotowali całemu plemieniu Allobrogów, Brennus nie dbał o swoje życie. Czuł się zupełnie pusty w środku. Brac, jego żona i dziecko... zniknęli na zawsze. Ludzie, których Brennus poprzysiągł chronić, zginęli dlatego, że zawiódł. Przepowiednia Ultana nie mogła się spełnić.

Nie miał po co żyć.

Na początku Brennus wiele razy sam szukał śmierci, ale ta go unikała. Nikt nie potrafił pokonać Gala na arenie, a dziesiątki jego przeciwników padło pod ostrzem miecza. W tym czasie wzbogacił się dzięki licznym nagrodom od *editores*, wielkich postaci rzymskiego świata polityki, takich jak Juliusz Cezar, organizujących walki gladiatorów, które teraz stały się jedną z najpopularniejszych rozrywek mieszkańców Rzymu.

Jednak Brennus nie dbał o pieniądze ani nie znajdował przyjemności w pozbawianiu życia innych gladiatorów. Już dawno mógł uciec. Nawet życie banity byłoby przecież lepsze od tego w *ludus*. Przed ucieczką powstrzymało go jednak zaskakujące wydarzenie, do którego doszło trzy lata temu. Proroctwo starego augura, który odczytywał wolę bogów, przyjmując swoich interesantów pod bramą *Ludus Magnus*. Memor tolerował nawet wizyty kapłana w szkole, bo wiedział, że dzięki temu jego ludzie czuli się szczęśliwsi. Jednak Brennus zbyt wiele razy widział, jak gladiatorzy, którym staruszek przepowiedział długie życie, wkrótce potem ginęli na arenie. Dlatego nie przykładał zbyt wielkiej wagi do jego przepowiedni. Ten człowiek był szarlatanem.

Jednakowoż któregoś dnia zaprzyjaźniony *murmillio* zapłacił za wróżbę specjalnie dla Brennusa. Znudzony Gal stwierdził, że nic się nie stanie, jeśli raz weźmie udział w tym spektaklu, choćby nie wiem, jaką farsą miał się okazać. Najpierw, gdy Brennus

zajmował miejsce przy stole, augur uśmiechał się szeroko. Sięgnął do stojącego obok kosza i wyciągnął kurę, którą uśmiercił szybkim ruchem, pozbawiając ją głowy. Następnie długo i w milczeniu – co już samo w sobie było dość nietypowe – wpatrywał się w jej wnętrzności. Gal czekał, zaskoczony, że staruszek nie obiecywał mu zwycięstw nad całymi rzeszami gladiatorów.

– Straciłeś wszystko.

Pierwsze słowa i melodramatyczny ton rozbawiły Brennusa. Stracił wszystko? Tak jak wszyscy inni w *Ludus Magnus*. Gladiatorami w większości zostawali wolni ludzie, którzy zostali zniewoleni.

Zanim jednak zdążył przerwać augurowi, usłyszał coś, co naprawdę go zmroziło.

– Wciąż czeka na ciebie długa podróż – wstrząśnięty Brennus wstrzymał oddech.

– Podróż dłuższa niż jakakolwiek odbyta w przeszłości przez ludzi z twojego plemienia.

Staruszek, podobnie jak Gal, wydawał się mocno zaskoczony tym, co widzi. Wszystkie późniejsze wróżby były bardzo podobne.

To dało Brennusowi jakąś nadzieję.

Chciał trzymać się z boku, ale jego życzliwość przyciągała innych. W ciężkiej atmosferze *ludus* gotowość do dzielenia się z innymi wskazówkami czy uwagami na temat umiejętności walki była czymś niezwykłym. Mimo że niektórzy zazdrościli mu tego, że był ulubieńcem publiczności, wielu gladiatorów ośmielało się nazywać go swoim przyjacielem. Rok temu uratował nawet życie Sekstusa, jednego ze *scissores*, gdy ten znalazł się w trudnym położeniu, tocząc nierówną walkę z przeważającą liczbą przeciwników. Był to odruch napędzany przez wspomnienia Conalla, który niegdyś tak bardzo dbał o to, żeby nic mu się nie stało. Po tym wydarzeniu Brennus stał się jedną z najbardziej popularnych postaci w *ludus*, choć on nadal nie ufał nikomu.

Wszystko się zmieniło, gdy któregoś dnia kilka miesięcy temu w kuchni szkoły gladiatorów pojawiła się Astoria. Brennus już pierwszego dnia dostrzegł jej piękno. Oczarowały go jej ruchy. Od śmierci Liath miał wiele kobiet. Potrzeba bliskości w końcu pokonała jego smutek. Na początku korzystał z usług prostytutek, opłacając je pieniędzmi ze zwycięstw, potem cieszył się towarzystwem bogatych matron, które tłumnie pojawiały się w *ludus*. Renoma najlepszego gladiatora przyciągała arystokratki jak płomień ćmy. Bogate i znudzone Rzymianki uważały, że nie ma nic nagannego w poszukiwaniu przyjemności w ramionach mężczyzn, którzy następnego dnia mogą już nie żyć. Podczas gdy jego towarzysze nigdy nie

odmawiali sobie tych spotkań, żadna kobieta nigdy na poważnie nie zainteresowała Brennusa, dopóki nie zobaczył Astorii i nie dał się zauroczyć cudownym łukom jej hebanowego ciała, ledwie skrywanego pod postrzępionymi łachmanami.

Brennus szybko dał wszystkim do zrozumienia, że Nubijka należy do niego, ujawniając tym samym słaby punkt emocjonalnej zbroi. Z uwagi na reputację Gala nikt nie odważył się tknąć Astorii, ograniczając się do sprośnych uwag. Jednak kilku odnoszących mniejsze sukcesy gladiatorów zazdrościło Galowi. I teraz, słysząc groźby Memora, Brennus bardziej bał się o bezpieczeństwo Astorii niż o swoje własne. Skrzywił się. Może długa kąpiel pomoże mu zapomnieć o szantażu lanisty.

– Wystarczy.

*Uncor* cofnął się ostrożnie o kilka kroków.

Brennus pozbierał monety i rzucił jedną z nich masażystce, po czym wyszedł nago do *frigidarium*, gdzie znajdował się duży, nieogrzewany basen. Woda była wystarczająco zimna, żeby przeszedł go dreszcz. Zamknął oczy i zanurzył się cały, wiedząc, że taka orzeźwiająca kąpiel przyda mu się przed wejściem do ciepłego pomieszczenia obok.

Po kąpeli w *tepidarium* niewolnik naoliwił dokładnie jego skórę, po czym oczyścił ciało za pomocą żelaznego *strigilis*. Następnie Brennus przeszedł do spowitego parą *caldarium*, gdzie spędził jakiś czas z innymi wyróżniającymi się gladiatorami. Mężczyźni od czasu do czasu wymieniali półgłosem jakieś uwagi, starając się zrelaksować i cieszyć intensywnym ciepłem, promieniującym z wydrążonych cegieł w ścianach i w podłodze. Ciepłe powietrze dostarczane było z *hypocaustum*, znajdującego się w pobliżu pieca, dzięki czemu utrzymywano stałą temperaturę w całej łaźni.

Jakiś czas później Brennus wyszedł z łaźni w lepszym humorze. Zapadał już zmierzch. Przez podwórze dostrzegł, że drzwi do zajmowanej przez niego wspólnie z Astorią izby były uchylone. W środku migotało światło świec, które najpewniej zapaliła pani jego serca. Uśmiechnął się do obrazu nagiego ciała, jaki pojawił się w jego głowie.

Nagle powietrze przeszył kobiecy krzyk, który szybko się urwał.

Brennus ruszył sprintem przez podwórze, gubiąc po drodze ręcznik. Szarpnął mocno drzwi do izby. W środku znajdowało się czterech ludzi, którzy nigdy nie zaskarbili sobie jego szacunku... Spełniły się jego obawy. Od czasu buntu Spartakusa tylko najlepszym gladiatorom pozwalano przechowywać broń

w pokojach. Pod nieobecność Brennusa jej znalezienie wcale nie było takie trudne.

Dwóch napastników zwróciło ostrza przeciwko Galowi, a dwóch kolejnych zajęło się Astorią, sięgając chciwie pod jej tunikę. Ubranie Nubijki było w strzępach, a kobieta na próżno starała się zakryć dłońmi. Na policzku szlochającej Astorii Brennus zauważył grubą, czerwoną, puchnącą już pręgę.

Żyła na szyi Brennusa pulsowała, pompując szaleńczo krew pełną adrenaliny.

– Śliczni chłopcy i Lentulus – zadrwił. Inna jego broń znajdowała się po drugiej stronie pokoju.

– Nie zbliżaj się! – głos Tytusa drżał, choć widział, że Gal jest nieuzbrojony.

Trzej *murmillones* byli nierozłączni. Tytus i Kurtiusz byli braćmi, bandytami, którzy wcześniej pracowali dla Klodiusza w jednym z jego kolegiów. Trafili do *ludus* po tym, jak pewna bogata arystokratka została zgwałcona przez tłum, któremu liderowali. Było jeszcze kilka przestępstw, których ani *lictors*, ani sędziowie nie mogli tolerować. Flawiusz, niski, nieprzyjemny w obejściu mężczyzna, trenował z dwójką braci. Gdy wkrótce po przybyciu do szkoły mężczyźni wzięli udział w grupowej walce, szybko stwierdzili, że dobrze się rozumieją i odtąd walczyli jako trio. Od tego dnia *murmillones* żyli, ćwiczyli i spali razem, rzadko wybierając inne towarzystwo. W ten sposób wkrótce zaczęto szeptać po kątach, że łączy ich coś więcej niż tylko łóżka w tej samej celi.

– Co robisz z tymi szumowinami? – Brennus zbliżył się do czwartego napastnika, którym okazał się Lentulus.

Got przełknął ślinę i cofnął się, trzymając miecz ostrzem skierowanym w stronę Brennusa.

– Odejdźcie natychmiast, a będę dla was miły – wielki Gal uśmiechnął się chłodno. – Nie zabiję żadnego.

Niepewny Lentulus spojrział na Tytusa, który wydawał się prowodyrem i przywódcą całej grupy.

– Gada głupoty – odezwał się *murmillo*. – Pomyśl o kobiecie. Możesz mieć ją następnym.

Lentulus spojrział na obnażone ciało Nubijki. W jego oczach płonęło pożądanie. Kurtiusz przytaknął i sięgnął dłonią do krocza Astorii. Po chwili zarżał oblesnie i włożył kilka palców do ust.

– Smakuje słodko...

– Zatrzymajcie go tam, gdzie stoi, chłopcy! – roześmiał się Flawiusz. Przepaska

nie osłoniła jego wyraźnej erekcji. – Szybko skończymy z tą suką.

Lentulus wciąż spoglądał zafascynowany między nogi Astorii.

To była jedyna okazja. Brennus rzucił się do przodu. Uderzył potężnie pięścią w bok głowy Lentulusa. Got przewrócił się, upuszczając miecz. Tytus jednak zaatakował, zanim Brennus zdążył podnieść broń. Gal odskoczył w bok w rozpaczliwym uniku, ale ostrze przeorało mu mięśnie na piersi. Na szczęście długie cięcie okazało się dość płytkie.

Gdy Tytus zamierzył się do kolejnego uderzenia, Brennus osłonił się lewą ręką. Chwytał ostrze i ignorując ból, trzymał je tak mocno, że Tytus nie był w stanie wyrwać miecza. Prawą dłonią chwycił w potężnym uścisku szyję *murmillo* w pobliżu tchawicy.

Tytus wytrzeszczył oczy z przerażenia i puścił miecz, próbując gorączkowo wyrwać się z mocnego uchwytu Brennusa. Nic z tego. Po chwili twarz *murmillo* zrobiła się ciemnofioletowa. Z otwartych ust wystawał język. Brennus wzmocnił uścisk, krzywiąc się na odgłos pękającej chrząstki w tchawicy.

Gdy Kurtiusz zobaczył, że jego brat walczy o oddech, stanął na równe nogi.

– Trzymaj dziewczynę! – wrzasnął do Flawiusza, ruszając przez pokój z uniesionym mieczem.

Groźnie wyglądający *murmillo* natychmiast usłuchał, ściskając tak mocno Astorię, że prawie omdlała.

Tymczasem Brennus pozwolił, aby bezwładne ciało Tytusa opadło na podłogę, chwytając rękojęść miecza sprawną dłonią. Z głębokiego cięcia na rękę spływała krew, ale nagi Gal nie czuł bólu. Adrenalina sprawiała, że porwał go bitewny szal. Zrobił krok do przodu z gladiuszem w dłoni.

– Czterech nie wystarczy, żeby mnie zabić? Miękką pała!

– Skurwysyn! – oszalały z rozpaczy Kurtiusz zamachnął się potężnie, ale Brennus po prostu wykonał elegancką woltę. Potem pochylił się lekko do przodu, zagłębiając ostrze miecza głęboko w nieosłoniętej piersi napastnika. Uśmiechnął się, widząc, że impet Kurtiusza sprawił, iż miecz wszedł jeszcze głębiej.

Gdy umierał, jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki, wyrażając ogromne zdumienie.

Brennus oparł potężną rękę na piersi martwego już Kurtiusza i pchnął go do tyłu. Gdy ciało zsuwało się z ostrza, rozległ się głośny odgłos ssania. Klatka piersiowa wypełniła się powietrzem, a Kurtiusz opadł bezwładnie na pokrytą piaskiem podłogę, na której zebrała się spora kałuża krwi.

– Twój przyjaciel ubrudził mój pokój – gdy Brennus zbliżał się do Flawiusza, ton jego głosu wydawał się niemal łagodny.

– Podejść bliżej, a rozplątam tej suce gardło – oczy ostatniego napastnika błędziły dziko po ścianach i meblach, ale czubek sztyletu tkwił bez ruchu tuż po brodą Astorii.

Brennus wiedział, że *murmillo* nie kłamie.

– Wypuść ją.

– Żebyś mógł zabić i mnie? – Flawiusz przebił lekko skórę Nubijki końcówką sztyletu. Po ciemnym aksamicie jej skóry spłynęła gruba kropla szkarłatnej krwi. – Wstawaj!

Brennus pozwolił, aby *murmillo* zrobił kilka kroków w jego stronę, zasłaniając się dziewczyną.

– Najpierw ty – krzyknął Flawiusz. – Na zewnątrz.

Gal ruszył do tyłu, starając się nie stracić równowagi na pokrytej krwią podłodze.

Na ciemnym dziedzińcu zgromadziło się już kilku gladiatorów, zaintrygowanych krzykami Astorii i odgłosami walki. Migoczące światło trzymanyh w rękach lamp oliwnych oświetlało całą scenę.

Romulus skrywał się w głębokim cieniu niedaleko drzwi celi. W przeciwieństwie do innych gladiatorów od razu domyślił się, kto mógł zaatakować Astorię. Widział, że od pewnego czasu Lentulus ćwiczył z *murmillones* i słyszał, jak chwali się, że kiedyś weźmie sobie Nubijkę. Myślał, że to tylko głupia gadanina, ale teraz okazało się, że te dranie naprawdę planowały skrzywdzić kobietę Brennusa.

Romulus miał okazję obserwować Brennusa wiele razy od czasu, gdy pojawił się w szkole po raz pierwszy, ale jeszcze nigdy z nim nie rozmawiał. Atletyczny Gal i mała Nubijka wydawali się przyjaźnie do wszystkich nastawieni i na pewno nie zasłużyli na to, żeby ktoś darzył ich taką nienawiścią, z jaką Romulus patrzył na Lentulusa. Chłopak zacisnął pięści i modlił się, żeby para wyszła z tego incydentu bez szwanku.

Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył wychodzącego z izby Brennusa. Gal był nagi. Z jego ran płynęła krew. Ale był cały! Za nim z pomieszczenia wyłonił się Flawiusz, obejmujący Astorię w okolicach gardła.

– Pomóżcie mi zabić Gala! – *murmillo* spojrział w ciemność, wypatrując z nadzieją kogoś, kto przyszedłby mu z pomocą. – Wszyscy możemy mieć jego dziwkę!

– Rozplątam gardło każdemu, kto się zbliży – powiedział spokojnie Brennus.

Nikt się nie poruszył. Jedną z niepisanych zasad *ludus* była ta, która mówiła, że tego typu konflikty muszą zostać rozstrzygnięte przez skonfliktowane strony.

Flawiusz zwrócił się drżącym głosem do dwóch mężczyzn, wzywając ich po imieniu.

– Figulus! Gallus! Walczcie ze mną!

Gladiatorzy przestępowali podenerwowani z nogi na nogę, spoglądając z pożądaniem na atrakcyjną Nubijkę. Od miesiący żaden z nich nie miał kobiety. Jednak obraz Brennusa z zakrwawionym mieczem w dłoni działał studząco.

Astoria cicho szlochała.

Romulus miał wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi. Mimo wszystkich hałasów Memor wciąż się nie pojawiał. Czy w ogóle powinien się zaangażować? Romulus zdecydował w ułamku sekundy. Zaproszenie do zbiorowego gwałtu na dziewczynie napełniło go obrzydzeniem. Welwinna nigdy nie dzieliła się ze swoimi dziećmi szczegółami okoliczności ich poczęcia, ale chłopakowi wystarczyła mała sugestia. Romulus przeżywał też każdą noc, gdy Gemellus zmuszał Welwinnę do zbliżenia. Według Romulusa gwałt był zbrodnią najgorszego rodzaju.

Zbliżył się na palcach do Flawiusza, zachodząc go od tyłu i jednocześnie ostrożnie wyciągając sztylet zza pasa. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Gdy był już na wyciągnięcie ręki od Flawiusza, niesmak przerodził się we wściekłość. Stojący przed nim mężczyzna niczym nie różnił się od tych, którzy gwałcili matkę. Od tamtego anonimowego nobila czy Gemellusa.

*Budne świnie.*

*Murmillo* nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia, wciąż koncentrując się na przekonywaniu Figulusa i Gallusa.

Romulus wziął głęboki wdech. Zaciśnął dłoń na uchwycie sztyletu tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. Zrobił jeszcze jeden krok i chwycił mocno lewe ramię Flawiusza, przebijając cienkim ostrzem tunikę.

– Puść dziewczynę! – Flawiusz zamarł. – Puść ją – syknął Romulus tuż nad uchem napastnika.

– Romulus? – w głosie *murmillo* dało się wyczuć niedowierzanie. – To cię nie dotyczy. A teraz spierdalaj, zanim ta suka dostanie to, co się jej należy. – Flawiusz dziabnął lekko czubkiem ostrza Astorię, ale tak, że aż krzyknęła.

Brennus zrobił krok do przodu.

– Zostań tam, gdzie jesteś! – ryknął Flawiusz.

Gal wycofał się niechętnie, choć jego oczy ciskały błyskawice.

W uszach Romulusa dudniła krew. Kątem oka widział Brennusa i krąg gladiatorów. Twarze wszystkich skierowane były w ich kierunku. Ramiona Astorii, którą zasłaniał się Flawiusz, drżały ze strachu.

– Dam ci jeszcze jedną szansę...

– To są sprawy między mężczyznami – Flawiusz splunął. – Odejdź, zanim stanie ci się krzywda. Poważna krzywda.

Romulus nie mógł już się wycofać. Nie miał wyboru. *Uderz wysoko, tuż pod klatką piersiową.* Usłyszał w głowie echo rad Cotty. *Dźgnij w wątrobę. Taka rana zawsze jest śmiertelna.*

Szybkim pchnięciem Romulus zagłębił sztylet głęboko w prawą stronę korpusu Flawiusza, lekko przekręcając ostrze w czasie ruchu. *Murmillo* zaskrzeczało, a jego uścisk zelżał. Astoria wyrwała się i czym prędzej rzuciła w objęcia Brennusa. Romulus wyciągnął ostrze, a Flawiusz zachwiał się i obrócił. Jego oczy zachodziły już mgłą. Czerwona plama na tunice rosła w oczach.

Twarz Flawiusza wyrażała niedowierzenie.

Romulus zbliżył się do niego bez słowa i uderzył jeszcze raz, prosto w klatkę piersiową, po czym zrobił krok w tył, obserwując, jak *murmillo* osuwa się na ziemię bez siły. Szarpnął się jeszcze kilka razy i znieruchomiał.

Chłopak patrzył jak zahipnotyzowany na ciało pierwszego zabitego przez siebie człowieka. Nagle poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Zachwiał się.

– Jestem ci dożywotnie wdzięczny.

Romulus wyczuł, że ktoś się nad nim pochyla. To był Brennus. W odpowiedzi skinął tylko głową, tłumiąc odruchy wymiotne.

Właśnie w tym momencie z izby Brennusa wyszedł Lentulus. Był półoszozłomiony, ale trzymał w ręku miecz. Widząc Romulusa stojącego nad ciałem Flawiusza, wydał nieartykułowany okrzyk wściekłości. Podnosząc miecz drżącą ręką, ruszył niepewnie w kierunku chłopaka.

Romulus instynktownie pochylił się, aby odzyskać swój sztylet.

– Stać! – krzyknął ostro Memor. – Kto pierwszy się poruszy, umrze!

Wszyscy zamarli. Lanista przepchnął się przez tłum i stanął przed Brennusem, otoczony przez sześciu strażników z łukami gotowymi do strzału.

– Próbujesz wyróżnić mi całe *ludus*?

– Co miałem robić? – Brennus skrzywił się, spojrzawszy na jedyne ocalałego.



– Te dranie chciały zgwałcić Astorię.

Memor prychnął.

– A ilu mężczyzn zginęło już z powodu tej czarnej dziwki?

– Trzech – Lentulus przycisnął ręką głowę w miejscu, w którym zaczął już formować się siniak od potężnego uderzenia Gala.

– Trzech? – Lanista zawył z niedowierzaniem.

– Kurtiusz, Tytus i Flawiusz.

Memor otworzył i zamknął usta, nie wydając głosu. Ci trzej *murmillones* byli cenną własnością *Ludus Magnus*.

– Ten, kto tknie moją kobietę, zginie – powiedział Brennus.

– Dotknij tylko jeszcze jednego człowieka, a każę cię ukrzyżować! – Memor dyszał z wściekłości. – Możesz sobie być najlepszym gladiatorem w tej szkole, ale nadal jesteś pieprzonym niewolnikiem!

Pięść Gala zacisnęła się na rękojeści miecza.

Memor wykonał błyskawiczny gest. Łucznicy naciągnęli cięciwy, mierząc prosto w serce Brennusa.

Astoria krzyknęła.

Ręka Brennusa opadła do boku.

– Nie zamierzam popełniać samobójstwa tylko po to, żeby cię zadowolić.

– Więc jednak została ci jakaś odrobina mózgu w tej łepetynie – odparł Memor ze złością. – Mam pomysł – wskazał na Romulusa i Lentulusa. – Tych dwóch wydaje się nie pałać do siebie miłością. Chyba czas rozwiązać ten konflikt. Jutro o świcie. Pojedynek na śmierć i życie. Właśnie tu, na podwórzu.

Lentulus i Romulus popatrzyli po sobie. Żaden z nich nie spuścił wzroku.

Lentulus powtórzył gest pchnięcia nożem. Romulus odchrząknął i splunął. Got ruszył w jego kierunku, ale Memor natychmiast osadził go w miejscu.

– Śmiało! Jeden łucznik może chybić, ale czterech na tym dystansie...

Lentulus skrzywił się i schował miecz. Romulus odwrócił się zadowolony, że wygrał tę konfrontację. Jutro rano wszystko może wyglądać zupełnie inaczej.

– Ty wielki, dumny ośle! – lanista spojrzał na Brennusa. – Żadnych wyjść do miasta aż do odwołania. Dodatkowo zakaz kąpieli w łaźni.

Gał wzruszył ramionami. Czekał. Na wypadek, gdyby Memor chciał jeszcze coś powiedzieć.

Lanista wskazał głową, że może odejść.

– Zejdź mi z oczu, zanim nie wymyślę lepszej kary.

Brennus nie protestował. Nie martwił się Memorem ani jego karami. Znacznie bardziej martwił się Astorią. W szkole może być o wiele więcej mężczyzn, którzy wydawali się zainteresowani ofertą Flawiusza.

## Rozdział VII

# *Lupanar*



Lupanar, Rzym, 56 r. p.n.e.

Fabiola rozejrzała się niepewnie po nagich ścianach. Znalazła się w tym niewielkim pomieszczeniu zaraz po tym, jak Gemellus został wyrzucony na ulicę. Gigantyczny niewolnik, który obszedł się tak bezceremonialnie z kupcem, uśmiechnął się potem do niej, ukazując bezzębne dziąsła w grymasie, mającym zapewne w jego mniemaniu podzielać na nią uspokajająco.

Cóż... nie podzielał. Jeden brutalny właściciel został zastąpiony innym.

Pokój był właściwie pusty, jeśli nie liczyć niskiego łóżka, na którym właśnie siedziała, oraz pustej szafki i małej statuetki nagiej Afrodyty w rogu pomieszczenia. Pachniało stęchlizną, ale podłoga była niezabrudzona, a wełniana pościel, choć nosiła ślady zużycia, wydawała się czysta.

Fabiola zwinęła się w kłębek. Obejmując rękoma nogi pod kolanami, kołysała się w przód i w tył. Sposób, w jaki oddzielono ją od matki i brata, poważnie zaburzył jej

zwykłą pewnością siebie, której wcześniej Fabiola nie traciła nawet wtedy, gdy Gemellus bił ją dotkliwie. Przerazała ją myśl, że już nigdy nie zobaczy swojej rodziny. Romulus znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeśli już nie jest martwy. Tylko bogowie wiedzieli, co stanie się z Welwiną.

Ogarnął ją wielki smutek. Była sama. Sprzedana do domu publicznego, bez szans na ucieczkę. Mogła tylko wyobrazić sobie, co się z nią teraz stanie. Załkała cicho, zalewając niepowstrzymanym potokiem łez. Niedługo obcy ludzie będą płacić za seks z nią. Poczwała smak wzbierającej żółci. Sięgnęła dna.

To wszystko przez Gemellusa!

Ta myśl sprawiła, że jej łzy wyschły, a gdzieś głęboko wewnątrz pojawiła się iskra rozpalająca płomień nienawiści.

*Nie słabość, lecz siła. Nie żal. Zemsta.*

*Gemellus.*

W korytarzu za drzwiami rozległ się kobiecy śmiech. Fabiola nadstawiła ucha. Może dowie się czegoś użytecznego?

– ...Powiedziałaś mu, że był najlepszym kochankiem, z jakim kiedykolwiek byłam. Ten głupiec prawie pękł z dumy!

– Dostałaś napiwek?

– Całego aureusa! Nie mniej... – chichot kobiety zagłuszył resztę oddalających się już głosów.

Fabiola usiadła na łóżku, myśląc intensywnie. A więc można tu zarobić jakieś pieniądze. Aureus? To było więcej, niż Fabiola kiedykolwiek miała okazję trzymać w ręku. Lupanar wydawał się pełen pięknych kobiet wszystkich ras, wystrojonych we wspaniałe peniuary i suknie, które więcej odkrywały, niż zakrywały, nie pozostawiając wiele wyobraźni. Fabiola podziwiała zwiewne szaty, skomplikowane fryzury i egzotyczną biżuterię. Przez wszystkie te lata, które spędziła u Gemellusa, nosiła właściwie tylko proste, wytarte tuniki. No cóż... te korzyści były małym pocieszeniem. Wszak została sprzedana do najlepszego domu rozkoszy w Rzymie. Jednak po chwili Fabiola znów poczuła się przytłoczona poczuciem winy, żalem i rozpaczą, przypominając sobie sceny, które rozgrywały się w jej ostatnich chwilach w domu Gemellusa. Gdy Welwinna zorientowała się, że kupiec naprawdę ma zamiar zrealizować swoją groźbę sprzedaży Fabioli, cierpienie i lęk o los dzieci pokonały w niej niechęć do kupca.

– Proszę! Panie, zostaw mi chociaż jedno dziecko!

– Ta mała ślicznotka jest warta znacznie więcej niż jej brat – stwierdził Gemellus,

taksując krzywizny ciała Fabioli. – Sam bym ją wychędożył, gdyby nie to, że w ten sposób straciłaby połowę wartości.

– Zrobię wszystko – Welwinna zawodziła. – Mogę nawet jęczeć z rozkoszy, kiedy będziesz mnie brał.

– Jakby mi na tym zależało, stara, sfatygowana kurwo! – Gemellus drwił. – Nadajesz się już tylko do kopalni soli.

Kopalnie? Welwinna była naprawdę przerażona. Nie miała już teraz nic do stracenia. Rzuciła się pod nogi kupca, obejmując go rękoma i łkając histerycznie.

– Puść mnie albo ciebie też dziś sprzedam! – Gemellus brutalnie uwolnił się z uścisku Welwinny, odpychając ją z dużą siłą.

Kobieta leżała na brzuchu na kamiennej podłodze, a jej ciało drżało spazmatycznie od szlochów.

Gemellus się roześmiał.

To był ostatni obraz matki, jaki pamięta. Została wyciągnięta siłą z pokoju i zaprowadzona prosto do Lupanaru. Wypłakiwała oczy. Życie było aż tak okrutne? Nie do uwierzenia... Jednak nie użalała się nad sobą zbyt długo. W jej duszy płonął ogień zbyt gwałtowny, żeby mogła pogodzić się z rozpaczą i ulec. W głowie dzwięczały jej często powtarzane słowa Welwinny: *Jak najlepiej wykorzystać każdą sytuację. Zawsze.*

Uspokajając się, Fabiola zacisnęła dłonie na grubej wełnianej pościeli i zaczęła się żarliwie modlić.

*Bogowie, chrońcie moją matkę i Romulusa.*

Zaledwie godzinę wcześniej Fabiola wodziła przestraszoną wrokiem po ścianach luksusowo urządzonego pomieszczenia, w którym przyjmowano gości najlepszego domu publicznego w Rzymie. Satyrowie, tłuste kupidynki, bogowie i boginie odwzajemniały jej spojrzenie, patrząc na nią wyniośle z kolorowej mozaiki, przedstawiającej krajobraz z rzekami, jaskiniami i lasami. Inną zwracającą uwagę powierzchnią bogato urządzonego pokoju była specjalna tablica, przedstawiająca pozycje seksualne, które może miały stanowić źródło inspiracji dla odwiedzających. Fabiola zadrżała, wyobrażając sobie Gemellusa zmuszającego ją do tych najdziwniejszych czynności przedstawionych na rysunkach. W środkowej części pokrytej barwną mozaiką podłogi znajdował się naturalnej wielkości posąg nagiej kobiety, splecionej w uścisku z łabędziem.

– Osiem tysięcy sesterców – mrucał Gemellus. – Całkiem niezła cena.

– Tak się umówiliśmy – zgodziła się niemłoda już kobieta, wydymając

umalowane wargi z dezaprobatą. Jej paciorkowate oczy błyszczały mocno na tle pokrytej białą maską twarzy.

Zadowolony Gemellus złapał skórzaną sakiewkę, po czym przycisnął ją mocno do piersi.

– Wiem. Co za ślicznotka – wyciągnął rękę, chwytając w dłoń małą pierś Fabioli. Dziewczyna drgnęła z przerażenia, ale nie śmiała się ruszyć.

Ręka kupca powędrowała niżej, szukając jakiejś szpary w tunice.

– Żadnego dotykania. Teraz jest moja.

Gemellus niechętnie cofnął rękę.

Fabiola wbiła wzrok w podłogę. Jej policzki płonęły.

Kupiec zaśmiał się.

– Kilka chwil sam na sam... to może być całkiem miłe – powiedział, unosząc sakiewkę z pieniędzmi.

– To będzie kosztować. Ona jest dziewicą, wiesz przecież... – Jowina uśmiechnęła się, ukazując rząd niezbyt ładnych zębów. Po wielu latach w Lupanarze знаła już takie typy jak Gemellus. Obróciła pierścień na cienkim palcu, obserwując, jak rubinowe oczko odbija światło słoneczne. Na palcach obu rąk dźwigała prawdziwą fortunę. Prezenty od zadowolonych klientów... Jakość usług świadczonych w domu Jowiny – i dyskrecja jej właścicielki – były powszechnie znane i cenione.

Fabiola wzdrygnęła się na wspomnienie badania, które właśnie przeszła, potwierdzającego jej dziewictwo. Podczas tej operacji czuła się niezmiernie zakłopotana i uprzedmiotowiona. Skóra nadal paliła tam, gdzie dotykała ją Jowina.

– Oczywiście, że wiem! – szcęknął Gemellus. – Na Jowisza! Już wystarczająco długo opierałem się pokusie, żeby wziąć tę lisicę – kupiec oblizał wilgotne wargi. – Ile za noc?

Jowina położyła zgrabiałą rękę na głowie dziewczynki. Ten dotyk sprawił, że Fabiola poczuła się jakoś dziwnie bezpieczna.

– Piętnaście tysięcy sesterców.

– Piętnaście tysięcy? – kupiec wytrzeszczył oczy. – To prawie dwa razy tyle, ile mi za nią zapłaciłaś!

– Trudno znaleźć dziewice takie jak ona – odpowiedziała sarkastycznie Jowina. – Dobrze urodzeni klienci zapłacą każdą sumę za pierwszy raz z taką ślicznotką.

Gemellus zrobił się czerwony z wściekłości.

– Wróć za kilka tygodni, a cena spadnie do trzech lub czterech tysięcy – usta

Jowiny drgnęły. – Za godzinę, oczywiście.

– Ty stara kurwo! – krzyknął kupiec, unosząc pięści.

– Benignusz!

Z pokoju obok wyłonił się potężnie zbudowany niewolnik, z grubymi złotymi bransoletami na nadgarstkach. Gemellus spojrzął na ogromne węzły mięśni i wielki kij okuty metalem.

– Ten pan nas opuszcza – Jowina wskazała kupca. – Odprowadź go do drzwi.

Benignusz spojrzął z góry na Gemellusa. Nie było wątpliwości, kto tu ma większą siłę przekonywania.

Jednak kupiec zwlekał. Nawet w takiej sytuacji niezbyt łatwo przychodziło mu poddanie się woli niewolnika.

– Panie? – osiłek chwycił prawą rękę Gemellusa w żelaznym uścisku. Kupiec poczuł, że – chcąc nie chcąc – zmierza w kierunku wyjścia. Potężnie pchnięty wylądował w błocie na ulicy, u stóp dwóch własnych niewolników, którzy na niego czekali. Szybko pomogli mu wstać, zachowując przy tym pełną powagę.

Benignusz zawisł nad podnoszącym się z ziemi kupcem niczym grecki kolos.

– Następnym razem pani zażąda przedstawienia dowodów, że masz wystarczające środki, żeby znaleźć się w środku.

Kilku przypadkowych przechodniów roześmiało się, słysząc te słowa, które zabrzmiały dość dwuznacznie. Nieraz widziano ludzi wyrzucanych w podobny sposób przez ozdobione łukiem drzwi tego przybytku rozkoszy.

Wściekły Gemellus otrzepał się z brudu i ruszył do domu, ściskając w dłoni skórzaną sakiewkę. Te pieniądze wystarczą, aby na jakiś czas lichwiarze dali mu spokój.

Jowina zapukała tylko raz, po czym od razu otworzyła drzwi, zaskakując Fabiolę. Natychmiast zauważyła zaczerwienione oczy. Fabiola nie różniła się w tym względzie od wielu innych nowych nabytków burdelu. Przyjrzała się uważnie dziewczynie, wciąż zastanawiając się, czy jej nowy zakup się opłaci.

Fabiola podniosła głowę, nie spuszczać wzroku, chociaż broda drżała jej lekko.

– Zapomnij o przeszłości, moja droga – odezwała się Jowina głosem przyjaznym, ale stanowczym.

– Dzięki temu, że się tu znalazłaś, uniknęłaś przynajmniej wątpliwej przyjemności spółkowania z Gemellusem. Życie tutaj może być całkiem przyjemne.

To proste. Naucz się być miłą dla klientów i zawsze zadbaj o to, aby czuli się zaspokojeni. Wielu wpływowych ludzi odwiedza Lupanar. Senatorzy, sędziowie... trybuni. Gościliśmy tu nawet konsuli.

Fabiola skinęła głową. Musi się wszystkiego szybko nauczyć i zaprzyjaźnić ze starszą właścicielką domu publicznego.

Jowina przez chwilę nic nie mówiła.

– Czy ten grubas jest twoim ojcem?

– Gemellus? – Fabiola spuściła wzrok. – Nie, pani.

– A więc jeden z niewolników?

Fabiola pokręciła głową. Welwinna zawsze mówiła swoim dzieciom to samo o ich pochodzeniu. Kobieta wie takie rzeczy... mruzczała pod nosem ze smutkiem.

– Matka została zgwałcona przez arystokratę, gdy któregoś wieczoru wracała z Forum Olitorium.

Jowina nie była zdziwiona.

– A czy Gemellus często u niej bywał?

– Prawie co noc – Fabiola czuła narastającą w niej złość. Zemszczenie się na Gemellusie stanie się dla niej istotnym celem życia w domu publicznym. To i... uratowanie matki oraz Romulusa. A najlepiej byłoby odkryć tożsamość gwałciiciela.

Gdyby to było możliwe.

Miałyby o czym myśleć podczas spędzania czasu z mężczyznami. Miałyby coś, na czym mogłyby skupić się w tej trudnej dla niej sytuacji.

– Widziałas, co Gemellus robił z twoją matką?

– Nie, choć widziałam go raz nago, gdy był podniecony – Fabiola wzdrygnęła się na wspomnienie erekcji kupca.

– Czy widziałas psy parzące się na ulicy?

– Tak.

– Słyszałaś, jak inni niewolnicy rozmawiają o seksie?

– Wiele razy.

– Zatem seks nie różni się specjalnie od tego, co robią zwierzęta, choć trzeba znać więcej pozycji – Jowina pokrótce opisała te, które lubiła większość mężczyzn.

Dziewczyna starała się ukryć onieśmienie i zażenowanie, gdy próbowała wyobrazić sobie te najbardziej osobliwe. Gemellus znał tylko jedną.

– Rób dużo hałasu. Klientowi musi zawsze wydawać się, że jesteś w ekstazie.

– Tak, pani. Rozumiem.



– Gdy mężczyzna znajdzie się w tobie po raz pierwszy, to naprawdę może zabołeć. Prawdopodobnie będzie też sporo krwi. To normalne. Potem czasami może być nawet przyjemnie.

Fabiola uśmiechnęła się niepewnie.

– Musisz nauczyć się o wiele więcej, ale tym zajmą się już inni. Dowiesz się, jak sprawiać mężczyźnie przyjemność ustami.

Fabiola zmusiła się do uśmiechu, czując ulgę, że ta lekcja dobiega już końca.

– Pokój jest twój i możesz urządzać go, jak chcesz – Jowina uśmiechnęła się, przez co zmarszczki pod warstwą białego makijażu stały się jeszcze wyraźniejsze. – Pamiętaj jednak, że nie możesz tu gościć żadnych mężczyzn. Pokoje, w których będziesz przyjmować klientów, znajdują się z przodu budynku. Zawsze w pobliżu będą nasi strażnicy, Benignusz i Wettiusz. Krzycz głośno, jeśli uznasz, że potrzebujesz ich pomocy.

– Kiedy zacznę?

– Jutro. Właśnie zapłaciłam za ciebie osiem tysięcy sesterców, dlatego musisz zacząć dla mnie zarabiać. Ale dziś dam ci czas, żebyś mogła się rozejrzeć po domu. Wykorzystaj ten czas.

– A co z jedzeniem? – Fabiola zapytała spokojnym głosem.

– Nieco więcej ciała na twoich kościach nie zrujnuje ci sylwetki – Jowina zaśmiała się z własnego żartu i wskazała niewolnicę, która stała za nią w cieniu. – Docilosa pokaże ci, co i jak. Warto zajrzeć do komnaty z ubraniami. Znajdziesz tam lepsze fatałaszki niż na jakimkolwiek bazarze w Rzymie.

Fabiola otworzyła usta ze zdziwienia.

– I zadbaj o to, żeby wyglądać uwodzicielsko.

Po twarzy Docilosy przemknął uśmiech.

– Tak, pani.

– Dobrze. Poradzisz sobie – Jowina odwróciła się i zniknęła za drzwiami. Pozostał po niej tylko silny zapach perfum.

Fabiola spojrzała na kobietę, która została w pokoju. Wyglądało na to, że jest w wieku jej matki. Docilosa była niewysoka, skromna i nosiła prosty fartuch. Ale miała miłą twarz.

– Czy mogę dostać coś do zjedzenia?

– Oczywiście – Docilosa skinęła głową. – Chodź za mną.

Wkrótce Fabiola siedziała za prostym drewnianym stołem w kuchni i pochłaniała

chleb z serem. Ostatnie wydarzenia bardzo zaostrzyły jej apetyt, a widok różnych smakołyków na uginających się od produktów kuchennych półkach sprawiły, że poczuła ssanie w żołądku. Gemellus nigdy nie rozpieszczał swoich niewolników, a jej dzieciństwo upłynęło pod znakiem wiecznego głodu.

Niewolnicy, odziani jedynie w przepaski biodrowe, spoglądali na nową dziewczynę z zaciekawieniem. Docilosa wskazywała ich kolejno palcami.

– To Katus, główny kucharz. Jest w porządku, ale uważaj, bo bywa nerwowo – łysiejący mężczyzna zajmujący się siekaniem mięsa na dużym drewnianym bloku uśmiechnął się, mimo że nie mógł słyszeć, co Docilosa powiedziała na jego temat.

Fabiola chłonęła informacje. Chciała poznać wszystkich pracowników Lupanaru.

– Ta dwójka pilnująca ognia to Nepos i Tancinus. Dziewczyna, która zamiata podłogę, nazywa się Germanilla.

Mężczyźni pocący się przy gorącym ceglany piecu tylko zerknęli na nią obojętnie. Choć byli dość młodzi, mieli wyraźną nadwagę.

– Czy oni dostają dodatkowe jedzenie?

– Oczywiście, że nie – powiedziała Docilosa. – Są wykastrowani.

Fabiola wciągnęła powietrze zaskoczona.

– Wszystko po to, żeby dziewczyny miały spokój. Jesteście cennym towarem, a Jowina wie, jak go pilnować.

– A co z Katussem?

– On lubi tylko mężczyzn – Docilosa wyjaśniła pogardliwym tonem. – A pani rzadko kupuje chłopców. Sprawiają za dużo kłopotów.

– A ochroniarze?

– Korzystają z usług wielu kobiet. Pani to toleruje.

– Dlaczego?

– Niektórzy klienci czasami stają się brutalni – Docilosa wykonała gest, który miał oznaczać użycie miecza. – Chłopcy potrafią sobie z nimi poradzić.

Fabiola zanotowała w pamięci, aby zaprzyjaźnić się z Benignuszem i Wettiuszem.

Docilosa napełniła zwykły czarno-czerwony gliniany dzban wodą ze zbiornika stojącego w rogu kuchni. Podobnie jak w domu Gemellusa, także i w Lupanarze były bieżąca wody i urządzenia sanitarne.

– Będziesz potrzebować tego w swoim pokoju – podała jej dzban razem z mniejszym kubkiem, przyglądając się uważnie Fabioli. – Przypominasz mi moją córkę. – Zanim Docilosa wskazała drzwi, wracając do konkretów, na jej twarzy

pojawił się smutny uśmiech. – Pokażę ci, gdzie znajdziesz ubrania.

Fabiola podążyła za swoją przewodniczką, opuszczając wyłożoną kamieniami kuchnię. Przeszły przez korytarz, w którym mocno pachniało kadzidłem. We wnękach na całej długości korytarza znajdowały się greckie posągi.

To, co znalazła w pokoju z ubraniami, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Na żelaznych hakach wbitych w malowane ściany wisiały sterty bogato zdobionych ubrań. Duże płyty z polerowanego brązu służyły za lustra. Na stołach stały dziesiątki szklanych misek, butelek i srebrnych lusterek. W dalszym rogu pomieszczenia dwie kobiety właśnie przymierzały jakieś ubrania, zupełnie nie zwracając uwagi na Fabiolę i Docilosę.

Jej przewodniczka powiodła wzrokiem po ubraniach i westchnęła.

– Zostawię cię tu. Poznaj się z dziewczynami.

Fabiola zauważyła, że dziewczyny, o których mówiła Docilosa, były kilka lat starsze od niej. Poczuła się niepewnie. Próbując zachować spokój, ruszyła w głąb pomieszczenia.

Dobrze zbudowana prostytutka, wyglądająca na Germankę, odwracała się właśnie w jej kierunku. W dłoniach trzymała grzywę długich jasnych włosów, podziwiając swoje odbicie w lustrze. Fabiola przyglądała się jej zaintrygowana. Jediną osobą, którą regularnie oglądała nago, była jej matka. Skąpa czerwona suknia ledwo przykrywała wdzięki blondynki, jej obfite piersi i płaską talię. W miejscu, gdzie łączyły się blade uda, dostrzegła małą kępkę włosów łonowych. Ta kobieta była bardzo piękna.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Fabiola – zamilkła, a potem dodała, chyba niepotrzebnie – jestem nowa.

Blondynka nie wyglądała na zadowoloną.

– Ile nowych dziewczyn Jowina ma zamiar jeszcze tu zmieścić?

– Nie przejmuj się nią... – druga kobieta wydawała się bardziej przyjazna. – Ma zły dzień. Ja jestem Pompeja, a to jest Claudia.

– Nigdy nie widziałam tak wielu ubrań, w takim wyborze – Fabiola aż otworzyła usta ze zdziwienia.

– Wspaniale, prawda? – zachichotała Pompeja. Fabiola natychmiast poczuła wielką sympatię do wysokiej rudowłosej dziewczyny. Zielone oczy i alabastrowa cera sprawiały, że wyglądała wprost uderzająco. Ciasna *stola*, mocowana na bokach do

pasa, a potem nad pasem na ramieniu, podkreślała jej kuszące kształty. – Możemy nosić, co nam się tylko podoba.

– Jowina powiedziała, że mam wyglądać uwodzicielsko.

– Na pewno... – odezwała się nieprzyjemnie Claudia. Pompeja popatrzyła na nią, marszcząc brwi. Przechyliła głowę.

– Ile masz lat?

– Trzynaście. Prawie czternaście.

– O bogowie! I nadal jesteś dziewicą?

Fabiola wbiła wzrok w marmurową posadzkę.

– Nieważne... teraz jesteś tu... – Pompeja przespacerowała się wzdłuż ściany, wodząc palcami po ubraniach – Chodź ze mną.

Fabiola podążyła za nią powoli, dotykając kolejnych ubrań, jakby nie dowierzała, że naprawdę je widzi.

– Nie możemy przesadzić. Najważniejsze, że jesteś dziewicą. – Pompeja znalazła białą suknię z delikatnego materiału, wyróżniającą się fioletową lamówką. – Popatrz na to!

Fabiola wyciągnęła rękę.

– Jest piękna.

– Wszystko, co najlepsze, dla dziewcząt z Lupanaru. Załóż!

Fabiola szybko zdjęła poszarpaną tunikę i naciągnęła aksamitnie miękką suknię. Materiał w dotyku był wręcz rozkosznie delikatny. Nigdy w życiu nie miała na sobie czegoś tak pięknego. Fabiola wygładziła suknię na ciełe.

– Jest cudowna – wyszeptła.

Claudia prychnęła pogardliwie.

Fabiola spojrzała na Pompeję. W jej oczach dostrzegła pełną aprobatę.

– Idealna. Wyglądasz jak westalka.

– Tyle że taka, którą można kupić! – stwierdziła Claudia.

Pompeja odwróciła się i spojrzała na blondynkę z przyganą.

– To bardzo smutne, że ten głupiec, Metellus Celer, właśnie zmarł, ale szybko znajdziesz innego bogatego klienta. Przystań się na niej wyżywać!

– Gemellus odwiedzał regularnie moją matkę – Fabiola powiedziała pewnie. – Wiem, czego się spodziewać.

– On już nie jest twoim właścicielem – Claudia niespodziewanie zmieniła ton. – Zapomnij o nim.

Fabiola uśmiechnęła się do tej myśli.

– Widziałam tego tłuściocha przez wizjer – grymas Pompei wyrażał zdegustowanie. – Większość przychodzących tu mężczyzn wygląda o wiele lepiej. Jak rozegrasz wszystko z głową, zostaną twoimi regularnymi klientami. – Odwróciła się do Claudii, oczekując potwierdzenia. – Mężczyźni uwielbiają dawać prezenty. Będą zabierać cię ze sobą.

– Wystarczy tylko, żebyś spełniała każdą ich zachciankę – stwierdziła blondynka.

Fabiola lekko się zaniepokoiła. Jej jedyne doświadczenia z seksem ograniczały się do obserwowania zachowań matki, która nienawidziła nocnych wizyt Gemellusa.

Pompeja zauważyła zmianę na twarzy dziewczyny. Wzięła ją delikatnie za rękę.

– Nauczmy cię wielu sposobów zaspokajania mężczyzn, moje kochanie. Podejź tu. Spójrz w lustro.

Fabiola wpatrywała się w lśniąca powierzchnię z polerowanego brązu. W małych zagięciach i wgnieceniach migotały promienie światła. Ze zdziwieniem stwierdziła, że dziewczyna patrząca na nią z odbicia naprawdę wygląda ładnie. Poczuli się nieco lepiej.

– Ile... prostytutek tu pracuje? – słowo „prostyutka” nie kojarzyło jej się najlepiej. Ale przecież właśnie została jedną z nich.

– Łącznie z nami... około trzydziestu. Czasami mniej, czasami więcej. – Pompeja zanurzyła pędzelek w misce z ochrą, którą zaczęła nakładać na policzki. – Zależy, ile zostaje sprzedanych lub odzyska wolność.

Fabiola nastawiła uszu.

– Sprzedanych?

– Zdarza się, że klient tak polubi którąś dziewczynę, że ją kupuje. Większość z nich rozpoczyna wtedy nowe życie w prawdziwym luksusie. Willa w Pompei i temu podobne – Pompeja zadumała się. – Te, które mają pecha i zachorują, opuszczają to miejsce. Albo się starzeją.

– Odchodzą również te dziewczyny, które podpadną Jowinie – stwierdziła blondynka złowrogo.

– Gdzie odchodzą?

– Do jakiegoś tańszego domu publicznego. Albo do kogoś, kto potrzebuje taniej siły roboczej.

– Do kopalni soli, do latyfundium, no wiesz... – Claudia się skrzywiła. – Musisz

dbać o popularność i pozostać piękna.

Fabiola pomyślała o matce. Zadrżała.

Biorąc jej reakcję za oznakę lęku, Pompeja poklepała dziewczynę po ramieniu.

– Nie martw się! Jowina nie sprzedaje takiej ślicznotki jak ty.

– Czy jakieś dziewczyny odzyskały wolność?

Pompeja uśmiechnęła się.

– Jowina pozwala nam zatrzymywać niewielką część ceny za usługi. Stali klienci też będą dawać ci jakieś pieniądze. Oszczędzaj każdego sesterca. Dobrze mówię?

Claudia energicznie pokiwała głową, zajęta pokrywaniem twarzy warstwą kredy i bieli ołowiowej.

– Jeszcze trochę, nie jesteś wystarczająco blada. Nie zapomnij o odrobinie antymonu na brwi. – Pompeja odwróciła się z powrotem do Fabioli.

– Postaraj się, żeby Jowina cię polubiła. Po kilku latach może pozwoli ci się samej wykupić.

Claudia prychnęła.

– Ta stara wiedźma mówi to tylko po to, żeby nas mamić. Wiesz, że mam rację. Czy od kiedy tu jesteśmy, pamiętasz kogoś, kto kupił sobie wolność?

Pompeja spuściła głowę, aż Fabioli zrobiło się smutno. Oczywiście życie w Lupanarze wcale nie jest bezpieczne. Będzie musiała ciężko pracować, żeby przeżyć.

Rudowłosa Pompeja zauważyła, że Fabiola przygląda się rzędom butelek i słoików na stole.

– To kosmetyki do makijażu. Balsamy do ciała.

– Czy mogę czegoś spróbować?

– Jesteś na to za ładna.

– Ale wy się malujecie...

Pompeja się roześmiała.

– Ale my jesteśmy tu już długo! Musimy trochę się postarać, żeby dobrze wyglądać. A ty jesteś jak świeży kwiat.

– Nawet ochry nie mogę?

– Może trochę. Na usta. Nic więcej.

Nie wiedząc, czego mogą pragnąć mężczyźni odwiedzający Lupanar, Fabiola przyglądała się swojemu odbiciu w dużym lustrze.

– Klienci będą cię uwielbiać – Pompeja zrobiła gest, jakby przemawiała do

większej publiczności. – Może później przyda ci się odrobina bieli, ale teraz masz być dziewiczą westalką.

– Pompeja ma rację – tym razem ton Claudii był nieco bardziej przyjazny. – Lepiej w tym przypadku nie przesadzić. Tak będzie lepiej. Dla ciebie – roześmiała się, demonstrując swoje obfite kształty.

Fabiola uśmiechnęła się.

– Zapominamy o sobie. Niedługo pewnie zajdzie słońce! – Pompeja nagle zaczęła się spieszyć. – Idź teraz posiedzieć w łaźni i wcześniej połóż się spać. My musimy brać się do pracy. Niedługo zaczną przybywać goście.

Fabiola rzuciła swojej nowej przyjaciółce wdzięczne spojrzenie.

– Dziękuję.

– Przyjdę po ciebie rano. Porozmawiamy o tym, jak sprawić, aby mężczyźni jęczeli z rozkoszy i prosili o więcej!

– Albo wyli z pożądania!

Pompeja przewróciła oczami.

– To akurat specjalność Claudii.

Fabiola zostawiła kobiety w pokoju z ubraniami i ruszyła korytarzem, ze skrywaną przyjemnością wodząc palcami po gładkim materiale sukni. Z ulgą stwierdziła, że była jedyną osobą korzystającą o tej porze z łaźni, jeśli nie liczyć starszej niewolnicy, która bez słowa przekazała jej oliwę i *strigilis*.

To nowe doświadczenie okazało się znacznie przyjemniejsze, niż sobie wyobrażała. Gemellus pozwalał swoim niewolnikom myć się tylko na tylnym dziedzińcu w wiadrze zimnej wody. Możliwość wymoczenia się w podgrzewanym basenie, podziwiania kolorowych malowideł, wyłaniających się z pary, wydała się Fabioli urzeczywistnieniem absolutnej błogości. Dziewczyna marzyła o dniu, w którym utalentowani artyści wykonywaliby takie obrazy z Neptunem i mitologicznymi stworzeniami morskimi na ścianach jej willi.

Czysta i zrelaksowana wróciła do swojego pokoju. Położyła się w pościeli, wpatrując się w migoczące cienie, rzucane przez pochodnię. Zapomniała już trochę o smutku związanym z utratą kontaktu z matką i bratem. W nowym miejscu znalazła przyjazną duszę. Pompeja byłaby dobrym sprzymierzeńcem. Kimś, komu będzie mogła zaufać. I miała wreszcie nowy cel: powinna zostać najlepszą prostytutką w Lupanarze. Jako że pojawiają się tu wpływowi politycy i arystokraci, profesjonalistka w tym fachu może skupić w swoich rękach realną władzę. Bogaci ludzie płacący za przyjemność cielesną mogą być na jej łasce. Ta myśl dawała jej

siłę.

Nie zasnęła od razu. Wyobrażała sobie, jak może wyglądać jej pierwszy raz. W końcu jednak stwierdziła, że nie ma jeszcze wystarczającej wiedzy, na której mogłaby bazować. Powinna odpocząć, a nie martwić się czymś, na co nie ma wpływu. Zamknęła oczy i zasnęła. Nie przysnił jej się żaden koszmar.

Pompeja pojawiła się wcześniej rano, tak jak obiecała. Usłyszawszy delikatne pukanie, Fabiola odrzuciła kołdrę i czym prędzej skoczyła do drzwi, starając się jednocześnie ułożyć niesforne włosy.

– Jeszcze spałaś? Och, no tak. Nie musiałaś pracować przez pół nocy! – pod oczami Pompei wyraźnie widać było ciemne sińce, ale była już pełna energii. – Chodź ze mną. Pójdziemy do łaźni. Tyle rzeczy musisz się nauczyć!

Fabiola zacerwieniła się na myśl o tematyce tych lekcji, ale chwyciła lekko jeszcze mokry materiał służący za ręcznik i ruszyła za Pompeją korytarzem. W drzwiach łaźni powitał je podmuch ciepłego, wilgotnego powietrza i hałas rozmawiających głośno kobiet. Atmosfera dekadencji.

Nagle w głowie Fabioli pojawił się obraz Romulusa. Posmutniała. Chyba nigdy nie wymaże z pamięci tej sceny, gdy zabierali jej brata. *Jedynym twoim obowiązkiem jest tutaj wylegiwanie się w gorącej kąpeli i poznawanie sztucek, dzięki którym będziesz umiała dogadzać mężczyznom, a tymczasem Romulus uczy się, jak walczyć o życie.* Zgarbiła się, przytłoczona poczuciem winy.

W łaźni znajdowało się kilka prostytutek. Myły się i opowiadały sobie różne historie, czasami mocno gestykułując. Gdy pojawiły się nowe osoby, rozmowy ucichły.

– To jest Fabiola – powiedziała Pompeja. – Dziewczyna, o której wam mówiłam.

Większość kobiet skinęła przyjaźnie głowami i natychmiast wróciła do rozmów czy własnych zajęć, zerkając tylko od czasu do czasu na Fabiolę. Pompeja rozebrała się do naga, pokazując, żeby Fabiola zrobiła to samo. Rudowłosa prostytutka miała pełne kształty, ciało o pięknych łukach i dużych piersiach. Większych niż wszystkie, jakie widziała dotąd Fabiola. Trzynastolatka patrzyła zafascynowana na kasztanowe włosy łonowe swojej nowej przyjaciółki. Jej mlecznobiała skóra ostro kontrastowała z ciemną skórą Nubijki, która przesunęła się trochę w dużej, okrągłej wannie, żeby dziewczyny mogły do niej dołączyć.

Fabiola przez jakiś czas siedziała w ciepłej wodzie spięta, wyprostowana jak struna, uśmiechając się nerwowo. Pompeja szybko spostrzegła, że dziewczyna czuje



się nieswojo.

– Rozluźnij się! Tu wszystkie jesteśmy jedną rodziną i troszczymy się o siebie. Jedyną obowiązującą tu zasadą jest ta, która mówi o niepodkradaniu sobie stałych klientów.

Przez dobrą godzinę Fabiola słuchała uważnie udzielanych jej przez Pompeję rad i wskazówek dotyczących higieny osobistej, ziół, które powinna pić, żeby nie zejść w ciążę, i tematów ciekawych konwersacji z mężczyzną. Od czasu do czasu do dyskusji wtrącała się jakaś dziewczyna, dorzucając jakieś uwagi od siebie. Pompeja mówiła o wszystkim zupełnie bez skrępowania i w końcu Fabiola poczuła się nieco swobodniej.

– Niektórzy mężczyźni będą chcieli po prostu poleżeć w twoich ramionach i tak zasnąć.

– Nikogo nie obchodzi, co robią, dopóki za to płacą – wtrąciła Nubijka, której uwaga została przyjęta wybuchami śmiechu.

– I wtedy przychodzi dwudziesty klient – zaczęła inna. – Żołnierz wracający z długiej kampanii. Te byczki zwykle zabierają się do tego, jakby wcielił się w nich sam *Priapus*!

Rozległy się głośne śmiechy.

– Nie słuchaj ich... W Lupanarze rzadko zdarza się, żeby mieć dwóch czy trzech mężczyzn w ciągu jednej nocy – uspokajała Pompeja. – To jedna z zalet pracy w drogim domu rozkoszy. Jednak musisz stać się naprawdę świetną kochanką.

Claudia jęknęła donośnie.

– Bardziej... aktorką niż kochanką.

Pompeja uśmiechnęła się na potwierdzenie.

– Żaden mężczyzna nie może wyjść stąd z niedosytem. W przeciwnym razie zaczną nazywać cię oziębłą.

– I Jowina skoczy ci do gardła, zanim klient wyjdzie za próg – odezwała się pulchna, czarnowłosa dziewczyna.

Przysłuchujące się tej rozmowie dziewczyny potakiwały.

Pompeja przeszła do opisywania różnych pozycji miłosnych i technik. Fabiola słuchała z szeroko otwartymi oczyma. Wyglądało na to, że Jowina opowiedziała jej tylko o kilku podstawowych.

– Używać ust i języka? – Fabiola ułożyła usta. – O tak?

– Ten rodzaj miłości jest znakiem szczególnym Lupanaru. Mężczyźni to

uwielbiają. Więc szybko musisz dojść do perfekcji – odparła Pompeja poważnym głosem. – Żadna prostytutka w Rzymie nie może być w tej dziedzinie lepsza od nas.

– Najpierw sprawdź, czy jest czysty – poradziła Nubijka, mrugając porozumiewawczo.

– Mycie może być częścią pieśzcot.

– Brzmi odrażająco...

– Lepiej przyzwyczaj się do tej myśli, moje dziecko – Pompeja chwyciła Fabiolę za rękę. – Twoje ciało nie należy już do ciebie. Należysz w całości do Lupanaru.

Fabiola z trudnością wytrzymała spojrzenia kobiet.

– Muszę znieść bardzo dużo...

Nie miała wyboru. Nie decydowała o tym, kto zapłaci za jej czas i równie dobrze jej pierwszym klientem może być ktoś podobny do Gemellusa. Fabiola natychmiast zdecydowała, że seks będzie traktować jak pracę i nic innego. Aktywność pozwalającą jej przetrwać. To była brutalna rzeczywistość jej nowego zawodu. Jej myśli znów pomknęły do Romulusa, który jako gladiator ryzykował życie, nie mając właściwie żadnych szans na ucieczkę. Jeśli w swojej nowej roli dojdzie do perfekcji, może któregoś dnia będzie mogła kupić jego wolność. Wszystko zależało od niej.

– Jesteś mądra i piękna – Pompeja uśmiechnęła się chytrze. – Naucz się, jak dogodzić mężczyźnie, i znajdziesz sobie jakiegoś miłego, starszego senatora.

– Z domem na Palatynie! – dodała Claudia.

Fabiola pokiwała pewnie głową.

Jej nauczycielka uśmiechnęła się i ponownie uścisnęła jej dłoń.

– Powiedz mi wszystko, co muszę wiedzieć.

Pompeja wróciła do roli nauczycielki, omawiając ze szczegółami cały akt seksualny. Trzynastolatka słuchała jej z jeszcze większą uwagą.

Wreszcie Pompeja położyła się na wodzie, rozkoszując się jej ciepłem.

– Tyle wystarczy jak na jeden poranek – powiedziała, zamykając oczy. – Umyj się. Jowina wkrótce po ciebie pośle.

Serce dziewczyny zaczęło bić szybciej, ale zrobiła to, co zasugerowała jej rudowłosa koleżanka.

Chwilę później Pompeja kazała jej założyć tę samą Inianą suknię, którą wybrała poprzedniego dnia. Zakręciła dziewczyną przed lustrem z polerowanego brązu, a następnie wplotła kilka kwiatów w jej mocne, ciemne włosy.

– Potrzebujesz tylko kropli perfum – wyciągnęła zza poły sukni mały flakonik

i podała go Fabioli. – Te będą wystarczająco delikatne.

Fabiola uniosła butelkę do nosa.

– Piękne.

– Woda różana. Grecy sprzedają ją na bazarze. Wkrótce cię tam zabiorę. Skrop się lekko na szyi i na rękach.

Fabiola postąpiła zgodnie z poleceniem, ciesząc się pięknym zapachem.

– Każda kropla warta jest wydanych pieniędzy.

– Och! Przepraszam! – Fabiola użyła perfum, nie myśląc o tym, że nie są tanie.

– W porządku. Nie przejmuj się. Kiedyś mnie poratujesz, gdy będę potrzebowała pomocy – powiedziała ciepło. – Czas zatroszczyć się o klientów. Jowina będzie się niecierpliwić.

Fabiola wzięła głęboki oddech. Nie było sensu przedłużać tego, co nieuniknione. Ruszyła z wysoko uniesioną głową za Pompeją dobrze znanym jej już korytarzem.

## Rozdział VIII

# Gallo



Rzym, 56 r. p.n.e.

**T**arkwiniusz rzucił straganiarzowi miedzianą monetę, po czym odwrócił się, szarpiąc skórkę małego bochenka chleba. Było wczesne popołudnie, a on od rana jeszcze nic nie jadł. Chociaż jego żołądek domagał się jakiegoś porządniejszego posiłku, na jakiś czas będzie musiał wystarczyć mu świeży chleb. Zajmowało go coś więcej niż zwykły głód. Szukał Celiusza. Przebywał już w mieście od tygodnia i przez ten czas, ku swojej frustracji, nie wpadł na żaden trop. Wydawało się, że nikt nie widział żadnego rudego arystokraty w średnim wieku, często wpadającego w zły humor. Ofiary, które Tarkwiniusz składał codziennie, niczego nie zmieniały. Jakby Celiusz zapadł się pod ziemię. Taki brak wskazówek od bogów był w pewnym sensie znakiem szczególnym objawień haruspików i Tarkwiniusz zdążył się już do tego przyzwyczać. Bez żadnej boskiej interwencji musiała mu starczyć cierpliwość i własna spostrzegawczość podczas przeczesywania ruchliwych ulic

stolicy.

Forum Romanum było równie dobrym miejscem jak każde inne. Mógł czekać i obserwować. Najważniejsza otwarta przestrzeń w mieście była zatłoczona każdego dnia od wschodu do zachodu słońca. Tutaj pracowali senatorowie. Tutaj biło serce demokracji. Wreszcie tutaj zbierali się wpływowi ludzie, decydujący o losach imperium, gdy Italia znalazła się w rękach Rzymian, którzy unicestwili etruską cywilizację. To tutaj w *basilicae* ciągnęły się rzędy kramów, gdzie rywalizowały ze sobą o względy klientów niezliczone rzesze prawników, skrybów, kupców i bankierów. Powietrze wypełniały krzyki konkurujących ze sobą sąsiadów. Kalecy bez kończyn unosili błagalnie kubki, licząc na jałmużnę, podczas gdy lichwiarze siedzieli za pokrytymi wszelkimi typami monet stołami. Rolki pergaminu u ich stóp szczegółowo opisywały warunki umów z tymi nieszczęśnikami, którzy po złożeniu podpisu znajdowali się już w mocy udzielających kredytów. Za ich plecami czaili się uzbrojeni mężczyźni o poważnych twarzach. Ich zadaniem była ochrona lichwiarzy przed złodziejami i kolekcjonerami długów.

Dokończywszy swój bochenek, Tarkwiniusz przedarł się przez tłum, zmierzając w kierunku wejścia do świątyni Kastora. Schody przed przybytkiem stanowiły dobry punkt obserwacyjny. Jego oczy nieustannie analizowały ludzkie twarze. Haruspik był ekspertem od ukrywania się w tłumie. Jeśli jednak już ktoś zwrócił na niego uwagę, Tarkwiniusz wydałby mu się zupełnie nieciekawym. Nie wyróżniał się wzrostem ani długimi blond włosami. Nosił typową rzymską tunikę, sięgającą ud, na pokrytych pyłem stopach miał mocne sandały. Na ramieniu wisiał plecak, w którym znalazło się miejsce na kilka zapasowych ubrań i wykończony złotem *lituus*. Na plecach, pod ubraniem, ukrył etruski topór bojowy. Tarkwiniusz dawno temu odkrył, że ta broń przyciąga uwagę – najczęściej akurat tych, których zainteresowanie nie było mu na rękę. W małym woreczku, zawieszonym na szyi na rzemieniu, ukrył swoje dwa najcenniejsze skarby – starą mapę i rubin. Haruspik sięgnął pod tunikę i potarł ogromny klejnot z roztargnieniem. Był to pocieszający gest, który wykonywał zwykle wtedy, gdy o czymś intensywnie rozmyślał.

U stóp imponujących, ozdobionych rzeźbieniami, schodów do sanktuarium zebrała się grupka wróżbitów w charakterystycznych, zakończonych tępo, czapkach i długich szatach. Można ich było spotkać w każdym miejscu w Rzymie, gdyż w stolicy, jak nigdzie indziej, dawało się całkiem dobrze żyć, żerując na przesądach i ludzkich pragnieniach. Tarkwiniusz często siadywał w pobliżu wróżbitów, czasami po to, aby pośmiać się z ich oszukańczych spektakli, a czasami – aby przyjrzeć się

praktykom, na które on sam rzadko pozwalał sobie w miejscu publicznym. Jeśli znalazł się wystarczająco blisko, zdarzało mu się szukać objawień w ofiarach składanych przez oszustów. Porównywanie różnic między przepowiedniami bardzo go bawiło.

Powrócił myślami do rozstania ze swoim mentorem przed czternastu laty. Niewiarygodne, jak Olenus potrafił się pogodzić z przeznaczeniem, zadowolony z tego, że wiedzę Etrusków bezpiecznie przekazał swojemu następcy. Pożegnanie było znacznie trudniejsze dla Tarkwiniusza, który przez całą drogę do latyfundium walczył ze sobą, przytłoczony ciężarem nie tylko wątroby z brązu i innych artefaktów. Jedynie miłość i szacunek do Olenusa powstrzymały go przed udaniem się z powrotem na szczyt góry i podjęciem walki z Rufusem Celuszem i legionistami. Ingerencja w wolę bogów byłaby zła. Jednym z fundamentów nauk starego haruspika było głębokie przekonanie o tym, że każdy człowiek sam decyduje o własnym losie.

Tarkwiniusz teraz już rozumiał, że to pożegnanie było jedną z ostatnich lekcji Olenusa. Gdy dwa dni później przygotowywał stos pogrzebowy dla człowieka, którego kochał jak ojca, zmienił się na zawsze. Był absolutnie zdeterminowany, aby co do joty wypełnić życzenia Olenusa. Został ostatnim etruskim haruspikiem.

Po tym ciężkim dla niego powrocie z góry Tarkwiniusz wyłuskał rubin z rękojeści miecza i zakopał legendarną broń i wątrobę w gaju niedaleko willi Celusza. Uczynił to dlatego, że wołał walczyć etruskim toporem bojowym, ale też dlatego, że tak pięknie zdobione ostrze przyciągało zbyt wiele uwagi. Był pewien, że Olenus by to zrozumiał. Od tego dnia ogromny klejnot zawsze nosił blisko serca.

Przed świtem następnego dnia spakował plecak i pożegnał się z matką, wiedząc, że już nigdy jej nie zobaczy. Fulwia zrozumiała to natychmiast, gdy powiedział o przepowiedzeniu mu przez Olenusa dalekiej podróży. Na posłaniu obok leżał pijany ojciec. Tarkwiniusz ucałował Sergiusza w czoło i szepnął mu do ucha:

– Etruskowie nie zostaną zapomniani.

Jego ojciec przewrócił się na drugi bok, uśmiechając się delikatnie przez sen. Podniesiony na duchu Tarkwiniusz pomaszerował piaszczystą ścieżką, prowadzącą do najbliższej drogi.

Rzym wydał mu się dobrym punktem wyjścia do dalszych peregrynacji, a miasto przecież leżało na południu, dokąd miał się udać. Nigdy wcześniej nie był w stolicy Republiki i jej rozmach naprawdę mu zaimponował. Niemal na samym początku skierował swoje kroki do wielkiej świątyni Jowisza, gdzie był świadkiem

korzystania przez rzymskich kapłanów z etruskich *libri*. Młody haruspik płonął z wściekłości, obserwując, jak rzymski augur interpretuje wiatr i wygląd chmur. I robił to błędnie! Święte księgi, skradzione z etruskich miast, znajdowały się w posiadaniu szarlatanów. Przyszło mu do głowy, aby ukraść *libri*, jednak po chwili uznał, że to nie miałyby sensu. Gdzie miałyby zabrać księgę? I tak istniały już jej kopie, przechowywane w różnych miejscach, a gdyby został złapany, *lictos* zaszyją go w worku i wrzucą do Tybru.

Po tym wydarzeniu Tarkwiniusz nie wytrzymał w mieście nawet tygodnia. Nie znał nikogo, a kwatery były brudne i drogie. Nie za bardzo wiedząc, co ma ze sobą począć, ruszył Via Appia dalej na południe. Dziesięć mil za miastem zatrzymał się przy studni, aby zaspokoić pragnienie. Pod drzewami odpoczywał akurat oddział legionistów, odłożywszy oszczepy i tarcze. Żołnierze byli często spotykani na drogach. Zmierzali albo do swoich jednostek, albo po to, aby wykonać powierzone im obowiązki w ramach prac inżynierskich, albo... szli na wojnę. Choć Tarkwiniusz starał się, jak mógł, wciąż z trudem przychodziło mu nie zdradzić swoich prawdziwych emocji w związku z legionistami i tym, co sobą reprezentowali. Tacy sami legioniści kilka wieków wcześniej doprowadzili do upadku Etrusków. Tym razem zachował kamienną twarz, oparł się plecami o gruby pień, żując kawałek chleba z serem.

W pewnej chwili żyłastym młodzieńcem dźwigającym topór bojowy zainteresował się centurion. Podszedł do Tarkwiniusza i zapytał, czy przypadkiem nie chciałby się zaciągnąć. Rzym zawsze szukał ludzi, którzy umieli walczyć. Etrusk uśmiechnął się i wyraził zainteresowanie propozycją. Czyż zaciągnięcie się do armii, która była odpowiedzialna za ujarzmienie jego ludu, nie było najbardziej naturalną rzeczą na świecie? Tarkwiniusz spodziewał się, że tak właśnie się stanie.

Po dwóch miesiącach ciężkiego szkolenia legion Tarkwiniusza wyruszył do Azji Mniejszej na trzecią wojnę Rzymu z Mitrydatesem, królem Pontu. Na miejscu od trzech lat siłami rzymskimi dowodził Lukullus, dawniej będący prawą ręką Sulli. Gdy haruspik przybył do rzymskiej kolonii, Lukullus pokonał już Mitrydatesa, zmuszając go do wycofania się na tereny sąsiedniej Armenii, gdzie pontyjski władca lizał rany pod ochroną króla Tigranesa. Mitrydates wciąż jeszcze był wolnym człowiekiem, a to, jak pokazywały poprzednie gorzkie doświadczenia, oznaczało, że konflikt trudno było nazwać za zakończony.

Odrzucając wszystkie pokojowe oferty, Tigranes odmówił przekazania Mitrydatesa Rzymowi, co w mniemaniu generała rozwiązywało mu ręce. Lukullus bez

wahania poprowadził swoje legiony do Armenii. Do pierwszej bitwy doszło w pobliżu stolicy Armenii, miasta noszącego nazwę Tigranocerta. Mimo że armia Lukullusa ustępowała wrogowi pod względem liczebności, generał zmiażdżył Armeńczyków, odnosząc jedno z najpiękniejszych zwycięstw w historii Republiki. Dziesiątki tysięcy żołnierzy wroga zginęło. Tarkwiniusz wyróżnił się w walce i miał swój udział w rozbiciu formacji wroga na skrzydle w kluczowym momencie bitwy. Chociaż walcząc w szyku, używał rzymskiego gladiusa, w pogoni za uciekającymi wrogami młody Etrusk wołał posługiwać się toporem. Legioniści patrzyli z podziwem, jak Tarkwiniusz operuje błyszczącym żelaznym ostrzem, które bez trudu mogło rozplątać wroga na dwie części. Nagrodą dla Tarkwiniusza był awans do stopnia *tesserarius*, młodszego oficera straży dla centurii.

Tarkwiniusz uśmiechnął się na to wspomnienie. Kiedy centurion dowiedział się, że nowy *tesserarius* potrafi czytać i rachować, a także wypełniać dokumentację przebiegu służby, natychmiast zarzucił go papierami. Wkrótce Tarkwiniusz zajmował się rekwizycją dostaw, obliczaniem wynagrodzenia żołnierzy i zamawianiem nowego sprzętu.

Tymczasem Mitrydates znów wymknął się Rzymianom. Wrócił do Pontu i zebrał nową armię, pokonując lokalne siły rzymskie. Przebywający w Armenii Lukullus nie mógł zareagować, ponieważ prowadził działania przeciwko lokalnym oddziałom partyzanckim. Co gorsza, wśród jego żołnierzy wybuchł bunt. Ludzie prowadzili z nim kampanię przez sześć długich lat. Podobnie jak wszyscy legioniści musieli znosić ostrą dyscyplinę i żyć ze świadomością stałego zagrożenia przy małym żołdzie. Podczas kolejnej długiej, mroźnej zimy pod namiotami pojawiły się pogłoski o wspaniałych warunkach, jakie zapewnia swoim weteranom Pompejusz. Mimo wysiłków Tarkwiniusza i innych oficerów zaczęły szerzyć się dezercje. Nastroje niezadowolenia podsycił arogancki i kłótlivy młody patrycjusz o imieniu Klodiusz Pulcher, szwagier Lukullusa. Tarkwiniusz poczuł do niego niechęć już w chwili, gdy go zobaczył po raz pierwszy. Po odesłaniu kłopotliwego krewnego Lukullus przemieścił swoją zbuntowaną armię do Pontu, chyba tylko dzięki swojej silnej woli. Wiedział jednak, że nie może już zaufać swoim ludziom, gdy staną do walki z Mitrydatesem.

Choć w najbliższej okolicy opór wroga był raczej symboliczny, Lukullusowi nie udało się sięgnąć po ostateczne zwycięstwo. W takich sytuacjach Rzym postępował bezlitośnie. Na ratunek Lukullusowi wysłany został Pompejusz, który prowadził największą armię rzymską, jaka kiedykolwiek wyruszyła na wschód. Tarkwiniusz



i legionieści Lukullusa mogli naocznie przekonać się o bezwzględności Rzymu, gdy Pompejusz pozbawił ich dowódcę nie tylko dowodzenia, ale i samych legionów, sprawiając, że generał odnoszący wielkie sukcesy z dnia na dzień stał się zwykłym obywatelem. To był poniżający koniec kariery zdolnego dowódcy.

Pompejusz szybko poradził sobie z ostatnimi ogniskami oporu, zmuszając Mitrydatesa do ucieczki w góry. Armenia stała się nową rzymską prowincją, a Tigranes zależną od Rzymu marionetką. W Azji Mniejszej znów zapanował pokój, a przebiegły Pompejusz przypisywał sobie całą chwałę. Do tego czasu Tarkwiniusz spędził cztery lata w armii. Sam nie spodziewał się, że takie życie może mu się podobać. Żołnierskie przyjaźnie, mieszanina obcych języków i kultur, a nawet bitwy sprawiały młodemu Etruskowi znacznie więcej satysfakcji niż jego dawne życie na latyfundium. Albo tak mu się tylko zdawało. Od momentu zaciągnięcia się do armii starał się unikać przepowiadania przyszłości. Ignorował nawet znaki, które dawały się odczytać z pogody.

Najpierw tłumaczył sobie, że robi to dlatego, żeby się nie wychylać i nie ściągać na siebie uwagi, ale w końcu zdał sobie sprawę, że chodziło mu przede wszystkim o odsuwanie od siebie smutku. Udawał przed samym sobą, że Olenus nie odszedł na zawsze. W konsekwencji Tarkwiniusz zdecydował, że da sobie spokój z armią, zdeterminowany, aby odkryć w końcu, kim jest i czego chce od życia. Samowolne opuszczenie jednostki jest przestępstwem karanym śmiercią. Tarkwiniusz wiedział, że decydując się na taki krok, już na zawsze zostanie zbiegiem. Nie martwił się tym specjalnie. Wiedział, że dopóki nie zwraca na siebie uwagi, właściwie może robić, co chce, i nikt nie odkryje, że jest dezterterem. Jego zniknięcie mogło spowodować niewielkie zamieszanie. Był przecież tylko jednym z szeregowych żołnierzy rzymskich legionów.

Najpierw wyruszył do pobliskiej Lidii, gdzie odwiedzał miejsca kultu i świątynie, szukając dowodów na związki tych ziem z ludem Rasenna. Nie znalazł wiele śladów. Kilka przypadkowych sanktuariów poświęconych Tinii i parę rozpadających się kurhanów. To wystarczyło, aby się przekonał, że na tych ziemiach mieszkali kiedyś Etruskowie, ale takie dowody nie były wystarczające, żeby odrzucić tezę o tym, że do Lidii przybyli z jakiejś innej krainy. Tarkwiniusz nie chciał jeszcze żegnać się z wybrzeżami Morza Śródziemnego, dlatego wyruszył na Rodos, gdzie poznał wielkiego filozofa Podejdoniosa, ciekaw jego opinii na temat dominacji Rzymu w obszarze śródziemnomorskim. Potem trafił do Afryki Północnej, żeby na własne oczy ujrzeć ruiny Kartaginy. Następne były Hiszpania i Galia. Zawsze

starał się unikać obozów wojskowych i ludzi, którzy je zapełniali. Rzym wysyłał swoich żołnierzy niemal we wszystkie zakamarki znanego mu świata, dlatego nawet w odległych placówkach możliwe było spotkanie kogoś, kto mógł rozpoznać w nim dezertera.

Jednak zawsze gdy Tarkwiniusz składał głowę do snu, każdego wieczoru, pod powiekami pojawiał się mu obraz Celiusza.

*Jednak w końcu Rzym znów zacznie cię przyciągać. Żądza zemsty.*

Olenus znów się nie mylił. Ponad dziesięć lat po tym, jak opuścił Italię, Tarkwiniusz wracał owładnięty jedną myślą. Musiał mu odpłacić. Zemścić się za śmierć swojego mentora.

Pogrążony w myślach Tarkwiniusz nie zauważył zamieszania przed wejściem do świątyni. Wrzawa narastała.

– Z drogi! – zawołał potężny ochroniarz, którego rolą było torowanie drogi okazałej lektyce, niesionej przez czterech dobrze umięśnionych niewolników. Rozdawał razy na prawo i lewo, bijąc laską po ramionach wszystkich, którzy nie zdążyli się usunąć. – Droga dla Marka Krassusa, pogromcy Spartakusa!

– Myślałem, że to był Pompejusz! – zażartował ktoś stojący niedaleko Etruska.

Ci, którzy usłyszeli tę uwagę, roześmiali się w głos. Krassus wciąż jeszcze nie potrafił pogodzić się ze sposobem, w jaki jego rywal odebrał mu zaszczytne miano tego, który piętnaście lat wcześniej zdławił bunt niewolników.

Ochroniarz wyciągnął gladius i rozgniewany odwrócił się, żeby zobaczyć, kto mógł rzucić tak beczelną uwagę. Jednak znajdujący się na rzeczy obywatel pochylił głowę, przez co stał się tylko jedną z anonimowych osób w tłumie. Choć tak naprawdę nie mieli wiele do powiedzenia w kwestii polityki Rzymu, zwykli obywatele cieszyli się ograniczoną wolnością i mogli swobodnie wyrażać swoje opinie. Politycy musieli się jakoś z tym pogodzić i często zdarzało się, że na ścianach budynków publicznych, a nawet na murach własnych domów znajdowali graffiti, które było jednym ze sposobów wyrażania opinii przez tłum. Sprawców takich wykroczeń rzadko łapano na gorącym uczynku. Strażnik wyładował swoją wściekłość, uderzając płazem miecza w plecy najbliższego ulicznego urwisa. Ten zaskowytał głośno, wywołując na twarzy ochroniarza tylko kwaśny uśmieszek.

Tarkwiniusz bacznie obserwował lektykę, która zatrzymała się u stóp schodów. Podróżował nią człowiek, który zapłacił Celiuszowi fortunę za informacje na temat wątroby z brązu i miecza Tarkwina. Był więc pośrednio odpowiedzialny za śmierć Olenusa. Ludzie stojący obok Etruska również wyciągali szyję, żeby zobaczyć coś

więcej niż tylko płótno lektyki. Krassus był jednym z najbardziej wpływowych dostojników w Rzymie i choć ustępował popularnością Pompejuszowi, był tak bogaty, że wszyscy obywatele przynajmniej go podziwiali. Albo mu zazdrościli.

Podnosząc osłonę z jednej strony lektyki, ochroniarz dał znak swojemu panu, że znaleźli się na miejscu. Nastąpiła krótka przerwa, po czym w otworze pojawił się niewysoki, szpakowaty mężczyzna, ubrany w drogą togę. Przystanął na chwilę, żeby się rozejrzeć, oceniając nastrój tłumu. Przychylność opinii publicznej była istotna dla tych, którzy liczyli na zdobycie dla siebie ważnego urzędu. A Krassus był jednym z nich. Wszyscy to wiedzieli. Władza, jaką dzierżył w swoich rękach wspólnie z Pompejuszem i Juliuszem Cezarem, każdego dnia stawała się większa. Choć rywalizacja między członkami triumwiratu toczyła się głównie za kulisami, miasto aż huczało od plotek. Wydawało się, że każdy z triumwirów dążył do zdobycia niepodzielnej władzy. I żaden z nich nie liczył się z kosztami.

– Obywatele Rzymu – Krassus rozpoczął swoją przemowę dramatycznym głosem. – Przybyłem do świątyni wielkiego Kastora po jego błogosławieństwo. – Rozległy się głośne westchnienia oczekiwania. – Chciałbym, aby wielki jeździec dał mi znak – oświadczył Krassus – boskiej aprobaty.

Czekał na reakcję.

Tarkwiniusz rozejrzał się wokół. Na twarzach zgromadzonych dał się zauważyć wzrost napięcia. *Krassus uczy się, jak umiejętnie manipulować tłumem* – pomyślał.

– W jakiej sprawie, *domine?* – odezwał się ten sam człowiek, który wcześniej wspominał Pompejusza. Nawet on chciał się dowiedzieć, dlaczego Krassus przybył do świątyni.

Zadowolony, że usłyszał wreszcie to pytanie, Krassus potarł swój orli nos.

– Chciałbym zobaczyć znak, że uda mi się sięgnąć po wielkie zwycięstwo dla chwały Rzymu!

To wyznanie wywołało natychmiastowy entuzjazm tłumu.

– Jako namiestnik Syrii zamierzam rozszerzyć granice Republiki na wschodzie – powiedział Krassus pewnym głosem. – Zniszczę tych dzikusów, którzy z nas drwią i zagrażają naszej cywilizacji!

Rozległy się głośne okrzyki poparcia.

Taki spektakl nie był niczym niecodziennym. Jeśli Rzym uznał, że jest w niebezpieczeństwie, wówczas biada tym, którzy uważani byli za odpowiedzialnych za ten stan rzeczy. Największa potęga basenu Morza Śródziemnego, która przez wieki nie miała sobie równych – Kartagina – ośmieliła się przeciwstawić Republice dwa

wieki wcześniej. Rzym potrzebował trzech długich wojen, ale w końcu doprowadzić do tego, że kartagińskie miasta zostały starte z powierzchni ziemi przez legiony.

Tarkwiniusz musiał szanować lekceważącą arogancję nawet zwykłych obywateli. Nie przerażało ich byle co. I choć większość nie miała najmniejszego pojęcia, dlaczego Krassus pragnął stanowiska namiestnika w Syrii, obraz wielkich sukcesów odnoszonych na polu walki przemawiał do wszystkich. I nie miało znaczenia, że w rzeczywistości sąsiedzi imperium nie ingerowali w politykę Rzymu ani nie zabijali rzymskich wysłanników na wschodzie. Rzymianie jakoś instynktownie respektowali tylko prawo silniejszego. Prawo wojny. Od wielu wieków walczyli co roku dla chwały Rzymu, a każdej jesieni wracali do swoich gospodarstw.

– A gdy wrócę – kontynuował Krassus – podwoję przydziały zboża!

Takie oświadczenie zostało przyjęte z jeszcze większym entuzjazmem. W konsekwencji gwałtownego spadku cen produktów rolnych większa część mieszkańców Italii straciła swoje gospodarstwa i była zależna od *congiaria* – darowizn, złożonych z żywności i pieniędzy, od których zależało ich przetrwanie. Ofiarowana obecnie mieszkańcom miasta ilość zboża była za mała, aby rodziny mogły przeżyć przez rok, i każda obietnica zwiększenia kontyngentów natychmiast spotykała się z aprobatą tłumu.

Krassus uśmiechnął się usatysfakcjonowany przyjęciem, po czym ruszył po schodach do wejścia. Tłum pozostający na zewnątrz wiwatował na jego cześć. Na szczycie schodów czekał kapłan, który miał towarzyszyć Krassusowi. Wrzawa powoli cichła. W jej miejsce słychać było już tylko szum głosów podekscytowanych obywateli, którzy zaczęli głośno komentować to, czego właśnie byli świadkami.

Tarkwiniusz dobrze wiedział, czemu miał służyć ten spektakl. Wizyta w świątyni została wyreżyserowana. Krassus pojawił się w mieście akurat wtedy, gdy forum wypełniały wielkie tłumy. Gdyby chciał pomodlić się w ciszy i skupieniu, pojawiłby się kilka godzin wcześniej lub później. Najwyraźniej doszło do podwyższenia stawki w walce o władzę. Krassus zapragnął zwycięstw na polach bitew, które lud mógłby porównać z odniesionymi przez jego rywali na scenie politycznej. Dziś zdecydował się ujawnić swoje plany. Tarkwiniusz spojrzął w górę, mrużąc oczy w słońcu. Dość silny wiatr. Nieliczne chmury. Wkrótce pogoda zmieni się, przynosząc deszcz.

Krassus ruszy na wschód z armią. Do Partii i dalej. A ja udam się tam razem z nim.

– Tarkwiniusz!

Młody Etrusk rzadko słyszał swoje imię, dlatego w pierwszej chwili nie

zareagował.

– *Tesserarius!* – usłyszał ponownie ten sam głos.

Zesztywniał. Zlokalizował źródło głosu i postać, która wydała mu się znajoma. Przez tłum gapiów przepychał się jakiś nieogolony mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, średniego wzrostu, z włosami przystrzyżonymi na wojskową modłę. Poplamiona tunika nie była w stanie ukryć splotów twardych mięśni rąk i nóg, a pas z krótkim sztyletem wskazywał, że ów człowiek jest żołnierzem. Młody Etrusk obrócił się na pięcie, ale nagle poczuł, że ktoś chwyta jego lewe ramię w żelaznym uścisku.

– Zapomina się dawnych towarzyszy broni? – zadrwił mężczyzna.

Tarkwiniusz odwrócił się, udając zaskoczenie.

– Legionista Marcus Gallo... – powiedział spokojnie, przeklinając swoją decyzję dotyczącą tego, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. W konsekwencji jego sztylet był akurat poza zasięgiem rąk, schowany głęboko w plecaku. – W końcu wyrzucili cię z armii za pijaństwo?

Usta Galla skrzywiły się w nieprzyjemnym grymasie.

– Jestem na zasłużonym urlopie, dezerterska szumowino – syknął. – Pamiętasz, co robią z takimi jak ty? Jestem pewien, że nasz centurion będzie zachwycony, że może ci to zademonstrować. – Gallo rozejrzał się niepewnie, najwyraźniej szukając wzrokiem towarzyszy.

Nie było ich widać. Jeszcze nie! Ale i tak w gęstym tłumie ludzie znajdujący się najbliżej dobrze słyszeli oskarżenie. Serce Tarkwiniusza zaczęło szybciej bić. Młody Etrusk wziął głęboki oddech, prosząc bogów o przebaczenie tego, co miał zamiar uczynić. Gallo nie pozostawił mu wyboru. Jego potężny uchwyt unieruchamiał ramię Etruska. Jeśli szybko czegoś nie wymyśli, zawisnie na krzyżu przed zachodem słońca. Zostanie ukrzyżowany dla przykładu.

– Ty pijany głupcze! – Tarkwiniusz zawołał, uśmiechając się szeroko. – Czy już zapomniałeś, jak uratowałem twój nędzny żywot w Poncie?

Szybka, radosna odpowiedź była dokładnie tym, czego potrzebował. Ludzie, którzy jeszcze przed chwilą marszczyli brwi, teraz uśmiechali się. A większość z tych znajdujących się najbliżej odwróciła wzrok. Gallo jednak skrzywił się i już otwierał usta, żeby odeprzeć zarzut Tarkwiniusza.

Jednak zanim zdążył coś powiedzieć, haruspik niemalże otarł się o niego, wyciągając prawą ręką sztylet z pochwy wiszącej na pasie Galla. Udając, że obejmują się jak starzy znajomi, Tarkwiniusz wraził ostrze między żebra nieszczęśnika. Prosto

w serce. Zdziwiony legionista wytrzeszczył oczy i otworzył usta niczym ryba wyjęta z wody. Tarkwiniusz ucałował go w policzek, a uchwyt Galla zelżał, dzięki czemu Tarkwiniusz mógł podtrzymać śmiertelnie rannego w pionie, podpierając go lewym ramieniem. W tak gęstej ciżbie nikt nie zauważył, co się stało.

– Przykro mi – szepnęła haruspik, ale Gallo już nie słyszał jego słów.

Legionista był już całkiem bezwładny, a z jego ust sączyła się strużka śliny.

Tarkwiniusz przekreślił sztylet, żeby mieć stuprocentową pewność, że rana będzie śmiertelna.

Nagle w tłumie rozległy się głośne wybuchy śmiechu, bo na twarzy ochroniarza Krassusa wylądowała przejrzała śliwka. Wkrótce mężczyzna został zasypany prawdziwym gradem owoców. Potraktowany wcześniej przez strażnika mieczem urwis wrócił. I to z licznymi odwodami. Banda brudnych dzieciaków w starych, porwanych szmatach krzyczała z radości, obrzucając osiłka skradzionymi śliwkami. Mężczyzna zaklął i wyciągnął miecz, ale zwinni przeciwnicy z wielką łatwością unikali jego ciosów, wykonywanych niemal na oślep. Przechodnie uśmiechali się tylko pod nosem i wykrzykiwali słowa zachęty dla obu stron. Nikt już nie zwracał uwagi na dwóch starych znajomych z wojska.

Tarkwiniusz mógł to wykorzystać. Delikatnie opuścił Galla, układając go twarzą ku ziemi, tak żeby czerwona plama krwi nie rzucała się w oczy. Potem wcisnął się w największy tłum, kierując się w stronę najbliższej ulicy odchodzącej od forum. Po dwudziestu krokach nie dostrzeże go już nikt stojący na schodach świątyni. A nawet jeśli ktoś go zobaczy, nie będzie w stanie go dogonić.

Spotkanie z Gallem mogło przynieść opłakane skutki. To nie mogło się powtórzyć. Tarkwiniusz skręcił w wąską uliczkę i zdjął zakrwawione okrycie, owijając materiał wokół topora. Musi być jeszcze ostrożniejszy i od teraz będzie zostawiał swoją charakterystyczną broń na kwaterze. Nikt nie może mieć żadnych podejrzeń w kwestii tego, kim był Tarkwiniusz i dlaczego przebywa w Rzymie.

Haruspik poczuł zapach smażonej wieprzowiny z pobliskiego straganu i w odpowiedzi zaburczało mu w brzuchu. Sięgając do sakiewki, haruspik kierował się spokojnie w stronę, skąd dochodził do niego kuszący zapach. Na jego ustach błąkał się uśmiech.

Partia. Olenus miał rację. Po raz kolejny.

## Rozdział IX

# *Lentulus*



Szkoła gladiatorów *Ludus Magnus*, 56 r. p.n.e.

**R**omulus nie czułby się bezpiecznie, gdyby musiał położyć się do łóżka w tej samej izbie, w której spał Lentulus. Tylko że nie miał dokąd pójść. *Ludus* był pełen twardych mężczyzn, z których żaden nie zaproponował mu schronienia po ostatnich wydarzeniach. Nie zrobił tego nawet Cotta.

Zaklął.

Memor zapewne liczył na to, że konflikt rozwiąże się tej nocy sam, bo któryś z nich skończy z nożem wbitym pod żebra. Romulus nie chciał zginąć we śnie. Nie zniżyłby się do takiego zakończenia kłótni, ale Gotowi nie można było ufać. Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić, dlatego spacerował po placu ćwiczeń, pod rozgwieżdżonym niebem, gdy inni już dawno wrócili do siebie. Miejsce, w którym Flawiusz dokonał żywota, wciąż jeszcze zwracało uwagę kilkoma ciemnymi plamami na piasku. Romulus zdrzął. Zneutralizowanie *murmillo* przyszło mu z łatwością, ale

dopiero teraz chłopak zaczynał naprawdę rozumieć konsekwencje swojego czynu.

Stał się prawdziwym gladiatorem.

– Pierwszy raz?

Romulus odwrócił się zaskoczony. Zobaczył Brennusa, stojącego w drzwiach swojego pokoju.

– Tak – chłopak zamilkł, ale po chwili z jego ust popłynął potok szybkich wyjaśnień. – Dałem mu szansę. Powiedziałem, żeby uwolnił Astorię, ale on myślał, że nie mówię poważnie.

– Ten kutas zasłużył na śmierć. W przeciwieństwie do wielu innych, których spotkasz na swojej drodze. Ale i tak będziesz musiał ich zabić albo sam pożegnasz się z życiem.

Romulus spojrział na największą plamę krwi, wyobrażając sobie, że to on leży ranny na piasku. Życie wyciekło z Flawiusza razem z krwią w ciągu zaledwie kilku bolesnych chwil. Romulus poczuł żal. *Murmillo* właściwie nic mu nie zrobił. Potem przypomniał sobie jednak jego ofertę skierowaną do innych gladiatorów.

– Chcieli zgwałcić Astorię – mruknął.

Gal zmarszczył brwi.

– To dlatego go zaatakowałeś?

– Po części... – na twarzy młodzieńca pojawiło się poczucie winy zmieszane z gniewem. *Powinienem był od razu wszystko mu powiedzieć.*

Brennus spieszył się lekko, gdy chłopak opowiedział mu, jak wcześniej Lentulus rozpowiadał o swoich planach względem Astorii.

Galowi spodobała się taka odpowiedź. Próbował pocieszyć chłopaka.

– Nikt inny nie próbował pomóc, prawda?

Romulus pokręcił głową.

– Wolałbym jednak, żeby na miejscu Flawiusza znalazł się Gemellus.

– Kto?

– Kupiec, który mnie sprzedał. Ten drań sprzedał też moją siostrę do Lupanaru. Tylko bogowie wiedzą, co zrobił mojej matce.

Oczy Brennusa ściemniały od wspomnień.

– Życie może dać w kość – wyciągnął umięśnione ramię w stronę Romulusa. – Ciesz się, że wykończyłeś Flawiusza.

Romulus chwycił wyciągniętą rękę.

– Pozostaje mi tylko poradzić sobie z Lentulusem.



– Nie ma co się martwić na zapas – odezwał się Brennus konspiracyjnym tonem. – Nazywasz się Romulus, prawda?

– Tak.

– Dobre imię.

– Czy z czasem zabijanie staje się łatwiejsze? – spytał Romulus z lekką niepewnością.

– W pewnym sensie – zaśmiał się głucho Brennus. – Staram się już tym nie przejmować. Walczę. Zabijam szybko. I mam to z głowy.

Romulus stwierdził, że zaczyna lubić Gala, w którego głosie wyczuł smutne tony. Pomimo zasłużonej reputacji śmiertelnie groźnego przeciwnika wydawał się człowiekiem honoru.

– Masz gdzie spać?

Romulus pokręcił głową. Wyjaśnił, dlaczego nie spieszy mu się do łóżka.

– I ja bym raczej nie zmrzążył oka, gdybym miał świadomość tego łajdaka czającego się w pobliżu – Brennus wskazał ręką drzwi do swojej izby, zachęcając do wejścia. – Będziesz spać na podłodze. To mało wygodne, ale przynajmniej nikt nie poderżnie ci gardła.

Romulus popatrzył niepewnie na ukryty w ciemności plac ćwiczeń. Nie wiedział, co robić.

– To najmniejsza przysługa, jaką mogę ci się odwdzińczyć – Brennus pokiwał głową. – Pomogłeś uratować moją kobietę.

Romulus zdawał sobie sprawę, że nie ma dużego wyboru, może jeszcze tylko wrócić do swojego łóżka. Wzruszył ramionami i poszedł za Brennosem.

Rozglądał się z zainteresowaniem po pomieszczeniu, w którym mieszkał jeden z największych gladiatorów szkoły *Ludus Magnus*. Ciała *murmillones* uprzątnięto już z podłogi. Trafiły do kostnicy. Astoria spędziła wiele godzin z wiadrem wody i szmatą, ale gdzieniegdzie wciąż jeszcze można było zauważyć jakieś ślady krwi.

Pokój mieszkalny jakoś specjalnie nie różnił się od innych. Mebli było niewiele. Pod jedną ścianą znalazło się miejsce dla sporych rozmiarów łóżka, obok którego piętrzył się stos wełnianych pledów. Na podniszczonym drewnianym stole leżał chleb i stała miska z mięsem. Dwa duże regały u stóp łóżka wypełnione były elementami zbroi, bronią i rynsztunkiem w takiej ilości i o takiej różnorodności, że aż w głowie Romulusa nie mieściło się, iż jeden człowiek może posiadać tyle sprzętu. Tarcze i włócznie stały oparte niedbale o ściany, a inne elementy uzbrojenia

wypełniały wszystkie dostępne miejsca. To było pomieszczenie należące do mistrza gladiatorского fachu.

Rozpromieniona Astoria powitała go ciepłym uśmiechem.

– Jeszcze raz dziękuję, Romulusie.

– To nie było nic takiego – Romulus potrząsnął głową, zawstydzony.

– Nieprawda. Ten człowiek przyłożył mi nóż do szyi.

Romulus wyszczerzył zęby nie tylko na myśl o ostrzu Flawiusza, lecz także przypominając sobie wspaniałe widoki nagiego ciała Astorii...

– Dobrze sobie poradziłeś – Brennus machnął zabandażowaną ręką, wskazując najgrubszy pled. – Usiądź. Później może znajdziemy coś bardziej odpowiedniego do spania. Myślę, że na razie nie palisz się do powrotu do celi z innymi gladiatorami.

Astoria podała mu pajdę chleba i kawał wołowiny. Brennus przykucnął z osetką w dłoni w jednym rogu pokoju, ostrząc swój miecz długimi, naturalnymi ruchami.

Romulus obserwował go z zaciekawieniem. Niewielu gladiatorów w *ludus* używało podobnej broni.

– Dlaczego walczysz tym mieczem?

– To broń, którą posługiwali się ludzie z mojego plemienia – Brennus uniósł z dumą długie żelazne ostrze. – I na całym świecie nie ma lepszej! – wyciągnął miecz w kierunku Romulusa. – Ma większy zasięg niż te krótkie koziki, których używacie wy, Rzymianie. Oczywiście trzeba krzepy, żeby nim władać.

Romulus wbił wzrok w podłogę, czując uderzenie gorąca. Nie dorósł jeszcze do tego, aby walczyć długim mieczem.

– Jeszcze nigdy nie musiałeś stawać do walki na śmierć i życie, prawda?

– Nie.

– Widziałem, jak ćwiczysz przy palusie. Nie jest źle. – Romulus urósł z dumy na tę pochwałę. Jednak Gal po chwili uderzył w poważniejszy ton. – Ale Lentulus cię poćwiartuje, jeśli nie będziesz ostrożny.

– Co w takim razie mam robić? – spytał Romulus, cały zamieniając się w słuch.

– Widziałem, jak walczy. Jest pewny siebie – ostrzegał Brennus. – Będzie się spieszyć. Zechce wykorzystać przewagę brutalnej siły. Zaatakuje i będzie liczyć na jeden zabójczy cios. Musisz wystarczająco długo utrzymać tego drania na dystans. Zmęczyć go. Zranić – Brennus przyjrzał się ostrzu, szukając niedoskonałości. – Wtedy Lentulus da ci więcej miejsca. Będziesz miał czas, żeby się zastanowić i coś wymyślić.

Romulus przeżuwał mięso i chleb w zamyśleniu. Cotta był dobrym nauczycielem, ale niektórzy gladiatorzy w *ludus* twierdzili, że uczył niedzisiejszych technik, które nie sprawdzały się już w potyczkach toczonych na arenie. Chociaż siła i uwarunkowania fizyczne Brennusa były ważnymi czynnikami decydującymi o jego sukcesach, Gal był również ekspertem od walki różną bronią. Może Romulus nauczy się od niego czegoś, co kiedyś uratuje mu życie?

– Pamiętaj, żeby mieć pod ręką ten puginał. Przyda się, jeśli będziecie walczyć w zwarcu – Brennus wykonał gest oznaczający dżgnięcie. – Wiedziałeś, jak uderzyć Flawiusza, żeby go zabołało.

– Cotta mi pokazał.

– Dobry człowiek z tego Libijczyka. Pamiętaj, czego cię uczył. Chodzi o to, żeby nie zapominać o podstawach.

– Jakich podstawach?

– Tarcza. Wyrzut. Krok do tyłu – Brennus uśmiechnął się. – Wciąż słyszę te komendy, nawet kiedy walczę.

– Ale widziałem, że potrafisz obrócić się i powalić przeciwnika cięciem.

– Tylko wtedy, gdy wiem, jak się porusza – Brennus wskazał palcem na głowę. – I o czym myśli. Trzeba mieć trochę czasu, żeby ocenić zachowanie wroga. Dopóki tego nie zrobisz, zadbaj przede wszystkim o swoje bezpieczeństwo.

– Tak zrobię.

Romulus długo słuchał Gala, wyjaśniającego mu różne szczegóły technik walki. Gladiator zademonstrował także kilka nieznanymi wcześniej Romulusowi ruchów. Obserwowanie, jak Brennus włada mieczem, było dla chłopaka niesamowicie ekscytującym doświadczeniem.

– Mówią, że na arenie masz walczyć zgodnie z kodeksem gladiatora – Brennus popatrzył z powagą na chłopaka. – Tego oczekuje od ciebie Cotta, prawda?

Romulus skinął głową.

– Ma to sens, jeśli mówimy o zwykłej walce na punkty. Jednak kiedy walczysz na śmierć i życie... rób wszystko, co musisz.

– Co masz na myśli?

– Kopnij nogą tak, żeby przeciwnik dostał piaskiem po oczach – Gal pociągnął ciężkimi sandałami po podłodze. – Uderz go głową osłoniętą hełmem. – Romulus otworzył usta, nie dowierzając. – Kopnij go w jaja, jeśli możesz.

– To nieuczciwe.

Brennus zmierzył Romulusa poważnym spojrzeniem.

– Czy myślisz, że Lentulus powstrzyma się przed nieczystymi zagrywkami, jeśli wylądujesz na piasku?

Romulus potrząsnął głową.

– Walka na arenie nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością czy niesprawiedliwością – powiedział Gal z żalem. – Liczy się tylko jedno. Przetrwanie. Twoje życie albo jego!

Zabić lub zginąć. Taki jest wybór.

– Czas, żeby Romulus trochę się przespał – odezwała się Astoria. – W przeciwnym razie będzie zbyt zmęczony przed walką z tym śmieciem.

– Zawsze słuchaj, co mówi twoja kobieta – Brennus ucałował Astorię w policzek.

– A kiedy to mnie tak słuchałeś? – zapytała Nubijka, głaszcząc ramię Brennusa.

Romulus z ulgą położył się na podłodze. Przykrył się wełnianym kocem. Jego wybawcy tej nocy wkrótce też ułożyli się do snu. Gal niemal natychmiast zaczął chrapać. W normalnych warunkach taki hałas powodowałby, że Romulus przez długie godziny nie mógłby zasnąć, ale chłopak miał za sobą naprawdę ciężki dzień i był wyczerpany. Zamknął oczy i szybko odpłynął. Nic mu się nie śniło.

Rano bogowie zdecydują, kto umrze, a kto będzie żył.

Brennus obudził Romulusa dobrze przed świtem. Było jeszcze ciemno, ale Astoria już rozpałała ogień w małym piecyku.

– Przed walką trzeba rozciągnąć mięśnie – Brennus poprowadził małą rozgrzewkę z serią ćwiczeń. Nie przestawał, dopóki nie był zadowolony z formy chłopaka.

Astoria obserwowała ich przez jakiś czas. Gdy skończyli, wskazała miski z parującą owsianką.

– Siadaj i jedz.

– Dziękuję, ale nie jestem głodny.

– Jedz. Nawet jeśli masz zmieścić tylko kilka łyżek.

– Będzie mi niedobrze...

– Do świtu jeszcze ponad godzina, a głód cię dopadnie – Brennus usiadł przy stole i zanurzył łyżkę w ogromnej porcji, którą nałożyła mu Astoria. – Niedobrze jest walczyć o pustym żołądku.

Romulus zmusił się do jedzenia. Ku jego zaskoczeniu gotowana owsianka smakowała znacznie lepiej niż te pomyje z kuchni *ludus*.

– Dodałam miodu – wyjaśniła Astoria, widząc zdziwienie na twarzy chłopaka.

Jedli w ciszy.

Ocierając usta, Gal podszedł do regału z bronią i wybrał krótki miecz.

– Spróbuj, czy będzie dobry. Dla mnie jest trochę za mały, ale tobie powinien pasować.

Romulus chwycił gladius, podziwiając proste zdobienie rękojeści i śmiertelnie niebezpieczne ostrze. Trzymał miecz z nonszalancją, oceniając jego wagę.

– Pasuje do dłoni.

– Weź i to – Brennus podsunął chłopakowi porządną okrągłą tarczę, pokrytą ciemnoczerwoną skórą.

Romulus wsunął lewą rękę pod paski uchwytu i rzucił się do półprzysiadu z mieczem w dłoni, zerkając znad żelaznej obręczy.

– Jest o wiele lepsza niż to, czego pozwala mi używać Cotta.

– Sporo za nią zapłaciłem. Broń dobrej jakości cię nie zawiedzie.

– Tarcza jest trochę cięższa, niż się spodziewałem.

Brennus błysnął zębami w uśmiechu.

– Spójrz na dolną krawędź.

Romulus uniósł tarczę.

– Metal jest ostry jak brzytwa! Możesz nią odrąbać rękę lub nawet nogę. Albo roztrzaskać hełm. Tak jak rozbiłem wczoraj hełm Narcyza.

Walkę Brennusa szeroko komentowano już w szkole, a jego reputacja wciąż rosła. Ludzie mówili, że w całej Italii nie ma gladiatora, który byłby w stanie go pokonać.

– Ten głupiec mógł żyć, gdyby na koniec nie próbował mnie dźgnąć – stwierdził Gal ze smutkiem.

– A gdybym ja nie zabił Flawiusza, Astoria już by nie żyła.

– W *ludus* nie ma miejsca na litość – zgodził się Brennus. – Dlatego zawsze musisz mieć jakąś niespodziankę dla przeciwnika. I nigdy nie zakładaj, że walka się skończyła, jeśli nie rozplątałeś gardła wrogowi. Albo Charon nie rozbił jego czaszki.

– Zabiję Lentulusa – Romulus sam był zaskoczony pewnością w swoim głosie.

Brennus poklepał go po ramieniu.

– Co z *manicae* i nagolennikami? Masz je u siebie.

– Nie chcę ich. Będę szybszy.

W oczach Brennusa chłopak dostrzegł uznanie.

– Znałem kiedyś kogoś podobnego do ciebie – powiedział cicho.

Pierwsze promienie słońca zaczęły wkraść się przez okno, oświetlając podłogę.

– Chodźmy. Już czas.

– Niech bogowie cię ochronią, Romulusie – powiedziała szybko Astoria.

Gal wyszedł pierwszy. Romulus ruszył za nim. Na podwórzu zgromadzili się już liczni obserwatorzy. Gdy bohaterowie wczorajszych wydarzeń wyszli na chłodny piasek placu ćwiczeń, rozległy się westchnienia.

Brennus obrócił się szybko do chłopaka i wyszeptał:

– Nie rozpraszaaj się. Cokolwiek usłyszysz. Niektórzy z nich będą próbować cię nastraszyć, inni sprowokować. Pamiętaj o skupieniu. Myśl tylko o Lentulusie i czekającej cię walce.

Walka miała odbyć się w strefie zarezerwowanej na trening z prawdziwą bronią. Zmierzając na miejsce, Romulus wbił wzrok w szerokie ramiona Brennusa. Zawsąd dochodziły do niego liczne obraźliwe komentarze.

– Lentulus wypatroszy cię jak rybę!

– Czas na uczciwą walkę, a nie wbijanie komuś sztyletu w plecy!

– Mały, tchórzliwy sukinsyn!

Jeden *murmillo*, który przyjaźnił się z Flawiuszem, splunął na ziemię tuż przed Romulusem. Jego dłoń spoczywała już na rękojeści zakrzywionego noża. Wydawało się, że ten człowiek był gotów go użyć, ale stojący obok Sekstus zastąpił mu drogę z toporem gotowym do ciosu.

– Zostaw go. Zaraz zobaczymy, czy Lentulus zemści się za to, co zrobił chłopak.

*Murmillo* cofnął się, czując respekt przed *scissorem* i jego bronią.

Niezwykle trudno było Romulusowi zachować pewność siebie, gdy widział spojrzenia takiego tłumu gladiatorów. Chłopak zmusił się do wyrównania oddechu. Najpierw długo, spokojnie wciągał powietrze do płuc. Nauczył go tego Juba. Potem równie powoli wypuścił je, uspokajając skołatanę nerwy. Od razu poczuł się lepiej. Ruszył pewnie za Brennusem, który torował drogę do lin. Na placu pojawiło się wielu mężczyzn, którzy chcieli być świadkami pojedynku.

Romulus usłyszał kilka cichych słów zachęty, które podniosły go trochę na duchu. Lentulus wcale nie był tak popularny, jak mu się wydawało.

Jego przeciwnik stał już w przeciwległym rogu, gotowy do walki, rozluźniając mięśnie ramion.

– Poszatkuję cię, ty skurwysynie – warknął.

Romulus zignorował Gota i skupił się na głębokich oddechach. Brennus uniósł

liny, żeby Romulus mógł się swobodnie przecisnąć.

– Kończcie z tym obszczekiwaniem! My tu chcemy dziś jeszcze trochę poćwiczyć.

Memor znalazł się na środku świeżo zagrabionego piasku, upewniając się, że obaj przeciwnicy są gotowi. Jego łucznicy nie odstępowali go ani na krok, gotowi do działania, ze strzałami nasadzonymi na cięciwy. Sekstus przesunął się bliżej lanisty, również przygotowany do użycia w każdej chwili swojego topora. Promienie światła odbijały się od ostrego jak brzytwa ostrza jego broni. Romulus wzdrygnął się na myśl o tym, jakie zadanie Memor powierzył dziś *scissors*.

– Żadnych hełmów. Chcę, żeby to się szybko skończyło.

– Nie ma potrzeby – Romulus uśmiechnął się do Gota, który nałożył na siebie wszystko, co dawało mu jakąkolwiek ochronę.

Lentulus niechętnie zdjął hełm, ale *manicae* wciąż osłaniała jego prawą rękę. Na nogach miał nagolenniki i wybrał *scutum* większą od tej, którą zwykle posługiwali się *secutores*. Natomiast Romulus miał do obrony tylko tarczę, którą dostał od Brennusa.

– Pamiętaj o tym, co ci mówiłem – mruknął Gal. – Spróbuj wytrzymać jego impet. A potem zrób to, co trzeba.

Romulus miał akurat tyle czasu, żeby skinąć głową. Lanista spojrział na obu przeciwników i wykrzyknął:

– Zaczynajcie!

Memor szybko cofnął się za liny. Nie chciał znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Tak jak przewidywał Brennus, Lentulus od razu rzucił się do ataku. Romulus uniósł wysoko tarczę, przesuwając się tak, żeby nie dać się zablokować w rogu. Jednak Got nie zaatakował mieczem. Zamiast tego próbował staranować Romulusa, uderzając swoją wielką tarczą prosto w pierś przeciwnika. Romulus przyjął cały impet na tarczę, ale wylądował plecami na orzeźwiająco chłodnym piasku. Po uderzeniu powietrze uszło mu z płuc. Rozpaczliwie machnął mieczem nisko nad ziemią, usiłując trafić w nogi *secutora*, ale ostrze odbiło się od nagolenników, nie czyniąc mu żadnej szkody.

Lentulus przycisnął stopą *gladius* Romulusa. Przyczaił się nisko.

– Powstrzymałeś mnie przed wyruchaniem tej nubijskiej suki... – jego oczy były ciemne i bezlitosne. – ...to teraz ja cię wypatroszę.

– I tak by ci nie stanął! – Romulus poszukał palcami rękojeści sztyletu i wyciągnął go z pochwy. Będzie miał tylko jedną szansę.

Jego przeciwnik cofnął się trochę, żeby uderzyć w dół. Romulus musiał działać

błyskawicznie. Uniósł sztylet i wbił go z całej siły w stopę Gota, przyszpilając skórzany sandał do ziemi. Lentulus ryknął z bólu, co dało chłopakowi czas, żeby stanąć na nogi. Romulus nie wypuścił z ręki tarczy, ale miecz Brennusa leżał bardzo blisko secutora.

Lentulus opadł na jedno kolano, krzycząc z bólu. Romulus znieruchomiał. Nie bardzo wiedział, co powinien teraz zrobić. Po chwili Got wyciągnął ostrze ze stopy i pojękując, wyrzucił sztylet na zewnątrz lin. Wstał z trudem. Z rany ciurkiem płynęła krew.

– Nie masz gladiusa. Nie masz sztyletu – Lentulus podniósł swój miecz, zbliżając się ostrożnie do Romulusa. Każdy jego krok znaczył ślad krwi na piasku.

Romulus rzucił okiem na miecz leżący na ziemi. Zrozumiał, że jak najszybciej musi go odzyskać. W przeciwnym razie nie ma szans, żeby zabić Lentulusa.

Przez krótki czas przeciwnicy poruszali się po okręgu, zachęcani do działań głośnymi okrzykami obserwatorów. Memor oglądał walkę poirytowany. Co by się nie stało, straci gladiatora, za którego zapłacił niemałe pieniądze. Brennus obserwował wydarzenia w napięciu, z mocno zacisniętymi szczękami.

Lentulus bał się zaatakować, a Romulus czekał na szansę, żeby odzyskać gladius. Jednak za każdym razem, gdy zbliżał się do miejsca, w którym leżał miecz, przeciwnik blokował mu drogę.

– Wykończ go! – Memor tracił cierpliwość. – Albo Sekstus zrobi z wami porządek.

Niski *scissors* uśmiechnął się, unosząc swój topór.

Twarz Lentulusa stężała. Ruszył do przodu, nie chcąc przedłużać walki. Hiszpan zaatakuj słabszego wojownika w ringu. Musiał szybko uśmiercić przeciwnika.

Niepewny, co robić dalej, Romulus zaryzykował szybkie spojrzenie na Brennusa. Gal wykonał ruch, który miał udawać wykorzystanie tarczy, i Romulus w tym momencie przypomniał sobie, czego go uczył. Pozwolił, żeby Lentulus zbliżył się do niego, przygotowując się do kontrataku pod gradem ciosów.

– Połamię ci ręce i nogi – Lentulus sapał – a potem cię wybebeszę.

– Jak twoja noga? Wygląda na to, że trochę boli.

Got uderzał z zapamiętaniem, starając się dosięgnąć głowy Romulusa. Parowanie jego ciosów było trudne. Ramię chłopaka drżało, ledwo radząc sobie z powstrzymaniem siły przeciwnika. Jednak tarcza Brennusa wytrzymała wszystkie ciosy. Romulus zrobił krok do tyłu, zmuszając Lentulusa do oparcia ciężaru na kontuzjowanej stopie. Secutor zaklął i przesunął się bliżej. Ciął mocno



z ukosa. I tym razem Romulus odbił uderzenie, ale było ono tak silne, że poczuł, jak drętwieje mu ramię.

Nagle Lentulus zmienił taktykę, tym razem dźgając przeciwnika prosto w pierś. Romulus z trudem uchylił się przed ciosem. Chytry Got szybko uderzył jeszcze raz i znów udało mu się powalić Romulusa na ziemię. Zdesperowany, żeby skończyć walkę, Lentulus zamachnął się mieczem. Romulus mógł zrobić tylko jedno. Uderzył pięścią mocno w ranę na stopie Gota. Nie było to jakieś naprawdę silne uderzenie, ale wcale nie musiało takie być. Lentulus krzyknął z bólu, niezdolny do zadania ostatniego ciosu. Romulus odturlał się po piasku i stanął na nogi, ciężko dysząc.

Łzy spływały po twarzy Lentulusa, który kołysał się w półprzysiadzie. Teraz liczył się czas. Romulus skorzystał z okazji i ruszył na przeciwnika z uniesioną tarczą.

Lentulus zebrał się w sobie.

W ostatniej chwili Romulus zawirował i wyprowadził szerokie cięcie skierowaną ku dołowi zaostrzoną krawędzią tarczy, wykorzystując swoją prędkość. Tarcza odrąbała wszystkie pięć palców u prawej stopy Lentulusa.

Got wrzasnął. Krew chlusnęła na piasek.

Romulus odbiegł kilka metrów i wreszcie odzyskał swój gladius. Lentulus osunął się na kolana, łapiąc dłońmi stopę w daremnym wysiłku zatrzymania krwawienia. Wydawał się oszołomiony. Wpatrywał się z przerażeniem w gładko odcięte palce, leżące przed nim na piasku. Obserwatorzy, którzy przez jakiś czas milczeli oszołomieni, nagle zaczęli skandować.

– Romulus! Ro-mu-lus!

Chłopak przyłożył końcówkę miecza do podbródka Lentulusa.

– Dlaczego skumałeś się z tymi *murmillones*?

Chociaż Romulus nie lubił Gota, uważał, że zakończenie konfliktu śmiercią towarzysza było zupełnie niepotrzebnym, brutalnym rozwiązaniem. Jednak Memor powiedział wyraźnie, że jeden z nich dziś ma umrzeć. I tym kimś nie będzie Romulus.

Lentulus puścił stopę. Świeża krew chlusnęła z otwartych ran. Jeśli lekarz szybko się nim nie zajmie, Got się wykrwawi.

– Nie mogę stać – w jego głosie czuć było wielki ból. – I nigdy nie będę już w stanie walczyć.

– Wykończ go! – Romulus usłyszał krzyk Sekstusa. Teraz krzyczeli już wszyscy obserwatorzy walki.

Wszyscy poza Brennusem, na którego twarzy pojawiła się duma zmieszana ze smutkiem. *Romulus jest jak Brac* – pomyślał Brennus. *Niezepsuty. Nie chce zabić bezbronnego człowieka. Brac też nigdy by tego nie uczynił.* Gał zamknął oczy.

Lanista nie pozwoli, żeby to się tak skończyło.

Powietrze zamkniętego placu na podwórzu szkoły gladiatorów wypełniło się dudnieniem głosów, przypominających klaustrofobiczną atmosferę areny.

Romulus zobaczył, że Memor porusza głową.

Czas na cios łaski.

Serce mu waliło. Adrenalina wypełniła żyły. Romulus zbliżył się do unieruchomionego przeciwnika. Choć wydawało się, że nie miał szans w walce z Lentulusem, pokonał doświadczonego gladiatora. Nie chciał wykonać wyroku śmierci, ale słowa Brennusa brzmiały echem w jego głowie. *Zabij lub daj się zabić.*

A mimo to wstrzymywał się, nie zważając na ryki mężczyzn zgromadzonych na placu.

Jak we śnie ujrzał Gota, który w zwolnionym tempie niezdarnie rzucił się w jego kierunku z krótkim sztyletem w dłoni. Ukrywał go pod skórzaną *manicae*. Był zbyt blisko, żeby nie dać się trafić, ale udało mu się podbić tarczą rękę Lentulusa, który celował w tętnicę pachwinową.

Ten instynktowny ruch uratował mu życie.

Romulus zachwiał się i zamrugał, bo widział jak przez mgłę. Z jego prawego uda sterczał wbity głęboko sztylet. Obnażywszy zęby, secutor próbował obalić go na ziemię i zbliżyć się tak, żeby dokończyć dzieła.

Romulus potrzebował kilku chwil na otrząśnięcie się z szoku. Opuścił *scutum*, przytrzymując teraz ostrą krawędzią nadgarstek Lentulusa. Znów popłynęła krew. Got zaklął i wycofał rękę.

Romulus już dłużej nie czekał. Pochylił się i wbił sztych w szyję Lentulusa tak, że ostrze wyszło po drugiej stronie, przecinając naczynia krwionośne. Jasnoczerwona ciepła krew trysnęła nad jego ramieniem.

Lentulus zacharczał, gdy tylna część jamy ustnej i gardła wypełniła się płynem. Drapiąc bezsilnie żelazną głównię, patrzył w oczy Romulusowi. Wydawał się mocno zaskoczony. Próbował coś powiedzieć, ale żadne słowo nie wyszło z jego ust.

Chłopak poczuł teraz przeszywający ból w udzie.

– Romulus! Romulus!

Miał wrażenie, że krzyki stały się jeszcze głośniejsze. *Zabij lub daj się zabić* –

pomyślał ponuro, przekręcając gladius, żeby go wyciągnąć. Lentulus upadł na twarz w piasek z miękkim plaśnięciem i już się nie poruszył.

Ból w nodze stał się trudny do zniesienia. Romulus zachwiał się, patrząc na sterczącą z nogi rękojeść sztyletu. Upuścił miecz i tarczę, po czym obiema rękoma sięgnął do rany.

– Stój! – Brennus szybko doskoczył do niego z boku.

Romulus runął w ramiona Gala. Ten delikatnie ułożył go na ziemi.

– Pozwoliłem sobie na utratę koncentracji – powiedział chłopak niepewnym głosem, czując, że ból staje się trudny do zniesienia.

– Zawołajcie lekarza!

Słowa stawały się niewyraźne i docierały do rannego jak przez mgłę. W głowie mu się kręciło i nie potrafił się na niczym skupić. Rana w udzie pulsowała, a ból promieniował w górę ciała. Chłopak czynił nadludzkie wysiłki, żeby nie krzyknąć.

– Umrę?

– Będzie dobrze... – Brennus chwycił jego rękę i trzymał ją w żelaznym uścisku.

– Dobra robota, chłopcze.

Ostatnim wspomnieniem Romulusa był obraz jego przyjaciela ponownie wzywającego greckiego lekarza.

Pierwszą rzeczą, którą Romulus zobaczył po otwarciu oczu, były zmysłowe kształty Astorii, pochylającej się nad rusztem piecyka. Do jego nozdrzy dotarł bogaty, aromatyczny zapach. Poruszył się niespokojnie pod kocem.

– Jestem głodny – udało mu się unieść na łokciu. – Która godzina?

– Minęło południe... następnego dnia. Spałeś prawie półtora dnia – odpowiedziała Astoria. – Jak się czujesz?

– Żyję – Romulus przesunął rękę w kierunku prawego uda, natrafiając na ciężki opatrunek. Skrzywił się. – Boli mnie noga.

– Rana była głęboka. Grek dał ci mandragorę na uśmierzanie bólu – Astoria podeszła do prowizorycznego łóżka z miską w ręce. – Czas na kolejną dawkę.

Łyknął odrobinę i skrzywił się natychmiast.

– Smakuje okropnie.

– Uśmierzy ból. Pij.

Romulus posłusznie opróżnił miskę pełną gorzkiego płynu. Był zbyt słaby, żeby się opierać.

– Teraz połóż się i odpoczywaj.

– Jak źle było?

– Lentulus ominął tętnicę o włos. Bogowie byli po twojej stronie – Astoria się uśmiechnęła. – Dionizos zatamował krwawienie i zszył mięśnie.

– Kiedy będę mógł wznowić treningi?

Astoria przewróciła oczami.

Romulus próbował coś jeszcze powiedzieć, ale nagle poczuł, że jego język staje się sztywny i bezużyteczny. Mandragora zaczynała działać.

– Mniej więcej za dziesięć dni – w pomieszczeniu pojawił się Brennus z odsłoniętą pierśią, po której spływały strużki potu. – I to tylko lekkie ćwiczenia!

Romulus poczuł, że jego powieki stają się coraz cięższe. Kilka chwil później już spał.

– Nie możemy zostawić go w ambulatorium. To pewne – powiedział Brennus. – Figulus lub jeden z jego ludzi poderżnie mu gardło.

– I dobrze. Potrzebujesz przyjaciela, który będzie cię pilnował – Gal westchnął. Minęło wiele lat od czasu, gdy był gotów komuś zaufać. Jednak Romulus bardzo przypominał mu Braca. Posmutniał z powodu tych wspomnień, które wciąż jeszcze były żywe w jego pamięci. – Nie masz oczu z tyłu głowy – zauważyła rezolutnie Astoria. – Ani nie zabijesz na raz dziesięciu ludzi.

Twarz Brennusa pociemniała, gdy przypomniał sobie obraz wioski stojącej w płomieniach. Śmierć Braca. Walkę poprzedzającą jego niewolę. *Tamtego dnia zabiłem więcej niż dziesięciu legionistów. Nie wystarczyło.*

– Dobrze byłoby mieć w pobliżu kogoś, na kogo można liczyć... – przyznał.

– Mówiłeś wcześniej, że Romulus dobrze radzi sobie z bronią. – Brennus potarł podbródek w zamyśleniu. – A zabicie *murmillones* nie przysporzyło ci przyjaciół. Figulus i Gallus namawiali się z innymi – Nubijka spojrzała niepewnie. – Pewnie zamierzają cię zabić, moja miłości.

– Nikt w *ludus* nie ośmieli się mnie tknąć – Brennus poklepał Astorię po ramieniu, próbując ukryć własną niepewność.

– Sam? Nie. Ale w grupie? Może grozić ci niebezpieczeństwo!

– Wiem to – Gal przyznał w końcu. – I Romulus wydaje się dobrym człowiekiem. Zaopiekujmy się nim przynajmniej do czasu, aż stanie na nogi.

Astoria odetchnęła z ulgą i pocałowała Brennusa.

– I wtedy zobaczymy, czy Romulus zechce walczyć ramię w ramię z Brennusem.

Dotrzyli słowa. Przez następne dziesięć dni Romulus miał tak dobrą opiekę, że lepszej nie pamiętał, nawet gdy sięgał pamięcią do czasów, gdy był dzieckiem. Już trzeciego dnia wstał z łóżka i stanął o własnych siłach. Dwa dni później spacerował po placu, podpierając się kulą, którą własnoręcznie wykonał Brennus. Gal towarzyszył mu, zachęcając do większych wysiłków.

– Nie wydają się zbyt szczęśliwi – Romulus wskazał Figulusa i Gallusa, którzy spoglądali na nich krzywo z drugiej strony podwórza.

Brennus plunął w ich stronę.

– Naprawdę?

Romulus nie odpowiedział od razu.

Ci dwaj gladiatorzy byli wojownikami, z którymi trzeba było się liczyć. Figulus bardziej przypominał tura niż człowieka. Był weteranem wojen w Tracji, który już jako gladiator wygrał ponad dziesięć pojedynczych walk. A Gallus był niski i krępy. Utykał, ale wszyscy doskonale wiedzieli, jak dobrze radzi sobie z siecią i trójzębem.

– Będę musiał zabić również ich obu – Romulus powiedział to z taką pewnością siebie, o jaką się nie podejrzewał.

– Oho! Taki zapał do walki robi wrażenie, mój młody przyjacielu! Ale jeszcze nie dasz sobie rady z żadnym z nich – Brennus się uśmiechnął. – Ale za dwa lub trzy lata...

– To za długo. Oni chcą mnie zabić już teraz.

– To prawda – Gal przerwał, zastanawiając się nad czymś. – Dlatego proponuję ci przymierze. Będziemy się wspierać.

– Ja? Mam cię wspierać? – Romulus otworzył i zamknął usta. Był zaskoczony. – Ale ja mam dopiero czternaście lat.

– Jesteś czternastolatkiem, który ma na koncie dwie wygrane walki. Zabiłeś przeciwnika w uczciwej walce. – Romulus spojrzał głęboko w pogodne oczy Brennusa. – Masz świetne predyspozycje, chłopcze. Któregoś dnia staniesz się wielkim wojownikiem.

– Będę zaszczycony, mogąc stać u twojego boku.

– Wśród moich ludzi taki pakt traktowany jest bardzo poważnie – Gal ostrzegł Romulusa nie bez odrobiny emocji. – Jeśli będzie trzeba, każdy z nas będzie walczyć i odda życie za drugiego. To czyni nas braćmi, dopóki jeden z nas lub obaj nie zginie – Brennus zacisnął szczęki. – Czy jesteś na to przygotowany?

Romulus wstrzymał oddech, świadomy tego, jak wiele znaczy dla Brennusa ta

propozycja. Ale i dla niego! Wcześniej Juba był jedynym człowiekiem, któremu mógł zaufać. Chłopak wziął głęboki oddech i skinął głową na znak zgody

Brennus wyciągnął umięśnione ramię. Ich dłonie splotły się w uścisku. Romulus popatrzył mu prosto w oczy i nie spuścił wzroku. Gal uśmiechnął się zadowolony.

– Na pierwszej lekcji dowiesz się, jak szybko zabijać. Mało brakowało, a pod koniec Lentulus prawie by cię zdybał.

– Byłem za bardzo poruszony bliskim zwycięstwem.

– Właśnie. Straciłeś koncentrację – Brennus uderzył go w klatkę piersiową. – Musisz zawsze myśleć o tym, co zrobi twój przeciwnik. I wyprzedzać jego ruchy.

Romulus spojrział w kierunku Figulusa i Gallusa. Sądząc po ich kwaśnych minach, nie ucieszyli się za bardzo przyjaźnią zawartą między Romulusem i Brennusem.

– Na początek powinniśmy zwrócić uwagę na tych dwóch...

– Wcześniej czy później będziemy musieli ich zabić – powiedział Brennus, wruszając ramionami. – Na razie zapomnij o tych dwóch kutasach. Musimy dobrze się wymoczyć. Oto czego potrzebujemy!

Gal zauważył pytające spojrzenie Romulusa.

– Memor wreszcie się poddał i znów pozwolił mi korzystać z łaźni – powiedział z uśmiechem Brennus. – Gorąca woda pomoże ci rozluźnić mięśnie w tej nodze. Potem *unctor* zajmie się zmiękczeniem blizny.

Romulus pokuśtykał przez podwórze, wspierając się na ramieniu Brennusa. Po raz pierwszy od rozstania z Jubą i utraty rodziny młody gladiator poczuł, że ma przyjaciela, któremu może zaufać.

Może powierzyć swoje życie.

I to było wspaniałe uczucie.

## Rozdział X

# *Brutus*



Lupanar, Rzym, 56 r. p.n.e.

**G**dy Fabiola usłyszała wezwanie Jowiny, poczuła przeszywający ją na wskroś dreszcz.

Minęły dwa dni i żaden klient Lupanaru nie zgodził się zapłacić wysokiej ceny za jej dziewictwo. Kilku starców wprawdzie przymierzało się do tego, rozbierając ją wzrokiem pełnym pożądania, ale ostatecznie nic do niczego nie doszło. A dziewczyna prezentowała się naprawdę olśniewająco. Jeden z niedoszłych klientów zaczął nawet obmacywać jej piersi, ale Jowina ostro interweniowała. Fabiola czuła ulgę, ciesząc się, że nikt nie chciał zapłacić tyle, ile żądała właścicielka domu publicznego.

Trzeciego popołudnia Fabiola, cała w nerwach, czekała w małym przedpokoju obok recepcji. W tym samym miejscu spędziła ostatnie dwa dni. Ściany pomieszczenia pokrywały pornograficzne rysunki. Przynajmniej połowa

z przedstawianych na nich pozycji seksualnych wydawała się jej niemal fizycznie niemożliwa. Pompeja nauczyła Fabiolę w zasadzie tylko podstawowych technik, ale żołądek podchodził jej do gardła za każdym razem, gdy pomyślała, że rzeczywiście będzie musiała tę wiedzę wykorzystywać. Jej dotychczasowe doświadczenia z miłością cielesną zaczęły się i skończyły na całusie, jaki kiedyś ofiarowała jednemu z młodych niewolników Gemellusa.

*Skup się. Bądź najlepsza. Pamiętaj o Gemellusie. Pamiętaj o Romulusie.*

Na ławkach w przedpokoju razem z nią czekało ponad pół tuzina wystrojonych prostytutek. Powietrze wypełniał wyraźny zapach perfum i wonności. Kobiety dowcipkowały i śmiały się ze swoich żartów. Dla nich był to po prostu kolejny dzień pracy, podczas gdy Fabiola siedziała sama w kącie, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Chociaż żadna z kobiet nigdy nie była dla niej niemiła, dotkliwie brakowało jej dzisiaj towarzystwa Pompei. Rudowłosa prostytutka zajmowała się właśnie bogatym stałym bywalcem, senatorem w średnim wieku, który lubił zakładać jej bieliznę.

Gdy w recepcji pojawiał się jakiś klient i przedstawiał swoje potrzeby, Jowina wzywała wybrane prostytutki po imieniu. Dziewczyny wychodziły, poddawały się ocenie, a potem klient wybierał tę, z którą chciał spędzić czas.

Fabiola była jedyną dziewczyną w Lupanarze. Nikt nie dzielił z nią trudnego samotnego oczekiwania. Jakoś udawało się jej jednak zachowywać spokój. Zajęła myśli planowaniem przyszłości.

– Fabiolo! Chodź tu!

– Pospiesz się – syknęła Nubijka. – Nie ociągaj się, bo Jowina będzie się gniewać.

– Idę!

– Powodzenia! Pamiętaj, czego nauczyła cię Pompeja.

– Droc się z nim, aż będzie błagał o więcej... – odpowiedziała inna prostytutka.

Wdzięczna za tych kilka rad i wsparcie emocjonalne Fabiola wstała i wygładziła niewidoczne fałdy na sukience. Miała na sobie tę samą białą suknię z fioletową lamówką, którą wybrała dla niej Pompeja przed kilkoma dniami. Ruszyła w kierunku otwartych drzwi i znalazła się w pomieszczeniu z kolorową mozaiką na podłodze. Serce waliło jej jak oszałałe. Zmusiła się, żeby oddychać spokojnie, jak kazała jej Pompeja. Bardzo powoli wypuszczała powietrze.

– Wyglądasz niesamowicie! – stwierdziła Jowina, przechylając głowę. Na jej mocno umalowanej, pomarszczonej twarzy pojawił się zachęcający uśmiech.

Obok stał mniej więcej dwudziestoletni opalony mężczyzna, o całym



przyjemnej aparycji. Fabiola nigdy wcześniej go nie widziała. Średniej budowy ciała, ogolony, z krótkimi kasztanowymi włosami. Nosił prostą, dobrze skrojoną tunikę, przepasaną w talii, po której można było rozpoznać, że mężczyzna jest żołnierzem. Przy wąskim pasku Fabiola zauważyła ozdobioną klejnotami rękojeść sztyletu.

– Bliżej!

Dziewczyna posłuchała i zrobiła kilka kroków do przodu z opuszczoną głową, oglądając swoje miękkie, białe, skórzane sandały. *Przynajmniej nie jest stary.*

– Spójrz na mnie – głos mężczyzny był spokojny i głęboki.

Fabiola uniosła głowę i spojrzała prosto w błękitne oczy gościa Jowiny.

– Piękna, prawda?

Fabiola znów wbiła wzrok w podłogę, niezdolna do utrzymania dłuższego kontaktu wzrokowego.

– Piętnaście tysięcy sesterców?

– To mało jak za dziewictwo takiej dziewczyny – Jowina przekonywała słodkim głosem.

– Dużo pieniędzy.

– Kiedy moje dziewczynki nie były warte swojej ceny, Decimusi Brutusie?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Obróć się.

Fabiola kręciła się powoli wokół własnej osi, czując na sobie spojrzenia mężczyzny i Jowiny. Kątem oka zauważyła Benignusza, który stanął dyskretnie w cieniu przy drzwiach wejściowych. Jego obecność dawała Fabioli poczucie bezpieczeństwa.

– Bardzo dobrze.

Fabiola poczuła sensacje w żołądku. Nadszedł ten moment.

– Jeśli mogę, proszę cię o podpisanie tego tu dokumentu, panie – Jowina skierowała się do biurka i zręcznie rozwinęła pergamin. Wykonała kilka pewnych ruchów dłonią, jak ktoś, kto robił takie rzeczy setki razy.

– Wiesz, że jestem wypłacalny.

– Oczywiście. Ale kiedy Fabiola z tobą skończy, nie będziesz w stanie nawet podpisać się swoim nazwiskiem – Jowina zaśmiała się figlarnie. Brutus również się uśmiechnął, po czym chwycił rysik. Przed złożeniem podpisu przeczytał cały tekst.

Jowina natychmiast uniosła zapaloną świecę, przechylając ją tak, żeby pod

podpisem Brutusa pojawił się krąg wosku.

– Twoja pieczęć, panie?

– Na bogów! Byłabyś świetnym kwatermistrzem w legionach. Niezadowolona dopóty, dopóki nie masz za sobą całej papierkowej roboty! – Brutus przycisnął sygnet do gorącego płynu.

Jowina uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Wiesz, gdzie się udać, dziecko.

Niezdolna do wyduszenia z siebie nawet słowa Fabiola skinęła tylko głową. Wzięła Brutusa za rękę i poprowadziła go słabo oświetlonym korytarzem. Żołnierz szedł za nią, ale nic nie mówił, co tylko zwiększało jej zdenerwowanie. Światło pochodni migotało i rzucało na ściany ruchome cienie, rozjaśniając wnęki z posągami bogów, pod którymi umieszczano drobne ofiary. Gdy minęli statuetkę Afrodyty, Fabiola zmówiła szybką modlitwę.

Weszli do pierwszej sypialni. Fabiola zamknęła drzwi. Pokój został gustownie urządzony. Wyposażono go w duże łóżko i marmurową umywalkę. Na ścianach znajdowały się ciężkie tkaninowe zasłony. Pokój oświetlały małe lampki oliwne, a powietrze przepełnione było mocnym zapachem kadzidła. Pod jedną ścianą ustawiono stoły zastawione jedzeniem i winem.

– Nigdy nie wiesz, czy klient nie zechce czegoś przekąsić podczas amorów – żartowała Pompeja, gdy wyjaśniała jej wcześniej, jak powinna zachować się w sypialni. Jej instrukcje były jasne. – Musisz mieć pewność, że klient wyjdzie zadowolony. Tylko to się liczy!

Fabiola odwróciła się do Brutusa, który obserwował ją badawczo.

– Czy życzy pan sobie, żeby go umyć?

– Nie. Właśnie odwiedziłem łaźnię.

Fabiola poczuła niewielką ulgę. Przebiegła długimi palcami po umięśnionym ramieniu. Brutus był dobrze zbudowany, co znacznie ułatwiało jej zadanie.

– Pozwól, że cię rozbiorę – powiedziała z pewnością siebie, której sama się nie spodziewała. Skinęła na niego uwodzicielsko, po czym poprowadziła w kierunku łoża, przykrytego jedwabną pościelą, obsypaną garścią płatków róży. Docilosa mogła być dumna ze swojej pracy.

Fabiola pociągnęła za klamrę pasa, rozpinając go z pewnym trudem. Stwierdziła, że się spieszy, a przecież Pompeja radziła jej, aby wszystko starała się robić wolno. Po chwili pas wylądował na podłodze. Fabiola zdjęła tunikę Brutusa, popychając go

delikatnie do tyłu, na miękką pościel.

Mężczyzna położył się na plecach wyraźnie zadowolony.

Uklękła, żeby rozwiązać rzemienie jego *caligae*. Podeszwy sandałów wzmocniono metalowymi ćwiekami. To był pewny znak, że noszący je mężczyzna jest żołnierzem.

– Słyszysz w armii, panie?

– Jestem starszym oficerem w legionach Cezara – Brutus odparł z dumą. – Właśnie wróciłem z Galii. Mam co najmniej dwa miesiące wolnego. Niech bogom będą dzięki – przetarł dłonią oczy. – Dobrze wrócić z powrotem do cywilizacji.

Fabiola wspięła się na łóżko i zaczęła masować całe ciało mężczyzny. Wzdychał z przyjemności, gdy Fabiola ugniatała i ścisnęła jego napięte jak postronki mięśnie.

– Zamknij oczy, panie. Zrelaksuj się.

Brutus nie miał nic przeciwko temu.

Fabiola zmieniła tempo. Przesuwała teraz dłonie bardzo powoli łagodnymi kręgami po klatce piersiowej, schodząc w kierunku brzucha oraz ud. Według Pompei był to jeden z najważniejszych elementów całego aktu. Po dłuższej chwili Fabiola przebiegła palcami po *licium*, niby przypadkiem ocierając się o lnianą przepaskę, którą nosili wszyscy arystokraci. Wraz z upływem czasu dotykała jej coraz częściej, jednak nadal starała się przebiegać dłońmi po całym ciele mężczyzny. Te działania przyniosły pożądaný skutek i wkrótce dowód podniecenia Brutusa stał się wyraźnie widoczny mimo osłaniającego go *licium*. Brutus jęknął, gdy Fabiola zaczęła z rozmysłem pieścić jego sztywną męskość przez materiał. Nie spieszyła się. Wkrótce Brutus wił się w rozkoszy, wydając ciche odgłosy.

Wreszcie dziewczyna zdecydowała się uwolnić nabrzmiałego członka z uciskającej go bielizny. Zaczęła przesuwać po nim w górę i w dół jedną ręką, przyglądając się jednocześnie uważnie twarzy Brutusa. Mężczyzna nadal miał zamknięte oczy, ale z jego reakcji wywnioskowała, że wszystko szło zgodnie z planem. Koncentrując się raczej na wskazówkach Pompei, a nie na tym, co faktycznie robi, Fabiola po chwili wzięła jego męskość do ust.

Starała się, aby trwało to jak najdłużej, postępując dokładnie według zaleceń rudowłosej prostytutki, która robiła wszystko, żeby jej rady dobrze zapadły Fabioli w pamięć. W końcu, nie mogąc dłużej znieść tej słodkiej udręki, jaką zafundowała mu drocząca się z nim dziewczyna, Brutus chwycił mocno głowę Fabioli, zagłębiając się w jej ustach w szale pożądania.

Zasnął. Fabiola leżała obok, obserwując falowanie klatki piersiowej mężczyzny. Brutus był przystojny. Fabiola mogła się tylko cieszyć, że ten pierwszy raz nie

przydarzył się jej z kimś grubym i obleśnym, takim jak Gemellus. Pierwsze doświadczenia seksualne z kimś takim jak kupiec mogły przypominać cierpienia znoszone przez jej matkę. Była również zadowolona, że Brutus jest zaufanym żołnierzem Juliusza Cezara. Wszyscy w Rzymie znali ambitnego byłego konsula, który przeniósł się do Galii, walcząc o powiększenie terytorium Republiki i sławę dla siebie. Zadbanie o to, aby Brutus stał się jej stałym klientem, może być dobrym początkiem jej kariery w Lupanarze.

Mężczyzna obudził się i zauważył, że Fabiola go obserwuje.

– To było bardzo dobre.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie – pogładziła go po piersi.

– Nie miałem kobiety przez ponad sześć miesięcy – Brutus chwycił jej dłoń i przesunął niżej. – Dlaczego nie zdejmiesz tej sukienki?

Mimo skrzepowania Fabiola posłuchała polecenia. Zdziwiła się trochę, gdy Brutus popchnął ją na łóżko i sam zaczął pieścić jej ciało. Gdy wszedł w nią kilka chwil później, uczynił to z łagodnością, której się nie spodziewała. Ból był ostry, ale możliwy do zniesienia. Zresztą szybko zniknął. Fabiola stwierdziła, że nie ma trudności z dotrzymaniem kroku Brutusowi, który poruszał się w niej niecierpliwie. Jęknęła głośno, ściskając obiema nogami jego pośladki, żeby utrzymać go w środku.

W kulminacyjnym momencie Brutus krzyknął z ekstazy. Po chwili opadł w ramiona Fabioli, uśmiechając się z zadowoleniem.

Dziewczyna położyła się na plecach, obejmując ramionami mężczyznę, który pozbawił ją dziewictwa. Prześcieradło pod nimi zabarwiła krew, niezbity dowód, że był jej pierwszym. Fabiola wiedziała, jak będzie wyglądało życie w Lupanarze, ale do tej chwili tak naprawdę nie była sobie w stanie wyobrazić, jak będzie wyglądało uprawianie miłości.

To dobrze, że już dłużej nie musi czekać.

Po jakimś czasie zabrała Brutusa do łaźni. Wchodząc w rolę niewolnicy, umyła i wymasowała jego ciało, a potem wtarła w skórę wonne olejki na bazie oliwy z oliwek. Gdy ubrała Brutusa w czystą tunikę, wrócili razem do sypialni.

Postarała się, aby Brutus mógł osiąść ją ponownie.

– Na bogów, jesteś nienasycona!

– Ty tak na mnie działasz, panie.

– Co za kłamczucha! – powiedział Brutus, ubierając się. Dotknął jej policzka. – Tak czy owak, miło to słyszeć. To wielka przyjemność patrzeć na taką ślicznotkę.

Galijskie dziewczki albo przypominają wiedźmy, albo roznoszą choroby.

– Zostań w Rzymie, panie – zatrzepotała rzęsami. – Odwiedzaj mnie codziennie.

– Bardzo bym chciał – odparł z uśmiechem. – Ale nie mogę sobie na to pozwolić! Będę cię odwiedzać tak często, jak będę mógł. Zaspokoiliś mnie. Powtórz mi, jak się nazywasz?

– Fabiola, panie. – Brutus wyjął z sakiewki aureusa. Położył go na stole. – To dla ciebie. Nie pozwól, żeby ta stara baba położyła na nim łapę.

Fabiola przyjęła złotą monetę, ściskając ją mocno w dłoniach.

– Będę czekać...

Brutus dotknął jej piersi i głaskał je przez chwilę delikatnie. Potem wyszedł, Fabiola została sama.

Za moment w pokoju pojawiła się Jowina. Promieniała, patrząc na krwawe ślady na prześcieradle. Jej szybkie pojawienie się sprawiło, że Fabiola przez chwilę zastanawiała się, czy kobieta przypadkiem nie stała tuż za drzwiami. Jowina zatarła pomarszczone ręce, usatysfakcjonowana.

– Brutus wyglądał na zadowolonego! Powiedział nawet, że cena nie była wygórowana. Dobra robota, moje dziecko.

– Ty i Pompeja dobrze wyjaśniłyście mi, co powinnam robić.

– Teoria to jedno, a praktyka drugie. Spraw, żeby każdy klient był tak zadowolony jak Brutus, a daleko zajdziesz.

Fabiola skinęła głową. Nie miała specjalnego wpływu na to, kto zapłaci za jej usługi, ale była zdeterminowana, żeby jak najlepiej wykorzystać sytuację, w której się znalazła. Jeśli zostanie najlepszą prostytutką w Lupanarze, będzie miała władzę i wpływy, których pragnęła. Nie poprzestanie tylko na tym, aby być tylko kolejną prostytutką w burdelu. Miała tak wielkie plany, a uzależnienie od siebie ważnych mężczyzn było jedynym sposobem, aby je zrealizować. Najpilniejszym zadaniem było uwolnienie jej matki spod władzy Gemellusa, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że to nie jest łatwe zadanie. Kupiec nigdy nie będzie chciał sprzedać Welwinny, jeśli dowie się, że w transakcję zamieszana jest jej córka. Ale być może uda się przekonać klienta do wykupienia niewolnika od kupca w ramach przysługi, o jaką poprosi Fabiola. No i Romulus, sprzedany do szkoły gladiatorów po to, żeby umrzeć na arenie... Musiała znaleźć sposób, aby uratować swojego brata bliźniaka, zanim stanie mu się jakaś krzywda.

Albo zanim zginie.

Głos Jowiny sprowadził ją na ziemię.

– Nie ma sensu marzyć o Brutusie. Jeden zadowolony klient nie zapewni przychodów Lupanarowi – powiedziała z werwą. – Umyj się i wróć do recepcji za pół godziny. Załóż jakąś czystą suknię.

Fabiola zmusiła się do uśmiechu. Ściskając w dłoniach złotą monetę, ubrała się i czym prędzej opuściła pokój. Od razu poprosiła Docilosę o posprzątanie pokoju.

Pewność siebie, jakiej nabrała podczas miłosnych uniesień z Brutusem, przydała się później. Następnym klientem okazał się mocno spocony senator o czerwonej twarzy, którego nie odstraszyła cena i gotów był poczekać dwie godziny. Fabiola po raz kolejny udowodniła, że poradzi sobie z każdym mężczyzną, pieszcząc wytrwale męskość starszego człowieka i doprowadzając go do szalonego orgazmu. Więcej klientów nie było i Fabiola wreszcie mogła porozmawiać z Pompeją.

– Jeden z dowódców Cezara? Bogowie są dziś dla ciebie łaskawi. Mój pierwszy był stary i brudny – rudowłosa prostytutka skrzywiła się. – Musiałam myć go bardzo długo, żeby pozbyć się jego okropnego zapachu!

– Brutus dał mi aureusa.

Pompeja pokiwała głową z aprobatą.

– Odwiedzi cię ponownie?

– Myślę, że tak – Fabiola zaczynała mieć jednak wątpliwości. – Za dwa miesiące wraca do Galii.

– To dużo czasu!

– Jesteś pewna?

– Podczas następnej wizyty postaraj się jeszcze bardziej – szepnęła Pompeja – a on szybko stanie się tobą zauroczony. Mężczyźni tacy są. Brutus będzie przybiegał za każdym razem, gdy pojawi się w Rzymie – Fabiola słuchała uważnie. – Mówią, że gwiazda Cezara świeci coraz mocniejszym światłem. Zatem Brutus również na tym skorzysta – Pompeja mrugnęła do niej porozumiewawczo. – Pamiętaj o tym.

– Będę pamiętała – odpowiedziała Fabiola, zachwycona, że jej przecucia okazały się słuszne. Postanowiła zrobić wszystko, aby młody nobil miał do niej słabość. Jeśli tylko wróci, tak jak obiecał.

Gemellus po powrocie z Lupanaru był w naprawdę podłym nastroju. Jowina go przechytryła i jego duma została mocno zraniona. Co gorsza, kupiec znów został wyrzucony z burdelu. I wszyscy to widzieli! Pomysł złożenia właścicielce Lupanaru wizyty z biżuterią i słodkimi słówkami oraz propozycją podzielenia się zarobkami

Fabioli w pierwszej chwili wydawał mu się rozsądny. Przecież ta mała ladacznica zarabiała dla niej fortunę!

Wszystko poszło jednak nie tak, jak się spodziewał.

Jowina chętnie przyjęła prezent, częstując nawet kupca całkiem znośnym winem. Porozmawiali trochę w miłej atmosferze o sytuacji Republiki i stanie gospodarki, po czym Gemellus poruszył temat Fabioli.

Jowina stała się ostrożniejsza już w chwili, gdy kupiec wymienił imię Fabioli. Gemellus poczuł nieprzyjemny uścisk w żołądku, bo uświadomił sobie, że zaczął najgłupiej, jak to było możliwe, prosto z mostu domagając się części zarobków dziewczyny. Wydawało się, że wszystkie umiejętności negocjacyjne, które szlifował przecież przez ponad dwie dekady, tego wieczoru po prostu gdzieś wyparowały. Jowina najzwyczajniej w świecie odmówiła i Gemellus stracił cierpliwość. Gdy na karku czuł oddech wierzycieli, nie potrafił wybaczyć, że właścicielka domu publicznego oszukała go na tysiące sesterców.

Jednak nie dane mu było nawet poczuć pod palcami żył na chudej szyi Jowiny. Zanim zdążył jej dotknąć, nie wiadomo, skąd w pokoju zmaterializował się potężny ochroniarz. Benignusz uniósł kupca jak szmacianą lalkę i zaniósł do drzwi. Tam kolos przytrzymał go chwilę, podczas gdy Wettiusz wyprowadził dwa potężne ciosy w splot słoneczny kupca, całkowicie pozbawiając go szans na obronę. Chwilę później Gemellus wyleciał przez otwarte drzwi Lupanaru, lądując twarzą w świeżej kupie łajna.

– Następnym razem powiem im, żeby pozbawili cię jąder! – Jowina wykrzyczała na koniec.

O tym upokorzeniu wkrótce dowie się całe miasto. Było tylko kwestią czasu, kiedy ta historia dotrze do wrogów Gemellusa. Co za wstyd. I to na oczach wszystkich! Reputacja kupca w pewnych kręgach wpływowych członków podziemia finansowego Rzymu bardzo ucierpiała. Gorączkowe próby uspokojenia jego kredytodawców nie przynosiły spodziewanych efektów. Gemellusowi udało się udobruchać Krassusa, wierzyciela, któremu był winien najwięcej pieniędzy, ale kilku Greków z forum groziło mu już połamaniem nóg, jeśli nie ureguluje tygodniowych zaległości.

Jeśli ma sfinansować wyprawę bestiariusza, musi sprzedać dom w Awentynie, a nawet swoją ukochaną willę w Pompejach. Ta myśl tylko pogarszała jego i tak już bardzo kiepski nastrój. Gemellus ruszył wyłożonym kamieniem korytarzem do izby Romulusa i Fabioli, którą dzieci niegdyś dzieliły z matką. Otworzywszy

z rozmachem lekkie drewniane drzwi, Gemellus zobaczył Welwinnę leżącą na starym łóżku i szlochającą w poduszkę.

– Bezużyteczna suka. Dlaczego nie jesteś w kuchni?

– Jestem chora, panie.

Gemellus patrzył na nią z coraz większym obrzydzeniem. Lśniące włosy Welwinny były zlepione brudem. Piękną twarz, której tak kiedyś pożądał, teraz naznaczyły zmarszczki zmartwienia i smutku. Mimo że kobieta miała zaledwie trzydzieści lat, wyglądała na dziesięć lat starszą.

– Wstawaj do roboty!

– Moje dzieci, panie? Gdzie są moje piękne bliźniaki?

Gemellus zacisnął usta. Miał już dość powtarzanych przez Welwinnę pytań. Nie miało znaczenia, ile razy została zgwałcona. Zbliżył się do niej i chwycił mocno za włosy.

Kobieta nie zareagowała nawet najcichszym jękiem.

– Przy odrobinie szczęścia chłopak już nie żyje – Gemellus splunął. – Z małą lisicą nie wyszło mi tak dobrze, jak chciałem. Zarabia teraz dla swojego nowego właściciela fortunę w burdelu.

Welwinna patrzyła na niego pustym wzrokiem. To wszystko było ponad jej siły.

– Zabij mnie. Nie mam po co żyć.

Gemellus roześmiał się. Pomysł, że mogłaby mieć po co żyć, był naprawdę zabawny. Należała do niego. Mógł ją sprzedać lub nawet zabić bez żadnych konsekwencji prawnych. To, że Welwinnie zależało na Romulusie i Fabioli, nie miało żadnego znaczenia.

– Dostanę za ciebie kilkaset sesterców. W kopalniach soli przyda się każdy, kto oddycha – powiedział. – Powiniennem był wysłać cię tam tego samego dnia, gdy pozbyłem się tych bachorów. A teraz wracaj do pracy!

– A jeśli tego nie zrobię?

Kupiec zawahał się, bo takiej odpowiedzi zupełnie się nie spodziewał. Rozluźnił uścisk.

– Straciłam wszystko, co było dla mnie ważne. Moje dziewictwo. Moje ciało. Nawet moje dzieci. Nie mam nic – po raz pierwszy w życiu Welwinna nie czuła strachu. – Sprzedaj mnie do kopalni.

– Bądź gotowa o świcie! – wykrzyknął Gemellus, nie wiedząc, co powinien powiedzieć niewolnikowi, który pragnie pewnej śmierci. Dyscyplina i bardzo ciężkie



warunki w kopalniach sprawiały, że najsilniejszy człowiek przeżywał tam najwyżej kilka lat. Ktoś tak słaby jak Welwinna może umrzeć nawet po tygodniu.

Gemellus odwrócił się, żeby wyjść.

– Któregoś dnia usłyszysz pukanie do drzwi – Welwinna odezwała się złowieszcym tonem. Kupiec uniósł rękę do ciosu, ale coś go powstrzymało. – Za nimi będzie stał Romulus. I niech bogowie mają cię w swojej opiece, jeśli on dowie się, jaki los mi zgotowałeś.

Przekora Fabioli i ogień nienawiści płonący w oczach Romulusa, gdy rozstawał się z nim na podwórzu *Ludus Magnus*, wciąż były żywe w pamięci Gemellusa. *Może ona mówi prawdę?* Kupiec poczuł wypełzające z żołądka zimne macki strachu. Uderzył Welwinnę tak mocno, że jej głowa odbiła się od ściany. Kobieta wylądowała na podłodze bez ruchu. Jedynym znakiem mogącym świadczyć o tym, że żyje, było lekkie unoszenie się i opadanie jej piersi.

Gemellus spojrział na odsłonięte nogi Welwinny. Poczuł w lędźwiach pożądanie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie posiąść jej tu i teraz, ale usłyszane przed chwilą słowa bardzo nim wstrząsnęły. Zamknął cicho drzwi i odszedł. Rano zabierze Welwinnę na targ niewolników. Ona i jej bliźniaki zostaną zapomniane na zawsze.

*Któregoś dnia usłyszysz pukanie do drzwi.*

## *Przepowiednia*



Rzym, zima 56 r. p.n.e.

**T**arkwiniusz przycupnął tuż obok schodów prowadzących do wielkiej świątyni Jowisza na Kapitolu. Czuł się tu jak w domu, gdyż nigdzie indziej w mieście nie dało się wyczuć tak silnej mocy niegdyś wspaniałego ludu Rasenna. To miejsce było również doskonałym punktem obserwacyjnym. Tłumnie odwiedzający świątynię ludzie byli najlepszym papierkiem lakmusowym nastrojów w Rzymie. Etrusk przychodził tu codziennie przez tydzień. Wybudowana setki lat temu przez jego dumnych przodków świątynia Jowisza od zawsze była najważniejszym miejscem kultu w stolicy. Przybywający tu ludzie prosili o łaskę bogów, modląc się do nich od wschodu do zachodu słońca. A w obecnych czasach politycznej niepewności zapotrzebowanie na przepowiednie ciągle wzrastało. Nawet mroźna zima nie zniechęcała Rzymian do odwiedzania sanktuarium. Codziennie panowały tu spory tłok i wrzawa.

Po schodach wspinało się akurat kilku kapłanów ze świątyni Jowisza. Zadufani w sobie mężczyźni patrzyli z wyższością na motłoch. Za nimi podążało kilku młodych akolitów. W pobliżu grupa *lictors* rozglądała się bacznie wśród tłumu, szukając kogoś, kto będzie na tyle głupi i odważny, żeby rzucić im wyzwanie. Mali chłopcy, którzy wspięli się na wzgórze bez zgody rodziców, podziwiali rozległą panoramę metropolii. Zwykli obywatele stolicy kierowali się prosto do drzwi w zamyśleniu. Mruczełi cicho pod nosem swoje modlitwy, zanosząc do Jowisza prośby o pomoc w związku z problemami albo przeklinając wrogów. Kramarze głośno krzyczeli, zachwalając swoje produkty, jedzenie, wino i statuetki Jowisza, a także kury i owce, które miały służyć jako ofiary. Całości dopełniali zaklinacze węży, dziwki, żonglerzy, kieszonkowcy. Od czasu do czasu pojawiał się jakiś senator, liczący na kilka głosów bogatszych obywateli miasta. Wszyscy ciągnęli tu, czując jedną potrzebę. Wszyscy chcieli poznać przyszłość.

Tarkwiniusz uśmiechał się pod nosem. Sądząc z liczby zwykłych oszustów i fałszywych wróżbitów, goście tego świętego przybytku mieli marne szanse na prawdziwą przepowiednię. Sytuacja przedstawiała się podobnie w przypadku każdej świątyni na świecie. Wśród rzeszy wróżbitów i augurów spotkanych w ciągu ostatnich lat przez Tarkwiniusza prawdopodobnie tylko dwóch było prawdziwych. I tylko jeden z tej dwójki pochodził z Italii. Chłopak skrzywił się z pogardą. Rzymianie mogli zniszczyć każde etruskie miasto i ukraść wszystkie księgi, obyczaje, a nawet całą kulturę, przyswajając ją jak swoją, ale nikt z nich nigdy nie opanuje całej sztuki haruspicii. Nikt nigdy nie dorówna Olenusowi, którego umiejętności przewidywania przyszłości były niemożliwe do skopionania.

*Jednak w końcu Rzym znów zacznie cię przyciągać. Żąda zemsty.*

Tymczasem jednak Celiusz – który zdaniem Tarkwiniusza miał być właśnie powodem jego powrotu do Rzymu – okazał się zaskakująco nieuchwytny. Po tym, jak rudowłosy Rzymianin stracił wszystkie pieniądze i latyfundium, które zostało przejęte za długi, udał się do stolicy imperium w nadziei wyblągania u Fortuny jeszcze jednej szansy. Tarkwiniusz dowiedział się nie bez zdziwienia, że Celiusz zaczął parać się handlem niewolnikami, wykorzystując chaos i zgłiszcza, jakie zostawiał po sobie Juliusz Cezar w Galii. Jednak mimo wielu prób Tarkwiniusz nie zdobył żadnych wskazówek dotyczących aktualnego miejsca pobytu Celiusza. Cekał cierpliwie w Rzymie, choć minęło już prawie dwanaście miesięcy. Wierzył, że jeśli będzie wystarczająco cierpliwy, w którejś wróżbie ze zwierzęcych wnętrzności lub pogody w końcu znajdą się jakieś przydatne informacje. Do tej pory wszystko

się sprawdzało. Tarkwiniusz wiedział, że człowiek winien śmierci Olenusa wróci do miasta w ciągu roku.

Ta myśl działała na młodego Etruska uspokajająco. Zajął się obserwowaniem najbliższych wróżbitów, oferujących swoje usługi za pieniądze. Wyróżniających się tępo zakończonymi skórzanymi nakryciami głowy mężczyzn zawsze otaczała gromadka spragnionych wiedzy petentów z otwartymi sakiewkami. Młody Etrusk odchylił się na piętach i zaczął przyglądać się twarzom ludzi, którym tak zależało na przepowiedniach. Bezpłodna małżonka pragnąca syna. Zamartwiająca się matka, której syn legionista nie pisał do domu od wieków. Hazardzista z lichwiarzami depczącymi mu po piętach. Bogaty plebejusz, liczący na pokonanie kilku szczebli drabiny społecznej. Odrącony kochanek dyszący żądzą zemsty. Tarkwiniusz uśmiechnął się do siebie. Wszystkie te pragnienia i potrzeby ludzi przychodzących tu po radę były dla niego oczywiste. Czytał z ich twarzy jak z otwartej książki.

Młode jagnię, które kupił specjalnie na potrzeby dzisiejszej wróżby, zabezpieczało żałośnie. Ten odgłos przyciągnął uwagę Tarkwiniusza. Liczące sobie zaledwie miesiąc jagnię miało na szyi cienki sznurek, przymocowany do nadgarstka chłopaka. Haruspik uniósł wzrok, oceniając wiatr i układ chmur. Nadszedł czas, aby i on spróbował dowiedzieć się, co przyniesie mu przyszłość. Kto ukrywa się w Rzymie. Chwycił nóż z ciemnym krótkim ostrzem, który wykorzystywał tylko do przepowiedni i... gdy trzeba było podjąć walkę w zwarciu. Mrucząc modlitwę dziękczynną za życie jagnięcia, podciągnął je bliżej ku sobie, przytrzymując głowę lewą ręką. Szybkim ruchem ostrego jak brzytwa ostrza przeciął skórę na szyi zwierzęcia. Przez szerokie rozcięcie chlusnęła krew. Jagnię wierzgnęło parę razy i znieruchomiało. Tarkwiniusz przekręcił je na plecy, otworzył brzuch i pozwolił, aby pętle jelita cienkiego wypłynęły swobodnie na zimny kamień ofiarny. Po chwili, nie widząc w nich niczego interesującego, sięgnął do wnętrza, wycinając wątrobę. Uniósł ją w lewej ręce, po czym ponownie spojrzął w niebo. Wykonywał takie wróżby już niezliczoną ilość razy, ale niezmiennie za każdym razem czuł ekscytację. Każda z jego przepowiedni wykonywanych w ciągu ostatnich czternastu lat była w pewnym sensie niepowtarzalna.

Tarkwiniusz nigdy też nie starał się odgadnąć, co tak przestraszyło Olenusa podczas odczytywania jego przyszłości w jaskini.

Mógł się tylko domyślać.

Nad świątynią Jowisza pojawiło się stado szpaków. Tarkwiniusz zmrużył oczy, licząc ptaki. *Bliski konflikt. Wiosna.* Tarkwiniusz czekał, licząc bicia serca, oszacowując

prędkość wiatru. Na niebie pojawiły się ciężkie, ciemne chmury, zwiastując deszcz. *Niebezpieczeństwo czyha za wielką rzeką. W Germanii. A Cezar pała żądzą zemsty. Chce pokazać, że ci, którzy podnoszą rękę na Rzym, nigdy nie będą robić tego bezkarnie.* Daleko na północy najmłodszy członek triumwiratu wypala ogniem swój szlak chwały. Zdecydowany przyćmić zarówno Krassusa, jak i Pompejusza Juliusz Cezar rozgromił plemiona Galii i Belgii, dbając o to, aby do Rzymu regularnie spływały wieści o jego wielkich zwycięstwach. Wydawało się, że nie miał zamiaru spocząć na laurach.

Gdy Tarkwiniusz uznał, że niczego nowego nie dowie się już z obserwacji nieba, pochylił głowę, żeby uważnie zbadać wątrobę. To, co zobaczył, wcale go nie zaskoczyło. Żadnych nowych informacji. I tak od miesięcy. Nie dostrzegł żadnych wskazówek mogących świadczyć o tym, że Celiusz przebywa w Rzymie. Gburowaty jegomość, właściciel jednopokojowego poddasza nad karczmą, w której zatrzymał się Tarkwiniusz, wkrótce umrze w konsekwencji zatrucia pokarmowego. Z powodu nieurodzaju cena jego ulubionego wina będzie stale rosnąć.

Pęcherzyk żółciowy był w mniejszym niż zwykle stopniu wypełniony ciecżą. Tarkwiniusz dotknął go lekko palcem, aby sprawdzić, czy czegoś więcej się z niego nie dowie... Zamarł. Pochylił się niżej... Tam coś było. Przedsiębiorca? Kupiec...

– Ile za przepowiednię?

Zaskoczony Tarkwiniusz uniósł wzrok, żeby stwierdzić, że stoi przed nim niewysoki, tęgi mężczyzna w średnim wieku, w drogiej tunice, która jednak była pokryta brudnymi plamami. Miał czerwoną twarz i usta wykrzywione w nieprzyjemnym, nieszczerym uśmiechu. W jednej ręce trzymał dobrze odkarmioną kurę. W drugiej – małą amforę z winem. Jak każdy obywatel, który ceni sobie bezpieczeństwo, ów zaskakujący petent miał zarzucony na ramieniu długi pas z wiszącym na nim nożem.

Tarkwiniusz nie odpowiedział od razu. Od czasu epizodu z Gallem starał się zachowywać wyjątkową ostrożność i, jeśli to było możliwe, w ogóle unikał rozmów z ludźmi. Czy złożenie ofiary i przepowiednia w tym miejscu była błędem? Rzucił szybkie spojrzenie na wątrobę... Nie. Odprężył się.

– Dlaczego nie spytasz kogoś z tamtych? – wskazał wróżbitów obok.

Nieznajomy chrząknął szyderczo.

– To cholerni kłamcy. Prawda?

– A ja nie?

– Obserwowałem cię. Nie próbujesz zrobić na tym interesu – mężczyzna wskazał wątrobę jagnięcia. – I złożyłeś tę ofiarę z myślą o własnej przepowiedni. To znaczy,

że wiesz, o co w tym chodzi.

– Zwykle nie przepowiadam przyszłości dla obcych.

– Pracujesz dla jakiegoś cholernego patrycjusza, co? – prychnął grubas. Rzucił przekleństwo i odwrócił się, aby odejść.

– Czekaj! – zatrzymał go Tarkwiniusz. – Czy jesteś kupcem?

– Mogę być. Co ci do tego?

– Pięć *aurei* – powiedział Tarkwiniusz głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Kupiec zamrugał. Taka kwota za przepowiednię mogła się wydawać dość duża, ale kupiec bez dłuższego namysłu sięgnął do znoszonej sakiewki.

– Masz – powiedział, wręczając Tarkwiniuszowi pięć złotych monet. – Niech ta przepowiednia lepiej będzie dobra.

Haruspik schował pieniądze i chwycił kurę, unosząc ją delikatnie. Ofiara przyglądała się mu wylupiastym okiem, nieświadoma, że za chwilę skończy się jej żywot.

– Ile masz lat?

– Pięćdziesiąt jeden.

– I mieszkasz...

– Na Awentynie.

Tarkwiniusz zacisnął usta.

– Jak się nazywasz?

– Gemellus. Porcjusz Gemellus.

– Po co tu przyszedłeś?

Grubas zachnął się.

– A jak sądzisz? Żeby dowiedzieć się, co przyniesie mi los.

Tarkwiniusz przesunął się na bok, z dala od martwego jagnięcia. Trzymając kurę za nogi, zaintonował modlitwę dziękczynną do Jowisza. Poderżnął jej gardło, obserwując, w którym kierunku płynie krew, wypełniająca drobne pęknięcia między kamieniami. Na zachód. Tam, gdzie mieszkają wrogie duchy. To nie był dobry początek przepowiedni.

– No i co?

Haruspik nie odezwał się ani słowem i przystąpił do patroszenia ptaka, wyciągając jego wnętrzności na ziemię.

Gemellus patrzył w milczeniu z zaciśniętymi zębami.

Tarkwiniusz zaczął poruszać bezgłośnie ustami, próbując zinterpretować

znaczenie tego, co widzi. Nic dziwnego, że kupiec szukał wskazówek. Wziął głęboki oddech i zaczął.

– Widzę problemy w interesach. Kłopoty finansowe.

Gemellus nie był zdziwiony.

– Dalej...

– Nie musisz się martwić o swojego największego pożyczkodawcę.

– Krassusa? – zapytał kupiec ostro. – Dlaczego nie?

– Przyjmie nowe stanowisko na wschodzie – powiedział Tarkwiniusz. – I nigdy już nie wróci.

– Jesteś pewien?

Tarkwiniusz skinął głową.

– Ten kutas zginie w Syrii! – zawołał Gemellus, ledwo ukrywając radość. Kilka osób znajdujących się w pobliżu skierowało wzrok w ich stronę, słysząc znajome słowa. Wszyscy wiedzieli, że Krassus liczył, iż otrzyma funkcję namiestnika w położonej najdalej na wschód prowincji Rzymu.

– Tego nie powiedziałem – Etrusk upomniał Gemellusa łagodnym głosem. – Powiedziałem, że Krassus nigdy nie wróci do Rzymu. *Ten arogancki głupiec dokona żywota w Partii. A ja będę tego świadkiem.*

– To jest wystarczająco dobra wiadomość – Gemellus uśmiechnął się szeroko. – Coś jeszcze?

Tarkwiniusz przyjrzał się wątrobie kury, szukając wskazówek.

– Woda w ruchu. Fale? Burza na morzu – powiedział. Kupiec wyglądał na zdezorientowanego. – Statki pełne dzikich zwierząt... – Gemellus zamarł.

Haruspiak zamilkł na chwilę i spojrzał na krew w szczelinach pomiędzy kamieniami.

– Zatoną na pełnym morzu.

– Nie! Nie po raz drugi! – szepnął Gemellus drżącym głosem. – To nie może być prawda.

Tarkwiniusz wzruszył ramionami.

– Mówię tylko to, co widzę.

– Sprzedałem willę... I co? Na nic? – Gemellus opuścił ramiona, jakby nagle cały ciężar świata spoczął na jego barkach. – Nie będę miał pieniędzy, żeby spłacić tych pieprzonych Greków. – Pociągnął wielki łyk ze swojej amfory i odwrócił się, aby odejść.

– Czekaj...

Kupiec zatrzymał się, ale nie odwrócił głowy.

– Jest coś jeszcze?

– Któregoś dnia usłyszysz pukanie do drzwi – powiedział Tarkwiniusz.

Gemellus odwrócił się przerażony.

– Kto jest na zewnątrz?!

Tarkwiniusz skoncentrował się na wizji.

– Nie widzę dobrze. Mężczyzna. Może żołnierz?

Gemellus sięgnął po sztylet i zbliżył się do haruspika.

– Jeśli kłamiesz – syknął – poderżnę ci gardło i rzucę twoje ścierwo psom.

Tarkwiniusz uniósł płaszcz i położył dłoń na obnażonym gladiusie, który zabrał ze sobą przezornie, przygotowując się na podobną sytuację. Miecz był łatwiejszy do ukrycia i nie przyciągał tak uwagi jak topór. Błysk na klindze wystarczył. Gemellus splunął na ziemię i odszedł, układając palce w znak, który miał chronić przed złem.

Tarkwiniusz spojrział jeszcze raz na martwą kurę, ale naprawdę nie widział, kto czekał przed drzwiami i dlatego kupiec tak przeraził się tej wizji. Wzruszył ramionami.

– Nie wszystkie przepowiednie są wyraźne.



Rozdział XII  
*Przyjaźń*



Dziewięć miesięcy później...

*Ludus Magnus*, Rzym, koniec lata 55 r. p.n.e.

**R**omulus obrócił się, próbując trafić przemierzającego się Brennusa. Gal sparował ten cios, choć nie bez trudu.

– Z każdym dniem idzie ci coraz lepiej – uśmiechnął się szeroko. – Jesteś też

coraz silniejszy.

Romulus opuścił miecz. Ciężko dyszał.

– Wciąż nie mogę cię pokonać.

Potężnie zbudowany gladiator uśmiechnął się.

– To może ci jeszcze trochę zejść...

– Jestem lepszy – bronił się Romulus.

– Jesteś. Ale wciąż jeszcze nie masz nawet piętnastu lat.

– Chcę być najlepszy.

– Na to potrzeba czasu. Przed tobą długa droga, Romulusi. I pamiętaj, że odniosłeś poważną ranę. Bądź cierpliwy. Masz odwagę i siłę, a potrzebujesz po prostu więcej doświadczenia.

Romulus rozejrzał się po spalonym promieniami słońca podwórzu szkoły gladiatorów. To było centrum jego świata. W przeciwieństwie do Gala rzadko miał okazję wyjść do miasta. Trudno było uniknąć poczucia odosobnienia za murami. Powinien mieć z życia coś więcej niż trening z bronią, podnoszenie ciężarów i okazjonalne walki na arenie. Nawet lekcje taktyki Cotty ostatnio powiększały jego frustrację. Libijczyk kusił go, opowiadając o dalekich krainach i miejscach, których nigdy nie widział. A tam przecież działy się wielkie rzeczy. Do Rzymu dotarły wieści o ostatniej ekspedycji Juliusza Cezara, który poprowadził legiony przeciwko barbarzyńcom w Germanii. Ostatnio ludzie mówili, że zamierza wylądować na mistycznej wyspie zwanej Brytanią. Każda nowa wzmianka o kampaniach Cezara przemawiała do wyobraźni Romulusa.

Chciał być wolny! Zrzucić kajdany. Odkrywać świat!

Głos Brennusa ściągnął go z powrotem na ziemię.

– Większość gladiatorów nie ma takich jaj jak ty i to widać po tym, jak walczą. Ale ty jesteś podobny do mnie. Nie liczy się nic poza zwycięstwem! – Brennus uderzył pięścią w swoją nagą pierś i wyszczerzył zęby. – Galowie walczą całym sercem!

Romulus zaszurał nogami po piaszczystym placu treningowym, radując się w duchu usłyszaną pochwałą. Przez osiemnaście miesięcy Brennus był dla niego dobrym przyjacielem i nauczycielem, dzięki któremu pracował nad budowaniem pewności siebie i poprawianiu umiejętności posługiwania się bronią. Mimo że nigdy nie zapomniał Juby, powoli jego miejsce w sercu Romulusa zajmował Brennus.

– Pamiętaj, żeby podczas walki używać też głowy. Przewiduj, co zrobi twój przeciwnik. Pamiętaj o Lentulusie.

Romulus aż poczerwieniał. Obiecał sobie, że nigdy nie pozwoli, żeby ktoś go tak zaskoczył.

Brennus poklepał go niemal z czułością.

– Walcz tak dalej, a któregoś dnia dostaniesz *rudis*, jak on – wskazał na Cotte, który właśnie zajmował się szkoleniem swojego najnowszego rekruta.

Wzmianka o wolności sprawiła, że myśli Romulusa natychmiast popłynęły w kierunku matki i Fabioli.

– Chcę pokazać Gemellusowi kilka sztuczek.

– Zapomnij o nim – Brennus nagle posmutniał. – Prawdopodobnie nigdy nie będziesz miał szansy zemścić się na tych, którzy cię skrzywdzili, chyba że bogowie będą naprawdę łaskawi.

Romulus wyczuwał, że ta kwestia sprawia Brennusowi niemal namacalny ból. Jego przyjaciel nigdy nie mówił o przeszłości, ale Romulus podejrzewał, że zanim Gal został gladiatorem, musiał strasznie cierpieć.

– Czy zdarzyło ci się coś takiego? – zaryzykował pytanie.

Brennus milczał. Proste pytanie przywołało niepokojące wspomnienia. *Brac. Liath. Mój syn.* Wyprowadził potężny, choć dziwnie niekontrolowany cios mieczem.

– Nigdy nie pozwól, żeby zawładnął tobą gniew – Romulus zrećnie uskokzył w bok, po czym od razu skoczył do przodu, zmuszając Gala do zrobienia kilku kroków w tył.

Brennus roześmiał się.

– Chcesz zamienić się ze mną rolami? A co powiesz na to? – Brennus kopnął nogą, wzbijając w powietrze chmurę piasku, która wylądowała na twarzy Romulusa.

Młodzieniec dostrzegł ten ruch zaledwie ułamek sekundy za późno. Ziarenka piasku zaburzyły jego orientację. Uchylił się wprawdzie instynktownie w lewo, ale wiedział już, że Gal go pokonał.

– Jesteś trupem – skwitował Brennus, dotykając gardła Romulusa czubkiem ostrza.

Romulus potarł ze złością zaczerwienione oczy. Kaszłał, żeby oczyścić gardło.

– Zastanów się, czego możesz dowiedzieć się o wrogu dzięki jego mowie ciała – Brennus wskazał na niego palcem. – Zawsze coś go zdradzi. Zmarszczy brwi, spojrzysz w bok. Wykorzystaj tę wiedzę, żeby spróbować przewidzieć, co zrobi.

– Wiedziałem, że to zrobisz.

– To nie ma teraz znaczenia – odpowiedział Gal z uśmiechem. – Nie walczyliśmy naprawdę. Wsunął miecz do pochwy, po czym otrząpał się z piasku. – Na dziś wystarczy. Chodźmy się umyć.

Tym razem Romulus ucieszył się perspektywą odpoczynku i relaksu w ciepłym basenie łaźni. Ruszył za Brennusem przez podwórze, rozpamiętując przegraną i obiecując sobie, że nigdy więcej nie da się zaskoczyć podobną sztuczką. Kilku mężczyzn ich pozdrowiło. Wygrany pojedynek z Lentulusem sprawił, że Romulus zdobył duży szacunek, co pomagało w utrzymaniu niepewnego zawieszenia broni, które nastąpiło po walce o Astorię. Większość gladiatorów nie przejęła się specjalnie śmiercią *murmillones*, ale jednocześnie nie chciała też opowiadać się po którejjkolwiek ze stron konfliktu.

Niezrażeni tym stanem rzeczy Figulus i Gallus wciąż starali się podburzać pozostałych gladiatorów i wkrótce stało się jasne, że kiedyś musi dojść do konfrontacji. Najpierw Brennus i Romulus stali się ofiarami małych złościwości: ktoś dolał octu do wina Gala, ktoś podstawił nogę Romulusowi, to znowu ktoś próbował złapać Astorię za pierś. Napięcie stale rosło i Romulus zaczął nosić przy sobie sztylet, gotów do użycia go w każdej chwili. Z dnia na dzień słabło poczucie bezpieczeństwa, które towarzyszyło mu od miesięcy, po tym, jak Brennus zaoferował mu swoją przyjaźń. Próbował zapomnieć o swoich obawach i poświęcał się wyłącznie ćwiczeniom, osiągając coraz wyższe poziomy sprawności. Ćwiczył z Galem przy każdej nadarzającej się okazji.

Brennus podrapał się w zamyśleniu po pokrytej blond lokami głowie.

– Jestem zaskoczony, że Figulus i jego kumple jeszcze nie zrobili żadnego ruchu.

– Boją się ciebie.

– I ciebie!

Romulus poczuł się mile połączony tym pochlebstwem.

Brennus rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu lanisty, po czym ryknął na cały głos, zwracając się w stronę kilku mężczyzn, którzy zebrali się w kącie podwórza.

– Czy ktoś chciałby może dziś stanąć przeciwko nam?

Wielu gladiatorów popatrzyło w ich stronę, ale nikt nie przemówił.

– To nie będzie żadna uczciwa walka. Nie ma ich aż tylu, żeby ryzykować otwarty konflikt.

– Wiem – Brennus szturchnął Romulusa. – Mimo to nie widzę nic złego

w wysłaniu im ostrzeżenia.

Zachowanie wielkiego Gala dodawało Romulusowi odwagi. Uśmiech nie schodził mu z ust, gdy popychał drzwi prowadzące do łaźni. Wszystko będzie dobrze...

Miesiąc później stało się jasne, gdzie i kiedy dojdzie do rozwiązania konfliktu. Pewnego ranka Memor nakazał gladiatorom zebrać się na placu ćwiczebnym. Coś takiego zdarzało się rzadko.

Powietrze zdążyło się już nagrzać, mimo że słońce weszło zupełnie niedawno. Od kilku tygodni Rzym zmagał się z wyjątkową falą upałów, które nastąpiły wraz z końcówką lata. Jak większość gladiatorów, Romulus i Brennus wstawali teraz przed świtem, żeby ćwiczyć, zanim słońce nie zacznie naprawdę dawać się wszystkim we znaki. Czasu przed spotkaniem starczyło akurat na to, żeby skończyć jedną pełną serię ćwiczeń z ciężarami. Wszyscy próbowali odgadnąć powód tego niecodziennego apelu. Nikt nie wiedział, co chce ogłosić Memor.

Gdy właściciel szkoły pojawił się na placu, na jego twarzy błędził dziwny uśmiech.

– Pewnie wszyscy zastanawiacie się, dlaczego was tu wezwałem – Memor urwał i milczał długą chwilę.

– Co się stało? – krzyknął mężczyzna z pierwszego szeregu.

– Milon znowu nas potrzebuje, żeby utrzymać Klodiusza w ryzach! – zawołał ktoś inny.

Wokół rozległy się krzyki aprobaty. Wiosną poprzedniego roku w związku z coraz częstszymi zamieszkami i rozlewem krwi na ulicach Rzymu trybun Milon został oskarżony przez swojego rywala Klodiusza o stosowanie przemocy. Doszło do zapierającej dech w piersiach konfrontacji, a na Forum Romanum miał być proces. Jednak nie odbył się z powodu wybuchu zamieszek na dużą skalę. Ludzie Milona poradzili sobie z tłumem, choć nie było łatwo. Milon skorzystał wtedy z pomocy gladiatorów, dla których oznaczało to częstsze przebywanie poza murami *ludus*.

Gladiatorzy przydali się również w czasie wyborów konsularnych zaledwie przed kilkoma miesiącami. Gdy Pompejusz i Krassus znów zawarli tymczasowy sojusz w celu zabezpieczenia sobie intratnych pozycji, ponownie doszło do zamieszek. Na nic się jednak zdały protesty obywateli, którzy czuli, że mają do czynienia z parodią demokracji. Pompejusz władał obecnie niepodzielnie w Hiszpanii i Grecji. Krassus został namiestnikiem Syrii. A Cezar również radził sobie całkiem nieźle jako konsul w Galii i Ilirii. Członkowie triumwiratu już prawie nie kryli się ze swoimi

działaniami, dążąc do stłamszenia demokracji, i ocierali się o zachowania niezgodne z prawem, co spowodowało ostrą reakcję opinii publicznej. Doszło do zamieszek.

– Nie – odrzekł w lekceważącym tonie Memor. – Pompejusz Magnus zdecydował, że atrakcje dla uczczenia święta będą trwały jeden dzień dłużej.

– Wyścigi rydwanów!

– I masz dla nas pewne typy! – dodał dowcipnie ktoś z tłumu.

Rozległy się gromkie śmiechy.

Nawet na pomarszczonej twarzy Memora pojawił się lekki uśmiezek.

– Lepiej. Daję wam szansę udowodnienia, że *Ludus Magnus* naprawdę jest najlepszą szkołą gladiatorów w Rzymie! – Lanista podniósł głos. – Generał Pompejusz chce zorganizować specjalny pokaz walk! Na arenie zmierzą się dwie pięćdziesięcioosobowe grupy gladiatorów.

– Nie ma u nas stu gladiatorów... – odezwał się jakiś *murmillo*, rozglądając się dokoła zdezorientowany.

– Głupcze! – rzucił Memor. – Nasza pięćdziesiątka będzie walczyła z taką samą grupą ze szkoły Dacicusa.

– Co za walka! – Brennus wyszczerzył zęby.

– Nie będziecie walczyć na punkty – kontynuował Memor. – Wszyscy mają walczyć aż do śmierci, dopóty, dopóki jedna ze szkół nie wyjdzie z tego starcia zwycięsko. – Ta niezwykła wiadomość wstrząsnęła gladiatorami. – Jednak każdy, kto przeżyje, dostanie worek złota – Lanista uniósł pięść. – Za *Ludus Magnus*!

Twarze zgromadzonych rozjaśniła myśl o takim bogactwie, choć wiedzieli, że wielu pewnie zginie na arenie.

– *Lu-dus! Ludus Magnus!*

– Spójrz na Figulusa – Romulus szepnął. – Te dranie zamierzają wykorzystać okazję.

– Wydaje się bardzo zadowolony – zgodził się Brennus – bo to będzie dobra okazja. Wszędzie pełno ciał...

– Setka gladiatorów walczących na śmierć i życie?

– Pompejusz musi czuć ogromną potrzebę zaimponowania tłumom. Wiesz, jak to jest. – Wielcy politycy zawsze starali się przyćmić swoich rywali.

Romulus skinął głową. Wszyscy wiedzieli, że walka o władzę w Rzymie zaostrzała się. Jednak w perspektywie takiej walki polityka schodziła na dalszy plan. Romulus był jednocześnie podekscytowany i niespokojny. Większość walk,

w których do tej pory brał udział, to były starcia na punkty. Zabił dwóch mężczyzn w potyczce jeden na jednego, ale tym razem wszystko będzie wyglądało inaczej.

– Myślisz, że zostanę wybrany?

– Oczywiście! Ktoś musi mnie pilnować.

Romulus popatrzył na Figulusa, który otoczony małym wianuszkiem gladiatorów dyskutował o czymś zawzięcie z Gallusem. Muszą coś planować. Rzucali w ich kierunku wiele złowróbnych spojrzeń.

Kolejne dwa dni minęły względnie spokojnie, gladiatorzy bowiem przygotowywali się do czekającej ich walki. Zresztą wybrano praktycznie wszystkich, którzy nie leczyli ran albo nie byli chorzy. Gdy przyszła kolej na Romulusa, Memor nie zawahał się nawet sekundę. Według lanisty chłopak był już prawdziwym, dobrze wyszkolonym gladiatorem. Zadowolony Romulus stanął przy Brennusi.

Z kuźni dochodził dźwięk młotów. Kowal naprawiał elementy pancerzy i uszkodzonej broni. Nie bacząc na wysokie temperatury, mężczyźni truchtali dookoła placu. Inni podnosili ciężary. Jeszcze inni toczyli pojedynki, tym razem posługując się ostrą bronią zamiast normalnych w tych okolicznościach drewnianych mieczy treningowych. Łucznicy lanisty pilnowali porządku z balkonu budynku, wypatrując jakichkolwiek sygnałów mogących świadczyć o zbliżających się kłopotach. Gdy walki stawały się coraz intensywniejsze i kilku gladiatorów odniosło rany, Memor nakazał osłonić ostrza skórzanymi pokrowcami.

W przeciwieństwie do większości gladiatorów Brennus wolał spędzić ostatni dzień przed walką, odpoczywając i relaksując się na stole do masażu *unctora*. Chłód za grubymi murami łaźni dawał jakieś wytchnienie od słońca. Romulus dołączył do Brennusa, gdyż czuł się niezbyt pewnie na placu bez jego towarzystwa.

– Dość już ćwiczeń. Połóż się! Zrelaksuj – Brennus jęknął, gdy *unctor* zajął się rozmasowywaniem mięśni na jego plecach. Wskazał dzbanek z gliny i kubek stojący na ławie obok. – Napij się soku winogronowego. Jest naprawdę dobry.

Romulus odchylił się do tyłu i wygiął w łuk, machając mieczem tam i z powrotem.

– Ty nie musisz obawiać się tej walki. Ja tak.

– Po prostu postanowiłem się tym nie przejmować – Brennusiowi z coraz większym trudem przychodziło pamiętanie o obietnicy, jaką złożył samemu sobie nad ciałem Narcyza. Jednostronne starcia zaczęły powtarzać się z obrzydliwą regularnością, lanista bowiem chciał jak najwięcej zarobić jego kosztem. Od czasu

starcia z Grekiem Brennus zabił wielu ludzi.

– Muszę ćwiczyć – odpowiedział Romulus z uporem.

– Tak nie można – odezwał się *unctor* drżącym głosem. – Nie wolno posługiwać się bronią w budynku łaźni.

– Daj mu spokój, Receptusie. Tam na zewnątrz nie jest już bezpieczny.

Gdy Memor poinformował gladiatorów o planach Pompejusza, atmosfera w *ludus* stała się jeszcze bardziej napięta. Zaczepki Figulusa i jego bandy były teraz codziennością. Wszyscy wiedzieli, że w czasie zbiorowej walki zostanie przelana krew i to nie tylko w wyniku ciosów zadanych przez przeciwników z konkurującej z *Ludus Magnus* szkoły gladiatorów. Nawet przyjazny masażysta nie mógł tego nie zauważyć. Receptus wznowił masaż pleców Brennusa. Nie miał żadnego prawa do mówienia mistrzowi i jego protegowanemu, co mają robić.

– Co stanie się jutro?

– Figulus i jego koledzy będą nas bacznie obserwować – powiedział Brennus pewnie. – Spróbują nas zaskoczyć. Prawdopodobnie uderzą w najbardziej sprzyjającym momencie.

– A my mamy po prostu czekać na atak? Wojownicy ze szkoły Dacicusa przed nami, a ci dranie za nami? To szaleństwo.

– Uspokój się, Romulusie – Brennus przewrócił oczami, spojrzawszy na *unctora*. – Zrelaksuj się podczas masażu.

Romulus niechętnie odłożył miecz na podłogę, po czym wspiął się na ławę obok. Gdy Receptus próbował rozmasować jego napięte mięśnie, czuł się wspaniale, ale nie potrafił się odprężyć, bo co chwila zerkał w kierunku drzwi. Za to Brennus pozwolił sobie nawet na beztróską drzemkę. Wiedział, że nikt nie ma dość odwagi, aby stanąć z nim do walki twarzą w twarz.

Popołudnie minęło bez incydentów. Wreszcie zaszło słońce, temperatura spadła o kilka stopni do znośnego poziomu. Memor wybrał się na obchód, podnosząc każdego gladiatora na duchu kilkoma życzliwymi słowami. W jutrzejszej walce chodziło o coś więcej niż o zwycięstwo. Szło przeciwko o reputację jego szkoły.

Tego wieczoru Nubijka przygotowała wyjątkowy posiłek. Romulus dołączył do Brennusa i Astorii przy stole, popijając czerwone wino i ciesząc się chlebem, świeżymi rybami i warzywami, specjalnie kupionymi tego dnia na rynku. Ciepły wiaterek wpadał do pokoju przez otwarte drzwi, przynosząc zapachy gotowanych potraw i szmer rozmów. Wszyscy starali się znaleźć czas na chwilę spokoju i odpoczynku. Dla niektórych może ostatnią w życiu...



– Nie przesadz z winem – radziła Astoria. – Jeden kubek wystarczy. Nie ma sensu walczyć też z bólem głowy.

– Spróbuj orzesznicy – Brennus wskazał duży talerz. – Prawdziwy rarytas.

Romulus potrząsnął głową przecząco, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na jedzenie.

– Zostanie więcej dla mnie – Gal otworzył szeroko usta, pochłaniając gryzonia niemal w całości. – Nie przepadam za potrawami rzymskiej kuchni, ale ta mi akurat smakuje.

Romulus jadł niewiele. Żołądek skurczył mu się ze zdenerwowania. Do tej pory walczył tylko z jednym przeciwnikiem, a myśl o tym, że przyjdzie mu mierzyć się z tyloma gladiatorami naraz, napawała go prawdziwym lękiem. Martwił się także tym, że trzeba mieć oczy dookoła głowy i uważać na Figulusa i Gallusa. Próbował nie myśleć o przegranej walce i śmierci z ręki jednego z nich.

– Zamartwianie się w niczym ci nie pomoże – powiedział Brennus spokojnie.

Astoria mruknęła tylko, potwierdzając, że zgadza się z tymi słowami.

Romulus popychał palcem kawałek chleba na talerzu.

– Nakręcanie się jak sprężyna nie poprawi ci również samopoczucia. Idź do łóżka. Spróbuj złapać tyle godzin snu, ile tylko zdołasz – Brennus poklepał chłopaka po ramieniu. – Jutro nas obu czeka ważny dzień.

## Rozdział XIII

# *Intryga*



Lupanar, Rzym, koniec lata 55 r. p.n.e.

**B**yło wczesne popołudnie. Najcichsza pora dnia. Rutynowe zajęcia prostytutek zaczynają się rano od kąpeli i zabiegów upiększających. Wszyscy mężczyźni, którzy pojawili się w tym przybytku rozkoszy dość wcześnie rano, najpierw brali to, po co tu przybyli, a potem odzyskiwali siły w łaźni. Wpływowi obywatele Rzymu mogli tam odpocząć, popróbować wina i podzielić się z innymi nowinami. Potem zwykle wracali do swoich codziennych spraw.

Fabiola zmieniła pozycję. Starła się zachowywać jak najciszej, a przy tym nie oderwać ucha od małego otworu w ścianie. Żaden z klientów siedzących w tepidarium nie miał pojęcia, że jest podsłuchiwany. Odkąd Pompeja pokazała jej to miejsce rok temu, Fabiola wykorzystywała każdą wolną chwilę, żeby podsłuchiwać tych, którzy korzystali z usług Lupanaru. Rzadko kiedy dowiadywała się jednak czegoś istotnego. Mężczyźni rozmawiali głównie o wyścigach rydwanów,

walkach gladiatorów, pogodzie, wymieniali się uwagami na temat tego, która z jej koleżanek dobrze sobie radziła z tym czy tamtym... Czasami jednak udawało jej się zdobyć ważne informacje dotyczące polityki lub gospodarki, z których czerpała wiedzę na temat świata poza murami Rzymu.

– To mówisz, że Krassus zbiera armię?

– Nie może zdzierżyć sukcesów Pompejusza i Cezara, Gabiniuszu.

Fabiola uśmiechnęła się na dźwięk głosu Mancinusza. Była z nim kilka razy. Bawiło ją to, jak łatwo udało się jej go do siebie przywiązać. Jednak stary kupiec rzadko mógł sobie na nią pozwolić. Od niedawna musiał zaspokajać swoje żądze w objęciach tańszych prostytutek, ale Fabiola zbytnio się tym nie martwiła. Mancinusz nie był naprawdę wpływowym człowiekiem. A Fabiola miała w życiu tylko trzy cele: odzyskać wolność dla siebie i swojej rodziny, zemścić się na Gemellusie i zniszczyć człowieka, który zgwałcił jej matkę. Mogła je zrealizować, tylko mając wpływ na jak największą liczbę bogatych i możnych obywateli tego miasta. W efekcie Fabiola podchodziła do swojej pracy wyjątkowo pragmatycznie, dbając wyjątkowo o kilku najważniejszych klientów.

Brutus był jednym z tych, w których pokładała największe nadzieje. Przez ostatni rok Fabioli udało się owinąć go wokół palca, choć trzeba przyznać, że kosztowało ją to sporo wysiłku. Gdy tylko Brutus wracał do Rzymu, pojawiał się w Lupanarze regularnie. Zwykle co tydzień. Zabierał wtedy Fabiolę do teatru i domu nad morzem. Dziewczyna miała nadzieję, że jej wykupienie od Jowiny jest tylko kwestią czasu. A może zostanie wolną obywatelką? Fabiola marzyła o tym codziennie.

– Ostatnie zwycięstwa Cezara zostały zauważone. Czyżby Krassus był zazdrosny? – odezwał się ktoś trzeci. W jego głosie wyraźnie dawało się wyczuć pogardę.

Gabiniusz prychnął.

– Nie zapomniał, że senat nie zgodził się na jego triumf ulicami Rzymu po pokonaniu Spartakusa, prawda?

– Mimo że minęło już piętnaście lat, ta zniewaga wciąż siedzi w nim niczym zadra – skomentował oburzony Mancinusz. – Krassus uratował Rzym, któremu groziło niebezpieczeństwo, jakiego stolica nie zaznała od ponad stu lat, a oni zgodzili się zaledwie na jakąś gównianą pieszą paradę!

– No i to Pompejusz zebrał laury – skomentował ostatni mówca. – A jego zadanie polegało w zasadzie na wyłapywaniu uciekinierów z pola bitwy.

Gabiniusz zaśmiał się cicho.

– Tylko że od tego czasu Krassus koncentruje się tylko na narzekaniu. Jeśli chce

dorównać Pompejuszowi i Cezarowi, musi wziąć tylek w troki i wygrać jakąś wojnę.

– Co masz na myśli? – wybełkotał kupiec.

– Daj spokój! Lista zwycięstw Pompejusza robi wrażenie – powiedział Gabiniusz.

– Pokonał zwolenników Mariusza w Afryce. Poradził sobie z piratami z Cylicji. Pobił Mitrydatesa w Poncie. To właśnie dlatego senat pozwolił mu na dziesięciodniowe świętowanie. Krassus może sobie być najbogatszym człowiekiem w Rzymie, ale dawno nie odniósł żadnego sukcesu militarnego.

Mancinusz milczał.

– Zwycięstwo Pompejusza w Azji Mniejszej powinno zostać przypisane Lukullusowi – wtrącił się trzeci mężczyzna. – Ale zwykli obywatele mają krótką pamięć. To dlatego Cezar jest teraz bardziej popularny.

Fabiola w końcu rozpoznała ten głos. Należał do Memora, nowego klienta Pompei. Bawiło ją to, że wszystkich gości domu publicznego można było przyporządkować do trzech obozów politycznych. Podzielenie się członków triumwiratu stanowiskami znalazło też odzwierciedlenie w rzymskim społeczeństwie. I to bardziej niż kiedykolwiek. W łaźni nieraz dochodziło do bójek, gdy mężczyznom nie wystarczała już siła argumentów. Pompejusz, jeden z obecnych konsulów, zyskał wielką popularność dzięki sukcesom na polach bitew i zagwarantowaniu dobrej opieki weteranom ze swoich legionów. Krassus, współkonsul, wydawał z kolei ogromne sumy, próbując dorównać dwóm pozostałym członkom triumwiratu. Chociaż świetnie radził sobie w polityce, nie potrafił przeciągać na swoją stronę tłumów tak skutecznie, jak dwaj pozostali. Ostatnio Cezar zyskiwał największą popularność dzięki podbojom, czynionym jak zwykle na chwałę Rzymu.

– Teraz na ustach wszystkich jest Juliusz Cezar – Memor odezwał się znowu. – Podporządkował sobie Galię, dzięki czemu zyskał ogromne zasoby. To zwycięstwo warte było piętnastodniowego święta. I generał nie zyskał sojuszników, podpalając domy obywateli!

Gabiniusz roześmiał się głośno.

– Nikt nigdy nie udowodnił, że komuś, kto bawił się w podpalacza, można w ogóle przypisać te pożary! – zaoponował Mancinusz.

– Każdy, kto coś wiedział, skończył z poderżniętym gardłem! – Memor nie był mu dłużny. Bliskie powiązania Krassusa z niedarżonym wielkim szacunkiem Klodiuszem były tajemnicą poliszynela.

Gabiniusz znowu zaśmiał się cicho.

Fabiola mocniej przycisnęła ucho do dziury, chcąc dowiedzieć się jak najwięcej o Memorze. Pompeja niedawno powiedziała jej, że Memor jest lanistą w *Ludus Magnus*. Wzrastająca popularność walk gladiatorów sprawiła, że najwyraźniej lanista nieźle się wzbogacił. Chociaż Fabiola nie miała najmniejszego pojęcia, do jakiej szkoły trafił jej brat, uznała, że na początek nie zaszkodzi poznać Memora.

Już od ponad roku nie miała żadnych wieści o Romulusie. Klienci domu publicznego rozmawiali tylko o najsłynniejszych gladiatorach. Fabiola roniła łzy za każdym razem, gdy dochodziła do wniosku, że Romulus jest ostatnim członkiem jej rodziny, jaki pozostał wśród żywych. Próba wykupienia jej matki przez podstawionych przez Brutusa ludzi nie udała się. Gemellus dotrzymał słowa i sprzedał Welwinnę na targu niewolników. Ludzie Brutusa odwiedzili wiele kopalni soli i opłacili setki nadzorców, ale wszystkie te wysiłki okazały się bezowocne. Krucha Welwinna ze złamanym sercem zniknęła jak kamfora i Fabiola już nigdy nie miała jej zobaczyć. W tej sytuacji odnalezienie Romulusa stawało się coraz pilniejszym zadaniem.

– Cezar jest dobrym dowódcą. Muszę to przyznać – powiedział Gabiniusz. Fabiola usłyszała plusk wody i domyśliła się, że Gabiniusz zmienił pozycję.

– Podbił całą Galię i Belgię. Teraz czas na Brytanię – skomentował lanista. – A Pompejusz i Krassus ograniczają się do strzępienia języka!

– Już niedługo – Mancinusz rzucił krótko.

Zwolennik Pompejusza także miał coś do powiedzenia.

– Cezar musi zdobywać łupy, żeby spłacić ogromne długi. Słyszałem, że to całe miliony sesterców.

– Większość z tego jest winien Krassusowi – odezwał się z zadowoleniem w głosie Mancinusz. – Poza tym Cezara nigdy nie ma w Rzymie. Ludzie muszą widzieć tego, za kim mają iść.

Gabiniusz nie zamierzał się łatwo poddać.

– Czy widziałeś nowy kompleks budynków Pompejusza na Polu Marsowym? Słyszałeś, jak mówił, że to właśnie tam odbędą się najbliższe obchody?

Memor prychnął. Nowe budynki miały zaimponować ludziom. Ale budowa ciągnęła się latami i kosztowała fortunę. Jak to zwykle bywa, kapryśna opinia publiczna nie przyjęła tego daru zbyt dobrze.

– To miejsce jest tak... wyrefinowane – powiedział z przekonaniem – ...ludzie rozumieją, że chodziło tylko o to, żeby Pompejusz mógł się nim chełpić. Cezar jako *aedilis* sponsorował walki trzystu par gladiatorów w srebrnych zbrojach. Tłum szalał!

– mówił Memor z zadowoloną miną. – A wiem, o czym mówię, bo to mój obszar zainteresowań zawodowych.

Nagle zapadła cisza. Memor wyczuł, że nikogo już nie przekona. Oddzielała go teraz od pozostałych niewidzialna bariera różnic społecznych.

Lanista nic sobie jednak z niej nie robił.

– Czas na inne gierki... To niesamowite, co ta ruda kurwa potrafi zrobić ustami.

Mężczyźni roześmiali się rubasznie. Fabiola usłyszała, że lanista wychodzi z basenu i żegna się. Postanowiła poprosić Pompeję, aby ją z nim poznała, mimo że Memor właściwie był jednym ze stałych klientów jej rudowłosej przyjaciółki. Dzięki odrobinie perswazji Pompeja może się zgodzić i odstąpić Memora Fabioli.

Może w ten sposób uda się jej dotrzeć do Romulusa.

Jeśli jeszcze żyje.

Serce Fabioli zabiło szybciej na myśl o odzyskaniu kontaktu z bratem. Wydawało się, że nikt z mężczyzn przebywających w łaźni nie zamierzał już kontynuować tej dyskusji, ale Fabiola nauczyła się, że zawsze warto trochę poczekać.

– Więcej wina!

Gdy służący wybiegł po wino, Fabiola usłyszała ciche szepty. Niestety, docierały do niej tylko pojedyncze słowa. Słyszała coś jakby „ten cholerny lanista”, „wielki Gal” ... ale niewiele z tego rozumiała. Mężczyźni szeptali tylko do powrotu niewolnika.

– Ja mam już dość. Praca czeka.

– Wypij jeszcze jeden puchar.

– Niektórzy z nas muszą zarabiać na życie! Wy, ekwici z ogromnymi latyfundiami, macie dobrze – narzekał Mancinusz. – Mój towar sam się nie sprzedaje.

– Ale tak rzadko ostatnio się widzimy – utyskiwał Gabiniusz. – Ten będzie ostatni.

Kupiec zanurzył się w ciepłej wodzie, chętnie sięgając po jeszcze jeden puchar z winem, mimo że z jego słów można było wywnioskować coś innego. Mężczyźni przez dłuższą chwilę rozmawiali o jakichś mało istotnych sprawach, a następnie Fabiola zorientowała się, że Gabiniusz próbuje wrócić do rozmowy na temat Krassusa. Mancinusz zdawał się dysponować znaczną wiedzą na jego temat. Fabiola od razu zorientowała się, że Gabiniusz usiłuje wyciągnąć ze swojego rozmówcy jakieś ważne informacje.

Minął rok i Fabiola nauczyła się manipulować klientami, którzy często nawet nie

zdawali sobie sprawę z tego, że są wykorzystywani. Niesamowicie, co ludzie potrafią wygadywać w szale pożądania. Na początku bardzo przydały jej się wskazówki Pompei, ale teraz Fabiola stała się jedną z najbardziej pożądanych kobiet w Lupanarze i wiedziała, jak zdobyć istotne informacje.

– Czy teraz, gdy Krassus został namiestnikiem Syrii, zamierza ruszyć swoją armię?

– To wiedzą wszyscy! – Mancinusz łyknął trochę wina i zniżył głos. – Pompejusz nic nie robi, a on planuje zdobyć Jerozolimę.

– Naprawdę?

– I nie zamierza na tym poprzestać.

Fabiola usłyszała odgłosy, które mogły świadczyć o tym, że Gabiniusz pochyła się i dolewa Mancinuszowi wina.

– Seleucja – stwierdził krótko kupiec. – Spogląda tęsknym wzrokiem na Seleucję.

Gabiniusz wciągnął powietrze.

– Ma zamiar najechać Królestwo Partów?

– Wszyscy mówią, że Partia jest niesamowicie bogata. Cały ten handel ze Wschodem...

– Ale Rzym zawarł pokój z Partami.

– Tak jak i z Galią, do której wtargnął Cezar! Pakty nie powstrzymały go przed zabiciem tysięcy Galów, prawda?

– Czy jesteś tego pewien?

– Mówią, że partyjskie świątynie ociekają złotem. Gdybym był młodszy, dołączyłbym do Krassusa!

– On jest co najmniej dziesięć lat starszy od ciebie – roztropnie zauważył Gabiniusz.

– Nie wszyscy rodzą się żołnierzami – prychnął Mancinusz.

– Nie chciałem cię urazić... – Gabiniusz zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. – Napijmy się jeszcze.

Fabiola aż parsknęła pod nosem, myśląc o tym, jak łatwo kupiec daje się podejść. Obrażony mężczyzna nie miał już jednak ochoty na więcej wina, dlatego dziewczyna opuściła swoje stanowisko pod ścianą. Ruszyła wyściełanym miękkimi dywanami korytarzem. Jej suknia poruszała się lekko pod wpływem słabych podmuchów ciepłego powietrza.

W kuchni zastała Benignusza, któremu usłużywała Germanilla, nakładając na

talerz chleb i warzywa.

Gdy strażnik ujrzał Fabiolę, na jego poważnej na ogół twarzy pojawił się promienny uśmiech.

Fabiola podsunęła stółek i usiadła obok niego.

– Trudna noc, co?

– Nie było tak źle. Musiałem wyrzucić tylko jednego klienta – Benignusz odgryzł kęs chleba i zaczął go przeżuwać, niezłe przy tym hałasując. – Głupi sukinsyn poturbował nową dziewczynę, Senowarę.

– Czy coś jej się stało? – Fabiola zapytała zmartwiona.

– Jest trochę posiniaczona i lekko wystraszona, ale nic jej nie będzie.

– Kto to zrobił?

– Nikt ważny. Jeden z żołnierzy Cezara chciał skorzystać z brank przywiezionych z Galii – Benignusz uśmiechnął się. – Teraz skoncentruje się raczej na złamanej ręce.

– Miło to słyszeć – Fabiola mrugnęła do Germanilli.

Służąca sięgnęła pod drewniany blat i położyła na talerzu Benignusza ogromny kawał wieprzowiny.

– To dla mnie? – oczy prawie wyszły mu z orbit. – Od ciebie?

Fabiola skinęła głową. Zerkała spod długiej grzywki z błyskiem w oczach.

– Dbaj o dziewczynę...

Potężnie zbudowany niewolnik rozciągnął usta w szerokim uśmiechu, odsłaniając zaniedbane zęby.

– I ja, i Wettiusz jesteśmy gotowi zabić każdego, kto będzie próbował skrzywdzić którąś z was – poklepał kościaną rękojęść sztyletu.

Fabiola patrzyła z zadowoleniem, z jak wielką przyjemnością strażnik z ogoloną głową zagłębia zęby w sztuce mięsa. Na szczęście nigdy dotąd nie potrzebowała jego interwencji, tak jak Senowara poprzedniej nocy. Ale gdyby coś takiego miało się zdarzyć, wiedziała, że Benignusz i Wettiusz natychmiast pospieszą jej z pomocą. Zyskanie sobie lojalności ochroniarzy Lupanaru okazało się bardzo proste. Nie musiała nawet iść z żadnym z nich do łóżka. Zdobyła ich serca, dbając o to, żeby od czasu do czasu dobrze się najedli, a wszystkie ich rany i obrażenia opatrywał najlepszy lekarz w Rzymie.

Piękna, młoda kobieta oddawała swoje ciało tylko tym, którzy mogli jej dużo zapłacić, podzielić się ważnymi informacjami lub ofiarować wolność.



## Rozdział XIV

# *Rufus Celiusz*



Rzym, późne lato 55 r. p.n.e.

**T**arkwiniusz zmienił pozycję, układając płaszcz tak, żeby służył mu za poduszkę. Mężczyzna siedział oparty plecami o ścianę domu w wąskiej uliczce niedaleko forum. Obok niego tłoczyli się żebracy i handlarze żywnością, konkurujący o uwagę przechodniów. Najbliżej niego przy krawężniku usiadł mężczyzna w średnim wieku, weteran z jedną ręką, noszący jeszcze ciągle brązową tunikę legionisty. Gdy Tarkwiniusz pojawił się tu po raz pierwszy, żołnierz rzucił mu pełne zaciekawienia spojrzenie. Był też lekko urażony tym, że musi przesunąć się o dwa kroki w stronę sąsiada. Jednak jego nastawienie zmieniło dziesięć sesterców, które dał mu Tarkwiniusz. To było więcej, niż zarobiłby w ciągu dnia. Kogo obchodzi, dlaczego nieznajomy blondyn chciał posiedzieć sobie tu na kamieniu? Najważniejsze, że obiecał mu taką kwotę za każdy dzień. Kaleka zauważył, że Tarkwiniusz odwzajemnił spojrzenie i szybko spuścił wzrok, starając się nie denerwować niepotrzebnie

swojego nowego sponsora.

Po drugiej stronie ulicy znajdowała się duża zwieńczona łukiem brama, z ogromnymi kamiennymi penisami we zwodzie, umieszczonymi po obu stronach nad wejściem. Pomalowano je jasnymi farbami, żeby przyciągały uwagę. I wydawało się, że spełniały tę funkcję. Wielu przechodniów zatrzymywało się w pobliżu, żeby zapuścić żurawia przez otwarte drzwi. Niewielu jednak decydowało się wejść do środka. Chwyтали w dłonie swoje sakiewki, sprawdzając ich wagę i tylko spoglądali tęsknym wzrokiem w stronę bramy Lupanaru.

Jednoręki ekslegionista zauważył, że Tarkwiniusz także zerka w tym kierunku.

– Na te luksusy stać tylko najbogatszych – odchrząknął i splunął. – To jeden z najdroższych domów publicznych w Rzymie. Dziewczyny z Lupanaru potrafią puścić każdego w skarpetkach!

– Byłeś kiedyś w środku?

Kaleka zaśmiał się kwaśno.

– Mogę tylko pomarzyć.

– Kto jest właścicielem?

– Stara wiedźma o imieniu Jowina. Mówią, że jest ostra jak brzytwa i że zgromadziła prawdziwą fortunę. Zawsze potrafi zadowolić swoich klientów.

Etrusk pokiwał zachęcająco głową, sygnalizując, że chętnie dowie się czegoś więcej.

Weteran zadowolony z tego, że ma słuchacza, zaczął opowiadać, kto korzysta z usług domu publicznego. Wkrótce haruspik wiedział, którzy prominentni senatorzy i arystokraci odwiedzali ten przybytek regularnie, jak strażnik radzi sobie z kłopotliwymi klientami i które prostytutki czasami wychodzą do miasta.

– Jak się nazywasz, żołnierzu? – zapytał w końcu Tarkwiniusz.

Kaleka był zaskoczony, ale i ucieszony, że ktoś chce poznać jego imię. Zazwyczaj nikt go o takie rzeczy nie pytał.

– Sekundus – odparł. – Gajusz Sekundus.

– A ty?

– Markus Peregrinus – chociaż Sekundus wydawał się uczciwym człowiekiem, Tarkwiniusz nie zamierzał ujawniać swojej prawdziwej tożsamości, zwłaszcza po epizodzie z Gallą sprzed miesiąca.

– Też służyłeś w legionach?

Tarkwiniusz uśmiechnął się.

– Ja? Nie! Jestem przedsiębiorcą.

Takie wyjaśnienie wystarczyło Sekundusowi. Zapadła pełna serdeczności cisza.

Czas mijał i wkrótce mężczyźni rozmawiali jak starzy znajomi, dzieląc się różnymi opowieściami. Sekundus mówił o doświadczeniach wojen w Poncie i Grecji, a Tarkwiniusz o tym, co ciekawego widział w Azji Mniejszej, Afryce Północnej i Hiszpanii. Ze wszystkich stron zalewał ich miejski gwar, odgłosy wozów ciągniętych przez woły, rozmowy przechodniów. Podobnie jak wszystkie ważne arterie w Rzymie i ta ulica była stale zapchana tłumami.

Po jakimś czasie Etrusk wskazał na prawy bark Sekundusa. Błyszcząca czerwona linia wyraźnie wskazywała miejsce zakończenia ramienia, równo odciętego od ciała. Na skórze wciąż widoczne były mniejsze blizny, w miejscach, w których umieszczono szwy. To świadczyło o tym, że ręka została amputowana przez mistrza w swoim fachu.

– Gdzie straciłeś rękę?

Sekundus zmarszczył brwi i potarł bark.

– Pod Tigranocertą.

– Służyłeś w legionach Lukullusa?

Odpowiedzią było tylko dumne skinienie głowy.

– Słyszałem, że to jedno z największych zwycięstw Republiki – haruspik przywołał w pamięci obraz bitwy, która rozegrała się pod murami stolicy króla Tigranesa. Głębokie, dudniące odgłosy ormiańskich bębnow, od których dostaje się gęziej skórki. Gorące słońce, które praży długie szeregi legionistów. Wielkie miasto królewskie. To było niezapomniane doświadczenie. Dźwięki *bucinae* z pozycji Lukullusa, oficerowie, którzy pokrzykują na swoich ludzi, przekazując im otrzymane rozkazy. Płynny ruch szeregów zmierzających prosto na wroga. Dłonie zaciśnięte na rękojeściach mieczów. Pot spływający spod hełmów. Chmura oszczepów wybijających wyrwy w szeregach ormiańskiej piechoty. Rozprzestrzeniająca się panika, która miała siłę wiatru zdolnego powalić ścianę drzew. Tarkwiniusz uśmiechnął się do swoich wspomnień. – I to mimo że wrogowie mieli przewagę liczebną.

– Dwudziestu na jednego! Ale szybko udało nam się rozpędzić tych dzikusów – zawołał Sekundus. – Wydawało się, że już jest po wszystkim, gdy nagle wielki Ormianin przebił ścianę tarczy tuż koło mnie. Powalił czterech legionistów w mgnieniu oka – na twarzy weterana pojawił się grymas gniewu. – Udało mi się trafić go w ścięgno, ale jeszcze odwrócił się i padając, ciął mieczem... Kość

roztrzaskana w drzazgi. Było tak źle, że lekarz musiał amputować rękę.

Tarkwiniusz cmoknął ze współczuciem.

– To był chyba koniec służby wojskowej dla ciebie?

– Nie można walczyć z gladiusem w lewej ręce – Sekundus westchnął. – A zostały mi tylko trzy lata służby.

– Bogowie czasami przedziwnie kierują naszymi losami.

– Jeśli w ogóle nas dostrzegają!

– Dostrzegają – odpowiedział Tarkwiniusz poważnie.

– O mnie w takim razie zapomnieli – Sekundus wskazał z cynizmem na swoją tunikę legionisty, a raczej szmaty, które nosił, oraz ledwo trzymający się w jednym kawałku koc. Tylko to dawało mu schronienie przed deszczem i słońcem. – A nadal oddaję się pod opiekę Marsa... – rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy ktoś może go podsłuchać – i Mitry – wyszeptał.

Tarkwiniusz nastawił uszu. Fascynowała go dawna religia i bóg, którego czcili w tajemnicy żołnierze. Podobno przybył do Rzymu dzięki legionistom powracającym ze Wschodu. Tylko wtajemniczeni mogli być dopuszczani do podziemnych świątyń Mitry, a gdy służył w Azji Mniejszej, słyszał same plotki. Podobno wyznawcy tej religii składali ofiary z byków. Przepowiadali przyszłość z układu gwiazd w gwiazdozbiorach, a ktoś, kto miał osiągnąć wyższy poziom wtajemniczenia, musiał przejść próby gorąca, bólu i głodu w obrzędzie przejścia. Wyznawcy mitraizmu cenili ponoć nade wszystko prawdę, honor i odwagę. *Przy odrobinie szczęścia może uda mu się dowiedzieć od Sekundusa czegoś więcej?*

– Nie trać wiary w bogów – powiedział, szukając znaków na tym fragmencie nieba, który akurat był widoczny między gęstymi budynkami. – Oni o tobie nie zapomnieli.

Sekundus chrząknął.

– Uwierzę, gdy zobaczę.

W ciemnych oczach Tarkwiniusza pojawił się błysk.

Nagle drzwi Lupanaru uchyliły się i w wejściu pojawił się wielki niewolnik z ogoloną głową. Wyrzął na ulicę, a gdy stwierdził, że nie dzieje się nic podejrzanego, uchylił furtę szerzej i wyszedł na zewnątrz, ściskając w ręku okutą metalem pałkę. Rozejrzał się jeszcze raz, zwracając głowę to w jedną, to w drugą stronę, po czym odezwał się do kogoś skrywającego się za drzwiami wewnątrz budynku.

– Fabiola! Jest bezpiecznie.

Sekundus szturchnął Tarkwiniusza.

– Jeśli to jest ta, o której myślę – powiedział, rzucając w kierunku drzwi pożądliwe spojrzenie – czeka nas prawdziwa uczta zmysłów.

Haruspik bacznie obserwował bramę. Widział, jak młoda ciemnowłosa kobieta dołączyła do strażnika. Ścisnęła jakiś pakunek owinięty w tkaniny. Była bardzo piękna i nawet jej nierzucająca się w oczy szata nie była w stanie ukryć szczupłej sylwetki i dużych piersi.

– Pospiesz się – odezwał się wielkolud. – Wiesz, jaka jest Jowina.

– Nie denerwuj się, Benignuszu – powiedziała prostytutka z uśmiechem. – Nie zachowuj się jak stara zrzęda. Jeszcze nie czas na ciebie.

Benignusz odpowiedział uśmiechem, patrzył na kobietę z uwielbieniem. Ruszyli w kierunku forum. Wokół rozległo się kilka gwizdów uznania, a znajdujący się na ulicy mężczyźni wykręcali głowy, żeby jak najdłużej móc podziwiać piękną dziewczynę.

Wzrok Fabioli prześlizgiwał się po twarzach zgromadzonych na ulicy handlarzy i żebraków. Tarkwiniusz na krótko złapał kontakt wzrokowy z dziewczyną, nie pozostając obojętny na przeszywające spojrzenie niebieskich oczu. Szybko spuścił wzrok, wbijając go w płyty bruku. Nie chciał, żeby zwróciła na niego uwagę. Jednak jedno spojrzenie wystarczyło, żeby haruspik wyczuł głęboki smutek przepełniający serce dziewczyny. Wyczuł też stratę. I gorące pragnienie zemsty.

– Piękna, prawda? Jak Wenus – westchnął Sekundus. – Co ja bym dał za godzinę z takim kwiatuszkiem.

– Jak często pozwalają jej wychodzić?

– Mniej więcej raz w miesiącu. Zawsze coś dźwiga – Sekundus potarł siwą szczecinę na brodzie. – I zawsze towarzyszy jej jeden z ochroniarzy.

– Prawdopodobnie deponuje pieniądze u jakiegoś bankiera na forum.

– Pewnie nie chodzi o przychody burdelu – stwierdził weteran. – Jowina wynajmuje wtedy pół tuzina byłych żołnierzy – jego oczy zabłysły. – Pieniądze wynoszą w wielkiej, wzmocnionej metalem skrzyni, którą niewolnicy niosą w lektyce. Przez całą drogę do banku siedzi na niej jeden z tych osiłków.

– Zatem są to z pewnością jej prywatne oszczędności – skomentował Tarkwiniusz. – Musi być jedną z najbardziej ekskluzywnych prostytutek.

– Zgadzam się... – powiedział Sekundus tęsknym głosem.

– Nie masz żony?

Sekundus pokręcił głową.

– Będzie już z pięć lat, jak zmarło się bidulce na dyzenterię. Żadna kobieta nie weźmie mnie teraz do łóża – pomachał kikutem ramienia.

– Chodź! – zawołał Tarkwiniusz, uderzając Sekundusa w plecy. – Kubek wina poprawi ci humor.

Weterana nie trzeba było długo namawiać. Tarkwiniusz poprowadził go tą samą drogą, którą udała się Fabiola, opowiadając przy tym o pobliskiej tawernie, którą odkrył zupełnie niedawno. Postarał się, aby karczma, w której się zatrzymają, znajdowała się niedaleko stoisk lichwiarzy w *basilicae* forum. Wszelkie informacje na temat pięknej, młodej dziewczyny mogą wszak okazać się istotne.

Coś mówiło haruspikowi, że ta osoba jest ważna.

Nie chodziło tylko o jego przyszłość, ale o przyszłość Rzymu.

Ujrzenie Fabioli okazało się jednym z najbardziej interesujących wydarzeń dnia. Ba! Co tam dnia. Całego tygodnia. Tarkwiniusz przez cały czas, od świtu do zmierzchu, siedział cierpliwie w tym samym miejscu i rozmawiał z Sekundusem, opuszczając swój punkt obserwacyjny tylko po to, żeby załatwić się w jednej z wąskich uliczek, odchodzących od głównego traktu. Niezmiennie wpatrywał się przy tym w łukowate wejście burdelu. Klienci wchodzili i wychodzili. Niewolników wysyłano z różnymi zadaniami – na przykład na zakupy produktów spożywczych. Czasami Jowina wybierała się do miasta, żeby załatwić jakieś swoje interesy. Tarkwiniusz obserwował ją wtedy ukradkiem. Zwracała na siebie uwagę paciorkowatymi oczyma i dużą ilością drogiej biżuterii na dłoniach i ramionach. W rzymskim świecie, zdominowanym przez mężczyzn, ta kobieta najwyraźniej miała wielkie wpływy. Wystarczyło kilka pytań do bywalców lokalnych zajazdów, żeby to potwierdzić. Dzięki szerokiemu gronu odbiorców oferowanych przez nią usług, a także oddaniu na rzecz zaspokajania wszystkich pragnień gości Lupanaru Jowina stała się szanowanym obywatelem stolicy imperium. Wydawało się ponadto, że miała znajomych w wielu kręgach społecznych i politycznych.

– Połowa senatu odwiedza Lupanar! – śmiał się pewien karczmarz. – Jej dziewczyny są niesamowite. Powinieneś kiedyś sam się przekonać.

Tarkwiniusz zbył wtedy swojego rozmówcę kilkoma gładkimi słówkami, ale miał o czym rozmyślać.

Chociaż Etrusk zdawał sobie sprawę, że klientela Lupanaru może faktycznie robić wrażenie, nie bardzo rozumiał, dlaczego dom publiczny Jowiny pojawiał się stale

w jego wróżbach. Co kilka dni w świątyni Jowisza na Kapitolu Tarkwiniusz składał w ofierze kurę. I za każdym razem przepowiednia wyglądała tak samo: Lupanar był ważny dla jego przeszłości. I przyszłości! Etrusk wiedział, że ma to jakiś związek z Rufusem Celiuszem, właścicielem majątku, w którym pracował. Logika podpowiadała, że prędzej czy później rudzielec pojawi się w burdelu. Tarkwiniusz nie rozumiał jednak, dlaczego Lupanar miałby wpływać na jego przyszłość po tym, jak zemści się na Celiuszu.

Chyba że to miało mieć coś wspólnego z Fabiolą...

– Czy wśród twoich klientów są też kobiety?

Lichwiarz taksował Tarkwiniusza, wodząc palcem po grubych wargach.

– Być może – odparł. Niski, gruby i arogancki Grek był najwyraźniej rozbawiony tym pytaniem. – Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Chodzi mi o dziewczynę o imieniu Fabiola – odpowiedział haruspik. – Ciemnowłosa. Szczupła. Bardzo ładna.

Grek pozwolił sobie na jeszcze jeden uśmieszek, po czym odchylił się do tyłu na stołku, spoglądając z ukosa na dwóch ochroniarzy, mocno umięśnionych byłych gladiatorów. – Czy znamy kogoś takiego?

– Zapamiętałbym taką foczkę – odezwał się jeden z osiłków, wykonując jednocześnie obsceniczny gest.

Drugi zarechotał.

Tarkwiniusz nie spodziewał się innej reakcji.

– Ktoś może dobrze zapłacić za te informacje – powiedział cicho.

Grek zmrzył oczy. Patrzył na haruspika w milczeniu i próbował odgadnąć, dlaczego go to interesuje. Zapewne chciał również wydedukować, jak pojemna może być jego sakiewka.

Wokół nich, na pełnym zgiełku rynku w pobliżu forum, toczyło się normalne życie. Kolejny zwykły dzień mieszkańców Rzymu. Niewielu z nich poświęcało Tarkwiniuszowi drugie spojrzenie. Ot, zwykły szary obywatel, który nie miał dość szczęścia i musi ratować się pożyczką.

Etrusk czekał. Cisza jest potężną bronią.

Lichwiarz podjął grę.

– Sto sesterców może pomóc mojej pamięci.

Tarkwiniusz zaśmiał się i odwrócił, żeby odejść.

– Czekaj! – mężczyzna zdał sobie sprawę, że przecenił zawartość sakiewki rozmówcy. – Pięćdziesiąt.

Na niskim stoliku między nimi wylądowało dwanaście denarów. To było dwa sesterce mniej, niż żądał lichwiarz, ale Grek postanowił się nie spierać.

Srebrne monety szybko zniknęły.

– To kurwa – oznajmił drwiącym głosem Grek. – Należy do tej starej suki, która prowadzi Lupanar. Wiesz to?

Tarkwiniusz skinął głową.

– Co jeszcze?

– Przychodzi tu raz w miesiącu, żeby zdeponować u mnie swoje oszczędności. Pojawia się w towarzystwie bezmyślnego głupola, takiego jak ci tu... – machnął głową z pogardą, wskazując dwóch ochroniarzy stojących za jego plecami.

Drągale zaszurali gniewnie stopami, ale nie mieli odwagi się odezwać. Praca, którą wykonywali, była godziwie opłacana i trudna do zdobycia.

– Czy kiedykolwiek wspominała o rodzinie? Przyjaciołach?

Grek skrzywił usta.

– Ona jest pierdoloną niewolnicą. Kogo to obchodzi?

Tarkwiniusz pochylił się do przodu, przewiercając lichwiarza wzrokiem.

– Mnie.

Grek poczuł, że pocą mu się dłonie. Tarkwiniusz nie ustępował.

– A więc?

Lichwiarz przełknął ślinę. Jego ludzie mogliby łatwo pozbyć się tego kłopotliwego nieznanego. Złamać mu kilka kości, gdyby tylko im kazał. Ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu wydawało mu się, że to nie byłby dobry pomysł.

– Kiedyś wspomniała coś, że oszczędza, żeby kupić wolność brata – lichwiarz przyznał niechętnie – który został sprzedany do którejś ze szkół gladiatorów.

Tarkwiniusz uśmiechnął się. Teraz już miał pewność, że Lupanar nie jest fałszywym tropem.

Brat Fabioli był gladiatorem.

Tarkwiniusz rzucił trójce mężczyzn długie, twarde spojrzenie, po czym natychmiast się oddalił.

Grek wymamrotał jakieś przekleństwo i stwierdził, że najlepiej będzie jak najszybciej zapomnieć o tym incydencie. Nie chciał pamiętać, co wydarzyło się



przed chwilą. W oczach nieznanego dostrzegł przedsiónek Hadesu.

Tarkwiniusz nic sobie nie robił z niepokoju lichwiarza. Wracał pod mury Lupanaru zadowolony, wspominając słowa Olenusa. Wszystko zaczynało nabierać sensu.

*Dwaj gladiatorzy zostaną twoimi przyjaciółmi.*

Bogowie wciąż byli dla Tarkwiniusza łaskawi.

Dzień później w zapadającym zmierzchu Sekundus zbierał manatki z ulicy, planując poszukiwania czegoś do zjedzenia. Większość wieczorów spędzał zwykle nad kawałkiem pieczonego mięsa wieprzowego, popijanym kilkoma kubkami kiegońskiego wina w jednej z okolicznych oberż, których w pobliżu było pełno.

– Chodź ze mną – zaproponował Tarkwiniuszowi, aby dotrzymał mu towarzystwa. – Jeszcze nie opowiadałem ci, za co dostałem to... – wskazał wykonaną z brązu *phalera* na tunice. Nie rozstawał się z nią, choć był to jeden z niewielu elementów przypominających o służbie wojskowej.

Tarkwiniusz uśmiechnął się. Ciepły wiaterek, jaki czuł na skórze, mówił mu, że nie powinien ruszać się z miejsca.

– Gdzie się wybierasz? – zapytał.

– Do jednej z tych wylęgarni pcheł tu na rogu ulicy. Znasz ją... – Sekundus skrzywił się. – Dopóki nie zaczną się tam panoszyć ci bandyci z *collegia*. Wtedy pójdę do gospody obok Forum Olitorium.

– Zagrzej mi ławę – zdecydował Etrusk. – Dołączę do ciebie za jakiś czas.

Jednoręki weteran wiedział, że i tak nie dowie się, dlaczego jego znajomy chce spędzić jeszcze trochę czasu pod bramą Lupanaru. Wszystkie jego dyplomatyczne pytania zawsze pozostawały bez odpowiedzi. A ponieważ blondyn nadal wręczał mu codziennie dziesięć sesterców, Sekundus już dawno zdecydował, że lepiej będzie okazać biegłość w sztuce roztropności niż kierować się ciekawością. Skinął głową, fachowo zwijając koc jedną ręką.

– Do zobaczenia później.

Były żołnierz szybko zniknął w szarości zmierzchu, ściskając w dłoni nóż, który wcześniej wisiał na pasku na lewym ramieniu. O tej porze na ulicach nie było już praworządnych obywateli. Zamiast nich pojawiały się typy spod ciemnej gwiazdy, które wolały poruszać się po mieście pod osłoną ciemności.

Tarkwiniusz nie obawiał się o swoje zdrowie ani życie, mimo że został sam. Kręcące się w pobliżu szumowiny wiedziały już, że lepiej nie niepokoić dobrze

zbudowanego nieznanego. Gdy tydzień wcześniej napadło go czterech lokalnych zbirów, Etrusk zasypał ich gradem ciosów tak szybkich, że żaden z ocalałych z tej walki nie potrafił wyjaśnić, jak to było możliwe. Jeden napastnik runął na ziemię niemal natychmiast z otwartą raną na gardle, Podczas gdy inni wpatrywali się w przerażeniu w krwiste bąbelki na ustach towarzysza, haruspik chlasnął przez pierś drugiego. Po chwili na ziemi związał się z bólu trzeci, który próbował zatamować krew z paskudnej rany na lewym udzie. Tylko jeden z tej czwórki uciekł bez szwanku. Tarkwiniuszowi nawet włos nie spadł z głowy. Teraz podejrzani osobnicy spotkani na ulicy omijali go szerokim łukiem.

Etrusk oparł się o ścianę i okutał się *lacerna*, lekkim otwartym płaszczem z kapturem. Sprawdził gladius, upewniając się, że łatwo wysuwa się z pochwy i znajduje się blisko prawej dłoni. To już prawie koniec jego wyczekiwania. Czuł to.

Nie minęło wiele czasu, gdy dostrzegł migoczące pochodnie przebijające mrok. Po chwili usłyszał głosy zbliżających się mężczyzn. Pięciu ubranych w togi pijanych arystokratów zbliżało się chwiejnym krokiem do bramy Lupanaru. Poprzedzało ich kilku potężnie zbudowanych niewolników, uzbrojonych w pałki i noże. W tym widoku nie było jednak niczego niecodziennego. Po dniu spędzonym w dusznej atmosferze senatu politycy lubili zrelaksować się przy winie w towarzystwie pięknych kobiet. Najlepiej takich lekkich obyczajów.

Tarkwiniusz naciągnął kaptur na głowę. To nie była zwykła grupa senatorów – w tej gromadce znajdował się człowiek odpowiadający za śmierć Olenusa. Haruspik poczuł, jak wzbiera w nim dobrze już znana fala ciągle jeszcze niespełnionej zemsty. Odetchnął głęboko, starając się zachować spokój. To nie był najlepszy moment, żeby stracić kontrolę nad sobą. Co kilka kroków Etrusk podnosił wzrok, spoglądając w kierunku zbliżającej się grupy. W tym półmroku nie będzie mógł rozpoznać twarzy aż do momentu, gdy mężczyźni znajdą się na wyciągnięcie ramienia.

– No, ruszajcie się, opoje! – wykrzyknął jeden z dostojników. – Cały dzień marzyłem o tym miejscu.

– Lepiej, żeby było warto – warknął inny.

Tarkwiniusz rozpoznał ten głos. Zesztywniał. Ostrożnie podniósł głowę i spojrzał w kierunku mężczyzn, znajdujących się już tylko kilka kroków od niego. Niestety, żaden z nich teraz nie patrzył w jego stronę. Zerkali z pożądanym w oczach przez otwarte drzwi Lupanaru.

– Zajrzyj, Celiuszu – powiedział najbliższy. – Nie rozczarujesz się.

Etrusk przyglądał się starszemu, krępemu mężczyźnie, którego niegdyś bujna

ruda czupryna teraz przyprószona już była siwizną. Człowiek ten ruszył przez otwarte drzwi, aby przyrzeć się bliżej prostytutkom w recepcji burdelu. To był Celiusz. Postarzał się i nieco przytył, ale to był ten sam drań, który na zawsze odmienił życie haruspika piętnaście lat wcześniej. Z płuc Tarkwiniusza wyrwało się mimowolnie westchnienie ulgi.

To przyciągnęło uwagę jednego z niewolników, który przyjrzał mu się uważnie. To, co zobaczył, jakoś go nie zaniepokoiło. Niewielki, nierzucający się w oczy kształt, człowiek owinięty starym płaszczem. Prawdopodobnie trędowaty. Nikt, z kim nie poradziłoby sobie sześciu krzepkich mężczyzn.

Po chwili nobile zniknęły pod łukiem bramy wejściowej, kończąc dyskusję na temat tego, na jakie dziewczyny mają ochotę i jak zabiorą się do dzieła... Niewolnicy zostali na zewnątrz. Ich zadanie ograniczało się teraz do czekania, aż arystokraci zaspokoją swoje żądze i opuszczą przybytek rozkoszy. Umysł Tarkwiniusza pracował na najwyższych obrotach. Nieuchronnie któryś z nich zwróci uwagę na ostatniego żebraka na ulicy. I tak ochrona arystokratów była zbyt liczna, żeby atak na Celiusza miał szanse powodzenia. Tarkwiniusz jednak wcale się nie zmartwił. To nie był właściwy moment.

Chowając gladius w fałdach płaszcza wstał niezgrabnie, udając, że kuleje. Nikt nawet nie spojrzał w jego kierunku, gdy ruszył przed siebie, wtapiając się w mrok.

Skrzyżowanie jednej z pobliskich wąskich uliczek będzie dobrym punktem obserwacyjnym. Poczekaj tam, aż Celiusz i jego kompani opuszczą Lupanar. Wtedy podążą za ekwitami i zobaczysz, gdzie go zaprowadzą. Znajdź miejsce pobytu aroganckiego nobila, on lub Sekundus będą mogli czuwać na miejscu dzień i noc, a potem wybrać idealny moment, aby uderzyć. Haruspik uśmiechnął się pod nosem i zmówił krótką modlitwę dziękczynną. Długi czas wyczekiwania i wspomniania miał się ku końcowi. Olenus zostanie pomszczony. Wkrótce.

## *Arena*



*Ludus Magnus*, Rzym, koniec lata 55 r. p.n.e.

**R**omulusa obudziło jasne światło wpadające przez okno. Brennus jeszcze spał. Młody gladiator wstał i zaczął rutynowe ćwiczenia rozciągające, które teraz stały się jego drugą naturą. Wyspał się. Oddychał głęboko, starając się pozbyć z głowy natarczywych myśli.

– Czas zabić Figulusa i Gallusa – usłyszał. Gal też już się obudził. Brennus westchnął ciężko. – I wreszcie to załatwimy.

Romulus skinął głową, nie przerywając ćwiczeń. Zakończenie tego konfliktu również i dla niego będzie sporą ulgą.

Brennus wstał z łóżka i zupełnie nagi podszedł do stołu.

– Zjedzmy coś... – Romulus patrzył z podziwem na siatkę starych blizn na jego umięśnionym ciele. Nie widział ich pierwszy raz, ale ten niezmiennie przerażający dowód wielu trudnych pojedynków nadal robił na nim duże wrażenie. On mógł się

pochwalić zaledwie jedną grubą fioletową pręgą na udzie. Co ciekawe, znak niewolnictwa u Brennusa został wypalony na lewej łydce, a nie, jak u Romulusa, wysoko na prawym ramieniu.

Brennus posmarował kromkę chleba miodem.

– Chcesz trochę? – zapytał, wpychając chleb do ust.

– Nie.

– Na bogów! Im szybciej znajdziemy się na arenie, tym lepiej – Brennus skończył jeść i naciągnął przepaskę. Czuł się znużony. *Czy naprawdę to właśnie taką moją przyszłość widział Ultan?*

Po krótkiej rozgrzewce mężczyźni zajęli się dopasowaniem uzbrojenia i elementów ochrony ciała. Brennus nie osłaniał piersi, ale założył szeroki skórzany pas, zabezpieczający pachwiny i parę wykonanych z brązu nagolenników. Romulus miał podobny pas i *manicae* na prawym ramieniu. Wyposażenie secutora dopełniał pojedynczy nagolennik na lewej nodze.

– Weź tarczę, której używałeś w walce z Lentulusem.

– A co z tobą?

Ze stosu tarcz leżących w kącie Brennus wybrał inną, w kształcie wydłużonego owalu. Uśmiechnął się drapieźnie.

– Też ma ostro zakończoną dolną krawędź.

– Romulus przypiął gladius do pasa, spoglądając zazdrośnie na długi miecz Brennusa. Wciąż był za niski, żeby nim walczyć.

– Bądź ostrożny – Astoria wyglądała na zaniepokojoną. Pocałowała blond wojownika na szczęście. – Pilnuj się.

– Przestań mnie drażnić, kobieto! – Brennus lekko ścisnął jej pośladek wielką dłońią. – Ugotuj mi na obiad jedną z tych myszy.

Ruszył na podwórze, nie oglądając się za siebie. Romulus kiwnął nerwowo głową, zegnając się szybko z Nubijką, i podążył za nim.

Większość gladiatorów była już na placu. Rozciągali się lub ostrzyli broń. Pięćdziesięciu mężczyzn w pełnym uzbrojeniu, gotowych do walki. To był imponujący widok. Za linią dziesięciu krzepkich Traków ustawiło się w szeregu kilkunastu *retarii* z siatkami i ostrymi trójzębami. Tuż obok nich stali *murmillones* w swoich charakterystycznych, ostro zakończonych hełmach z wizerunkiem ryby, osłoniętych prawymi ramionami i okrągłymi tarczami. Samnicy w ozdobionych piórami hełmach, z prostokątnymi tarczami, udami osłoniętymi skórzanymi *fasciae* i łydkami zabezpieczonymi nagolennikami. W pewnej odległości od pozostałych

gladiatorów zebrała się grupka czterech *scissores* z Sekstusem. Obraz uzupełniała grupa *secutores*, ubranych podobnie jak Romulus.

– To będzie ciekawy dzień – stwierdził niski Hiszpan, pochylając głowę na powitanie. Do tej pory powstrzymywał się przed opowiedzeniem się po którejś ze stron konfliktu. Sekstusa darzono powszechnym szacunkiem. Tak dużym, że nikt nie ośmielał się w jego obecności zaczepiać Romulusa. Tylko Brennus cieszył się podobną reputacją.

– Figulus i Gallus łakną krwi – odpowiedział Romulus, przekonany, że może zaufać Sekstusowi.

– Słyszałem coś niecoś – Hiszpan uniósł dwustronny topór i mrugnął do chłopaka. – Będę miał na ciebie oko.

– Dziękuję.

– Zrobiłbyś to samo dla mnie.

– To prawda – uśmiechnął się szeroko, zadowolony z tego, że Sekstus uważa go za równego sobie.

Sekstus i jego towarzysze, uzbrojeni w topory, stanowili ważny element siły bojowej szkoły. Większość gladiatorów po prostu bała się śmiertelnie groźnych *scissores*, którzy nieostrożnego przeciwnika z łatwością mogli rozplątać na pół.

Wkrótce wszyscy gladiatorzy, poza czterema zaufanymi *scissores*, zostali zmuszeni do nałożenia na szyje specjalnych metalowych obręczy, połączonych lekkim łańcuchem. Zawodnicy utworzyli na placu dwa długie szeregi. Ubrany w drogą tunikę Memor, który trzymał w dłoni charakterystyczną laskę, zakończoną metalowym hakiem, poprowadził gladiatorów przez bramę. Specjalnie wynajęci na tę okazję łucznicy pilnowali boków kolumny, zachowując odpowiedni dystans od uzbrojonych po zęby mężczyzn.

Droga do Forum Boarium na początku sprawiała Romulusowi przyjemność. Od kiedy pojawił się w *ludus*, nie miał wiele okazji do spacerów poza murami szkoły. Nawet taki mistrz jak Brennus mógł wychodzić bez nadzoru dopiero, gdy Memor zyskał nad nim przewagę, grożąc, że w razie wybryków coś złego może stać się Astorii. Romulus rozglądał się, chłonąc wszystkie szczegóły. Mimo wczesnej godziny ulice Rzymu były już zatłoczone, ponieważ ludzie woleli załatwiać swoje sprawy, zanim z nieba zacznie lać się żar. Poranki dawały także tę przewagę, że o tej porze zazwyczaj można było łatwo uniknąć szumowin Klodiusza i Milona, którzy raczej wcześniej nie wstawali z barłogów. Obywatele miasta wylegli na ulice, zachęcani perspektywą dodatkowych atrakcji na arenie i rzadko spotykanej walki

grupowej.

Ulicę wypełniły gwizdy i okrzyki zachęty tych, którzy mogli obserwować pochód gladiatorów. Przed wojownikami skakali akrobaci, których zadaniem było zabawianie tłumu. Za gladiatorami szli mężczyźni niosący posągi Marsa, Nemesis i Nike, bogini zwycięstwa, otoczeni przez muzyków uderzających w talerze i wygrywających marsze na bębnach. Kobiety wykrzykiwały sprośne propozycje, kierując je w stronę swoich ulubionych wojowników. Wszyscy dopingowali *Ludus Magnus*, wspierając lokalną szkołę gladiatorów.

Ci ludzie nie wiedzieli jednak nic o konflikcie w samej szkole.

Nagle Romulus poczuł, że chętnie znalazłby się już na arenie. Wielu z nich dziś umrze i jeśli ich wrogom uda się plan, wówczas ciała jego i Brennusa znajdą się wśród tych leżących bez ruchu na gorącym piasku areny. Romulusowi nie podobała się myśl o przelewaniu krwi towarzyszy broni z tej samej szkoły, ale nie chciał też, żeby ktoś podstępnie wsadził mu nóż pod żebra. Im szybciej się to wszystko zakończy, tym lepiej. Gdy problem zostanie rozwiązany, wreszcie będzie można wrócić do normalnego życia w *ludus*.

Chłopak spojrzał na Gala. Brennus wydawał się tak spokojny, jakby właśnie szli na rynek po zakupy.

Wciągnął głęboko powietrze i otarł pot z twarzy.

– Robi się gorąco.

– W południe będzie gorąco jak w Hadesie.

– To dobrze, że nie walczymy o tej porze.

– Biedni *venatores*. Dzikie bestie nie są zbyt przyjaźnie nastawione przy takich temperaturach.

Romulus cieszył się, że nigdy wcześniej nie oglądał polowań, które zazwyczaj poprzedzały wszelkie inne spektakle. Słyszał jednak opowieści o tym, jak głodne lwy rozrywały gladiatorów na strzępy, a słonie tratowały ludzi, łamiąc kości niczym suche gałęzie. *Venatores* nie żyją długo, a Romulus miał wiele szczęścia, że uniknął takiego losu. Zawdzięczał to swojej odwadze, okazanej w dniu, gdy Gemellus sprzedał go laniście, albo... łasce bogów.

Pochód minął bramy miejskie i wkrótce dotarł do Campus Martius na Polu Marsowym. To właśnie tu przeprowadzano wybory rzymskich urzędników i tu nowi legioniści składali przysięgę. Nowy kompleks budynków ufundowany przez Pompejusza zmienił wygląd obszernego placu. Wysilek Pompejusza uznany został za niewiarygodnie ekscentryczną próbę zyskania popularności wśród obywateli

Rzymu. Ten członek triumwiratu kazał postawić tu wspaniały amfiteatr, miejsce obrad senatu, przepiękną prywatną willę i potężną świątynię Wenus. Co kilka chwil znad audytorium dochodziła do nich wielka wrzawa.

Memor poprowadził swoich ludzi w kierunku małych drzwi, znajdujących się obok głównego wejścia. Pilnowało ich czterech uzbrojonych niewolników.

– W jakiej sprawie? – powiedział arogancko największy ze strażników.

– A jak myślisz, ćwoku? – warknął Memor. – Prowadzę pięćdziesięciu najlepszych gladiatorów w Rzymie.

– Lanista z Dacicus pewnie by się z tym nie zgodził.

Memor machnął trzymaną w rękę laską, zahaczając zaskoczonego strażnika.

– Nie miałem nic złego na myśli, panie – wyjąkał, garbiąc się pod naciskiem metalowego haka na karku.

Memor przyciągnął go do siebie. Spod haka wyciekło trochę krwi.

– Czy chciałbyś dziś uczestniczyć w walce na arenie?

– Nie, panie – na czole strażnika pojawiły się grube krople potu.

– No to otwórz te pieprzone drzwi!

Jeden z towarzyszy niewolnika szybko odsunął ciężką żelazną sztabę. Memor uwolnił swoją ofiarę, pozwalając strażnikowi ruszyć przodem i poprowadzić wszystkich do środka. Gdy gladiatorzy zanurzyli się w mrok korytarza pod trybunami, ich uszy wypełnił dudniący dźwięk połączonych krzyków i łoskot stóp ludzi reagujących żywo na to, co działo się na arenie. Romulus miał okazję doświadczyć już tych emocji, ale ten dźwięk potrafił sprawić, że skóra nawet najbardziej doświadczonych gladiatora pokrywała się gęsią skórą.

Brennus nastawił uszu i wsłuchiwał się w dochodzące ich odgłosy.

– Ludzie są podekscytowani. Coś lub ktoś ma za chwilę umrzeć.

Kakofonia dźwięków na chwilę ucichła. Tę ciszę przerwał wyraźny, charakterystyczny ryk dużego drapieznika.

Romulusowi zjeżyły się włosy na karku.

– Co to jest?

– Lew. Rozzłoszczony..., co można wywnioskować z jego ryku.

Ludzie na trybunach zareagowali krzykami na kolejny ryk lwa. Jakiś człowiek krzyczał przeraźliwie, a publiczność drwiła z niego i pohukiwała.

– Co się stało?

– Pewnie nieudany rzut włócznią lub trójzębem – Brennus się skrzywił. – Już po



nim.

Krzyk nagle stał się głośniejszy, ale po chwili się urwał.

– Biedny sukinsyn – powiedział Romulus, czując wielką ulgę, że został wybrany przez Cottę.

Oswojony z cierpieniem strażnik bez słowa poprowadził gladiatorów wąskim korytarzem z klepiskiem. Mijali duże żelazne klatki, znajdujące się po obu stronach. Były puste. Mrok rozświetlało tylko kilka promieni światła, sączącego się przez szczeliny w drewnianych deskach konstrukcji. Memor zatrzymał się przy otwartych drzwiach klatki zlokalizowanej najbliżej areny. Było tam nieznacznie więcej światła niż w tych, które znajdowały się głębiej. Wskazał pustą przestrzeń i zażartował.

– Luksusowe warunki.

Gladiatorzy wmaszerowali karnie do środka. Za nimi podążyła obstawa lanisty, która pomogła w zdejmowaniu łańcuchów, a następnie szybko wycofała się z klatki.

– Mamy najlepsze miejsca! – Memor przekreślił głowę, spoglądając na pusty korytarz i klatki znajdujące się po drugiej stronie. – Chłopcy z Dacicus nie mają tak dobrych warunków. – Pomieszczenia po drugiej stronie korytarza były puste, ale ich podłogi pokrywały stosy zakrwawionych bandaży i zniszczonych elementów uzbrojenia.

– Nikt nie sprzątnął tych klatek po ostatnich walkach – stwierdził Brennus. W jego głosie nie było zaskoczenia. – Taki widok nie podziała pozytywnie na ich morale.

– Gdy się zacznie... wiecie, co robić – Memor omiótł swoich ludzi dzikim spojrzeniem. – Trzymajcie się razem. Walczcie dzielnie. Zabijcie wszystkich przeciwników! I pamiętajcie. Worek złota czeka na każdego, kto przetrwa walkę i nie zostanie ranny!

– *Lu-dus Mag-nus!* – krzyknął retiarius, do którego natychmiast przyłączyli inni. – *Ludus Magnus! Ludus Magnus!*

Lanista uśmiechnął się, zacisnął pięść i uderzył nią w klatkę piersiową w geście pozdrowienia.

Nawet Brennus odpowiedział na ten gest.

– Wysłała nas na śmierć! – Romulus syknął, gdy Memor odwrócił się i odszedł.

Gal był lekko zdezorientowany.

– O co ci chodzi? To jego praca.

– Dlaczego mamy go za to szanować?

– Memor był wcześniej gladiatorem – odpowiedział bez przekonania Brennus. – Dlatego zasługuje na szacunek.

– A teraz bogaci się na śmierci.

Brennus odwrócił wzrok, wyraźnie podminowany tym komentarzem.

*Zapomnij o Memorze* – pomyślał Romulus. *Skup się na walce. Na przetrwaniu.*

Gladiatorzy rozsiedli się po kątach. Rozmawiali, zajmowali się ostrzeniem broni lub dociąganiem pasów na elementach uzbrojenia. Kilku mężczyzn przyglądało się zapasom dwóch Traków. Kilku innych uklękło gdzieś w kątach, modląc się do swoich bogów i prosząc o łaskę oraz powodzenie. Każde zajęcie, które pozwoliło odciągnąć myśli od zbliżającej się walki, było dobre. Figulus i jego kumple, pogrążeni w rozmowie, stali nieopodal, ale Romulus poczuł się wystarczająco bezpiecznie, żeby poszukać chwili samotności.

Za kratami znajdowało się poziome deskowanie, tworzące główną ścianę areny. Ich klatka opierała się jednym bokiem o ścianę trybuny, na której zasiadali bogaci i sławni obywatele miasta. Romulus uśmiechnął się na myśl o tym, że gdzieś tam może znajdować się Gemellus. Prawie w zasięgu jego miecza... Kupiec był wielkim fanem walk gladiatorów.

Romulus spojrział na arenę przez szczelinę w ścianie. Najniższe rzędy ławek znajdowały się na poziomie człowieka stojącego na arenie i zasiadający tam widzowie właściwie mogliby dotknąć uczestników spektaklu – wojowników czy dzikie zwierzęta na gorącym piasku.

– Czy to nie jest niebezpieczne? – zapytał Brennusa.

– Patrz! – Gał pokazał palcem regularnie rozmieszczone na obwodzie stanowiska łuczników gotowych w każdej chwili do użycia swoich łuków. – Zwykle dają sobie radę z każdym zagrożeniem, jeśli jakiemuś gladiatorowi czy zwierzyńie przyjdzie do głowy opuścić arenę.

– Zwykle?

– Czasami ktoś jednak ginie. Ludzie to uwielbiają!

– No tak... nie podoba się to tylko tym biednym durniom, którzy są rozszarpywani na śmierć.

– Oni chcą oglądać krew...

– Więc dlaczego tylko my mamy ją przelewać?

– Dokładnie tak... – uśmiechnął się Brennus.

Romulus skinął głową. Dobrze wiedział, że obywatele tego miasta łakną krwi.

Zadrzał, uświadamiając sobie, że ci ludzie zachowują się, jakby byli w rzeźni. Polowanie zbliżało się do końca. Po całej arenie porzucane były krwawe kawałki kończyn, ciała powykrzywiane w różnych pozycjach niczym szmaciane lalki. Leżały tam też truchła trzech lwów i dwóch lampartów. Z ich piersi i brzuchów wystawały drzewce włóczni.

– Bogowie! Pomóżcie mi! – żałosny krzyk odbił się echem w otwartej przestrzeni.  
– Zabiłem jednego. Nie wystarczy?

Romulus obserwował z przerażeniem jednego z *venatores*, który, kulejąc, poruszał się wzdłuż obwodu areny, błagając o pomoc. Wszyscy jego towarzysze zginęli, a on nie był uzbrojony i miał tylko tarczę do obrony. Dobrze umięśniona pierś młodego mężczyzny była pokryta głębokimi, krwawiącymi ranami, a jego prawa ręka zwisała bezwładnie. Z ziejącej rany wystawały poszarpane fragmenty kości – jednoznaczne dowody straszliwej siły dzikich zwierząt.

– Za tobą! – widzowie znajdujący się na trybunie nad głową Romulusa podnieśli wrzawę, obserwując ostatniego lwa, który skradał się za rannym.

– Pomóżcie mi!

– Sam sobie pomóż człowieku!

– Umrzyj jak mężczyzna! Zabaw nas!

Na piasek areny posypał się deszcz kawałków chleba i owoców. Widzowie nie szczędzili też obelg. Chłopak nie otrzyma żadnej pomocy z tłumu.

Ci ludzie chcieli zobaczyć więcej krwi.

Romulus ścisnął pięty klatki, aż mu kostki zbieleły. Chciał móc coś zrobić. Cokolwiek.

Od razu zrozumiał dylemat *venatora*. Ze *scutum* w zdrowej ręce mógł wprawdzie powstrzymać lwa, ale nie mógł go w żaden sposób zranić. Stała utrata krwi z powodu odniesionych ran w końcu osłabi go na tyle, że straci przytomność. Gdyby miał jakąś broń, może miałyby małą szansę i zabiłyby lwa, ale znowu nie mógłby osłonić się przed potężnymi pazurami, które uśmierciły jego towarzyszy.

Myśliwy wyraźnie nie mógł się zdecydować. Po chwili jednak górę wzięł instynkt przetrwania i chłopak podbiegł do najbliższego ciała, zwiększając trochę dystans od lwa. Odrzucił tarczę i podniósł ciężką włócznię, leżącą obok jej martwego właściciela.

– Rzymskie dzikusy – Romulus spostrzegł, że Brennus znalazł się tuż obok. Jego również pochłonął dramat na arenie. – Na szczęście ten biedak podjął właściwą decyzję. Miecz nie da mu wystarczającego zasięgu.

– A co z trójzębem?

– Zbyt nieporęczny. Włócznia jest też dłuższa.

– I co teraz?

– Poczekaj, aż bestia go zaatakuje i skoczy w powietrze. Zablokuje włócznią w ziemi, kierując ją tak, żeby lew się na nią nadział – Brennus wyjaśnił cicho. – To jego jedyna szansa.

Romulus zamknął oczy i modlił się do Jowisza, żeby pomógł temu odważnemu człowiekowi.

Po chwili z niezdrową fascynacją obaj z Brennusem znów śledzili wydarzenia na arenie. Lew podążył za venatorem, a jedynym znakiem świadczącym o tym, że traci cierpliwość, były krótkie machnięcia ogonem. Od czasu do czasu zbierał się do skoku, ale za każdym razem mężczyzna wycofywał się, zyskując trochę czasu.

Wkrótce jednak tłum zaczął się nudzić. Ludzie wykrzykiwali zachęty, rzucali na arenę monety i gliniane kubki. Również dziki kot stawał się zauważalnie poirytowany. Ryczał i młócił ogonem na boki. Brennus uśmiechnął się.

– Odciąga go od ciał.

– Dlaczego?

– Choćby po to, żeby znaleźć się jak najdalej od trybun i śmieci, które rzucają. Wtedy próbuje wreszcie zmusić lwa do skoku.

Romulus nie mógł już oglądać w spokoju tego przedłużającego się makabrycznego przedstawienia.

– Musi skończyć to szybko, bo robi się coraz słabszy.

– On to wie...

Venator znalazł wreszcie miejsce wolne od ciał. Wepchnął drzewce włóczni głęboko w ziemię, posługując się jedną ręką. Pochylił szerokie ostrze i spojrzał na lwa z wyczekiwaniem.

– Oto człowiek pogodzony ze śmiercią! – podekscytowany Brennus uderzył rękami w pręty klatki. – Zabij bestię! Dalej! Zabij go!

Lew zbliżył się na piętnaście kroków do zdobyczy, po czym zamarł w bezruchu. Jasne światło słoneczne sprawiło, że źrenice w jego bursztynowych oczach zmieniły się w małe szparki. Opadł na piasek, poruszając lekko końcówką ogona. Venator znieruchomiał, przyczajony nisko za ostrzem swojej włóczni. Będzie miał tylko jedną szansę.

Publiczność w końcu przestała krzyzczeć i rzucać różnymi przedmiotami. Napięcie

stało się niemal namacalne.

– Patrz na mięśnie tylnych łap. Za chwilę skoczy – Romulus chwycił mocno ramię Brennusa. – Zachowałbyś spokój? Z prawą ręką w strzępach?

Romulus z trudem przełknął ślinę, próbując wyobrazić sobie ból z ziejącej rany. Myśliwy nie wyglądał na o wiele starszego od niego i prawdopodobnie historia jego życia była podobna. Jednak wydawało się, że nie zamierza się poddać. Życie jest zbyt cenne!

Lew odbił się i wyprostował w locie. Obserwatorzy wciągnęli powietrze. Venator nie pozwolił, aby strach przejął nad nim kontrolę.

Lew runął w dół i nadział się na ostrze włóczni.

Impet skoku sprawił, że ostra końcówka włóczni przebiła żebra i zagłębiła się w sercu zwierzęcia, rozrywając po drodze jego płuca. Mężczyzna przewrócił się przyciśnięty do ziemi pod osuwającym się na niego ciałem lwa.

Na trybunach zapadła głucha cisza, gdy widzowie stwierdzili, że niemożliwe stało się możliwe.

Romulus podskakiwał i krzyczał na cały głos, dziękując bogom. Roześmiany Brennus również dołączył do tego radosnego tańca. Gladiatorzy zaczęli uderzać rękojeściami mieczów o tarcze w geście oznaczającym szacunek, starając się przy tym zrobić jak największy hałas. Zabicie drapieżnika przez tak poważnie rannego myśliwego było prawdziwie herkulesowym, inspirującym wyczynem.

Po chwili venator zepchnął jakoś ciało lwa i próbował wstać. Ludzie zaczęli reagować na dźwięki dochodzące z klatek gladiatorów, ale aplauz stał się dwa razy donośniejszy, gdy bohater ostatniej walki stanął na własnych nogach.

– Kapryśne dranie – odezwał się Brennus. – Kilka chwil temu go lżyli. Cholerni Rzymianie.

Romulus pokiwał głową. Reakcję publiczności trudno było nie nazwać obłudą. Widzowie chcieli być świadkami zadawania śmierci lub okaleczenia.

Już za chwilę Romulus miał przekonać się o tym na przykładzie najbardziej odrażającym z możliwych.

Ośmielony zwycięstwem venator podszedł do trybun w pobliże grupy, która wcześniej rzucała najbardziej niewybredne obelgi.

– Czy to było dla was wystarczająco dobre? – splunął w kierunku trybun, jednoznacznie pokazując, co myśli.

Romulus wciąż jeszcze się uśmiechał, ale na Forum Boarium zrobiło się dziwnie

cicho. Obywatele Rzymu nie lubią, jak ktoś się z nich wyśmiewa.

Ranny myśliwy odwrócił się dumnie, aby odejść.

– To nie było mądre... – powiedział Brennus cicho, jakby do siebie. – Nie powinien tego robić.

– Ale on zabił lwa!

– I właśnie obraził kogoś bogatego i wpływowego – Gal zagryzł dolną wargę, zerkając podenerwowany przez szparę między deskami. – Nie zdziwiłbym się, gdyby...

Nie skończył zdania, gdy w powietrzu błysnęła strzała. Z cichym plaśnięciem wbiła się w plecy nic nie podejrzewającego mężczyzny. Venator zachwiał się. Krzyknął z bólu i zaskoczenia. Gdy sięgnął ręką w stronę zakończonej metalowym grotem strzały, dwie kolejne trafiły go w klatkę piersiową i szyję.

Widownia zaryczała śmiechem.

– Co za łajdaki! – Romulus nie wytrzymał.

– Bądź cicho – wyszeptał Brennus – chyba że chcesz skończyć jak on.

Chłopak zamilkł, ograniczając się do zgrzytania zębami. Nie mógł pogodzić się z tak jawną niesprawiedliwością. Jakiż to zaszczyt być gladiatorem, jeśli w każdej chwili można zginąć od podstępnej strzały w plecy?

Venator padł na kolana. Próbował wyszarpnąć strzały z ciała i krztusił się krwią przy każdej próbie. W końcu runął na piasek. Jego ciało zadrgało kilka razy, po czym znieruchomiało zaledwie kilka kroków od martwego lwa.

Na arenie nie pozostała żadna żywa istota.

Romulus miał oczy pełne łez.

– Nikt nie powinien umierać w ten sposób.

– Jeśli narazisz się bogatym obywatelom, to samo stanie się z tobą – w głosie Brennusa wyraźnie dała się wyczuć rezygnacja. – Zawsze jesteśmy na ich łasce.

– Ale jego życie nic dla tych szumowin nie znaczyło.

– Podobnie jak twoje. Jesteśmy niewolnikami, pamiętaj!

Romulus patrzył na ciało venatora, a gniew pulsował w jego żyłach. Bezsilność i smutny los dzielnego myśliwego stały się dla wszystkich obserwujących ten spektakl gladiatorów nad wyraz bolesnym przypomnieniem, że nie decydują o własnym życiu. Mimo że mężczyźnie nie dawano żadnych szans na przetrwanie tej walki, pokonał lwa, a jednak... nie przeżył. Już niedługo na tej samej arenie Romulus stanie do walki na śmierć i życie, a jedynym jego zadaniem będzie

zaspokojenie nienasyconej żądzы krwi tłumu. Tych ludzi nie obchodziło, ilu z nich odniesie obrażenia, a ilu pożegna się z życiem. Losy wszystkich znajdujących się w tej klatce zależały od kaprysu tłumu, od prawa dziwnej sprawiedliwości.

Do tej pory Romulus widział tylko dobre strony życia gladiatorów – chwałę i sławę. Zasłona skrywająca prawdę uniosła się na chwilę, gdy musiał zabić Flawiusza i Lentulusa, ale gdy zobaczył, jak człowiek, który udowodnił swoją odwagę, ginie z powodu wytkniętej publice żądzы krwi, ta zasłona została rozerwana na strzępy.

Gladiatorzy żyli tylko po to, aby walczyć i umierać dla rozrywki motłochu. Byli jedynie opłacanymi mordercami i ofiarami.

Uświadomienie sobie tego faktu było szokujące i przytłaczające. Oszołomiony Romulus wycofał się w cień i opadł ciężko na brudną podłogę klatki. Brennus starał się go pocieszyć, ale jego żarty trafiały w próżnię. Po chwili zrezygnował ze wszelkich prób i zajął się ostrzeniem miecza małą osełką. W taki właśnie sposób spędzał przeważnie czas oczekiwania na walkę.

To nie był koniec spektaklu rzezi, który rozgrywał się na arenie, ale Romulus nie miał już najmniejszej ochoty go oglądać. Złączone łańcuchami byki i niedźwiedzie rozrywały się na strzępy. Psy myśliwskie polowały na przerażoną gazelę. Watahy wygłodniałych wilków atakowały przestępców przywiązanych do drewnianych słupków. Wrzaski i krzyki bólu zwierząt różnych gatunków wypełniały powietrze przez wiele godzin, choć zawsze ostatecznie głośniejszy okazywał się ryk tłumu. Żółty piasek areny zmienił się w ciężką czerwoną breję, w której grzęzły stopy.

Mocno oszołomiony Romulus rozmyślał o swojej matce i Fabioli. Nawet jeśli przeżyje zbliżającą się walkę, prawdopodobnie nigdy już ich nie zobaczy. Jego całe życie będzie serią walk na arenie i przedzielających je okresów odpoczynku. A ostateczny wynik tych zmagañ może być tylko jeden.

Śmierć.

Byli niewolnikami żądzы rzymskiego społeczeństwa, które pragnęło widoku krwi. Romulus poczuł, że zalewają go fale gniewu i smutku. Jego morale było w strzępach. Nigdy wcześniej nie czuł się tak źle.

– Niedługo zaczynamy – Brennus spojrział na Romulusa zmartwiony. – Co ci jest?

– Wszyscy tam umrzemy.

– Nie wszyscy – Gal naprężył ogromne bicepsy. – Trzymaj się mnie, a wszystko będzie w porządku.

– I po co? Dlaczego mamy wykrwawiać się i umierać na arenie? Dla ludzi, których nawet nie znamy? – Romulus zgarbił się. – Utknąłem tutaj na dobre, a moja matka należy do sadystycznej świni, która sprzedała Fabiolę do burdelu. Życie nic nie znaczy. Równie dobrze mógłbym dać się zabić Figulusowi.

– Romulusie – Brennus mocno chwycił jego ramię. – Nie jesteś tu jedynym człowiekiem ze smutną historią życia! Pomyśl o tym biednym venatorze – syknął. – Każdy w tej klatce wiele wycierpiał pod rzymskim jarzmem. Nawet takie dranie, jak Figulus i Gallus.

Romulus zrzucił rękę Gala.

– Co mnie to obchodzi? – odpowiedział ze złością.

Zapadła długa cisza. Gdy Brennus znów się odezwał, wyczuwało się już zupełnie inny ton.

– Patrzyłem, jak rzymscy żołnierze palili wioskę, w której uwięzieni byli moja żona i syn. Potem kuzyn, którego poprzysiągłem chronić, wyzionął ducha na moich rękach – Romulus spojrzał na przyjaciela wzrokiem wyrażającym współczucie. – Te obrazy codziennie mnie nawiedzają.

– Ale ja... – w chłopaku odezwało się poczucie winy, lecz Gal nie przestawał mówić.

– Przez ostatnie pięć lat szukałem śmierci. Jednak bogowie nie dają mi tej łaski. Oszczędzają mi jej, bo mają inne plany. Jeszcze nie wiem, o co im chodzi, ale najpierw uszczęśliwili mnie Astorią, a potem... poznałem ciebie – zmierzwił włosy Romulusa. Po raz kolejny stwierdził, że chłopak jest wręcz niewiarygodnie podobny do Braca.

– Co ty mówisz?

– Nawet w samym środku tego szaleństwa – Brennus wskazał zakrwawiony piasek – życie wciąż ma ogromną wartość. Możesz dziś umrzeć, Romulusie. Jak chcesz. Wróć jednak myślami do dnia, kiedy przybyłeś do *ludus*. Co sprawiło, że Memor cię kupił? Albo dlaczego Cotta zdecydował, że będzie szkolił takiego chłystka jak ty? – Gal poluzował miecz w pochwie. – Bogowie sprzyjają odważnym. Pamiętaj o tym – spojrzał wymownie na Romulusa i zamilkł.

Młodzieniec przez jakiś czas zastanawiał się nad słowami Brennusa. Może rzeczywiście chodziło tu o coś więcej niż tylko zwykły łut szczęścia? Może Jowisz naprawdę ma dla niego jakiś ważniejszy cel do zrealizowania? Poczł się nieco lepiej i podniósł wzrok akurat wtedy, aby zauważyć wpatrującego się w niego Gallusa. Krępy retiarius trącił łokciem Figulusa i nie tracąc kontaktu wzrokowego



z Romulusem, przeciągnął palcem po gardle. Romulus skoczył na równe nogi. Słowa Brennusa trafiły na podatny grunt, a gest Gallusa stał się impulsem prowokującym go do działania. Czy warto umierać bez walki?

W jego głowie pojawiła się myśl o Spartakusie, która zapaliła iskrę nadziei. Gladiator, który sprawił, że Rzym zatrząsł się w posadach. Uśmiechnął się. Nawet na pokrytym śladami krwi piasku areny można wybrać swój los. Można znaleźć powody, aby żyć.

Romulus zaczął rozgrzewać ramiona wymachami, tak jak uczył go Cotta, udając przed sobą, że to rozgrzewka przed serią ćwiczeń.

– To jest postawa! – odezwał się Brennus z zachwytem.

– Te psubraty nie dostaną mnie bez walki.

– Cieszę się, że to słyszę.

Przyjaciele zaczęli razem rozciągać mięśnie, przygotowując się do boju.

## Zwycięstwo



**W**czesne popołudnie miało się ku końcowi. Przesiąknięty krwią piasek został zagrabiony, a na wierzchu ułożono czystą warstwę. Po szaleństwie łowów na dziką zwierzynę nienasyчени widzowie mogli liczyć na krótką przerwę przed główną atrakcją dnia. Sprzedawcy krążyli wśród tłumów na trybunach, oferując wino, mięso i chleb. Przechadzając się między rzędami ław, mogli liczyć, że dobrze zarobią na głodnych obywatelach miasta. Tymczasem pojawili się nowi widzowie, których przyciągnęła do areny właśnie perspektywa dużej walki grupowej. Tylko najbardziej spragnieni wrażeń i jeszcze nienasyчени widzowie przebywali tu przez cały dzień. Zmęczeni i zaspokojeni obserwatorzy zmagani oddali swoje miejsca nowym widzom.

Część klerek pod trybunami – a dokładniej pomieszczenia znajdujące się po drugiej stronie korytarza – wciąż pozostawała pusta.

– Gdzie oni są? – jeden z *murmillones* zwerbalizował to, nad czym zastanawiali się pozostali gladiatorzy z *Ludus Magnus*.

Minęło kilka godzin. Już wkrótce powinna się rozpocząć walka.

– Taktyka zastraszenia. Lanista z Dacicus wysłał swoich ludzi prosto na arenę – stwierdził ktoś.

– A to wszystko po to, żebyśmy nie mieli możliwości zapoznania się z siłą przeciwnika – dodał *retiarius*.

Wokół dały się słyszeć szepty zaniepokojonych gladiatorów.

– Kto chciałby się z nią zapoznawać... – Brennus powiedział głośno. Zrobił krok do przodu, żeby przemówić do towarzyszy, zanim niepokój zamieni się w strach.

Zaciekawieni wojownicy zwrócili się w jego kierunku. Żaden z nich nigdy nie miał lidera.

Gał uśmiechnął się ponuro.

– Wielu z nas dziś umrze – natychmiast skupiła się na nim uwaga wszystkich zgromadzonych w klatce. – Ale wcale nie musi tak być.

– O co ci, kurwa, chodzi, człowieku? – warknął Figulus, wysuwając się przed szereg ze swoimi ludźmi. Napięcie pomiędzy Brennusem a grupą Figulusa rosło.

Romulus spiął się w sobie, gotów do natychmiastowego działania, gdyby doszło do rękoczynów. Z zadowoleniem spostrzegł, że czterej *scissores* zareagowali w ten sam sposób. Przynajmniej nie byli z Brennusem zupełnie sami.

– Jesteśmy o wiele lepsi niż ci z Dacicus – zawołał Brennus. – Wszyscy to wiecie!

Kilku wojowników krzyknęło głośno, potwierdzając, że zgadzają się z Brennusem. Szkoły gladiatorów ostro ze sobą rywalizowały.

– Jeśli uderzymy w nich błyskawicznie i mocno, możemy zakończyć walkę szybciej, niż ktokolwiek się spodziewa.

Na niespokojnych twarzach mężczyzn pojawiła się nadzieja.

– Przyłączcie się do mnie i walczmy razem! Chcę, żeby *retiarrii* zajęli miejsca z przodu i po bokach. Cała reszta w centrum formacji. Rozbijemy ich potężnym atakiem frontalnym! – Brennus uniósł zaciśniętą pięść. – *LU-DUS! MAG-NUS!*

Zapadła krótka cisza, gladiatorzy wymieniali opinie, komentując słowa Gała. Kilku pokiwało głowami, wykrzykując jeszcze nazwę szkoły, żeby w ten sposób dodać sobie animuszu. Kolejni gladiatorzy stopniowo przyłączali się do skandowania i wkrótce korytarze pod areną trzęsły się od potężnego echa: *LU-DUS MAG-NUS! LU-DUS MAG-NUS!*

Zadowolony Gał się cofnął o kilka kroków. Figulus skrzywił się, zerkając na rozentuzjasmowanych towarzyszy, ale moment, gdy mógł sprzeciwić się Brennusowi, minął. Gladiatorzy uznali Brennusa za swojego lidera.

Sekstus skinął głową z aprobatą.

– Podniosłeś naszych na duchu, a przy odrobinie szczęścia podzieliś też naszych wrogów.

– Prowadziłem wojowników do boju na długo przed tym, jak zostałem gladiatorem.

– I modłę się, żebyś któregoś dnia poprowadził ich znowu. – Sekstus wskazał wejście. – Nadal nie ma po nich śladu. Ten *murmillo* miał rację. Wejdziemy na arenę na ślepo.

– Już niedługo.

– Niech bogowie będą z nami.

– I niech prowadzą twój topór! – Brennus podniósł głos. – Pamiętajcie, co mówiłem!

Ku zadowoleniu Romulusa gladiatorzy zareagowali natychmiast, formując szyk bojowy.

Gal wyszczerzył zęby i wyciągnął miecz.

– Masz jakieś specjalne zadanie dla moich chłopaków?

– Rób to, co robisz najlepiej, Sekstusie! Wybieraj ich po jednym, wygładzając krawędzie! – *scissor* roześmiał się głośno, słysząc tak dwuznaczny komentarz Brennusa.

W tym momencie w korytarzu pojawiła się grupa strażników z włóczniami w rękach.

Przejście między rzędami klatek kończyło się zablokowaną bramą, prowadzącą bezpośrednio na arenę. Kilku żołnierzy uniosło ciężką sztabę i położyło ją na ziemi. Zdjęli kilka desek, tworząc otwór na tyle szeroki, żeby zmieściło się obok siebie dwóch zawodników. Tymczasem pozostali zamknęli wejście na ulicę.

Niewolnik, który wcześniej zachowywał się bezczelnie wobec Memora, otworzył kłódkę w klatce długim kluczem, uchylając furtkę.

– Pora umierać! – powiedział, uśmiechając się pod nosem. Kilku gladiatorów rzuciło się do niego z nożami i mieczami, jednak niewolnik odskoczył przestraszony na odpowiednią odległość. – Wychodźcie! Nie zmuszajcie nas do użycia łuków.

– Uważaj na to, co mówisz, ty skurwielu – warknął Sekstus. – Wyjdziemy, gdy przyjdzie czas.

Romulus był naprawdę zaskoczony i rozgniewany, że człowiek, który sam był przecież niewolnikiem, chce śmierci innych niewolników. Gdyby tylko mogli się zjednoczyć i razem stanąć do walki, skruszyliby fundamenty Republiki samym

swoim ciężarem. *Myśl jak Spartakus*. Wszyscy ludzie powinni być wolni.

Strażnik miał tyle oleju w głowie, żeby nic więcej nie mówić, wykonał więc jeszcze jeden gest, pokazując, żeby wyszli na zewnątrz. Ci mężczyźni byli niebezpieczni, nawet gdy tkwili w zamkniętej klatce. Na arenie odezwały się trąbki, a tłum wiwatował, nie mogąc się doczekać bliskiego już spektaklu.

Brennus uniósł tarczę.

– Czas przelać trochę krwi dla uciechy obywateli Rzymu.

Romulus przełknął ślinę, rozluźniając ramiona.

Zerwał się do biegu w pierwszej parze z Brennusem, wydostając się na jasną plamę w piasku, oświetloną promieniami popołudniowego słońca. Gladiatorzy szybko ustawili się w półkole, zajmując połowę placu walki. W powietrzu słychać było okrzyki zachęty tych, którzy kibicowali *Ludus Magnus*, oraz drwiny ludzi wierzących, że to Dacicus wyjdzie z tego starcia zwycięsko.

Wiele osób na widowni przyglądało się im z uwagą, oceniając zdolność bojową całej grupy. Pozwalali sobie na niewybredne komentarze i obelgi, podczas gdy osoby zbierające zakłady biegały w górę i w dół po schodach, wykrzykując kursy. Mieszki z sesterkami przechodziły z rąk do rąk, gdy do zakładów przyłączali się zawsze chętni na odrobinę adrenaliny w żyłach arystokracji.

Po chwili trąbki odezwały się ponownie, zapowiadając pojawienie się gladiatorów z Dacicus. Tłum ucichł.

Romulus wstrzymał oddech, obserwując, jak z bramy naprzeciwko wyłania się ich pięćdziesięciu przeciwników. Większość z nich wyglądała podobnie jak gladiatorzy z *Ludus Magnus*, choć byli i tacy, których roli Romulus nie rozpoznawał.

– Widzisz *dimachaeri*? – Brennus wskazał przed siebie. – To ci z dwoma mieczami.

– Nie mają tarcz! – zdumiał się Romulus.

– To wschodni szaleńcy z Dacji. Jak myślisz? Czego można się po nich spodziewać?

– A ci ze sznurami?

– *Laquearii*. Walczą w parach z *murmillones* lub z Trakami. Unieruchamiają wroga tak, żeby ten drugi miał łatwiej.

– Są niebezpieczni?

– Niektórzy posługują się *lassem* równie dobrze, jak Gallus siecią.

Romulus wyduł policzki. *To będzie interesujące. Pamiętaj o podstawach.*

Stojący obok niego Brennus przebierał nogami z podniecenia. Jego oczy

świeciły dziwnym blaskiem. Czuł wzbierający w nim szal bitewny, który przejmował kontrolę nad ciałem.

Gdy gladiatorzy z Dacicus zajęli miejsca naprzeciwko, rozległy się ostatnie fanfary. Zapanowała cisza jak makiem zasiał. Nikt z tych, którzy mieli za chwilę stoczyć walkę na śmierć i życie, nie odezwał się ani słowem.

Śmierć zawisła w powietrzu nad areną.

– Obywatele Rzymu! – niski, tęgi mężczyzna w białej todze zwrócił się do tłumu z wydzielonej strefy zarezerwowanej dla arystokratów. – Mamy przed sobą setkę najlepszych gladiatorów w mieście!

Rozległy się dzikie okrzyki. Wiele kobiet piszczało i rzucało kwiaty.

– Jesteśmy tutaj dzięki hojności jednej osoby... – mówca przerwał, pozwalając tłumowi się trochę wyszaleć. – Przedstawiam wam pogromcę Mitrydatesa, lwa Pontu, poskromiciela cylicyjskich piratów, budowniczego rzymskiego teatru, dzisiejszego editora! Wielkiego generała. Przed wami... *Pompeius Magnus!*

W tej samej chwili słońce wyszło zza chmur, zalewając światłem trybuny jakby na umówiony znak. W niebo wzbłyły się owacje, a Romulus zdał sobie sprawę, że dwie grupy gladiatorów stanęły akurat tak, aby stworzyć korytarz. Promienie słońca mknęły pomiędzy dwiema liniami uzbrojonych po zęby wojowników, żeby oświetlić... miejsce, gdzie zasiadał dzisiejszy sponsor, Gnejusz Pompejusz Wielki!

– To tylko wielka inscenizacja... – mruknął Romulus, przekręcając głowę w stronę Brennusa.

– Polityka. Jeśli ludziom spodobają się zawody, będą popierać sponsorów. A poparcie ludu daje władzę w Rzymie.

– Walczymy dla cholernego polityka? – Romulus nie próbował nigdy zastanawiać się, jaki sens mają zmagania na arenie. Obywatele Rzymu uwielbiali rozlew krwi, ale to przecież nie oni organizowali te walki. Odpowiedzialni byli ci u władzy. Senatorowie i ekwici. Gladiatorzy byli po prostu marionetkami, które tańczą, jak im się zagra.

Przywykły do takich spektakli Brennus tylko skinął głową.

Romulus oburzył się.

– Wielu z nas za chwilę umrze. Dlaczego?

– Jesteśmy niewolnikami, Romulusie.

Chłopakowi stanął przed oczyma obraz strażnika przy drzwiach Krassusa.

– Kto tak twierdzi? – Romulus zapytał zaczepnie. – Tamten kutas? – wskazał na

trybuny, na których zasiadała arystokracja.

– Zamknij się! – Brennus rozejrzał się na boki. – Memor zabiłby cię na miejscu, gdyby to usłyszał.

– Już kiedyś ktoś podważył ten porządek – stwierdził Romulus z zapalem. – Wyobraź sobie, co pięćdziesiątka ludzi takich jak my mogłaby zrobić z tymi świniami tam, na trybunach.

– Rebelia? – Gal szepnął.

– Raczej walka o odzyskanie wolności.

– Pompejusz Wielki! – zawołał jeszcze raz mistrz ceremonii.

– Teraz czas skrzyżować miecze – Brennus mrugnął. – O reszcie porozmawiamy później.

Pompejusz uniósł się ze swojego miejsca i zaczął leniwie machać ręką, odwdzięczając się za wiwaty z tłumu. Był człowiekiem średniego wzrostu, z siwymi włosami, nieco wybałuszonymi oczyma i bulwiastym nosem. W tym czasie uważnie przyglądał się wojownikom na arenie.

– Pozdrówcie Pompejusza Wielkiego!

– Pozdrawiamy cię, my, którzy idziemy na śmierć! – ryknęło sto gardeł.

Pompejusz skinął głową z większym szacunkiem niż wtedy, gdy pozdrowiał publiczność.

– On przynajmniej jest prawdziwym wojownikiem – powiedział Brennus. – Nie takim, jak ten pies Krassus, który nigdy nie przestaje rozpowiadać dookoła, jakim to jest wielkim dowódcą.

– Pompejusz płaci nam za to, żebyśmy się pozabijali – syknął Romulus. – Pieprzyć go!

Gal wydawał się zaskoczony, ale w jego oczach pojawił się błysk, którego Romulus nigdy wcześniej nie widział.

– Zgińcie jak mężczyźni! – Pompejusz zwrócił się do gladiatorów. – Wykażcie się odwagą. Ci, którzy przetrwają walkę, nie dając się zranić, zostaną dobrze wynagrodzeni. Zaczynajcie!

Zapadła cisza. Przeciwnicy obserwowali się w napięciu.

Romulus rozpamiętywał jeszcze reakcję Gala na jego komentarz. Na razie jednak wszystko inne musi poczekać aż do zakończenia walki. Porozmawiają, jeśli przeżyją. Odwrócił się. Figulus i Gallus znajdowali się w pewnej odległości za nimi, udawali, że nie patrzą w ich stronę.

– Trzymać się blisko. Oczy dookoła głowy! – krzyknął Brennus, unosząc miecz w ogromnej dłoni. – Ruszajcie się! Nie pozwólcie im się do nas zbliżyć! – wrzasnęła na *retiarii*.

Sieciarze wyskoczyli do przodu, trzymając swoje obciążone ciężarkami sieci nisko przy ziemi, gotowi do rzutu w każdej chwili. Wojownicy z Dacicus w odpowiedzi rozproszyli się, lekko wysuwając się do przodu. Romulus znajdował się w odległości trzech kroków po prawej stronie od Brennusa, podążył za nim z wysoko uniesioną tarczą i sztylitem w dłoni. Kłótnia ze strażnikami areny podsunęła mu pewien pomysł.

– Gdy *retiarii* ich zajmą, chcę uderzyć prosto w centrum formacji – Brennus odezwał się cichym głosem, tak żeby usłyszeli go tylko ci, którzy byli w pobliżu. – Zapomnijcie o normalnych zasadach walki. Zabijajcie szybko i bierzcie się za następnego.

– Jesteśmy z tobą, Brennusie – odezwał się Trak tuż obok.

Pozostali zamruczeli tylko, zgadzając się z nim. Brennus spoglądał na każdego z nich, kiwając głową.

Chwilę później zaczęła się walka, gdyż pierwsi gladiatorzy z Dacicus znaleźli się w zasięgu *retiarii*. Sieci wystrzeliły w powietrze i, furcząc, rozciągały się w locie. Niektórym przeciwnikom udało się uskoczyć. Wznosili tumany gorącego piasku. Posypały się przekleństwa. Romulus dostrzegł kątem oka, jak jakiś trójząb trafia prosto w gardło wroga, otwierając żyły i spryskując piasek szkarłatną krwią. Gladiatorzy krążyli po okręgach, rozdzielając pchnięcia i ciosy w zabójczym, hipnotyzującym tańcu.

Większość wrogów nie spodziewała się tak nagłego ataku. Najwyraźniej nie mieli takiego przywódcy jak Brennus i nie bardzo wiedzieli, jak zareagować na zsynchronizowany atak.

Sytuacja dojrzała do rozstrzygającego o losach walki ataku.

– Za mną! – ryknął Brennus, unosząc miecz i wyskakując do przodu, w sam środek obszaru, gdzie toczyło się kilka indywidualnych pojedynków, a sieciarze ścierali się z przeciwnikiem. Za nim podążyło trzydziestu mężczyzn z gotową do użycia bronią. Romulus starał się nadążyć za Galem. Rozglądał się uważnie na wszystkie strony. Gdy mijał sieciarza z *Ludus Magnus* i samnitę z Dacicus, postanowił zaryzykować. Samnita z ciężką zbroją akurat opuścił podłużną tarczę, obserwując ruchy *retiarium* przygotowującego się do rzutu. Romulus pochylił się do przodu, przenosząc ciężar ciała na jedną nogę i unosząc prawą rękę. Przymierzył i wyrzucił



rękę do przodu, uwalniając nóż. Ten leciał prosto do celu, żeby zagłębić się głęboko w gardle pod hełmem z otworem obserwacyjnym niczego niepodważającego samnitę. Mężczyzna zaczął się dławić krwią, opuszczając miecz i *scutum*. Gdy osuwał się na piasek, spomiędzy palców zaciśniętych na gardle wyciekały strużki krwi.

Retiarius odwrócił się, żeby zobaczyć, kto powalił jego przeciwnika.

Zaskoczony Romulus ujrzał twarz Gallusa!

– Zafajdany gówniarz! – twarz retiariusza skrzywiła się ze złości. – Już jesteś trupem!

Gwałtowna reakcja Gallusa wstrząsnęła Romulusem, ale i upewniła go, że zagrożenie ze strony niezadowolonych gladiatorów jest bardzo realne. Gallus nie miał jednak czasu na reakcję, bo od razu zaatakował go dobrze umięśniony secutor.

– Mam już jednego! – Romulus wyciągnął miecz, spiesząc, aby doścignąć Gala.

– Jakim sposobem?

– Rzut sztyletem!

– Dobra robota! Znajdź sobie nowy, jeśli tylko będzie to możliwe. Może się przydać w każdej chwili! – Brennus uśmiechnął się i jeszcze szybciej ruszył do przodu, wyprzedzając pozostałych towarzyszy.

Szarża Brennusa zrobiła na przeciwnikach ogromne wrażenie. Gal zaatakował z takim impetem, rycząc co sił w płucach, że pierwszy rywal po prostu zmarł z bezruchu, pozwalając, żeby cios Brennusa rozplątał jego hełm z brązu i roztrzaskał czaszkę.

Trak runął bezwładnie na ziemię.

Brennus przekroczył jego ciało i odbił tarczę następnego gladiatora, uderzając w nią swoją, po czym wbił miecz prosto w klatkę piersiową przeciwnika. Wydał ogłuszający okrzyk bojowy, który odbił się echem po całej arenie.

Minęło kilka chwil. Wojownicy z Dacicus stali jak sparaliżowani, patrząc na przerażającego demona śmierci, w jakiego zmienił się Gal.

Brennus szybko powalił secutora.

– Ogień! – Romulus krzyknął, ruszając do przodu, żeby wykorzystać sprzyjające okoliczności. – *Ludus Magnus!*

Przeciwnicy odpowiedzieli nieartykułowanym rykiem stłumionej wściekłości i strachu. Z hukiem mieczy uderzających o tarcze gladiatorzy *Ludus Magnus* natarli na oszołomionych wrogów.

Romulus znalazł się przed *murnillo* o podobnej do niego posturze. Jego

przeciwnik uderzył z góry, próbując przebić się przez obronę chłopaka samą siłą uderzenia. Romulus sparował ten cios stosunkowo łatwo, utrzymując tarczę wysoko. Ruszył do przodu, wykorzystując ruch odchodzący gladiusa. Uważnie obserwował to, co robi jego przeciwnik, próbując jednocześnie skrócić dystans. *Murmillo* szeroko otworzył usta. Wiedział, co się stanie za chwilę.

Romulus wbił ostrze w jego odsłoniętą przepoń.

Mężczyzna krzyknął i zgiał się w pół w agonii. Romulus szybko uwolnił ostrze, pozwalając przeciwnikowi opaść na piasek. Potężnym ciosem zaostrzonej krawędzi tarczy zadał jeszcze cios w szyję. Pewien, że wróg został śmiertelnie ranny, zostawił go.

Cotta nauczył go staroświeckich metod walki gladiatorów. Gdyby obaj przeciwnicy postępowali zgodnie z zasadami sztuki walki, pojedynek mogłyby ciągnąć się całymi godzinami. Ale w walce takiej jak ta popisy nie miały sensu. Chociaż starcie na śmierć i życie z natury rzeczy jest bardziej brutalne, lepiej było zastosować metody Brennusa, który uczył go, jak obezwładniać i zabijać tak szybko, jak to tylko możliwe.

Brennus znajdował się z dziesięć kroków po lewej stronie. Atakował jednego z Traków i jednocześnie odpierał ataki drugiego, parując ciosy swoim długim mieczem. Po jego prawej stronie pozostali gladiatorzy z *Ludus Magnus* ścierali się z *murmillones* i *dimachaeri*. Jeden wojownik z dwoma mieczami wyróżniał się z pozostałych. Romulus patrzył ze zdumieniem, jak wirował niczym tancerz między przeciwnikami, kalecząc i raniąc ludzi jakby od niechcenia. Jego koniec nastąpił wówczas, gdy jakiś *retiarius* zaszedł go cichcem od tyłu i unieruchomił w sieci. Gdy *dimachaerus* zajął się wyplątywaniem, zaroilo się nad nim od gladiatorów z *Ludus Magnus*. Zakłuli go jak dziką bestię.

Romulus rozejrzał się po arenie. Na piasku leżało już kilkanaście ciał wrogów. Jeszcze więcej zostało rannych i nie uczestniczyło już w walce. Głównie dzięki Brennusowi szale zwycięstwa wyraźnie przechylały się na stronę *Ludus Magnus*. Wartości bojowej Gała nie dało się wymiernie wyliczyć. Każdy przeciwnik, który znalazł się na jego drodze, drżał ze strachu, zanim jeszcze Brennus wyprowadził pierwszy cios.

Zupełnie niespodziewanie Romulus został zaatakowany przez *laquearius*a i Traka. Przed pierwszym rzutem *lassa* uchylił się z łatwością, ale ledwo udało mu się sparować błyskawiczny cios drugiego przeciwnika wyprowadzony tuż po rzucie. Romulus cofnął się i uskoczył, żeby nie wdepnąć w kolejną pętlę, którą przebiegły

*laquearius* umieścił na ziemi. Serce waliło mu jak młot, gdy odbił, a następnie sam wymierzył cios Trakowi, starając się rozpaczliwie nie stracić z oczu obu przeciwników.

Tej walki nie wygra sam.

Pomiędzy unikami i pchnięciami próbował zorientować się w sytuacji na arenie. Kto jest na tyle blisko, żeby mu pomóc? Brennus był zajęty walką z dwoma *murmillones* i *secutore*m. Nie widział Sekstusa. Romulus zaklął głośno, próbując przeciąć w powietrzu linę, która frunęła z sykiem. Omal przy tym nie stracił gladiusa, ale *laquearius* pociągnął za linę odrobinę za szybko. Jeśli nie zneutralizuje kogoś z przeciwników, umrze.

Wziął głęboki oddech i zamachnął się nogą, posyłając w twarz *laquearius*a prysznic ziarenek piasku. Obrócił się i ruszył do przodu z impetem, uderzając tarczą w *scuta* Traka. W myślach modlił się do Jowisza, spodziewając się, że w każdej chwili na jego szyi wyląduje sznurowa pętla. Na szczęście *laquearius* wydał zduszony okrzyk i próbował pozbyć się piasku, który dostał mu się do oczu. Romulus zbliżył się do osłoniętego zbroją przeciwnika bez przeszkód, zmuszając go do cofnięcia się o kilka kroków.

Wykorzystał swój impet, żeby wymierzyć cios w głowę Traka. Jego przeciwnik uniósł dużą tarczę, osłaniając się przed ostrzem. Gdy Romulus to zobaczył, natychmiast opuścił *scutum*, celując w prawe kolano mężczyzny. Krawędź tarczy wbiła się głęboko w mięśnie, zrywając ich połączenie z rzepeką. Noga ugięła się pod Trakiem.

Zawodnik reprezentujący Dacicus upadł ciężko na ziemię. Z rany trysnęła krew, a Romulus zaryzykował spojrzenie do tyłu, w stronę *laquearius*a. Mężczyzna miał twarz wykrzywioną z bólu i właśnie też zmierzał w kierunku ziemi po ciosie toporem Sekstusa.

– Wyglądało na to, że masz kłopoty.

– Dziękuję!

Pamiętając o zachowaniu Lentulusa przed śmiercią, Romulus szybko odwrócił się i wbił miecz w gardło Traka. Mężczyzna zakrzusił się krwią i przewrócił na bok z szeroko otwartymi oczyma, pełnymi zdumienia. Romulus szybko chwycił sztylet z kościaną rękojeścią, który spostrzegł przy pasie martwego gladiatora. Dwa ostrza zawsze będą lepsze niż jedno.

Gdy podniósł wzrok, Sekstusa już przy nim nie było.

– Dobrze sobie radzisz! – zbliżył się do niego ciężko dyszący Brennus, zlany

krwią od stóp do głów.

Romulus rozejrzył się wokół, szukając wzrokiem przeciwników. Gdy nie dostrzegł w pobliżu żadnego niebezpieczeństwa, lekko się uspokoił.

– Ta walka jest już prawie rozstrzygnięta – stwierdził z satysfakcją. – Dzięki tobie.

Brennus skinął głową.

– Zabij albo giń – mruknął do siebie.

Romulus zaczął liczyć przeciwników. Na placu bitwy zostało mniej niż dwudziestu gladiatorów z Dacicus.

– To już nie potrwa długo.

– Miejmy nadzieję, że ci głupcy szybko się poddadzą – westchnął Gal. – Nie mają szans.

W tej samej chwili obciążona ciężarkami sieć wylądowała na głowie Brennusa. Wielki Gal chciał się szybko od niej uwolnić, ale końcówka jego miecza zaczęła się tak, że przez chwilę był całkiem bezbronny. W jego kierunku od razu poszybował trójzęb i Galowi ledwo udało się uniknąć ciosu.

Romulus instynktownie zawirował i zamachnął się gladiusem, odcinając w łokciu rękę atakującego. Ze zdziwieniem stwierdził, że napastnikiem był jeden z *retiarrii* z *Ludus Magnus*. Szybki kopniak w krocze osadził rannego gladiatora w miejscu.

– Uważaj! – Brennus upuścił miecz i chwycił ciężarki sieci, żeby ją unieść i czym prędzej zrzucić.

Romulus kątem oka zobaczył jakiś ruch. Odwrócił się zaniepokojony i ujrzał Gallusa w towarzystwie Figulusa i dwóch innych gladiatorów o ponurych twarzach, Traka i Samnity. Wszyscy dzierżyli w rękach zakrwawioną broń wymierzoną w Brennusa.

– Teraz jesteś sam, śmieciu! – *retiaris* z trójzębem wyskoczył przed szereg.

– Powinienem być zabić ciebie, a nie twojego przeciwnika – odezwał się Romulus, przesuając w bok.

– Straciłeś dobrą okazję – zadrwił Gallus.

Utrzymując pozycję między Brennusem i napastnikami, Romulus wycofał się kilka kroków. *Retiaris* roześmiał się na ten widok, myśląc, że chłopak próbuje uciec.

Nie zastanawiając się wiele, Romulus wbił miecz w piasek i wyciągnął z pochwy

sztylet. Rzucił nim szybko, trafiając prosto w cel.

Przeciwnicy zamarli zaskoczeni, gdy Gallus zatrzymał się gwałtownie w miejscu i wydał z siebie dziwny, gulgoczący dźwięk. Z jego gardła wystawał kościany trzonek sztyletu. Na twarzy umierającego widać było zdumienie. Gallus padł na ziemię bezwładnie. Zginął tak samo jak jego pierwszy przeciwnik.

Wystarczyła dłuższa chwila, żeby Brennus uwolnił się z sieci i stanął obok Romulusa.

– Trzech na dwóch. Chyba mamy spore szanse!

– Na pałę Wulkan! Mówiłeś, że Gallus unieruchomi wielkoluda w sieci! – Samnita po lewej stronie Figulusa zaszurał nerwowo nogami.

– Dlaczego nie dziabnąłeś go, gdy nie mógł nic zrobić, idioto? – Trak oblizał suche usta, ale nie cofnął się. – Skończmy to!

– Koniec kłótni? – Brennus uśmiechnął się ponuro i ruszył do ataku.

Romulus był tylko krok za nim.

Samnicie wystarczyło jedno spojrzenie. Rzucił się do ucieczki.

Jednak gdy tylko się obrócił, tuż obok niego zmaterializował się Sekstus. Jednym ciosem topora odciął głowę mężczyzny. Z bezgłowego tułowia w powietrze wystrzeliła fontanna krwi. Samnita opadł prosto na ciało Gallusa i znieruchomiał szybko po kilku drgawkach.

Piasek wokół nich zabarwił się szkarłatem krwi gladiatorów z Dacicus, a teraz także tych, którzy wcześniej walczyli ramię w ramię w jednym szeregu – Gallusa i Samnity – by potem zwrócić się przeciwko towarzyszom. Ludzie giną. I za co? Romulus nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Figulus odrzucił tarczę w kierunku Brennusa i zaczął uciekać w stronę klatki, zostawiając na placu boju ostatniego ze swoich kumpli. Mężczyzna zbladł jak ściana, widząc zbliżających się do niego trzech przyjaciół.

– Poddaj się! – *murmillo* rzucił broń i padł na kolana.

– Próbowalesz zabić jednego ze swoich, co? – Brennus uniósł miecz wysoko i opuścił go wprost na lewe ramię mężczyzny, łamiąc mu obojczyk.

*Murmillo* wydał z siebie piskliwy krzyk, który odbił się głośnym echem po całej arenie. Romulus zdał sobie nagle sprawę, że wokół nich zrobiło się dziwnie cicho. Walka skończona. Publiczność koncentrowała teraz uwagę na ich czwórce.

– Pozwól mu żyć, Brennusie – Sekstus też zauważył, że sytuacja na arenie uległa zmianie. – To koniec. Poprosił o litość – cofnął się, opierając się na swoim

zakrwawionym toporze. – Memor wszystko widzi.

– Ten szmaciarz zdradził naszą *familia!* – Gal plunął na ziemię, zde gustowany. – Lojalność jest wszystkim. Bez niej jesteśmy niczym.

– Nie warto... – odezwał się Romulus zmęczonym głosem. Był poruszony obrazem zniszczenia, ciałami leżącymi na całej arenie niczym zepsute marionetki. – Zginęło już dość ludzi.

Nastąpiła długa pauza. Brennus dygotał z wściekłości.

– Brennus! – po dłuższej chwili słowa Romulusa chyba dotarły do Gala. Ogień w jego niebieskich oczach nieco przygasł.

*Murmillo* szybko podniósł palec wskazujący, ale tłum zaszumiał z dezaprobaty na tę prośbę o łaskę. Nie po to tu dziś przyszli, żeby oglądać akty miłosierdzia.

Romulus był zde gustowany. Nikogo nie obchodziło, że ranny wojownik był w rzeczywistości jednym z ich towarzyszy broni. Tłum dyszał żądzą krwi i nie miało znaczenia, czy ja krew zostanie przelana.

*Nie mam zamiaru tak żyć.*

Brennus chyba też uznał, że ma dość. Opuścił miecz i cofnął się, nie zważając na krzyki z tłumu.

Wszyscy wojownicy z Dacicus, którym udało się przetrwać walkę, złożyli broń, prosząc o łaskę. Pozostało ich nie więcej niż piętnastu. Dwudziestu czterech gladiatorów *Ludus Magnus* nie odniosło żadnych ran, kolejne pół tuzina wyło z bólu na piasku, ale ich życiu nie groziło niebezpieczeństwo.

Znów rozległy się trąby, które uciszyły wrzawę. Postawny mistrz ceremonii ponownie pojawił się na podwyższeniu.

– Zwycięzcą starcia ogłaszam *Lu-dus Mag-nus!*

Brennus, Romulus i pozostali gladiatorzy unieśli okrwawione miecze na znak zwycięstwa. Ryk tłumu całkowicie zagłuszył krzyki rannych i umierających. Rzym nie dba o ofiary. Liczą się tylko zwycięzcy!

– Co za rzeźnia! – zniesmaczony Romulus powiódł wzrokiem po wykrzywionych od krzyku czerwonych ustach ludzi na trybunach. – To po to zginęło prawie sześćdziesięciu mężczyzn?

Brennus był już całkiem spokojny. W miejscu szалу bojowego pojawiło się typowe dla niego opanowanie. Spojrzał na swoje prawe ramię, umazane krwią aż do łokcia.

– Myślę, że Pompejusz bardziej zasługuje na taką śmierć niż ten biedny drań – powiedział ciężko, trącając nogą bezgłowy korpus Samnity.

– Tak. To prawda! – syknął Romulus.

Prowadzący ceremonię uniósł obie ręce w górę, chcąc uspokoić tłum.

– Oto przed wami sławny generał Pompejusz Wielki!

Gdy Pompejusz wstał ze swojego miejsca, aby przemówić, tłum wiwatował posłusznie na jego cześć. Konsul stał przez chwilę w milczeniu, ciesząc się brawami. Od czasu do czasu unosił ręce w iście królewskim geście, dziękując za wyrazy wdzięczności, a wtedy ludzie z jeszcze większą gorliwością dziękowali mu za to, że wspaniałomyślnie ofiarował im walki gladiatorów. Brutalna walka zbiorowa zaspokoila ich żądze krwi.

– Pompejusz wie, jak zdobyć tłum. Tak samo jak Cezar – powiedział Brennus.

Romulus zacisnął pięści.

– Łajdaki! Wszyscy! – jego wyczerpanie ustąpiło miejsca desperackiej potrzebie pokazania Pompejuszowi, jak to jest walczyć na śmierć i zginąć dla kaprysu tłumu. Jednak obraz śmierci venatora był zbyt żywy w jego pamięci. Gdyby zachował się podobnie, skończyłyby tak jak tamten nieszczęśnik. Potrzebował planu...

– Rzymianie! – Pompejusz wznosił ręce do nieba. Jego gest ponownie został przywitany entuzjastycznymi okrzykami. – Cóż za wspaniałe widowisko oglądaliśmy! Wszystko to dla was, obywatele Republiki! – jego słowa zagłuszyły kolejne brawa.

Pompejusz uśmiechnął się i strzelił palcami. Tuż obok niego pojawili się niewolnicy, dźwigający tacę z brązu, obciążoną workami z pieniędzmi.

– Niech zwycięzcy podejda bliżej – prowadzący ceremonię powiedział z wyczuwalną pogardą w głosie. – Tylko ci, którzy nie odnieśli żadnych ran!

– Wezwani gladiatorzy zebrali się w grupę z podniesionymi głowami. Potem ruszyli ławą, zatrzymując się przed trybuną honorową i pozdrawiając Pompejusza zaciśniętymi pięściami. Nawet Romulus poczuł w tym momencie falę zalewającej go dumy. Przetrawił prawdziwą rzeź! Trudno było nie czuć się zwycięzcą.

– Walczyliście dzielnie – Pompejusz stwierdził z aprobatą. – Ci, którzy wykazują się taką odwagą, zasługują na odpowiednią nagrodę. – Chwycił skórzany woreczek i rzucił go w powietrze.

Pierwszy mieszek złapał Sekstus. Hiszpan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i zrobił kilka kroków do tyłu. Kolejne sakiewki lądowały w rękach gladiatorów, dopóki Pompejusz nie nagroził wszystkich. Pełne zachwyty okrzyki rozbrzmiewały jeszcze jakiś czas po tym, jak sponsor skończył rozdawanie złota. Ludzie radowali się tym ekstrawaganckim pomysłem na walkę i nagrodami bardziej

niż zwykle. Wojownicy machali mieczami, uśmiechali się i śmiali, nieprzyzwyczajeni do wyrazów takiego uwielbienia.

Nie trwało to jednak długo.

W którymś momencie mistrz ceremonii zniecierpliwiał się i pokazał gestem, że powinni już opuścić arenę. Skończyła się chwila chwały. Znow stali się zwykłymi niewolnikami.

– Ciężki – Romulus zważył woreczek w obu dłoniach. – Ile może być w środku?

Brennus wzruszył ramionami.

– Może z kilka tysięcy sesterców.

– Co za okazja! – Romulus snów się zagotował. – Jesteśmy warci więcej niż to! – potrząsnął sakwą. Monety znajdujące się w środku zabrzęczały. Cena życia.

Brennus rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie.

– Dookoła jest za dużo nieprzychylnych nam uszu – wymamrotał.

Romulus zamilkł. lekkomyślność nie popłaca.

– Tych pieniędzy wystarczy na wino i dziwki przez kilka miesięcy! – Sekstus uśmiechał się od ucha do ucha.

– Dziękuję za wybawienie Romulusa z kłopotów.

– Moją skórę uratowałeś w zeszłym roku, pamiętasz?

Brennus wzruszył ramionami.

– Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

– Ale nikt nic nie zrobił – odpowiedział *scissor* szybko. – Szkoda tylko, że Figulus wyszedł z tego bez szwanku. Dalej będzie jątrzył.

– Wkrótce ten sukinsyn znow coś wymyśli – Brennus obserwował Figulusa spod przymrużonych powiek. – Wiem to.

– Nie uspokoi się, dopóki cię nie zabije – westchnął Sekstus – i nie zgwałci Astorii.

Te słowa okazały się mieć na Brennusa nieoczekiwany wpływ.

Gal uniósł miecz.

– Po prostu pójdę tam i go zabiję. Miejmy to z głowy.

Na jego drodze niespodziewanie pojawił się Memor. Był sam.

– Walka się skończyła! – wycedził. – Jeden z naszej rodziny błagał o życie. A ty co zrobiłeś?

Gal nie odpowiedział.

– Okaleczyłeś go!



– On i jego kompani, szczury kanalizacyjne, zaatakowali mnie i Romulusa. Chcieli nas zabić.

– To musiała być pomyłka – zawołał Memor, wymachując rękami... – Wzięli was za gladiatorów z Dacicus. – Najwyraźniej Memor nie widział początku tej walki.

– Nieprawda. To wszystko było zaplanowane.

Lanista zignorował jego odpowiedź.

– Kiedy przeciwnik błaga o litość, to *nie ty* decydujesz, co się stanie – Memor wskazał na trybunę z dostojnikami, trzęsąc się ze złości. – Pompejusz decyduje! – machnął pięścią w stronę Gala.

Brennus zacisnął szczęki.

– Cofam ci wszystkie specjalne prawa! Astoria wróci do kuchni, gdzie jej miejsce. Zabieram ci też twoją izbę – na ustach Memora pojawił się szyderczy uśmieszek. – Będziesz spać z innymi. Zobaczymy, jak ci się to spodoba.

Brennus zrobił krok w kierunku lanisty z mieczem gotowym do zadania ciosu.

– Powiniennem po prostu rozchlastać ci gardło.

Memor uniósł dłoń.

Łucznicy na trybunie naciągnęli cięciwy łuków.

– Wykonuj moje polecenia albo ci tam nafaszerują twój brzuch strzałami – lanista zamilkł na dłuższą chwilę, czekając na to, co zrobi Brennus. – Bądź posłuszny, a może nie sprzedam jutro rano tej czarnej suki do Lupanaru.

Brennus zeszywniał.

Memor czekał.

Romulus obserwował przebieg tej konfrontacji, wstrzymując oddech. Nie było sposobu powstrzymania lanisty, żeby przy okazji nie pożegnać się z życiem.

W końcu Brennus ustąpił.

Memor wpatrywał się w niego jeszcze przez kilka chwil. Zadowolony Gal nie reagował na tę zaczepkę i po prostu ruszył przed siebie, opuszczając arenę.

– Wracajcie do klatki – warknął przez ramię lanista.

– Skurwysyn! – Brennus splunął na ziemię. – Otworzę go jednym cięciem i zmuszę, żeby zjadł własne wnętrzności!

– Chętnie bym to zobaczył – powiedział Sekstus ze smutnym uśmiechem – ale tego samego dnia zawisnąłbyś na słupie, ukrzyżowany obok Astorii.

– To co mam robić? – Brennus wydawał się zrozpaczony. Romulus nigdy go takim nie widział. – Sam zadbam o siebie, ale Astoria mnie potrzebuje.

– Zaopiekuję się nią.

– Dlaczego?

– Ja też nienawidzę Memora – Sekstus stwierdził spokojnie. – Astoria będzie bezpieczna, zanim nie odzyskasz względów lanisty.

Słyszając zapewnienie Sekstusa, Romulus miał już się odezwać. Potrzebują sojuszników i wydawało się, że *scissores* mogą myśleć podobnie jak oni. Ale to była niebezpieczna gra. Takie rozmowy lepiej prowadzić w cztery oczy, za zamkniętymi drzwiami.

– Przysięgnij! – Brennus zbliżył się do Sekstusa, wpatrując się z nadzieją w jego oczy.

– Przysięgam przed wszystkimi moimi bogami.

Mężczyźni połączyli przedramiona. Chwila nie sprzyjała sentymentalnym gestom.

– Idźmy stąd, zanim łucznicy nie zmęczą się od naciągania cięciw.

Sekstus ruszył pierwszy, zbierając swoich ludzi.

Romulus zaczął się zastanawiać, czy udałoby się przekonać do buntu taką liczbę gladiatorów, żeby uciszyć Memora raz na zawsze. *Nie ma dla nas przyszłości* – pomyślał, spoglądając na okrwawione ciała leżące na piasku. *Spartakus miał dobry plan. Odzyskać wolność.*

Zachodzące już powoli słońce sprawiało, że rysy martwych gladiatorów ginęły w ciemnym odcieniu szkarłatu. Na arenie pojawił się człowiek, któremu przypadła rola Charona. Ze straszliwą skrupulatnością przystawał przy każdym trupie. Każdemu ciosowi wielkiego młota Przewoźnika towarzyszył przerażający chrzęst pękających kości.

Romulus odwrócił wzrok.

– Sprawdza, czy zasługują na podróż do Hadesu – Brennus przygryzł wargę. – Czy ktoś nie udaje martwego – pochylił się. – Mam szczęście, że nie leżę obok nich. Gdyby nie ty, ten *retarius* by mnie dopadł. Jestem twoim dłużnikiem, Romulusie. Podwójnym.

– To nic – Romulus poczuł się niezręcznie i szybko zmienił temat. – Memor naprawdę się na ciebie uzwiął, co?

– Drań tylko czekał, aż się podłożę. Dałbym mu pretekst, żeby ze mną skończyć. Z Figulusem i jego kamratami marzącymi o tym, żeby upuścić mi trochę krwi... – Brennus potarł czoło – ...nasze życie będzie ciekawe w najbliższym czasie.

– Ja naprawdę mam nadzieję, że to, co powiedziałem wcześniej...

– Wolność? – twarz Brennusa rozjaśniła się, ale szybko poszarzała, gdy pomyślał o Astorii. – Niemożliwe.

Romulus westchnął. Nigdy wcześniej z taką intensywnością nie dotarła do niego świadomość tego, jak niewiele warte jest życie gladiatora. Żeby ucieczka był możliwa, musiał zdobyć jakieś wsparcie, a Gal odgrywał w jego planie rolę pierwszoplanową. Kara wymierzona przez Memora na jakiś czas wybiła jednak Brennusowi z głowy wolę walki. Będzie musiał być cierpliwy i nieustannie pracować nad przekonaniem go do swoich planów. Inni szybciej przyłączą się do buntu, jeśli mistrz *Ludus Magnus* będzie stał po jego stronie.

Nie spocznie, póki nie odzyska wolności.

Przez cały następny dzień odpoczynku po walce zadowolony Memor przechadzał się po szkole z nieodłącznym szerokim uśmiechem na pokrytej bliznami twarzy i dumnie uniesioną głową. I on otrzymał od Pompejusza sporą nagrodę, a zwycięstwo sprawiło, że szkoła *Ludus Magnus* zyskała wielki szacunek w oczach rzymskich obywateli.

Przez trzy dni wszyscy gladiatorzy, poza Brennusem, mogli cieszyć się dodatkowymi racjami żywności i wina. Pozwolono im także na wizyty prostytutek. Sesje treningowe dla tych, którzy walczyli na arenie, zostały skrócone do jednej godziny dziennie. Łaźnia była otwarta dla wszystkich, choć ten przywilej na ogół zarezerwowany był tylko dla elity wojowników. Takie gesty były naprawdę doceniane przez zmęczonych ludzi, którzy ryzykowali życiem dla chwały *ludus*.

– Zejdź mi z oczu, ty mały nikczemniku! – wykrzyknął pewnego popołudnia Memor na widok Romulusa. Lanista podejrzewał, że chłopak miał swój udział w wydarzeniach, które doprowadziły do śmierci Gallusa i innych, ale nie dysponował żadnym dowodem. – Zamierzasz uśmiercić jeszcze jakichś moich ludzi?

Romulus nie odważył się odezwać. Dał nura do małej izby, którą zajmował z Brennusem i dwoma doświadczonymi Trakami. Homoseksualna para od czasu napadu na Astorię, który doprowadził do krwawej zemsty i sporu dzielącego szkołę, zachowywała neutralność. Otho i Antoniusz już i tak byli na marginesie nietolerancyjnej *familia*, więc dwóch nowych wyrzutków w tym samym pokoju w ogóle im nie przeszkadzało.

Gdy para zwróciła się do nich z tą cichą propozycją, przyjaciele postanowili z niej skorzystać. Z powodu zawołowanych gróźb Memora nie mieli żadnych innych możliwości zakwaterowania. Życie w *ludus* nagle stało się trudniejsze,

a bezpieczne miejsce, gdzie można by złożyć głowę do snu, było na wagę złota. W gruncie rzeczy Romulus uważał towarzystwo Traków za dość interesujące. Otho był mężczyzną wysokim i szczupłym. Prowadził ascetyczny tryb życia. Z kolei Antoniusz był dość pulchny, zniewieściały i śmiertelnie niebezpieczny z mieczem w dłoni.

– Memor nadal wkurzony? – Brennus usłyszał krzyki lanisty. Gal leżał na sienniku, gdzie spędzał teraz większość czasu. – Kutas.

Żadne pocieszenia Romulusa nie poprawiały nastroju przyjaciela. Nie rozchmurzał się nawet podczas rozmów na temat ewentualnego buntu, które mogli prowadzić tylko wtedy, gdy zostawali sami.

– Nigdy wcześniej nie rozdzielał mnie z Astorią.

– Sekstus jej pilnuje.

– Choć tyle dobrego... W przeciwnym razie ta stara świnka pewnie próbowałaby ją zgwałcić – stwierdził Brennus kwaśno. – Nie wiem, co robić. Mam już tego dosyć! – przewrócił oczami teatralnie, jak zwykł czynić Antoniusz, gdy był podekscytowany.

– To dobre dusze, nie wyśmiewaj się z nich – zauważył Romulus, uśmiechając się z żartu Brennusa. Wyjrzał przez drzwi. Z ulgą stwierdził, że Trakowie ćwiczyli daleko na placu. – Nikt inny by nas nie przyjął. Sekstus nie mógł.

– To prawda. I ryzykują dla nas głowami. Żaden gladiator nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Ale ja tu wariuję!

– Poczekaj tydzień lub dwa – powiedział Romulus wesoło. – Wszystko się jakoś ułoży.

– No, nie wiem. Memor jest mściwym sukinsynem – Gal westchnął. – Nie zdziwiłbym się, gdyby nasza sytuacja jeszcze się pogorszyła.

– Może byśmy zorganizowali mu jakąś niespodziankę? – Romulus zrobił ruch, jakby dźgał kogoś sztyletem.

– Kto by do nas dołączył?

– Hiszpan na pewno. Pamiętasz, co powiedział po walce?

– No to jest nas trzech – ocenił Brennus smutno. – Przeciwko całemu Rzymowi.

– Inni *scissores* prawdopodobnie pójdą za nim.

– Powoli... – Gal zmarszczył brwi. – To, o czym mówisz, wymaga prawdziwego planowania.

– No to porozmawiajmy z Sekstusem!

– Jeśli to zrobimy, możemy pożegnać się z życiem.

– To prawda – stwierdził Romulus, wzruszając ramionami. Po chwili jednak rzucił ostro. – Też mi nowość. Równie dobrze możemy umrzeć jako wolni ludzie.

Zaciekawiony Brennus uniósł wzrok.

– Jeśli się nie powiedzie, możemy opuścić Italię. Jak chciał zrobić Spartakus. Uciec stąd jak najdalej. Gdzieś, gdzie Rzym nic nam nie zrobi.

Opalona twarz Gala rozjaśniła się. Słowa Romulusa poruszyły w nim jakąś głęboko osadzoną strunę.

– Teraz mówisz rozsądnie! – w jego oczach błysnęły iskry. – Sześć lat czekałem na znak od bogów. – Brennus wstał i uderzył Romulusa w plecy z rozmachem. Humor wyraźnie mu się poprawił. – A oni wysłali mi ciebie!

Chłopak był zachwycony reakcją przyjaciela.

– Tyle czasu minęło od chwili, gdy po raz ostatni czułem wiatr we włosach czy polowałem w lesie! O wiele za dużo! – Brennus jeszcze bardziej się ożywił. – Porozmawiajmy ze *scissores*.

– Jutro – powiedział ostrożnie Romulus. – Memor wybiera się na targ niewolników. – Straty poniesione przez szkołę można łatwo uzupełnić. Ta świadomość rozgniewała go jeszcze bardziej.

– Dobrze.

Romulus skinął ponuro. Może teraz uda im się przekonać kilku podobnie myślących gladiatorów.

– Te knowania sprawiają, że czuję prawdziwe pragnienie. A może byśmy się tak wyrwali z *ludus* dziś wieczorem? – Brennus trącił Romulusa. – Pokażę ci moje ulubione miejsce.

– Zakazali nam opuszczać kwatery. Nie warto ryzykować.

– No chodź... Zasłużyliśmy na odrobinę rozrywki!

– To może napijmy się wina tu, w szkole?

– Mam dość tego miejsca – Gal uderzył w ścianę tak mocno, że posypały się na nich luźne kawałki tynku.

Romulus widział, że Brennus nie przesadza.

– Czy Sewerus nie jest ci winien przysługę? – zapytał. Szpakowaty strażnik był dawniej fantastycznym gladiatorem, ale teraz bardziej interesował go hazard.

– Ta stara pijaczyna? – Brennus zatrzymał się w pół kroku. – Powiedzmy, że tak. Wiele razy pomagałem mu spłacać lichwiarzy.

– Najczęściej pełni służbę przy bramie.

– Wczoraj prosił mnie o trzy tysiące sesterców. Nie udał mu się zakład na wyścigi rydwanów w Circus Maximus. – Gal uśmiechnął się. – Sewerus nie ośmieliłby się wydać nas Memorowi, gdybyśmy wyszli.

– A co się stanie, jak lanista sprawdzi kwatery? – Romulus nadal dość nieufnie podchodził do pomysłu opuszczenia murów szkoły.

– Nie ma szans! – Brennus odpowiedział pewnie. – Memor nie opuszcza swoich pokoi po zachodzie słońca – Gal niezmiernie cieszył się na perspektywę nocnej eskapady. – Wrócimy przed świtem. Nikt niczego nie zauważy.

– Musimy trzymać się z dala od kłopotów.

– W porządku. Nie roztrzaskam żadnej głowy.

– Obiecuj mi.

– Masz moje słowo – Brennus wymruczał.

Perspektywa osuszenia kilku dzbanów w którejś z gospód znanych Romulusowi z opowieści Gala zawsze wydawała mu się atrakcyjna. Jeśli obsługujące goście dziewczki są naprawdę tak przyjaźnie nastawione, jak twierdził jego przyjaciel, to może będzie miał szansę spędzenia tego wieczoru jeszcze przyjemniej. Od jakiegoś czasu Romulus coraz mocniej czuł buzujące w nim hormony. Skąpo odziane prostytutki odwiedzające gladiatorów działały na wyobraźnię nastolatka tak, że aż kipiał z pożądania. Kusiło go, żeby wydać choć część swojej wygranej na kobiety, ale zniechęcał go do tego brak prywatności w *ludus*.

Jeśli ma stracić dziewictwo, to zrobi to bez wścibskich obserwatorów.

## *Burda*



Późnym wieczorem, gdy goszczący ich Trakowie zapadli już w głęboki sen, głośno chrapiąc, Romulus zamknął cichu drzwi i podążył za Brennusem, skradającym się po nieoświetlonym placu ćwiczeń. *Ludus* był pogrążony w ciszy. Gladiatorzy wstawali wcześniej i chodzili spać o zachodzie słońca.

Chmury przesłoniły większość gwiazd i przyjaciele z trudem odnajdywali drogę do ciężkiej żelaznej bramy, która dzieliła ich od rzymskich ulic.

– Kto tam?! – głos strażnika nie wydawał się zbyt pewny. – Już dawno po godzinach przepustek!

– Spokojnie, Sewerusie! To ja...

– Brennus? – z cienia wyszedł strażnik w średnim wieku z wyraźną nadwagą. Jego dłoń spoczywała na rękojeści miecza. – O tej porze? Czego chcesz?

– Chcemy z Romulusem wybrać się na dzbanek wina do miasta.

– Teraz?

– Nigdy nie jest za późno na dzbanek wina, Sewerusie.

– Memor poderznąłby mi gardło, gdyby dowiedział się, że na to pozwoliłem.

– Jesteś mi winien kilka przysług.

Łysiejący eksgladiator wahał się.

– No dalej! – Brennus zaśmiał się przyjaźnie. – Co powiesz na trzy tysiące sesterców, o które mnie prosisz?

Sewerus miał wygląd zaszczutego zwierzęcia.

– Jak długo?

– Kilka godzin. Wrócimy, zanim się obejrzyysz.

Sewerus zaszurał nerwowo nogami.

Brennus uznał, że powinien kuć żelazo, póki gorące.

– Ci lichwiarze są bezwzględni. Chyba nie chcesz wkurzyć któregoś z nich?

Strażnik chwycił duży pęk żelaznych kluczy wiszących mu u pasa i poprowadził ich do bramy. Wybrał jeden, wsunął do zamka i przekręcił wyćwiczonym ruchem nadgarstka. Otwierające się drzwi bramy nie wydały żadnego dźwięku i Romulus od razu domyślił się, że musiały być dobrze naoliwione, a tego typu wycieczki zdarzały się częściej, niż wcześniej podejrzewał...

– Jutro rano dostaniesz pieniądze – Brennus szepnął, gdy bezszelestnie przemknęli koło strażnika.

– Tylko pamiętaj, że macie być z powrotem przed świtem. W przeciwnym razie moje życie stanie się koszmarem!

Romulus wzdrygnął się, gdy brama zamknęła się za nimi z cichym kliknięciem, w którym wyczuwało się jakąś ostateczność. Podążył za pewnie maszerującym Brennusem, modląc się w duchu, żeby Memor naprawdę spał. Obaj zabrali ze sobą miecze i założyli ciemne *lacernae*.

Gdy zza chmur wychylił się rąbek księżyca, widoczność poprawiła się tylko nieznacznie. Skąpemu oświetleniu nie pomagały też wysokie na trzy-cztery piętra budynki stojące wzdłuż ulicy. Jednak mimo tych stygijskich ciemności Brennus wydawał się posługiwać jakimś szóstym zmysłem i zmierzał pewnie do celu.

– Jest tak cicho...

– Porządni ludzie śpią w domach za zaryglowanymi drzwiami.

Gdy przemierzali opuszczone wąskie uliczki, słyszeli od czasu do czasu dochodzące zza ścian domów lub gospód wybuchy śmiechu. Okna sklepów zabito deskami, drzwi domów zaryglowano. Świątynie były puste i ciemne. Jakieś bezdomne psy grasowały w śmietnikach w poszukiwaniu resztek pożywienia.



Z rzadka mijali nielicznych przechodniów, którzy na ich widok odwracali wzrok i czym prędzej przemykali obok. Nawet oprychy z *collegia*, kontrolujące każde skrzyżowanie, nie odważały się zaczepiać Gala i jego towarzysza, spoglądając z respektem na dwóch barczystych mężczyzn, najwyraźniej dobrze uzbrojonych.

– Jeśli zauważysz, że ktoś się zbliża, patrz draniowi prosto w oczy – ostrzegął go Brennus. – Nikt o tej późnej porze nie może mieć dobrych zamiarów.

– To się tyczy też nas?

Gał zaśmiał się ponuro.

– Po prostu musisz być w każdej chwili gotowy do walki.

Romulus sprawdził, czy jego miecz lekko wychodzi z pochwy.

– Dlaczego nie ma żadnych strażników?

– W senacie dyskutują o tym od wielu lat, ale nigdy jakoś nie udało im się dojść do porozumienia.

Kilka chwil później Brennus skreślił w wąską boczną uliczkę. Spojrzał w stronę Romulusa i ostrzegł go.

– Uważaj, gdzie stawiasz stopy.

Romulus parsknął z niesmakiem. W jego nozdrza wdarł się charakterystyczny zapach ludzkich ekskrementów. Ruszył za przyjacielem, ostrożnie wybierając drogę. Starł się nie wdepnąć w coś, co odpowiadało za ten nieprzyjemny zapach.

Wkrótce dotarli do drewnianych drzwi, wzmocnionych grubymi pasami żelaza. Ze środka dobiegały dźwięki muzyki i męskich głosów.

– Makro! Otwórz! – Brennus walił w drzwi pięścią. – Umieram tu z pragnienia!

Przez kilka chwil odgłosy dochodzące ze środka jakby przycichły i gdy Brennus podniósł rękę, żeby uderzyć w drzwi po raz kolejny, te nagle się otworzyły. Stał w nich największy człowiek, jakiego Romulus kiedykolwiek widział. Wystawił łusą głowę na zewnątrz i stwierdził z subtelnym wyrzutem.

– Ile razy mam ci, kurwa, mówić? Trzy ciche uderzenia!

– Jestem w potrzebie, Makro.

– Nawet jeśli byłaby to ostatnia otwarta karczma w Rzymie – ochroniarz skinął na nich, zapraszając do środka – następnym razem się opanuj.

– Zapamiętam. Obiecuję.

Makro opadł ciężko na stołek przy drzwiach, ciągle coś jeszcze mamrocząc pod nosem.

– Dziękuję bogom, że nikt nie wpadł na pomysł, żeby tego osiłka sprzedać do

*ludus* – mruknął Brennus. – Możesz sobie wyobrazić, że z nim walczysz?

Romulus pokręcił głową. Myśl o tym, że musiałyby stanąć przeciwko Makro na arenie, wydała mu się przerażająca.

Chłopak przez dłuższą chwilę chłonął atmosferę, gdy kluczyli między małymi drewnianymi stolikami. Nie miał do tej pory okazji, aby odwiedzić tego typu przybytek. Rozmieszczone w regularnych odstępach na ścianie pochodnie z nasączonego oliwą sitowia rzucały tylko słabe światło. Nierówna podłoga z płytek pokryta była warstwą popękanej ceramiki, nie do końca oczyszczonych z mięsa, kości i rozlanego wina. Powietrze wypełniał niski szmer rozmów.

Większość gości stanowili legioniści po służbie, poubierani w ściągnięte w pasie, dochodzące do połowy łydek brązowe tuniki. Spod stołów i ław sterczały nogi obute w wysadzone metalowymi guzami sandały. Pozostali klienci stanowili mieszaninę zwykłych obywateli, przedsiębiorców i ludzi z nizin społecznych. Kilku z nich rzuciło ciekawskie spojrzenia na nowo przybyłych, ale większość zupełnie nic sobie nie robiła z nowych gości – pili i ryczeli ze śmiechu na zmianę. Kilku z nich śpiewało coś wyjątkowo nieczystymi głosami lub oddawało się grze w *tesserae*. W jednym rogu karczmy znajdowało się coś w rodzaju niskiej sceny, gdzie przycupnęło kilku mężczyzn, grających na różnych instrumentach muzycznych. I różnie im to wychodziło... Lekkie łańcuchy na nadgarstkach zdradzały, że ludzie ci są niewolnikami.

Romulus uśmiechnął się zadowolony. To było o wiele lepsze niż wino wypite w zaciszu *ludus*.

– Chodźmy tam! Gdyby doszło do jakichś burd, będziemy w miarę bezpieczni – Brennus uderzył ręką drewniany blat, który biegł na całej długości tylnej ściany. – Julia! Twoje najlepsze czerwone wino!

– Już wieki nie widziałam mojego ulubionego gladiatora – odezwała się ładna, ciemnowłosa dziewczyna, stojąca za barem. – Bałam się już, że zostałeś ranny.

Brennus roześmiał się.

– Bogowie wciąż mnie oszczędzają.

Dziewczyna zatrzepotała rękami.

– A kim jest twój przystojny towarzysz?

Romulus szybko wbił wzrok w podłogę, uświadamiając sobie, że dziewczyna przyłapała go na wpatrywaniu się w jej piersi.

– To jest Romulus.

Julia aż pojaśniała, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– Ten, o którym mi opowiadałeś?

Brennus pokiwał głową i chwycił chłopaka za ramię.

– Mój dobry przyjaciel. Któregoś dnia zostanie wielkim zawodnikiem – Gal uderzył Romulusa w plecy tak mocno, że ten prawie osunął się na podłogę.

– Miło cię poznać. Przyjaciel Brennusa jest moim przyjacielem.

Romulus zarumienił się. Wyjątkowo onieśmielony nie potrafił wydukać ani słowa. Jeśli nie liczyć Astorii, od czasu przybycia do *ludus* nie miał okazji przebywać w towarzystwie kobiet, które nie były prostytutkami.

– Zamierzasz trzymać nas tak o suchym pysku? – Brennus wyczuł, że Romulus nie czuje się pewnie. – Strasznie nas suszy.

– Ależ oczywiście! – Julia błyskawicznie postawiła przed nimi dwa drewniane kubki. Promieniejąc, wyciągnęła spod lady małą amforę. – Prawdziwe falerno! Przechowywane specjalnie dla ciebie.

– Na Belenusa! – Brennus aż podskoczył z radości. – Jesteś cudowna, dziewczyno! – rzucił na stół aureusa. – Powiedz mi, gdy go przepijemy. I odlicz co najmniej dziesięć sesterców dla siebie.

– Niech cię bogowie błogosławią – złota moneta zniknęła, nim Romulus zdążył mrugnąć. – Krzyknij, gdy będziesz potrzebować nowej – dziewczyna zanurkowała przez niski otwór drzwi do piwnicy. I już jej nie było.

– Piękna – Romulus poczuł dziwne napięcie w kroczu. Zaczął zastanawiać się, co może jej powiedzieć, gdy pojawi się następnym razem.

– Nawet o tym nie myśl – Brennus zgniótł woskową pieczęć i nalał do obu kubków sporą porcję wina. – Ona ma właściciela. Makro dostaje dodatkowe pieniądze za to, żeby nikt jej nie tknął.

– Kto jest jej właścicielem?

– Publiusz. Syn Marka Licyniusza Krassusa. Tak się składa, że jest to najbogatszy człowiek w Rzymie. Nie chciałbyś go wkurzyć.

Romulus nastawił uszu.

– Krassusa? – To niespodziewane nawiązanie do Krassusa sprawiło, że Romulus przypomniał sobie, jakie życie wiódł przed przybyciem do *ludus*. Zderzenie światów było tak niecodzienne, że przez chwilę czuł się oszołomiony. W szkole gladiatorów nie miał zbyt dużo czasu, żeby zastanawiać się nad przeszłością. – Byłem kiedyś w jego domu.

– Naprawdę? – Brennus delektował się winem z oczywistą przyjemnością. – Kiedy?

– Wysłał mnie tam raz Gemellus. Zaraz potem zostałem sprzedany.

– I co widziałeś?

– Tylko wielki przedpokój. I tak robił zdumiewające wrażenie. Podłoga była z dużych kawałków marmuru, piękne rzeźby, możesz sobie wyobrazić... Widziałem też jakiegoś arystokratę mniej więcej w twoim wieku.

– Krassus ma co najmniej sześćdziesiąt lat – zadumał się Brennus. – Tak, to mógł być Publiusz...

– Odźwierny opowiadał mi, że brał udział w buncie niewolników.

– Zbuntowany niewolnik pod jednym dachem z pogromcą Spartakusa? – Gal uniósł zdziwiony brwi. – Mało prawdopodobne.

– Brzmiał przekonująco.

– Najlepsi kłamcy zawsze są przekonujący.

– Ale on wiedział, jak to się wszystko zaczęło – zaprotestował Romulus. – I był za bardzo zdenerwowany, gdy to opowiadał.

Brennus wydawał się zainteresowany, więc Romulus z przejściem powtórzył opowieść Pertinaksa.

– Niesamowite – Gal uniósł kubek w cichym toaście – ale popatrz, jak to się skończyło. Sześć tysięcy ukrzyżowanych wzdłuż całej Via Appia. Ten biedny sukinsyn w służbie Krassusa. A my? W *Ludus Magnus*.

– To wcale nie musi tak być! Ludzie pójdą za tobą i Sekstusem, żeby walczyć z Rzymianami! Spartakus miał armię liczącą osiemdziesiąt tysięcy ludzi, złożoną z byłych niewolników. To może się udać.

Oczy Gala błyszczały.

– Z Memorem na wojennej ścieżce nasze życie w *ludus* będzie tylko coraz mniej przyjemne – zgodził się. – Ale to wszystko trzeba dobrze przemyśleć. Porozmawiamy z Sekstusem i zorientujemy się, jak wygląda sytuacja. Zdecydujemy, kogo byłoby warto przekonać.

– Musimy działać szybko! – zauważył Romulus.

– Wiem – Brennus westchnął ciężko i opróżnił swój kubek. – Cieszymy się dzisiejszym wieczorem.

Zadowolony Romulus skinął głową. Wiedział, że nie ma sensu mocniej naciskać przyjaciela. Brennus dotrzymywał słowa.

Wielki gladiator rozglądał się ukradkowo po pomieszczeniu.

– Spodziewasz się problemów?

– Powiedzmy, że chodzi o wcześniejsze doświadczenia – Gal złożył dłonie tak, że strzeliły mu chrząstki. – Przynajmniej raz w nocy zawsze zdarza się tu jakaś draka.

– Żadnych rozrób, pamiętasz?

– No wiem. Możemy tylko oglądać.

Romulus naśladował Brennusa, odwracając się tyłem do baru.

Nie musieli długo czekać. W pewnym momencie usłyszeli podniesione głosy, które zwiastowały, że któremuś legionście nie spodobały się wynik gry *petteia*. Rzeźbiona drewniana plansza poszybowała w powietrze, a czarne i białe kamienie rozleciały się po podłodze we wszystkich kierunkach. Rozmowy ucichły. Sześciu legionistów, których twarze wyraźnie wskazywały na to, że nieźle już sobie popili, zaczęło potrącać się i przepychać nad stołem. Zanim pojawił się Makro, zdążyli już wymienić między sobą zestawy standardowych obelg i rozdzielić kilka ciosów.

Ochroniarz interweniował w samą porę, stosując prostą, bezpośrednią metodę perswazji – po prostu uniósł dwóch żołnierzy i zderzył ich głowami. Gdy bezwładne ciała opadły na podłogę jak worki zboża, Makro obrócił się w stronę pozostałych towarzyszy nieprzytomnej dwójki i spojrzał na nich pytającym wzrokiem. Mężczyźni szybko usiedli z powrotem na zydlach, bo żaden z nich nie chciał podzielić losu kamratów. Makro pomachał im pięścią i wrócił na swoje miejsce przy drzwiach.

Stopniowo gwar głosów wracał do poprzedniego poziomu.

Romulus oglądał całą scenę z uśmiechem, niezmiernie rozbawiony sposobem zakończenia scysji i wpływem tego rozwiązania na innych. Po trzech kulkach aksamitne czerwone wino z Falernii zaczynało smakować jak nektar. Chłopak po raz trzeci sięgnął po amforę, ale z zaskoczeniem stwierdził, że ręka Brennusa unieruchomiła jego nadgarstek.

– Wystarczy.

– Dlaczego? – zapytał agresywnie.

– Jesteś pijany. A my mieliśmy unikać kłopotów.

– Mam mocną głowę – Romulus nie zdawał sobie sprawy, że zaczyna mu się plątać język.

– Naprawdę? – ton Gala był uszczypliwy. – A gdzie to nabrałeś takiego doświadczenia?

Romulus nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Zapadła niezręczna cisza.

Gladiatorzy dostawali niewielkie ilości wina do jedzenia. Zgodnie z rzymską tradycją wino to było bardzo rozrzedzone wodą. Brennus przyzwyczał się do pochłaniania dużych ilości mocnych trunków, ale chłopakowi alkohol od razu uderzył do głowy.

Przyjaciele nie odzywali się przez jakiś czas. Brennus popijał wino, rozglądając się ostrożnie, chciał się trzymać z dala od ewentualnych kłopotów. Romulus rzucał ukradkowe spojrzenia Julii. Ku jego zakłopotaniu zmysłowa niewolnica kilka razy zauważyła jego spojrzenia.

W końcu zdecydowała się do nich podejść.

Romulus gapił się na nią z niebyt mądrym wyrazem twarzy. Brakowało mu odwagi, aby przełamać lody.

– Ile masz lat? – Julia za to była wyjątkowo bezpośrednia.

– Siedemnaście – Romulus kątem oka dostrzegł pełne dezaprobaty spojrzenie Brennusa, ale na szczęście Gal nie zamierzał niczego prostować. – Prawie.

– Taki młody gladiator? Jesteś tylko rok starszy ode mnie – Julia westchnęła. – Jak to się stało, że trafiłeś do *Ludus Magnus*?

– Zostałem sprzedany, gdy mój właściciel dowiedział się, że ćwiczę walkę mieczem – Romulus zacisnął szczęki. Zalała go fala poczucia winy. – Nie to było najgorsze. Ja zresztą zawsze chciałem nauczyć się walczyć. Ale ten drań powiedział, że sprzedaje również Fabiolę. Do Lupanaru – wypowiadając ostatnie słowa, splunął na ziemię.

– Fabiolę?

– To moja siostra bliźniaczka.

– I to wszystko z powodu ćwiczeń z bronią? – Julia cmoknęła ze współczucia. – To musiało być coś więcej.

Nagle Romulus przypomniał sobie ataki złości, w które wpadał Gemellus w ciągu kilku dni poprzedzających jego sprzedaż, i jego reakcję, gdy czytał list od Krassusa. Czy Julia może mieć rację? Możliwe, że nie wszystkiemu był winien. Ta myśl poprawiła mu humor. Uśmiechnął się.

– A ty?

– Ja? – Julia wydawała się zaskoczona pytaniem. – Urodziłam się w niewoli. Sprzedali mnie, gdy miałam dwanaście lat, bo byłam ładnym dzieckiem – wzruszyła ramionami. – Powinnam być wdzięczna, że nie trafiłam do domu publicznego, jak

twoja siostra.

– Ja się cieszę – Romulus wypalił szybko i po chwili już żałował swoich słów.

– Jak słodko... – Julia uśmiechnęła się. – Większość mężczyzn, którzy tu przychodzą, interesuje tylko jedno.

Romulus przełknął ślinę, starając się wyrzucić z głowy bezecne myśli.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytała Julia.

– Nie wiem. Od tamtego czasu nie widziałem ani jej, ani mojej matki.

– Ja też nic nie wiem o swojej rodzinie – Julia posmutniała. – Może któregoś dnia Publiusz mnie wyzwoli i będę mogła ich odnaleźć.

– Nie brzmi to tak, jakby było prawdopodobne.

– Nie – przyznała. – Publiusz nie jest hojnym człowiekiem. Musiałabym mieć więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek będę w stanie zebrać. Klienci zostawiający tak sowite napiwki jak Brennus nie zdarzają się często.

– Chciałbym kupić twoją wolność – powiedział pod wpływem impulsu. – Jesteśmy dobrze opłacani. Brennus zarabia fortunę!

– Dlaczego miałbyś to robić?

Romulus zignorował pytanie.

– Nie powinnaś być niewolnicą!

– Podobnie jak tysiące innych ludzi pracujących w domach i warsztatach całego Rzymu.

– Lubię cię... – zaryzykował Romulus.

– Dziękuję – Julia wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego policzka. – Ale oszczędzaj, żeby kupić własną wolność.

Romulus uniósł rękę i niepewnie dotknął dłoni Julii. Czuł jej ciepło. Kamień spadł mu z serca, gdy Julia go nie powstrzymała. Chwycił ją delikatnie i skierował w dół, na blat, po czym ścisnął jej dłoń. Popatrzyli sobie prosto w oczy, delektując się tym momentem zauroczenia.

– Nie chcę wam przerywać – mruknął Brennus – ale Makro widział, co wyprawiacie.

Romulus puścił rękę Julii i odwrócił się w stronę góry mięsa zbliżającej się wielkimi krokami do stołu. Julia odskoczyła jak oparzona, udając, że reaguje na wołanie klienta. Zostawiła za sobą tylko nikły zapach perfum.

– Żadnego dotykania niewolnicy – nie mogło być żadnych wątpliwości, że Makro nie rzucał słów na wiatr. Jego ręka powędrowała w kierunku rękojęści

sztyletu. – Zrób to jeszcze raz, a Brennus zanieś do domu worek z twoimi kawałkami. Jasne?

Romulus, niewzruszony, skinął głową w milczeniu. Za bardzo cieszył się z reakcji Julii.

– Ona nie jest dla ciebie! – Makro wsadził gruby palec w pierś Romulusa i powiedział z naciskiem. – Pamiętaj o tym, *chłopcze*.

– Co tu robisz ci wszyscy żołnierze? – z naturalnością, jakiej Romulus nigdy by się po nim nie spodziewał, Gal postanowił zainterweniować. – Zwykle nie widuje się ich w mieście.

– Ludzie Krassusa.

– Czy nie powinni być w obozie za murami? – Aby zapobiec próbom przejęcia władzy, większa liczba legionistów nadal nie była wpuszczana w mury stolicy.

– Senat zgodził się na specjalną dyspensę. Generał zbiera armię. Ci tutaj mają przepustki do rana, a Publiusz obiecał im w tej gospodzie tanie wino – Makro wskazał kciukiem najbliższą grupę. – Jutro pomaszerują do Brundisium i zaokrętują się na statek do Azji Mniejszej.

– Dlaczego tam?

– Co cię to obchodzi? – wydawało się, że ochroniarz trochę się uspokoił. Potarł bezmyślnie ogoloną głowę, oceniając sytuację pod kątem potencjalnych kłopotów. Nie zauważywszy żadnego zagrożenia, zwrócił się ponownie do Gala. – Słyszałem, że niektórzy mówią o zdobyciu Jerozolimy.

– Jerozolimy! – oczy Brennusa zaświeciły się. – Świątynie tego miasta podobno mają drzwi z kutego złota. – W *ludus* był jeden *retiaris*, który pochodził z Judei i opowiadał fantastyczne historie o swojej ojczyźnie.

Romulus nie słyszał nawet, o czym mówił Brennus. Jego myśli były gdzie indziej. Spoglądał w kierunku Julii, która uśmiechała się promiennie. W ustach zaschło mu z podniecenia.

– Ej! Romulus?

– Co? – chłopak z miną winowajcy spojrział nierozumiejącym wzrokiem na Brennusa. – Co powiedziałeś?

– Spłądowanie Jerozolimy nie wydaje się złym pomysłem – Gal szturchnął go niezbyt delikatnie.

– Chłopak nie umie zachować umiaru w picciu! – Makro nie zauważył wymiany spojrzeń z Julią.



– Pilnuj go, Brennusi... – potężny niewolnik ruszył z powrotem w stronę drzwi, zanosząc się głębokim, basowym rechotem.

– Co ty wyprawiasz?! – syknął Brennus, gdy tylko Makro oddalił się na wystarczającą odległość. – Nie możesz się tak na nią gapić. Jeśli ten byk znowu cię przyłapie, naprawdę *będziesz* tego żałować.

– Chcę ją bliżej poznać – Romulus zaprotestował. – Jest piękna.

– Makro zabija ludzi, którzy nie robią tego, co każe.

Romulus nie zamierzał łatwo zrezygnować.

– Co byś zrobił, gdyby Memor wziął Astorię?

Brennus był zbity z pantałyku.

– To nie to samo.

– Dlaczego? Co by było, gdyby Memor posiadał ją, zanim ją poznałeś?

– Nie zrobił tego. Chociaż masz trochę racji... – Brennus rozpromienił się. – Masz coś konkretnego na myśli?

– Muszę z nią porozmawiać – piękna barmanka naprawdę sprawiła, że serce Romulusa biło szybciej.

– Nie zapominasz o maleńkim problemie? Co z Makrem?

– Tu się przydasz... – Gal uniósł brwi ze zdziwienia. – Po prostu postaraj się, żeby przez kilka chwil miał się czym zajmować – poprosił Romulus, zapominając, że jeszcze nie tak dawno sam błagał Brennusa, żeby nie wdawał się w żadne burdy.

– Nie będę walczył z tą bestią – roześmiał się Gal. – Chcę zachować wszystkie zęby.

– Więc wdaj się w sprzeczkę z kimś innym – Romulus zrobił gest w kierunku pomieszczenia pełnego legionistów. – Nie zajmie mi to dużo czasu.

– A zatem to twój pierwszy raz?

Romulus dźgnął Gala pod żebra.

– To możesz to zrobić czy nie?

Brennus uśmiechnął się.

– Nigdy nie unikałem dobrej bijatyki. To lepsze niż zabijanie ludzi. Ale pośpiesz się. Widziałeś Makra w akcji.

– Dzięki.

Romulus obserwował z fascynacją, jak Brennus wybierał odpowiedni obiekt. Szybko podjął decyzję. Mrugnął do Romulusa, po czym zbliżył się do grupy żołnierzy głośno kłócących się przy grze w kości.

– Nie możecie się pogodzić, chłopcy? – Brennus wskazał na leżące na stole mocno zużyte małe prostopadłościany, wyrzeźbione z kości ogonowej owcy.

– Odwał się, barbarzyńco!

– Ktoś cię pytał, czy jak?

Wszystkich czterech legionistów wpatrywało się w Brennusa z groźnymi minami.

– Masz dwie piątki, trójkę i jedynekę...

– Na dodatek jesteś głuchy, łajzo?

– Nie bądź taki... Po prostu chcę się zaprzyjaźnić.

– Nie potrzebujemy nowych przyjaciół – największy żołnierz, krępy, wielki jak beczka, ze złamanym nosem, odsunął stołek, żeby wstać od stołu. Rozległ się głośny pisk drewna przesuwanego po kamiennej podłodze. – Brudna galijska świnia.

– To nie było miłe.

– Naprawdę? – zadrwił legionista. Jego towarzysze również zaczęli się podnosić.

– Naprawdę – Brennus chwycił krawędź stołu po swojej stronie i unióśł go, posyłając w powietrze wszystko, co się na nim znajdowało: kości do gry, drewniane kubki i amforę z winem. Dwóch żołnierzy również wylądowało na podłodze.

Romulus nie czekał na to, co się wydarzy. Makro od razu zauważył sprzeczkę i poświęci jej całą swoją uwagę tak długo, aż zagrożenie nie zostanie zażegnane. Chłopak czym prędzej pobiegł tam, gdzie stała Julia. Dziewczyna miała zaciśnięte usta, złożone ramiona. Jej poza wyrażała całkowitą dezaprobatę wobec działania Brennusa.

– Brennus robi to tylko po to, żeby dać nam chwilę.

– Co? – spojrzała na niego zakłopotana. – Dlaczego miałby to robić?

– Lubię cię. Poprosiłem, żeby dał nam szansę porozmawiania.

– Nawet mnie nie znasz, Romulusie – powiedziała, rumieniąc się. Czerwień na jej policzkach czyniła ją jeszcze bardziej atrakcyjną. – Nie jestem nic warta.

– Nie mów tak. Jesteś piękna.

– Po tym, co zrobił ze mną Publiusz, nikt mnie nie zechce – podbródek Julii drżał, a ona z roztargnieniem potarła czerwone znamię na szyi, które przypominało starą bliznę po oparzeniu.

Romulus poczuł przepelniającą go determinację i rosnący gniew.

– Ja chcę – powiedział z zapałem.

– Idź już, zanim Brennusowi stanie się jakaś krzywda.

Romulus zaryzykował szybkie spojrzenie przez ramię. Nie wyglądało na to, żeby

walka miała się szybko zakończyć. Dwóch żołnierzy leżało nieprzytomnych na podłodze, ale Brennus bawił się z pozostałymi dwoma, starając się przy tym utrzymać ich pomiędzy sobą a ochroniarzem.

– Nic mu nie będzie – powiedział spokojnie. – Kiedy mogę się z tobą zobaczyć?

Julia w końcu się uśmiechnęła. Nieśmiało.

– To możliwe tylko wtedy, gdy Makro śpi.

– To znaczy?

– Gospodę zamykamy o świcie. Kiedy wyrzuci ostatniego klienta, a my sprzątniemy, Makro idzie na kilka godzin na górę. Mogłabym spróbować się wymknąć.

– Co powiesz na jutrzejszy poranek? – W *ludus* czekał ich tylko jeden dzień odpoczynku. Romulus wiedział, że lanista będzie zakładał, że Romulus wciąż się nie wychyla. – Kupię ci śniadanie na rynku.

Romulus widział Forum Olitorium raz czy dwa razy w życiu, ale obrazy przyrządzanego tam mięsa i egzotycznych owoców wciąż były żywe w jego pamięci. Dzięki pieniądзом z ostatniej walki mógł kupić Julii wszystko, co sobie wybierze. Astoria mogłaby udzielić mu kilku wskazówek, zanim spotka się z Julią. Romulus koniecznie chciał udowodnić dziewczynie, że nie jest tępym osiłkiem jak większość mężczyzn, którzy odwiedzają oberżę.

Julia przez chwilę wydawała się przerażona. Potem jednak jej twarz wypogodziła się.

– Właściwie dlaczego nie? Brzmi fantastycznie! – stwierdziła po chwili z przekonaniem.

– Do zobaczenia w alejce o świcie! – Romulus pochylił się nad barem i pocałował ją. Zamiast uniknąć zbliżenia, Julia przesunęła się bliżej, delikatnie rozchylając usta. Znieruchomieli z zamkniętymi oczyma, zapominając o całym świecie.

Nagle do ich uszu dotarł łomot rozbijanych mebli.

Romulus odsunął się niechętnie.

– Ostatni żołnierz leży na ziemi. Idź albo Makro rozerwie Brennusa na strzępy!

– Do świtu!

Romulus odskoczył od baru w radosnym uniesieniu. Czterech legionistów leżało bez ruchu na podłodze wśród tego, co zostało z roztrzaskanych stołków i stołu. Gal zasłaniał się drewnianą ławą, a jego ogromny przeciwnik uderzał w nią z całej siły pałąk z metalowymi guzami.

Wokół walczących utworzył się krąg kibiców. Mężczyźni dopingowali swoim wybrańcom, wykrzykując zachęty.

– Dorwij go, Makro!

– Zabij to głupie bydłę!

– Pokaż Galowi, kto tu rządzi!

Romulus podskoczył do Brennusa. Wydawało mu się, że jego przyjaciel zaczął się naprawdę dobrze bawić.

– Wychodzimy!

Brennus oprzytomniał. Cisnął długą ławę w kierunku ochroniarza i rzucił się do wyjścia.

– Do następnego razu, Makro!

Romulus, nie czekając na przyjaciela, przepchnął się przez tłum gapiów i już wyciągał żelazne sztaby z drzwi. Rzucił ostatnie spojrzenie na Julię, która obserwowała go z niepokojem w oczach. Potem wypadł prosto na ulicę, z Galem depczącym mu po piętach.

– Na Belenusa! Teraz dopiero czuję, że żyję – wrzasnął Brennus z radością. – Jak ci poszło?

– Całowaliśmy się! – Romulus uśmiechnął się w ciemności, czując jeszcze w nozdrzach silny zapach perfum Julii. – I jutro się z nią spotkam.

– Miło mi to słyszeć! – Brennus zerknął przez ramię. – Wytrzymaj jeszcze trochę. Makro nie da rady długo utrzymać takiego tempa.

– Dzięki bogom! – zawołał Romulus. – Chyba wdepnąłem w jakieś gówno w alejce.

– To się czuje! – Gal zatrzymał się, rechocząc. Na ścianie nieodległego budynku migotały pochodnie. – Pół mili. Powinno wystarczyć.

– Czy uciekałeś już kiedyś przed Makrem? – zapytał Romulus ze zdziwieniem.

– Wiele razy!

Romulus pokręcił głową i położył rękę na ramieniu Brennusa.

– To dlaczego on w ogóle pozwala ci wracać? – zapytał chłopak, przyglądając się uważnie podeszwom obu sandałów.

– Od czasu do czasu daję mu kilka sesterców. Zwykle też nie wszczynam awantur – głos Brennusa brzmiał tak, jakby czuł się urażony. – Jestem dobrym klientem!

Obaj roześmiali się w głos z ulgą, że udało im się uciec bez szwanku. Gdy poziom adrenaliny w krwi zmniejszył się mu znacznie, Romulus zaczął się przyglądać

pobliskiej bramie. W świetle pochodni dostrzegł wyprofilowane penisy, namalowane po obu stronach wejścia. Był to wymowny symbol tego, co oferuje się w środku. W cieniu niedaleko wejścia przycupnął jakiś człowiek ukryty pod kapturem. Romulus domniemywał, że to jakiś kaleka liczący na jałmużnę.

– To burdel?

– Lupanar. Tak go nazywają. Jeden z najlepszych w Rzymie.

– Próbowałeś?

– Gdy wydawało mi się, że jestem bogaty.

Romulus przypomniał sobie Fabiolę i poczuł dreszcz przebiegający po plecach.

– Czy widziałeś kiedyś dziewczynę podobną do mnie?

– Nie. Nie sądzę – Brennus wzruszył ramionami. – Ale zaglądałem tam dwa razy i zawsze byłem bardzo pijany. Chcesz spróbować?

– Nie! – Romulus miał nieszczęśliwą minę. – Tam może być moja siostra!

– Nie ma jej tam – powiedział Brennus uspokajająco. – Zapamiętałbym młodą dziewczynę podobną do ciebie.

– Mam dość – mruknął Romulus. – Wracamy.

– Chodź! – Brennus zadzwonił sakiewką. – Wystarczy, żeby kupić nam obu kilka miłych chwil.

Romulus zawahał się, przypominając sobie półnagie prostytutki, które widział w *ludus*.

– Po prostu wejdziemy do środka i rzucimy okiem – Gal wskazał na wejście. – Te dziewczyny są wspaniałe!

Romulus poczuł niepokojące drgnięcie w kroku. W tak drogim burdelu będzie miał sporo prywatności, a szansa, że spotka Fabiolę, była minimalna.

Wyczuwając jego niezdecydowanie, Brennus pociągnął go w kierunku bramy. Prawie już przez nią wchodzili, gdy ze środka wyszła grupa głośno dyskutujących nobili, ubranych w drogą togi. Gladiatorzy zareagowali automatycznie, odsuwając się na bok, jak przystało na niewolników, schodząc z drogi wpływowym arystokratom.

Większość nobili nawet ich nie zauważyła.

Prawie ich minęli, gdy krępy, rudowłosy mężczyzna o surowej twarzy potknął się i wpadł na Romulusa.

– Głupie bydlę. Patrz, jak leziesz! – ekwita w średnim wieku zachwiał się lekko. Czuć było od niego silny zapach alkoholu. – Na moim latyfundium karałem ludzi

ukrzyżowaniem za o wiele mniejsze przewinienia.

– Przepraszam, panie – odpowiedział Romulus i od razu pożałował swojej reakcji.

Gał zeszytywniał, instynktownie zdając sobie sprawę, że ten człowiek może być o wiele bardziej niebezpieczny niż wielu przeciwników na arenie.

– Jesteś niewolnikiem?

Romulus skinął głową. Jego twarz nie miała żadnego wyrazu.

– Pospiesz się, Celiuszu! – zawołał jeden z towarzyszy. – Noc jeszcze młoda!

– Chwileczkę. – nieuważny nobil poprawił swoją togę, po czym zawołał. – Straż!

Do mnie!

– Co robisz, panie? – Romulus spytał ostrożnie.

– On porachuje ci kości, niewolniku. Nauczy cię szanować lepszych od siebie.

Nagle Brennus wyprostował się. Górował nad wszystkimi uczestnikami scysji. Jego zimne oczy błyszczały w przyćmionym świetle. Żyły na karku mu pęczniały.

– Nie rób tego – powiedział cicho.

Napięcie stało się namacalne.

– Kolejny niewolnik? – Celiusz rozejrzał się w poszukiwaniu odźwiernego. –

A co ty zrobisz?

– Nie jestem niewolnikiem.

Romulus aż otworzył usta ze zdumienia, słysząc słowa przyjaciela. Były równoznaczne z natychmiastowym wyrokiem śmierci. Jego wysiłki, aby przekonać Gala do sprawy odzyskania wolności, najwyraźniej przynosiły rezultaty. Jednak to nie był najlepszy moment na taką deklarację. Już lepiej było przyjąć kilka razy.

– Co powiedziałeś? – Celiusz splunął.

Romulus otworzył usta, żeby przemówić, gdy Brennus uderzył nobila w brzuch.

Celiusz runął na ziemię jak worek ołowiu. Zdumiony. Z szeroko otwartymi ustami.

Czując kołatanie serca, Romulus przysunął się do przyjaciela.

– Idziemy! – syknął.

– Co tu się dzieje, na Jowisza? – w bramie pojawił się niewolnik o posturze niewiele mniejszej niż Makro. – Kto wzywał?

Celiusz próbował coś powiedzieć, ale Brennus potężnym kopnięciem odesłał go z powrotem do rynsztoka.

– Ten człowiek po prostu na mnie wpadł. Wydaje się, że wypił za dużo wina – odezwał się Brennus, wygładzając swoją tunikę. – Mieliśmy odwiedzić wasze piękne

panie.

Zdezorientowany odźwierny gapił się na Brennusa, potem przeniósł wzrok na Celiusza. Coś mu tu nie pasowało.

– Poczekaj – warknął. Po chwili zrozumiał. – Ty jesteś gladiatorem! Tym słynnym Galem!

– Chodź – Romulus ciągnął Brennusa za tunikę. Wciąż jeszcze mieli szansę uciec.

– Celiuszu! Celiuszu! – przyjaciele nobila wreszcie zdecydowali się przyjść z pomocą swojemu towarzyszowi.

– Zamknij tych łotrów w areszcie! – zawołał jeden z nich piskliwym głosem.

Krew w żyłach Brennusa zawrzała.

– Wiesz, kim jestem? – ryknął. – Nawet nie myśl, żeby mnie tknąć!

Strażnik zawahał się, ale po chwili nie było już żadnej wątpliwości, że Brennus nie znalazł zrozumienia.

– Zabawa skończona – powiedział strażnik, sięgając po pałkę wiszącą przy pasie.

– Jesteś niewolnikiem, tak jak ja.

– Zwiąż go! – wrzasnął ekwita.

– Zignoruj tych drani. Pozwól nam odejść – odezwał się Romulus prosząco.

– Że co? – ochroniarz miał niepewną minę. – Ale...

– Co cię obchodzą cholerni patrycjusze?

– Muszę ich słuchać.

– Kto tak powiedział? – Romulus wykrzyknął. – Masz wybór!

– No, dalej! – odezwał się Brennus. – Dołącz do nas!

– Uciekaj z nami!

– Pożegnaj się z życiem – w oczach niewolnika pojawił się strach. Chwycił za pałkę. – Poddajcie się. Przy odrobinie szczęścia dostaniecie tylko parę batów.

Romulus zwątpił. Ekwici byli już prawie przy nich. Nie widział żadnej szansy na ucieczkę. Ich noc na mieście nie skończy się dobrze.

– Nikt nie ma prawa mnie tknąć! Na Belenusa! – Brennus ryknął. W jego żyłach krążyło wino. – Jestem wolnym człowiekiem!

– Co mamy robić? – Romulus chciał uciec, nie walczyć. – To arystokraci.

– Zabić kilku z nich!

– Nie, ty głupcze! – to nie tak miało być. Brama do Lupanaru nie była odpowiednim miejscem, żeby rozpocząć bunt niewolników.

Jednak było już za późno.

Brennus chwycił odźwiernego za tunikę, uderzając go mocno czołem. Osiełek zatoczył się do tyłu. Jęcząc z bólu, próbował zatamować obiema rękoma krew płynącą z rozbitego nosa. Gał chwycił go za pasek i ramię, po czym z wielkim impetem pchnął mężczyznę głową na przód z powrotem do wnętrza budynku.

– Odwróć się, niewolniku!

Romulus zawirował.

Umazany błotem Celiusz ze sztyletem w ręku znajdował się tylko pięć kroków za nim. Otaczało go kilku podobnie uzbrojonych przyjaciół.

– Myślałem, że patrycjusze nie noszą broni? – Romulus pęczniał z gniewu. Jego gladius wysunął się z pochwy z cichym sykiem.

– Przydaje się do zabijania takich mętów jak wy – warknął Celiusz, rzucając się do przodu.

Romulus z łatwością uniknął ciosu wyprowadzonego przez pijaka, a Brennus przeskoczył w lewo i zdzielił ekwite tak, że ten po raz trzeci wylądował w błocie.

– Miałeś rację – zwrócił się do Romulusa, szczerząc zęby. – Postaraj się żadnego z nich nie zabić, bo inaczej na pewno czeka nas ukrzyżowanie!

Zadowolony z powściągliwości Brennusa Romulus zdążył tylko skinąć głową. Towarzysze Celiusza zaatakowali ich natychmiast falą błyskających ostrzy, przy akompaniamencie trzepotania materiału tóg. Jednak Romulus wypił o wiele mniej niż nobile i nie miał żadnych trudności z unikaniem pchnięć, rozdzielając przy okazji ciosy rękonością broni i demolując wściekle twarze. Gdy ktoś znalazł się za blisko, chłopak płazował go licem miecza. W końcu ekwici wycofali się, najwyraźniej czując większy respekt. Opędzanie się przed sześcioma uzbrojonymi mężczyznami było dziwnie radosnym doświadczeniem.

W pewnej chwili Romulus poczuł, że ktoś ciągnie go za tunikę. To był Celiusz, który znów pozbierał się po otrzymanych ciosach. Młody gladiator instynktownie zamachnął się mieczem i trafił patrycjusza płazem w głowę. Kątem oka zobaczył, jak rudowłosy nobil osuwa się nieprzytomny na ziemię.

Przez jakiś czas udawało się im trzymać całą grupę w ryzach. Sprawnie i z uśmiechami na ustach unikali pchnięć pijanych przeciwników. Dziwili się przy tym, że tak łatwo im to przychodzi. Ich wrogowie klęli i ślinili się z wściekłości, ale nie byli w stanie skrócić dystansu na odległość skutecznego pchnięcia nożem.

Impas nie mógł trwać wiecznie. Wkrótce pojawiło się przy nich pięciu, uzbrojonych w miecze i pałki, ludzi z Lupanaru, którzy zainteresowali się zamieszaniem przy wejściu. Wśród nich znalazł się tylko jeden ochroniarz, reszta



wyglądała na niezbyt wprawionych w walce wręcz pracowników kuchni. Wydawało się, że w burdelu nie potrzeba więcej niż dwóch profesjonalnych ochroniarzy.

– Wynośmy się stąd – Brennus cisnął jednym z bardziej otyłych mężczyzn o ścianę, a następnie wyprowadził cios na jego splot słoneczny. Mężczyzna runął na ziemię z jękiem.

– Musimy chyba wyrębać sobie drogę odwrotu, co? – Gal w końcu wyciągnął swój długi miecz.

– Najwyższy czas – Romulus stwierdził krótko.

Para przyjaciół skróciła dystans między sobą. Kierowała się bardziej w stronę środka ulicy, trzymając broń gotową do użycia.

– Zostańcie tam, gdzie stoicie! – ryknął Brennus. – Wypatroszę pierwszego śmiałka, który odważy się zbliżyć.

Niewolnicy cofnęli się nieco, nie chcąc ryzykować urazu lub śmierci w konflikcie, w którym w zasadzie nie byli stroną. Trzy osoby i tak już leżały bez ruchu w błocie. Wyczuwając, że ta walka była przegrana, nobile odsunęli się na bok, ograniczając się do wykonywania obscenicznych gestów.

– Biegiem! – Brennus schował miecz. – Do *ludus!* I to pędem.

Za nimi rozległ się okropny wrzask.

– Morderstwo! – jakiś gruby arystokrata pochylał się nad rudowłosym mężczyzną. – Zabili Celiusza!

– Ekwita nie żyje!

– To był ten chłopak! Widziałem! – zawołał inny. – Poślijcie po liktorów!

– Bogowie! – wysapał Brennus. – Co żeś uczynił?

– Ja? Nic! – odrzyknął Romulus. – Trzeba było po prostu pozwolić im mnie pobić.

– Nie mogłem na to pozwolić. Jestem ci coś winien, pamiętasz?

– Dzięki. Ale lepiej odwdzięcz się wtedy, gdy naprawdę będę tego potrzebował.

– To przez jego arogancję!

Romulus zarechotał, dając Brennusowi do zrozumienia, co ma na myśli.

– I przez wino – przyznał Gal. – Ale sam zasiałeś w mojej głowie ziarno rebelii.

– Tylko że to nie było najlepsze miejsce, żeby wszczynać bunt, Brennusie.

Jego przyjaciel popatrzył na Romulusa zakłopotany.

– To czemu go zabiłeś?

– Ja go nie zabiłem! – Romulus rzucił ostatnie rozpaczliwe spojrzenie za plecy. –

Walnąłem tego pacana w głowę, ale nie tak, żeby go uciszyć na zawsze.

– Musiałeś uderzyć na tyle mocno, że pękła mu czaszka – stwierdził Brennus. – O to nietrudno.

Wszyscy znajdujący się wewnątrz budynku słyszeli, że coś niedobrego dzieje się na ulicy. Fabiola czekała w przedpokoju obok recepcji, kiedy Wettiusz przeleciał przez drzwi. Uderzył w posąg, który spadł na podłogę i roztrzaskał się z hukiem. Zaniepokojona podbiegła do niewolnika i stwierdziła, że mężczyzna jest na wpół przytomny, a z jego nosa leci krew. Na całej mozaikowej podłodze rozrzucone były kawałki połamanego kamienia. Goście Lupanaru zebrali się w grupki, spoglądając z przerażeniem w kierunku bramy. Zwykle to miejsce uchodziło za oazę spokoju w niebezpiecznym mieście. Kilka zdenerwowanych dziewcząt obejmowało się ramionami.

– Benignusz! – Fabiola zawołała piskliwym głosem. – Chodź tu natychmiast!

– Co się dzieje? – w korytarzu pojawiła się Jowina, zaciskając usta z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

– Nie wiem, pani. Ktoś wrzucił Wettiusza do środka – Fabiola zaryzykowała spojrzenie przez drzwi. W słabym świetle pochodni widziała dwie niewyraźne postacie z mieczami w rękach, walczące z mężczyznami, którzy właśnie wyszli z Lupanaru. – Wygląda na to, że jacyś złodzieje próbują obrabować tych arystokratów.

– Benignusz! – Jowina wypluła przekleństwo. – Gdzie jest ten drągal?

Drugi ochroniarz pojawił się w korytarzu kilka chwil później, niezgrabnie układając togę. – Pani wzywała?

Jowina poczerwieniała ze złości.

– Moi klienci są atakowani. Weź Katusa i innych!

Zdezorientowany Benignusz rozejrzał się i w końcu dostrzegł Wettiusza leżącego na brzuchu, nad którym klęczała Fabiola. Usłyszał także dochodzący z zewnątrz szcęk broni. Odwrócił się i pobiegł korytarzem, krzycząc w głos.

– Weźcie jakąś broń! – Jowina tymczasem rzuciła się do drzwi i natychmiast zablokowała sztabą. Odwróciła się z przymilnym uśmiechem, uspokajając zaniepokojonych klientów.

– To tylko mała sprzeczka, panowie – wymruczała. – Dzisiaj wszystkie dziewczyny kosztują połowę mniej.

Twarze, na których wcześniej widać było głównie strach, teraz się rozjaśniły.

Wkrótce mężczyźni zniknęli z recepcji, a pożądanie wyгнаło wszystkie inne myśli z ich głów.

Jowina spacerowała po korytarzu, czekając z niecierpliwością na niewolników.

W tym czasie Fabiola zwinęła chusteczkę i przycisnęła ją mocno do złamanego nosa Wettiusa, aby zatamować krwawienie. Grecki lekarz nie powinien mieć później kłopotów z jego wyprostowaniem. W końcu olbrzym otworzył oczy. Wydawało się, że przez chwilę ma problemy ze skupieniem wzroku na jednym punkcie.

– Co się tam działo? Na Hades!

– Dwóch niewolników próbowało się dostać do środka – wymamrotał Wettiusz. – Zaatakowali wychodzących nobili.

– Niewolnicy? – Fabiola spytała ostro. To było dość niecodzienne zdarzenie. – Jesteś pewien?

Ochroniarz skinął głową.

– Jeden był naprawdę wielkim draniem. Gladiator z Galii.

W tej chwili w korytarzu pojawił się wracający Benignusz z grupą mężczyzn służących w kuchni. Wszyscy byli uzbrojeni w noże, miecze i pałki. Niewolnicy z kuchni wydawali się przerażeni. Walka nie należała do ich typowych obowiązków w tym domu.

– Na co czekasz? – krzyknęła Jowina, otwierając drzwi. – Na zewnątrz!

Niewolnicy wysypali się na dwór, czując większy respekt przed Jowiną niż przed fizycznym niebezpieczeństwem.

Kilka chwil później odgłosy walki ucichły. Usłyszeli podniesione głosy, gdy rabusie rzucili się do ucieczki. Zapadła cisza. Nagle jeden z ekwitów zaczął krzyżeć, że popełniono morderstwo.

Jowina skrzywiła się. Ta noc nie układała się najlepiej. Już straciła pieniądze na specjalne zniżki dla klientów. A teraz okazało się, że ktoś nie żyje. Złe wieści, takie jak te, szybko rozchodziły się po mieście. Wyjrzała niepewnie na ulicę i, sprawdzając najpierw, czy jest bezpiecznie, wysłała przed bramę.

Fabiola ruszyła za nią.

W błocie leżało kilka osób w białych togach. Jedna z nich miała wielką czerwoną plamę na klatce piersiowej. Niewolnicy stali niepewnie, podczas gdy pozostali nobile krzyżeli, żeby ścigać sprawców.

Jowinie wystarczył jeden rzut oka, żeby zorientować się w sytuacji.

– Weź trzech z tych głupców – zwróciła się lakonicznie do Benignusza. – Idźcie

na forum i sprowadźcie liktora i jego ludzi. Powiedz mu, że Rufus Celiusz został zamordowany.

Ochroniarz skinął głową z ulgą, że wreszcie ktoś objął dowodzenie. Ta sytuacja go przerastała. Wyciągnął rękę i zdjął ze ściany jedną z pochodni. Kiwając na pozostałych, ruszył truchtem do forum.

Fabiola obserwowała całą scenę z szeroko otwartymi oczami, słuchając gorącej dyskusji. Nikt wcześniej nie słyszał, żeby coś podobnego kiedykolwiek zdarzyło się tuż za progiem Lupanaru, ale dziewczyna poczuła jakąś dziwną satysfakcję. Ekwici byli wyjątkowo arogancy. Zwłaszcza ten martwy rudzielec. Obchodził się z nią bardzo szorstko, do tego stopnia, że zastanawiała się już nad wezwaniem pomocy. Zdaniem Fabioli nikt nie zapłaci po Celiuszu.

Wyczuła jakiś ruch za plecami. Wettiusz stał w drzwiach na niepewnych nogach.

– Wszystko w porządku? – skinął głową, ale miał dziwne spojrzenie. – Wettiuszu?

– To zabawne... Ten drugi był jakby twoim odbiciem.

Żołądek Fabioli fiknęła koziołka. *Romulus!* Przepęlniła ją wielka radość, bo uświadomiła sobie, że jej brat bliźniak żyje. Wszeptała cicho krótką modlitwę dziękczynną do Jowisza. Zdała sobie sprawę, że nie może się zdradzić. Błyskawicznie odwróciła się, żeby zobaczyć, co robi właścicielka domu publicznego. Jowina miała niesamowicie wyczulony słuch i potrafiła usłyszeć najcichszy szept. Na szczęście znajdowała się wystarczająco daleko i była zajęta uspokajaniem nobili.

– Został sprzedany do szkoły gladiatorów, prawda? – Fabiola skinęła głową, a przed jej oczyma przewijały się żywe obrazy z dnia rozstania z Romulusem. – Wyglądał na dobrze zbudowanego – powiedział ochroniarz. Dotknął nosa i skrzywił się. – Chciał mnie przekonać, żebym do nich dołączył.

Fabiola poczuła dumę zmieszaną z żalem. Jej brat przeżył ponad rok na arenie. Teraz jest mężczyzną z wieloma zwycięstwami na koncie. Ludzie będą go rozpoznawać. Dzięki temu dowie się wreszcie, w której szkole się znajduje.

– Ani słowa o tym – syknęła. Jej oczy zabłyśły. – Ani o jego przyjacielu.

Wettiusz przełknął ślinę.

– Jasne, że nie. Ale nie tylko ja rozpoznałem tego Gala.

Załamana Fabiola wpatrywała się w ciemność. Zabicie arystokraty przez gladiatora było występkiem karanym śmiercią i nikt nie będzie szczędzić wysiłków, aby znaleźć winnego. *Lictores* wkrótce przesłuchają wszystkich świadków i dojdą do właściwych wniosków. Zeznań niewolników nie dopuszczano w sądzie, chyba że

uzyskano je w czasie tortur, a eunuchy, tacy jak Nepos i Tancinus, wyznają wszystko, co wiedzą. To oznaczało, że powrót do szkoły nie zapewni Romulusowi i jego towarzyszowi żadnego bezpieczeństwa. I nawet jeśli uciekną z miasta, w oczach wymiaru sprawiedliwości będą wyjęci spod prawa. Chociaż jeszcze przed chwilą Fabiola cieszyła się perspektywą odnalezienia brata, teraz zdała sobie sprawę, że prawdopodobieństwo spotkania jest naprawdę nikłe.

Pogrążyła się w rozpacz.

Słyszeli otwierające się okiennice, gdy hałas na ulicy budził mieszkańców. Ktoś zawołał:

– Co się dzieje?

Nie zważając na krzyki, ruszyli pędem, skręcając szybko w boczną uliczkę. Biegli jakiś czas, docierając do ulicy, która wydała się Romulusowi znajoma.

– Zwolnij – mruknął ciężko dyszący Gal. – Nikt nie będzie nas ścigał, zanim nie przybędą posiłki.

Romulus myślał intensywnie.

– Nikt z nich nas nie zna – stwierdził z uśmiechem.

– Wpadliśmy po uszy w gówno! – Brennus jakby nie słyszał słów chłopaka. –

Już po nas – mruknął. – Musimy uciekać. Teraz.

Romulus czuł się lekko zdezorientowany.

– Uciekać?

– Jeśli tego nie zrobimy, jeszcze przed zachodem słońca skończymy na krzyżach – odparł niezwykle poważnie Brennus.

– Dlaczego?

– Ten półgłówek przy drzwiach mnie rozpoznał! Jako gladiatora – odpowiedział Brennus. – Ilu Galów mojej postury jest w Rzymie?

Romulus poczuł, że traci kontrolę nad swoim życiem.

– Naprawdę uderzyłem go tylko płazem miecza – odezwał się cicho. – Przykro mi.

– Stało się – w oczach Brennusa pojawił się smutek, ale mężczyzna nie miał wątpliwości. – O świcie żołnierze przeszukają wszystkie szkoły w mieście. Znajdą mnie i będą mieli ciebie. Tak oto kończy się nasz czas spędzony w Rzymie.

Romulus wiedział, że jego przyjaciel ma rację, ale konsekwencje dzisiejszej nocy nadal jakoś do niego nie docierały. Nie będzie buntu niewolników. Nie będzie spotkania z Julią.

Zapadła długa cisza, którą przerwał Brennus.

– Ci patrycjusze marzą o tym, żeby zabijać nas powoli, słuchając, jak zarzekamy się, że jesteśmy niewinni. Widziałem to o wiele za często. Nie zamierzam biernie czekać na odegranie pierwszej roli w takim spektaklu – Gal odwrócił się i ruszył w kierunku *ludus*.

– Stój! – Romulus syknął. – I co zamierzasz zrobić?

– Pożegnaj się z Astorią i wezmę jakąś broń – uśmiechający się w półmroku Brennus błysnął zębami. Właściwie to cieszył się perspektywą przyszłości. Znowu czekała go podróż. – Potem ruszam w stronę Brundisium. Tam nikt mnie nie rozpozna i będę mógł się zaciągnąć do armii Krassusa. Idziesz, bracie?

Romulus zawahał się, ale niepewność czuł tylko przez najkrótszą z chwil. Przeżyje, tylko jeśli będzie trzymał się Brennusa. Ruszył w szarości poranka za Galem. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek tu wróci. Czy jeszcze kiedyś zobaczy Julię.

## Rozdział XVIII

# Ucieczka



Południowa Italia, jesień 55 r. p.n.e.

Zostawiając swoje dotychczasowe życie w Rzymie, przyjaciele przekradli się do świcie przez miejską bramę. Najpierw ruszyli na południe przez Via Appia, drogę prowadzącą wśród grobowców, w których chowano bogatych mieszczan. O tej porze w tej okolicy kręcili się tylko nieliczni mieszkańcy okolicznych domostw i tanie dziwki lub złodzieje. Niewielu z nich miało szansę zobaczyć dwóch zbiegłych niewolników. Świadomi, że zwracają na siebie uwagę, mężczyźni za dnia schodzili z głównych szlaków, żeby zbytnio nie rzucać się w oczy. Dwóch uzbrojonych mężczyzn, którzy nie byli legionistami? Dla większości obywateli byłoby jasne, że mają do czynienia z bandytami lub zbiegłymi niewolnikami. Dlatego przez większość czasu, zazwyczaj wcześniej rano lub późnym popołudniem, poruszali się po bezdrożach. Za wszelką cenę chcieli trzymać się z dala od ludzi i unikać wszelkich gospodarstw i miast.

Krótką wizyta w kuchni *ludus* przed opuszczeniem szkoły na zawsze pozwoliła im dobrze zaopatrzyć się w chleb, ser i warzywa. Zapasów starczy im na kilka dni. Brennus zabrał swój łuk oraz kilka innych rodzajów broni, dzięki czemu mógł polować po drodze na jelenie i dziki. Obaj mężczyźni nieśli skórzane bukłaki na wodę, które napełniali regularnie w strumieniach. Jesienna aura sprawiała, że spanie pod gołym niebem nie było łatwe, ale noce spędzone pod kocami w miejscach, które dawały choć odrobinę schronienia, oraz bezchmurne niebo z tysiącami gwiazd były przyjemniejsze niż ukrzyżowanie.

W całej Kampanii i Apulii na południe od Rzymu znajdowało się mnóstwo latyfundiów, ogromnych majątków należących do bogatych Rzymian. Romulus z trudem przyzwyczajał się do bezmiaru pól pszenicy i stoków z rzędami winorośli, które ciągnęły się przez mile, z drzewkami oliwnymi i owocowymi. Nocą gaje stawały się dla nich skarbcem soczystych owoców, których wcześniej Romulus raczej rzadko próbował: jabłek, śliwek i gruszek. Za dnia z kolei jego serce przepełniała bezsilna wściekłość, gdy natykali się na niezliczone grupy wynędzniałych niewolników w kajdanach na kostkach, pracujących w pocie czoła. Każdej grupy pilnowali nadzorcy z biczami gotowymi do użycia przy okazji najmniejszej niesubordynacji.

To powtarzało się w każdym gospodarstwie, które mijali.

Romulus szybko zorientował się, że gospodarka całego kraju zależała od niewolniczej pracy. Nic dziwnego, że Rzym był tak bogaty, gdy dziesiątki tysięcy ludzi pracowało za darmo. Przyjaciele prowadzili niekończące się dyskusje. Romulus marzył o tym, żeby cofnąć czas. Wyobrażał sobie, że zabiliby Memora i rozpoczęli drugi bunt niewolników, a nie zepsuli wszystko nieszczęsną decyzją o wybraniu się do gospody należącej do Publiusza. Wciąż miał bardzo mieszane uczucia, gdy myślał o ostatniej nocy w stolicy Republiki. Dzięki temu, że wymknęli się ze szkoły, poznał Julię. Choć wiedział, że to jedynie zauroczenie, obraz dziewczyny w pamięci nadal sprawiał mocniejsze bicie jego serca. Te emocje mieszały się z poczuciem winy. Gdyby nie wybrali się wtedy na nocną eskapadę, być może maszerowaliby teraz od jednego gospodarstwa do drugiego, uwalniając niewolników, zamiast przemykać się nocami jak zwierzęta.

Brennus do tej pory nie był w stanie wyobrazić sobie skali niewolnictwa. On także kipiał z gniewu. Na trasie przemarszu widzieli niewolników wszystkich ras i wyznań. Apetyt Rzymu na niewolników był nienasycony. Można go było zaspokoić, tylko prowadząc niekończące się wojny, a unicestwienie Allobrogów nie



wydawało się w tej perspektywie niczym wyjątkowym. Kończąc temat latyfundiów w Italii, Brennus uznał, że pracujący tam niewolnicy musieli cierpieć równie mocno jak on. Uważał, że to, co widział, było odrażające, ale czuł się bezsilny. Nie mógł tego zmienić. Nie był Spartakusem. Wojownikiem – jak najbardziej. Ale nie wodzem. Wcześniej czasami czuł się winny, że nie próbuje uciec z *ludus*, ale teraz to nie miało znaczenia. Może wywołana przez nich rebelia zakończyłaby się powodzeniem. Ale bardziej prawdopodobne jest to, że nic by z niej nie wyszło. I czy w takiej sytuacji słowa Ultana miałyby jakiś sens – gdyby walczył z Rzymianami w różnych zakątkach półwyspu?

*Czeka cię wyprawa do miejsc, do których nigdy nie dotarł żaden z Allobrogów.* To zdanie stało się mantrą Brennusa. Wszystko, co przeżył do tej pory, bladeło w tej perspektywie. Tylko widząc spełniające się proroctwo druida, mógł jakoś wytłumaczyć swoją decyzję o rezygnacji z walki w odróżnieniu od podjęcia samobójczej walki z Rzymianami, którzy spalili jego wioskę sześć lat wcześniej.

Zbiegowie pokonali prawie trzysta mil w czasie krótszym niż dwadzieścia dni. Mieli mnóstwo czasu na przemyślenia.

Widząc, jak bardzo zwiększyła się populacja niewolników w Rzymie, obaj czuli przemożną chęć pozbycia się wszelkich wspomnień z czasów własnej niewoli. Wypalone znaki właścicieli były trwałymi dowodami ich statusu i gdyby ktoś je odkrył w wojsku, oznaczałyby natychmiastowy wyrok śmierci. Po krótkiej wymianie zdań zgodzili się, że rozwiązanie może być tylko jedno. Znaleźli mały gaj wśród wzgórz w pobliżu Brundisium. Brennus rozpałił ognisko i zajął się ostrzeniem sztyletu tak, że można nim się było golić. Zaproponował Romulusowi, żeby zagryzł kawałek drewna, po czym opalił ostrze sztyletu nad płomieniami i usunął kilkoma zręcznymi cięciami kawałek skóry ze znieawidzonymi literami *LM*. Krew spływała małymi strumieniami z ramienia chłopaka prosto na ziemię. Wybałuszając oczy z bólu, Romulus patrzył, jak Gal zszywa brzegi rany za pomocą żelaznej igły i nitki jelita, wyciągniętej z zapasowej cięciwy łuku.

Brennus uśmiechnął się pod nosem.

– Może szew nie jest zbyt ładny, ale ujdzie... Przez jakiś czas powinieneś ukrywać ranę. A gdy ktoś o nią zapyta, mów, że to blizna od miecza.

Szew wykonany niewprawioną ręką pozostawi nierówną bliznę, nieprzypominającą schłodnej pracy greckich lekarzy w Rzymie, opłacanych przez bogatych wyzwolenców, którzy pragną usunąć ślady po swoich znamionach. Romulus nie martwił się blizną. Dowód tego, że jest własnością Memora, zniknął na

zawsze. Jednak gdy chłopak chwilę później wyciągnął swój nóż i wskazał na nogę Gala, ten go powstrzymał.

– Nie możemy obaj mieć świeżo zszytej rany. Mój znak trzeba wypalić. Kawałki płonącego drewna często wypadają z ogniska.

Romulus zaprotestował, choć wiedział, że jego przyjaciel ma rację. Zbiegli niewolnicy nie mogli liczyć na litość. Aby uniknąć podejrzeń, musieli się postarać. Romulus wsadził sztylet do ognia. Gdy jego ostrze rozpało się do czerwoności, zagryzł zęby i przycisnął go do łydki Brennusa. Jego nozdrza natychmiast wypełnił zapach płonących włosów i przypalanego ciała.

Potężny Gal skrzywił się z bólu, pozwalając, aby to cierpienie oczyściło go z przykrych wspomnień niewolnictwa.

– Zostaniemy tu jakiś czas – oznajmił z uśmiechem. – Poczekamy, aż rany się zabliznią, i trochę odpoczniemy. Potem pójdziemy do portu.

Jego dobry humor był zaraźliwy i Romulus również się uśmiechnął.

Musieli trochę pocierpieć, ale teraz przynajmniej naprawdę byli wolni.

Port w Brundisium aż huczał od gwaru i krzątania. Choć miasto zaliczało się do tych większych, przybycie armii Krassusa zmieniło go w prawdziwe mrowisko. Wąskie mola zapełniały tysiące żołnierzy, tony sprzętu i broni, które miały trafić na pokłady okrętów zmierzających do Azji Mniejszej. Las masztów ciągnął się aż po horyzont. Dziesiątki stojących burta w burtę trirem delikatnie bujało się na łagodnych falach. Wszędzie było pełno marynarzy, przeklinających niezdarność pasażerów okrętowanych na ich okręty.

Zaniepokojone muły głośno ryczały, gdy zmuszano je do pokonywania drewnianych kładek z molo na pokład. Oficerowie wykrzykiwali rozkazy i pilnowali porządku w szeregach żołnierzy. Pomiędzy jednostkami biegali posłańcy z wiadomościami.

Romulusowi i Brennusowi udało się wreszcie przebić przez ciżbę i znaleźć kogoś, kto mógł przyjąć ich w szeregi armii. Znaleźli prowizoryczne biuro werbunkowe, przygotowane na stosie worków z mąką. Za nimi stał starszy centurion, który w przerwach pomiędzy rozmowami wrzeszczał na nowych rekrutów.

Gdy stanęła przed nim dwójka wyglądająca na zwykłych włóczęgów, przewiercił ich sondującym wzrokiem.

– Rolnicy, tak?

– Tak jest, proszę pana.

Romulus milczał, przyglądając się *phalerae*, wiszącym poniżej uformowanego na kształt umięśnionej klatki piersiowej skórzanego pancerza, i srebrnemu łańcuchowi na szyi. To musiał być odważny człowiek.

– Dobrze uzbrojeni, prawda? – mężczyzna wskazał na ciężkie włócznie, łuk, miecze i sztylety oraz dobrze wykonane tarcze.

– Pochodzimy z Galii Zaalpejskiej, proszę pana – wyjaśnił Brennus. – Łatwo tam natknąć się na bandy oprychów i od małego uczymy się posługiwać bronią.

– Hm... Tak sobie właśnie pomyślałem, że jesteś Galem – oficer spojrzał na Brennusa, oceniając jego mięśnie i blizny na ramionach. – Dlaczego wybraliście się do Brundisium?

– Wielki generał prowadzi armię do Jerozolimy. Powiedziano nam, że można się nieźle obłowić na łupach.

– Tak mówią wszyscy nowi rekruci – centurion podrapał się po krótkim siwym zaroście, taksując Brennusa wzrokiem od stóp do głów. – Nie jesteście zbiegłymi niewolnikami?

– Nie, proszę pana – na twarzy Gala nie drgnął żaden mięsień. Romulus zachował równie kamienną twarz. Obaj mężczyźni ścięli tego ranka włosy na modłę rzymskich legionistów.

– Niewolnikom w żadnym wypadku nie wolno służyć w armii. To przestępstwo zagrożone karą śmierci. Rozumiesz?

– Jesteśmy wolnymi ludźmi – oficer chrząknął, zerkając na cielecą skórę leżącą przed nim. – A chłopak?

– Walczy lepiej niż większość dorosłych mężczyzn, proszę pana.

– Na Jowisza! Naprawdę?

– Sam go uczyłem.

– Trochę za młody, ale widzę, że wzrostem nie ustępuje innym żołnierzom – centurion podał Brennusowi rysik. – Zaciągacie się na minimum trzy lata. Jeśli zostanieie w armii dwadzieścia lat, otrzymacie rzymskie obywatelstwo. Żołd wynosi sto denarów rocznie, wypłacanych co cztery miesiące w równych ratach.

– W zależności od sytuacji, panie? – Romulus odezwał się po raz pierwszy, naśladowując nietypowy akcent Brennusa najlepiej, jak potrafił.

– Jeśli będziemy w samym środku cholernej wojny, nikt nie zapłaci!

– Sto denarów? – Romulus popatrzył na swojego przyjaciela z niedowierzaniem. Mieszek z wygraną za walkę zorganizowaną przez Pompejusza zawierał pięć razy

więcej pieniędzy.

Brennus zmarszczył brwi.

Centurion roześmiał się, opacznie interpretując zachowanie mężczyzn.

– To dużo pieniędzy – powiedział. – Publiusz, syn Krassusa, jest hojnym człowiekiem. Chce, żeby jego jazdę wspierała najlepsza piechota.

Romulus wyszczerzył zęby, robiąc mało poważną minę, jakby dopiero teraz zrozumiał. W końcu przecież nie zaciągają się do armii Krassusa dla pieniędzy.

– Sami zajmujecie się swoją bronią i ubraniami. Koszty specjalnego sprzętu, żywności i pochówku odejmuje się od wynagrodzenia. I kiedy mówię, że macie coś zrobić, macie to zrobić tak szybko, jak to możliwe! W przeciwnym razie odczujecie mój gniew na swoich plecach – uderzył worki z mąką utrzymaną w dłoniach *virga*. – Dowodzę kohortą, ale jestem też waszym centurionem! Jasne?

Skinęli głową.

Oficer postukał pergamin sękatym palcem wskazującym.

– Podpiszcie się tutaj.

Przyjaciele spojrzeli na siebie i chwilę patrzyli sobie w oczy. Gdy się podpiszą, nie będzie już odwrotu. Brennus chwycił rysik w ogromną dłoń i wzruszył ramionami, po czym złożył swój podpis. Romulus poszedł w jego ślady.

– Dobrze! – po twarzy centuriona przemknął uśmiech.

– Stajecie się moimi bezpośrednimi podwładnymi. Jak się nazywacie?

– Brennus. A to jest Romulus.

– Romulus? – zapytał centurion z zainteresowaniem. – Dobre italskie imię. Kim był twój ojciec?

– Rzymskim legionistą, dowódcą – Romulus jakoś nie wpadł na inne wyjaśnienie. – Matka chciała uczcić jego pamięć.

– Jest w tobie coś rzymskiego. Powinieneś mieć też zapal prawdziwego wojownika – wydawało się, że był zadowolony z odpowiedzi. – Możecie nazywać mnie starszym centurionem. Mam na imię Bassiusz. Poczekajcie tam z resztą kohorty.

– Kiedy wyruszamy, starszy centurionie?

– Dziś w nocy. Generał bardzo spieszy się, aby rozpocząć kampanię.

Romulus wpatrywał się w port Brundisium, teraz ledwo widoczny przez pomarańczowożółtą mgłę. Słońce już prawie zaszło, a morze zmieniło kolor

z jasnego błękitu na mocno niebieski. Delikatny wietrzyk popychał jednostki rzymskiej floty z dala od brzegu. W zapadającym zmierzchu widzieli inne triremy, towarzyszące tej, na której się zaokrętowali. Dziesiątki długich drewnianych wiosel gładko zanurzały się w spokojną toń z cichym sykiem.

Trirema „Achilles” była typową, niską rzymską jednostką z jednym żaglem i trzema rzędami wiosel oraz brązowym taranem na dziobie. Jedynymi wyróżniającymi się na płaskim pokładzie elementami była kapitańska kajuta na rufie i katapulty do ostrzeliwania wrogich okrętów.

– To był dobry wybór! – Brennus splunął za burtę. – Te dranie już nas tu nie znajdą.

– Kiedy wrócimy do Italii?

– Za kilka lat. Zabójstwo arystokraty szybko nie zostanie zapomniane.

Romulus skrzywił się na tę perspektywę. Myśli o rodzinie, Celiuszu i Julii nie opuszczały go w czasie marszu na południe, ale będzie musiał jakoś wygnać je ze swojego umysłu. Martwienie się o sprawy, które były zupełnie poza jego kontrolą, nie miało żadnego sensu.

– Powinniśmy byli zostać w *ludus* tamtej nocy.

– Może masz rację – Brennus spojrzął na wschód niewidzącymi oczyma – ale to bogowie chcieli, żeby stało się to, co się stało. Czuję to w kościach.

Romulus podążył za jego wzrokiem. Horyzont zniknął w mroku ciemniejącego nieba i powierzchni czarnego już morza. Nie dało się dostrzec miejsca, w którym stykały się te dwie sfery. Dalej czekało na nich nieznanne. Świat, który do tej pory był dla chłopaka tajemnicą. Nigdy nie sądził, że go zobaczy. Teraz jednak wszystko wydawało się możliwe.

Wrócił myślami do teraźniejszości i wzdrygnął się.

– Co się stanie z Astorią? – na twarzy Gala pojawił się smutek.

– Sekstus obiecał ją chronić i jeśli bogowie będą łaskawi, spotkamy się znowu. Nie mogę uniknąć swojego przeznaczenia. Mogliśmy tylko uciekać. Astoria to wie.

Ich pożegnanie było krótkie. Bardzo krótkie. Gdy Brennus chciał zostać jeszcze chwilę dłużej, Nubijka pocałowała go delikatnie i popchnęła w kierunku drzwi. Wiedziała, ile znaczący dla Brennusa słowa Ultana.

– Idź za swoim przeznaczeniem – wyszeptała.

Brennus westchnął ciężko.

Romulus wiedział, jak się czuje jego przyjaciel.

Skutki tamtej bójki z arystokratami okazały się fatalne dla obu. Życie Brennusa jako mistrza gladiatorów skończyło się. Stracił swoją kobietę. Romulus był ścigany za morderstwo, ale obaj musieli uciekać przed wymiarem sprawiedliwości. Jeśli Astorii nie udało się przekazać Julii wiadomości, gdy Romulus nie pojawił się nad ranem, dziewczyna pewnie uznała, że nie różni się od pozostałych mężczyzn i nie można mu ufać. O planach wywołania buntu niewolników można było zapomnieć i choć był wolny, to możliwość zobaczenia jeszcze kiedykolwiek swojej rodziny wydawała się mało prawdopodobna, nie mówiąc już o ratowaniu kogokolwiek. Zamiast tego płynął na Wschód jako jeden z żołnierzy armii Krassusa.

To oznaczało, że Gemellus pozostanie bezkarny.

Znow zaczął analizować ciąg wydarzeń, które sprawiły, że znaleźli się na pokładzie „Achillesa”. Gdyby tylko nie opuścili *ludus!* Gdyby tylko nie zatrzymali się akurat przed Lupanarem! Gdyby nie zabił nobila...

Jednak stało się to, co się stało.

Romulus wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Podobnie jak Brennusowi, pozostało mu jedynie pokładać ufność w bogach. Musi wierzyć w opatrność Jowisza. Największego i najlepszego z bogów. Tylko on może coś poradzić.

– Refować żagiel! – drugi oficer, doświadczony *optio*, ryknął na marynarzy. Rzymskie okręty nigdy nie korzystały z żagli w nocy, ograniczając się do siły wiosła.

Marynarze natychmiast zajęli się wykonaniem rozkazu, ciągnąc fały i zbierając ciężką tkaninę żagla na rei. Gdy sprawnie sklarowano żagiel, *optio* przespacerował się po spalonym słońcem pokładzie, sprawdzając, czy katapulty zostały dobrze przymocowane i czy zabezpieczono wszystkie luźne elementy wyposażenia.

Spod pokładu dobiegało niskie dudnienie bębna. Od wybijanego tempa zależała szybkość wiosłowania. Kierowany ciekawością Romulus zbadał już ciasne pomieszczenia żołnierzy na pokładzie zbrojowni i klaustrofobiczny pokład wiosła, gdzie dwustu mężczyzn przesiadywało dzień i noc na wąskich drewnianych ławkach. Wzdrygnął się na myśl o gorącym, nieświeżym powietrzu wdychanym w zamkniętym pomieszczeniu. Ludzie przy wiosłach byli karmieni znacznie lepiej niż żołnierze, ale jego zdaniem ta zaleta nie wynagradzała wszystkich niedogodności związanych ze służbą wiosłarzy. Chociaż byli lepiej opłacani, wykonywali ciężką pracę fizyczną, powtarzalną do bólu. A jeśli trirema tonęła, ci, którzy znajdowali się pod pokładem, musieli liczyć się z bardzo realnym ryzykiem pójścia na dno razem z okrętem.

Zdarzało się także, że zwykłych niewolników wysyłano na galery.

Wolność, jaką Romulus jeszcze nie zdążył się nacieszyć, nagle zdała mu się bardzo ulotna.

– Nikt nas nie znajdzie, prawda? – szepnęła do Brennusa.

Uśmiechnięty Gal objął się ramionami.

– Teraz służymy w legionach. Dopóki możemy walczyć, nikogo nie będzie obchodzić, kim jesteśmy.

Romulus spojrział na dowódcę, który rozmawiał akurat z innym centurionem i kapitanem „Achillesa”. Od razu poczuł dużą sympatię do Bassiusza, któremu trudno było zachować opanowanie w czasie ćwiczeń nowych rekrutów. Niewielu ludzi w nowym zaciągu było obeznanym z bronią, chociaż wydawało się, że cieszą się nowym życiem, tym, że mogą siedzieć na bujającym się pokładzie. Nic dziwnego, że starszy oficer wybrał jego i Brennusa do swojej kohorty. Dwie centurie zaokrętowane na triremie – stu sześćdziesięciu mężczyzn – składały się głównie z galijskich rolników, noszących zużyte tuniki oraz postrzępione spodnie i uzbrojonych w różnego typu długie miecze, włócznie i sztylety. Reszta kohorty Bassiusza, której zdążył się przyjrzeć przed wyruszeniem z portu, wyglądała podobnie. Postawa centuriona, to znaczy jego brak zainteresowania statusem dwóch nowych rekrutów, teraz zdawała się zrozumiała. Jeśli nie liczyć marynarzy, gladiatorzy byli właściwie jedynymi prawdziwymi wojownikami na pokładzie.

Ponieważ Krassus potrzebował tysięcy żołnierzy, praktycznie każdy sprawny fizycznie człowiek, który wyraził gotowość zaciągnięcia się do armii, mógł liczyć na to, że nie będzie odesłany z kwitkiem. Liczne rzesze bezrolnych poszukiwały pracy. Były to często ofiary kampanii Cezara w Galii. Całe plemiona straciły tam przecież swoje ziemie. Wieści o rozpoczynanej przez Krassusa wyprawie musiały pokonać wiele mil, bo do Brundisium docierali nawet Galowie.

Jako że pod pokładem było nieco cieplej, wielu ludzi zdecydowało się właśnie tam szukać jakichś miejsc do spania. Na pokładzie we znaki dawała się silna, chłodna morska bryza. Romulus i Brennus znaleźli ustronne miejsce na rufie i postarali się o jako taki komfort. Owinęli się wełnianymi kocami i przeżuwali chleb i ser, kupiony wcześniej na tętniącym życiem rynku w pobliżu portu.

– Ciesz się posiłkiem – Brennus odgryzł wielki kawał sera. – Może długo będziesz musiał wspominać to ostatnie świeże jedzenie. Od teraz tylko *bucellatum* i *acetum*.

– Co?

– Nijakie w smaku suchary i kwaśne wino.

– Powinniśmy uzupełnić zapasy w Lidii, nie sądzicie?

Spojrzeli na dobrze zbudowanego mężczyznę, który nagle pojawił się tuż przy nich. Miał szczupłą twarz i długie włosy spalone przez słońce na mocny blond. Z jego prawego ucha zwisał mały złoty kolczyk, a w dłoni trzymał cienki, zakrzywiony kij.

– Nie macie nic przeciwko temu, żebym usiadł obok? – obcy był bezpośredni.

Brennus zmierzył go wzrokiem.

– Siadaj – zrobił mu trochę miejsca.

Romulus wcześniej jakoś nie zauważył tego mężczyzny w bliżej nieokreślonym wieku. Mógł mieć zarówno dwadzieścia pięć, jak i czterdzieści lat. Jego klatka piersiowa była chroniona przez niezwykle pancerz, składający się z połączonych pierścieni z brązu. Nosił *pteruges* ze skórzanymi brzegami, podobną do tych, które zakładali centurioni. Przez plecy przewieszony miał na krótkim pasku groźnie wyglądający topór bojowy z dwoma ostrzami. Na wąskim pasie umocowane było małe etui, a przy nogach mężczyzny leżał stary skórzany plecak.

– Zaciągnąłeś się niedawno?

– Co to cię obchodzi? – podejrzliwy Romulus uznał, że nie powinien ufać dopiero co poznanemu przybyszowi.

Nieznajomy odwiązał topór i usiadł z westchnieniem ulgi. Sięgnął do torby, wyjął duży kawałek suszonego mięsa wieprzowego i ostrym sztylitem odciął kilka plasterków.

– Ktoś ma ochotę?

W oczach Gala zapaliła się iskierka.

– Nie pogardzę. Dzięki. Ja jestem Brennus. To Romulus.

– A ja nazywam się Tarkwiniusz.

Romulus poczęstował nowego znajomego kawałkiem sera, który ten przyjął ze skinieniem głowy.

Brennus wskazał na żelazne ostrza topora Tarkwiniusza.

– Wygląda na diabelnie niebezpieczną broń.

– Ma swoje zalety – odparł Tarkwiniusz, z uśmiechem pocierając czule dłonią drewniane stylisko. – Założę się, że i ty nieźle poradzisz sobie w razie kłopotów.

– Owszem, jeśli będę musiał... – Brennus poklepał długi miecz, który zabrał z *ludus*. Cała trójka roześmiała się szczerze.



Posilali się w ciszy. Słońce niemal całkiem już zaszło, pozostawiając jedynie jako ślad swojego odejścia cienką czerwoną linię wzdłuż horyzontu. Wkrótce zrobi się zupełnie ciemno. Stopniowo niebo nad ich głowami wypełniało się gwiazdami.

– W czasie rejsu czekają nas straszne sztormy – odezwał się nagle Tarkwiniusz. – Dwanaście okrętów pójdzie na dno, ale ten będzie bezpieczny.

Przyjaciele popatrzyli na nowo poznanego mężczyznę z przerażeniem.

– Skąd to wiesz? – zapytał Romulus nerwowo.

– To jest zapisane w gwiazdach – jego głos był głęboki i dźwięczny, bardzo melodyjny.

*Mówi jak Ultan* – pomyślał Brennus.

Wiatr przybrał na sile i Romulus zadrżał.

– Jesteś wróżbitą?

– Kimś w tym rodzaju... Ale umiem też walczyć.

Romulus nie miał wątpliwości.

– Skąd pochodzisz?

– Z Etrurii – Tarkwiniusz wydawał się lekko nieobecny – leżącej na północ od Rzymu.

– Obywatel? – zapytał szybko Brennus. – Dlaczego nie służysz w regularnej jednostce?

Tarkwiniusz spojrzał mu w oczy i uśmiechnął się.

– Co robisz w najemnej armii Rzymu dwaj zbiegli niewolnicy?

– Mów ciszej! – syknął wielki gladiator.

Etrusk uniósł brew.

– Poza tym nie jesteśmy niewolnikami – mruknął Brennus.

– To dlaczego ten młody człowiek ma świeżą ranę na ramieniu? Dokładnie w miejscu, gdzie powinien znajdować się znak przynależności do właściciela?

Romulus szybko opuścił rękaw. Jednak było już za późno. Leżąc, pozwolił, aby szorstka tkanina jego kaftana przesunęła się nieco wyżej, odsłaniając zdradzieckie szwy.

– Zmierzając do Brundisium, wpadliśmy w zasadzkę – mruknął. – Drogi są niebezpieczne, szczególnie w nocy.

Na szczęście wydawało się, że nikt inny nie zwracał na nich uwagi. Inni żołnierze byli zajęci przygotowywaniem się do snu. Tarkwiniusz ponownie uniósł brew.

– A ja myślałem, że jesteś gladiatorem.

Tarkwiniusz popatrzył na zdziwione twarze, które powiedziały mu wszystko.

– Jestem... byłem... najlepszym zawodnikiem w Rzymie! Kupiłem naszą wolność dzięki wygranej – odparł pospiesznie Brennus.

– Skoro tak mówisz – Tarkwiniusz przebiegł palcami po złotym pierścieniu, wiszącym na łańcuszku na jego szyi. Pierścień udekorowany był małym skarabeuszem. – Zatem nie macie nic wspólnego ze śmiercią tego arystokraty? – *Olenus został pomszczony* – pomyślał z satysfakcją.

Para przyjaciół zamarła w bezruchu.

*Skąd on może o tym wiedzieć?* – zastanawiał się podenerwowany Romulus. *Nie było go tam.*

Zapadła cisza, a Gal położył dłoń na głównej rękojeści miecza.

– Nie – stwierdził krótko z kamienną twarzą.

Tym razem Tarkwiniusz nie zareagował na oczywiste kłamstwo.

– Ja nie chcę, żeby inni wiedzieli, że jestem Etruskim. Dołączyłem do kohorty jako Grek.

– Od czego uciekasz?

– Wszyscy mamy coś do ukrycia – uśmiechnął się. – Powiedzmy, że tak jak wy musiałem opuścić Italię w pośpiechu.

Rozmówcy lekko się rozluźnili.

– Mówisz po grecku? – zapytał Romulus.

– Tak. I znam wiele innych języków.

– Dlaczego mówisz nam to wszystko? – Romulus nieświadomie potarł ranę, która miała pozostać w ukryciu aż do całkowitego wygojenia się.

– To proste. Obaj wyglądacie na wojowników. Tego nie mogę powiedzieć o reszcie tej hałasty, biedakach udających żołnierzy – Tarkwiniusz kiwnął lekceważąco głową przez ramię. Galowie zdecydowanie bardziej przypominali rolników niż wojowników

Brennus spojrzał na nich taksująco.

– Bassiusz zrobi z nich żołnierzy. Widziałem gorsze przypadki.

– Być może. Ty jesteś wojownikiem – Tarkwiniusz sięgnął do plecaka i wyjął z niego małą amforę. Wyciągnął korek zębami i zaproponował Brennusowi. Gal jednak odmówił.

– Nie masz do mnie zaufania? – Tarkwiniusz spytał z rozbawieniem, po czym pociągnął potężny łyk i poczęstował Brennusa po raz kolejny. – Mamy przed sobą

długą drogę i czeka nas wiele bitew. Dlaczego miałbym próbować cię otruć?

– Przepraszam. Za mną wiele lat w *ludus* – powiedział Brennus, wyciągając rękę po amforę. – Podzieliłeś się swoim jadem i napitkiem, a ja odwdzięczam się tylko podejrzliwością. – Wyciągnął też prawą rękę.

Etrusk chwycił ją z uśmiechem, a lekkie napięcie, jakie towarzyszyło im od chwili poznania, teraz zupełnie zniknęło.

– A ty, Romulusie? – oczy wróźbity tańczyły. – Czy możemy zostać przyjaciółmi?

Romulus zastanawiał się przez chwilę nad tym, co powinien odpowiedzieć.

– Będę twoim przyjacielem, jeśli ty będziesz moim.

– Mądre słowa w ustach kogoś tak młodego! – Tarkwiniusz odrzucił głowę do tyłu i znów się roześmiał, przyciągając uwagę najbliższych Galów.

Spletli przedramiona w geście przyjaźni.

Siedzieli jakiś czas na pokładzie, ciesząc się smakiem wina Tarkwiniusza i rozmawiając o tym, co czeka ich w Azji Mniejszej. Robiło się coraz zimniej i inni rekruci już dawno zwinęli się w kłębki, aby zasnąć pod wełnianymi kocami. Ku zadowoleniu Romulusa ich etruski znajomy miał bogatą wiedzę na temat miejsca, do którego zmierzali.

– Będzie bardzo gorąco, o tym mogę was zapewnić.

– Gorzej niż w Rzymie w lecie?

– Jak w piecu piekarza podczas saturnalii. I wszędzie tylko piasek i skały.

– To i tak lepsze niż krzyż na Campus Martius – wtrącił Brennus.

– To prawda – zgodził się Tarkwiniusz.

– Ale Mezopotamia będzie przypominała Hades.

– Myślałem, że wybieramy się do Jerozolimy?

Tarkwiniusz zniżył głos.

– Niewielu jeszcze o tym wie, ale nasz dowódca ma zamiar uderzyć na Partów.

Romulus i Brennus spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Partowie żyją w Mezopotamii, na pustyniach na wschód od Judei – wyjaśnił Tarkwiniusz. – Za rzeką nazywaną Eufratem. – Udzielił im kilka krótkich informacji dotyczących geografii regionu.

Zaintrygowany Romulus chłonał nową wiedzę.

– Nie przerywaj... – Brennus również był żywo zainteresowany informacjami o krainie, ku której zmierzali.

– Rzym od jakiegoś czasu żył w pokoju z królestwem Partów, ale Krassus zamierza to zmienić.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? – zapytał Gal.

– Przed zaciągnięciem się w szeregi armii poświęciłem jagnię Tinii. Rzymianie nazywają go Jowiszem – odpowiedział Etrusk. – Z wątroby zwierzęcia odczytałem wskazówki wyraźnie mówiące o kampanii, która zaprowadzi nas do Królestwa Partów.

Brennus uznał, że nie warto podchodzić do opowieści Tarkwiniusza z dystansem. Ultan też potrafił odczytywać przyszłość z narządów zwierząt i umiał dokładnie przewidzieć wiele rzeczy – w tym także zagładę swojego plemienia. Zadrzał, przypominając sobie ostatnie słowa druida.

– Tylko po co Krassus miałby to robić? – zapytał Gal.

– To proste! W stolicy królestwa, Seleucji, zgromadzono niezmierzone bogactwa.

– Ale Krassus i tak jest już najbogatszym człowiekiem w Rzymie – stwierdził Romulus. Widział to na własne oczy.

– Pieniądze to nie jedyna rzecz, na której zależy Krassusowi. Ma już dość wysłuchiwania o zwycięstwach Pompejusza i Cezara. Udana kampania militarna jest jedynym sposobem, aby zasłużyć na triumf – Etrusk zaśmiał się w ciemności. – Chodzi o popularność wśród obywateli. Władzę w senacie i wpływy wśród ekwitów. Tylko to się liczy w Rzymie.

Aż do tej chwili Romulus jakoś specjalnie nie był świadomy roli polityki w Rzymie i rywalizacji między członkami klas rządzących, ale też nie miało to dla niego żadnego znaczenia, gdy był niewolnikiem. Życie stanowiło dla niego ciągłą walkę o przetrwanie i nie dawało mu czasu na zastanawianie się nad głębszym znaczeniem niektórych wydarzeń i nad tym, kto ma jakie wpływy. Jednak uznał, że słowa Tarkwiniusza układają się w sensowną całość – arystokraci zdecydowali o losach kampanii, podobnie jak opłacali walki gladiatorów.

Nie podobało mu się to. A myślał, że są wolni!

– Więc to jest tylko kolejna awantura sprowokowana przez agresywny Rzym – w głosie Brennusa można było wyczuć gniew. – Czy oni nigdy nie będą mieli dość?

– Nie, dopóki nie podbiją całego świata – odpowiedział Tarkwiniusz, który wpatrywał się zamyślony w gwiazdy. – Prawie cztery wieki minęły od czasu, gdy moi ludzie zostali unicestwieni. I mimo to wciąż ich oplakuję – szepnął Tarkwiniusz. – Czuję to samo co ty, po tym, jak twoje plemię przestało istnieć.

Na twarzy Brennusa pojawił się gniew.

Etrusk uniósł obie ręce z dłońmi skierowanymi w stronę Gala.

– Byłem jakiś czas temu w Galii Zaalpejskiej. Słyszałem o ostatniej bitwie Allobrogów. Mówiono, że zginęły tysiące Rzymian.

W miejscu złości pojawiła się duma.

– Dlaczego myślisz, że jestem Allobrogiem?

Tarkwiniusz uśmiechnął się.

– Niewiele na to wskazuje. Do niedawna miałeś zaplecione warkoczyki. Długi miecz. Sposób wyrażania się.

Gał wybuchnął śmiechem i Romulus wreszcie się rozluźnił.

Belki pokładu skrzypiały delikatnie, gdy „Achilles” rozcinał dziobem gładką taflę morza.

Romulus rzadko zastanawiał się nad tym, że Rzymianie odpowiadają za cierpienia innych ludów. Uświadomił sobie to dopiero teraz, gdy widział emocje rysujące się na twarzy Brennusa. Ci wojownicy wszelkich ras w *ludus* byli tam, gdyż Republika lubowała się w wojnach. Zarówno przodkowie Tarkwiniusza, jak i współplemieńcy Brennusa zostali zmasakrowani, ponieważ Republika pragnęła ich bogactwa i ziemi. Rzym był imperium, które powstało na fundamencie wojny i niewolnictwa. Romulus nagle poczuł, że powinien wstydzić się swojej krwi.

– Niektóre nacje są przeznaczone do wielkości i zdominowania innych i nie cofają się przed niczym, aby to osiągnąć. Jedną z nich są Rzymianie – powiedział Tarkwiniusz, jakby czytając w jego myślach. – To nie sprawia, że stajesz się osobiście odpowiedzialny za ich czyny.

Romulus westchnął, przypominając sobie tyrady Gemellusa, który narzekał na to, że podstawowe idee Republiki zostały już dawno zapomniane. Dla arystokratów, takich jak Pompejusz, Krassus i Cezar, liczyło się wyłącznie zachowanie władzy. Za ich bogactwo płaciły krwią proste kobiety i niewolnicy. To był niepokojący wniosek. Romulus złożył sobie solenną obietnicę, że gdy skończy się kampania, nigdy już nie stanie się trybikiem w maszynie rzymskiego systemu.

– Wszystko, co się dzieje, zostało wcześniej zapisane. Etruria upadła, gdy nadszedł jej czas. Teraz rozrasta się rzymskie imperium.

– Nic nie dzieje się przypadkowo? – zapytał Romulus.

– Nic – odpowiedział Tarkwiniusz pewnie. – Nawet to, że zostaliście z siostrą sprzedani, nie jest przypadkiem. Ani ta podróż. Ani twoja przyszłość.

Włosy na karku Romulusa stanęły dęba.

– Skąd wiesz o Fabioli?

Etrusk jednak nie zamierzał odpowiadać na to pytanie, bo dalej perorował z przekonaniem.

– I przez cały czas świat wciąż się kręci. A my po prostu poddajemy się jego wirowaniu.

– Każdy głupiec wie, że świat jest płaski! – wtrącił Brennus.

– Nie. Wiecie dużo, ale świat jest okrągły, a nie płaski. Właśnie dzięki temu możemy podróżować dookoła świata, nie spadając z niego.

Gal był zaskoczony.

– Skąd ta wiedza?

– Spędziłem wiele lat mojego dzieciństwa, ucząc się od wielkiego mistrza Olenusa Aesara – Tarkwiniusz ukłonił się, wspominając swojego mentora.

Usatysfakcjonowany tą odpowiedzią Brennus również skinął głową z szacunkiem. Sekrety druidów Ultan również poznawał od swojego poprzednika. Być może Tarkwiniusz będzie mógł rzucić trochę światła na proroctwo starca?

– Chcę uczyć się takich rzeczy – powiedział Romulus z niecierpliwością.

– Wszystkiego się dowiesz – Etrusk położył się na pokładzie, żeby wyprostować nogi. – Umiesz czytać i pisać?

Romulus się zawahał.

– Nie – przyznał po chwili.

– Ja cię nauczę.

Chłopak aż palił się, żeby zadać więcej pytań, ale Tarkwiniusz odwrócił głowę i zaczął przyglądać się nocnemu niebu. Romulus również ułożył się w końcu na kocu, ciesząc się chłodnym wiatrem, muskającym jego skórę. Rewelacje nowego przyjaciela naprawdę były niesamowite. Nikt na pokładzie „Achillesa” wcześniej nie znał ich, a Tarkwiniusz wiedział i o istnieniu Fabioli, i znał historię plemienia Gala. Co więcej, wydawało się, że wie, co stało pod Lupanarem. Poza tymi zdolnościami mistycznymi Etrusk potrafił też czytać i pisać! To były naprawdę rzadkie talenty.

Nauczenie się tego, jak używać rysika, będzie pierwszym krokiem Romulusa w kierunku prawdziwej wolności. Jego wątpliwości dotyczące opuszczenia Italii zaczęły zniknąć. Z dwójką przyjaciół, takich jak Brennus i Tarkwiniusz, nie będzie musiał bać się o swoją przyszłość.

Gal chrapał już głośno w ciemności, odpłynąwszy do krainy snu. Ten hałas długo nie pozwalał Romulusowi zasnąć.

- Tarkwiniuszu? – szepnęła. Chętnie porozmawiałyby o tych wszystkich dziwach.
- Słucham?
- Ty wiesz, skąd pochodzimy. Znasz naszą historię. Wiesz, że zabiłem Celiusza – pomyślał z drżeniem.
- Nie wiem wszystkiego, ale rozumiem, co chcesz powiedzieć.
- Powiedz, co sam ukrywasz – mimo że było już ciemno, choć oko wykol, Romulus czuł na sobie spojrzenie Etruska.
- Któryś dnia wszystkiego się dowiesz. Jeszcze nie teraz.
- Chociaż zżerała go ciekawość, Romulus poczuł, że w odpowiedzi Tarkwiniusza jest jakaś nuta ostateczności. Zamknął oczy i zasnął.

Minęło kilka dni i rzymska flotylla rzeczywiście znalazła się w strefie potężnego sztormu, który zatopił kilkanaście trirem, a resztę podzielił i rozproszył na rozległych obszarach. Setki legionistów i marynarzy utonęło, ale „Achilles” nie odniósł żadnych większych obrażeń. Tarkwiniusz ani razu nie nawiązał do swojej przepowiedni, ale Brennus zaczął patrzeć na swojego nowego przyjaciela z podziwem. Przywykły do opowieści o nieuczciwych wróżbitach w świątyniach Romulus nie był jednak przekonany. Przecież była jesień. Czas sztormów.

Niezależnie od prawdziwych przyczyn złej pogody trzeba było przyznać, że sztorm nie mógł być uważany za pomyślny znak, mogący zapowiadać przyszły sukces kampanii Krassusa. A ludzie z różnych okrętów zaczęli komentować ostatnie wydarzenia, mówiąc raczej o pechu. Tarkwiniusz nie niepokoił się tymi pogłoskami, co uspokajało Brennusa. Gdy pogoda się poprawiła, nic więcej nie martwiło przesądnych żołnierzy i Romulus szybko zapomniał o przepowiedni Etruska.

Flota mijiała setki wysp u wybrzeży Grecji. Jako że triremy nie były jednostkami pełnomorskimi – to znaczy zwykle nie spędzały więcej niż dwa lub trzy dni na otwartych wodach – trzymały się brzegów. Wysokie umiejętności Rzymian w zakresie prowadzenia wojny na lądzie nie przekładały się na ich doskonałe umiejętności techniczne w zakresie budownictwa okrętowego. Triremy budowano z myślą o tym, aby żeglowały wzdłuż wybrzeży kontrolowanych przez Republikę i pomagały w utrzymaniu pokoju – *pax Romanum*.

Po zapadnięciu zmroku flotylla rzucała kotwicę w jakiejś zatoczce, żeby wyczerpani wiosłarze mogli odpocząć. Uzbrojone oddziały wyruszały na ląd w celu uzupełnienia zapasów wody z rzek i strumieni. Jedzenie było takie, jak przewidział Brennus – twarde suchary *buccellum* i kwaśne wino. Niewielu nowych żołnierzy

narzekają. Byli zadowoleni choćby tylko z tego, że ktoś karmił ich dwa razy dziennie.

Wiele razy Romulus miał okazję obserwować plaże zarzucone elementami spalonych szkieletów statków, co świadczyło o tym, jak bezwzględnie Pompejusz obszedł się z cylicyjskimi piratami, którzy przez wiele dziesięcioleci atakowali morskie szlaki handlowe i przyczynili się do wielkich strat poniesionych przez Republikę. Dziesięć lat temu Pompejusz zmusił renegatów do wycofania się na morza wschodniej części *Mare Nostrum*, po czym rozbił ich flotę jednym potężnym uderzeniem. Ta wiktoria przyniosła mu ogromną popularność.

Ci, którzy przetrwali ten pogrom, pojawiali się od czasu do czasu w tych rejonach, ale nigdy nie odważyli się atakować przeważających liczebnie grup rzymskich okrętów. Któregoś dnia Romulus i jego towarzysze dojrzelili kilka smukłych, niebezpiecznych jednostek w ujściu rzeki, zaledwie kilkaset stóp od okrętu, którym podróżowali. Ciemnoskórzy mężczyźni przyglądali się ze strachem w oczach ich armadzie.

Nie doszło jednak do bitwy, ponieważ kapitanowie jednostek Krassusa otrzymali jasne rozkazy. Nie miało być żadnych opóźnień.

Brennus wyciągnął swój miecz i zamachał.

– Chodźcie tu i walczcie!

– Oni żerują na słabszych – stwierdził Tarkwiniusz. – Nie zaatakują floty z tysiącami żołnierzy na pokładach.

– Tyle czasu minęło już od ostatniej walki!

Etrusk skierował wzrok z powrotem na piratów.

Bassiusz usłyszał ten wybuch i zbliżył się do nich, sądząc, że powinien zainterweniować.

– Poczekaj. Bardzo szybko doczekasz się tylu walk, ile potrzebujesz. A teraz się uspokój.

– Tak jest, starszy centurionie – Gal stracił rezon.

– Chodź, Brennusie – Romulus wiedział, że ma uspokajający wpływ na swojego przyjaciela. – Pokaż mi te ruchy, o których mówiłeś. Prosimy o zgodę na rozpoczęcie ćwiczeń, starszy centurionie.

Bassiusz wiedział, że dwóch jego najlepszych żołnierzy strasznie nudziło się podczas tej podróży.

– Tylko nie chcę żadnych obrażeń – powiedział szorstko. – Osłońcie ostrza.



Przyjaciele czym prędzej wykonali polecenie. W pobliżu pojawiła się grupka rekrutów, którzy wyczuli, że coś się będzie dziać. Szybko otoczyli okręgiem uzbrojoną parę. Romulus i Brennus ćwiczyli walkę codziennie rano i teraz wszyscy wiedzieli już, że byli wyszkolonymi wojownikami. Zresztą obaj mężczyźni pomagali Bassiuszowi, gdy ten ćwiczył z kilkoma rekrutami podstawowe techniki walki na miecze.

Brennus przykucnął, krzywiąc się.

– Chyba muszę skrócić trochę ten nos, który tak zadzierasza.

Romulus wskazał na brzuch Gala.

– Obrastasz w tłuszcz przez to byczenie się na pokładzie!

Uśmiechnięty Gal uniósł swój długi miecz, którego śmiercionośne ostrze teraz zostało pokryte skórą.

Romulus zbliżał się do niego powoli, pewnie stawiając bose stopy na chyboczącym się lekko pokładzie.

Obserwując walkę Brennusa z jego młodszym protegowanym, Tarkwiniusz uśmiechał się pod nosem. Przez wiele lat nie mógł nikomu ufać, aż ta para uciekinierów stała się jego dobrymi przyjaciółmi.

Od czasu spotkania tej dwójki wiele razy wracały do niego słowa Olenusa: *Morska wyprawa do Lidii. Tam dwaj gladiatorzy zostaną twoimi przyjaciółmi.*

– Myliłeś się, Olenusie. Na razie tylko raz – wyszeptał Etrusk w dziwnym tonie. – Spotkałem ich w drodze. A nie dopiero po dotarciu na miejsce.

Armada Krassusa odpłynęła setki mil od wybrzeży Italii, docierając w końcu na akweny otaczające Azję Mniejszą, gdzie weszła na szerokie, płytkie, dziewicze wody zatoki, wypełniając je od końca do końca lasem masztów. Jak okiem sięgnąć, ciągnęła się długa plaża. Za nią wznosiły się nieco mniej zachęcające wzniesienia w kolorze spalonej ochry. Słońce wisiało na bezchmurnym, bezwietrznym nieboskłonie, siekąc swoimi promieniami opalonych już w czasie długiej podróży żołnierzy i marynarzy. W krystalicznie czystej wodzie poniżej burt „Achillesa” Romulus mógł obserwować ryby kręcące się w pobliżu dużego, okrągłego kamienia kotwicy.

Na brzeg wysłano wcześniej grupę legionistów, którzy mieli zabezpieczyć desant. Przez następne dwa dni panował kontrolowany chaos organizacyjny, gdy tysiące żołnierzy schodziło na ląd, przenosząc w rękach tony sprzętu i żywności. Tylko muły, jak zwykle narzekające głośno i źle, popłynęły w stronę plaży

nieprzymuszane.

Żeby dotrzeć na ląd, nieregularne oddziały Bassiusza musiały przedzierać się przez fale po dnie w wodzie sięgającej piersi. Nieumiejący pływać Romulus, Brennus i inni rekruci brodzili po wodzie w kierunku plaży, podczas gdy Tarkwiniusz unosił się pewnie, opływając ich ze śmiechem. Gdy dotarł na piasek, Etrusk zarzucił swoje długie włosy do tyłu, wyciskając z nich dłońmi nadmiar wody. W tym momencie Romulus zauważył czerwony trójkątny znak na jego szyi.

Tarkwiniusz przekreślił się i pozwolił, żeby jego blond loki przykryły to miejsce.

– Co to jest?

– Tylko moje znamię.

– Ma nietypowy kształt.

Ignorując chłopaka, Tarkwiniusz przykucnął i zaczął porządkować rzeczy, które umieścił w świńskim pęcherzu, zanim wskoczył do wody z pokładu „Achillesa”.

Romulus był zaintrygowany, ale w żaden sposób nie mógł wymusić na Tarkwiniuszu odpowiedzi na nurtujące go pytania. Bassiusz już wykrzykiwał rozkazy, próbując zorganizować swoich ludzi w kolumnę do wymarszu.

Krassus obserwował desant ze wzniesienia w pobliżu brzegu. Jego ludzie ustawili szybko specjalny pawilon, dzięki któremu mógł pracować w znośnych warunkach, ale legionieści musieli znosić wysokie temperatury pod otwartym niebem. Pawilon szybko wyposażono w dywany, stoły, łóżka i podzielono na pomieszczenia. Pokryty skórą namiot miał służyć jako centrum dowodzenia na czas trwania kampanii. Znalazło się nawet miejsce dla kilku prostytutek, sprowadzonych przez jego syna Publiusza specjalnie dla umilenia czasu wyższym oficerom.

Na ziemi osadzono tyczkę z czerwoną flagą zwaną *vexillum*, dzięki której każdy żołnierz znał pozycję Krassusa. Specjalnie dobrani legionieści pełnili przy niej straż dzień i noc, a w pobliżu zgromadzono posłańców i trębaczy, którzy mieli pomagać w przekazywaniu rozkazów podległym oddziałom.

Bassiusz dowodził jedną kohortą, składającą się z sześciu centurii nieregularnych oddziałów pomocniczych. Dziesięć kohort wspomagało działania armii regularnej, a jednostka starego centuriona została wcielona do Legionu VI. Gdy wszyscy mężczyźni stanęli już pewnie na suchym lądzie, Bassiusz pohukiwał i krzyczał, aby natychmiast zajęli swoje pozycje. Legion VI już na nich czekał. Kohorty stały karnie jedna za drugą.

– Ruszać się! – Bassiusz przeklinał niechlujstwo swoich czterystu osiemdziesięciu rekrutów. Razem z innymi centurionami szkolił ich jeszcze na

pokładzie, ale okazało się, że ciągle jeszcze wiele im brakowało. – Na Jowisza! Prawdziwi żołnierze się z was śmieją!

Gdy najemnicy wreszcie ustawili się na pozycjach, zagrały trąbki, a pierwsze szeregi rozpoczęły marsz za kohortami legionu. Kilka tygodni wcześniej na tej samej plaży wylądowały cztery inne legiony. W pewnej odległości od plaży żołnierze wzniesli tymczasowe obozy. Legion VI nie musiał maszerować zbyt długo, żeby się do nich dostać. Forty na planie kwadratu osłaniały wały ziemne wyższe od wzrostu mężczyzn. Ziemia wykorzystywana do wzniesienia wałów pochodziła z głębokich rowów, biegnących wokół obwodu fortu. W narożnikach ustawiono wysokie drewniane wieże strażnicze, obsadzone żołnierzami. Na samym środku każdego boku fortu znajdowała się jedna brama. Wszystkie bramy łączyły dwie proste drogi, krzyżujące się w środku i dzielące obóz na cztery równe części. Kwatera główna legionu mieściła się właśnie przy tym przecięciu dróg i tam też znajdowały się stałe kwatery centurionów.

Znów odezwały się *bucinae*. Połowa legionu zajęła pozycje obronne, osłaniając resztę żołnierzy.

– Czas na prawdziwą pracę! – odezwał się Bassiusz. – Odłóżcie cały sprzęt poza broń i łopatami.

Starszy centurion wiedział, co robi. Prowadząc ich do sekcji na obwodzie fortu, zamienił kilka słów z centurionem regularnej jednostki armii. Wkrótce ludzie Bassiusza klęli, na czym świat stoi, ale niestrudzenie kopali ziemię, pocąc się obficie.

Dla Romulusa była to rzadka okazja do obserwowania prowadzonych na tak wielką skalę prac inżynieryjnych, dlatego ze zdumieniem i zaciekawieniem przyglądał się legionistom, którzy kopali rowy i wznosili wały. Setki figurek pracujących z jakąś zadziwiającą wewnętrzną synchronizacją. Wydawało się, że żołnierze Republiki byli nie tylko wojownikami, ale i robotnikami i inżynierami.

Romulus znów poczuł dumę z tego, że jest Rzymianinem, mimo że miał świadomość, iż obaj jego nowi przyjaciele ucierpieli w wyniku działań rzymskiej armii. Trudno było nie doceniać precyzji i dyscypliny armii Krassusa. Każdy człowiek zdawał się dokładnie wiedzieć, co ma robić. Trzy godziny później w samym środku obszaru otoczonego nowymi wałami stały już długie linie namiotów. Każda centuria znalazła się na swoim miejscu, a jej lokalizację oznaczono unikalnymi symbolami. Bassiusz umieścił najemników tuż obok kawalerii Publiusza.

Na „Achillesie” otrzymali duży namiot wykonany ze skóry, używany przez

zwykłych legionistów. Aż do teraz nie był im potrzebny. Bassiusz wydawał się zadowolony, że Romulus, Brennus i Tarkwiniusz stworzą *contubernium*, składające się z ośmiu mężczyzn, którzy spali w tym samym namiocie i wspólnie przygotowywali posiłki przy tym samym ognisku. Przyjaciele poznali pięciu nowych towarzyszy już podczas rejsu. Warro, Genuciusz i Feliks byli zwykłymi chłopami z Galii, wygnanymi ze swojej ziemi przez Rzymian. Józef i Appiusz byli niskimi Egipcjanami i wydawali się kuci na cztery nogi, opuścili swoje krainy z powodu zbrodni, o których niezbyt chętnie wspominali.

Nie mieli za dużo czasu na odpoczynek w namiotach, bo Bassiusz poprosił trybuna o zgodę na rozpoczęcie szkolenia kohorty. Weteran miał już dość nicnierobienia. W towarzystwie pięciu innych centurionów Bassiusz stał z rękami na biodrach, przyglądając się swoim najemnikom.

– Czas zacząć właściwe szkolenie wojskowe. Już dość nasiedzieliście się na tyłkach!

Większość żołnierzy wyglądała na niezadowolonych, ale Brennus zacierał ręce z radości.

– Do szeregu! Uwaga!

Rekruci szybko utworzyli linie. Spoglądali prosto przed siebie, tak jak ich uczono.

– Baczność! – Bassiusz ruszył między liniami, prostując pochylone plecy i unosząc brody rekrutów jednym dotknięciem magicznej winnej trzcinki. – Udawajcie, że macie kręgosłupy, nawet jeśli ich nie macie!

W końcu stary centurion uznał linię za zadowalająco prostą i wybrał kilku mężczyzn do dźwigania ciężkich drewnianych pali, przekazanych im przez kwatermistrza, po czym wyprowadził całą kohortę z ruchliwego obozu na płaski teren poza fortem.

Jak się szybko okazało, inni centurioni również wpadli na podobny pomysł i tak samo jak Bassiusz postanowili zająć się czym prędzej szkoleniem. Pola zaroiły się od rekrutów, którzy skakali, biegali i ćwiczyli walkę w parach. Oficerowie armii Krassusa dobrze wiedzieli, jak doprowadzić swoich ludzi do formy po długich tygodniach na morzu. Zanim zastępy będą gotowe do wymarszu na Wschód, upłyną dwa miesiące. A zatem nie było za dużo czasu, żeby zmienić rolników w wyszkolonych żołnierzy.

– Wygląda na to, że znów mamy nasz *palus*!

– Bogowie! – zaśmiał się Brennus. – Jakbyśmy tego potrzebowali. Wolałbym

chyba długi bieg.

Gdy drewniane pale zostały mocno osadzone w twardej ziemi, Bassiusz i jego towarzysze zajęli się instruowaniem grupy rekrutów, ucząc ich między innymi podstawowych zasad użycia broni. Romulus i dwaj jego kompani musieli tylko wykonać najprostsze pchnięcia i cięcia raz czy dwa razy, zanim Bassiusz uznał, że są już niezwykle doświadczonymi żołnierzami. Tak więc cała trójka mogła spokojnie obserwować, jak rozleniwieni Galowie zamieniali się w srogich żołnierzy. Weteran zdobył też sprzęt treningowy – drewniane miecze i tarcze z wikliny, dwukrotnie cięższe niż prawdziwe. Ciężko pracował nad tym, żeby rekruci się spocili. Według tej samej metody uczono nowych gladiatorów sztuki walki w *Ludus Magnus*.

– I co tak stoicie? – Bassiusz ryknął na trzech mężczyzn kilka chwil później. – Nie gapić się! Cztery okrążenia po obwodzie. Pędem!

Gdy okrążali rów obronny wokół obozu, Romulus trzymał się za plecami uśmiechniętego Gala.

Brennus wreszcie czuł się w swoim żywiole.

– Właśnie tego było nam trzeba – stwierdził rozradowany.

Tarkwiniusz milczał, obserwując oddziały legionów zajmujące pozycje na polu. Romulus słyszał, że mrczy pod nosem.

– Krassus ma za dużo piechoty. Głupiec!

– Co się stało?

– Patrzenie – Etrusk wskazał tysiące legionistów ćwiczących wytrwale, smaganych promieniami palącego słońca. – Nie ma jazdy.

Romulus stwierdził, że trudno nie czuć się poruszonym wspaniałym widokiem tyłu żołnierzy wykonujących manewry w idealnej synchronizacji, ale nagle zrozumiał, o czym mówi Tarkwiniusz. W bitwach, o których opowiadał mu Cotta, kawaleria zawsze odgrywała istotną rolę.

– Widziałem tylko kilkuset konnych Galów obok naszych namiotów i kilka kohort jazdy iberyjskiej. Raptem nie więcej niż dwa tysiące – Tarkwiniusz otarł czoło. – To nie wystarczy.

Brennus wyprowadził uderzenie pięścią, dosięgając wyimaginowanego wroga. Wskazał Romulusowi, aby powtórzył jego ruch.

– Trzydzieści tysięcy piechoty powinno roznieść każdego wroga – sapał głośno, a w tym samym czasie zastanawiał się nad dziwnym i śmiesznym jednocześnie zrządzeniem losu, że oto on teraz służy w rzymskiej armii. Armii, która starła jego

plemię z powierzchni ziemi.

– Liczby to nie wszystko. Pomyśl o Hannibalu – odpowiedział Romulus. – Wiele z jego zwycięstw nad wrogiem dysponującym przewagą liczebną możliwych było dzięki kawalerii.

Tarkwiniusz pochwalił Romulusa.

– A Partowie nie będą mieli właściwie żadnej piechoty.

– To jak oni walczą? – zapytał Brennus zaskoczony.

– Główną siłę ich armii stanowią konni łucznicy. Atakują szybkimi wypadami, zasypując przeciwników strzałami – Tarkwiniusz wykonał gest wyobrażający naciąganie nieistniejącej cięciwy. – Prawdziwym deszczem pocisków.

– Dwa tysiące konnych będzie miało spory problem, żeby ich powstrzymać – stwierdził Brennus.

– Właśnie. I to jeszcze przed szarżą katafraktów.

Ani Romulus, ani Brennus nie słyszeli nigdy tego słowa.

– Ciężkiej jazdy, w której zarówno wierzchowiec, jak i jeździec mają na sobie ciężką zbroję – wyjaśnił Etrusk.

Romulus poczuł się nieswojo.

– Krassus przecież musi o tym wiedzieć?

– Polega na królu Armenii... – odpowiedział zamyślony Tarkwiniusz. Artawazdes ma około sześć tysięcy jeźdźców.

– To wszystko tłumaczy, prawda?

– Jeśli Krassus nie wykorzysta tej okazji...

Przyjaciele nie doczekali się dokończenia myśli przez Tarkwiniusza. Zerwał się zimniejszy wiatr i Romulus zadrżał. Armia rzymska wydawała się niewyciężona.

Tylko wydawała.

– Co masz na myśli? – Brennus nie wytrzymał.

– Najpierw musimy pokonać wiele mil, maszerując przez Azję Mniejszą do Syrii i Judei – odpowiedział Etrusk niezrażony. – Gwiazdy i prądy morskie sugerują kilka możliwych wyników.

Brennus rozluźnił się. Podczas morskiej podróży przekonał się, że może ufać Tarkwiniuszowi. Właściwie potwierdziły się wszystkie jego przewidywania dotyczące złej pogody i piratów.

– Jeśli Krassus ruszy do Armenii i połączy się z Artawazdesem, za osiemnaście miesięcy będziemy świętować w Seleucji!

Romulus podchodził do słów Tarkwiniusza sceptycznie, bo Etrusk wyraźnie zabezpieczał się na każdą ewentualność. Nie był przekonany co do tego, czy naprawdę posiada umiejętność przepowiadania przyszłości. Młodzieniec powtarzał sobie, że Tarkwiniusz musiał wcześniej ich podsłuchać, gdy mówili o potyczce pod Lupanarem. A sztormy oraz obecność piratów na nieznanymi wodach trudno uznać za dowód mistycznych zdolności.

Brennus wzdrygnął się, słysząc o Seleucji. *Żaden z Allobrogów nigdy nie dotarł tak daleko na Wschód. Czy to tam zakończy się moja podróż?*

Biegli dalej wokół obozu, mijając grupę trzech wyższych oficerów, otaczających krępego mężczyznę. Żaden z nich nawet nie spojrzął w stronę trójki żołnierzy. Promienie słoneczne odbijały się od połacanego pancerza postaci stojącej w środku.

Krassus planował kampanię.

– Nasze losy są w ich rękach – odezwał się Romulus.

– Decyzja o naszej przyszłości już zapadła – sprzeciwił się Tarkwiniusz. – Nasze ścieżki nie zawsze będą identyczne. A los Krassusa zależy od niego samego.

Romulus zwiększył tempo. Miał już dość gadek o złych wróżbach i pechu. Chciał tak się zmęczyć, żeby na jakiś czas zapomnieć o wszystkim. Jego przyjaciele podpowiedzą mu, co robić, wtedy gdy to będzie potrzebne. Mimo wątpliwości Tarkwiniusza dotyczących słabości armii rzymskiej trudno było sobie wyobrazić, że tak wielką siłę może czekać klęska.

## Rozdział XIX

# *Fabiola i Brutus*



MINĘŁO PONAD CZTERNAŚCIE MIESIĘCY...

Lupanar, Rzym, wiosna 53 r. p.n.e.

**W**ydawało się, że od sprzedaży Fabioli do domu publicznego minęły wieki. Dziewczyna dojrzała i wypiękniała. Przemieniła się w niezwykle atrakcyjną kobietę. Lśniące czarne włosy spadały wspaniałą kaskadą aż na jej wąską kibić. Przenikliwe niebieskie oczy potrafiły zahipnotyzować każdego, kto spoglądał w nie dłużej niż kilka uderzeń serca. Nieznacznie zakrzywiony nos dodawał charakteru jej oszałamiającej postaci. Pełne piersi i uwodzicielskie kształty sprawiały, że ludzie porównywali ją do Wenus.

Nie trzeba było długo czekać, gdy goście Lupanaru zaczęli dzielić się opowieściami o niesamowitych umiejętnościach Fabioli, która potrafiła sprawić, że klienci opuszczali jej komnatę wyjątkowo usatysfakcjonowani. Po pierwszej wizycie



Brutusa Jowina postanowiła obniżyć cenę rozkoszy w objęciach nowej dziewczyny, jednak zmniejszyła ją tylko nieznacznie i wkrótce okazało się, że takie ryzyko się opłacało. Pomimo że Jowina kazała sobie sporo płacić za każdą wizytę, Fabiola stała się szybko jedną z najpopularniejszych prostytutek Lupanaru.

Właścicielka domu publicznego zarabiała fortunę na oferowaniu usług samej tylko Fabioli. W ciągu sześciu miesięcy kwota zapłacona przebiegłemu Gemellusowi zwróciła się z nawiązką. W rzadkim dla niej geście Jowina pozwoliła nawet Fabioli zachowywać nieco większy niż zwykle odsetek za usługi. Niemniej jej właścicielka nadal była oschłą w obejściu, nieprzystępna i nie pozwalała jej na wiele. Fabiola nie mogła wychodzić z Lupanaru bez towarzystwa i właścicielka Lupanaru nawet słowem nie zająknęła się na temat podarowania jej wolności.

Klientami Fabioli byli zarówno bogaci kupcy, jak i politycy oraz wojskowi – czyli mężczyźni klasy rządzącej. Wszyscy natychmiast tracili dla niej głowę, a wielu przychodziło do kruczowłosej piękności co najmniej raz w tygodniu, obsypując prezentami w postaci drogich perfum, ubrań i biżuterii. Fabiola chętnie przyjmowała prezenty, zwłaszcza pieniądze, które chowała tymczasowo do żelaznej skrzyni. Co miesiąc Benignusz lub Wettiusz towarzyszył jej w drodze na forum, gdzie deponowała pieniądze u greckich lichwiarzy, żeby każdy as przynosił jej chociaż małe odsetki. Musiała gromadzić fundusze, bo tylko one dawały jej możliwość opuszczenia Lupanaru. A odzyskanie wolności było jej marzeniem. Fabiola rzadko wypłacała jakąś gotówkę, chyba że pieniądze były jej potrzebne do zapłacenia za jakieś informacje na temat Romulusa.

Od czasu pamiętnej nocy, gdy straciła szansę, aby zobaczyć swojego brata bliźniaka przed Lupanarem, dziewczyna robiła, co mogła, żeby go odnaleźć. Wydawało się jednak, że nikt nic nie wiedział. Fabiola łudziła się, że ten brak informacji wynikał z tego, że niewielu ludzi znało tożsamość gladiatorów przebywających w szkołach. W Rzymie były cztery szkoły i tylko właściciele *ludi lanistae*, byli regularnymi gośćmi Lupanaru. Na razie Fabiola mogła być pewna, że Romulusa nie ma i nigdy nie było w *Ludus Dacicus*. Niewysoki, łysiejący lanista z tej szkoły był tak obsesyjnie zauroczony Fabiolą, że opowiedział jej właściwie o każdym gladiatorze, jaki przewinął się przez jego szkołę. I chociaż wiedziała, że najbardziej prawdopodobne jest to, że jej brat dawno uciekł z Rzymu, bardzo pragnęła znaleźć jakiś jego ślad, cokolwiek, dzięki czemu mogłaby poznać jego losy.

Fabiola stała się również mistrzynią w sztuce cierpliwości. Bez względu na to, jak

długie miały być jej poszukiwania, była zdecydowana poczekać i wykorzystać każdą okazję, żeby dowiedzieć się czegoś na temat brata.

Mimo coraz większej popularności dziewczyna miała zaskakująco niewiele wrogo nastawionych koleżanek po fachu. Od pierwszego dnia Fabiola wdrożyła przemyślaną politykę dbania o relacje ze wszystkimi prostytutkami: przekazywała im klientów, kupowała prezenty i pomagała, gdy któraś z nich zachorowała. Kilku dziewczynom niespecjalnie spodobała się jej błyskawiczna kariera, ale i one zachowywały milczenie. Ochroniarze, kucharze, a nawet sama właścicielka domu publicznego zaakceptowali Fabiolę. Dziewczyna zaprzyjaźniła się także potajemnie z Docilosą, uznając, że starsza kobieta potrafi dochować tajemnicy i jest niezwykle dyskretna.

Gdy jedna prostytutka miała kilku stałych bywalców, właścicielka domu publicznego bardzo dbała o to, aby nie mieli okazji się spotkać. Jeśli tylko było to możliwe, ich wizyty planowano tak, żeby się nie nakładały, więc żaden z nich nawet nie podejrzewał, że nie ma wyłączności. To była jedna z najbardziej rygorystycznie przestrzeganych reguł Jowiny. Zazdrość o popularne dziewczęta nieraz w przeszłości doprowadzała do rozlewu krwi i takie zdarzenia bardzo źle wpływały na interesy.

Rozumiejąc korzyści płynące z tej zasady, Fabiola trzymała się zasady Jowiny. Niejeden klient okazywał swoją zazdrość na myśl o tym, że Fabiola spotykała się z innymi. Jeśli jej klienci mieli się do czegoś przydać, pomóc jej uzyskać większe wpływy, musieli czuć się absolutnie zrelaksowani od chwili pojawienia się w drzwiach Lupanaru. Fabiola była już kimś więcej niż tylko zwykłą prostytutką. Dzięki swojej naturalnej inteligencji szybko uczyła się nowych rzeczy. Zaspokajanie potrzeb seksualnych stało się tylko jedną z części doświadczenia klienta. Fabiola została ekspertem od relaksującego masażu spiętych mięśni, obmywania ciała, raczyła swoich gości smakowitymi daniami. Wprawiła się również w sztuce lekkiej konwersacji. W jej towarzystwie klient mógł czuć się najważniejszym mężczyzną na świecie. Tyle że nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wiele informacji wyciąga z niego piękna, młoda kobieta.

Fabiola wiedziała, co dzieje się w Rzymie. Wiedza oznaczała władzę i zwiększała szansę rozpoczęcia nowego życia i pożegnania się z tym, którego w głębi duszy nienawidziła. Zdobycie kontroli nad bogatymi i wpływowymi obywatelami stolicy było dla niej tylko drogą do osiągnięcia celu. Obserwowanie targów i konfliktów senatorów, sędziów i przedstawicieli armii stawało się fascynującym doświadczeniem. Jako niewolnica w domu Gemellusa nie miała pojęcia o tym, co

działo się w świecie i jak sprawowano rządy w Rzymie. Teraz, po wielu godzinach spędzonych w towarzystwie tych, którzy sterowali polityką Republiki, rozumiała to aż nazbyt dobrze.

Przez ponad pięć lat Pompejusz, Krassus i Cezar wspólnie dzierżyli stery władzy. Wszyscy trzej kolejno piastowali stanowisko konsula i dzielili się namiestnictwami w prowincjach, znajdujących się pod rzymskim panowaniem. Skorumpowani ekwici podzielili się resztą władzy. Kilku polityków – wśród nich tacy senatorowie, jak Katon i Domicjusz – pozostali wierni ideałom Republiki, głosząc, że władza nigdy nie powinna znajdować się w całości w rękach jednego człowieka. Ponieważ jednak byli w mniejszości, rzadko udawało im się spowalniać nieubłagane zmiany polityczne i spadek znaczenia senatu.

Triumwirat umiejętnie dbał o zadowolenie niedouczonej mas, organizując *munera* – walki gladiatorów i wyścigi koni. Rozdawano zboże, co spowodowało szybki napływ do Rzymu wiejskiej biedoty, a to z kolei znów zwiększało zapotrzebowanie na darmową dystrybucję. Import pszenicy z Egiptu osiągnął niespotykany dotąd poziom, co w efekcie doprowadziło do spadku jej cen, a to spowodowało upadek wielu italskich gospodarstw. I znowu coraz więcej bezrolnych chłopów kierowało się do miast, w których zwiększało się zapotrzebowanie na darmowe posiłki i rozrywkę.

W poszukiwaniu sposobów utrzymania się przy życiu wielu obywateli zaciągało się do wojska, chętnie wykonując rozkazy wodzów. Rosła lojalność legionów wobec ich dowódców, takich jak Cezar i Pompejusz. Armia stawała się coraz bardziej niezależna od senatu. Rzymianie gotowi byli walczyć i ginąć w bratobójczych wojnach. Jakże różniło się to od czasów mobilizacji rolników, którzy do armii Republiki zaciągali się tylko na czas lata, a potem wracali na gospodarstwa. Demokracja ludowa, która przetrwała przez pół tysiąca lat z czasem uległa erozji. Jeśli klienci Fabioli mieli rację, wojna domowa wisiała w powietrzu, któregoś dnia bowiem jeden z członków triumwiratu rzuci wyzwanie pozostałym. Co rusz któryś z wielkiej trójki zyskiwał przewagę, tworząc koalicje i zawiązując sojusze, choć zwykle równie szybko sytuacja znów się zmieniała.

Nikt nie wiedział, kto wyjdzie z tej przepychanki zwycięsko.

Chociaż Fabiola nie mogła usidlić żadnego z członków triumwiratu, miała kilku potencjalnych kandydatów, których mogłaby wykorzystać z myślą o osiągnięciu ostatecznego celu: kogoś, kto kupi jej wolność. Jako kochanka bogatego arystokraty miałyby realną szansę zemścić się na Gemellusie i poznać prawdy

o swoim ojcu. Fabiola nie dokonała jeszcze wyboru nieświadomego niczego współnika w wykonaniu jej planu. Musiała to dobrze przemyśleć, bo ewentualna decyzja na wiele sposobów mogła zmienić jej życie.

Jednym z najbardziej obiecujących kandydatów był Decimus Brutus. W miarę jak z roku na rok rosła popularność Juliusza Cezara, coraz większą władzę mieli także jego bliscy współpracownicy. Opowieści o wyjątkowych talentach taktycznych Cezara, który często odnosił zwycięstwa, nawet walcząc z wrogiem posiadającym przytłaczającą przewagę liczebną, powtarzano sobie z ust do ust w łaźniach, na rynkach i w domach publicznych. Rzym huczał od plotek. Niektórzy opowiadali również o wielkich zwycięstwach odniesionych przez Brutusa w walce z Wenetami.

Fabiola bardzo cieszyła się z sukcesów kochanka.

Przed dwoma laty mężczyzna, który zabrał Fabioli dziewictwo, został odesłany przez Cezara z Galii do Rzymu, żeby zabiegać o wsparcie wśród ekwitów i senatorów. Regularnie odwiedzający Lupanar Brutus był absolutnie zauroczony dziewczyną. Fabiola spełniała każde jego życzenie, a z opowieści odprężonego mężczyzny dziewczyna dowiadywała się o wiele więcej niż od swoich wszystkich pozostałych klientów razem wziętych. Dzięki temu przekonywała się o geniuszu militarnym Cezara, jakiego podobno nie widziano w Rzymie od wielu pokoleń.

– Cóż za wódz! – ekscytował się Brutus. – Sam Aleksander byłby dumny, gdyby mógł poznać Juliusza Cezara.

– Takie oddanie? – Fabiola przeciągnęła po jego ramieniu długimi paznokciami. – Czy on na nie zasługuje?

– Oczywiście – z oczu Brutusa biła duma. – Trzeba ci go było widzieć zesłej zimy w Galii. Jednej nocy spał ze swoimi ludźmi na zamrzniętej ziemi, zawinięty tylko w płaszcz, a następnego dnia rano odwrócił losy bitwy z Eburonami. Sześćdziesiąt tysięcy wojowników plemion galijskich przeciwko siedmiu tysiącom legionistów! Klęska wydawała się nieunikniona, ale Cezar zajął miejsce w pierwszej linii. Od stóp do głów we krwi wrogów. Zebrał ludzi i rozgonił tych dzikusów.

Skoncentrowana na swojej pracy Fabiola wciągnęła powietrze, udając zdumienie. Nie interesowała się specjalnie wojną i tym, ile cierpienia powoduje. Brutus był jednak tak podekscytowany, że nawet tego nie zauważył.

– Jak on wygląda? – spytała niewinnie, zastanawiając się, czy Cezar kiedykolwiek odwiedzi Lupanar. – Nie jest tłusty jak Pompejusz?

Brutus wybuchnął śmiechem.

– Jest szczupły jak chart wyścigowy! – zamarł na chwilę w bezruchu i popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. – Masz ten sam nos.

– Naprawdę? – dziewczyna zatrzepotała rzęsami.

Kwestia ojca bliźniaków zawsze była tematem tabu. Tylko raz, na krótko przed tym, jak Gemellus sprzedał Fabiolę, Welwinna napomknęła, że została zgwałcona przez jakiegoś arystokratę. Jednak gdy oboje z bratem zaczęli zadawać pytania, matka zamknęła się w sobie i nic więcej już im nie zdradziła.

– To nie są sprawy, w które powinny się angażować dzieci. Powiem wam za kilka lat.

A teraz Fabiola nie mogła już wpytać matki o ten gwałt. Wiedziała, że kilka miesięcy później kupiec sprzedał Welwinnę do kopalni soli. *Niech będzie przekłety.*

– Nie ma we mnie patrycjuszowskiej krwi – westchnęła, nie zdradzając, gdzie pobiegły jej myśli.

Brutus wziął ją za rękę i ucałował dłoń.

– Jesteś królową mojego serca. To sprawia, że jesteś arystokratką.

Tym razem Fabiola pozwoliła sobie na prawdziwy uśmiech. Naprawdę lubiła tego rzutkiego, młodego oficera sztabowego. To *jest* najlepszy kandydat. Postanowiła! Jej palce przebiegły po twardych mięśniach klatki piersiowej mężczyzny, kierując się w stronę podbrzusza.

– Dziękuję, panie – odpowiedziała Fabiola, patrząc na niego uwodzicielsko spod przymkniętych powiek. Potem przesunęła się niżej, zdejmując jego *licium*.

Brutus jęknął w oczekiwaniu.

*Muszę zobaczyć twarz Cezara.*

Kilka miesięcy później Brutus w końcu przekonał Fabiolę do obejrzenia walk gladiatorów sponsorowanych przez Pompejusza. Prerażona myślą, że może być świadkiem potyczki, w której brać będzie udział Romulus, Fabiola zwykle odmawiała. Jednak tym razem stwierdziła, że może nadarzyć się dobra okazja, aby zobaczyć na własne oczy jednego z tych ludzi, którzy decydują o losach Rzymu. Krassus dawno temu wybrał się na Wschód, a Cezar od blisko dwóch lat nie odwiedzał Italii, nie miał bowiem na to zgody senatu jako dowódca stałej armii. W związku z tym wiodącą postacią w Rzymie był obecnie Pompejusz, który korzystał z tego przywileju, jak mógł.

I tak oto pewnego ciepłego popołudnia wczesnym latem najwięksi niewolnicy nieśli lektykę z Brutusem i Fabiolą przez zatłoczone ulice, zmierzając w stronę nowej

areny Pompejusza na Polu Marsowym. Podróżująca lektyką para oddzielona była od świata zewnętrznego zaledwie lekką kotarą z materiału. Pilnowało ich tuzin uzbrojonych strażników, którzy otaczali lektykę ze wszystkich stron i traktowali brutalnie batami zbyt ciekawskich obywateli. W związku z zarzutami o korupcję dotyczącymi dwóch obecnych konsulów i nieładem w senacie w Rzymie wrzało ostatnio coraz bardziej. Brutus nie pozwalał, aby cokolwiek zostawić przypadkowi i ich pojawienie się na trybunach musiało zrobić duże wrażenie.

Wkrótce znaleźli się na wydzielonej trybunie, zarezerwowanej dla arystokracji, chronieni przed światłem słonecznym przez osłonę zwaną *velarium*. Fabiola dziwnie się czuła w tym miejscu. Życie klasy rządzącej zupełnie nie przypominało tego, które znała. Wolność. Czuła coraz większą determinację, żeby jak najszybciej odzyskać wolność.

Przystojny kochanek Fabioli siedział na wyściełanym drewnianym siedzisku obok niej, szeroko się uśmiechając. Spędzili razem całą poprzednią noc. Po długiej kąpeli zrobiła mu długi masaż, dzięki któremu Brutus czuł się jak młody bóg.

Inni arystokraci przyglądali im się uważnie. Witali Brutusa skinieniem głowy, przypatrując się z zaciekawieniem Fabioli. Niektórzy już ją znali, ale większość wcześniej jej nie widziała. Brutus zabierał ją na wycieczki za miasto, do willi w Kapui. Jak zwykle w takich sytuacjach mężczyźni spoglądali na nią z podziwem, kobiety wzrokiem pełnym dezaprobaty. Fabiola ignorowała zarówno jednych, jak i drugich, rozglądając się z dumnie uniesioną głową po arenie. Pewnego dnia będzie wolna. Równa tym, którzy przyglądają się jej teraz z szyderczymi uśmieszkami. Będzie kimś więcej niż zwykłą prostytutką.

– Oglądanie rzezi zwierząt nie jest żadną atrakcją – stwierdził Brutus. Opóźniał ich przybycie na arenę tak, żeby nie musiał oglądać mało interesującej go części spektaklu. Rozbrzmiały trąby, które zapowiadały rychłe pojawienie się gladiatorów.

– Lepiej obejrzeć prawdziwe męstwo i umiętności.

Nagle Fabiola się zaniepokoiła. *Co robi, jeśli zobaczy na arenie Romulusa? Jowiszu, największy i najpotężniejszy, spraw, żeby mojemu bratu nie groziło żadne niebezpieczeństwo.* Ta modlitwa stała się w ciągu ostatnich trzech lat jej osobistą mantrą. Odetchnęła głęboko, zmuszając się do uspokojenia. Jeśli Jowisz był miłosierny, Romulusa nie będzie dziś na arenie.

Jej modlitwa została wysłuchana. Żaden z osłoniętych zbroją mężczyzn, którzy przez godzinę okaleczali się i zabijali na piasku, nie przypominał nawet Romulusa, ale Fabiola stwierdziła, że ten krwawy spektakl był bardzo poruszający. Choć

marzyła o zemście na Gemellusie i człowieku, który zgwałcił jej matkę, nie lubiła przemocy. Ryki tłumu w momentach co większej brutalności uważała za obrzydliwe. Przed oczyma pojawiały się obrazy krwawiącego Romulusa, dogorywającego na piasku. Do tej pory udawało się jej wypierać je z umysłu. Teraz jednak znów zaczęła się bać, że jej brat bliźniak jest martwy. Gdy krwawy spektakl dobiegł końca, Fabiola poczuła prawdziwą ulgę. Zanim staną przeciwko sobie dwaj najpopularniejsi gladiatorzy w Rzymie, czeka ich chwila przerwy.

Brutus dzielił się z nią wiedzą na temat technik walki i umiejętności różnych typów gladiatorów.

Fabiola nie słuchała go zbyt uważnie, choć od czasu do czasu kiwała głową, jakby była naprawdę zainteresowana. Z trudem panowała nad smutkiem, który ją przepełniał.

– Tak naprawdę od czasu, gdy zniknął ten Gal, nie pojawił się żaden prawdziwy mistrz.

Fabiola nadstawiła uszu.

– Kto?

– Nazywał się Brennus. Góra mięśni, których starczyłoby dla dwóch mężczyzn, ale w żadnym razie nie można go było nazwać nieporadnym. Ten to potrafił się bić – na twarzy Brutusa pojawił się błysk zapalczywości. – Z legionem żołnierzy takich jak tamten Gal Cezar mógłby podbić świat.

– Co mu się stało?

– Mogę się tylko domyślać. Rok temu razem z innym gladiatorem wdali się w jakąś bójkę przed bramą Lupanaru, w wyniku której zginął jeden arystokrata. – Żołądek Fabioli skurczył się. *Romulus! Może jeszcze żyć.* – Pamiętasz go? Krępy rudzielec o imieniu Celiusz, tak mi się wydaje...

– Och, tak – powiedziała, udając zaskoczenie. – Ktoś złamał wtedy nos naszemu ochroniarzowi.

– Co za strata... – Brutus westchnął. – Jeżeli któryś z nich pokaże się w Rzymie, zostanie ukrzyżowany.

Fabiola chciała jeszcze o coś zapytać, ale przerwały im głośne fanfary.

Przybył Pompejusz.

## *Inwazja*



Euftrat, Mezopotamia, lato 53 r. p.n.e.

**J**ak wszyscy rzymscy przywódcy, również Krassus korzystał z pomocy wróżbitów przy różnych ważnych okazjach, a inwazja na Królestwo Partów była właściwą okazją, aby złożyć ofiarę bogom. Liczono na dobry omen, świadczący o tym, że bogowie spojrzą łaskawym okiem na armię przekraczającą Euftrat.

Tuż przed świtem stary kapłan wyprowadził na łąkę przed namiotem dowodzenia Krassusa dużego byka. Ubrany w białą szatę staruszek, otoczony przez kilku akolitów, przyglądał się niespodziewającemu się niczego zwierzęciu, które obojętnie żuło siano. W pobliżu zbierało się coraz więcej żołnierzy, wybranych przedstawicieli każdej kohorty armii, którzy mieli być świadkami pomyślnej wróżby dla kampanii odbywającej się pod egidą bogów. Tarkwiniusz i Romulus nakłonili Bassiusza, aby pozwolił im uczestniczyć w tym wydarzeniu.

Gdy Krassus pojawił się przed swoim namiotem, rozległy się szmery. Strażnicy



stanęli na baczność i wyprostowali się jak struny. Tego dnia ich broń i zbroje były wypolerowane jeszcze lepiej niż zwykle. Generał był niskim, siwowłosym mężczyzną po sześćdziesiątce, wyróżniającym się haczykowatym nosem i przeszywającym spojrzeniem, ubranym w złoty pancerz, czerwony płaszcz i ozdobiony końską kitą hełm. Nabite metalowymi ćwiekami skórzane paski chroniły pachwiny i uda, a u jego pasa wisiał bogato zdobiony miecz.

W przeciwieństwie do Pompejusza i Cezara, jego dwóch partnerów z triumwiratu, Krassus nie miał dużego doświadczenia wojennego. Jednak to właśnie on pokonał Spartakusa, dławiąc przed kilkunastu laty bunt niewolników, który niemal rzucił Republikę na kolana. Tylko umiejętnościom Krassusa – i w mniejszym stopniu Pompejusza – Rzym zawdzięczał wtedy przetrwanie.

Obok generała stali Publiusz i legaci, dowodzący siedmioma legionami. Oficerowie byli ubrani podobnie jak ich dowódcy.

Romulus przypomniał sobie nagle o bliźnie Julii i gniewnie trącił Etruska, gdy zobaczył Publiusza.

Mocno skupiony Tarkwiniusz zmarszczył brwi.

– Bądź cicho i uważnie obserwuj, co się dzieje.

Kapłan spojrzał na Krassusa, który skinął głową.

Mrucząc pod nosem inkantacje, zbliżył się do byka, który wciąż posilał się, nieświadomy, że nadchodzi jego kres. Dwóch akolitów owinęło linę wokół jego głowy, podczas gdy inni zbliżyli się do zwierzęcia, uniemożliwiając mu ucieczkę. Byk zrozumiał wreszcie, że coś jest nie tak. Jednak było już za późno. Zaryczał ze złością, ale pomimo swojej ogromnej siły nie był w stanie oprzeć się asystentom kapłana, którzy odchyliłi jego głowę, odsłaniając szyję.

Kapłan wyciągnął ukryty w szacie nóż z zabójczo ostrym ostrzem. Jednym szybkim ruchem przeciął gardło zwierzęcia, uwalniając fontannę krwi, która spryskała piasek. Pod strumieniem szybko umieszczono srebrną misę, która wypełniła się po brzegi. Akolici puścili zwierzę i byk upadł na bok, kopiąc spazmatycznie. Stojący nieco dalej starszy kapłan zajrzał do misy.

W tym czasie wszyscy obserwujący proces ofiarowania wstrzymali oddech. Nawet Krassus milczał. Etrusk stał nieruchomo, lekko poruszając ustami, tak że Romulus poczuł dreszcz niepokoju.

Rzymski kapłan wpatrywał się długo w misę pełną krwi, mrucząc coś do siebie i mieszając jej zawartość. Wreszcie uniósł oczy w górę, obserwując niebo.

– *Iuppiter Optimus Maximus!* Wzywam cię! Przyzywam Marsa! Niech spojrzy na nas

*Mars Ultor*, mściciel niosący wojnę! – kapłan przerwał. – Niech będą świadkami wróżby z tego świętego zwierzęcia – znów przerwał, wpatrując się uważnie w pełną misę.

Krassus z niepokojem obserwował swoich ludzi. Niezwykle ważne było to, aby myśleli, że kampania będzie udana. Jego uwagę przykuł mężczyzna niewielkiej postury, wyróżniający się grzywą jasnych włosów i złotym kolczykiem w uchu. Na plecach dźwigał duży topór i był ubrany jak żołnierz jednostek posiłkowych. Człowiek ten odwzajemnił jego spojrzenie bez strachu i szacunku, najwyraźniej ignorując całą ceremonię.

Krassus poczuł, że gęsia skórka pokrywa jego ramiona, i nagle przypomniał sobie etruską wątrobę z brązu, którą kilkanaście lat temu próbował kupić. Żołnierze, których wysłał z tą misją, wkrótce potem pomarli. Wszyscy. Przeżalenie ścisnęło mu gardło. Odwrócił się w stronę kapłana. Najemnik patrzył na niego tak, jak patrzyłby przewoźnik do podziemnego świata zmarłych.

Nikt inny niczego nie zauważył.

– Widzę dobry omen!

Wielkie westchnienie ulgi przetoczyło się przez całe zgromadzenie.

– Widzę wielkie zwycięstwo Rzymu! Partia zostanie zgnieciona!

Rozległy się dzikie krzyki.

Krassus odwrócił się w stronę swoich legatów z uśmiechem.

– Kłamca! – syknął Tarkwiniusz. – Krew pokazała zupełnie coś innego.

Romulus był zbity z tropu.

– Powiem ci później. Ceremonia jeszcze się nie zakończyła.

Patrzyli, jak kapłan otwiera brzuch zwierzęcia za pomocą ostrego noża. Gdy błyszczące pętle jelit wylały się na piasek, staruszek przedstawiał coraz bardziej pozytywne przepowiednie. Następnie sięgnął po wątrobę. Punktem kulminacyjnym było przecięcie przepony i uzyskanie dostępu do klatki piersiowej. Sięgając głęboko do środka tuszy byka, kapłan przez kilka chwil na przemian to ciął, to ciągnął coś ze środka. W końcu wstał i spojrzał na oficerów. Jego szata była cała czerwona, a ręce umazane krwią aż do ramion. Trzymał w dłoniach serce byka, lśniące w promieniach wschodzącego słońca.

– Nadal bije! To symbol potęgi legionów Krassusa! – wykrzyknął.

Wszyscy legionieści ryknęli na znak, że zgadzają się z kapłanem.

Wszyscy, z wyjątkiem Tarkwiniusza i Romulusa.

Kapłan skierował się w stronę uradowanego Krassusa, nadal trzymając mocno serce w wyciągniętych rękach. Wszystkie znaki przepowiadały powodzenie kampanii. Reszta żołnierzy usłyszy o tym od tych, którym przypadło w udziale obserwowanie ofiarowania, a wieści błyskawicznie dotrą do wszystkich w szeregach armii.

– Wielki Krassusie! Przyjmij to serce jako symbol twojej odwagi. Znak zwycięstwa! – wykrzyczał kapłan.

Krassus ruszył do przodu, wyciągając niecierpliwie dłonie. To była jego chwila. Gdy jednak okrwawiony, śliski organ znalazł się w jego rękach, wysunął się z nich i wylądował na ziemi. Potem przekręcił się kilka razy, oddalając się od jego nóg.

Tarkwiniusz głęboko wciągnął powietrze.

– Nikt nie zaprzeczy, że to nie jest dobry znak.

Krassus jęknął. Serce nie było już czerwone. Teraz przykleiły się do niego tysiące ziaren piasku, zmieniając jego kolor na żółty.

Barwy pustyni.

Popatrzył na kapłana, którego twarz spopieliała. Wszyscy zamarli.

– Powiedz coś!

Starzec chrząknął.

– Przepowiednia nie ulega zmianie – zawołał. – Widziałem we krwi wielkie zwycięstwa zesłane nam przez bogów!

Ludzie obserwujący ceremonię spojrzeli po sobie. Wielu z nich złożyło palce w znaki, które miały chronić przed złem. Inni pocierali szczęśliwe amulety. Nie widzieli zawartości misy. Widzieli natomiast, jak Krassus upuszcza serce byka, największy symbol odwagi. Obserwatorzy niepewnie zaszurali nogami. Kilku mężczyzn zaczęło pocierać wilgotne dłonie. Nie było żadnych okrzyków. Zapadła ciężka cisza.

Krassus spojrział w niebo i dostrzegł grupę dwunastu sępów unoszących się na gorących prądach. Nie był jedynym, który je zauważył. Nie było chwili do stracenia.

– Żołnierze Rzymu! Nie trapiecie się – krzyknął. – Niepewne ręce kapłana są śliskie od krwi – tak jak wasze będą śliskie od krwi Partów!

Romulus spojrział nerwowo na Tarkwiniusza.

– Nie ma racji – powiedział cicho Etrusk – ale nie bój się. Wcale nie musimy zginąć.

Jego komentarz był mało pocieszający. Pokonanie armii Krassusa wydawało się

niemożliwe, ale wszyscy widzieli pokryte ziarenkami piasku serce, leżące pod stopami wodza.

To był dowód niełaski bogów, którego nie dało się zlekceważyć.

Romulus stwierdził, że chciałby wierzyć w to, co mówi Tarkwiniusz. O innym rozwiązaniu nawet nie chciał myśleć.

Zgromadzeni wokół legioniści wcale nie wydawali się przekonani słowami Krassusa. Generał próbował poprawić ich morale, ale jego wysiłki spełzyły na niczym. Wykonał gest, nakazując żołnierzom rozejście się do swoich zadań, a sam schował się do namiotu. Jego oficerowie podążyli za nim. Nawet Krassus musiał się przyznać przed samym sobą, że jego wysiłki zainspirowania legionistów okazały się totalną porażką. A wieści szybko się rozniosą. *Nie ma się czym martwić* – próbował przekonać samego siebie.

Jednak bogowie najwyraźniej nie byli zadowoleni.

Romulus spojrzął na szeroki nurt rzeki, która wijąc się, znikła za horyzontem na południu. Wkrótce wyjaśni się przyszłość armii. Jej losy staną się jasne, tak samo jak jasne są wody płynącej wartko rzeki. Wkroczywszy na rozległe krainy, ludzie Krassusa znaleźli się właśnie na granicy w miarę bezpiecznego terytorium.

Grube macki porannej mgły wisiały nisko nad rzeką, skrywając skupiska przybrzeżnych trzcin. Słońce szybko poradzi sobie z rozproszeniem szarej kurtyny, odsłaniając brzeg. Spragnieni żołnierze przyjęli dotarcie do rzeki po wielu dniach marszu z wielką ulgą, jednak ani Romulus, ani tysiące żołnierzy czekających w ciszy nad brzegiem na rozkazy nie mogli cieszyć się odpoczynkiem. Krassus i jego syn Publiusz prowadzili armię na południowy wschód.

Rzymska armia oddaliła się o setki mil od miejsca lądowania na zachodnich wybrzeżach Azji Mniejszej. Każde większe miasto, przez jakie wiódł jej szlak, płaciło ogromne sumy, aby uchronić się przed splądrowaniem. Zwłaszcza Jerozolima postarała się o okup godzien króla. Starsi z tego miasta desperacko pragnęli zachować jego starożytne bogactwa. Gdy skończyła się zima, legiony Krassusa przeszły przez Syrię i dotarły do Eufratu po trzynastu miesiącach od opuszczenia trirem. Do tego czasu Romulus, Brennus i Tarkwiniusz stali się nierozłącznymi przyjaciółmi.

Młody Etrusk miał ogromną wiedzę na temat medycyny, astrologii, historii i sztuk mistycznych. Dzięki temu, że brał udział w wieloletniej kampanii Lukullusa w Armenii, zdobył również spore doświadczenie bojowe. Bassiusz szybko przekonał

się o jego talentach i awansował go na *optio*, żeby pomagał mu w szkoleniu rekrutów. Wyrafinowane poczucie humoru Tarkwiniusza współgrało z bardziej racjonalnym usposobieniem Brennusa, a umiejętność przepowiadania przyszłości uzupełniała talenty Gala, który jak mało kto radził sobie z bronią. Pod opieką tej dwójki Romulus rozwijał się w niesamowitym tempie, doskonaląc nie tylko swoją ogólną sprawność i umiejętność walki wręcz. Uczył się też czytać i pisać.

Ludzie rozpowszechniali plotki, że kierują się ku Seleucji nad Tygrysem. Romulus wiedział coraz więcej o regionie dzięki Tarkwiniuszowi, który opowiadał o Kraju Dwóch Rzek i królestwach leżących nad Tygrysem i Eufratem. Z wielką przyjemnością chłonał nową wiedzę podczas nocnych lekcji historii, słuchając o Babilończykach, Persach i innych egzotycznych ludach. Jednak ulubioną opowieścią Romulusa była opowieść o Aleksandrze Wielkim, człowieku, który przeszedł szlak bojowy prowadzący z Grecji do Indii i z powrotem, podbijając pół świata.

A teraz wielkie pustynie znajdowały się pod kontrolą Partów. Małe, ale wojownicze plemię, składające się z wytrwałych wojowników, przez kilka generacji rozrastało się i z czasem wchłonęło pokonane królestwa. Teraz rozległe Królestwo Partów mogło rywalizować pod względem wielkości chyba tylko z Rzymem. Obszar kontrolowany przez Partów, którego większość zajmowały koczownicze plemiona nomadów, nie był mocno zaludniony. Zyski królestwu przynosiło przede wszystkim opodatkowanie handlu luksusowymi dobrami, takimi jak jedwab, klejnoty i przyprawy, transportowanymi karawanami z Indii i Dalekiego Wschodu. Zdając sobie sprawę z chciwości Rzymu, Partowie zazdrośnie strzegli swoich udziałów w tym handlu.

Jednak bogactwo Królestwa Partów przyciągnęło uwagę Krassusa, który licząc na szybkie zwycięstwo, maszerował właśnie przez pustynię. Kierował się prosto na Seleucję.

Na długo przed świtem żołnierze z siedmiu legionów Krassusa, pięć tysięcy najemników i dwa tysiące kawalerii, przygotowywali się do przeprawy przez rzekę, przeklinając głośne dźwięki trąbek. W szeregach ciągle krążyła historia z sercem, więc legioniści starali się robić, co tylko było w ich mocy, żeby zostawić jak najmniejsze pole dla przeznaczenia, błyskawicznie przygotowując się do wymarszu z typowo rzymską efektywnością. Zwinięto namioty i zapakowano je na muły. Regularna armia rzymska była doskonałym przykładem umiejętności organizacyjnych Republiki, ale ludzie Bassiusza nie mieli tyle doświadczenia.

Centurion łajał, groził i zachęcał na zmianę, aż w końcu i galijscy najemnicy byli gotowi do przekroczenia rzeki.

Zostawiali za sobą wysokie wały ziemne, wzniesione poprzedniego dnia na obrzeżach miasta Zeugma. Dziesiątki podobnych obozów znaczyły szlak armii na trasie przemarszu do Azji Mniejszej. Mogły się okazać przydatne, gdy któregoś dnia powrócą tu po podboju Królestwa Partów.

Krassus nie widział powodu, żeby rezygnować z tego zwyczaju. W szpicie armii łądującej na drugim brzegu rzeki znalazły się między innymi kohorta Romulusa i wiele innych oddziałów pomocniczych. Legiony przeprowały się w drugim rzucie. Pokonanie rzeki w setkach małych łodzi trzciniowych, zbudowanych specjalnie na tę okazję przez inżynierów, wymagało czasu. Trzeba jednak przyznać, że przeprawa przebiegła bez większych problemów. Tylko dwie łodzie wyróciły się, przez co ich pasażerowie znaleźli się w wodzie. Obciążeni pancerzem i bronią najemnicy szybko poszli na dno. To był drobiazg w porównaniu z siłą czekającą już na wschodnim brzegu. Podobnie jak w przypadku inwazji Aleksandra życie pojedynczego człowieka nie wydawało się istotne.

W pierwszych liniach każdego legionu maszerował *aquilifer*, w olśniewającym pancerzu z brązu i narzuconą na ramiona skórą wilka. Każdy z nich niósł drzewce ze srebrnym orłem, trzymającym w pazurach złote pioruny, i błyszczącymi krążkami *phalerae* legionu, przyczepionymi na drzewcu. Insignia legionu były dla każdego żołnierza niezwykle ważne, symbolizowały bowiem męstwo i odwagę jednostki.

Rozpostarte skrzydła orła tuż obok Romulusa żarzyły się w promieniach wschodzącego słońca. Chłopak trącił Brennusa, wskazując na *aquila* z dumą. Wydawało się, że gra światła była dobrym omenem i sądząc po zadowolonych szmerach w szeregach legionistów, ludzie zgadzali się w tej kwestii. Po tym, co stało się wcześniej, wszyscy potrzebowali jakiegoś znaku świadczącego o zmianie nastawienia bogów. W razie każdy żołnierz w armii wiedział, że Krassus upuścił serce byka.

Tymczasem Rzym znowu wydawał się niepokonany.

– Widziałem o wiele za dużo cholernych insigniów, takich jak ten, po przeciwnej stronie pola bitwy – stwierdził chmurnie Gal, kładąc rękę na rękojęści długiego miecza.

Tarkwiniusz nie powiedział nic, skupił się na przeczesywaniu nieba. W zasadzie od świtu nie wypowiedział słowa.

Żaden z przyjaciół Romulusa nie miał takiego podejścia do legionowych orłów

jak on. Nie identyfikowali się z Rzymem tak jak Romulus. Mimo że legiony były w pewnym sensie symbolem niewolnictwa, instynktownie czuł dumę, mogąc obserwować potęgę Rzymu. Urodził się niewolnikiem. Teraz był najemnikiem, ale wciąż pozostawał Rzymianinem.

Za chorążym maszerowało zwykle czterystu osiemdziesięciu legionistów pierwszej kohorty, składającej się z najlepszych ludzi. Za nimi podążało dziewięć kolejnych kohort takiej samej wielkości w każdym legionie, zatem znajdowało się prawie pięć tysięcy mężczyzn.

Rzymscy żołnierze ubrani byli identycznie. Nosili długie brązowe tuniki z tkaniny, przykryte kolczugą sięgającą ud; na stopach skórzane *caligae*, z podeszwą nabijaną metalowymi ćwiekami. Każdy legionista dźwigał ciężką *scutum*, w kształcie wydłużonego owalu. Ich głowy chronione były przez proste hełmy z brązu z ruchomymi napoliczkami i osłoną karku. Każdy żołnierz był uzbrojony w dwa oszczepy i gladius. Specjalne drewniane nosidło przerzucone przez ramię pozwalało umocować pozostały sprzęt i żywność.

Jednostki pomocnicze zachowały cechy charakterystyczne dla regionów, z których pochodziły. W oddziałach pod dowództwem Bassiusza znajdowali się przede wszystkim Galowie, więc powszechne były kolczugi, luźne tuniki i szerokie spodnie, włócznie, długie miecze, wydłużone prostokątne tarcze oraz sztylety. Żołnierze kohort z Kapadocji chronieni byli przez skórzane pancerze, a uzbrojeni w krótkie miecze i okrągłe tarcze. Grupę jednostek pomocniczych w armii Krassusa uzupełniali balearscy procarze, lekka piechota afrykańska oraz jazda iberyjska i galijska.

Poprzedniej jesieni armia Krassusa przekroczyła Eufrat, świadomie łamiąc traktat pokojowy sygnowany kilka lat wcześniej przez Pompejusza, grabiąc i plądrując nadgraniczne miasta Partów. Krassus potrzebował *casus belli*. Wtedy jednak takie przygraniczne wycieczki nie docierały dalej niż kilkadziesiąt mil rzymskich za granicę. Teraz przed wielkimi masami legionistów i najemników stało zupełnie inne wyzwanie. Mieli ruszyć daleko w głąb nieznanego terytorium.

Pomimo możliwości wyboru różnych tras Krassus zdecydował się poprowadzić armię przez jałowe ziemie Mezopotamii. Ta perspektywa przepełniała Romulusa niepokojem, ale jego przyjaciele, ludzie, których pokochał całym sercem, nie okazywali żadnych emocji. Brennus przycupnął nisko i pochylił się, pieszcząc dłonią głownię miecza, a młody Etrusk w milczeniu przyglądał się *aquila*.

Romulus przywołał w pamięci słowa Tarkwiniusza i odetchnął głęboko,

spoglądając na południowy wschód, w stronę pierwszego celu Krassusa – Seleucji – handlowej stolicy imperium Partów. Przy odrobinie szczęścia ta kampania skończy się pomyślnie.

Wreszcie odezwały się *bucinae*, wysyłając rozkazy wymarszu kolumny. Romulus poczuł pchnięcie w plecy. Wciąż był pogrążony w myślach i nie zareagował od razu, a w efekcie stojący za nim żołnierz walnął go mocno metalowym guzem tarczy. Rzymska armia działała jak dobrze naoliwiona maszyna, nie dając jednostkom ani chwili czasu na kontemplację.

Romulus spostrzegł, że Tarkwiniusz spogląda przez ramię na Legion VI, jednostkę regularnej armii, podążający bezpośrednio za najemnikami. Na ich oczach chorąży wstał i wyciągnął zakończone kolcem insygnia legionu z ziemi, przygotowując się do zajęcia pozycji w czole kolumny, w pierwszej kohorcie. Mężczyzna zrobił tylko jeden krok, gdy drzewce wyslizgnęły mu się z ręki, przez co srebrny orzeł obrócił się i wskazywał kierunek, z którego przyszli.

Rozległo się kilka westchnień zaniepokojonych żołnierzy. Romulus ciężko przełknął ślinę.

Brennus, który szczerze nienawidził wszystkich orłów legionowych, tylko zacisnął zęby.

To był już drugi zły omen w ciągu ostatnich godzin.

Tarkwiniusz uśmiechał się lekko. Na szczęście większość ich towarzyszy nie widziała, co się stało.

Romulus wciągnął do płuc gorące pustyne powietrze. *Zachowaj spokój.*

Weteran wielu wojen, centurion kohorty Legionu VI błyskawicznie przejął inicjatywę. Przesady nie powstrzymają go przed wypełnianiem rozkazów.

– Naprzód marsz! – ryknął. – Ruszać się!

Legioniści zareagowali odruchowo, nie chcąc narazić się na kary. Jednak formując kolumnę marszową, wielu z nich mrucało coś pod nosem. Nie było czasu zapytać Tarkwiniusza o znaczenie tego, co się właśnie wydarzyło.

Żołnierze zaczęli przyspieszać. Kolumna wzbiła ogromną chmurę pyłu. Wokół słychać było podobne rozkazy, wydawane przez pieklących się centurionów i *optiones*. Ludzie z kolejnych jednostek zbierali się do drogi, przygotowując swoje pakunki i zapasy. Z tyłu za żołnierzami podążały tabory z mułami, obładowanymi żywnością, złotem i sprzętem, a także częściami katapult. Ogromna kolumna rozciągała się na ponad dziesięć mil. Nieszczęśnicy, których wybrano do służby przy taborze, przeklinali, na czym świat stoi, bo przyszło im łykać pył wzbijany przez



stopy tysięcy legionistów maszerujących przed nimi.

Przez cały ranek obyło się bez żadnych incydentów. Głęboki piasek tłumił odgłosy maszerujących, skrzypienie skór i kaszel mężczyzn, oczyszczających drogi oddechowem. W stale rosnącej temperaturze wojsko przechodzące przez osady obserwowały niewielkie grupki mieszkańców pochodzenia greckiego, ludzie, którzy zamieszkiwali te obszary od setek lat.

– Tą samą drogą szedł Aleksander Wielki – powiedział podekscytowany Tarkwiniusz, gdy ich oczom ukazała się jakaś większa wieścina.

Zainteresowany Romulus przyjrzał się uważniej najbliższym budynkom wykonanym z suszonych na słońcu cegieł.

– Skąd możesz to wiedzieć?

Tarkwiniusz wyciągnął rękę.

– Ta świątynia ma doryckie kolumny i posągi greckich bogów. A my przekroczyliśmy rzekę w tym samym miejscu, w którym przeprował się Lew Macedonii. Jest to zaznaczone na mojej mapie.

Romulus uśmiechnął się szeroko na myśl o kolumnach elitarnych hoplitów, którzy tworzyli historię tego obszaru. Żołnierzy, którzy dotarli na skraj świata i wrócili do domów. Wydawało się, że dzięki Krassusowi mieli szansę na powtórzenie tego wyczynu.

– Krassus to nie Aleksander – stwierdził Tarkwiniusz ponuro. – Jest za bardzo arogancki. I brakuje mu talentu wnikliwego osądu.

– Nawet najlepszy generał może popełnić błąd – odezwał się Romulus, przypominając sobie jedną z lekcji Cotty. – Nawet Aleksander nie doceniał indyjskich słoni.

– Tyle że Krassus popełnił fatalny błąd jeszcze przed rozpoczęciem bitwy. – Etrusk się uśmiechnął. – To szaleństwo prowadzić armię przez pustynię, nie trzymając się rzeki.

Romulusa znów dopadły myśli dotyczące złych wróżb, więc zwrócił się do Tarkwiniusza z pytaniem o przyszłość. Ten jednak wzruszył tylko ramionami.

– Losy kampanii jeszcze się nie rozstrzygnęły. Żeby dowiedzieć się czegoś więcej, potrzebuję wiatru lub chmur.

Romulus uniósł głowę, spoglądając na jasne niebo. Panowała kompletna cisza.

Tarkwiniusz uśmiechnął się.

Romulus odpowiedział uśmiechem. Co innego mógłby zrobić? Teraz już nie było

odwrotu i mimo niepewnego losu czuł, że w jego żyłach krąży coraz więcej adrenaliny.

Brennus milczał, wracając myślami do obrazów żony i dziecka, Conalla i Braca. Jeśli miał umrzeć w tym dusznym piekle, chciał wiedzieć, że jego śmierć ma sens. Że Allobrogowie nie zginęli na próżno. Że nie zmarnował całego życia.

Wokół nich ciągnęły się tarasy pól uprawnych, nawadnianych przez kanały poprowadzone z Eufratu. Chłopi pracujący na polach obserwowali rzymską armię ze strachem w oczach. Mało kto odważył się pomachać do żołnierzy albo ich pozdrowić. Gdy trzydzieści pięć tysięcy uzbrojonych ludzi przesunęło się obok nich w ogromnej chmurze pyłu, większość wstrzymywała oddech. Hałas, jaki czyniła kolumna wojska, zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Armia tej wielkości w każdym języku znaczyła tylko jedno.

Wojnę.

Generał dosiadał ulubionego czarnego konia, trzymając się dobrze chronionego centrum kolumny. Za nim postępowali trębacze, gotowi natychmiast przekazać jego rozkazy. Krassus siedział okrakiem na bogato zdobionym filigranem siodle, z wystudiowaną niedbałością, na jaką stać tylko doświadczonych jeźdźców z wieloletnią praktyką. Jego nogi wisały swobodnie. Do kierowania koniem używał tylko wodzy.

– Dobry dzień na inwazję – powiedział głośno. – Bogowie nam sprzyjają.

Starsi oficerowie odpowiedzieli zgodnym chórem, dając do zrozumienia, że zgadzają się z tym stwierdzeniem wodza. Weterani straży przybocznej, maszerujący po obu stronach, bardzo starali się, żeby ich twarze nic nie wyrażały. Nikt nie odważył się wspomnieć o tym, co stało się wcześniej.

Krassus rozejrzał się po swoich przybocznych. *Żaden z tych sługusów nie ośmielił mi się sprzeciwić* – pomyślał ze złością. W końcu nadszedł jego czas. Gdy żołnierze opuścili obóz, ten głupi kapłan został ukrzyżowany i pewnie teraz dogorywał obok swojego martwego byka. To było jasne ostrzeżenie dla pozostałych augurów, żeby nie ośmielili się popełniać błędów. Obraz serca pokrytego piaskiem został zamknięty w najdalszych zakamarkach jego umysłu. To była tylko chwila niezręczności. Sztormy, które zatopiły tamte statki, to po prostu kaprysy pogody. Nie poinformowano go jeszcze o złym omenie i odwróconym orle.

– Po pokonaniu Królestwa Partów nikt w senacie nie będzie śmiał odmówić ci, panie, pełnego triumfu – odezwał się jeden z trybunów, starając się mile połechtąć

próżność dowódcy.

Krassus skinął łaskawie głową, słysząc to pochlebstwo. Myślał o tym, jak będzie wyglądać na ulicach Rzymu w złotym rydwaniu, z wieńcem laurowym na głowie. Wreszcie dorówna swoim partnerom w triumwiracie. Związek trzech wielkich obywateli Rzymu był efektem przypadkowego zbiegu okoliczności, a nie przyjaźni. Na początku triumwirat wydawał się dobrym pomysłem. Dzielenie się władzą przez ponad pięć lat nie powstrzymało ich od nieustannej rywalizacji i walki o dominację. Żaden z nich na razie nie mógł czuć się zwycięzcą, ale Krassus poniósł więcej porażek niż dwaj pozostali.

Dzięki propagandzie Pompejusza jego rola w stłamszeniu buntu niewolników została mocno umniejszona. Pozwolono mu jedynie na pieszą paradę, a nie na pełny triumf. Krassus przez lata musiał żyć w cieniu pozostałych członków triumwiratu, którzy odnosili większe sukcesy militarne. To go straszliwie irytowało. Choć Pompejusz był naprawdę utalentowanym wodzem i liderem politycznym, miał również niesamowitą zdolność do przywłaszczania sobie cudzych zwycięstw. *Przecież to Lukullus pokonał Mitrydatesa i Tigranesa w Azji Mniejszej – Krassus pomyślał z goryczą. A nie ten głupi, tłusty Pompejusz. To nie ma prawa się powtórzyć. Chwała zwycięstwa będzie moja. Cała moja.*

Jego myśli popłynęły do Juliusza Cezara, który zaczynał swoją karierę wojskową od podbicia Galii i Belgii, co przyniosło mu niewyobrażalne bogactwa. Teraz wydawało się, że ambicja Cezara nie zna granic. Krassus zaklął. Udzielenie temu młodemu arystokracie ogromnych pożyczek było błędem. Typowa taktyka uzależniania innych od siebie dzięki odmawianiu przyjęcia zwrotu należnych pieniędzy tym razem nie przyniosła spodziewanych efektów. Cezar spłacił całe swoje zadłużenie w charakterystycznym dla niego imponującym stylu, wysyłając do domu Krassusa karawanę mułów kilka dni przed jego wyjazdem do Azji Mniejszej. Zwierzęta dźwigały setki skórzanych worków, w których znajdowała się cała kwota pożyczki. Co do ostatniego sesterca! Krassus nie miał innego wyjścia, jak tylko przyjąć pieniądze. Skrzywił się, myśląc o tym, że został wymanewrowany przez Cezara, człowieka, który był o prawie połowę młodszy od niego. Nigdy więcej...

*Gdy Seleucja padnie, nikt nie będzie mógł zaprzeczyć mojemu geniuszowi. Przejmę kontrolę nad Rzymem. Sam.*

Kasjusz Longinus, najodważniejszy z jego legatów, spiął konia i zbliżył się do niego. Na pokrytej bliznami twarzy żołnierza wyraźnie rysowało się zaniepokojenie.

– Proszę o zgodę na rozmowę, *domine*.

– O co chodzi? – Krassus zmusił się do zachowania uprzejmego tonu głosu. Większość wyższych oficerów nie miała choćby w połowie tak dużego

doświadczenia, jak ten człowiek. Longinus był weteranem wielu wojen, toczonych od Galii po Północną Afrykę.

– O Armenię, panie.

– Rozmawialiśmy już na ten temat, legacie.

– Wiem, ale...

– Gdybyśmy postąpili tak, jak radził Artawazdes, to znaczy skierowali się na północ, ku ormiańskim góróm, a następnie na południe, stracilibyśmy trzy miesiące

– Krassus chwycił mocniej lejce. – A kierując się prosto na wschód, dotrzemy do Seleucji po czterech tygodniach.

Longinus milczał przez chwilę, zastanawiając się nad swoimi kolejnymi słowami.

– Czy to nie dziwne, że Artawazdes odmówił połączenia naszych sił? Władca Armenii od dawna jest lojalnym sojusznikiem Rzymu.

Zapanowała niezręczna cisza. Słysząc tylko dochodzące z daleka odgłosy wydawane przez muły z taboru. Każdy oficer wiedział, że Krassus niechętnie słucha podpowiedzi.

– Wycofał się natychmiast, jak tylko wspomnieliśmy o planowanej trasie – dodał Longinus.

– To nie z Rzymianami będziemy mieli do czynienia! – niezadowolony Krassus splunął na piasek. Nawet ta odrobina wilgoci wyparowała natychmiast, zanim zdążyła zmienić barwę żółtych ziarenek piasku. – Tym dzikusom nie można ufać.

– Właśnie o to chodzi, panie – wyszeptał Longinus. Spojrzył w kierunku Ariamnesa, noszącego drogie szaty dowódcy arabskich Nabatejczyków, który trzymał się bliżej zewnętrznego kręgu dostojników otaczających wodza.

Wojownik siedział na swojej białej klaczy w aroganckiej pozie, a jego siodło było jeszcze mocniej zdobione niż siodło Krassusa. Nawet wodze przeplecione zostały złotą nicią. Głowę konia ozdobiono pióropuszem pawich piór, które falowały delikatnie na wietrze. Na szczęście sam Ariamnes jechał z gołą głową. Skórzany płaszcz przykrywał jego kołczugę. Falę długich czarnych włosów podkreślały złote kołczyki na obu uszach. Bogato zdobione kołczany na strzały zwisały po obu stronach siodła, a wyglądający wyjątkowo paskudnie śmiercionośny łuk Nabatejczyk przewiesił przez prawe ramię.

– Dlaczego mamy wierzyć temu perfumowanemu wężowi? Artawazdes jest sojusznikiem godnym zaufania. Nie to, co ten tu... – mruknął Longinus.

Krassus uśmiechnął się.

– Ariamnes może mieć kiepski gust, jeśli chodzi o zapachy, ale ma ze sobą ponad sześć tysięcy jeźdźców. I zaproponował, że poprowadzi nas prosto do Seleucji. A tam właśnie zamierzam dotrzeć – Krassus machnął w stronę wojownika. – Zapomnij o Artawazdesie!

– Mam zapomnieć też o wodzie dla żołnierzy, panie?

Słyszając tę wymianę zdań, legaci spojrzeli na Krassusa. Wszyscy martwili się o wodę, ale nikt nie ośmielał się mówić o tym głośno.

Longinus wyczuł ich niepokój.

– Tygrys wypływa z ormiańskich wzgórz i płynie na południe. Aż do Seleucji.

– Dość! – ryknął Krassus. – Dotarcie do miasta nie zajmie nam dużo czasu. Ariamnes mówi, że Partowie i tak już uciekają w przerażeniu ze swojej stolicy. Czy nie mówię prawdy? – zawołał.

Nabatejczyk odwrócił się i ruszył w stronę Krassusa. Jego koń tańczył na piasku. Gdy był już blisko, uklonił się w pas, po czym wbił wzrok w Krassusa i ani na chwilę nie spuszczał go z oczu, w ciemnej oprawie z kohlu, uniósł lewą rękę do serca.

– Wrogie szeregi topnieją już od chwili, gdy twoje legiony przekroczyły rzekę, ekscelencjo.

– Widzisz? – Krassus promieniał. – Nic nie powstrzyma mojej armii!

Longinus skrzywił się, taksując podejrzliwie wojownika o brązowej skórce. Wysmarowane oliwą loki, perfumy i zakrzywiony łuk... Ten człowiek na milę śmierdział zdradą. A Krassus nie może lub nie chce tego dostrzec. Legat zacisnęła zęby i oddalił się, żeby spróbować przemówić do rozumu Publiusza, który prowadził galijską jazdę na prawym skrzydle armii.

Ani jeden ze zdolniejszych dowódców Cezara z czasów jego kampanii w Galii nie zamierzał się jednak sprzeciwić Krassusowi. Każdy chciał mieć swój udział w zwycięstwie.

– Mój ojciec jest bohaterem, legacie – stwierdził jowialnie krępy arystokrata. – Ochronił Rzym przed Spartakusem. Uratował Republikę.

*I ten głupiec od tego czasu nie dowodził armią* – pomyślał Longinus.

– Musisz zawierzyć jego osądowi. Ma nosa do złota, tak jak ja wyczuwam dziewice!

– Nie mamy dość kawalerii, żeby stawić czoła partyjskim łucznikom i katafraktom – upierał się Longinus.

– Dwa tysiące Galów i Iberyjczyków oraz sześć tysięcy ludzi Ariamnesa to więcej,

niż potrzebujemy.

– Wierzysz, że ci Nabatejczycy będą walczyć tak samo dobrze jak Ormianie?

– Jakim byłbym synem, gdybym nie ufał własnemu ojcu?

Nikt nie słuchał Longinusa. Legat pogalopował na czoło kolumny. Jak bardzo pragnął, żeby tą armią dowodził Juliusz Cezar!

## Rozdział XXI

# *Partia*



**O**d czasu opuszczenia obszarów nadbrzeżnych Azji Mniejszej przed wieloma miesiącami szlak armii prowadził w głąb lądu, gdzie nie docierały już chłodne podmuchy wiatru znad morza. Średnia dzienna temperatura z każdą milą rosła, osiągając nowe szczyty w Syrii i Mezopotamii. Początkowo Krassus podejmował decyzje zgodne ze zdrowym rozsądkiem, prowadząc armię wzdłuż biegu rzek i koryt strumieni, dzięki czemu legiony pokonały większość trasy, nie cierpiąc z powodu braku wody. Jednak teraz miało się to zmienić.

Krótkotrwały chłód świtu odszedł w zapomnienie, pozostawiając żołnierzy na

łase bezlitosnego słońca. Żółta kula szybko wspięła się wysoko, wypełniając jasnością całe niebo i siekąc ziemię palącymi promieniami. Nawadniane pola uprawne z palmami dającymi odrobinę cienia stawały się coraz rzadszym widokiem, a potem zupełnie zniknęły. Pięć mil w głąb łądu od linii Eufratu zniknęły też wszelkie znaki świadczące o tym, że w pobliżu żyją jacyś ludzie. Wkrótce wąska droga, którą przemieszczały się legiony, zmieniła się w ścieżkę prowadzącą pomiędzy wzniesieniami falistych wydm, a potem... nagle skończyła się i ona.

Widok, który ujrzeli, sprawiał, że nawet najbardziej doświadczonym weteranom włosy stawały dęba.

Jak okiem sięgnąć, rozpościerała się przed nimi przerażająca piaszczysta pustka. Czekala na nich spalona słońcem pustynia. Z gardeł legionistów wyrwały się zrezygnowane jęki. Morale upadło. Kohorty zatrzymały się niespodziewanie, grzęznąc w głębokim piasku, który bardzo utrudniał marsz.

– Krassus oszalał! – krzyknął wściekle Brennus. – Nikt tam nie przetrwa.

– Tak musi wyglądać Hades – skomentował Tarkwiniusz – ale skoro udało się Grekom, uda się i nam.

– Żadnego życia, tylko piasek – Romulus próbował sięgnąć wzrokiem linii horyzontu, ale stwierdził, że oczy płatają mu figla, gdyż dostrzegał tylko migoczącą, lśniąca poświatę. Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

– Na co czekacie? Próżniaki! – wrzasnął Bassiusz, a jego *phalerae* na piersi zadźwięczała donośnie. – Naprzód marsz! Ruszać się!

Jeszcze raz fantastyczne zdyscyplinowanie rzymskiej armii przeważyło szalę. Najemnicy wkroczyli na otwartą pustynię, wciągając spazmatycznie do płuc gorące powietrze. Po chwili wszyscy poczuli, jakby ich stopy w *caligae* przypiekano gorącym żelazem. Kolczugi nagrzewały się i parzyły ciało. Odsłonięta skóra natychmiast pokrywała się czerwonymi oparzeniami. Mimo surowych nakazów oszczędzania wody ludzie zaczęli często sięgać po bukłaki.

Romulus miał właśnie zrobić to samo, gdy Tarkwiniusz chwycił go za rękę.

– Stój! Najbliższa studnia znajduje się dalej niż dzień drogi stąd.

– Ale ja wysycham na wiór! – zaprotestował chłopak.

– Tarkwiniusz ma rację – dodał Brennus. – Musisz pogodzić się z tym pragnieniem i oszczędzać wodę.

Nie zmieniając tempa marszu, Tarkwiniusz pochylił się i podniósł z ziemi trzy gładkie kamyki. Wręczył po jednym przyjaciołom, a ostatni włożył do ust.



– Umieście kamień pod językiem.

Brennus uniósł brwi.

– Oszalałeś?

– Zrób, jak mówię – powiedział Tarkwiniusz z enigmatycznym uśmiechem.

Usłuchali. Ze zdumieniem stwierdzili, że w ustach błyskawicznie zaczęła zbierać się ślina.

– Widzisz? – Tarkwiniusz zachichotał. – Trzymajcie się mnie, a daleko zajdziecie!

Brennus nic nie powiedział, poklepał tylko Etruska po ramieniu. Cieszył się na myśl o tym, że haruspik ciągle miał dla nich jakieś niespodzianki.

Uspokojony nieco Romulus przedzierał się przez głęboki piasek z młodzieńczym zapałem. Chłopak czuł się odrobinę pewniej, bo powtarzał sobie, że z Brennusem i Tarkwiniuszem u boku nic złego nie może mu się stać. Selekcja padnie w ciągu kilku dni, a oni zdobędą fortunę. Wtedy, aby wrócić do Rzymu, będzie musiał wymyślić tylko, jak przekonać innych o tym, że nie jest winny śmierci patrycjusza. Nie wiedział jeszcze, jak i gdzie miałyby zdobyć ów dowód, ale zostawił w stolicy niedokończone sprawy. Miał uratować matkę i odnaleźć Fabiolę. Zabić Gemellusa.

Rozpocząć bunt niewolników.

Maszerowali przez większość popołudnia, gdy z przodu usłyszeli okrzyki ostrzegawcze.

– Wróg w zasięgu wzroku!

Wszystkie oczy zwróciły się na południowy wschód.

Romulus przyglądał się skałom i wydmom piasku, ale nie potrafił dostrzec niczego niepokojącego.

Brennus zmrużył oczy przed oślepiającym słońcem.

– Tam! – wyciągnął rękę. – Na prawo od jeźdźców straży przedniej. Jakaś mila przed nami.

W miejscu, które wskazywał Gal, Romulus dostrzegł tylko słabą smugę zwijającą się w delikatną mgiełkę piasku.

Chmura pyłu powoli rosła, aż stała się widoczna dla wszystkich. W ciepłym, nieruchomym powietrzu niósł się odgłos końskich kopyt. Gdy tylko o zbliżającym się wrogu powiadomiony został starszy oficer, zabrzmiały rozkazy zatrzymania kolumny. Żołnierze stanęli z westchnieniami ulgi, wbijając w ziemię drzewca oszczepów i tarcze. Czekali na dalsze rozkazy.

– Zachować ostrożność. Napijcie się wody, ale nie za dużo! – Bassiusz

przechadzał się w tę i z powrotem wzdłuż linii kohorty, udzielając wskazówek swoim żołnierzom.

– Nasza jazda przeprowadzi rozpoznanie i wtedy dowiemy się, czy jest się czym martwić.

– I tak nie ma gdzie iść. Chyba że pod najbliższą wydymę.

Anonimowy komentarz sprawił, że kilku tych żołnierzy, którzy go usłyszeli, roześmiało się głośno.

– Cisza w szeregach! – ryknął Bassiusz.

W reakcji na rozkazy przekazywane sygnałami dźwiękowymi jazda znajdująca się najbliżej wroga ruszyła w jego kierunku. Jasna cera jeźdźców, długie włosy i wąsy kazały przypuszczać, że oddział należy do jazdy galijskiej. Niektórzy nosili kolczugi, ale wielu nie miało na sobie żadnych elementów ochronnych, pokładając wiarę w szybkość i zwinność. Nie odjechali na długo. Większość wróciła na pozycję, a jeden z jeźdźców ruszył do środka kolumny z raportem.

– Co widziałeś? – zawołał Brennus, gdy *decurion* znalazł się bliżej.

Bassiusz spojrzał na Gala krzywym wzrokiem, potępiając tę niesubordynację, ale milczał, bo sam też chciał wiedzieć, co się dzieje.

– Kilkuset Partów – odparł lekceważąco *decurion*.

Rozległy się pomruki podekscytowanych żołnierzy.

Wieści nie wydawały się na tyle istotne, żeby zaalarmować Krassusa. Chwilę później rozległy się sygnały nakazujące wznowienie marszu. Romulus stwierdził, że tempo całej kolumny wzrosło, bo musiał iść coraz szybciej. Widok wroga wpłynął na zmianę perspektywy. Pustynia nie wydawała się już bezkresną pustką.

Grupa jeźdźców szybko zbliżyła się na tyle, że Rzymianie mogli przyjrzeć się poszczególnym żołnierzom wroga. Kawalerzyści partyjscy trzymali się w odległości około ćwierć mili od rzymskiej awangardy. Po chwili zbliżyli się jeszcze bardziej i stanęli w bezruchu. Siedzieli okrakiem na niskich, zwinnych konikach. Każdy z nich miał na sobie lekką kamizelkę, mocno zdobione, osłonięte i wzmocnione spodnie oraz stożkowe nakrycie głowy ze skóry. Po lewej stronie na pasach wisały duże tytkwy z wodą. Wszyscy uzbrojeni byli w zakrzywione łuki kompozytowe, podobne do łuków używanych przez Nabatejczyków.

– Oni nawet nie mają żadnej zbroi – powiedział Brennus z pogardą w głosie.

Przeciwnicy nie robili wielkiego wrażenia. Trudno było się ich bać. Jeśli ci konni łucznicy to wszystko, co Partowie mogli im przeciwstawić, to rzymska armia nie

miała się czego obawiać.

– To tylko lekka jednostka harcowników – stwierdził Tarkwiniusz. – Mają nas zmiękczyć przed szarżą katafraktów – słowa Tarkwiniusza zabrzmiały złowieszczo. – Te łuki wykonuje się z kilku warstw drewna, rogu i ścięgien. To daje im dwukrotnie większą siłę przebicia.

Brennus zmrzył oczy. Jeśli posługując się galijskim łukiem, może przebić rzymską kolczugę, to czego są w stanie dokonać łuki Partów? Na tę myśl przebiegł mu po plecach dreszcz.

Tarkwiniusz miał coś jeszcze powiedzieć, ale w pobliżu pojawił się Bassiusz ze swoją nieodłączną różgą z winorośli.

Partowie siedzieli na koniach bez ruchu, dopóki Publiusz nie zdecydował się odpowiedzieć na rzucone przez nich wyzwanie. Rzymianin wydał rozkazy, żeby przygotować się do szarży. Jednak jego ludzie pokonali zaledwie jakieś sto kroków, kiedy wrogowie zawrócili konie i pogalopowali, oddalając się od rzymskich linii i zostawiając cięższe konie galijskiej jazdy daleko w tyle. Gdy jednak Galowie zatrzymali się, żeby oszczędzać siły wierzchowców, łucznicy zawrócili i zaczęli ich prowokować.

Publiusz obserwował uważnie przeciwnika i nie pozwolił na atak.

Nagle w powietrze wzbiła się fala syczących strzał. Śmiercionośny deszcz powalił wielu galijskich jeźdźców. Rozwścieczeni kawalerzyści rwali się do szarży i przeciwko Partom ruszyły trzy luźne grupy.

– Gdzie ich dyscyplina? Głupcy myślą, że dadzą radę ich dopaść – powiedział Tarkwiniusz. – Przecież to nie piechota!

Zafascynowany Romulus obserwował, jak nieregularna jazda pędzi w kierunku konnych łuczników, wzbijając w powietrze tumany piasku. Przyzwyczajeni do łatwego rozbijania szyków przeciwnika Galowie wyli i hukali. Mógł sobie tylko wyobrażać, jak przerażające wrażenie robi taki atak na piechocie. Jako że armii Republiki brakowało jednostek własnej kawalerii, bazowała na najemnikach z plemion, takich jak Galowie i Iberowie. Uzbrojeni w lance lub oszczepy oraz długie miecze jeźdźcy spełniali zadanie tarana do rozbijania formacji wroga.

Nieprzemyślany atak był właśnie tym, czego życzyli sobie Partowie. Zaczęli się wycofywać klusem, po czym jeźdźcy obrócili się z wdziękiem w siodłach i podjęli ponowne ostrzeliwanie swoich prześladowców. W powietrzu zaroilo się od strzał, a Romulus aż otworzył usta zdumiony celnością łuczników. Nie minęło dużo czasu, a z dziewięćdziesięciu Galów, którzy rzucili się na Partów, przy życiu pozostało

raptem trzydziestu. Na trasie ich ataku leżały zwłoki, które barwiły piasek na czerwono. Dziesiątki koni bez jeźdźców galopowały bez celu w tę i z powrotem. Wiele z nich szarpało się z bólu i kopało kopytami piasek. Ci, którym udało się przetrwać, zawrócili i zaczęli uciekać. Kolejni jeźdźcy padali na ziemię. Publiusz rozkazał trąbić na odwrót i wycofał się pod ochronę głównej kolumny, oddając pole zwyciężskim Partom.

Ani jeden wojownik wroga nie zginął w tej potyczce.

– Oni nawet nie patrzyli, gdzie jadą – odezwał się Brennus pełnym szacunku głosem.

– Mówiłem przecież, że to nie piechota.

– Widziałeś ich wcześniej? – spytał Romulus.

– Słyszałem, co mówili Ormianie. Nasi wrogowie znani są z tego, że potrafią obracać się w siodle i razić przeciwnika w ruchu, trzymając dystans. To się nazywa „partyjski strzał”.

– Ci Galowie nie mieli szans...

– Ataki łuczników mają osłabiać wroga. A gdy ten znajduje się w rozsypce, do ataku rusza ciężka jazda – Tarkwiniusz się skrzywił. – A potem wszystko się powtarza.

– Dyscyplina! – zawołał Brennus. – Rzymska ściana z tarcz może znieść wszystko, jeśli tylko żołnierze zachowają spokój. – Uderzył potężnie w swoją tarczę i od razu zaczął wątpić we własne słowa.

Tarkwiniusz nie skomentował. To było niepokojące.

Romulus stwierdził, że prawie niemożliwe jest zignorowanie martwych Galów. Brak powściągliwości ściągnął na nich śmierć. Ich ciała leżące w piasku stały się ponurym *memento*, przypominającym wszystkim, co stało się z tymi, którzy nie posłuchali rozkazów. Romulus miał nadzieję, że to nauczy Krassusa oszczędnie korzystać ze swojej kawalerii. Zawołane komentarze Etruska dotyczące słabości rzymskiej armii, której brakowało jazdy, nabierały więcej sensu i Romulus zaczął się coraz bardziej martwić.

Wysoko nad nimi, na lazorowym niebie pojawiła się grupa sępów.

Tarkwiniusz długo się im przyglądał.

Zaintrygowany Romulus wpatrywał się w szerokie końcówki skrzydeł przemieszczających się w tle wielkiego dysku słońca ptaków. Dwanaście sępów. Nie więcej niż zwykle. Jednak kiedy Etrusk spuścił w końcu wzrok, jego przyjaciele

stwierdzili, że wydaje się bardzo zaniepokojony.

– Czy kiedykolwiek się myliłeś, Olenusie? – Tarkwiniusz powiedział do siebie. – Dwanaście.

– Co widzisz? – zapytał Romulus.

– Nie jestem pewien – odpowiedział Tarkwiniusz wymijająco.

Było oczywiste, że coś ukrywa.

Romulus chciał się odezwać, ale Brennus podniósł palec do ust, próbując zapomnieć o prorocztwie Ultana.

– Powie nam, gdy przyjdzie właściwy czas. Nie wcześniej.

Teraz, gdy znajdował się ponad tysiąc mil od Galii Zaalpejskiej, potężny wojownik stwierdził, że wcale nie chce wiedzieć, czy czeka go śmierć na pustyni.

Romulus wzruszył ramionami. Nie ma sensu naciskać. Prognozy Etruska na razie dobrze im służyły. Otarł pot z czoła.

– Ile to jeszcze potrwa, zanim staną do otwartej walki? – spytał ze złością. – Dlaczego te sukinsyny nie walczą jak mężczyźni?

Daleko z przodu na horyzoncie majaczyła linia jeźdźców.

Po galijskiej szarzy wrogowie wycofali się na większą odległość, dając Krassusowi nieco czasu do namysłu. Jednak generał nie wydał żadnych nowych rozkazów, więc najemnicy smagani słońcem uparcie brnęli przez głęboki piasek.

– Wrócili po strzały – odezwał się Etrusk.

Brennus uśmiechnął się niepewnie.

– No to zaraz będą z powrotem.

Romulus uniósł pięść i pogroził odległym wrogom.

– Chodźcie tu i walczcie! – wykrzyknął.

– Mają naprawdę prosty plan – Tarkwiniusz wskazał otaczających ich ludzi. – Chcą nas zmęczyć.

Wystarczył jeden dzień w tym piekielnie gorącym pustynnym piecu, żeby armia Krassusa poniosła spore straty. Zamiast maszerować w zwartym szyku, większość kohort podzieliła się na mniejsze oddziały. Słońce wysysało energię ze zmęczonych żołnierzy. Bukłaki już dawno były puste, a słabsi mężczyźni zaczynali się chwiać z wyczerpania. Niektórzy podpierali się na ramionach silniejszych towarzyszy, jednak co rusz z kolumny wypadał jakiś legionista, lądując bezwładnie w piasku. Po kilku kopniakach i razach oficerów większość wstawała znów na nogi, ale wielu pozostawało niezauważonych, czekając już tylko na śmierć. Tak słaba dyscyplina

zwykle nie byłyby tolerowana, jednak niezmiernie zmęczeni centurionowie sami nie mieli już sił krzyczeć na maruderów. Dobrze, że legiony w ogóle się przemieszczały, chociaż pod ciężarem kolczugi, tarcz, oszczepów i innego sprzętu wojskowego wszyscy ledwo trzymali się na nogach. Wyjątkiem był Brennus.

Galijscy jeźdźcy zajęli teraz pozycję na boku kolumny. Ich wielkie konie bojowe również wydawały się mocno zmęczone. Za to koniki Nabatejczyków zdawały się lepiej przyzwyczajone do trudnych pustynnych warunków, a dosiadający ich jeźdźcy wesoło gawędzili i zdawali się nie dostrzegać powagi sytuacji.

– Nie widać, żeby specjalnie cierpieli, co? – Brennus wskazał najbliższych Nabatejczyków.

– Będziesz jeszcze dziękował, że są z nami, gdy przyjdzie stanąć do walki z głównymi siłami Partów – zauważył Romulus.

– Możliwe. Tylko że jakoś im nie ufam – Gal wymruczał groźnie. – Ciągłe się tylko szczerzą. Patrz!

Romulusowi też niezbyt podobały się podejrzane spojrzenia, które Nabatejczycy rzucali w ich kierunku.

– Bardziej by się nam przydało kilka tysięcy galijskiej jazdy.

– Nie, jeśli mają radzić sobie tak słabo, jak ci nieszczęśnicy za nami – zauważył Tarkwiniusz.

Z myślą o ulżeniu sobie w cierpieniach Romulus przesunął swoje nosidło z dala od miejsca otarcia. Jednego z wielu. Mało brakowało, a uderzyłby w głowę żołnierza znajdującego się bezpośrednio za nim.

– Uważaj, co robisz – żołnierz zaklął – albo poczujesz w tyłku czubek mojego gladiusa.

Romulus go zignorował.

– A dlaczego nie poszliśmy przez Armenię? – zastanawiał się na głos. – Krassus musiał wiedzieć, że tak byłoby łatwiej. – Tarkwiniusz już wcześniej nie ukrywał swojego niezadowolenia, gdy stało się jasne, że armia nie skieruje się dłuższą, ale bezpieczniejszą trasą.

– Niecierpliwosc. Teraz do Seleucji dziela nas tylko cztery tygodnie.

– Miesiac w tym piekle? – Brennus przewrocil oczami. – A co z wodą?

– Niedaleko lezy Resen, jedno z miast moich przodkow. Tyle ze w przeciwnym kierunku od tego, w ktorym zmierzamy – dodal z zalem Etrusk. Zniyzyl glos. – I mniej ludzi zgineloby w gorach.

Romulus zauważył, że Tarkwiniusz znów spogląda na niebo. Czuł, że jego podejrzenia powoli przemieniają się w pewność.

Tarkwiniusz wskazał na majaczących w oddali Partów.

– Powinniśmy walczyć z nimi na naszych warunkach, nie na ich.

– To prawda – zgodził się Gal. – Tereny górzyste lepiej pasowałyby nam niż ta płaska patelnia.

– Dokładnie tak.

– To właśnie zrobiliśmy Rzymianom w pierwszym roku wojny – zadumał się Brennus. – Zaatakowaliśmy ich na własnej ziemi. Na naszych warunkach.

– A teraz Partowie robią to samo z nami – Romulus wtrącił swoją uwagę. – Krassus musi korzystać z Nabatejczyków do ochrony kolumny.

Brennus skinął głową z aprobatą, a cień, jaki pojawił się na twarzy Tarkwiniusza, pozostał niezauważony. Chciał udać się na Wschód. Jego marzenie się spełniło, ale przyjdzie mu ponieść o wiele większe koszty, niż się spodziewał.

Słowa Tarkwiniusza znowu okazały się prorocze. Po kilku godzinach grupy partyjskich konnych łuczników zbliżyły się do kolumny, starając się prowokować Galów do pościgu. Gdy jazda Publiusza reagowała, Partowie zasypywali ją deszczem strzał. Gdy trzymała się swoich pozycji, jeźdźcy wroga używali ich jako ćwiczebnych celów. Bez łuków Galowie byli bezradni i nie mogli w żaden sposób odpowiedzieć przeciwnikowi. A kilka ataków kosztowało ich dziesiątki zabitych.

Tymczasem Nabatejczycy wydawali się odporni na wszelkie prowokacje. Gdy Partowie zbliżali się do nich, wysyłali serię strzał. Ta taktyka sprawdzała się. Krassus w końcu to zrozumiał i nakazał podzielić jazdę Ariamnesa tak, żeby poszczególne jej oddziały osłaniały całą kolumnę. To dodało najemnikom trochę otuchy.

Armia zmierzała nieustępliwie naprzód, brodząc przez głębokie piaski.

Wkrótce Partowie dostosowali się do zmienionej taktyki i rozpoczęli ataki nękające. Grupy jeźdźców wybierały miejsca niechronione przez Nabatejczyków i atakowali z zaskoczenia zza dużych wydm. Takie uderzenia trudniej było przewidzieć. Żołnierze zajmujący miejsca w pierwszym zewnętrznym szeregu stali się ekspertami od obłoków piasku wznoszonego w powietrze przez konie wroga, ostrzegając jak najszybciej innych, że atak jest nieunikniony.

– Stop! Tarcze! – całe popołudnie te komendy odbijały się echem w kolumnie. – Formować żółwia!

Mimo wyczerpania żołnierze nauczyli się reagować błyskawicznie. Każdy bok

rzymskiej kolumny stawał się ścianą tarcz, a ludzie wewnątrz unosili je tak, żeby stworzyć coś w rodzaju dachu nad głowami towarzyszy.

Jednak bez względu na to, jak szybko reagowali, gdy obsypywał ich grad strzał, zawsze gdzieś rozlegały się okrzyki bólu. Pociski odnajdywały najmniejsze luki w ochronnej „skorupie” żółwia albo tych, którzy spóźniali się z wykonaniem rozkazów. Wróg szybko zorientował się, że celowanie powyżej i poniżej tarcz przynosi dobre efekty. Żołnierze padali na ziemię, łapiąc się za gardła, ramiona i nogi. Syk lotek mieszał się z krzykami rannych w straszliwym crescendo.

Romulus był zadowolony, że Brennus uparł się, żeby kupić ciężkie legionowe *scuta*. Inni Galowie z tej samej kohorty dźwigali tradycyjne tarcze w kształcie wydłużonego prostokąta, znacznie cieńsze niż tarcze znajdujące się w standardowym wyposażeniu rzymskiej armii. Szybko stało się jasne, że nie zapewniały one zbyt dobrej ochrony przez pociskami miotanymi przez wrogów. Jeśli Partowie zbliżyli się na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt kroków, ich strzały z łatwością przebijały tarcze każdego typu. Jeśli byli dalej, przebijały tylko tarcze Galów. To było małe pocieszenie. Przez cały dzień Partowie trzymali się na dystans, pozostając poza zasięgiem rzymskich *pila*, które na odległości wynoszącej ponad trzydzieści kroków były nieskuteczne. Na szczęście ich ataki nie trwały długo. Partowie wycofywali się, gdy Nabatejczycy pojawiali się z odsieczą lub gdy kończyły im się strzały.

Po południu łączna liczba ofiar wśród najemników, zabitych lub rannych, przekroczyła czterdzieści. Martwych żołnierzy zostawiano na piasku. Krążące na niebie sępy szykowały się na ucztę. Maszerująca armia zostawiała rannych pod opieką kilku zdrowych żołnierzy. Gdy na miejscu pojawiał się tabor, rannych ładowano na wozy. Ich krzyki i jęki przyczyniały się do dalszego upadku morale, wzrostu poczucia strachu i niepokoju.

A słońce nadal prażyło niemiłosiernie. Znaleźli się w piecu, z którego nie było ucieczki. Armia Krassusa traciła zdolność stawiania oporu.

Nie tak Romulus wyobrażał sobie smak bitwy. Cotta opowiadał mu o armiach ścierających się na rozległych równinach i długich liniach mężczyzn, zderzających się pod osłoną tarcz. To, co tu się działo, zupełnie nie przypominało obrazów podsuwanych przez jego wyobraźnię. Gdy towarzysze padali pod strzałami Partów, mógł tylko zaciskać zęby. Tego dnia nawet walki na arenie wydały mu się łatwizną. Tam chodziło o to, aby dowieść swojej wyższości w pojedynku jeden na jeden. Mężczyzna przeciwko mężczyźnie. Taktyka polegająca na wyczerpaniu przeciwnika była mu obca. Znoszenie ciosów bez możliwości odpowiedzi stawało się istną



torturą.

Gdy większa grupa partyjskich jeźdźców została przegoniona przez Nabatejczyków, pojawił się samotny łucznik. Przez jakiś czas jechał równolegle z najemnikami i wypuszczał strzały w nieregularnych odstępach, trzymając się poza normalnym zasięgiem oszczepów. Pół tuzina strzał później pięciu towarzyszy Romulusa leżało martwych, a szósty został ciężko ranny. Maszerujący żołnierze kulili się za tarczami i każdy miał nadzieję, że nie będzie następną ofiarą. Romulus uznał, że dłużej tego nie zniesie i musi coś zrobić.

– Skurwysyn! – wrzasnął. Przygotowywał się właśnie do wyjścia z szyku, ale Brennus szybko złapał go za ramię.

– Czekaj!

– Mogę go zabić – odpowiedział Romulus, biorąc głęboki oddech. Najwyższy czas jakoś się im odpłacić. Zbyt wielu towarzyszy leżało martwych w piasku.

– On wystrzeli trzy strzały, zanim ty zrobisz dziesięć kroków!

Romulus strząsnął rękę Gala z wyrazem dumy na twarzy.

– Jestem mężczyzną, Brennusie, a nie chłopcem. Sam podejmuję decyzje.

Jego komentarz zrobił na Brennusie większe wrażenie, niż się spodziewał. Gal nie protestował. Pomyślał tylko: *Ten chłopak jest taki sam jak Brac*. Tarkwiniusz nie wyglądał na zaskoczonego.

W rzucaniu *pila* szkolili się miesiącami. Romulus opuścił kolumnę.

– Wracaj do linii, żołnierzu! – wrzasnął Bassiusz.

Ignorując rozkaz, Romulus wbił w piasek drugi oszczep i skoncentrował się na partyjskim jeźdźcu. A ten był tak bardzo pewny siebie, że pozwolił, aby jego koń zwolnił kroku. Uśmiechał się, widząc, jak Romulus robi kilka kroków do tyłu i przygotowuje się do rzutu.

Brennus wstrzymał oddech, ale arogancki jeździec nawet nie unióśł łuku.

– Strata czasu... – odezwał się jakiś żołnierz dwa szeregi dalej. – Jest za daleko.

Centurion miał właśnie krzyknąć jeszcze raz, ale nie zrobił tego.

Romulus jęknął z wysiłku i wyrzucił oszczep w powietrze. Pocisk wzbił się trochę wyżej po łuku, po czym runął ostro w dół, wbijając się w pierś Parta.

Gdy łucznik pochylił się w siodle i zwałił na ziemię bez ducha, rozległ się głośny ryk aprobaty uradowanych najemników. To był niesamowity rzut i bez wątpienia wpłynął na poprawę morale kohorty.

Romulus wrócił na swoją pozycję w kolumnie, a Brennus poklepał go po

ramieniu.

– Świetny rzut.

Chłopak aż pęczniał z dumy.

Późnym popołudniem upał nieco zelżał i Partowie w końcu zostawili ich w spokoju. Armia pokonała tylko piętnaście mil, a nie regulaminowe dwadzieścia, ale Krassus zarządził postój, żeby nie ryzykować utraty jeszcze większej liczby ludzi. Mimo że żołnierze byli naprawdę wyczerpani, połowę z nich oddelegowano do prac ziemnych przy budowie obozu.

– Dzięki bogom, że my kopaliśmy wczoraj – zauważył Tarkwiniusz po usłyszeniu rozkazu.

Brennus pozwolił sobie na łyk ze swojego bukłaka.

– Tylko że jutro będzie nasza kolej.

Wdzięczni losowi, że to nie oni muszą kopać w gorącym piasku, Galowie z najemniczej kohorty rozproszyli się po łuku, zapewniając osłonę robotnikom i połowie Legionu VI. Ich zadanie sprowadzało się teraz do tego, aby chronić tych, którzy zajęli się pracami inżynieryjnymi. Nieszczęśliwi legionieści zrzucili ciężkie jarzma i głośno przeklinając, zabrali się do pracy z łopatami.

Na całej pustyni w zasięgu wzroku inne legiony robiły to samo. Nim zaszło słońce, wzniesiono szaniec, wykorzystując ziemię z rowów obwodowych. Nawet mimo ekstremalnych warunków wytrzymałość i surowa dyscyplina w armii sprawiały, że mogła ona funkcjonować. Rzym potrafił zostawić piętno cywilizacji w każdym zakątku świata.

Późnym wieczorem słońce zmieniło kolor. Z żółtego stało się pomarańczowe, by ostatecznie zmienić barwę na krwistoczerwoną. Siedzący obok namiotu Romulus wpatrywał się w horyzont. Czuł się nieswojo. Nie uczestniczyli w prawdziwej walce. Jeśli nie liczyć jego niesamowitego rzutu oszczepem, wszystkie potyczki kończyły się zwycięstwami Partów. Pomimo ostrzeżeń Tarkwiniusza uświadamiane fakty zaczęły mu się coraz mniej podobać. Wszystkie wojny, o jakich słyszał, kończyły się zwykle wielkimi zwycięstwami nad tymi wrogami, którzy byli na tyle głupi, aby sprzeciwić się Republice. Wyjątki od tej reguły zdarzały się niezwykle rzadko. Nieważne, kim byli wrogowie Rzymu. Zbuntowany król Jugurta w Afryce, Hannibal z Kartaginy... wszyscy ponieśli klęskę w starciu z Republiką.

Jednak spaleni słońcem, wyczerpani ludzie, których widział dzisiaj, nie byli gotowi, żeby stanąć do bitwy. Puste twarze. Oczy wpatrujące się w przestrzeń. Zmęczone szczęki żujące suchy prowiant. Ludzie leżeli, gdzie tylko się dało,

odrzucając broń. Wydawało się, że żołnierzom Krassusa jest wszystko jedno. Nie obchodzi ich, co się z nimi stanie.

Romulus poczuł dreszcz strachu pełnący po plecach. Jak armia składająca się prawie wyłącznie z piechoty może pokonać taką, na którą składa się tylko jazda?

– Jak Krassus ma wygrać tę konfrontację? – zastanawiał się na głos.

Siedzący obok niego Etrusk przestał żuć.

– To proste. Zmuszając Partów do walki przeciwko głębokiej formacji piechoty.

A kiedy tak się stanie, nasi jeźdźcy muszą zająć pozycje na skrzydłach.

– Żeby zapobiec oskrzydleniu – dodał Brennus.

– Co mieliby robić piesi żołnierze?

– Ich zadaniem byłoby przetrwanie nawałnicy – odpowiedział Tarkwiniusz. –

Powinni skryć się za tarczami z pierwszym rzędem na kolanach.

Romulus spojrział porozumiewawczo.

– Żeby chronić nogi przed strzałami?

– Tak.

– Jeśli wytrzymają, jazda powinna obejść nieprzyjaciela i uderzyć na niego z tyłu, zamykając kleszcze – Brennus uderzył jedną pięścią o drugą. – Wtedy zniszczymy ich potężnym uderzeniem w centrum.

– A katafrakci?

Tarkwiniusz się skrzywił.

– Jeśli zostaną wysłani do walki, zanim ich otoczymy, może być ciężko – westchnął. – Wtedy będziemy musieli polegać na naszej kawalerii.

Brennus zmarszczył brwi.

– Jeśli te parszywe dranie wcześniej nie znikną!

– No właśnie...

Romulus popatrzył uważnie na Etruska.

– O co chodzi?

– Brennus ma rację, mówiąc, że nie powinniśmy ufać Nabatejczykom. Obserwowałem naszych nowych sojuszników i badałem znaki na niebie – Tarkwiniusz znów westchnął. – Jutro prawdopodobnie odejdą.

– Perfidne dzikusy – mruknął Gal.

– Skąd wiesz? – zapytał Romulus.

– Nic nie jest absolutnie pewne. Ale Nabatejczycy nie są przyjaciółmi Rzymu.

– I co będzie?

– Musimy czekać. Czas pokaże – odpowiedział Tarkwiniusz spokojnie.

– A jeśli jutro na niebie znów pojawi się dwanaście sępów? – wypalił Romulus.

Etrusk spojrział na niego przenikliwie.

– Dwanaście to dla Etrusków liczba święta. Ten znak towarzyszy czasami innym znakom, które mogą być dobre... albo złe.

Romulus zadrżał.

Rozwijając swój koc, Brennus uśmiechnął się uspokajająco. Doszedł do wniosku, że przepowiednia Ultana musiała oznaczać coś pozytywnego. Od czasu ucieczki z Rzymu, zerwania z życiem gladiatora i podróży na Wschód Brennus przetrwał wiele burz i bitew. Nie pokonała go nawet gorąca pustynia. Widział tak wspaniałe miasta, jak Jerozolima i Damaszek. Zaprzyjaźnił się z potężnym haruspikiem. Każdego dnia uczył się nowych rzeczy. To musiało być lepsze niż codzienne zabijanie ludzi na arenie.

– Nie martw się – zwrócił się do Romulusa. – Bogowie będą nas chronić.

Położył się i zasnął w ciągu kilku chwil.

Romulus wciągał głęboko do płuc chłodne pustynne powietrze. Zdążył już przywyknąć do tego, że jego przyjaciel Tarkwiniusz ma skłonność do udzielania tylko częściowych odpowiedzi na pytania. Choć ta powściągliwość bywała frustrująca, do tej pory większość jego przewidywań okazywała się słuszna. Romulus uznał zatem, że może mu wierzyć. Jeśli Nabatejczycy uciekną, rzymska armia będzie musiała polegać jedynie na nieregularnej jeździe najemnej i *scuta* żołnierzy. Tylko że na razie zarówno galijscy kawalerzyści, jak i tarcze okazały się niezbyt skuteczne. Ta myśl była naprawdę mocno niepokojąca.

Romulus spojrział na Tarkwiniusza, który w milczeniu wpatrywał się w gwiazdy. Chłopak był przekonany, że haruspik dobrze wiedział, co wydarzy się w najbliższej przyszłości.

Miał coraz większe przekonanie, że i on też już wie, jaki będzie los armii Krassusa.

## Rozdział XXII

# *Polityka*



Campus Martius, Rzym, 53 r. p.n.e.

Rzymscy nobile uśmiechali się i dystyngowanie kiwali głowami, ale tłum plebejuszy krzyczał i wył z niecierpliwością. Brutus pozostał niewzruszony. Drewniane stopnie schodów prowadzących na trybunę zaskrzypiały pod ciężarem podkutych *caligae*. Najpierw pojawili się na niej jednak tylko dobrze zbudowani legioniści w pełnych zbrojach. Rozejrzeli się czujnie. Gdy nie dostrzegli żadnego zagrożenia, zadowoleni skinęli głowami w stronę mężczyzny stojącego u podnóża schodów. Pompejusza poprzedzało kilku starszych rangą oficerów w złożonych pancerzach i czerwonych płaszczach. Cały ten spektakl miał jeden cel: zachwycać pospólstwo. Gdy trybuni pozdrawiali plebs, tłum wokół areny odpowiedział radosnymi okrzykami.

– Pompejusz ma misję... – szepnął Brutus – ...chce stać się bardziej popularny niż Cezar i Krassus. Tyle zamieszek w Rzymie... Spiskuje, marząc o tym, żeby zostać

jedynym konsulem.

– Może mu się udać?

Jedno z najświętszych praw Rzymu mówiło, że władzę zawsze powinno dzielić się dwóch konsulów. I chociaż stanowisko konsula od lat było zmonopolizowane przez członków triumwiratu i ich sojuszników, od dawna nikt nie odważył się forsować żadnych zmian.

Uśmiechając się do otaczających go ludzi, Brutus przycisnął usta do ucha Fabioli.

– Oczywiście – powiedział cicho – świadomie pozwala, żeby gangi uliczne wymknęły się spod kontroli. Wkrótce senat nie będzie miał innego wyjścia, jak poprosić go o pomoc. W sytuacji gdy Krassus znajduje się na wschodnich rubieżach, nikt inny nie dysponuje wystarczającą liczbą żołnierzy, aby zaprowadzić porządek w stolicy.

Fabiola zrobiła niewinną minkę. Jej kochanek znał tylko jednego człowieka, który mógłby zapewnić pokój w Republice.

Cezar. Tylko że on utknął w Galii, zajmując się dławieniem oporu północnych plemion.

Rozległ się głos trąb. Wszyscy czekali w milczeniu, obserwując mistrza ceremonii, który zbliżał się do podestu.

– Obywatele Rzymu! – W odpowiedzi rozległy się głośne okrzyki. – Przed wami *editor* dzisiejszych zawodów! Pom-pe-jusz Wiel-ki!

Gdy zgiełk nie cichnął, a zgromadzeni na trybunach wciąż dawali wyraz swojemu uwielbieniu dla Pompejusza, zniecierpliwiony Brutus przewrócił oczami.

Chociaż ta taktyka była wręcz infantylna, przynosiła dobre efekty. Publiczność oszalała na punkcie Pompejusza.

W specjalnie przygotowanej wydzielonej części trybun pojawił się krępy mężczyzna średniego wzrostu z bujną grzywą siwych włosów. Na jego okrągłej twarzy uwagę przyciągały duże, wylupiaste oczy i sporej wielkości bulwiasty nos. W odróżnieniu od oficerów, Pompejusz miał na sobie białą togę z purpurowymi lamówkami, świadcząca o przynależności do stanu ekwitów. W Rzymie nie opłacało się liderom nosić po wojskowemu.

– Przynajmniej Pompejusz *jest* utalentowanym wodzem – zadumał się Brutus. – Gdy przyjdzie mu mierzyć się z Cezarem, bitwa może się różnie potoczyć.

Fabiola odwróciła się do niego.

– Wojna domowa? Od miesięcy słyszy się różne pogłoski...

– Cicho! – syknął Brutus. – Nie mów o tym przy ludziach.

Pompejusz zbliżył się do miejsca, w którym wszyscy mogli go zobaczyć w pełnej krasie. Podniósł prawą rękę, machając niespiesznie obywatelom. Gdy ucichły oklaski, zajął miejsce na purpurowej poduszce w pierwszym rzędzie.

Chwilę później na piasek areny wkroczyło dwóch ostatnich gladiatorów. Miał to być długi pokaz umiejętności, walka na śmierć i życie między secutorem i retiariusem. Nawet Fabiola musiała przyznać, że walczący gladiatorzy jej zaimponowali. Jednak podczas oglądania starcia dziewczyna modliła się po cichu, żeby Gal wciąż chronił jej brata przed niebezpieczeństwami. Gdzie byli? To wiedzą tylko bogowie.

Brutus wyjaśniał jej zawiłości walki, podczas gdy mężczyźni toczyli wyrównany pojedynek, zasypując się wzajemnie seriami cięć i wypadów. Aby zrekompensować brak zbroi, sieciarz był bardziej doświadczony niż secutor, który miał osłaniać się przed trójzębem swoją tarczą. Retiarius mógł za to przeciwstawić dobrze uzbrojonemu i zabezpieczonemu secutorowi tylko szybkość i zwinność, zwijając się w ciasnych skrętach, aby uniknąć ostrego jak brzytwa ostrza swego przeciwnika.

Czas mijał i sieciarzowi wreszcie udało się trafić przeciwnika. Połała się pierwsza krew. Skuteczny rzut siecią sprawił, że secutor na chwilę został częściowo unieruchomiony. Trójzęb natychmiast wystrzelił do przodu, wbijając się głęboko w prawe udo przeciwnika.

Tłum zawył. Wydawało się, że koniec walki jest bliski.

Secutor rzucił się rozpaczliwym ruchem do przodu, czując, jak zakończone zadziarami ostrza trójzębu wrywają kawałki jego ciała. Z jękiem bólu wyrzucił rękę z mieczem do przodu i upadając już, ciął retiariusza przez brzuch.

Jego przeciwnik osunął się na kolana.

Obaj mężczyźni mocno krwawili, zabarwiając piasek szkarłatem.

Nastąpiła chwila ciszy, gdy dwaj ranni gladiatorzy, ciężko oddychając, zbierali siły, żeby kontynuować walkę. Ludzie na widowni zachęcali ich okrzykami. Rzucali też kawałkami chleba i owoców. Pierwszy wstał secutor, który szybko uwolnił się z sieci i chwycił swoją broń. Retiarius również stanął na nogi, choć widać było, że utrzymuje się na nich z trudem. Jedną ręką trzymał się za brzuch, w drugiej wciąż mocno dzierżył trójzęb.

– Szybko będzie po wszystkim – odezwał się Brutus, wskazując na arenę. Obaj gladiatorzy byli ciężko ranni.

Fabiola zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że to Romulus walczy o życie na arenie.

Brutus pochylił się i klepnął w ramię siedzącego przed nim postawnego mężczyznę.

– Dziesięć tysięcy sesterców na retiarius, Fabiuszu – oczy Brutusa błyszczały z podekscytowania.

Fabius przekręcił się lekko i uniósł czerwoną twarz.

– Zaraz mu flaki wypłyną, Brutusie!

– Boisz się przegranej?

– Zakład stoi – zaśmiał się Fabiusz i mężczyźni chwycili się za przedramiona.

Fabiola wyduła wargi i pogładziła w roztargnieniu szyję Brutusa.

– Tracisz pieniądze... – szepnęła mu do ucha.

Brutus mrugnął do niej.

– Nigdy nie lekceważ sieciarza... zwłaszcza rannego.

Chociaż secutor miał trudności z szybkim przemieszczaniem się, wciąż jeszcze był uzbrojony w miecz i tarczę. Ruszył za retiariusem, robiąc mieczem i z niewielkim trudem parując rzadkie pchnięcia trójzębem. Sieciarz próbował raz czy dwa razy odzyskać swoją sieć, ale przeciwnik za każdym razem zachodził mu drogę. Retiarius wydawał się bardzo słaby, ledwie odpierał agresywne ataki.

Z różnych części widowni dochodziły okrzyki zachęty skierowane pod adresem raz jednego, raz drugiego gladiatora. Zwykle widownia wspierała tego z przeciwników, którego zwycięstwo wydawało się bardziej prawdopodobne.

W tym przypadku wyglądało na to, że więcej szans ma secutor.

Brutus obserwował w milczeniu wydarzenia na arenie, skoncentrowany mimo zgiełku czynionego przez widownię. Fabiola przytuliła się do jego ramienia, żałując, że nie może powstrzymać tej barbarzyńskiej rzezi i uratować życia człowieka.

Oslabiony raną brzucha retiarius zaczął poruszać się jeszcze wolniej i secutor zdwoił wysiłki. Chciał zadać śmiertelny cios. Był zmęczony. Zatrzymał się na chwilę, pewny, że jego przeciwnik nie ma już sił na atak. Sieciarz zacharczał, a pomiędzy jego palców przyciśniętych do brzucha zaczęła wyciekać nowa strużka krwi.

Na arenie zapadła cisza.

Widzowie wstrzymali oddech, a secutor przygotowywał się do zakończenia walki.

Nagle retiarius wciągnął powietrze i spojrzał nad ramieniem swojego wroga. Zdezorientowany przeciwnik na jedno uderzenie serca przekręcił głowę.



To wystarczyło.

Opancerzony gladiator obrócił się z powrotem, ale mógł tylko szeroko otwartymi z przerażenia oczami obserwować mknący w kierunku jego gardła trójząb, który po chwili zagłębił się w jego ciele. Mężczyzna zmiękł i wisiał na ostrych zębach, dławiąc się własną krwią, po czym upuścił miecz i tarczę. Sieciarz szybko cofnął trójząb, a jego ofiara wylądowała bezwładnie na piasku. Kołyszący się delikatnie na nogach sieciarz zebrał brawa od tłumu. Zezejrzał się po trybunach lekko szklącymi się już oczami i runął wprost na ciało swojego przeciwnika.

Brutus był zachwycony.

– Najstarszy trik na świecie – wykrzyknął, szturchając Fabiusza w plecy.

Gruby arystokrata spochmurniał, bo nie spodziewał się takiego zakończenia walki.

– Mój niewolnik jutro rano przyniesie ci pieniądze – mruknął niezadowolony, zanim odwrócił się z powrotem do swoich towarzyszy.

Fabiola nie spuszczała wzroku z retiariusza, który wciąż leżał na martwym secutorze. Nikt nawet już na niego nie patrzył. W końcu był niewolnikiem.

– Czy on przeżyje? – zapytała z niepokojem.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział Brutus, poklepując delikatnie jej ramię. – Tylko medycy wojskowi są lepsi od tych w szkołach gladiatorów. Trzeba z tuzina szwów, żeby dociągnąć mięśnie i skórę, ale po dwóch miesiącach będzie mógł wrócić na arenę. Jak nowo narodzony.

Fabiola złożyła usta do uśmiechu, choć w środku gotowała się z wściekłości. Jeden odważny człowiek właśnie zmarł, a drugi został ciężko ranny. I po co? Ku uciesze motłochu, nic więcej. A gdy wyzdrowieje, zwycięzca będzie musiał wrócić na arenę. To samo działo się pewnie z Romulusem, zanim nie uciekł po tej scysji przed bramą Lupanaru.

*Nie pozwól, aby te dzikie bestie złapały cię żywcem, mój bracie.* W Rzymie nie ma miejsca na litość.

Po zakończeniu walk Brutus zabrał ją do willi politycznego sojusznika Cezara na Palatynie. Grakchus Maksymus, senator blisko związany z Cezarem, zaprosił Brutusa na ucztę.

W drodze z Campus Martius Fabiola zdecydowała się znów poruszyć temat triumwiratu. W lektyce, z dala od uszu państwowych dostojników, Brutus wydawał się bardziej swobodny.

– Od śmierci Julii, żony Pompejusza, jego relacje z Cezarem stały się bardzo napięte – skrzywił się. – To była prawdziwa tragedia.

Śmierć kobiety podczas porodu była aż nadto powszechnym zjawiskiem, ale odejście jedynej córki Cezara osłabiło silną więź łączącą go z Pompejuszem.

– Trudno znieść stratę dziecka – powiedziała Fabiola, myśląc o swojej matce.

– Cezar przebywa poza Rzymem i musi polegać na Pompejusz, który dba o porządek w stolicy. Na szczęście on wciąż uznaje warunki porozumienia i nie sprzeciwia się Cezarowi. Ale to nie będzie trwało wiecznie.

– Czy bunt w Galii jest na tyle poważny, żeby Cezar nie mógł się stamtąd wyrwać? W Rzymie mówi się, że ognisk buntu zaczyna być coraz więcej i rebelia się rozszerza. Młody wódz o imieniu Wercyngetoryks zbiera plemiona pod swoim sztandarem.

– To nie potrwa długo – odparł Brutus pewnie. – I dzięki temu legiony Cezara utrzymywane są stale w gotowości bojowej, podczas gdy większość żołnierzy Pompejusza nie robi nic. Żołnierze grają w kości w Grecji i Hiszpanii.

Fabiola ledwo ukryła swoje zdziwienie. Nie wiedziała, że sprawy zaszły tak daleko. Ci ludzie otwarcie mówili o przygotowaniach do wojny domowej!

Niewolnicy niosący lektykę zatrzymali się, zatem chcąc czy nie chcąc musieli skończyć tę rozmowę.

Oprócz willi Gemellusa i *domus* Brutusa Fabiola nigdy nie była w żadnym z tak wielkich domów, przed jakim się znaleźli. Jak przystało na bardzo bogatego człowieka, rezydencja Grakchusa Maksymusa była ogromna. Od strony ulicy chroniły ją wysokie, niepozorne mury. Jedyne wejście prowadziło przez parę drewnianych drzwi, wzmocnionych żelaznymi ćwiekami. Jeden ze strażników Brutusa uderzył w nie ręką miecza. Ktoś już na nich czekał i drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Niewolnicy Brutusa zostali na zewnątrz. Wchodzących przez wielkie *atrium* Brutusa i Fabiolę powitał majordomus z ogoloną głową, który skłonił się i poprowadził ich w głąb rezydencji.

Każdy następny pokój, przez który przechodzili, był wspanialszy od poprzedniego. Setki płonących świec osadzono w złotych świecznikach, które oświetlały wykonane z wielkim arcyzmem posągi, ustawione we wnękach malowanych ścian. Mogli podziwiać przepiękne mozaiki, których nie zbywało nawet w korytarzach. Cichy szmer wody z ogrodowych fontann docierał do wnętrza dzięki szeroko otwartym drzwiom.

Gdy dotarli do imponującej sali bankietowej, Fabiola otworzyła oczy ze

zdumienia. Na podłodze znajdowała się ogromna cylindryczna mozaika, składająca się z mnóstwa scen z greckiej mitologii. Setki tysięcy małych kawałeczków glinianych płytek ułożono w skomplikowane wzory, tworzące wielokolorowy obraz. W samym środku mozaiki znajdował się Zeus, otoczony kilkoma mniej ważnymi bogami. To było niezwykle dzieło sztuki, piękniejsze od wszystkiego, co kiedykolwiek widziała. Może willa, o której marzyła, będzie wyglądać tak samo?

Pomieszczenie było pełne arystokratów. Niewolnicy roznosili posiłki i napoje. Powietrze wypełniały głośnie rozmowy. Mogła nadarzyć się okazja, że Fabiola spotka tu jakiegoś ważnego człowieka, który mógłby zostać jej klientem. Musiała tylko działać ostrożnie, żeby Brutus niczego nie zauważył. Gdy majordomus poprowadził ich do Maksymusa, uwagę Fabioli przykuł duży posąg na cokole, znajdujący się na honorowym miejscu przy wejściu.

Brutus podążył za jej wzrokiem.

– Juliusz Cezar, mój generał – stwierdził z dumą.

Wyrzeźbiona z białego marmuru, pokryta farbami postać była wyższa niż normalny człowiek. Cezara przedstawiono w królewskiej pozie, w todze, której gruba tkanina została przerzucona przez prawe ramię, z włosami krótko przyciętymi w stylu wojskowym, a włosami na brodzie gładko ogolonymi. Na twarzy bez wyrazu, skierowanej w stronę gości, wyróżniał się długi i cienki orli nos.

– Żaden artysta lepiej nie uchwycił tego podobieństwa – powiedział zadowolony Brutus. – Mam wrażenie, że stoi tu między nami, w tym samym pomieszczeniu.

Fabiola zamarła. Nie wiedziała, co powiedzieć. Stała przed nią starsza wersja Romulusa, wykuta w kamieniu. Od czasu przypadkowego komentarza Brutusa sprzed kilku miesięcy Fabiola spędzała długie godziny, patrząc w lustro i zastanawiając się nad swoją nie do końca zwerbalizowaną teorią.

*Czy Cezar może być naszym ojcem?*

– O co chodzi?

– Nieee... nic – Fabiola roześmiała się perliście. – Przedstaw mnie proszę Maksymusowi. Chcę poznać każdego, kto zna tego wielkiego człowieka z postumentu.

Brutus chwycił ją za rękę. Ruszyli przez tłum. Każdemu krokowi pięknej Fabioli towarzyszyły odwracające się głowy. Brutus kiwał głową i uśmiechał się, wymieniając uściski dłoni i serdeczne pozdrowienia z nobilem i senatorami, których mijali. To właśnie na takich przyjęciach często decydowano o losach politycznych Rzymu. Fabiola widziała, że Brutus radzi sobie całkiem nieźle.

Tymczasem w głowie Fabioli wirowały myśli. *Czy to możliwe, że siedemnaście lat temu jeden z obecnych członków triumwiratu zgwałcił matkę?*

Maksymus pozdrowił Brutusa skinieniem głowy, gdy tylko go dostrzegł. Oficer Cezara z dumą przedstawił Fabiolę jako swoją wybrankę serca. Nie wspomniał nic o Lupanarze. Chociaż ich dystyngowany gospodarz zapewne wiedział, czym zajmuje się towarzyska jego gościa, pochylił głowę i spojrzął na nią łaskawym wzrokiem, nie dając po sobie poznać, że nią gardzi. Ona nagrodziła go promiennym uśmiechem, świadoma, że w ten sposób okazał prostytutce więcej szacunku, niż okazaliby inni. Takie zachowanie wiele mówiło o pozycji Brutusa.

Fabiola oddychała głęboko, odwzajemniając ukłony. Zachowanie spokoju wymagało od niej wielkiej samokontroli, dlatego cieszyła się, gdy Brutus zaczął opowiadać coś Maksymusowi do ucha. Bez wątpienia ich rozmowa była głównym powodem tego spotkania. Podobnie jak Pompejusz, ludzie Cezara również nie próżnowali, planując zupełnie inną przyszłość Rzymu.

Fabiola odcięła się w myślach od hałaśliwej atmosfery sali bankietowej.

*Dowiem się, czy to był Cezar. I niech bogowie mają go w swojej opiece, jeśli to on zgwałcił moją matkę.*

*Tydzień później...*

Memor jęknął z rozkoszy. *Pompeja była dobra, ale ta nowa dziewczyna jest niesamowita.* Zaczynał się coraz bardziej nudzić przy rudej. Gdy Fabiola nieoczekiwanie dołączyła do nich w łaźni kilka tygodni wcześniej, lanista poczuł się jak w niebie. Założył, że to był prezent od Jowiny. Czasami zdarzało się, że ta przebiegła harpia sprawiała swoim stałym klientom jakąś małą niespodziankę. Było ją na to stać.

Nie miał racji.

Oszalały z pożądania pchnął mocno, licząc na to, że droczące się z nim usta chętnie przyjmą jego członka.

Fabiola rzuciła krótkie spojrzenie na twarz mężczyzny, którego właśnie pieściła. Memor miał zamknięte oczy, a całe jego żylaste ciało wyrażało odczuwaną przyjemność. Prześlizgnęła się językiem delikatnie po jego męskości, co mężczyzna przyjął z głębokim pomrukiem zadowolenia.

– Nie przestawaj!

Posłusznie poruszała powoli głowę w górę i w dół, starając się przedłużyć rozkosz.

Dyszący w ekstazie Memor wiał się w mokrej od potu pościeli.

Fabiola musiała urabiać Pompeję przez kilka miesięcy, żeby zgodziła się odstąpić jej swojego najlepszego od wielu lat klienta. Mimo że pracowała w Lupanarze dłużej, rudowłosa prostytutka miała znacznie mniej stałych klientów niż Fabiola. Chociaż bardzo się starała, trudno jej było zwalczyć zazdrość. Na szczęście Fabiola świetnie zdawała sobie z tego sprawę i opiekowała się swoją koleżanką tak, jakby ta należała do jej rodziny. Co rusz to pożyczła jej inne perfumy. W pokoju Pompei regularnie pojawiała się nowa biżuteria i małe kwoty pieniędzy. Kłopotliwi klienci znikali, usuwani dyskretnie przez ochroniarzy.

Na prośbę Fabioli Pompeja starała się najpierw sama uzyskać od Memora jak najwięcej informacji. Wypytywała go o młodych chłopców, którzy trafili do *ludus*. Niestety, odpowiedzi udzielane przez lanistę zwykle były bardzo niejasne. Wydawało się, że Memor po prostu nie rozmawia z prostytutkami o interesach. Jednak Fabiola upierała się, że mężczyzna wie więcej, niż mówi. Wszystkie wskazówki uzyskane od innych klientów do niczego jej nie doprowadziły. Wyglądało na to, że po bójce pod bramą Lupanaru Romulus po prostu rozpułnął się w powietrzu.

Memor był jej ostatnią szansą. Przecież prowadził największą szkołę gladiatorów w Rzymie!

Fabiola zdawała sobie sprawę, że Pompeja mogła nie szukać odpowiedzi ze zbyt wielkim zaangażowaniem, na jakie stać było tylko kogoś, kto szukał ich z pobudek osobistych. Dlatego w końcu zapytała przyjaciółkę wprost, czy zgodziłaby się oddać swojego klienta. Ta odmówiła. Przyjaźń w Lupanarze miała swoje granice.

– On daje dobre napiwki – stwierdziła Pompeja tonem wyrażającym żal. – Po co ci nowi klienci? Nie potrzebujesz nikogo więcej.

– Dobrze wiesz dlaczego. To wiele dla mnie znaczy.

Pompeja zrobiła nadąsaną minę, ale nie odpowiedziała.

Fabiola była zdeterminowana.

– Czy pieniądze coś zmienią? – zapytała. Reakcja Pompei była natychmiastowa.

– Ile?

Fabiola zaryzykowała.

– Dwadzieścia pięć tysięcy sesterców.

Pompeja zrobiła wielkie oczy. To było o wiele więcej, niż myślała. Tyle, co połowa zebranych przez nią do tej pory pieniędzy z napiwków. Fabiola musiała być lepsza, niż jej się wydawało.

– Memor może nic nie wiedzieć – stwierdziła z lekkim poczuciem winy.

Fabiola zamknęła oczy. *Jowiszu, prowadź mnie.* Wystarczyłaby tylko chwila.

– On wie. Jestem pewna.

Pompeja poczerwieniała.

– Jeśli jesteś tego pewna...

Fabiola uśmiechnęła się na myśl o cenie, jaką musi zapłacić. To było mniej niż połowa jej oszczędności. Nie cofnęłaby się przed niczym, nawet gdyby musiała wydać ostatnią monetę.

Tymczasem lanista naprawdę okazał się twardym orzechem do zgryzienia. Wszystkie standardowe metody zachęcenia go do zwierzeń nie sprawdziły się. Pompeja nie przesadzała. Memor łatwo się irytował i Fabiola szybko musiała nauczyć się nie zadawać zbyt wielu pytań. Spółkowanie z pokrytym bliznami starszym mężczyzną również nie było specjalnie przyjemnym doświadczeniem. Swobodna brutalność lanisty sprawiała, że Fabiola nie czuła się pewnie. Nowa kochanka przypadła jednak mężczyźnie do gustu. Minał miesiąc cotygodniowych wizyt, które odbywały się praktycznie bez zbędnych słów. Fabiola zaczęła już godzić się z myślą, że jej z trudem zaoszczędzone pieniądze zostały wyrzucone w błoto. Gdy Memor przez jakiś czas nie pojawiał się w Lupanarze, Fabiola poczuła ulgę.

Potem jednak wrócił. Intensywne przygotowania do wielkiej walki nie pozwalały mu na częsty relaks. Gdy tylko ważna impreza się odbyła, Memor znów odwiedził swoją ulubioną dziewczynę.

Teraz albo nigdy. Postarała się, aby przyjemność trwała dłużej niż kiedykolwiek wcześniej. Za każdym razem, gdy nosił pośladki i próbował sięgnąć głębiej, Fabiola zwalniała rytm, drażniła go językiem i palcami. Wiedziała, że lanista nie znieśie długo takiego droczenia.

– Panie?

Memor nagle otworzył oczy.

– Co się stało?

– Nic takiego, panie – trzymała jego penisa mocno jedną ręką, oddalając w czasie chwilę spełnienia. – Chciałam zapytać, czy kiedykolwiek miałeś w szkole gladiatora o imieniu Romulus? – zapytała i od razu znów wzięła go do ust.

Memor wciągnął powietrze.

– Jak?

– Romulus. To mój kuzyn, panie.

– Kłopotliwy sukinsyn! – Memor chwycił ją za głowę.

Fabiola ujrzała promyk nadziei. Po dłuższej chwili pozwoliła sobie znów przerwać pieszczoły.

– Czy jest jeszcze w *ludus*?

– Ten mały drań dawno zwał – powiedział Memor, tracąc na krótką chwilę zainteresowanie seksem. – Dwa lata temu pomógł mojemu najlepszemu gladiatorowi zabić jakiegoś waźniaka.

Fabiola poczuła szybsze bicie serca.

– Ten Gal był wart fortunę – mruknął Memor.

W tym momencie komentarz lanisty nie wydał się jej istotny.

Znów zaczęła pieścić go delikatnie dłonią, masując w górę i w dół, aż lanista jęknął.

– Co się z nimi stało, panie?

– Słyszałem, że zaciągnęli się do armii Krassusa – lanista błyskawicznie uniósł się na łóżku i chwycił Fabiolę mocno za włosy. Wyraz jego poznaczonej bliznami twarzy lekko ją przeraził. – A może wiesz coś więcej, co?

Fabiola szeroko otworzyła oczy.

– Nigdy go nie lubiłam, panie. Wyżywał się na mnie.

Pochyliła głowę, żeby doprowadzić sprawę do końca, a Memor opadł na pościel, wzdychając z zadowolenia.

Nadzieja. W sercu Fabioli znów zatlił się maleńki płomycek nadziei.

## Rozdział XXIII

# *Ariamnes*



Partia, lato 53 r. p.n.e.

**N**astępny dzień zaczął się o wiele za wcześnie dla żołnierzy armii Krassusa. Niebo o świcie szybko zmieniło swój kolor na jasnoniebieski, a temperatura błyskawicznie rosła. Czekał ich kolejny dzień marszu w tym gorącym piecu. Krassus wstał przed wschodem słońca, obudzony przez niepokojący koszmar, który przypominał mu o nieszczęśliwym epizodzie z sercem byka. Wiedział, że opowieść o tym wydarzeniu rozeszła się wśród ludzi lotem błyskawicy i wyraźnie wyczuwalny był ich niepokój. W odzyskaniu animuszu przez legionistów nie pomogły też doniesienia o kolejnym złym omenie, gdy podczas przeprawy przez Eufrat orzeł Legionu VI odwrócił się na zachód. Teraz nawet starsi stopniem oficerowie wydawali się poruszeni. Tylko Publiusz i Nabatejczyk nadal mieli pełne zaufanie do wodza.

Jednak Krassus, o władnięty chorą żądzą zdobycia władzy absolutnej w Rzymie



i pokonania Pompejusza oraz Cezara, wciąż był przekonany, że z każdego starcia wyjdzie zwycięsko. Straty poniesione poprzedniego dnia były niewielkie i z pewnością nie musiał się martwić kilkuset konnymi łucznikami. Przecież czy to nie on pokonał Spartakusa i jego armię? Armia niewolników liczyła wówczas ponad osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy. Dziś wszystkie jego doświadczone legiony zaprawionych w boju weteranów wielu bitew mają stawić czoła sile będącej zaledwie ułamkiem tej liczby. I będą walczyć z dzikusami. Krassus roześmiał się w głos. W ciągu zaledwie kilku tygodni Seleucja padnie, dowodząc, że miał rację. Uzasadniając jego słuszne prawo do przewodzenia Rzymowi.

Pragnąc poznać więcej szczegółów na temat bogactwa Partii – a wkrótce *jego* bogactwa – próżny Krassus wezwał Ariamnesa. Czekał na niego na sofie i zjadał daktyle. Kilku niewolników machało liśćmi palmowymi, schładzając jego ciało.

Nabatejczyk skłonił się głęboko.

– Wasza ekscelencja chciała mnie widzieć?

– Powtórz mi wszystko, co mówiłeś o bogactwach Seleucji – Krassus nigdy nie nudził się tą opowieścią.

Ariamnes jeszcze raz nachylił się nisko.

– Większość kosztowności znajduje się w pałacach króla Orodesa, najbogatszego człowieka w Partii. Wiele pokoi pałacowych pokrytych jest płatami srebra i ogromnymi draperiami z jedwabiu. Fontanny wypełnione są kamieniami szlachetnymi, a w pałacach na każdym rogu stoją niezliczone złote posągi z oczami wykonanymi z opali i rubinów. – Nabatejczyk przerwał swoją opowieść dla uzyskania lepszego efektu. – Podobno sam skarbiec Orodesa zajmuje kilkanaście pomieszczeń.

Krassus uśmiechnął się.

– Rzym nigdy nie zapomni triumfu z tej kampanii!

Ariamnes miał coś odpowiedzieć, ale obaj rozmówcy dostrzegli zbliżającego się Longinusa. Legatowi towarzyszył jakiś śniady osobnik w skórzanej zbroi. U jego pasa wisiał zakrzywiony miecz, a jedno ramię osłonięte miał małą okrągłą tarczą. Cienka warstwa kurzu pokrywająca go od stóp do głów nie mogła ukryć szarości twarzy wyczerpanego wojownika.

Wyraźnie przejęty Longinus zatrzymał się i zsalutował sprężystie.

Krassus skrzywił usta z niesmakiem, a Ariamnes szybko skopiował jego wyraz twarzy.

– Jeden z naszych patroli właśnie natknął się na tego tu posłańca, panie. Przynosi

wieści od Artawazdesa – powiedział Longinus, spoglądając przeszywającym wzrokiem na Nabatejczyka. – Jechał dzień i noc, żeby do nas dotrzeć.

Krassus skrzywił się.

– Nie jest żadnym oszustem, co?

– Ma dokument opatrzony pieczęcią królewską.

– Czego tym razem chce od nas ormiański król? – warknął Krassus.

– Król został zaatakowany przez liczną armię partyjską na północy. Nawet jeśli Artawazdes chciał do nas dołączyć, teraz to niemożliwe.

Ariamnes rzucił Krassusowi szybkie spojrzenie.

– Kontynuuj... – głos rzymskiego dowódcy był zimny jak lód.

– Artawazdes prosi nas o pomoc... – Longinus zawałał się.

– To wszystko?

– Ciągłe przekonuje nas, że najlepsza droga ku Seleucji prowadzi przez Armenię, dowódco.

– Ten pies chce, żebym się wycofał? I mu pomógł? – ryknął Krassus. – Teraz? Gdy bogactwo Seleucji leży niemal u mych stóp?

– To bezpieczniejsza trasa – próbował przekonywać legat, mimo że nie miał wątpliwości, iż głównodowodzący nie miał zamiaru pomagać sprzymierzonemu królowi Armenii.

Twarz Krassusa pociemniała.

– Czy mogę przedstawić moje skromne zdanie? – wtrącił się Ariamnes.

Longinus i Krassus zwrócili się w jego kierunku, sztywni z napięcia.

– Ekscelencjo, Orodes musiał założyć, że chcesz pomaszerować przez góry. Wysłał swoją armię na północ, ale ta natknęła się na jednostki Artawazdesa.

– To by wyjaśniało, dlaczego wczoraj zaatakowały nas tak niewielkie siły Partów – Krassus pojaśniał.

– Taktyka opóźniania i nic więcej – ciągnął Ariamnes. – I pomiędzy nami i ich stolicą nie ma większych sił.

Longinus nie był przekonany.

– Jakie masz dowody?

– Cierpliwości, legacie – Krassus powiedział spokojnie. – Pozwól mu mówić.

Nabatejczyk spojrział z ukosa na Longinusa.

– Wczoraj moi zwiadowcy obeszlą pozycje konnych łuczników Partów i przeprowadzili rozpoznanie na głębokości wielu mil na południowy wschód. Nie

natknęli się na żadne nowe jednostki przeciwnika. Orodes naprawdę *musiał* pospieszyć ze swoimi ludźmi na północ.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym wcześniej? – spytał podejrzliwie Longinus. – To pachnie zdradą.

Ariamnes wyglądał na urażonego.

– Ależ ja sam ruszę na rozpoznanie.

Krassus skinął głową z aprobatą.

Nabatejczyk dostrzegł, że palce Longinusa zaplatają się na rękojeści jego miecza.

– Wrócimy, gdy tylko zauważymy aktywność oddziałów wroga. Podejrzewam jednak, że droga do Seleucji stoi otworem – Ariamnes ostentacyjnie zignorował legata. – Czy zgodzisz się, wasza ekscelencjo, na moją propozycję?

Na twarzy Krassusa rozlał się ogromny uśmiech.

– I mówisz, że zwiadowcy nie znaleźli żadnych znaków świadczących o obecności Partów?

– Żadnych, ekscelencjo.

Longinus nie był w stanie zachować spokoju.

– Nie ufaj temu wężowi, panie! Jestem przekonany, że to pułapka. Czy nie lepiej wrócić nad Eufrat i połączyć siły z Artawazdesem? Dysponując ponad dziesięcioma tysiącami jego jeźdźców, moglibyśmy rozbić każdego przeciwnika.

– Cisza! – wrzasnął Krassus. – Czy jesteś w zмовie z tym przeklętym Ormianinem?

– Oczywiście, że nie – mruknął Longinus, oszołomiony niezrozumiałą arogancją Krassusa.

– To zamknij się! Chyba że chcesz skończyć swoją karierę w legionach.

Longinus z trudem powstrzymywał wściekłość. Pozdrowił sztywno swojego wodza i odwrócił się, aby odejść, ale nagle pochylił się ku Ariamnesowi.

– Zdradź nas, a ja dopilnuję, żebyś skończył na krzyżu – wyszeptał przed odmaszerowaniem.

– Tak więc dziś rozgnieciemy tych, którzy tak uprzykrzali wczoraj życie moim ludziom – oświadczył Krassus.

Nabatejczyk rozciągnął usta w łagodnym uśmiechu.

Wkrótce potem Romulus i Tarkwiniusz obserwowali długą kolumnę Nabatejczyków, którzy kierowali się na wschód.

– I tak po prostu pozwala im wszystkim odjechać?

– Już ich nie zobaczymy – stwierdził Etrusk, spoglądając na cienką warstwę chmur wiszących wysoko na niebie nad odjeżdżającymi jeźdźcami.

Romulus pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Przewiduję oto... – odezwał się Brennus, pochylony nad ostrzoną klingą miecza – ...że generał jest głupcem.

– Ariamnes potrafi być bardzo przekonujący i po prostu powiedział Krassusowi to, co ten chciał usłyszeć – domyślał się Tarkwiniusz.

– Mamy teraz niecałe dwa tysiące kawalerii – powiedział Romulus. – Ilu partyjskich jeźdźców jest przed nami?

– Do pięciu razy więcej.

Romulus zmarszczył brwi, próbując obliczyć liczbę strzał, jaką może wystrzelić taka liczba łuczników.

Tarkwiniusz rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś ich nie podsłuchuje.

– W zbliżającej się bitwie wiele tysięcy żołnierzy straci życie.

Gal spochmurniał.

– A co z nami?

– Tak wiele duchów opuszczało ten poziom egzystencji... – Etrusk wydawał się niezwykle zmartwiony. – Trudno o precyzyjne przepowiednie – przyznał. – Ale jestem pewien, że dwóch z nas przeżyje, ponieważ widziałem przyjaźń, która przetrwa rozlew krwi i festiwal śmierci.

Brennus przygotował się na najgorsze. *Pozwólcie mi stawać mężnie i zginąć z honorem. Chroniąc Romulusa i Tarkwiniusza. Żebym mógł spotkać się w zaświatach z Brakiem i moim wujem bez poczucia wstydu. Powiedźcie Liath, że tym razem nie uciekałem, gdy potrzebowali mnie bliscy mi ludzie.* Poczuli, że w jego gardle zbiera się gęsta kula i z trudem przełknął ślinę, starając się stłumić poczucie winy, które nadal kładło się cieniem na jego życiu.

Romulus się skrzywił. Jak ktoś może widzieć duchy zmarłych? To oczywiste, że wielu mężczyzn dziś pożegna się z życiem, walcząc z Partami, ale żeby wiedzieć dokładnie, o kogo chodzi? To nie jest możliwe. Uniósł wzrok i zobaczył wpatrzony w niego oczy Tarkwiniusza. Zdenerwowany nie był w stanie wytrzymać tego spojrzenia. Być może nadszedł jego czas. Czy czeka go śmierć? Żołądek podszedł mu do gardła, dlatego szybko zmówił modlitwę do Jowisza, prosząc go o to, aby wszystkich ochronił.

– A reszta naszej kohorty? – spytał wielki Gal.

Tarkwiniusz nie chciał odpowiedzieć jasno, ale Brennus naciskał.

Cisza.

Gal zachnął się.

– Wszyscy? Co do jednego?

– Z nielicznymi wyjątkami.

– Czasami widzisz za dużo – skomentował Brennus, czując dreszcze. Przyglądał się niczego niespodziewającym się najemnikom, którzy przygotowywali się do kolejnego dnia w tym piecu. Dostał gęziej skórki, wyobrażając sobie, że wszyscy już niedługo będą martwi. Obraz, który miał przed oczyma, jako żywo przypominał mu ten z widzianymi przez niego po raz ostatni jego współplemieńcami, przygotowującymi się do walki z Rzymianami.

Romulus, jak zwykle po przepowiedni Etruska, wracał myślami do Fabioli i matki. Chciał zapytać Tarkwiniusza o ich losy, ale nie mógł się na to zdobyć. Nie był pewien, czy w tym stanie ducha potrafi znieść ewentualne złe czy mroczne wieści. Te delikatne, pielęgnowane wspomnienia były dla niego święte. Miały kluczowe znaczenie dla jego woli przetrwania. Pomagały mu znosić trudy marszu przez pustynię.

Nad horyzontem szybko ukazał się dysk słońca, który znów promieniował dokuczliwym żarem z trudną do zniesienia zaciekłością. Wkrótce zabrzmiały trąbki nakazujące zwinąć obóz. Dyscyplina znów zatriumfowała i armia wkrótce ponownie była gotowa do wymarszu. Na czele pochodu znajdowały się kohorty oddziałów nieregularnych, za którymi maszerowało pięć legionów i tabory. Dwa legiony zabezpieczały tyły, a osłonę skrzydeł powierzono galijskiej i iberyjskiej kawalerii. Jakże słaba to była osłona dla wielkich mas piechoty.

Bassiusz słuchał uważnie ostatniej serii dźwięków.

– Czas na nas! Chcę, żebyście pokonali dziś dwadzieścia mil.

Śladami Nabatejczyków natychmiast pogalopowały dwa małe oddziały Galów.

Żołnierze ruszyli za nimi, kierując się prosto na pusty bezmiar pustyni. Na horyzoncie nie widać było żadnych śladów przeciwnika i morale powoli zaczęło rosnąć. Jednak gdy mijały kolejne godziny, a na niebie nie pojawił się nawet maleńki obłok, który mógłby ugasić żar palących promieni słońca, ludzie zapomnieli o wrogach, skupiając się na swoim zmęczeniu. Wysokie temperatury znów zaczynały zbierać straszliwe żniwo wśród spragnionych Rzymian. Wielu żołnierzy wypilo już cały przydział wody, a wbrew temu, co wydawało się Krassusowi, muły nie niosły tyle zapasów, żeby starczyło dla wszystkich. Gdy pragnienie narastało, nieszczęśnicy bez wody nie mieli innego wyjścia, jak tylko

kontynuować marsz przed siebie. Trzej przyjaciele ssali z ponurymi minami kamyki w ustach, chroniąc resztki wody w skórzanych bukłakach, tak jakby to było złoto.

I wtedy nagle okazało się, że bogowie nie zapomnieli o istnieniu armii Krassusa. Pół tuzina Galów ze straży przedniej wróciło z wiadomością, że dotarli do rzeki. Legioniści nagle zaczęli maszerować dwa razy szybciej i wkrótce dostrzegli typowe dla krajobrazu pustynnego zamglenie, które oznaczało, że przed nimi znajduje się jakieś źródło wody.

Setki sandałów spragnionych najemników zdeptały wąski pasek trzciny na brzegach płytkiego strumyka. Mężczyźni wskakiwali do koryta, żeby tylko się schłodzić. Jednak Romulusowi i jego towarzyszom nie dane było zbyt długo cieszyć się wodą.

– Czy wydawałem rozkaz zatrzymania kolumny? A może pozwoliłem się wam rozejść? Nie! – ryknął Bassiusz. – Do szeregu, psie syny!

Rozkoszując się rozluźnieniem zmęczonych mięśni, Romulus brodził w wodzie sięgającej łydek.

– Teraz już będzie dobrze... – mruknął, uważając, żeby centurion go nie usłyszał.

– Jedyna taka szansa! – Brennus wypił resztkę zawartości bukłaka i pochylił się nad wodą, żeby go jak najszybciej napełnić. – Pij tyle, ile się da.

– Nie będziemy mieli za dużo czasu na odpoczynek – Tarkwiniusz wskazał przed siebie.

Przyjaciele unieśli wzrok ponad nurtem strumyka pełnego orzeźwiającej wody.

Zwiadowcy wracali w pełnym galopie.

Romulus zobaczył, jak Brennus kładzie rękę na głównej rękojeści miecza. Automatycznie zrobił to samo, czując, jak gruba warstwa potu pojawia się na jego czole.

Galowie pogalopowali przez linie najemników, kierując się prosto ku pozycji Krassusa. Kilka chwil później odezwały się *bucinae*, wydając przenikliwe dźwięki, których nikt z nich dawno nie słyszał.

– Słyszycie? Wróg w polu widzenia! Pędem!

Żołnierze kohorty zareagowali z taką szybkością, na jaką ich tylko było stać, wspinając się po przeciwległym brzegu rzeczki. Każdy miał nadzieję, że Galowie się pomylili.

Obraz, jaki go powitał, Romulus będzie pamiętał do końca swoich dni.

Na szerokiej równinie niedaleko za wzniesieniem, nad brzegiem stała armia Partów w szyku szerokim na prawie milę. Tysiące konnych wojowników, których

twarze wykrzywiały się i gięły w gorącym powietrzu, czekało cierpliwie na pojawienie się Rzymian. Wiatr poruszał ogromnymi chorągiewkami w jaskrawych kolorach, które wirując mimo gęstego od upału powietrza, wydawały się jeszcze bardziej nienaturalnie obce. Hałas uderzeń w bębny i brzęk dzwonek dotarł do legionów, gdy dowódcy wydawali rozkazy partyjskim oddziałom.

Ten widok zrobił wielkie wrażenie na wyczerpanych rzymskich żołnierzach. Spalone słońcem twarze poblądły. Ludzie przeklinali, na czym świat stoi. Kilku najemników zwróciło się na zachód, w stronę Eufratu i bezpieczeństwa.

– Na jaja Jowisza! – zaklął Brennus. – W ogóle nie ma piechoty?

– Mówiłem, że tak będzie – odezwał się Tarkwiniusz.

Zapadła krótka cisza. Gał zebrał się w sobie.

– Poradzimy sobie. Będziemy musieli.

Z ciemnych oczu Etruska bił spokój.

– Wszystko się rozstrzygnie przed zmrokiem.

Skinęli głowami ponuro. Czekala ich bitwa. Nie było powodu, aby pogrążyć się w czarnych myślach. Teraz liczyła się tylko odwaga i rzymskie *gladii*.

– Co to za stworzenia? – Romulus wskazał na wysokie garbate zwierzęta o długich szyjach i patykowatych nogach, stojące z tyłu za linią wroga.

– Wielbłądy. Partowie używają ich zamiast mułów – wyjaśnił Tarkwiniusz. – Będą służyć do transportowania strzał, żeby tym skurczybykom starczyło amunicji do łuków. Wielbłądów jest dużo, dlatego każdy łucznik będzie miał do swojej dyspozycji setki strzał. To oznacza prawdziwe kłopoty.

– Bo nasze pieprzone tarcze są praktycznie bezużyteczne – odezwał się Brennus, uderzając *scutum*.

Etrusk skinął głową.

– Wojownicy codziennie trenują strzelanie z tych kompozytowych łuków, mój przyjacielu. Przypomnij sobie, jak radzili sobie wczoraj.

– Ale przynajmniej jesteśmy wolnymi ludźmi... – Brennus poklepał Romulusa po ramieniu. – Jeśli bogowie tak chcą, umrzemy razem, z mieczami w dłoniach i ze słońcem na twarzach. To lepsze, niż skonać na arenie dla tego skurczybyka Memora.

– To prawda – Romulus spojrzał Gałowi prosto w oczy. Wzmianka o laniście sprawiła, że chłopak przypomniał sobie lekcje udzielane mu przez Cottę. – Spartakusa nie zaniepokoiłby ten widok. Zawsze miał mnóstwo jeźdźców.

– Ten Trak był lepszym wodzem niż Krassus – zgodził się Tarkwiniusz. – Został

pobity tylko dlatego, że Kriksus, dowódca jednej części jego armii, nie chciał opuścić Italii. Spartakus nigdy nie doprowadziłby swoich ludzi do takiego stanu jak Krassus.

Romulus zadumał się, wyobrażając sobie, że dowodzi armią z Tarkwiniuszem i Brennusem u boku. Utrzymanie pozycji kawalerii na skrzydłach byłoby najpilniejszym zadaniem, żeby uniemożliwić atakowanie legionów podczas formowania. Wtedy centrum formacji mogłoby się wycofać, pozorując odwrót pod uderzeniem Partów, pozwalając własnej jeździe związać kawalerię wroga z boków i od tyłu. W ten sposób Hannibal wygrał wiele bitew z Rzymianami.

Tarkwiniusz spojrział na niego z uwagą.

– Krassus nie myśli nawet o zastosowaniu taktyki Kartagińczyków. Temu głupcowi wydaje się, że wystarczy tylko zaatakować, a Partowie po prostu przed nim uciekną.

Romulus był oszołomiony.

– Ludzie tacy jak wy dwaj powinni dowodzić armią – wypalił.

Tarkwiniusz pochylił głowę.

– I tacy jak ty, Romulusie.

– Poradzilibyśmy sobie lepiej niż Krassus – zaśmiał się Brennus.

– To nie byłoby trudne – Tarkwiniusz zerkał na Partów, licząc cicho pod nosem.

Tymczasem Bassiusz wydał rozkaz zajęcia przez oddział pozycji obronnej na grzbiecie nad strumieniem. Jedna kohorta mogła tylko czekać, aż dogonią ją pozostałe oddziały armii. Przeciwnicy stali bez ruchu na równinie. Ich pułapka była gotowa, więc przeciwnik wydawał się zadowolony, dając czas Rzymianom na przyjęcie formacji bojowej.

– To pokazuje, jak pewni siebie są ich dowódcy. Mogliby się zbliżyć i już zasypywać nas strzałami.

– Może ich wódz chce zmierzyć się z Krassusem w walce jeden na jeden? – zażartował Gal. – Moglibyśmy się wygodnie rozsiąść i obejrzeć walkę.

– Dzisiaj swoją krew przeleją zwykli żołnierze – odpowiedział Tarkwiniusz. – A nie przywódcy.

Brennus pogodził się z losem i wzruszył potężnymi ramionami.

– *Lanistae*. Generałowie. Co za różnica... Wydają rozkazy. Umierają ludzie tacy jak my.

Przywołując z pamięci uspokajające słowa Etruska, Romulus modlił się do



Jowisza, którego od czasów dzieciństwa uważał za swojego przewodnika duchowego.

Nie musiał być wróżbitą, aby wiedzieć, że w walce, która ich czeka, zginą tysiące żołnierzy.

I prawdopodobnie jeden z nich.

– Gdzie jest Ariamnes?! – Krassus wyprostował się w siodle, a jego twarz wykrzywiła się ze złości.

Nikt nie odpowiedział.

Od świtu nikt nie widział Nabatejczyków. Jako że stali przed całą armią Partów, było oczywiste, że niegdysiejszy sojusznik Rzymian nie zamierza brać udziału w zbliżającej się bitwie.

Ariamnes okazał się zdrajcą.

– Sukinsyn! Każę go wypatroszyć! A potem ukrzyżować.

Longinus odchrząknął taktownie.

– Jakie są twoje rozkazy, wodzu?

Krassus spojrzał na legata. Nie chciał przyznać się do błędu i natychmiast odwrócił wzrok.

– Kawaleria na skrzydłach. Kohorty w kwadratowej formacji – wypalił generał jednym tchem, wybierając najśmielszą taktykę z możliwych. – Ten motłoch spojrz tylko na nas i ucieknie.

Siwy legat aż wciągnął głośno powietrze. Nie dowierzał.

– I mamy zostawić luki między oddziałami?

– To są moje rozkazy. Czy to jasne? – odrzekł Krassus, zaciskając zęby. Choć od razu zrozumiał, o co chodziło Longinusowi, jednak jego przerośnięta ambicja wciąż kazała mu skoncentrować się na cierpieniu z powodu zdrady Ariamnesa. – Dzięki temu wróg dysponujący większą liczbą jeźdźców nie będzie w stanie zająć nas od tyłu.

– Tak, ale oddziały jazdy będą mogły bez problemu poruszać się między naszymi kohortami – odpowiedział Longinus, oczekując, że inni oficerowie wesprą go i wyrażą swoje wątpliwości. Żaden z nich się jednak nie odezwał. Legat patrzył na nich, licząc na odzew, a następnie kontynuował niezrażony. – Panie, ciągłe linie będą lepszym rozwiązaniem. Tylko niewielka liczba naszych żołnierzy będzie atakowana w tym samym czasie.

Krassus otworzył szeroko oczy.

– Czy znów kwestionujesz moje rozkazy?

– Służę tylko radą...

– To niesubordynacja! – Krassus wykrzyczał. Czarny płaszcz, który założył tego ranka przylgnął do jego spoconych pleców. Legioniści pełniący straż w pobliżu obserwowali dowódcę. W ich wzroku można było wyczytać niepokój. Czerń jest kolorem śmierci. – Wróć do swoich oddziałów, legacie, zanim każę cię wychłostać.

Longinus zacisnął zęby. Niewielu żołnierzy ośmieliłoby się mówić do dowódcy w taki sposób.

– Popelniasz duży błąd, panie – powiedział beczelnie. Generał wydał rozkazy, które były niedorzeczne, a na dodatek wymuszały ich wykonanie groźbą. – Ciągłe linie byłyby najlepsze.

Krassus spojrzał na pozostałych dowódców.

– Czy ktoś się zgadza?

Odpowiedziała mu cisza. Jego podwładni zostali dobrze dobrani.

– Możesz uważać swoją karierę w armii za skończoną – powiedział Krassus. – Jeśli przeżyjesz bitwę!

– Zobaczymy, jak przyjmie to rzymski senat. Senatorowie wciąż jeszcze mają coś do powiedzenia – Longinus prychnął z pogardą i odjechał, próbując przełknąć zniewagę i stłumić w sobie gniew. Arogancja Krassusa nie powstrzyma Rzymian przed rozbiciem Partów. Na rozwiązanie konfliktu z generałem przyjdzie czas później. Longinus próbował ze wszystkich sił wyrzucić z głowy myśli o byczym sercu, odwróconym orle i czarnym płaszczu.

– Na co jeszcze czekacie? – z ust Krassusa wystrzeliły drobinki śliny. – Zejść mi z oczu!

Legaci rozbiegli się do swoich jednostek.

Czekała ich bitwa, którą należało wygrać.

## *Publiusz i Surena*



**M**inęło prawie pół popołudnia, zanim oddziały wszystkich legionów dotarły na równinę. Pustynni jeźdźcy ciągle zajmowali tę samą pozycję, nieruchomi w połyskujących mirażach. Czekali cierpliwie, podczas gdy bębny i dzwonki niezmiennie wypełniały powietrze zgiełkiem. Dziwaczne dźwięki przypominały połączenie ryku dzikich zwierząt i grzmotów poprzedzających burzę.

To było przerażające doświadczenie.

Ponieważ najemnicy znaleźli się nad strumieniem najwcześniej, najdłużej czekali na pozostałe oddziały, cierpiąc z powodu wysokiej temperatury. Tylko nieliczni mieli jeszcze jakąś wodę w bukłakach, więc coraz więcej mężczyzn padało na ziemię w wyniku omdlenia z odwodnienia i przegrzania. Silniejsi robili, co mogli, dla swoich towarzyszy przed zbliżającą się bitwą. Bassiusz przechadzał się wzdłuż szeregów, na przemian grożąc i zachęcając. Tylko jego zaangażowaniu oddział zawdzięcza utrzymanie morale na akceptowalnym, choć najniższym z możliwych poziomie.

Gdy cała armia Krassusa w końcu znalazła się na miejscu, *bucinae* wydały staccato krótkich sygnałów. Już dłużej nie będą czekać.

– Słyszeliście! – centurionowie zaczęli się przekrzykiwać. – Na pozycje!

Postępując zgodnie z procedurami, które ćwiczyli już wiele razy, legiony zajęły pozycje na równinie. Stały w formacji na planie ogromnego prostokąta. Żołnierze każdej kohorty tworzyli pusty w środku kwadrat, głęboki na trzy linie o długości boku czterdziestu mężczyzn. Każdy taki kwadrat dzieliło od kolejnego sto kroków. Krassus, oficerowie jego gwardii i dwie kohorty weteranów zajęły pozycje w pustym środku formacji w pobliżu taborów, podczas gdy galijska i iberyjska kawaleria została umieszczona na skrzydłach. Wybór takiej formacji przed bitwą wydawał się bardzo dziwny.

– Co on wyrabia? – Romulus zmarszczył brwi. Wszyscy wiedzieli, co się stanie, gdy tylko rozpocznie się atak wroga.

– Krassus myśli, że możemy zostać okrążeni – powiedział Brennus. – W ten sposób temu zapobiegnie.

– Ale nic poza tym – zaprotestował Romulus, wyobrażając sobie, jak zareagują Partowie.

– To głupiec! – Tarkwiniusz rozejrzał się wokół ze złością. – Konni łucznicy po prostu przejadą między kohortami, swobodnie wybierając cele.

Świadomość, że zwykli żołnierze – w przeciwieństwie do ich wodza – widzą niebezpieczeństwo związane z wybraną formacją, była naprawdę niepokojąca. Romulus szybko tracił resztkę szacunku do dowódcy rzymskiej armii.

Tymczasem wódz Partów wciąż nie spieszył się z atakiem. Czekał, aż rzymska armia przestanie manewrować.

W pewnym momencie dźwięki dochodzące od strony armii Partów zmieniły się. Teraz słychać było tylko ciężkie, rytmiczne uderzenia w bębny. To było coś nowego. Co więcej, zmieniało się również tempo uderzeń, przechodząc stopniowo w jeden wielki huk, który utrudniał nie tylko wydawanie rozkazów, ale nawet zwykłą rozmowę między żołnierzami. Hałas nie cichł nawet na chwilę, przerażając czystą energią. Oszołomieni żołnierze, wyczerpani słońcem i umęczeni wysoką temperaturą, mogli tylko bezmyślnie patrzeć na wroga.

Nagle na równinie zapadła cisza.

Od partyjskiego centrum oddzieliła się duża grupa jeźdźców. Powoli przesuwała się do przodu, po czym cała idealnie zsynchronizowana linia zatrzymała się w tej samej chwili w odległości kilkuset kroków od pierwszych szeregów Rzymian.

Romulus spoglądał na tyralierę niepewnie, usiłując dojrzeć jakieś szczegóły w tańczącym od upału powietrzu.

– Kim oni są?

– Katafrakci – w głosie Tarkwiniusza można było wyczuć szacunek do przeciwnika. – Elitarna ciężka jazda.

– Długie włócznie, takie jak greckich hoplitów, wystarczyłyby, żeby sobie z nimi poradzić – powiedział Romulus z zaciekłością w głosie. – Gdybyśmy tylko je mieli.

– Albo rów obronny – dodał Gal.

Tarkwiniusz pokiwał głową na znak, że się zgadza z przyjaciółmi.

Umęczeni Rzymianie spoglądali niepewnie na wroga. W tym żarze, jaki łał się na nich z nieba, nic innego nie byli w stanie zrobić. Gdy instrumenty muzyczne znów się odezwały, niemalże odczuli ulgę. Partyjscy jeźdźcy zaczęli z rozmachem zrzucać płaszcze i chusty, które skrywały metalowe kolczugi, chroniące ich od szyi do połowy ud. Każdy trzymał w prawej ręce ciężką lancę. Również konie osłonięto elementami zbroi – w efekcie ciężka jazda tworzyła ogromną ścianę śmiertelnościanego metalu. Słońce odbijało się od tysięcy żelaznych pierścieni, rzucając na Rzymian fale oślepiającego światła.

Żołnierze Krassusa nie mogli patrzeć na katafraktów, a oślepiające światło nie było jedynym powodem. Do ich serc zakradał się strach.

– Niesamowite! – Tarkwiniusz wskazał katafraktów najwyraźniej podekscytowany. – *Andabatae* na arenie to kpina!

Romulus słyszał opowieści o gladiatorach na koniach i w hełmach bez żadnego otworu, przez który można było obserwować otoczenie. Nigdy ich jednak nie widział.

– Tylko rzymskie dzikusy mogą wysłać ślepców na arenę i kazać im walczyć – odezwał się Brennus.

– Ci wojownicy to coś zupełnie innego – powiedział Etrusk.

Romulus zdumiał się na widok pełnej zbroi zabezpieczającej końskie boki. Nigdy nie widział, żeby ktoś używał pancerzy dla osłony zwierząt.

Katafrakci stali bez ruchu. Ich spokój sprawiał, że do Rzymianie podupadli na duchu. Bębny nadal robiły straszny hałas, pogłębiając poczucie zbliżającej się zagłady. Najemnicy i legionieści przestępowali niespokojnie z nogi na nogę. Niepewność w armii Krassusa stawała się niemal namacalna i łatwo rozprzestrzeniała się w szeregach. To raczej Rzymianie mieli zwyczaj przerażać wrogów swoim

spokojem i ciszą, milczeniem sięjąc niepokój w szeregach nieprzyjaciół.

– Wygląda na to, że czeka nas dziś ciężka przeprawa – zniecierpliwiony Brennus uniósł włócznię. Chętnie zakończyłby już to oczekiwanie. – Faktycznie wyglądają na śmiertelnie niebezpiecznych.

Tarkwiniusz uśmiechnął się smutno.

Romulus również zapragnął, aby bitwa już się zaczęła. Sprawdził, czy miecz siedzi luźno w pochwie, a żeleźce *pilum* jest bezpiecznie osadzone w drzewcu. *Zachowaj spokój.*

Przez dłuższą chwilę, która wydawała się wiecznością, dwie armie stały naprzeciwko siebie, znosząc żar bezlitosnego słońca. Napięcie stawało się nie do zniesienia.

A potem wszystkie hałasy ucichły. Przed nieruchomym szeregiem ciężkozbrojnej jazdy pozycje zajęli konni łucznicy.

– Przygotować się! – wykrzyknął Bassius. – Ścisła formacja!

Najemnicy zostali dobrze wyszkoleni. Mężczyźni szybko chwycili za oszczepy i włócznie, po czym zacieśnili szeregi, stając ramię przy ramieniu. Niczym małe koła zębate w wielkiej maszynie tysiące żołnierzy na całym polu bitwy wykonywało takie same ruchy. Tarcze zachodziły jedna na drugą, a atakujący Partowie widzieli przed sobą tylko dziesiątki osłoniętych ciężkimi *scuta* kwadratów.

Konie z kłusa przeszły w galop. Ziemia drżała pod kopytami tysięcy wierzchowców, a Romulus czuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Wczorajsze harce nijak się miały do tego, co czeka ich dzisiaj.

Tak jak przewidywał Tarkwiniusz, jeźdźcy podzielili się płynnie na kolumny, które z kolei wniknęły w przerwy między kohortami. Szeregi zachwiały się i wszyscy poczuli wszechogarniający strach. Ludzie pocili się mocno, zaciskając mokre ręce na drzewcach oszczepów. Romulus usłyszał za plecami wymiotującego człowieka. Zignorował ten odgłos i uniósł swoje *scutum* nieco wyżej, żeby zerknąć na zbliżających się jeźdźców.

Rozpocząła się bitwa.

Partowie byli coraz bliżej.

Wkrótce mogli dostrzec już szczegóły – rozdęte nozdrza koni i twarze poważnych łuczników, napinających cięciwy łuków.

Romulus poczuł, że jego *pilum* aż parzy z gorąca.

– Przygotować oszczepy! – w głosie Bassiusza nie było śladu strachu. – Cześć

na mój rozkaz!

Mężczyźni wygięli ciała, odprowadzając do tyłu ręce, w których trzymali oszczepy. Czekali na rozkaz wypuszczenia śmiertelnych pocisków.

Zanim jednak mieli szansę zadania strat przeciwnikowi, Partowie oddali własną serię. Tym razem szyli strzałami z odległości o wiele mniejszej niż poprzedniego dnia. Dotąd najemnicy nie mieli tak naprawdę okazji przekonać się, jak wielka moc drzemie w łukach kompozytowych używanych przez przeciwnika. Chmura strzał wzbija się w powietrze, a następnie opadła prosto na tarcze Rzymian, przebijając je, jakby były wykonane z pergaminu. Pierwsza linia kohorty po prostu zniknęła. Niemal wszyscy padli na ziemię, ranni lub umierający.

Jakimś cudem Bassiusz stał, jak stał, choć jego tarcza była usiana strzałami.

– Celować w tych najbliższych! Rzuć! – wykrzyczał.

Romulus stęknął z wysiłku, naśladując ruch wszystkich żołnierzy z dwóch kolejnych szeregów, wyrzucających swoje *pila* w powietrze. Pociski przeleciały niskim łukiem kilkanaście kroków i spadły na kolumnę przeciwników lawiną drewna i metalu, wreszcie znajdując cele. Na tak niewielkich odległościach rzymskie oszczepy również okazały się śmiertelnie skuteczne. Na piasek z rżeniem runęło kilka koni, zrzucając swoich jeźdźców. Trafionych zostało też wielu partyjskich wojowników, ale tempo kolumny było tak duże, że ich konie poniosły rannych na bezpieczną odległość, daleko za linie Rzymian.

Zanim Bassiusz zdążył wydać rozkazy, kolejna fala strzał skosiła brutalnie linię kohorty z drugiego boku. A po chwili Partów już nie było. Pogalopowali dalej, ostrzeliwując inny oddział. Odgłos kopyt ucichł, a zamiast niego powietrze wypełniły jęki i krzyki rannych.

Na gorącym piasku leżało przynajmniej osiemdziesięciu najemników.

Romulus rozglądał się wokół z przerażeniem w oczach.

Dziesiątki żołnierzy zginęło od razu. Zostali naszpikowani strzałami, które przebiły tarcze i kolczugi, zagłębiając się w miękkie ciała. Wiele tarcz zostało wręcz przyszpilonych do ciał zabitych, które leżały wszędzie dookoła wśród stosów drewnianych promieni, zakończonych pierzastymi lotkami. Tak wielu ludzi zostało rannych, że Romulus po prostu nie wierzył własnym oczom. Strzały Partów dziesiątkowały całe kohorty. Na szczęście on sam wyszedł z niego bez najmniejszego zadraśnięcia. Podobnie jak dwaj jego przyjaciele.

– Mogą tak przez cały dzień – stwierdził Tarkwiniusz spokojnie.

Ponury Brennus mruknął i zaklął.

Przez chmury kurzawy Romulus widział, jak kolejne kohorty w rzymskiej formacji przyjmują na siebie ciosy przeciwników. Przez chwilę zdziśnięty oddział Bassiusza był oazą spokoju wśród chaosu bitwy.

– Romulus! Do mnie!

Bassiusz machał do niego z grymasem bólu na twarzy. Poznaczona wystającymi strzałami *scutum* wisiała bezwładnie na jego lewym ramieniu.

– Słucham, dowódco?

– Przetnij to cholerstwo! – centurion uniósł rękę. Romulus zauważył wystający grot strzały tuż poniżej łokcia.

Skrzywił się.

– Przeszła gładko przez tarczę – Bassiusz pokręcił głową. – Trzydzieści lat na służbie i nigdy nie widziałem tak potężnego łuku.

Chłopak chwycił strzałę obiema rękoma i złamał ją w pobliżu grotu. Gdy pociągnął za końcówkę, usuwając resztę promienia tkwiącego w mięśniach, Bassiusz jęknął z bólu. *Scutum* opadła na ziemię, a z dwóch nowych ran pociekły świeże strużki krwi. Kawałkami tkaniny z tuniki Romulus obwiązał mocno rękę centuriona, tamując krwawienie.

– Dobry chłopak – powiedział Bassiusz, chwytając za tarczę.

– Nie możesz tak walczyć, dowódco.

Centurion zignorował jego słowa. Wrócił na swoje miejsce w szyku.

– Formować kwadrat! Zaraz pojawią się następni.

Romulus dołączył do reszty żołnierzy. Myślał o tym, że Bassiusz powinien dowodzić oddziałem większym niż kohorta. Oficerowie tacy jak on byli wariacją więcej niż Krassus.

Na polu bitwy na chwilę zapanował spokój, gdyż partyjscy łucznicy wycofali się, pozostawiając za sobą obraz zniszczenia.

– Wracają po strzały – Tarkwiniusz obserwował stada sępów gromadzących się na niebie. – Krassus musi wykorzystać tę szansę. Cała armia powinna uformować się w linię głęboką na osiem lub dziesięć szeregów – wskazał dłonią jednostki, które najbardziej ucierpiały w wyniku ataku. – Nie w ten sposób. To masakra, a nie bitwa.

– Ile ofiar? – Krassus uderzył pięścią w dłoń. Jego niespokojny koń zrobił kilka kroków w bok, kładąc uszy po sobie.

– Wciąż liczymy, panie – młodszy trybun mówił niepewnie. – Ale co najmniej



jedna dziesiąta każdej kohorty.

– Jedna dziesiąta mojej armii zabita i ranna?

– Tak jest.

– Jakie są straty Partów?

– Nie wiemy – młodszy oficer był błądliwy ze strachu. – Może kilkuset jeźdźców...

– Zejdź mi z oczu – wybełkotał Krassus – zanim każę cię stracić.

– To nie jego wina – zareagował Longinus, który po raz kolejny złamał rozkaz i pojawił się przed Krassusem, żeby zaprotestować.

Legat zauważył, że Krassusowi drżą ręce, które kurczowo zaciskał na wodzach. Wódz rzucił Longinusowi wściekłe spojrzenie. Przed rozpoczęciem bitwy nie wrócili już do dzielącej ich różnicy zdań. Nawet on wiedział, że teraz mają ważniejsze sprawy na głowie.

– Jakie są twoje rozkazy? Wkrótce Partowie zaatakują ponownie.

– Wyślij gońca do Publiusza – krzyknął nagle Krassus, rzucając Longinusowi dzikie spojrzenie. – Musi uderzyć na prawe skrzydło Partów ze swoją jazdą i czterema kohortami najemników. Ma odciągnąć ich uwagę.

Longinus wciągnął powietrze. Nie takie wydałyby rozkazy.

– Czy to jasne? – tym razem generał był spokojny. Aż nazbyt spokojny. Krassus spojrział na dowódcę straży przybocznej.

Centurion położył dłoń na głowni swojego gladiusa.

Longinus dostrzegł ten gest i od razu wiedział, co oznacza. Każdy, kto zakwestionuje teraz rozkaz Krassusa, zginie na miejscu. Dlatego zasalutował sztywno i ruszył ku znajdującym się niedaleko gońcom.

– Kiedy Publiusz ich odrzuci, uderzymy na centrum – krzyknął Krassus za odchodzącym legatem.

Longinus nie odpowiedział. Zastanawiał się, co zmieni ta śmieszna taktyka. Jak armia składająca się z piechoty, prowadzona przez tego aroganckiego szaleńca, może pokonać przeciwnika dysponującego przewagą szybkości, który na dodatek nie chce i nie musi podjąć walki w miejsu.

Kohorta Romulusa poznała rozkazy Krassusa od posłańca. *Bucinae* powtórzyły komendy, co było powszechną praktyką w czasie bitwy, dzięki której dowódca wiedział, że jego zarządzenia dotarły do wszystkich i nikt niczego nie przekreślił. Jazda galijska od razu zajęła pozycję wyjściową przed frontem najemników Bassiusza, a najbliższa kohorta żołnierzy z Kapadocji znalazła się na ich prawej

flance. Dwie kolejne kohorty zajęły pozycje za nimi. W ten sposób kawaleria tworzyła główny element strzały, którą wypełniały w środku oddziały pieszych żołnierzy.

Bassiusz uśmiechnął się do swoich ludzi.

– W porządku! Mamy szansę pokazać całej armii, na co nas stać. Zostawić jarzma!

– Weźcie tylko bukłaki z wodą – powiedział Tarkwiniusz, chowając coś skrycie za tunikę. – Nie wrócimy już na tę pozycję.

Jego dwaj przyjaciele szybko pozbyli się wszystkich nieprzydatnych elementów wyposażenia.

Nie musieli długo czekać. Nawet Krassus wiedział, że jest mało czasu do kolejnego niszczycielskiego ataku Partów. Wyczerpani żołnierze nie wytrzymają wielu takich uderzeń.

Trąbki jazdy wydały z siebie serię tonów krótkim staccato.

Publiusz zajął pozycję na czele formacji przed swoimi ludźmi. Nie rzucał się jakoś wyjątkowo w oczy swoją niewielką posturą i brązowymi włosami, ale uwagę przyciągał wyraz zdeterminowania na jego twarzy i silne, zaciśnięte szczęki.

– Naprzód! – zawołał, wyciągając rękę w stronę Partów. – Za Rzym i za Galię!

Jeźdźcy popędzili swoje wierzchowce, wznosząc głośnie okrzyki i wznecając tumany piasku i kamieni. Bassiusz i pozostali centurioni wydali odpowiednie rozkazy, nakazując najemnikom podążać za kawalerią.

– Pokażmy tym draniom, jak ostre są nasze miecze!

Zmęczeni żołnierze wydali nieco stłumiony okrzyk bojowy i ruszyli biegiem za twardym oficerem. Pomimo odniesionej rany Bassiusz wydawał się niezniszczalny, a jego zapal inspirował wszystkich podwładnych.

– Gotuj *pila*!

Biegli pochyleni, nisko trzymając głowy, żeby uniknąć wdychania pyłu z chmury spod końskich kopyt. Romulus od czasu do czasu zerkał na swoich przyjaciół. W pierwszym ataku Tarkwiniusz wykorzystał oba oszczepy, a teraz zarzucił swoją tarczę na plecy i chwycił w ręce dwustronny topór. Romulus nie mógł uwierzyć, że widzi na jego twarzy uśmiech. Za to od Brennusa bił spokój. Gal skupiał wzrok na przeciwnikach.

Romulus poczuł się pewniej. Zaczął się nawet śmiać, myśląc o tym, ile szaleństwa jest w tej scenie. Piasek areny zamienił na piasek pustyni, jeszcze bardziej śmiercionośny. Jednak w tej chwili to już nie miało żadnego znaczenia. Było przy

jego boku dwóch mentorów, którzy stali mu się bliscy niczym członkowie rodziny. Ludzie, za których gotów byłby umrzeć i którzy poświęciliby swoje życie dla niego. To było wspaniałe uczucie. Romulus podniósł z ziemi jakieś porzucone *pilum*, przygotowując się do zaakceptowania woli bogów.

Piechota z wielkim trudem dotrzymywała kroku jeźdźcom w kłusie. Już samo maszerowanie po gorącym piasku było wyczerpujące, nie mówiąc o biegu. Suche powietrze paliło gardła żołnierzy z każdym oddechem.

– Już niedaleko... – sapał Romulus, gdy pokonali pięćset kroków.

Prawa flanką formacji wroga znajdowała się już prawie w zasięgu oszczepów Galów.

Tarkwiniusz zwolnił i zmrużył oczy.

Nagle Publiusz nakazał atak, przez co piechota została w tyle.

– Pędem! – Bassiusz wyrzucił rękę do przodu – Zabijmy tych skurwieli!

Żołnierze nadludzkim wysiłkiem starali się nadążyć za jeźdźcami, jednak Partowie nie zamierzali stać spokojnie i czekać, aż osiągną ich miecze Galów. Zawrócili konie i czmychnęli.

Publiusz złapał przynętę.

– Atakować! Atakować! – krzyczał w uniesieniu, a jego ludzie wbili pięty w boki wierzchowców, zmuszając je do szybszego biegu.

Trzy z czterech kohort najemników teraz już wyraźnie odstawały od reszty. Jednak ludzie Bassiusza jakimś sposobem wciąż utrzymywali wysokie tempo i dotrzymywali kroku starszemu centurionowi, który pędził tak szybko, jakby gonił go sam Cerber.

Całe prawe skrzydło Partów cofnęło się w pozornym nieładzie, wciągając rzymskie jednostki w zasadzkę. Publiusz przekonany, że wrogowie przestraszyli się szarzy jego jazdy, bezmyślnie prowadził Galów prosto w pułapkę.

Nie mógł zauważyć gestu dowódcy Partów.

Uciekający jeźdźcy odwrócili się w siodłach i jak jeden mąż, w wyćwiczonych ruchach, naciągnęli ciężkiy swoich śmiertelnych łuków. Ich dowódca opuścił rękę z gardłowym okrzykiem. Setki strzał pomknęło w kierunku Galów, przecinając powietrze z cichym sykiem. Wiele z nich znalazło swoje cele, wbijając się w ciała z miękkim, głuchym tąpnięciem. Dziesiątki Galów natychmiast zwały się na ziemię. Nie namyślając się ani chwili, Partowie oddali drugą salwę, celując w ludzi i konie. Ława jeźdźców galijskich niemal stanęła w miejscu doszczętnie rozbita gradem

pocisków.

Piechota Bassiusza dotarła do miejsca tej rzezi zaledwie po kilku chwilach. Powitał ich przerażający widok. Piasek przykrywały sterty ciał martwych i rannych jeźdźców, konie rzeziły w agonii z drewnianymi promieniami, wystającymi ze wszystkich stron ich piersi, zadów i pysków. Wiele spłoszonych wierzchowców miało się w szale, trając rannych i żywych. Śmiertelny deszcz nie przestawał siekać ziemi, niszcząc każde życie, jakie napotkał na swojej drodze. Nieliczni ocaleni byli w szoku. Płatali się po pobojowisku, wodząc wokół niewidzącymi oczyma. Zdezorientowani.

Publiusz kłusował po okręgu, podejmując desperacką próbę zebrania pozostałych przy życiu jeźdźców. Niespodziewanie wypuścił lejce i zaczął powoli przechylać się w siodle z rękoma uniesionymi do gardła. Strzała przebiła jego szyję i wyszła po drugiej stronie.

Z ust Galów wyrwał się krzyk przerażenia.

Sytuacja stała się beznadziejna. Brennus zrozumiał to natychmiast i spojrzął za plecy, szukając drogi ucieczki. Jednak było za późno. Setki Partów już zamykało pierścień okrążenia wokół najemników i resztki jazdy Publiusza.

Starszy centurion również zauważył, że droga odwrotu została odcięta.

– Formować *testudo*! – zawołał.

Zdyscyplinowani żołnierze natychmiast zbiegli się do środka i z trzaskiem złożyli tarcze w opancerzony mur z lśnącymi w słońcu guzami. Mężczyźni wzdłuż boków ustawili swoje tarcze pionowo, natomiast ci w środku formacji przykucnęli, osłaniając wszystkich *scuta* uniesionymi nad głowami. *Testudo* nie było formacją ofensywną, ale w defensywie zwykle okazywała się wyjątkowo skuteczna. Tyle że nie chroniła przed strzałami refleksyjnych łuków kompozytowych Partów!

Najemnicy Bassiusza, ukryci za tarczami, mogli tylko obserwować, jak przeciwnicy roznosili inne kohorty. Niezdolna ani do odwrotu, ani do ataku jazda Publiusza została unicestwiona na ich oczach.

Gdy padł już ostatni Gal, wojownicy partyjscy zbliżyli się do *testudo*. Romulus widział, jak jeden z wrogów doskakuje do ciała syna Krassusa z nożem w rękę. Gdy stanął wyprostowany kilka chwil później, w wyciągniętej ręce trzymał za włosy spływającą krwią głowę Publiusza. Podjechał do niego drugi wojownik, żeby unieść to trofeum na czubku lancy.

Strach rozprzestrzenił się z szeregach z szybkością błyskawicy. Kilku żołnierzy wpatrywało się bez ruchu w głowę Publiusza, po czym wyszło poza iluzoryczną

ochronę, jaką dawało *testudo*. Natychmiast zostali unicestwieni, co jeszcze bardziej negatywnie wpłynęło na morale pozostałych.

*Testudo* zakołysał się i zaczął się rozpadać.

– Nie odstawać! – wrzasnął Bassius, ale jego rozkazy nic nie dały. Coraz więcej najemników opuszczało żółwia, odrzucając ciężkie tarcze.

– Publiusz nie żyje! – krzyczeli, uciekając.

W tym czasie kohorty pieszych Galów, które zostały z tyłu, wciąż jeszcze zmierzały w ich stronę, jednak nie dane im było dotrzeć do Partów na odległość rzutu oszczepem. Nagle powietrze wypełniły krzyki. Z tumanów pyłu wychynęły dziesiątki żołnierzy uciekających w popłochu. Biegli w ich stronę.

Jeźdźcy z Kapadocji zrobili to, co każdy by zrobił na ich miejscu. Zawrócili konie i rzucili się do ucieczki.

Atak przerodził się w paniczną ucieczkę, podczas której żołnierze z czterech kohort gnali na łeb, na szyję w kierunku rzymskich linii. Prosto w objęcia oczekującej na nich innej grupy Partów.

Uciekali wszyscy poza dwudziestoma wojownikami z dowodzącym nimi Bassiuszem.

– Formować *testudo*! – w głosie starszego centuriona pojawiła się nuta dumy.

Romulus, Brennus, Tarkwiniusz i pozostali przy życiu najemnicy zacieśnili szyk, tworząc mały kwadrat.

– Rzymscy żołnierze nie uciekają! – zawołał Bassiusz. – Zwłaszcza gdy patrzy na nich cała armia! – wskazał na wroga. – Zostaniemy tu i będziemy walczyć!

Poprzez tumany piasku i kurzu Romulus widział, jak Partowie zataczają koła wokół uciekających najemników. Strzały cięły powietrze i ścinały ich z nóg. Zakrzywione miecze błyskały w słońcu, siejąc zniszczenie. Ludzie padali od ciosów, które przeorywały ich plecy. Kopyta koni wbijały pokonanych twarzą w piasek. Tylko nieliczni mieli szansę unieść broń i próbować się bronić.

Grupa Bassiusza mogła tylko bezradnie obserwować, jak to, co jeszcze przed chwilą można było nazwać ucieczką, teraz stało się rzezią. Szybko było po wszystkim. Jednak nie dla wszystkich. Na placu boju pozostali tylko skuleni za tarczami towarzysze Romulusa. Kawaleria Publiusza i cztery kohorty zostały starte z powierzchni ziemi w konsekwencji mistrzowsko przeprowadzonego manewru taktycznego.

Słońce nadal prażyło. Bezlitosne. Nieczułe na tę straszliwą rzeź. Na nieboskłonie

nie pojawiła się choćby najmniejsza chmurka. Ciężkiego powietrza nie poruszał nawet najłżejszy wiaterek. Z nieba bił niesamowity żar. Śmierć objęła we władanie ziemię.

Pod uniesionymi tarczami temperatura szybko rosła. Wkrótce stała się nie do zniesienia. Jednak na tych, którzy chcieliby wychylić głowę na zewnątrz, czekały strzały Partów.

– Ktoś ma wodę? – zapytał Feliks z nadzieją w głosie. Niewielki Gal, z którym dzielili namiot, należał do nielicznej grupy ich towarzyszy, którzy nie uciekli.

Romulus podał mu swój bukłak z wodą, pełny jeszcze w jednej czwartej.

Feliks wziął łyk i oddał bukłak.

– Nie starczy już na długo.

– Nie będzie musiało – mruknął jeden z pozostałych. – Elizjum czeka.

– Weźmiemy ze sobą tyłu, ilu się da – powiedział Feliks ponuro.

– To jest duch bojowy – wykrzyknął Bassiusz.

Słyszący tę wymianę zdań najemnicy ryknęli tak głośno, jak tylko się dało. Umrą jak mężczyźni. Jak wojownicy. Jak Rzymianie.

Zewsząd dochodziły przerażające krzyki rannych. Krew nasyciła żółty piasek, tak że wszędzie wokół widzieli tylko czerwień. Niezliczone trupy przypominały zepsute lalki.

Przyczajeni za osłonami z tarcz, które przecież i tak okazały się bezużyteczne, ocaleni z pogromu, czekali na nieuchronny atak. Gdy tumany pyłu zaczęły osiadać na ziemi, ze wszystkich stron zbliżyły się do nich setki Partów. Zostali otoczeni.

Jednak nikt nie wystrzelił w ich kierunku choćby jednej strzały. W pobliżu pojawił się samotny jeździec w drogich szatach. Jego koń z gracją wybierał drogę, umiejętnie omijając leżących pokotem na ziemi Galów. Partyjski dowódca zatrzymał się w bezpiecznej odległości i obserwował ich uważnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Sukinsyny! – zawołał Bassiusz. – Chodźcie tu i weźcie nas!

Gdy wszyscy pozostali przy życiu Galowie znów zaczęli krzyczeć z wściekłości i buntu, Romulus z Brennusem wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Gdy dowódca Partów wyda rozkaz, śmierć weźmie ich wszystkich w objęcia. Nie będzie chwalebego końca, lecz seria z zabójczych łuków kompozytowych. Jednak nie poddadzą się.

*Żegnaj, matko. Niech bogowie się wami opiekują, Fabiolo.*

*Podróż do miejsc, do których nigdy nie dotarł żaden z Allobrogów. I tu wreszcie pożegnam się*

z życiem. Nie będę już uciekał, zostawiając najbliższych na pastwę wrogów.

Śniady mężczyzna na koniu długo wpatrywał się w formację Galów. Mimo że nie mieli żadnych szans i otaczały ich stopy trupów towarzyszy, jego wrogowie nie zamierzali złożyć broni. Odezwał się w obcym języku, wskazując armię Krassusa.

– Co on mówi?

– Pewnie każe nam uciekać. Skurwysyn – powiedział Feliks, zagryzając wargę. – Żeby nas też mogli zabić.

Dowódca Partów znów wskazał rzymskie linie.

Tarkwiniusz zwrócił się do Bassiusza.

– Możemy ruszać, dowódco.

Starszy centurion patrzył na niego bezmyślnie. Inni też wlepiali wzrok w Tarkwiniusza.

– Ty go rozumiesz? – Romulus wciągnął powietrze.

– Partyjski jest bardzo podobny do dawnego języka Etrusków – mruknął.

– Te dranie mogli już pięć razy zasypać nas strzałami i zabić wszystkich – przyznał Bassiusz.

Tarkwiniusz zaczął wykrzykiwać słowa w tym samym języku, jakim posługiwał się jeździec, który teraz słuchał go uważnie, zanim odpowiedział.

Bassiusz uniósł brwi i czekał, aż ta dziwna wymiana zdań dobiegnie końca.

– O co chodziło, *optio*?

– Zapytałem go, kim jest, starszy centurionie.

– I co?

– To Surena, dowódca armii Partów.

Zdziwieni najemnicy wciągnęli powietrze.

Tarkwiniusz podniósł głos.

– Surena powiedział, że jesteśmy dzielnymi ludźmi, którzy nie zasługują dziś na śmierć. Ofiaruje nam możliwość bezpiecznego powrotu do linii Rzymian.

Galowie unieśli głowy, zdając sobie sprawę, że oto otworzyła się przed nimi szansa przeżycia, a Brennus westchnął głośno. Zatem jego podróż jeszcze się nie zakończyła.

– Czy możemy mu ufać? – zapytał Feliks.

– Nie mamy żadnych szans, jeśli będziemy czekać tu nie wiadomo na co – powiedział Bassiusz ponurym głosem.

– Rozformować *testudo*! Podwójna kolumna!

Żołnierze opuścili tarcze z pewną obawą, spodziewając się gradu strzał.

Nikt ich nie atakował.

Dwudziestu ocalałych z dwóch tysięcy otaczały niewzruszone, obce, brodate twarze. Jeźdźcy znajdujący się najbliżej rozsunęli się w ciszy, otwierając im przejście szerokie na dwóch mężczyzn.

To wydawało się zbyt piękne, żeby mogło być prawdą.

– Za mną chłopcy! Spokojnie i powoli – odezwał się pewnie centurion. – Niech im się nie wydaje, że się boimy.

Bassiusz poprowadził swój mały oddział przez szeregi konnych łuczników z wysoko uniesioną głową. Pomimo odniesionej rany i absolutnej klęski tego ataku morale weterana wciąż jeszcze było wysokie, a jego ludzie brali z niego wzór. Romulus mógłby przysiąc, że niektórzy wojownicy wroga pochylali głowy z szacunkiem, gdy ich mijali z tarczami i oszczepami w pozycji marszowej.

Musieli przekraczać ciała zabitych i rannych. Każdy żołnierz idący za Bassiuszem wiedział, jaki los czeka tych nieszczęśników. Nie mogli nic zrobić dla swoich kompanów, bo partyjscy jeźdźcy przyglądali się im z odległości kilku kroków.

Gdy ranni zdali sobie sprawę, że niektórzy z ich towarzyszy mają szansę wyjść cało z tej opresji, rozległy się rozpaczliwe wołania o pomoc.

– Pomóżcie mi wstać – zawołał jeden z żołnierzy, którego noga została przyszpilona do ziemi przez strzałę. – Dam radę.

Serce Romulusa wypełniło się litością. To był jeden z ludzi z ich centurii. Zanim jednak zdążył wyjść z kolumny, Brennus złapał go za ramię potężną dłonią.

– Ale to jeden z naszych!

– Nawet o tym nie myśl! – syknął Gal. – Wypatroszą cię jak rybę.

– Pozwolili odejść tylko nam – zgodził się Tarkwiniusz.

Romulus obserwował najbliższych przeciwników.

Jeden z nich rozciągnął usta w wilczym uśmiechu, po czym zręcznie zsunął się z siodła z zakrzywionym długim sztyletem w rękę.

Wpatrując się bezradnie w zbliżającego się do niego Parta, najemnik wpadł w panikę.

– Nie zostawiajcie mnie tu!

– Nawet nie wiesz, jak się nazywa – powiedział Tarkwiniusz. – Czy spróbujesz uratować też całą resztę?

– Uciekł, zostawiając nas na śmierć – warknął Brennus. – Tchórz!



Romulus z trudem dał się przekonać do tego, żeby nie reagować.

– Niech bogowie pozwolą ci odejść szybko.

– Nie! – wrzasnął ranny najemnik. – Nie zabi... – jego głos szybko ucichł, zastąpiony przez dźwięk krwi miękko spryskującej piasek.

Romulus odwrócił się.

Part otworzył gardło mężczyzny. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, a przecięta tętnica szyjna stała się źródłem pulsującej fontanny szkarłatu, który opryskał piasek. Ciało Gala przechyliło się powoli na bok, drgnęło kilka razy i znieruchomiło.

Inni ranni wydali okrzyki strachu, gdy zdali sobie sprawę, co się za chwilę stanie. A przecież Rzymianie w podobnych okolicznościach postąpiliby tak samo z rannymi wrogami.

– Patrząc przed siebie! – ryknął Bassiusz. – Oni wszyscy są martwi.

Romulus starał się ignorować myśl o tym, co zostawiają za sobą. Partowie snuli się wśród pokonanych Rzymian jak upiory i zabijali rannych bez litości, uciszając krzyki. Tylko Bassiuszowi i jego dwudziestu towarzyszom pozwolono odejść.

– Przetrwaliśmy, mimo że było ciężko – powiedział Tarkwiniusz uspokajająco.

Romulus pokręcił głową. Chciał wierzyć, że wszystko, co najgorsze, było już za nimi. Czego mógł się trzymać?

Ich marsz w kierunku rzymskich linii wydawał się trwać całą wieczność. Jednak ani jedna strzała nie została wystrzelona w ślad za tą resztką galijskiej kohorty. Surena dotrzymał słowa. W przeciwieństwie do próżnego Krassusa, który złamał postanowienia traktatu pokojowego, licząc na sławę i bogactwo.

Zbliżywszy się do pozycji wyjściowych, zauważyli, że armia rzymska stanęła wreszcie w jednej linii frontem do przeciwnika.

Romulus trącił Tarkwiniusza.

– Generał czyta w twoich myślach.

– Za późno – odpowiedział Etrusk. – Wkrótce uderzą katafrakci. Cały tysiąc.

Romulus zadrżał. Czy może być coś straszniejszego niż to, co właśnie przeszli? Brennus zauważył, że jego młody towarzysz traci ducha.

– Bogowie muszą nas chronić – powiedział pewnym głosem. – Wciąż żyjemy! – Gal uchwycił się rozpaczliwie myśli o tym, że musi być jakieś wytłumaczenie tego, iż przeżyli tę wielką masakrę. Jednak zdawał sobie sprawę, że szarżę wrogą przeżyją tylko dzięki boskiej opatrności.

Pomiędzy poszczególnymi kohortami pojawiły się luki szerokie na 20–30 kroków, dzięki czemu jednostki mogły swobodnie manewrować, ale nie zostawiono Partom dość miejsca, żeby mogli swobodnie poruszać się między oddziałami. Krassus nakazał, aby centurioni zajęli miejsca w pierwszych szeregach. Wiedział, że legiony muszą wytrzymać kolejny atak, i polegał na zdolnościach doświadczonych oficerów w zakresie podtrzymywania morale i utrzymywania dyscypliny w szeregach. Taką taktykę stosowano tylko wtedy, gdy stawka była wysoka.

Gdy grupa najemników znalazła się w odległości rzutu oszczepem, powitał ją krzyk legionistów. Tarkwiniusz wyciągnął rękę. Galowie popatrzyli w kierunku, który wskazywał, chcąc poznać przyczynę tego hałasu.

Surena okazał wielkoduszość, pozwalając najemnikom odejść, ale miał użyć przeciwko Krassusowi najpotężniejszej broni w swoim arsenale. Oddział katafraktów zajął pozycję pomiędzy konnymi łucznikami a linią rzymskich legionistów. Ich pancerze błyszcząły i lśniły w słońcu. To był naprawdę wspaniały widok. Jednak tym razem ciężkozbrojni jeźdźcy mieli inny cel. Na przedzie jechał jeździec potrząsający głową Publiusza nabitą na włócznię. Dla Rzymian miał to być znak tego, czego mają się spodziewać.

Jeźdźcy wroga zbliżyli się do linii legionistów, żeby każdy żołnierz dobrze zobaczył głowę Publiusza. Kolejny ryk rozpaczy rozdarł powietrze. Rzymianie stracili nie tylko połowę swojej jazdy i dwa tysiące piechoty.

Syn Krassusa nie żył.

Zajmujący pozycję za rzymskim centrum Krassus usłyszał krzyki, ale nie reagował. Widział, jak szarża kawalerii Publiusza zakończyła się sromotną porażką, i podupadł na duchu. Nie wiedział jednak jeszcze, co stało się z jego synem, a na dodatek nie mógł liczyć na jakąkolwiek pomoc w podjęciu decyzji dotyczącej następnego ruchu legionów. Żaden z jego starszych oficerów nie miał żadnego pomysłu. Nikt poza kłopotliwym Longinusem nie sprzeciwiał się jego woli. Za bardzo ich nastraszył. Jednak Krassus wolał zostać przeklęty, niż dać posłuch zwykłemu legatowi.

Nie mając pewności, co robić dalej, spiął konia i ruszył w pobliże tylnych szeregów, aby dowiedzieć się, co się dzieje w pierwszej linii. Fale strachu przeszły przez szeregi mężczyzn na widok jego czarnego płaszcza. Noszenie takich barw było złym znakiem w każdym momencie, a cóż dopiero wtedy, gdy prowadzi się armię do bitwy.

Ignorując przerażone spojrzenia żołnierzy, Krassus z trudem skupił wzrok na zbliżających się katafraktach. Nagle zrozumiał. Na włóczni podskakiwała okrwawiona głowa Publiusza.

Krassus zmarł. I dał się pokonać smutkowi. Arogancki generał zniknął, skurczył się w sobie i opadł na łęk siodła. Ciałem tego, który chciał pójść w ślady Aleksandra, wstrząsał wielki szloch.

Tymczasem Partowie osiągnęli to, co chcieli osiągnąć, i odjechali.

Pamiętając wszystkie złe wróżby, znajdujący się w pobliżu legioniści spoglądali nerwowo w stronę Krassusa. Powtarzające się znaki z niebios wpływały nawet na tych, którzy nie byli przesądni. Burze na morzu. Serce byka. Odwracający się orzeł. Sępy unoszące się nad kolumną przez kilka dni. Zdrada Nabatejczyków. A teraz śmierć Publiusza.

To było oczywiste. Bogowie przeklęli kampanię Krassusa.

Wielka armia stała bez ruchu. Trąbki milczały, gdy wrogowie pokazywali głowę Publiusza na lancy przed pierwszym szeregiem. A potem linie zaczęły się chwiać, a ludzie łamali szeregi, szukając dróg ucieczki. Zajmujący miejsce w tyłach młodszy oficerowie, uzbrojeni w długie pałki, zmuszali ich siłą do powrotu na pozycje, ale nie byli w stanie zapobiec rozprzestrzeniającemu się w szeregach armii strachowi. Zimne macki przerażenia wkradały się do serc wyczerpanych rzymskich żołnierzy. A strach był zaraźliwy. Żołnierze potrzebowali silnego przywództwa, a tymczasem nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek mógł zapanować nad chwiejącymi się szeregami.

Szepty przerodziły się w pomruki, a te z kolei w krzyki, powiększające wrażenie wszechogarniającego armię przerażenia.

– Generał odchodzi od zmysłów ze zgrozoty!

– Krassus oszalał!

– Odwrót!

– Zamknąć te pieprzone jadaczki! – krzyknął centurion znajdujący się w pobliżu Romulusa, machając wściekle swoją różgą. – Następny, który wspomni o odwrocie, skończy z moim gladiuszem w brzuchu! Trzymać linię!

Większość legionistów uciszonych przez swoich oficerów wreszcie ucichła. Dyscyplina przeważała, choć było blisko paniki.

Grupka katafraktów wróciła na pozycje wyjściowe. Po uzupełnieniu zapasów strzał tysiące konnych łuczników znów zbliżyły się do rzymskich linii. Po podłamaniu morale przeciwnika spektaklem z głową Publiusza Surena zamierzał

rzucić na Rzymian wszystkie swoje siły, pokazując im dobitnie, że zwycięzca tego starcia może być tylko jeden.

Krassus wreszcie doszedł do siebie i dostrzegł zbliżające się niebezpieczeństwo.

– Ścisła formacja! – zacharczał. – Oszczepów używać dopiero wtedy, gdy wróg znajdzie się w odległości dwudziestu kroków. Nie więcej!

Goniec natychmiast rzucił się w kierunku trębaczy. Jeśli ci nie przekażą rozkazów wystarczająco szybko, wróg za chwilę znajdzie się tuż przy pierwszych liniach Rzymian.

– A co potem, wodzu? – jeden z trybunów znalazł w sobie dość odwagi, żeby zadać nurtujące go pytanie.

Krassus był raczej zdziwiony niż zły. Pomachał lekceważąco ręką.

– Wytrzymamy ten atak. Zasypimy Partów oszczepami. To ich nauczycy.

Trybun wydawał się zbity z tropu.

– Ale przecież łuki mają większy zasięg niż oszczepy.

– Macie wykonać rozkazy – stwierdził głuchy na wszelkie sugestie Krassus. – Nic nie powstrzyma rzymskich legionów.

Trybun zrezygnował z dalszej dyskusji, choć w jego oczach pojawiło się przerażenie.

Krassus postradał rozum.

Nie otrzymawszy żadnych rozkazów dotyczących rozlokowania, Bassiusz poprowadził swoich ludzi ku pozycjom Legionu VI, zajmującego pozycje na prawym skrzydle rzymskiej armii.

– Nie zdążysz dołączyć do reszty najemników – usłyszał krzyk centuriona, gdy ich oddział zbliżył się na odległość głosu. – Może to wbrew regulaminowi, ale ustaw swoich ludzi w jednej linii z naszą formacją.

– Świetnie. Słyszeliście centuriona! – Bassiusz wydał rozkazy. – Po sześciu w kolumnie. Trzy linie. Ruszać się!

Oddział szybko uformował szyk, zajmując miejsce na skrzydle Rzymian. Potężnie zbudowany centurion, który jako pierwszy zaproponował im zajęcie pozycji obok, powitał Bassiusza, ściskając jego przedramię.

– Gajusz Peregrinus Sido. *Primus pilus*, pierwsza kohorta. *Legio VI Ferrata*.

– Marek Emiliusz Bassiusz. Starszy centurion, czwarta kohorta galijskich najemników. Weteran z piątej kohorty.

– To była prawdziwa masakra – powiedział Sido. – Mieliście wiele szczęścia, unosząc głowy.

– Te dranie po prostu wciągnęły nas w pułapkę. Ich prawe skrzydło wycofało się, udając ucieczkę, po czym szybkim manewrem zamknęli nas w pułapce. Publiusz nawet nie zdążył zareagować.

Sido gwizdnął z szacunkiem.

– Jak to możliwe, że przeżyliście?

– Nie uciekaliśmy jak inni – Bassiusz wzruszył ramionami. – I dowódca Partów po prostu pozwolił nam się wycofać.

– Na Marsa! Powinieneś podziękować bogom za ich łaskę. Wypij za to, gdy wrócicie do domów.

– Mam nadzieję, że jeszcze będę miał okazję – Bassiusz uśmiechnął się ponuro, spoglądając w stronę partyjskich łuczników. Za chwilę mieli znaleźć się w zasięgu ich strzał.

– Nasze oszczepy na nic się tu zdadzą – stwierdził poważnie Sido. – Co robisz?

– Musimy wytrzymać do zmroku – odpowiedział Bassiusz. – Potem wycofać się do Carrhae pod osłoną ciemności, a jutro ruszyć w góry.

– Wycofać się? – Sido wciągnął powietrze. – Nie możemy walczyć z tymi skurczybykami na otwartym terenie. To pewne.

– Im szybciej Krassus to zrozumie, tym lepiej. W przeciwnym wypadku wyda na nas wszystkich wyrok śmierci.

Od czasu wycofania się katafraktów za linię konnych jeźdźców Krassus nie wydał żadnych nowych rozkazów. Po chwili jednak zabrzmiały trąbki, dając serie krótkich sygnałów.

– Zewrzeć szeregi! Przygotować się na atak!

Żołnierze znajdujący się w pierwszych liniach nie potrzebowali poganiania. Czym prędzej zasłonili się tarczami od przodu, podczas gdy ludzie znajdujący się w drugiej linii unieśli swoje *scuta* w powietrze, ustawiając je pod kątem. Nic więcej nie mogli zrobić. Rzymska tarcza chroniła przed zwykłymi strzałami, ale jak każdy z nich wiedział już nazbyt dobrze, łuki Partów nadawały strzałom większą prędkość i siły prawdziwe spustoszenie w szeregach wrogów.

Chmury pyłu uniesionego końskimi kopytami wypełniały powietrze drobkami piasku, utrudniając oddychanie. Jako że Rzymianie stanęli w szyku liniowym, partyjscy łucznicy nie mogli już krążyć wokół każdej grupy, jak czynili to

wcześniej. Teraz musieli atakować na wprost, co znacznie zmniejszało liczbę strzelających.

Jednak legiony Krassusa nie miały chwili wytchnienia. Kolejna fala jeźdźców zbliżyła się do pozycji rzymskich legionistów, po czym w powietrzu zaroilo się od strzał wystrzelonych z pięćdziesięciu kroków. Centurioni nie wydali rozkazu użycia oszczepów. Nie było sensu. Gdy jedna fala Partów wycofała się, w jej miejsce pojawiła się kolejna. Unieruchomieni żołnierze byli zasypywani gradem strzał, które równie łatwo przebijały drewno, metal i ciało.

Gdy ostre groty demolowały tarcze Rzymian, co chwila ktoś krzyczał z bólu. Strzały wylupywały oczy. Wbijały się w nogi, przybijając je do ziemi. Każdy trafiony legionista tworzył dziurę w ścianie tarcz, w którą sypały się kolejne pociski. Partowie bezlitośnie wykorzystywali każdą okazję, aby dziesiątkować swoich wrogów. Rzymianie kulili się bezradnie pod tarczami, z zaciśniętymi zębami, modląc się.

Podczas tego długotrwałego ostrzału ucierpiało także kilku najemników Bassiusza. Za radą centuriona żołnierze łamali wbite w ciała strzały i wyciągali je, jeśli tylko pojawiła się taka możliwość. Mężczyźni krzyczeli z bólu, gdy krew ciekła strumieniami z ich ran. Powietrze wypełniło się jękami rannych, tętentem galopujących koni i sykiem pierzastych lotek śmiercionośnych pocisków. Przerażająca kakofonia dźwięków.

Romulus przyzwyczał się do przenikliwych wrzasków ginących, ale liczba rannych żołnierzy rosła w niewyobrażalnym tempie. To była apoteoza śmierci na wielką skalę, w swoich rozmiarach niemożliwa do ogarnięcia zmysłami. Pomyślał sobie, że bitwa pod Kannami musiała wyglądać podobnie. Bitwa, która zakończyła się potworną klęską Republiki.

Ostrzał trwał dopóty, dopóki Partom znów nie skończyły się strzały. Jednak ilekroć wydawało się, że przeciwnik zużył całą amunicję, jeźdźcy czym prędzej wycofywali się do taboru, żeby uzupełnić zapasy. Łuczników było tak wielu, że przerwy w ostrzale wojsk rzymskich trwały krótko i zdarzały się rzadko. Rozsierdzeni swoją niemocą centurioni czasami wydawali rozkazy odpowiedzenia na ostrzał oszczepami, ale jeźdźcy rzadko znajdowali się na tyle blisko, aby rzymskie pociski mogły wyrządzić im jakąś szkodę. Setki *pila* wylatywały w powietrze tylko po to, aby spocząć na piasku. Zmarnowane i bezużyteczne.

Po kilku godzinach tej rzezi morale armii rzymskiej zaczęło szybko spadać. Tylko w szeregach Legionu VI zginęło prawie tysiąc żołnierzy. Setki rannych leżały

na rozgrzanym słońcem piasku, wyjąc z bólu. Atmosfera stała się aż gęsta od strachu i centurionom coraz trudniej przychodziło utrzymanie jednostek na pozycjach.

Znajdująca się na lewym skrzydle jazda iberyjska rozpierzchnęła się w nieładzie, nie chcąc dzielić losu ostrzeliwanych Galów. Jako że nie było żadnych wieści od Ariamnesa i jego Nabatejczyków, Rzymianie nie dysponowali konnicą. A mało mobilna reszta armii Krassusa była właśnie rozbijana na miazgę, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji.

Potężne ciosy spadały na kolejne kohorty. Wyczerpani legionieści, którym kazano znosić piekielne słońce i morderczy ostrzał, zaczęli się wahać, bliscy paniki.

Tymczasem w powietrzu rozległy się dźwięki bębnów i dzwonek. Przy akompaniamencie tego potwornego hałasu, osiągnął niezwykłe crescendo, konni łucznicy wycofali się na pozycje wyjściowe. Pozostali przy życiu rzymscy żołnierze, niepewni, czekali na to, co przyniosą najbliższe minuty. Ich nerwy były napięte jak postronki. Chmura pyłu wzniesiona końskimi kopytami na dobre oddzieliła oba wojska i osłoniła manewry Partów.

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, nie działo się nic.

Wszystkie instrumenty ucichły i zapadła głucha cisza. Surena wcielił się dziś w rolę surowego sędziego i właśnie nadchodził dzień sądu.

Ziemia pod stopami Romulusa zaczęła drżeć. Chłopak wciąż jeszcze nie widział tego, co dzieje się przed linią Rzymian. Nagle zrozumiał.

– Katafrakci!

Starszy centurion wpatrywał się pustym wzrokiem w Romulusa, nic nie rozumiejąc.

– Szarża ciężkiej jazdy!

Bassiusz zwrócił się do Sido i zaklął.

– Rozbiją nas w puch! Wszyscy, którzy mają jeszcze oszczepy! Do pierwszej linii!

Centurion z rzymskiej kohorty skinął głową. Widział ciężką jazdę w akcji i wiedział, czego może się po niej spodziewać.

– Wszyscy z oszczepami naprzód! Szybko!

Brennus zaczął przepychać się do przodu, rad, że może wreszcie wyrównać rachunki z wrogiem. Był pewien, że bogowie śledzą każdy jego ruch podczas ziemskiej podróży. Wszystko to miało swój cel. Tyle poświęcił. A teraz przyszedł czas walki.

Ponieważ Romulus i Tarkwiniusz nie mieli już oszczepów, więc zostali na swoich pozycjach.

– Zewrzeć szyki! – rozkazał Bassius. – Wbijajcie włócznie w końskie brzuchy. Wybebeszcie konie! Oślepcie je! Zrzucajcie jeźdźców i rozedrzyjcie ich na strzępy!

– Trzymać linię! – Sido uniósł w powietrze swój gladius. – Za Rzym!

Żołnierze odpowiedzieli chaotycznymi krzykami i pospiesznie utworzyli mur tarcz. Romulus i Tarkwiniusz znaleźli się w drugim szeregu, kilka kroków za Brennusem. Gal siłą przecisnął się bliżej, żeby stanąć w pobliżu dwóch centurionów.

Ziemia trzęsła się od tętentu kopyt, a powietrze wypełnił basowy grzmot. Bassiusz zdążył wykrzyknąć:

– Tarcze w górę! Przygotować oszczepy!

I nagle z obłoku kurzu i pyłu wyłoniły się pierwsze rzędy klina ciężkiej jazdy, która zbliżała się pełnym galopem. W odpowiedzi na rozkaz ich dowódcy pustynni jeźdźcy znizyli ciężkie lance w doskonale zsynchronizowanym ruchu. Centurioni nie mieli szansy wydać rozkazu rzutu oszczepami. Tysiąc jeźdźców przebiło się przez rzymskie linie z niszczycielską siłą. Sido i ci znajdujący się w pierwszej linii zostali odrzuceni siłą impetu lub stratowani przez konie, a mężczyźni znajdujący się za nimi umierali od potężnych ciosów lanc przebijających ich klatki piersiowe.

Romulus patrzył z przerażeniem, jak niepowstrzymana fala przelewa się przez centrum kohorty, niszcząc wszystko, co znalazło się na jej drodze. Chciał wziąć udział w walce, ale uderzenie Partów było tak potężne, że nie miał możliwości przesunięcia się do przodu. Mógł tylko stać i patrzeć. Tu i tam jakiemuś żołnierzowi udało się trafić *pilum* konia w oko. Trafione wierzchowce rżały z bólu i stawały na tylnych nogach, rozbijając czaszki tym, którzy nieopatrznie znaleźli się w zasięgu kopyt. Nieliczni katafrakci zaciskali dłonie na wodzach, gdy żądni zemsty legionieści próbowali ściągnąć ich z siodeł. Nie było litości. Wielu Partów zginęło od ciosów mieczem w szyje. Znów piasek na całej linii formacji zabarwił się szkarłatem.

Romulus dostrzegł Brennusa, który ściągnął dobrze opancerzonego wojownika z kulbaki dzięki brutalnej sile, a potem dźgnął go prosto w twarz. Bassiuszowi i kilku innym żołnierzom udało się unieruchomić z pół tuzina koni przez przecięcie ich ścięgien, z łatwością radząc sobie z jeźdźcami, gdy ci już byli na ziemi. Tarkwiniusz też jakimś sposobem przedostał się do pierwszego szeregu, aby podjąć walkę. Romulus widział kilka razy, jak jego przyjaciel używa topora, i zawsze wielką przyjemnością sprawiało mu podziwianie umiejętności i fascynującej płynności ruchów Etruska. Muskularny mężczyzna wirował z gracją i rozdawał ciosy na prawo



i lewo, dzierżąc ciężką broń z taką łatwością, jakby to była zabawka. Zakrzywione żelazne ostrza błyskały krwawymi refleksami, podczas gdy przeciwnicy, którzy znaleźli się w jego zasięgu, krzyczeli z bólu po tym, jak Etrusk oddzielał ich ręce i ramiona od ciał z zabójczą skutecznością. W tej rzeźni zginęło też wiele koni, których nie oszczędzano na równi z ludźmi.

Tarkwiniusz nie parał się wyłącznie przepowiadaniem przyszłości.

Atak katafraktów zakończył się jednak powodzeniem. Gdy ciężka jazda przebiła tylne szeregi, w linii Legionu VI ziała wielka dziura. Setki ofiar leżało na okrwawionym piasku, wyjąc z bólu. Lance oraz wygięte *pila* wystawały z ciał martwych wojowników obu stron. Na skrzydle po stronie Romulusa i jego przyjaciół zginęli wszyscy centurioni, pozostawiając zdezorientowanych żołnierzy bez dowódców.

Impet szarzy katafraktów zniszczył nie tylko rzymską formację, ale i ducha walki. Legioniści, których morale spadało przez cały dzień, teraz uznali, że dalszy opór jest ponad ich siły. A przecież wielu z nich było doświadczonymi weteranami, którzy brali już udział w kilku wojnach, walcząc z wrogami Republiki we wszystkich zakątkach znanego im świata. I zwyciężali. Tymczasem Krassus kazał im bić się z armią, której nie mogli przeciwstawić się na równych warunkach, armią składającą się z konnych łuczników zabijających z daleka i ciężkiej jazdy bez problemu przebijającej się przez rzymskie linie.

Katafrakci zaczęli zawracać na otwartej przestrzeni po przebicciu się na drugą stronę rzymskiej formacji. Ten manewr powitały okrzyki przerażenia bezradnych ludzi zdanych na łaskę wroga. Jeźdźcy uderzyli w inną część Legionu VI, roznosząc Rzymian na długich mieczach. A potem znów zniknęli w chmurach pyłu.

Wszyscy wiedzieli, że to nie koniec. Wróć.

Tymczasem rozpoczął się kolejny atak łuczników. Wkrótce po nim katafrakci uderzyli w Legion X, zajmujący pozycję obok VI. I tym razem ten atak przyniósł przerażający efekt. Gdy było już po wszystkim, ci, którzy przeżyli to uderzenie, mimowolnie rzucali spojrzenia do tyłu, mając nadzieję, że ktoś wreszcie pójdzie po rozum do głowy i zarządzi odwrót.

Było tylko kwestią czasu, kiedy załamią się i rzucą do panicznej ucieczki.

## Zdrada



Lupanar, Rzym, lato 53 r. p.n.e.

**F**abiola w zamyśleniu stukła paznokciem o zęby, prawie żałując, że poprosiła Docilosę o przeszukanie pokoju innej dziewczyny. Czuła, że to było złe. Kolejne naruszenie prywatności. Małe izby, które przydzielała im Jowina, miały być jedynymi oazami spokoju i prywatności, w których mogły czuć się bezpiecznie i gdzie mogły dowolnie się urządzać. Odeгнаła tę niepokojącą myśl. Zbyt wiele pogardliwych komentarzy pod swoim adresem słyszała niedawno. I ostatnie plotki w łaźni okazały się znacznie bardziej niepokojące niż zwykle. Zamiast typowego dla tego miejsca beztróskiego paplania o potrzebach klientów, napiwkach otrzymanych i nieotrzymanych, o tym, które modlitwy zostały wysłuchane, a które nie, kobiety zebrane w małe grupki szeptały po kątach, niespokojne, wyczuwając nieprzyjemną atmosferę i złe emocje.

Fabiola przyzwyczaiła się już do zazdrości innych prostytutek, gdy w Lupanarze

pojawiał się jakiś nowy, bogaty klient i od razu prosił o nią, wymieniał jej imię i nie poświęcał pozostałym dziewczynom Jowiny nawet krótkiego spojrzenia. Aby zminimalizować niekorzystny wpływ tej zazdrości, Fabiola zawsze starała się wynagradzać wyrozumiałość innych kobiet, ofiarując im drobne kwoty pieniędzy. Już dawno przekonała się, że nic nie działa na ośłode tak dobrze, jak sakiewka sesterców. Jednak gdy dwa dni temu Fabiola przypadkiem podsłuchiwała rozmowę, jaka odbywała się za uchylonymi drzwiami, i stwierdziła, że najwyższy czas poprosić o pomoc Docilosę. Słowa, które usłyszała, miały w sobie tyle jadu... Po raz pierwszy od czasu, gdy została zaciągnięta tu z domu Gemellusa, do serca dziewczyny zaczął wkradać się strach. Dopiero co odkryła, że Romulus może jeszcze żyć. I dlatego życie nagle stało się bardzo cenne.

Docilosa spełniła jej prośbę poprzedniej nocy, gdy wszystkie prostytutki były zajęte. Żadna z nich nie mogłaby niczego podejrzewać, nawet gdyby nakryły ją w swojej sypialni. Docilosa zajmowała się sprzątaniami i pracami porządkowymi we wszystkich pokojach.

A decyzja Fabioli okazała się słuszna.

– Jesteś pewna?

Docilosa skrzywiła się.

– A co to jeszcze mogło być? Jedna mała buteleczka ukryta pod luźną płytką w podłodze. Nie mogłam ryzykować i zabrać ją, żeby ci pokazać.

– Może to perfumy? – Fabiola nie chciała się przyznać do tego, że wniosek mógł być tylko jeden.

Docilosa parsknęła.

– Zanurzyłam w tej cieczy cienką gałązkę i skropiłam kawałek chleba, który leżał na stole.

Fabiola poczuła nagle szacunek do starszej przyjaciółki.

– Zostawiłam ten chleb przy pęknięciu na murze w ogrodzie. Wiesz gdzie?

– Tam, skąd przychodzą myszy... – powiedziała głucho Fabiola, wiedząc już, jak skończy się ta opowieść. Dziewczyna często obserwowała z rozbawieniem, jak maleńkie stworzenia przeciskają się przez otwór, pracowicie poszukując resztek pożywienia. Koty z Lupanaru niezbyt dobrze radziły sobie z tymi uciążliwymi, wszechobecnymi gryzoniami, co zresztą niezmiernie irytowało Jowinę.

Zapadła cisza.

– Ukryłam się i czekałam. Nie trwało to długo, zanim pojawiła się pierwsza mysz.

Zjadła chleb w mgnieniu oka – Docilosa rzuciła Fabioli chmurne spojrzenie. – Zrobiła raptem ze dwa kroki i padła martwa.

Kruczowłosa dziewczyna poczuła, jak gruba obręcz ściska jej żołądek. Podeszła do drzwi i otworzyła je, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje na korytarzu. Stwierdziwszy z ulgą, że nikogo tam nie ma, zamknęła je cicho i odwróciła się do Docilosity.

– Trucizna.

To słowo zawisło w powietrzu niczym czarna chmura.

– Jej nie można ufać – rzuciła Docilosa. – Mówiłam to od początku.

Fabiola nie mogła zaprzeczyć. Dowodem był martwy gryzoń w ogrodzie.

Dziewczyna westchnęła. Relacje z Pompeją od jakiegoś czasu stawały się coraz bardziej napięte, ale nie przypuszczała, że do tego dojdzie. Mimo jej najszczerzych chęci ruda prostytutka stała się niebezpiecznym wrogiem. Zazdrość sprawiła, że z kogoś, kogo Fabiola polubiła od pierwszego dnia w Lupanarze, stała się kimś, kto chciał jej śmierci.

A przecież wszystko szło tak dobrze! Zdając sobie sprawę, że będzie potrzebowała sojuszników, aby przeżyć, Fabiola starała się, jak mogła. Pożyczały sobie perfumy i stały się najlepszymi przyjaciółkami. Claudia, Gotka o blond włosach, w końcu również okazała się całkiem przyjaźnie nastawiona. Tworzyły grupę, która spędzała w swoim towarzystwie cały swój wolny czas. Pompeja i Claudia swobodnie dzieliły się z nią radami i wskazówkami, które młoda prostytutka zastosowała. Desperackie pragnienie zostania najlepszą dziewczyną w tym przybytku rozkoszy sprawiało, że Fabiola zyskiwała ciągle nowych klientów i zdobywała wpływy, planując, jak uratować swoją matkę i Romulusa. Szybko wielu jej klientów wprost oszalało na jej punkcie. Gdy Fabiola stawała się coraz bardziej popularna, Claudia wrzeszczała tylko fatalistycznie ramionami. Blondynka miała kilku całkowicie oddanych jej klientów, arystokratów, którzy lubili być krępowani i dominowani. W jakiś dziwny sposób ta mała grupka zupełnie wystarczała Claudii.

Za to nastawienie bardzo nerwowej Pompei miało mniej filozoficzny charakter. Pracowała w Lupanarze już od prawie pięciu lat, a mimo to Fabiola zdobyła w ciągu dwunastu miesięcy więcej stałych klientów niż Pompeja. W końcu nawet jeden z jej najlepszych klientów, człowiek, który dawał największe napiwki, też zmienił dziewczynę. To było nie do zniesienia. Ich dobre relacje zaczęły się psuć i wkrótce ledwo znosiły swoje towarzystwo. Claudia starała się nie mieszać do tego konfliktu, próbując pozostać w dobrych stosunkach z obiema dziewczynami. Oczywiście

Jowina szybko zauważyła, że coś jest nie tak i poprosiła dziewczyny o rozmowę. Przyjęła je osobno. Lupanar był jej domeną, której zazdrośnie strzegła i chciała chronić.

– Nie chcę żadnych kłopotów – groziła właścicielka. – Mężczyźni zawsze zauważą, że dziewczyny za sobą nie przepadają. Nie podoba im się to, a ponadto źle wpływa też na moje interesy. Musicie z tym skończyć. Natychmiast.

Fabiola wyszła z rozmowy z Jowiną zadowolona. Sądziła, że to oznacza koniec jej kłopotów.

Pompeja najwyraźniej miała inne plany.

Fabiola wręczyła Docilosie małą sakiewkę z denarami.

Ta zważyła ją w dłoni.

– To o wiele za dużo – zaprotestowała.

Fabiola roześmiała się.

– Za uratowanie mi życia? Żadne podziękowania nie zrównoważą przysługi, jaką mi wyświadczyłaś. – Pochyliła się i pocałowała Docilosę w policzek.

Ten gest wywołał rzadki uśmiech na twarzy starszej kobiety.

– Będę musiała spędzać więcej czasu w kuchni – powiedziała Fabiola, próbując nadać swojemu głosowi jasną barwę. – Pilnować przygotowywania wszystkich moich posiłków.

Nie wierzyła, że Katus lub inni niewolnicy w kuchni byłiby zdolni do tego, żeby ją otruć. Pompeja musiałaby pojawić się w kuchni pod jakimś pretekstem i sama wykonać brudną robotę. Jowina pozwalała, żeby prostytutki zamawiały jedzenie o dowolnej porze, jeśli tylko nie pracowały, więc w tym pomieszczeniu zawsze panowało spore zamieszanie. Nietrudne byłoby też wyczekanie odpowiedniej chwili w korytarzu i doprowadzenie talerza stojącego na blacie przy drzwiach. Jeszcze jedna dziewczyna szukająca jakiegoś smacznego kąska nie przyciąga uwagi.

Fabiola nagle poczuła się bardzo nieswojo ze świadomością, że Pompeja chce ją zabić. Chociaż Fabiola nie zbliżyła się jakoś specjalnie do innych kobiet, nigdy nie chciała żadnej zaszkozić. Nie mogła też zrozumieć tak chorobliwej zazdrości, która kazałaby komuś zabić innego człowieka w związku z taką błaźnistką. Mimo tego szokującego odkrycia Fabiola nie rozważała odplacenia się Pompei tą samą monetą. Miałaby ją zamordować? I nie chodziło wcale o to, że się tego bała. Przeciwnie z całego serca pragnęła już śmierci człowieka.

Gemellusa.

Brzuchaty kupiec od wielu lat znęcał się nad jej matką. Powinien umierać powoli i w bólach. Jej ojciec również zasłużył sobie na podróż do Hadesu: arystokrata, który zgwałcił niewolnicę tylko dlatego, że mógł to uczynić. W porównaniu z głęboko zakorzoną nienawiścią, jaką Fabiola darzyła te dwie osoby, emocje związane z Pompeją wydawały się żałosne. Śmieszne. Natychmiast przywołała się jednak do porządku. Groziło jej prawdziwe niebezpieczeństwo. Jeśli jej ruda ekspryjaciółka była na tyle niebezpieczna, aby jej grozić i kupić truciznę, Fabiola musiała przyjąć, że kobieta gotowa jest również użyć śmiertelnie groźnej substancji.

Życie w Lupanarze stawało się niebezpieczne, a to, że będzie pilnować swojego jedzenia, nie pozostanie niezauważone. W Rzymie nagminnie używano trucizny i kucharze natychmiast domyślą się, dlaczego Fabiola przygląda się bacznie, jak pracują. Pojawią się podejrzenia, plotki i Pompeja zrozumie, że Fabiola wie o truciznie. Nie może przecież odmówić spożywania posiłków przygotowywanych w kuchni. Jowina natychmiast się o tym dowie. Dreszcz strachu spłynął po plecach dziewczyny.

Trzeba coś z tym zrobić. Szybko.

Fabiola zagryzła wargę, bo na razie żadne rozwiązanie nie przychodziło jej do głowy. Będzie musiała pomyśleć. Pomodli się żarliwie, żeby Jowisz dał jej inspirację. Z jakiegoś powodu była pewna, że najpotężniejszy rzymski bóg ześle jej jakiś znak.

Docilosa uśmiechnęła się szeroko. To był rzadki widok! Fabiola spojrzała na nią pytająco, zastanawiając się, co ją tak rozbawiło.

– Wylałam wszystko do kanalizacji – rzekła triumfalnie. – Umyłam dokładnie butelkę i wypełniłam ją świeżą wodą ze studni.

Serce Fabioli podskoczyło wesoło na wieść o tym nieoczekiwanym zwrocie.

– Bogowie mi cię zesłali!

– Ta suka będzie myśleć, że ten, kto sprzedał jej truciznę, po prostu ją oszukał.

– Albo że jestem nieśmiertelna.

Obie zachichotały.

Docilosa jednak spoważniała.

– Co zamierzasz zrobić, Fabiolo? Pompeja jest mściwa. Dobrze wiesz, że to jej nie powstrzyma.

Fabiola pokiwała głową. Dzięki przebiegłości Docilosy zyskała tylko kilka dni. Nic więcej.

– Zostaw to mnie... – powiedziała, udając pewność siebie. – Coś wymyślę.

A to jeszcze nie był koniec...

Dwa dni później Fabiola ledwo dowlokła się do swojego pokoju o świcie, zmęczona całonocną pracą. Miała więcej klientów niż zwykle, ale wysiłek się opłacił. Jej oszczędności zwiększyły się o trzy złote aureusy, a ostatni klient okazał się nowo wybranym kwestorem. Kimś, kto w przyszłości może okazać się przydatny. Ambitni politycy zawsze byli mile widzianymi gośćmi w jej alkwie, a Fabiola zadbała, aby doprowadzić mężczyznę na skraj szaleństwa, zanim pozwoliła mu na orgazm.

Wróci. Niedługo.

Uśmiechnęła się. Większością mężczyzn bardzo łatwo było manipulować.

Po dłuższej chwili spędzonej w łaźni Fabiola zazwyczaj tylko rozbierała się szybko do naga i padała zmęczona na łóżko, żeby złapać kilka godzin zasłużonego snu. Z powodów, których nigdy później nie potrafiła wyjaśnić, tym razem coś kazało jej przyrzeć się bliżej wełnianej narzutce, którą właśnie zamierzała odrzucić.

Łóżko wyglądało dziwnie. Nierówno.

Puls Fabioli przyspieszył i dziewczyna zamarła bez ruchu. Próbowwała wzrokiem przewiercić się przez narzutę i poznać istotę czegoś grubego, zwiniętego pod spodem. I wtem ów kształt poruszył się, sprawiając, że Fabiola z trudem powstrzymała się od krzyku.

Pompeja nie zrezygnowała ze swoich planów.

Fabiola wyszła na palcach na korytarz, zamykając za sobą cicho drzwi. Udała się na poszukiwanie ochroniarzy. Będą wiedzieli, co zrobić.

Gdy Benignusz i Wettiusz usłyszeli, co się jej przytrafiło, ich reakcja była tak gwałtowna, że Fabiola musiała prosić jednego z nich, żeby został przy drzwiach wejściowych. Wszystko działo się tuż przed świtem, kiedy ostatni klienci opuszczali przybytek uciech, a większość prostytutek szła spać. Obaj ochroniarze ciężko stąpający po korytarzu ściągali na siebie uwagę. Fabiola poprosiła Wettiusza, żeby udał się za nią, zachowując się najciszej, jak potrafi, po czym wróciła do pokoju. Wciągnęła głęboko powietrze, uwalniając się od strachu, jakiego doświadczyła wówczas, gdy zauważyła nietypowy kształt narzutki. *Wszystko będzie dobrze.*

Gdy zbliżyli się do drzwi, osiłek z ogoloną głową odsunął ją delikatnie na bok.

– Zostaw to mnie... – powiedział, chwytając w dłonie okutą metalem pałkę. –

Tam, gdzie dorastałem, było mnóstwo węży.

Fabiola nie oponowała. Obserwowała Wettiusza, który najpierw ostrożnie zajrzał do pokoju i sprawdził podłogę.

– Nie ruszył się – powiedział, nie odwracając głowy. – Zostań tu, dopóki nie powiem, że jest bezpiecznie.

Fabiola ścisnęła jego ogromną rękę, nagle zmartwiona, że naraża człowieka, którego uważała za swojego prawdziwego przyjaciela.

– Bądź ostrożny.

Tym razem Wettiusz na nią spojrział. Mrugnął porozumiewawczo.

– Jowisz będzie mnie chronić.

Ochroniarz wszedł do pokoju, trzymając broń w uniesionej prawej ręce. Zbliżył się ostrożnie do łóżka, po czym szybko uniósł krawędź siennika najbliższej ściany, żeby narzuta z pościelą zsunęły się na kamienną podłogę. Następnie zaczął uderzać w ten stos pałąką, starając się zachować bezpieczną odległość, na wypadek gdyby wąż jakoś wydostał się z potrzasku. Fabiola odetchnęła z ulgą na myśl o tym, że nie robi wielkiego hałasu, gdyż odgłosy uderzeń były tłumione przez jej pościel i koce. Uznała, że im mniej ludzi dowie się, co się stało, tym lepiej.

Po kilku chwilach usłyszała, że Wettiusz mruczy z satysfakcją, widząc czerwoną plamę, która pojawiła się na wełnianym kocu.

– Możesz wejść.

Fabiola najpierw spojrzała w lewo i prawo, po czym wskoczyła do środka, zamykając za sobą drzwi.

– Nie żyje? – zapytała nerwowo.

Wettiusz uniósł koc, odsłaniając gruby brązowy kształt, długi jak ramię mężczyzny. Wąż drżał jeszcze spazmatycznie, ale jego głowa została rozbita na krwawą miazgę.

Fabiola wzdrygnęła się na myśl o tym, co by się stało, gdyby wskoczyła do łóżka, jak to zwykle czyniła. *Niech będą dzięki Jowiszowi.*

Ochroniarz przyglądał się przez chwilę szachownicy na skórze węża.

– Nigdy wcześniej takiego nie widziałem – powiedział.

– Więc nie ma takich w Italii?

Wettiusz pokręcił głową przecząco.

– Musi być jadowity – zadumała się Fabiola. – Bo co miałby robić w moim łóżku?



Waga tego, co się właśnie wydarzyło, zaczęła docierać do Wettiusza.

– Kto mógł to zrobić? – syknął, a jego twarz pociemniała. – Wszyscy cię tu kochają.

– Ciszej... – Fabiola poprosiła ostro, zaniepokojona już tym, że odgłosy razów słychać było na zewnątrz.

Zaambarasowany Wettiusz pokiwał głową.

– Niektóre kobiety mogą być zazdrosne.

– Ale żeby zrobić coś takiego? – Wettiusz wskazał ze złością okrwawionego węża na podłodze.

Fabiola zastanawiała się przez chwilę, czy powinna powiedzieć mu o niedawnym odkryciu Docilosy. Potem wyobraziła sobie, co by się z nią stało, gdyby wąż ukąsił ją pod kołdrą. Umarłaby i nie dowiedziałyby się, co się stało z Romulusem.

– To Pompeja.

Wettiusz jęknął z niedowierzaniem.

– Przecież się przyjaźnicie!

– Już od jakiegoś czasu nie... – Fabiola nie była zaskoczona brakiem rozeznania w sytuacji Wettiusza. Ani on, ani Benignusz nie orientowali się zbyt dobrze w zawiłościach kobiecych relacji. Szybko opowiedziała mu o buteleczce, którą Docilosa znalazła pod płytką podłogową w komnacie Pompei.

– Powiedz tylko słowo – mruknął Wettiusz, zaciskając pięści – a policzymy się z tą jędzą. Którejś nocy weźmiemy ją na mały spacer nad brzeg Tybru.

– Nie – Fabiola zareagowała stanowczo. – To byłoby zbyt proste. I zbyt oczywiste. Jowina nie może nic podejrzewać, bo obie skończymy na krzyżu.

– Ale to już drugi raz! – Wettiusz warknął, zgniatając nogą głowę węża dla podkreślenia swoich słów. – Dziewczyny z Lupanaru powinny się sobą opiekować.

Fabiola zdecydowała się nie mówić mu, że to była już trzecia próba pozbawienia jej życia. Kilka miesięcy wcześniej trzech bandytów zaatakowało ją i Benignusza w drodze na forum, gdzie udawali się, żeby zdeponować jej oszczędności. Fabiola już wtedy miała podejrzenia, bo atak był najwyraźniej zaplanowany. Zazwyczaj rabusie za dnia polowali raczej na przypadkowe osoby, podczas gdy ta trójka bez wątplenia śledziła ich od chwili, gdy opuścili dom publiczny. Ktoś ich wystawił. I nikt nie próbował nawet skraść jej pieniędzy. To był istotny szczegół, który jakoś wówczas umknął Benignuszowi. Zamiast tego złodzieje od razu rzucili się na Fabiolę ze sztyletami. Strażnik szybko popchnął Fabiolę tak, żeby osłonić ją przed

atakującymi, a potem nie dał żadnej szansy tym, którzy śmieli zagrozić jej zdrowiu i życiu. Wściekły Benignusz był śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem. Jeden z napastników skończył ze złamanym kręgosłupem, a drugi już po chwili trzymał na rękach zawartość swojego brzucha i skończył w rynsztoku. Trzeci rzucił się do ucieczki w tłum, ale Benignusz puścił się za nim w pogoń, a gdy wrócił kilka chwil później, na jego twarzy gościł uśmiech zadowolenia. W rękę trzymał zakrwawiony nóż.

Teraz nie miała już żadnych wątpliwości. Próba zamachu. I to w biały dzień! Trucizna przechowywana w tajemnicy. Plotki, które słyszała. Jadowity wąż w jej łóżku. To nie mógł być zbieg okoliczności.

Fabiola zastanawiała się, kto inny mógłby odpowiadać za te zamachy. Kandydatów nie było wielu. Według jej wiedzy żaden klient nigdy nie opuścił jej komnaty niezadowolony. To nie mogła być Jowina. Dla niej liczyły się przede wszystkim pieniądze, a Fabiola zarabiała dla niej najwięcej. Ochroniarze po prostu ją uwielbiali. Katus i niewolnicy z kuchni nie mieli żadnych powodów, by czyhać na jej życie. Wobec tego zostały dziewczyny, a Fabiola dobrze znała wszystkie i doskonale odczytywała ich humory. Zmuszone do prostytucji w większości cieszyły się, że mogą żyć w cieniu Fabioli.

Pompeja. To mogła być tylko Pompeja.

Zazdrość całkowicie opętała rudowłosą koleżankę. A gdy ataki za murami Lupanaru nie przyniosły oczekiwanych efektów, dziewczyna musiała wziąć sprawy w swoje ręce i skrycie zgładzić wroga.

– Wy dwaj macie chronić dziewczyny, a nie sprawiać, że któraś z nas znika... – odezwała się Fabiola, poklepując umięśnione ramię Wettiusza. Zaprzyjaźnienie się z dwoma ochroniarzami było jedną z najlepszych decyzji, jaką kiedykolwiek podjęła. Wiedziała, że obaj raczej zginą, niż pozwolą komuś ją skrzywdzić.

Wettiusz uśmiechnął się do niej w odpowiedzi, ale nadal był wyraźnie zmartwiony.

– Towarzyszyłem Pompei, gdy ostatnio wychodziła do miasta. Wcześniej jakoś mnie to nie zastanowiło, ale musisz wiedzieć, że ta wiedźma rozmawiała z ludźmi z *collegia*. I z członkami gangów Milona. Odwiedziła też niedawno świątynię Orkusa – Wettiusz złożył palce w znak ochrony przed złem. – Można mieć tylko jeden powód, żeby tam wejść.

Te wiadomości były naprawdę niepokojące. Ludzie odwiedzali miejsce kultu boga śmierci, gdy pragnęli zemsty i chcieli kogoś ukarać. Przed wejściem do

świętyni rościło się od sprzedawców małych kwadratowych tabliczek z ołowiu, a także skrybów, którzy gotowi byli napisać na nich wszystko, czego zażyczyli sobie klienci. Fabiola słyszała, że duży basen znajdujący się w środku sanktuarium pełen był życzeń śmierci. Zadrżała na samą myśl o tym, że mogła tam znajdować się również tabliczka z jej imieniem, i wymamrotała krótką modlitwę do Jowisza, prosząc go o stałą ochronę.

– Pozwól mi się z nią rozprawić.

W końcu poczuła ogarniającą ją wściekłość. To wszystko zaszło już wystarczająco daleko.

– Ja to zrobię – zdecydowała Fabiola, wytrzymując wzrok Wettiusza.

Mężczyzna otworzył już usta, żeby coś odpowiedzieć, gdy Fabiola wskazała truchło węża.

– Odetnij mu głowę, proszę...

Wettiusz wyciągnął zza pasa sztylet, przyklęknął i zrobił to, o co prosiła Fabiola. Potem popatrzył na nią niepewnie.

– I zostaw mi sztylet...

Osilek uśmiechnął się. Wręczył jej okrwawione zawiniątko oraz swoją broń.

Fabiola zacisnęła mocno palce na kościanej rękojeści, upewniając się co do swojej decyzji. Wyobraziła sobie, że zdeterminowany Romulus musiał zabijać, żeby przeżyć. Najpierw jako gladiator, a potem jako żołnierz. Ta myśl pomogła jej zebrać się w sobie. Nagle zrozumiała, że nawet tu, w Lupanarze, czasami trzeba walczyć na śmierć i życie. Pomimo zdrady Pompei Fabiola skupiła się na swoim podstawowym celu: chciała uratować brata. W jej sytuacji mogła tego dokonać tylko w jeden sposób: zdobywając kontrolę nad bogatymi i wpływowymi bywalcami tego przybytku rozkoszy.

I nikt nie stanie jej na drodze.

## Odwrót



Partia, lato 53 r. p.n.e.

Późnym popołudniem Krassus zwołał siedmiu legatów na naradę wojenną. Z powodów znanych chyba tylko Surenie Partowie na krótko przerwali ataki. Być może ich generał chciał dać swoim ludziom odrobinę zasłużonego odpoczynku. Rzymski dowódca armii miał jeszcze na tyle rozsądku, aby skorzystać z tej chwili spokoju. Niezwyciężone legiony były bezradne w konfrontacji z konnymi łucznikami, ponieważ nie mogły być osłaniane przez lekką jazdę. Coś trzeba było zrobić. I to szybko.

Zdesperowany generał spoglądał na swoich doradców przekrwionymi oczami, oczekując od nich zaangażowania. Niestety, sześcioro z siedmiu ubranych w czerwone płaszcze oficerów unikało jego spojrzenia, wbijając wzrok w piasek pod stopami. Tylko Longinus miał odwagę, żeby odwzajemnić spojrzenie.

– Co czynić? – zapytał rozemocjonowany Krassus. – Jeśli tu zostaniemy, wyróżną

nas do nogi.

– Jeszcze jeden atak, a ludzie się załamają – potwierdził natychmiast Longinus. – Została nam tylko jedna możliwość. Odwrót.

Wszyscy zgromadzeni niechętnie pokiwali głowami. Sytuacja armii była tragiczna. Rzymianie rzadko opuszczali pole bitwy, przyznając się do porażki, ale na tej płonącej pustyni reguły gry były zupełnie inne.

– Straciliśmy tabory. Nie mamy wody. *Musimy* wycofać się do Carrhae – przekonywał Longinus.

Pozostali wymruczeli tylko cicho kilka słów. W mieście chronionym przez grube wały ziemne znajdowały się głębokie studnie. Tam można przynajmniej liczyć na jakąś osłonę przed śmiertelnymi strzałami Partów.

– A potem?

Wydawało się, że śmierć Publiusza sprawiła, iż generał nie potrafił już sam podejmować żadnych decyzji.

– Ruszymy na północ. Ukształtowanie terenu w górach będzie nam sprzyjało. Przy odrobinie szczęścia połączymy siły z Artawazdesem.

Krassus zamknął oczy. Jego kampanii groziła całkowita klęska, a plany dorównania Cezarowi i Pompejuszowi rozsypały się jak domek z kart.

– Trąbicie na odwrót – wyszeptał.

– Co z rannymi, wodzu?

– Zostawić.

– Na pewno? – zapytał Komitianusz, dowódca Legionu VI. – Mam ponad pięćuset rannych.

– Wyraziłem się jasno – wykrzyknął Krassus.

– Tym razem muszę się zgodzić z głównodowodzącym. Za bardzo nas spowolnią – powiedział ostro Longinus. – Nie mamy wyboru.

Nikt już nic nie powiedział. Szpakowaty legat rzucił rozkaz, przekazując go najbliższym żołnierzom.

Chwilę później odezwały się trąbki przekazujące złowieszcze sygnały, których legionieści woleliby nigdy nie usłyszeć. Wśród rannych żołnierzy zrobiło się małe poruszenie, wszyscy bowiem zdali sobie sprawę, co się za chwilę stanie. Pięciu najemników Bassiusza nie mogło już stać o własnych siłach, dlatego zajęli pozycje na tyłach. Gdy ucichły trąbki, stary centurion zbliżył się do rannych.

– Walczyliście dziś dzielnie, chłopcy – Bassiusz złożył usta w rzadkim dla niego

uśmiechu. – Nie macie jednak zbyt wielkiego wyboru. My musimy ruszać, a nikt z was nie jest w stanie maszerować. Możecie więc spróbować stawić opór, zostając tu... – urwał na chwilę – albo wybrać szybką śmierć.

Jego słowa zawisły w gorącym powietrzu.

Sprawni najemnicy nie potrafili spojrzeć towarzyszom w oczy. Stali ze spuszczoneymi głowami. To była trudna decyzja, ale Partowie będą mniej łaskawi.

– Nie jestem jeszcze gotów, aby udać się do Hadesu, dowódcu – powiedział ciemnoskóry Egipcjanin z zakrwawionym bandażem owiniętym wokół lewego uda. – A jeśli tak chcą bogowie, zabiorę ze sobą kilku wrogów.

Inny najemnik również zdecydował, że zostanie, aby zginąć z bronią w ręku, ale pozostali trzej byli bardzo ciężko ranni. Zbyt słabi, aby się wycofać, i zbyt zmęczeni, aby walczyć. Nie mieli wyboru. Wymienili ze sobą kilka cichych słów, po czym z trudem unieśli się do pionu.

– Niech to będzie szybka śmierć, starszy centurionie – powiedział jeden z nich.

Bassiusz skinął głową bez słowa.

Romulus poczuł, że w jego gardle formuje się trudna do przełknięcia gula. Zabijał przeciwników na arenie, ale to rzadko byli ludzie, których znał, z którymi ćwiczył i z którymi walczył ramię w ramię. A ci trzej mężczyźni byli z nimi od czasu, gdy weszli na pokład „Achillesa”... wydawało się, że to było całe wieki temu. Po prawie dwóch latach kampanii Romulus znał rannych na tyle dobrze, żeby naprawdę czuć smutek po ich decyzji.

Centurion pożegnał się z każdym z nich z osobna, mocno chwytając za przedramiona. Gdy przesunął się tak, żeby stanąć za nimi, wszyscy trzej pochylili głowy, odsłaniając szyje. Czekala ich honorowa śmierć. Śmierć żołnierza.

Zasyczał wyciągany z pochwy gladius Bassiusza. Centurion uniósł go wysoko, trzymając rękojeść obiema rękoma, z ostrym sztychem skierowanym ku ziemi. Jednym szybkim ruchem w dół przeciął rdzeń kręgowy pierwszego najemnika. Śmierć przyszła natychmiast. Pierwsze ciało zważyło się w piasek, nie wydając żadnego odgłosu. Bassiusz bezszelestnie przesunął się za plecy drugiego, a potem trzeciego. Nie trwało to długo. Najwyraźniej weteran nie po raz pierwszy w życiu wykonywał to makabryczne zadanie, zadając swoim ludziom ciosy łaski.

Te same sceny rozgrywały się na całej szerokości rzymskiej linii. Partowie nie mieli jednak zamiaru pozwolić swoim wrogom na wycofanie się w spokoju, dlatego uderzyli po raz kolejny, zanim Rzymianie mogli dokończyć swoje dzieło.

Bassiusz szybko zorganizował ludzi, którzy mu teraz podlegali. Jako że zginął

zarówno Sido, jak i pięciu innych centurionów, weteran przejął dowodzenie kohortą regularnej armii. Żaden z oszołomionych młodszych oficerów nie zakwestionował tej niezwyklej decyzji. Bassiusz skinął głową, żegnając się z Egipcjaninem i jego towarzyszem. Ta dwójka usiadła na ziemi, zwrócona do siebie plecami, z mieczami na podorędziu.

Gdy odchodzili, Romulus z oczami pełnymi łez nie był w stanie obejrzeć się za siebie.

– Dzielni żołnierze – powiedział Tarkwiniusz ze szczerym szacunkiem. – I tak właśnie zdecydowali się umrzeć.

– To jednak wcale nie ułatwia mi pogodzenia się z tym, że musimy ich zostawić – odparł chłopak.

– Zostań z nimi, jeśli chcesz – powiedział Etrusk. – To twój wybór. Może właśnie dlatego nie mam pewności, czy wszyscy trzej przeżyjemy? – z jego ciemnych oczu niczego się nie dało wyczytać.

– To nie jest nasz czas, aby umierać – dodał Brennus pewnie. – Czemu miałyby to służyć?

Romulus zastanawiał się krótko, czy nie zostać, ale uznał, że ta decyzja byłaby bez sensu. Ranni sami wybrali, w jaki sposób chcą zakończyć swoje życie, i umieranie z nimi nic by nie zmieniło. Tak wiele chciał jeszcze osiągnąć. Maszerował dalej z ciężkim sercem.

Chyba tylko niesamowita siła woli Bassiusza trzymała w całości mieszany oddział żołnierzy, opuszczający pole bitwy. Na szczęście partyjscy łucznicy nie atakowali ich już zbyt długo. Romulus obserwował grupy wojowników jeżdżących w kółko, wydających z siebie radosne okrzyki. Jeden z nich wymachiwał w powietrzu przedmiotem, który wydał mu się znajomy. Hańba, którą zmasać mogła tylko krew! Srebrny orzeł legionu znalazł się w rękach wroga. Obserwując tę scenę, Romulus spuścił głowę jeszcze niżej.

Ogromna równina aż po horyzont została zasłana ciałami martwych i rannych, tratowanymi teraz końskimi kopytami. Stała się jedną wielką kostnicą. Roilo się od much, które obsiadały zeszkłone oczy, otwarte w urwanym krzyku usta i krwawiące rany. Prawie piętnaście tysięcy rzymskich żołnierzy nigdy nie wróci do Italii. Nad nimi na niebie wisiały sępy, unoszące się na ciepłych prądach. W powietrzu unosił się zapach odchodów, krwi i potu. To był zły dzień dla Republiki.

– Wielu z nich jeszcze żyje...

– I tak już nie możemy im pomóc – stwierdził Brennus smutno.

– Olenus widział ten dzień siedemnaście lat temu – powiedział Tarkwiniusz z satysfakcją. – Chciałby zobaczyć to na własne oczy.

Romulus był wstrząśnięty.

– To są nasi towarzysze broni!

– Co mnie to obchodzi? Rzym wyróżnął moich ludzi i zniszczył nasze miasta.

– Ale to nie byli ci żołnierze! Nie oni to uczynili!

Ku jego zaskoczeniu Tarkwiniusz wyglądał teraz na zakłopotanego.

– Mądre słowa – przyznał. – Niech ich cierpienie będzie krótkie.

Zbity z tropu przez pojednawcze słowa kogoś, kto nienawidził wszystkiego, co było związane z Republiką, Romulus wciąż nie potrafił odciąć się od krzyczących z bólu rannych żołnierzy, których zostawiali za plecami. *Tylko jeden człowiek jest za to wszystko odpowiedzialny* – pomyślał ze złością.

Krassus.

– Twój nauczyciel przewidział tę bitwę? – zdumiał się Brennus.

– I widział nasz długi marsz na wschód – wyjaśnił Etrusk. – Zacząłem w to wątpić, ale teraz...

Popatrzyli na siebie szeroko otwartymi oczyma.

– Bogowie czasami wpływają na nasze losy w dziwny sposób – mruknął Brennus.

Romulus westchnął. Powrót do Rzymu nie będzie łatwy.

– Nic jeszcze nie jest do końca pewne – Tarkwiniusz zdawał się przez chwilę nieobecny. Miał wyraz twarzy, który Romulus i Brennus znali aż za dobrze. – Armia może jeszcze wrócić na linię rzeki Eufrat. Dużo jeszcze zależy od Krassusa.

– Bogowie! Dlaczego mielibyśmy iść do rzeki? – Romulus wskazał gestem na pustynię. – Bezpieczeństwo. Italia. To wszystko znajduje się na zachodzie.

– Zobaczymy świątynie zbudowane przez Aleksandra – przez chwilę wydawało się, że Tarkwiniusz zupełnie nie zdaje sobie sprawy z ich obecności – a także wielkie miasto Barbaricum nad Oceanem Indyjskim.

– Podróż do miejsc, do których nigdy nie dotarł żaden z Allobrogów – szepnął Brennus. – I nigdy nie dotrze.

– Przeznaczenia nie da się uniknąć, Brennusie – powiedział nagle Tarkwiniusz.

Opalony Gal zbladł jak ściana.

– Brennusie? – Romulus nigdy nie widział swojego przyjaciela w takim stanie.

– Druid wyrzekł dokładnie takie same słowa w dniu, gdy opuściłem wioskę – wyszeptał Gal.



– Druidzi... haruspikowie – odezwał się Tarkwiniusz, poklepując Gala po plecach  
– jesteśmy jednością.

Brennus pokiwał głową z szacunkiem.

Nie widział smutku, jaki pojawił się na twarzy Tarkwiniusza.

*On wie, co się stanie* – pomyślał Romulus. Nie kontynuowali tej rozmowy, oszczędzając energię. Trzeba było się wycofać. Albo zginąć.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, ale do zapadnięcia ciemności, które dałyby wyczerpanym Rzymianom odrobinę spokoju, pozostało jeszcze dużo czasu. Kolejne legiony powoli opuszczały pole bitwy, nękanie sporadycznymi atakami zaciekłych Partów. Większość wojowników wroga pozostała na miejscu, koncentrując się na dobijaniu rannych i grabieniu zmarłych.

To była gorzka ironia. Ogromne rzesze rannych wciąż umierały na polu bitwy, dając swoim towarzyszom szansę ucieczki.

Rozbita armia kierowała się na północ, w stronę murów Carrhae. Z każdym krokiem lżej ranni żołnierze wypadali z kolumny. Nikt nie miał już siły, aby im pomagać. Każdy, kto nie miał wystarczająco dużo energii, aby maszerować, po prostu ginął. Trzymając swoją kohortę w całości groźbami i prośbami, Bassiusz czasami używał nawet miecza i uderzał płazem wyczerpanych mężczyzn, aby zmusić ich do wyrzucenia z siebie ostatnich sił. Romulus darzył go coraz większym szacunkiem.

Carrhae było miastem leżącym na pustyni, którego istnienie zależało od jego głębokich studni. Krassus wiedział, że gdy zacznie się inwazja, miasto będzie miało duże znaczenie strategiczne, dlatego zajął je rok wcześniej i zadbał o ufortyfikowanie oraz obsadzenie odpowiednim garnizonem. Uchodzące z pola bitwy oddziały rzymskie zignorowały małe, osłonięte obozowisko, znajdujące się za grubymi murami z ubijanej ziemi. Mężczyźni przelewali się przez bramy miasta wielką falą, zajmując domy i odbierając zapasy nieszczęsnym mieszkańcom. Brutalne pchnięcia *gladii* natychmiast oduczyły jakiegokolwiek oporu.

Jednak większa część armii i tak musiała zatrzymać się pod murami miasta. Kilku centurionów próbowało nalegać, aby wykopać tymczasowe rowy i przygotować wały obronne, jak zwykle po każdym dniu marszu. Nie udało im się. Żołnierze przeszli zbyt wiele i nie mieli sił, by przez trzy kolejne godziny kopać w gorącym piasku. Oficerom udało się tylko zmusić legionistów do rozstawienia na pustyni czujek co kilkaset kroków.

Słońce już zaszło, a temperatura zaczynała gwałtownie spadać. Zimny wiatr

pogłębiał wrażenie chłodu. Ci, którzy zatrzymali się za miastem i nie mieli dość szczęścia, aby znaleźć jakąś osłonę przed chłodem, spędzili noc na ziemi, ogrzewając się wzajemnie. Wszystkie namioty zostały utracone wraz z taborem. Ranni znów umierali. Z zimna, odwodnienia i wyczerpania. Nikt nie mógł nic na to poradzić.

Romulus i jego przyjaciele zajęli jakąś rozpadającą się chatkę z glinianymi ścianami. Wyrzucili mieszkańców na ulicę, ale ich nie zabili. Wkrótce wszyscy zasnęli twardym snem. Pokładli się bez ładu i składu i leżeli nieruchomo, jakby pomarli. Lęk przed atakiem Partów okazał się słabszy niż potrzeba snu.

Największy budynek w innej części miasta, należący wcześniej do lokalnego komendanta, teraz znajdował się w rękach dowódcy rzymskich sił okupacyjnych i dowódcy garnizonu. Krassus zgromadził legatów na naradę wojenną.

Gołe ściany, klepisko zamiast podłogi i meble wykonane z nieheblowanego drewna mówiły o tym, że Carrhae nie można zaliczyć do miast bogatych. Pochodnie z sitowia rzucały migoczące cienie zmęczonych postaci. Sześciu wyczerpanych oficerów, o pustych twarzach, w szatach pobrudzonych krwią siedziało na taboretach. Niektórzy skryli głowy w dłoniach i nie ruszyli nawet kubków z wodą i bochenków twardego chleba, stojących przed nimi na stole. Jakże zmieniły się warunki od czasu, gdy spotkali się po raz ostatni u Krassusa, w jego pełnym przepychu pawilonie sztabowym, który został stracony razem z mułami.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć czy zrobić. Legaci byli zdeorientowani. Rzymscy żołnierze nie byli przyzwyczajeni do porażek. Zamiast odnieść miażdżące zwycięstwo i sięgnąć po skarby Seleucji, ulegli wściekłym Partom. Rozbita armia znalazła się głęboko na terytorium wroga.

Krassus siedział spokojnie na niskim stołku, nie biorąc udziału w dyskusji. Wydawało się, że już samo zebranie pozbawiło go wszystkich sił życiowych. Towarzyszył mu dowódca garnizonu, onieśmielony obecnością tak wielu starszych stopniem oficerów. Prefekt Gajusz Kwintus Koponiusz nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, jak wielkie straty poniósł Rzym. O klęsce dowiedział się od uciekających iberyjskich jeźdźców, którzy natychmiast ruszyli dalej nad Eufrat. Później był świadkiem tego, jak fala wpółżywych legionistów wlewała się do miasta. Tego widoku nigdy nie zapomni.

W pomieszczeniu pojawił się pełen wigoru Longinus.

Nieliczni obecni podnieśli wzrok.

Twardy żołnierz zatrzymał się przed Krassusem i zasalutował.

– Zakończyłem obchód. Legion VIII został uszczuplony o około jedną trzecią

stanu. Teraz, gdy wreszcie mamy trochę wody i możemy chwilę odpocząć, moi ludzie powoli odzyskują rezon.

Krassus siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami.

– Wodzu?

Nikt nie powiedział ani słowa.

– Jakie są twoje rozkazy? – Longinus zapytał wprost, domagając się reakcji.

Komitianusz odchrząknął.

– Nie osiągnęliśmy jeszcze porozumienia – mężczyzna nie patrzył w oczy Longinusa. – Jakie są twoje propozycje, legacie?

– Nie mamy wielkiego wyboru – Longinus odczekał chwilę, żeby wszyscy zrozumieli powagę sytuacji. – Powinniśmy natychmiast wycofać się nad rzekę. Możemy dotrzeć na miejsce przed świtem.

– Moi żołnierze nie są w stanie maszerować tej nocy – odpowiedział jeden z dowódców.

Rozległo się kilka pomruków dowódców zgadzających się z tą opinią.

Longinus spojrział twardo na Komitianusa. Nie był zdziwiony.

– A co z Armenią? – dowódca Legionu VI odważył się odezwać.

– Legat ma rację, wodzu – odezwał się niepewnie Koponiusz. – Odwrót w góry ma wiele sensu. W górach są strumienie i teren nie sprzyja jeźdźcom Partów.

– W góry? – Krassus rozejrzał się po pokoju błędnym wzrokiem. – Gdzie jest Publiusz?

Nie było odpowiedzi.

– Odszedł do Elizjum – odezwał się w końcu Longinus.

– *Nie żyje?*

Longinus skinął głową.

Krassus zaczął szlochać. Pochylił się i płakał, nie zważając na otaczających go ludzi.

Longinus, który jako jedyny z legatów wydawał się mieć dość energii i rozsądku, aby podejmować słuszne decyzje, uznał, że zobaczył już wystarczająco dużo.

– Za pozwoleniem – zaczął – chciałbym poprowadzić armię i zapewnić żołnierzom bezpieczny odwrót. Dziś w nocy.

Krassus kołysał się na stołku i wpatrywał w podłogę.

Longinus podniósł głos.

– Powinniśmy wycofać się pod osłoną ciemności!

Nie było odpowiedzi. Krassus, wyzwoliciel Rzymu, był już tylko pustą skorupą. Strzępem człowieka.

Longinus zwrócił się do pozostałych.

– Zostańcie z nim – powiedział lekceważąco – albo chodźcie za mną. Legion VIII za godzinę wymaszeruje w stronę Eufratu.

Pomieszczenie wypełniły nerwowe pomruki. Longinus czekał niecierpliwie, stukając palcem w rękojęść miecza.

– Jest pewien mieszkaniec miasta, który pomógł nam już przy wielu okazjach – zaczął prefekt, który chciał za wszelką cenę okazać się pomocny.

Longinus uniósł brew.

– Andromachus okazał się lojalny wobec Rzymu, już kiedy po raz pierwszy zajęliśmy miasto. Dzięki jego informacjom udało się kilka razy pokrzyżować plany Partów.

– Niech zgadnę... – głos Longinusa ociekał sarkazmem – ...i ten *Andromachus* może nas wyprowadzić w bezpieczne miejsce, tak?

– Tak mówi, legacie.

– Gdzie ja to już słyszałem?

Koponiusz nie dał się zbić z tropu.

– Wygląda na to, że góry są tylko o pięć godzin marszu stąd.

– Na Jowisza! Czyżby? – zapytał Longinus uszczypliwym tonem.

Legaci zaczęli szeptać między sobą podekscytowani.

Nawet Krassus uniósł głowę.

– Ja wiem tylko, że znam drogę prowadzącą do rzeki! – Longinus uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Te dzikusy to zdradzieckie skurwysyny. Żadnemu nie można ufać.

Pamiętacie Ariamnesa?

Jego pytanie zostało przywitane złowieszczym milczeniem.

– Publiusz? – znów odezwał się Krassus. – Gdzie jest Publiusz?

Oficerowie byli jak sparaliżowani. Nie wiedzieli, co robić.

W końcu Komitianus zdobył się na odwagę.

– Przemarsz do Armenii wydaje się lepszym rozwiązaniem – powiedział niepewnie. – Idąc w kierunku rzeki, byłibyśmy na otwartej przestrzeni.

– Według moich obliczeń na dotarcie do gór potrzebujemy całego dnia marszu. Tymczasem już tej nocy staniemy nad Eufratem – przekonywał Longinus. – Kto idzie ze mną?

Nikt nie podniósł wzroku.

Weteran nie potrafił już dłużej znosić tego niezdecydowania.

– Głupcy! Zostaniecie zmasakrowani – wyszedł, powiewając czerwonym płaszczem.

Po jego wyjściu z pomieszczenia zapadła krótka, pełna niepokoju cisza, po czym grupa skupiła się wokół Koponiusza, zadając mu pytania dotyczące szans ocalenia armii. Wszyscy natychmiast zapomnieli o dzielnym legacie. To był jedyny sposób usprawiedliwienia decyzji pozostania z Krassusem.

Dowódca Legionu VIII nie rzucał słów na wiatr. Nim minęła godzina, podległe mu oddziały były gotowe do wymarszu. Żołnierze opuszczali miasto w całkowitym milczeniu. Zdradzały ich tylko rzadko powtarzające się dźwięki, gdy jakaś włócznia uderzyła tarczę. Niewielu wyczerpanych ostatnimi wydarzeniami legionistów, którzy teraz odpoczywali, zadało sobie trud, aby chociaż unieść głowę i zorientować się, co się dzieje.

Romulus spał czujnie. Obudziły go dziwne odgłosy, miarowy krok, dzwonienie metalowych elementów zbroi i tłumiony kaszel. Zerwał się na równe nogi. Brennus chrapał spokojnie, ale Etrusk miał otwarte oczy. Dwójka przyjaciół skierowała się do głównej bramy.

– Ósmy legion opuszcza miasto – powiedział Romulus. – Powinniśmy iść z nimi?

Etrusk miał nieodgadniony wyraz twarzy, którą oświetlał słaby blask księżyca.

– Karą za dezercję jest ukrzyżowanie. Powinniśmy zostać.

Romulus zmarszczył brwi. Mało prawdopodobne, że zmęczeni wartownicy zauważą trzech mężczyzn wydostających się po kryjomu z miasta. Po tym, co działo się w ciągu dnia, poziom dyscypliny sięgnął dna.

– Co mówią gwiazdy?

– Niewiele umiem z nich wyczytać.

Romulus wzruszył ramionami, zdecydowany zaufać swojemu przyjacielowi. Brennus był gotów towarzyszyć Tarkwiniuszowi, nawet gdyby ten chciał ruszyć na koniec świata. A wielki Gal był dla niego jak ojciec i to był wystarczający powód, aby zostać.

Przyjaciele wrócili do chaty. Stwierdzili, że Brennus już nie śpi.

– Co się dzieje?

– Ósmy wyruszył do Zeugmy.

– Łatwo wyślizgnęlibyśmy się za mury. Nikt by nas nie zobaczył.

– Nie – powiedział Tarkwiniusz stanowczo. – Od gór dzieli nas mniej niż dzień marszu. Tam będziemy bezpieczni. Wystarczy, że ludzie teraz dobrze odpoczną.

– Uciezka nocą wydaje się tchórzostwem – Brennus położył się z powrotem na klepisku, zamykając oczy. – Tak czy inaczej, muszę się wyspać.

Romulus wyobraził sobie legionistów maszerujących w ciemności. Żołnierze Legionu VIII wciąż wyglądali dumnie, zachowywali dyscyplinę. Nie tak jak ten motłoch, który znalazł się w mieście i rozłożył się pod murami Carrhae. Poczul uścisk w żołądku. Z pewnością mądrzejsze byłoby wycofywanie się pod osłoną ciemności, gdy Partowie nie mogliby wykorzystać swoich śmiercionośnych łuków. Jakie korzyści wiązały się z czekaniem do rana? Wydawało się, że to nie ma sensu. Ale może Etrusk wie lepiej? Romulus był zmęczony. Bardziej niż kiedykolwiek. Zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Haruspik nie odezwał się do świtu. Siedział przy otwartych drzwiach, rozmyślał i przyglądał się nocnemu niebu. Tarkwiniusz nie lubił wprowadzać w błąd swoich przyjaciół, ale nie było innego wyjścia. Przepowiednie Olenusa przez wiele lat okazywały się prawdziwe. Tak będzie i tym razem.

Przed południem następnego dnia wszyscy zdali sobie sprawę, że powinni byli pójść z Longinusem, kierując się w stronę Eufratu. Zamiast pomaszerować na zachód, legaci zdecydowali się zaufać przewodnikowi Koponiusza i ruszyli na północ, w stronę granicy z Armenią. Od czasu nocnej narady Krassus nie wydał ani jednego rozkazu. Jechał na koniu dziwnie cichy i oszołomiony. Po czterech godzinach w gorącym kotle ludzie osiągnęli granice wytrzymałości. Nie było ani śladu Partów, ale też nikt nie dostrzegał stoków obiecanych gór. Co najgorsze, na drodze marszu nie natknęli się na żadne rzeki ani oazy. Większość żołnierzy opróżniła swoje bukłaki po kilku milach i po raz kolejny pragnienie stało się ich największym wrogiem.

Rozumiejąc, że ludzie bardzo potrzebują odpoczynku, legaci nakazali w końcu krótki postój. Żołnierze zatrzymali się w miejscu, kładąc się na ziemię, nie dbając już o to, że gorący piasek powoduje oparzenia. Przez jakiś czas centurioni nie zmuszali ich do dalszego marszu, obawiając się buntu.

W końcu jednak Bassiusz i inni oficerowie stwierdzili, że leżenie i czekanie na śmierć nie ma sensu. Przechadzali się to w jedną, to w drugą stronę z nieodłącznymi różgami w rękach. Armenia nie przybliży się do nich, jeśli tu zostaną.

– Wstawać, wy leniwe dranie! – słowa wypowiedane przez Bassiusza brzmiały tak samo, ale po tym, jak nadludzkim wysiłkiem doprowadził drugą kohortę aż pod mury Carrhae, centurion wyraźnie stracił wigor. Wyglądało na to, że wykorzystał już ostatnie rezerwy energii i pozostała mu tylko silna wola.

Legioniści jęczeli i klęli, ale podnieśli się z ziemi. Bassiusz zyskał ich szacunek podczas odwrotu, dlatego jeszcze wykonywali jego rozkazy. Inni centurioni mieli więcej problemów ze zmuszeniem ludzi do posłuszeństwa, ale w końcu kawalkada wymęczonych żołnierzy znów ruszyła.

Szli dalej, choć tempo poruszania się kolumny stałe spadało i coraz więcej przemęczonych żołnierzy zaczęło wypadać z szeregów. Silniejszym udawało się wstać, ale słabsi już nigdy nie podnosili się z gorącego piasku. Wołania o pomoc wypełniały powietrze, ale niewielu żołnierzy miało dość siły, żeby pomagać swoim towarzyszom. Łatwiej odwrócić wzrok. W oczach Romulusa znów pojawiły się łzy, gdyż ponownie rozpoznawał legionistów, z którymi walczył w czasie kampanii. Tylko żelazny uścisk Brennusa na ramieniu sprawiał, że nie próbował im pomóc.

Trwali. Szlak przemarszu armii znaczyły ciała nieprzytomnych mężczyzn lub tych, którzy byli zbyt słabi, żeby maszerować. Czekala ich straszna śmierć pod niebem, z którego lał się żar. Gdy kolumna znikala w tumanach pyłu, śmierć spływała na skrzydłach sępów. Pokraczne ptaszyska otwierały dzioby ze straszliwym skrzekiem, walcząc o lepsze kawałki. Nie wszystkie czekały, aż ich ofiary będą martwe.

Po jakimś czasie kolumna dotarła do ogromnej wydmy, która zagradzała im dalszą drogę. Biegła w poprzek szlaku, zniechęcając do dalszego wysiłku samym swoim wyglądem. Stojącym u podnóża wydawało się, że wydma prowadzi prosto do nieba, rozciągnięta na kilkaset stóp. Z ust żołnierzy wyrwał się jeden przeciągły jęk. To będzie długa, ciężka wspinaczka.

– Ruszać się! Do góry! – krzyčeli centurioni, wskazując wzniesienie.

Pierwsze szeregi zawahały się przez chwilę. Żołnierze poprawili jarzma i ruszyli... Nie pozostało im nic innego, jak wykonywać rozkazy. Może ze szczytu wydmy zobaczą obiecane góry?

Po pięćdziesięciu krokach Romulus zobaczył zdradziecki tuman unoszący się zza stoku.

– Mamy kłopoty – znów poczuł uścisk w łożądku. Trącił Brennusa łokciem.

Po chwili chmura unoszącego się piasku była już widoczna dla wszystkich. Szeregi zatrzymały się. Oficerowie krzyčeli na próżno, bo legioniści wpatrywali się

tylko w tuman z rosnącym przerażeniem.

Gdy na szczycie wydmy pojawili się pierwsi łucznicy, z gardeł żołnierzy wydarł się niemy krzyk rozpaczny. Nikt już nie próbował wspinać się na wzniesienie. Gdy zmęczeni żołnierze usiedli na stoku, zdziwieni i zrozpaczeni, cały grzbiet zaroił się od wrogów.

– To koniec. Nie damy rady z nimi walczyć, prawda? Równie dobrze moglibyśmy się tu położyć i umrzeć.

Zdezorientowany Brennus szybko się opanował.

– Nie może być tak źle, jak wygląda.

Romulus zwrócił twarz w kierunku Tarkwiniusza, którzy odważnie odwzajemnił spojrzenie. Młody żołnierz był wściekły.

– Wiedziałeś, co nasz czeka? – warknął.

– Nie – Romulus nie miał pewności, czy Etrusk ich nie okłamuje.

– Naprawdę? Są ich tysiące! – krzyknął Romulus. – Jak mógłbyś nie zauważyć ich w swojej wizji?

– Sztuka przewidywania przyszłości nie daje całkowitej pewności – odpowiedział Tarkwiniusz, wzruszając ramionami. – Już ci to mówiłem.

Romulus załamał się zupełnie. Jaką mieli szansę przeżycia kolejnej bitwy po wczorajszej rzezi?

Tarkwiniusz uniósł ramię, wskazując coś na stoku wydmy.

W dół zбочa posuwała się mała grupa jeźdźców, którzy trzymali dłonie w górze, pokazując, że nie mają żadnej broni.

Romulus przyglądał się im podejrzliwie.

– Chcą pertraktować?

– Na to wygląda – odpowiedział Brennus spokojnie.

– Wiatr jest bardziej korzystny... – dodał Tarkwiniusz – ...mimo że dziś znów zginą tysiące.

– Najwyższy czas na rozmowy – przyznał Romulus. – Nie mamy żadnych szans.

Gdy Partowie znaleźli się bliżej, wszyscy wstrzymali oddechy. Konie przeciwników ostrożnie stawiały kopyta w zapadającym się piasku.

Nikt nie mógł mieć wątpliwości, gdzie znajduje się Krassus i jego sztab z uwagi na legionowe insygnia i ludzi w czerwonych oficerskich płaszczach. Jeźdźcy zatrzymali się mniej więcej sto kroków od oddziału z rzymskim wodzem. Czekali.

Ku zaskoczeniu Romulusa przez dłuższy czas nikt z dowództwa nie zareagował



na obecność wysłanników.

To nie podobało się żołnierzom. Długie przemarsze przy nieludzko wysokiej temperaturze, zmęczenie i brak wody, a także śmierć tysięcy towarzyszy z rąk nieosiągalnego wroga... A teraz? Nawet w obliczu kolejnej rzezi ich lider nie decyduje się na rozpoczęcie rozmów z Partami. Jego arogancja nie miała sobie równych.

Ponieważ wódz Rzymian nie dysponował już żadnymi oddziałami jazdy, musiał polegać na swojej straży przybocznej, której teraz powierzono zadanie przekazywania rozkazów. W końcu dwaj żołnierze z tej elitarnej jednostki ruszyli kłusem wzdłuż kolumny, pocąc się mocno w swoich złożonych pancerzach i skórzanych osłonach.

– Przygotować się do bitwy! – powtarzał jeden z nich co kilka kroków. – Wycofać się na płaski teren. Utworzyć ciągłą linię.

– Odwal się, skurwysynie! – odezwał się ktoś odważnie.

– Kto to powiedział? – mężczyźni zatrzymali się natychmiast, a ich dłonie powędrowały w kierunku głowni mieczy.

– Idź i sam walcz z tymi partyjskimi dzikusami!

W powietrze wzniosł się wściekły ryk legionistów, a w kierunku posłańców poleciało więcej obelg. Do tej pory ci wybrani członkowie straży przybocznej generała nie uczestniczyli jeszcze w walce, co budziło niezadowolenie szeregowych żołnierzy.

– Kto tu dowodzi? – starszy stopniem z tej dwójki, *optio*, próbował odzyskać kontrolę.

Bassiusz zrobił w ciszy kilka kroków do przodu, pogrzeskując *phalerae*.

– Nikt nie ma prawa podważać rozkazów Marka Licyniusza Krassusa. Aresztować tych ludzi!

– Możesz nazywać mnie *starszym centurionem*. Nie po to spędziłem szesnaście lat w legionach, żeby byle chłystek wydawał mi rozkazy!

– Centurionie...

– Rusz tyłek i zrób to sam – wycedził Bassiusz. – Ty gnojku.

Zgromadzeni w pobliżu legioniści zaczęli głośno wiwatować.

– Odmawiasz wykonania rozkazu, centurionie?

Bassiusz zignorował jego pytanie.

– Dlaczego Krassus nie wysłał nikogo na rozmowy z Partami?

Rozległo się jeszcze więcej okrzyków przysłuchujących się tej wymianie zdań legionistów. Wreszcie ktoś mówił w ich imieniu i powiedział głośno to, co myślał.

Wyglądało na to, że dwaj przedstawiciele straży przybocznej nie byli zwolennikami dyplomacji.

– Krassus nie pertraktuje z pustynnymi robakami.

Bassiusz wyciągnął swój gladius i umieścił jego ostro zakończoną końcówkę pod brodą *optio*.

– Powiedz generałowi, żeby porozmawiał z Partami. Osobiście.

Odwrócił się do legionistów.

– Prawda, chłopcy?

Przez wszystkie szeregi przetoczył się ryk aprobaty. Żołnierze zaczęli uderzać mieczami o tarcze, okazując w ten sposób poparcie. Ci, którzy znajdowali się dalej i nie słyszeli słów Bassiusza, domyślali się jednak, co się dzieje. Uznali, że nie powinni pozostać bierni. Podobnie jak Romulus i Brennus. Jaki był sens umierać na tej mezopotamskiej pustyni? Lepiej wrócić do Syrii i przeżyć klęskę.

Pojawił się słaby wiatr i Tarkwiniusz zobaczył na niebie małą grupkę niewielkich obłoków. Skoncentrowani na różnicy zdań z oficerami armii żołnierze nie zauważyli jego grymasu. Obłoków było dwanaście.

*Optio* okazał się odważnym mężczyzną.

– Krassus nie słuca postulatów takich szumowin jak wy.

– Walczyłem w kilkunastu wojnach, ty żałosny psie – powiedział Bassiusz, naciskając mocniej gladius, tak że na ostrzu pojawiła się kropla krwi, która powoli sunęła po żelaznym zbroczu.

*Optio* skrzywił się, ale się nie cofnął.

– Krassus niech lepiej zrobi to, o co go prosimy, albo skończy jak Publiusz.

Gwardzista zerknął na swojego towarzysza.

Dziesiątki legionistów przyglądało się tej scenie w napięciu, a drugi jeździec powoli odsunął swoją dłoń z dala od rękojeści miecza. Legioniści coraz mocniej uderzali w swoje tarcze. Krassus wiele im obiecał, ale w rzeczywistości zmusił ich tylko do wyrzeczeń, a wielu ich towarzyszy pożegnało się z życiem. Tysiące Partów czekało teraz na to, aby dokończyć dzieła unicestwienia. Jeśli generał nie zamierza pertraktować, oni wezmą sprawy w swoje ręce.

– Słyszałeś ich – starszy centurion wskazał kolumnę. – A teraz idź i przekaz Krassusowi nasze stanowisko.

Dwóch posłańców odjechało niespiesznie, widząc, że legioniści gotowi są użyć broni. Jak niepyszni wrócili do oddziału Krassusa. Bassiusz spoglądał za nimi przez chwilę, po czym wrócił do linii.

– Na Jowisza! – Romulus wypuścił powietrze z płuc z westchnieniem ulgi. – Czy widzieliście kiedyś coś takiego?

Brennus pokręcił głową.

– To wiele mówi o sytuacji. Żeby buntował się ktoś taki jak Bassiusz?

– Krassus ukarał oddział, który uciekł przed Spartakusem, zabijając co dziesiątego żołnierza – powiedział Tarkwiniusz. – Ciekawe, co zrobi teraz?

– Będzie pertraktował. Jeśli nie zacznie rozmawiać z emisariuszami Partów, cała armia wypowie mu posłuszeństwo – stwierdził spokojnie Brennus.

Gal miał rację. Krassus w końcu zrozumiał, że jego żołnierze wycierpieli już za dużo. Już samo zwlekanie mogłoby spowodować wybuch gniewu. Dlatego wkrótce od grupy dowódców w centrum oderwała się mała delegacja. Prowadzeni przez śniadego Andromachusa rzymscy legaci, z Krassusem na czele, ruszyli, z opuszczonymi głowami, w kierunku oczekujących ich Partów. Nawet zwisające smętnie pióropusze z końskiego włosia na hełmach oficerów wydawały się pogłębiać atmosferę klęski. Słońce prażyło. Szeregi przyglądających się tej dramatycznej scenie milczały. Łucznicy, którzy zajęli pozycje na szczycie wydmy, nie ruszali się. Obserwowali. Czekali. Gotowi do ataku.

Pertraktacje trwały już jakiś czas, ale z powodu odległości żaden z żołnierzy nie słyszał, o czym mówiono. Andromachus pełnił funkcję tłumacza, a Krassus i jego oficerowie słuchali warunków Sureny.

Romulus zacisnął zęby.

– Miejmy nadzieję, że ten głupiec wynegocjuje nam bezpieczny odwrót. W przeciwnym razie pożywią się nami sępy.

– Będą chcieli gwarancji, że nie wrócimy – powiedział Tarkwiniusz.

– Jakich gwarancji? – zdziwił się Romulus.

Brennus splunął na gorący piasek.

– Jeńców.

Żołądek młodego żołnierza podjechał mu do gardła. Czy to właśnie o to chodziło Tarkwiniuszowi? Romulus nie miał jednak za dużo czasu, żeby zastanowić się nad tą niepokojącą myślą.

Nad nimi, na stoku wydmy doszło do jakiejś kłótni. Andromachus i Partowie

wyciągnęli ukrytą broń i zabili trzech legatów. Legioniści mogli tylko patrzeć bezradnie, jak Krassus pada bez czucia na ziemię po silnym ciosie w głowę. Dwóch Partów zeskoczyło natychmiast i zarzuciło bezwładne ciało wodza Rzymian na konia. Część Partów została, żeby wykończyć pozostałych rozjemców, a oni pogalopowali czym prędzej ku szczytowi wydmy.

Oszołomieni legioniści zrozumieli, że nie mają już żadnej szansy. Jeden z dowódców zdołał zawrócić konia i uciec, ale większość kadry legła bez życia na piasku.

W armii pozostał już tylko jeden legat.

– To już koniec... – jęknął ktoś w pobliżu.

Brennus wyciągnął miecz. Z jego twarzy bił spokój.

– Zdradliwe świnię – powiedział Romulus gorko.

– Musieli to wcześniej zaplanować – zauważył Tarkwinius. – Nie przewidziałem tego.

Jeźdźcy zajmujący pozycje powyżej podzielili się na dwie kolumny, celując w obie strony rzymskiej kolumny. Surena przygotował się do wyprowadzenia ostatniego ciosu.

Romulus wyciągnął swój gladius z pochwy, znów myśląc tylko o tym, że nie będzie mu dane zemścić się na Gemellusie. Przetrawanie najbliższej godziny można będzie nazwać szczęściem.

Tarkwiniusz spojrział w niebo i odetchnął z ulgą, mówiąc z absolutną pewnością:

– Żaden z naszej trójki dziś nie umrze – zniżył głos. – Wielu zginie. Ale nie my.

Romulus poczuł, że kamień spada mu z serca.

Brennus uśmiechnął się od ucha do ucha. Czuł, że jego wiara w dobre zakończenie tej historii staje się silniejsza niż kiedykolwiek.

Gdy legioniści uświadomili sobie, że czeka ich powtórka z rzezi z poprzedniego dnia, z ust wielu z nich wydobył się jęk, który przeszedł w groźny szmer. To, co wydawało się dawać im nadzieję, okazało się tylko podstępem.

Centurioni i młodsi oficerowie przejęli inicjatywę, nakazując odwrót w dół stoku. Bez Krassusa nie mogło być jasnych rozkazów przekazywanych przez trębaczy. Mężczyźni zaczęli cofać się na płaski teren, rzucając rozpaczliwe spojrzenia za plecy. U podnóża wydmy zdołali uformować się w nierówną linię, głęboką na trzy szeregi. Znów uniesiono tarcze, które miały ochronić żołnierzy przed gradem śmiercionośnych, syczących pocisków.

Dumna armia Krassusa stała stłoczona, bez ruchu, przygotowana na śmierć w piecu rozgrzewanym przez żar mezopotamskiego słońca. Tylko nieliczni legionieści gotowi byli kontynuować walkę.

Rzeź nie trwała długo. Deszcz strzał Partów zasłonił niebo. Pociski znów roztrzaskiwały tarcze legionistów. Dziesiątkowały bezradnych żołnierzy, dla których nie było żadnego bezpiecznego miejsca. Bez żadnych szans oddania ciosów ludzie umierali tam, gdzie stali. Każdy, kto złamał szyk i próbował uciekać, po kilku krokach padał na piasek. Wkrótce ofiary liczono w setkach.

Gdy pojawili się katafrakci, wszyscy wiedzieli, że koniec jest bliski. Ciężka jazda runęła w dół zbocza, przeorując rzymskie centrum. Lance grzęzły w piersiach, konie wdeptywały ciała w ziemię, miecze zagłębiały się w mięśnie. Tam, gdzie przebili się katafrakci, w rzymskich liniach ziały wielkie dziury.

Legionieści nie byli w stanie znieść już niczego więcej.

Pozostały przy życiu legat nakazał pochylić insygnia legionu, żeby zasygnalizować gotowość do poddania się. Romulus nigdy nie zapomni widoku symbolu potęgi militarnej Rzymu opadającego do ziemi. Gdy w porcie w Brundisium zobaczył orły po raz pierwszy, dumnie eksponowane w rękach chorążych, te srebrne ptaki sprawiały, że krew w żyłach zaczęła mu krążyć szybciej. Jako niewolnik, a potem gladiator nigdy nie znalazł niczego, co by go naprawdę inspirowało. Wiara w Jowisza nie różniła się od tej, którą wyznawali inni – dotyczyła jednak wartości nadnaturalnych. Natomiast orły wykonane były z metalu i stanowiły materialny dowód potęgi Republiki. Były czymś namacalnym, czymś, w czym można było pokładać nadzieje. W końcu sam był Rzymianinem. Jego matka była italijską kobietą, a ten drań, który ją zgwałcił, również pochodził z Italii. Dlaczego nie brać udziału w bitwie pod znakiem orła, tak jak czynili legionieści z regularnych jednostek?

Widział, że wielu legionistów przyjmuje hańbę porażki płaczem. Niektórzy oficerowie ruszyli do samobójczego ataku. Woleli zginąć w walce, niż żyć z odium kapitulacji. Jednak większość żołnierzy poddała się z ulgą. Pustynni wojownicy otoczyli Rzymian, napierając końmi tak, żeby zgromadzić ich w wielkim kotle. Ocalałych spędzono do stada niczym owce, podczas gdy ciemnoocy „pasterze” przyglądali im się bacznie z łukami gotowymi do strzału. Nikt nie próbował się dłużej przeciwstawiać zwycięzcom. Te łuki pokonały armię liczącą trzydzieści pięć tysięcy żołnierzy.

Wszystkie insygnia będące symbolem władzy zostały przejęte przez Partów,

którzy zmusili żołnierzy do odrzucenia mieczów. Ci, którzy nie posłuchali wystarczająco szybko, zginęli na miejscu. Brennus upuścił miecz z wyraźną niechęcią, ale Etrusk wydawał się mniej zaniepokojony oddaniem swojego topora i Romulus wkrótce zrozumiał dlaczego. Grupa łuczników zsiadła z koni i zaczęła zbierać broń, zbierając ją w wiązki. *Gladii* i *pila* załadowano na wielbłądy. Oręż miał być transportowany w tej samej kolumnie, w której podążali jeńcy. Świadczyło to o tym, że ktoś już zdecydował o ich losie. Tarkwiniusz spodziewał się, że w swoim czasie odzyska swój topór. To dawało Romulusowi nadzieję.

Prawie połowa legionistów uczestniczących w ostatniej bitwie zginęła. Pozostali – około dziesięciu tysięcy legionistów i najemników – trafili do niewoli. Pokonanym i przygnębionym żołnierzom pozwolono zachować zbroje i części wyposażenia legionistów. Po całkowitym rozbrojeniu wrogów Partowie założyli każdemu jeńcowi sznur na szyję.

Nieszczęśnicy pomaszerowali w długich kolumnach na południe, w kierunku Seleucji. Romulus nie odważył się spojrzeć za siebie, na miejsce rzezi. Setki sępów zaczęły już bowiem swoją wieczerzę.

## *Krassus*



Seleucja, stolica Królestwa Partów, lato 53 r. p.n.e.

**Z**ycie za okrągłą palisadą, gdzie umieszczono Romulusa i setki uwięzionych żołnierzy, naznaczone było obozową rutyną. Palisadę więzienia, znajdującego się w pobliżu wielkiej ceglanej bramy prowadzącej do miasta, wykonano z grubych bali ustawionych w pionie, wysokich na dwóch mężczyzn postury Brennusa. Żołnierze zajmowali miejsca bezpośrednio na klepisku, w takim tłoku, że ledwie było gdzie wyciągnąć nogi. Plotka głosiła, że inni więźniowie przetrzymywani byli w podobnych miejscach odosobnienia wokół Seleucji. Partowie nie ufali Rzymianom, nawet nieuzbrojonym, i woleli nie trzymać ich w większych grupach.

Rzeź pod Carrhae i doświadczenia przerażającego marszu na południe zostały przyćmione przez nowe cierpienia. Wcześniejsze stały się tylko odległym wspomnieniem. Kolejne gorące dni kończyły się mroźnymi nocami, utrudniając zarówno życie rannym, jak i w pełni sprawnym. Wewnątrz palisady nie można było

liczyć na żadne schronienie przed chłodem i kapryсами pogody. Rzymscy żołnierze drżeli z zimna nocami, ogrzewając się wzajemnie ciałami, i razem też znosili cierpienia zsyłane na nich przez palące słońce. Większość starszych rangą oficerów oddzielono od zwykłych żołnierzy. Na miejscu pozostali tylko podoficerowie niskiego stopnia i to na nich spoczywał teraz ciężar dodawania ludziom otuchy.

Wydawało się, że Tarkwiniuszowi, który od czasu do czasu czynił tylko jakieś drobne uwagi na temat wiatru lub pogody, nie przeszkadza to oczekiwanie. Nikt nie wiedział, co ich czeka. Na razie zostali oszczędzeni, ale wielu wciąż sądziło, że Partowie przygotowują się do jakiejś spektakularnej egzekucji. Ciała tysięcy ich towarzyszy pozostawiono na pustyni, oddając na łaskę sępów. Dla rzymskiej armii była to hańba, którą trudno zmasać. Rzymianie zwykli chować swoich zmarłych z honorami podczas specjalnej ceremonii pogrzebowej. Na ogół tylko przestępcom odmawiano pogrzebu, a Romulus dobrze pamiętał zgniły zapach trupów, zalegających w dołach na wschodnich zboczach Eskwilinu. Tylko bogowie wiedzieli, jak wyglądały teraz okolice Carrhae.

Więźniowie otrzymywali racje głodowe – tylko tyle, aby przetrwać. Gdy pojawiali się strażnicy z jedzeniem, więźniowie wpadali w szał. Zwykli ludzie zmieniali się w bestie, gotowe walczyć o każdy kawałek suchego chleba i łyk słonawej wody. Tylko dzięki rosnącej pozycji Tarkwiniusza jego przyjaciele w ogóle mieli co jeść i pić. Romulus wspomagał Etruska, który zajmował się chorymi i rannymi. Oczyszczał rany i podawał zioła, które udało mu się przemycić w niewielkim skórzanym woreczku. Gdy żołnierze dowiedzieli się o mistycznych talentach Tarkwiniusza, szacunek, jakim go darzyli, stał się jeszcze większy i zwykle ktoś zawsze zostawiał trochę jedzenia specjalnie dla niego. I tylko haruspiłk dawał im szansę wyrwania się z tego piekła.

Wielu rannych zmarło z powodu odwodnienia, a Partowie zabierali rozdęte trupy tylko wtedy, jeśli więźniowie wynieśli je w pobliże bramy. Aby uniknąć rozprzestrzeniania się chorób w pobliskim mieście, strażnicy zbudowali ogromny stos, który nigdy nie gasł. Tam trafiały ciała wszystkich zmarłych. Płonął też w ciągu nocy, oświetlając swoim upiornym światłem załęknięte twarze głodnych więźniów. Smród palonych ciał i gryzący dym z pewnością nie poprawiały nastrojów zrozpaczonych Rzymian.

Dwunastego dnia o świcie Romulus uznał, że ma już powyżej uszu oczekiwania i niewoli.

– Te sukinsyny powinny były nas wykończyć. Za kilka tygodni i tak wszyscy



skończymy jak tamci.

W pobliżu leżały ciała ponad dwudziestu legionistów.

– Cierpliwości – odezwał się Tarkwiniusz. – Pogoda się zmienia. Wkrótce będziemy wiedzieć więcej.

Romulus niechętnie skinął głową, ale Feliks wbił wściekły wzrok w zwłoki towarzyszy.

– Co ja bym dał, żeby mieć jakąś broń w ręku – powiedział, uderzając sfrustrowany w belkę palisady.

Ten gest nie uszedł uwagi strażnika, który machnął w kierunku Gała włócznią, dając mu jednoznacznie do zrozumienia, aby się odsunął.

– Bądź cicho! – syknął Brennus, który uznał, że jeśli Tarkwiniusz może czekać, to i on to znieśie. – Nie chcesz chyba umrzeć jak ten legionista?

Na znajdującej się w pobliżu palisady drewnianej strukturze w kształcie litery T zwisały rozkładające się zwłoki, mające być jednoznacznym ostrzeżeniem przed łamaniem dyscypliny, którą Partowie chcieli zaprowadzić w obozie jenieckim. Dwa dni wcześniej dobrze zbudowany weteran z Legionu VI splunął pod nogi strażnika. Natychmiast został wyciągnięty z klatki i ukrzyżowany.

Gdy grube żelazne gwoździe przebiły jego stopy, żołnierz nie mógł opierać się na nich zbyt długo. Nie mógł też znieść bólu, wisząc całym ciałem na przebitych rękach. Przez jakiś czas próbował zmieniać pozycję, ale szybko cierpienie stało się nie do zniesienia. To okrutne widowisko trwało przez pół dnia. Gdy usatysfakcjonowani strażnicy stwierdzili, że więźniowie dostali nauczkę, zakończyli cierpienie mężczyzny szybkim pchnięciem włóczni, ale zostawili jego ciało na krzyżu jako przestrozę.

Feliks wrócił na swoje miejsce.

Strażnik ruszył, kontynuując swój obchód wokół palisady.

– Jeszcze żyjemy, a to oznacza, że mają wobec nas jakieś plany – powiedział Etrusk.

– Publiczną egzekucję – warknął Feliks. – Tak postąpiliby z więźniami Galowie.

– Nie dla nas, zwykłych żołnierzy.

Romulus nie był przekonany.

– W Rzymie skończylibyśmy na arenie. Czy te dzikusy niczego takiego nie organizują?

– Nie ma tu gladiatorów. Nie poluje się na zwierzynę. To nie Italia – odrzekł

stanowczo Tarkwiniusz. – Słuchajcie!

Od świtu męczyły ich dźwięki bębnów i dzwonek. Właściwie gdy tylko pojawili się pod murami Seleucji, niemal codziennie z miasta dochodziła muzyka, świadcząca o tym, że Partowie celebrują zwycięstwo. Ten dźwięk był jednak inny. Żłowieszczy. Im wyżej słońce wznosiło się nad horyzontem, tym bardziej rosła temperatura. Niebo było czyste, błękitne i pocący się obficie żołnierze znów poczuli się nieswojo.

Brennus wstał, spoglądając w kierunku labiryntu ulic, które prowadziły do miasta.

– Jest coraz bliżej.

Więźniowie czekali na przebieg wydarzeń w dziwnej ciszy, wsłuchując się w coraz głośniejsze odgłosy. Brudni, w bandażach i spaleni słońcem ocaleni żołnierze wstawali jeden po drugim, a strażnicy wyraźnie się ożywili.

– O co chodzi, Tarkwiniuszu? – teraz już nie tylko Feliks wiedział, że Etrusk potrafi zrozumieć mowę Partów.

Kilku ludzi zbliżyło się do Etruska, licząc, że haruspik wyjaśni im, co się dzieje.

Tarkwiniusz potarł podbródek w zamyśleniu.

– Nie było jeszcze oficjalnych uroczystości triumfalnych.

– Co z Krassusem? – zapytał Romulus. Od dnia bitwy po wodzu rzymskiej armii nie było ani śladu. Bez wątpienia musiał odegrać ważną rolę w tych uroczystościach.

Etrusk już miał coś odpowiedzieć, gdy na placu przed klatką pojawiła się grupa pięćdziesięciu niezwykle wysokich wojowników, którzy wyszli z ceglanej bramy. Nosili kolczugi i wypolerowane, ostro zakończone hełmy. Każdy z nich miał ciężką włócznię i okrągłą tarczę. Za nimi szło kilka tuzinów muzyków w zwykłych szatach. Procesja zatrzymała się nagle, ale muzycy wciąż grali.

Na ten widok wielu żołnierzy złożyło dłonie w znak mający chronić przed złem.

– Gwardia królewska – mruknął Tarkwiniusz. – Król Orodes zdecydował o naszym losie.

– Ty wiesz...

Romulus spojrział na Etruska, który uśmiechnął się zagadkowo.

Zazgrzytał zębami.

– Widziałeś coś jeszcze? – dociekał Brennus.

– Już wam mówiłem. Czeka nas długi marsz na wschód.

Zaniepokojeni żołnierze legionów spoglądali na haruspika z lękiem w oczach.

– Ruszymy tam, gdzie Aleksander poprowadził największą armię, jaką widział świat.

Tarkwiniusz często dzielił się z więźniami opowieściami dotyczącymi legendarnego marszu wielkiego Greka, który trzysta lat wcześniej poprowadził swoich ludzi w nieznaną.

Większość słuchaczy przyjmowała te historie z niepewnością, ale Romulus niezmiennie uważał je za fascynujące. Cekał na nową przygodę.

– Powinniśmy się cieszyć, że skierowali się na wschód – Tarkwiniusz poklepał niewielką skórzaną sakiewkę ukrytą przy pasie. Zawierała zioła i starą mapę, którą inni widzieli tylko raz. Gdy Partowie rozbroili legionistów, udało mu się zachować tylko ten woreczek, pierścień ze skarabeuszem i *lituus*. – Mapę zrobił jeden z żołnierzy Aleksandra i nie bez powodu trafiła w moje ręce – wyszeptał.

Przerwał, gdy lider nowo przybyłych zaczął przemawiać do strażników. Ci szybko chwycili ciężkie liny, te same, które już raz przydały się podczas tworzenia kolumn jeńców po bitwie. Strach, zawsze obecny wśród więźniów, teraz się pogłębił. Gdy uchylono jedną z bram, wśród przestraszonych legionistów rozległy się głośne jęki. Ograniczona przestrzeń więzienia dawała im jakieś poczucie bezpieczeństwa. Co ich czeka?

Otoczony krzepkimi wojownikami, trzymającymi w rękach groźnie wyglądające włócznie, kapitan straży pojawił się w pobliżu palisady i wskazał kilku jeńców, każąc im wyjść na zewnątrz. Rzymianie posłuchali go z wielką niechęcią. Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, wokół ich szyi zawiązano liny utrudniające ruchy. Wkrótce utworzono z jeńców długi rząd. Partowie, którzy znaleźli się po wewnętrznej stronie palisady, wybrali kolejną grupę więźniów.

Jeden rzymski żołnierz uznał, że ma dość. Był to *optio* w charakterystycznym pancerzu, który jakoś uchował się, gdy strażnicy oddzielali wcześniej podoficerów od zwykłych żołnierzy. Gdy strażnik wskazał go włócznią, mężczyzna umyślnie pchnął go w klatkę piersiową.

– Co czyni ten głupiec? – syknął Romulus. – Musi wiedzieć, co z nim teraz będzie.

Tarkwiniusz nie wyglądał na zdziwionego.

– Podejmuje świadomy wybór, decydując o własnym losie. Wszyscy mamy do tego prawo.

Romulus pamiętał, jak Bassiusz rozprawił się z dwoma najemnikami, którzy nie mogli iść z nimi do Carrhae. Wolność wyboru... Samostanowienie. Zrozumienie tego

fenomenowi przychodziło Romulusowi z trudem.

Wystarczył krótki rozkaz, a wartownik wraził włócznię głęboko w brzuch mężczyzny. Ten zgiął się z jękiem, chwytając rękoma drzewce. Patrzyli, jak strażnik ukląkł i wyciągnął sztylet o wąskim ostrzu. Dwóch innych Partów przytrzymało *optio* za ramiona. W czasie gdy śmiertelnie ranny Rzymianin charczał w agonii, dowódca straży uważnie przyglądał się pozostałym więźniom.

Wartownik wstał i wykonał zamach ręką, rzucając coś w powietrze. Tuż obok Romulusa na ziemi wylądowały dwie lśniące gałki oczne z przyczepionymi wciąż jeszcze do nich nerwami. Chłopak cofnął się ze wstrętem. Nie wierzył, że ktoś może świadomie wybrać dla siebie takie cierpienie.

Gdy oficer znów zajął się wybieraniem jeńców, nikt nie protestował. Romulus przeszedł w milczeniu obok umierającego *optio*. Nie mógł oderwać wzroku od okaleczonego mężczyzny, który teraz przyciskał zakrwawione ręce do pustych oczodołów, wydając z siebie ciche jęki. Romulus zacisnął pięści.

– Żaden człowiek nie zasłużył sobie na taki los – wyszeptał.

– Nie próbuj oceniać innych ludzi – odpowiedział Tarkwiniusz. – Ten *optio* mógł wyjść z nami na zewnątrz. Dokonał wyboru.

– Nikt nie może wybrać za kogoś jego drogi – zgodził się Gal mrocznym tonem. Miał przed oczyma obraz swojego wuja, który wybrał śmierć, żeby uratować kogoś innego. Jego.

Romulus przyjrzał się swoim przyjaciółom. Ich słowa dźwięczały mu w uszach.

Gdy zebrano pięćdziesięciu żołnierzy, dowódca Partów dał znak strażnikom. Podobnie jak w przypadku ceremonii ofiarowania byka również teraz Partom potrzebna była jakaś reprezentacja pobitej armii Krassusa, ludzi, którzy mieli pełnić rolę świadków ceremonii triumfu. Pozostali szybko poznają szczegóły.

Kolumna jeńców znalazła się za rzędem katafraktów i muzyków. Legioniści wyglądali żałośnie, znosząc razy i kopnięcia oraz ciosy włóczniami.

Przeszli pod ogromnym łukiem, który nie różnił się od wielu innych, jakie Romulus widział w Italii. Ta budowla była jednak raczej wyjątkiem niż regułą, jeśli chodzi o podobieństwa dwóch stolic. Seleucja nie przypominała Rzymu. Ulice, wzdłuż których ciągnęły się rzędy jednokondygnacyjnych lepianek, były o wiele węższe, niż spodziewał się Romulus. Większość budynków wzniesiono z wykorzystaniem suszonych na słońcu glinianych bloków. Tylko od czasu do czasu dostrzegali jakiś wyższy budynek, który zwykle okazywał się świątynią. Podobnie jak w Rzymie również w Seleucji panował wielki ścisk. Zabudowania stały jedne

przy drugich, a na oddzielających poszczególne kwartały uliczkach zalegały śmieci i ludzkie odchody. Romulus nie widział żadnych budynków mogących przypominać akwedukty czy łaźnie publiczne. Miasto było po prostu skupiskiem domów. Najwyraźniej Partowie nie byli ludem inżynierów. Byli koczownikami. Wojownikami pustyni.

Tylko ten łuk i budynek, który musiał być rezydencją króla Orodessa, zrobiły na Romulusie wrażenie solidnych, takich, które równie dobrze mogłyby znajdować się w Rzymie. Zanim kawalkada dotarła do dziedzińca pałacu, musiała pokonać płaski, niezabudowany odcinek pomiędzy wysokimi, ufortyfikowanymi murami rezydencji a ostatnimi budynkami miejskimi. W każdym narożniku murów ochronnych znajdowała się wieża obserwacyjna, a łucznicy patrolowali blanki. Za ozdobnymi bramami pałacu, wykonanymi z metalu, stali katafrakci na koniach, beznamiętnie obserwujący pochód legionistów. Niewielu rzymskich żołnierzy potrafiło patrzeć na wojowników Partów bez dreszczu strachu.

Kiedy mijali bramę pałacu, Tarkwiniusz próbował zajrzeć na dziedziniec, wciskając głowę pomiędzy metalowe pręty.

– Nie ściągaj na siebie ich uwagi! – syknął Brennus.

– Mają to gdzieś... – odrzekł Etrusk spokojnie, wyciągając szyję. – Chcę zobaczyć to złoto, którego tak pragnął Krassus. Ten pałac miał ociekać złotem.

Jeden z katafraktów zwrócił jednak uwagę na ciekawskiego jeńca. Zniżył lancę, kierując ją w stronę Tarkwiniusza, a potem mocno dźgnął nią do przodu.

Na szczęście haruspik cofnął głowę, pochylił się i potulnie poczłapał dalej.

Wkrótce jeńcy musieli z trudem przepychać się przez tłum gapiów. Wszyscy mieszkańcy Seleucji chcieli zobaczyć upokorzenie Rzymian. Szyderstwa i pogardliwe okrzyki dzwoniły w uszach. Romulus skupił wzrok na błotnych koleinach pod stopami. Wystarczył mu jeden rzut oka na ciemne twarze ludzi kipiących nienawiścią. Najbliższa przyszłość będzie i tak trudna do zniesienia, lepiej nie rzucać się w oczy.

Wściekły tłum obrzucał ich ostrymi kamieniami i mniejszymi kamyczkami, tak że wkrótce ciała jeńców pokryły się siniakami i ranami. Inni rzucali zgniłymi warzywami, a nawet wylewali na nich zawartość nocników. Kilka nad wyraz odważnych obdartusów, dzieci w łachmanach, podbiegło do jeńców i kopało ich po łydkach. Jednemu żołnierzowi jakaś szczupła kobieta rozorała policzek paznokciami. Gdy próbował ją powstrzymać, strażnik pobił go do nieprzytomności. Wtedy jęzda zaczęła krzyczeć z radości i opluwać ciało. Towarzysze nieprzytomnego

legionisty zostali zmuszeni do podniesienia mężczyzny z drogi i zatargania go na miejsce.

Brudni więźniowie przemierzali ulice i wydawało im się, że ta katorka nigdy się nie skończy. Wszyscy mieszkańcy Seleucji musieli nacieszyć oczy dowodami oszałamiającego zwycięstwa nad ogromną armią Krassusa. W końcu jednak dotarli do dużego placu, podobnego wielkością do rzymskiego Campus Martius. Temperatura rosła, a jeńcy nie mogli skryć się w cieniu. Mało kto odważył się unieść wzrok, gdy straż pchała ich w kierunku centrum placu, jak najdalej od pocisków i drwin. Tym razem jednak strażnicy równie bezceremonialnie usuwali z drogi tych mieszkańców miasta, którzy byli na tyle głupi, aby znaleźć się na drodze pochodu.

Dziesiątki Partów pracowało gorliwie, przygotowując wielkie ognisko, karmiąc głodne płomienie coraz większą ilością polan. W pobliżu znajdowało się puste jeszcze podwyższenie – scena spektaklu, który niechybnie miał się tu odbyć. Ich oprawcy zmusili legionistów kuksańcami i kopnięciami do zajęcia miejsca obok niej. Stworzyli małe, nieregularne zbiegowisko, tak różne od szeregów dumnej armii. Obawiali się tego, co przyniosą najbliższe minuty. Z czasem pojawiało się coraz więcej grup wybranych jeńców – sprowadzanych z podobnych obozów odosobnienia wokół miasta. Wkrótce na placu zgromadziły się już setki Rzymian, przedstawiciele dziesięciu tysięcy więźniów.

Romulus postanowił, że nie da się tak po prostu pozbawić życia. Jeśli mają go zabić, to będzie dumny koniec. Brennus wydawał się zadowolony, że Tarkwiniusz nie okazuje zaniepokojenia. Romulus i jego mentorzy zdawali się pogodzeni z losem i stosunkowo spokojni w przeciwieństwie do reszty grupy na wół zagłodzonych, spalonych słońcem legionistów, którzy sądzili, że czekają już tylko na swoją egzekucję. Straszna porażka pod Carrhae pozbawiła ich pewności siebie. Nisko zwiesili głowy, najślabi cicho łkali. W powietrzu czuć było też słaby smród uryny. Najwyraźniej ktoś nie za dobrze radził sobie z napięciem.

Atakujący ich do tej pory motłoch stopniowo się uspokajał. Zamilkły nawet bębny i dzwonki. Zastąpił je inny dźwięk. Ludzie natychmiast zaważyli zmianę atmosfery. Ponad tłumem słychać było jęki cierpiących ludzi.

Wokół placu pojawiło się kilkadziesiąt drewnianych krzyży. Do końcówek umieszczonych poziomo belek przywiązano za ręce rzymskich oficerów. Od czasu do czasu ofiary przenosiły ciężar na przybite do słupów stopy, próbując odciążyć nieco ręce. Po chwili zwykle jednak ból w stopach stawał się nie do zniesienia i nieszczęśnicy opadali w dół, całym ciężarem wisząc na rękach. Ukrzyżowanie było

niczym błędne koło cierpienia, które kończyło się śmiercią z odwodnienia lub uduszenia. Jednak śmierć przychodziła czasami dopiero po kilku dniach, zwłaszcza jeśli ofiara była silna fizycznie.

Tłum falował. Mieszczanie obserwujący ten spektakl śmiali się radośnie. Dzięki temu uwaga motłochu przeniosła się z powiązanych sznurami rzędów legionistów na umierających oficerów. Mieszkańcy miasta zaczęli obrzucać ich kamieniami, które, gdy tylko trafiły w cel, wywoływały krzyki i jęki bólu ukrzyżowanych. Strażnicy dźgali bezradnych oficerów włóczniami, ciesząc oczy widokiem wypływającej z ran krwi. Powietrze wypełniły okrzyki radości. Tłum nie miał dość. Zwykli żołnierze mogli tylko obserwować ten brutalny spektakl z przerażeniem, wyobrażając sobie, co może ich czekać.

Feliks wyciągnął rękę, wskazując jeden z krzyży.

– Tam jest Bassiusz. Biedny sukinsyn.

Romulus i Brennus skierowali wzrok na weterana wielu wojen, który wisiał niedaleko. Miał zamknięte oczy. Mimo że musiał odczuwać katusze, z jego ust nie wydostawał się żaden dźwięk. Nigdy wcześniej siła ducha Bassiusza nie zrobiła na nich większego wrażenia. Brennus pociągnął za linę na szyi.

– Skróć jego cierpienia.

– I chcesz skończyć jak on? Na krzyżu? – zapytał Tarkwiniusz.

Romulus zaklął. Podobna myśl i jemu zaświtała w głowie, chociaż natychmiast zdał sobie sprawę, że nie mają szans, żeby zbliżyć się do Bassiusza. Wcześniej ktoś przeszyje ich włóczniami.

– To już długo nie potrwa ... – wtrącił Feliks. – Po ukrzyżowaniu ranny człowiek bardzo szybko traci siły.

– Rzymianie ich tego nauczyli – stwierdził Etrusk.

Romulus nie wiedział, co odpowiedzieć. Czuł wstyd i niesmak, że jego krajanie mogli stać się dla kogoś inspiracją do stosowania takich barbarzyńskich tortur. Jednak chociaż niewolników i kryminalistów w Rzymie dość często karano ukrzyżowaniem, nigdy nie widział tylu osób umierających na krzyżach w tym samym czasie. A potem przypomniał sobie, jak Krassus postąpił z niedobitkami armii Spartakusa. Rzym był tak samo okrutny jak Partia.

Brennus splunął ze złością, przygotowując się do wydostania z pętli na szyi. W jego głowie pojawił się obraz Conalla umierającego od ciosów *gladii*. Teraz umierał kolejny dzielny człowiek. Jego podróż naprawdę zaprowadziła go daleko na wschód. Ale tu się skończy.

– To twój wybór, Brennusie – Tarkwiniusz odezwał się spokojnym głosem – ale przed nami jeszcze długa droga.

Potężny wojownik obejrzał się. W jego oczach Tarkwiniusz widział prawdziwy ból.

– Bassiusz jest dzielnym żołnierzem. Uratował nam życie! I nie zasługuje na to, żeby umrzeć jak zwierzę.

– Pomóż mu więc...

Zapadła cisza. Brennus westchnął ciężko.

– Ultan przepowiedział mi bardzo długą podróż. Tak samo jak ty.

– Bassiusz i tak umrze – powiedział Tarkwiniusz, starannie dobierając słowa. – Conall i Brac też by umarli. Co byś nie zrobił, oni by odeszli.

Oczy zaskoczonego Brennusa rozszerzyły się ze zdumienia.

– Wiesz o mojej rodzinie?

Etrusk skinął głową.

– Nie wymieniałem ich imion na głos od ośmiu lat.

– Brac był dzielnym wojownikiem. Tak samo jak jego ojciec. Ale ich czas nadszedł.

Romulus poczuł, że włosy stają mu dęba. On sam niewiele wiedział o przeszłości Gala.

Brennus wyglądał na zrozpaczonego.

– Przyjdzie taki dzień, gdy twoi przyjaciele będą cię potrzebować – odezwał się Tarkwiniusz poważnym głosem. – Czas, żeby Brennus stawał dzielnie i walczył w ich obronie. Przyjdzie ci zmierzyć się z wrogiem dysponującym miażdżącą przewagą – nastąpiła długa cisza. – Z wrogiem, z którym nie mógłby wygrać nikt. Nikt poza Brennusem.

– To stanie się daleko stąd? – zapytał Gal głosem, z którego biła pilna potrzeba usłyszenia odpowiedzi. W jego tonie czuło się nutkę szaleństwa.

– Na skraju świata, jaki znamy.

Powoli twarz Brennusa rozjaśniała się. Gal puścił sznur na szyi.

– Ultan był potężnym druidem. Podobnie jak ty, Tarkwiniuszu. Bogowie zabiorą naszego centuriona prosto do Elizjum.

– Możesz być tego pewien.

Romulus wciąż pamiętał spojrzenie, jakie Tarkwiniusz rzucił Galowi, gdy wycofywali się w kierunku Carrhae. Gdy dotarło do niego znaczenie słów



wypowiadanych przez haruspika, serce młodego żołnierza przepełniła troska o Brennusa. Po chwili jednak zauważył, że Etrusk wpatruje się intensywnie w płomień ogniska.

– Po co ten ogień?

Etrusk wskazał żelazny kociołek o niewysokich krawędziach, który Partowie zawiesili nad ogniem. Spoceni mężczyźni w skórzanych fartuchach dbali o podsycanie płomieni. Co chwilę jeden z nich pochylał się i mieszał zawartość łyżką o długiej ręczce.

– Jakiś czas temu wrzucali do środka sztabki złota.

Romulus poczuł dreszcz na plecach.

Znów odezwały się bębny, ale tym razem ucichły dość szybko, gdy w pobliżu sceny pojawił się wóz ciągnięty przez muły i otoczony ze wszystkich stron rzędami ciężkiej kawalerii, wspaniałych katafraktów w kolczugach. Po obu stronach platformy wozu szli strażnicy, przebrani w szaty, które miały upodabniać ich do *lictors*. Każdy z nich nioś kopię *fasces*, rzymskiego symbolu sprawiedliwości. Jednak w przeciwieństwie do tych stosowanych w Italii wiązki niesione przez strażników ozdobiono mieszkami z pieniędzmi, a ich topory głowami oficerów.

– To wszystko zostało zaplanowane – mruknął Romulus.

– Tak. Ma być parodią rzymskiego triumfu – wyjaśnił Etrusk. – Wykpiwają żądę złota Krassusa.

Gdy żołnierze dostrzegli, że na wozie stoi Krassus, rozległ się jeden wielki jęk zdumienia. Szyja i ramiona dowódcy armii były unieruchomione i przywiązane do drewnianej ramy. Na jego głowie spoczywał wieniec laurowy, a usta i policzki pokryto ochrą i bielą ołowianą. Chcąc go poniżyć, Partowie założyli Krassusowi jaskrawe, kolorowe kobiece szaty, teraz ubrudzone już zgniłymi warzywami i ekskrementami. Generał miał zamknięte oczy, na jego twarzy widać było rezygnację. To była długa podróż przez miasto.

W paradzie uczestniczyły także prostytutki, które w zamyśle miały umilać czas kampanii wyższym oficerom. Oprawcy rozebrali je do naga. Siniaki i otwarte rany wyraźnie wskazywały, że wiele wycierpiały. Kobiety zawodziły, przytulając się do siebie. Podczas całej wschodniej kampanii Romulus widział wiele gwałtów. I za każdym razem jego umysł przywoływał straszne obrazy Gemellusa, krzywdzącego jego matkę. Rozumiał, że wojna ma swoje prawa. Jednak wzdrygnął się na myśl o tym, co musiały przejść te kobiety po klęsce pod Carrhae.

Gdy muły zatrzymały się, jęki i zawodzenia stały się jeszcze głośniejsze.

Partyjscy wojownicy rzucili się do wozu. prostytutki wciągnięto za włosy na scenę, każąc im klękać na kolanach. Wszelkie odgłosy sprzeciwu wywoływały serię ciosów i kopnięć. Wkrótce kobiety ucichły i tylko od czasu do czasu któraś z nich załkała słabo.

Na podwyższeniu pojawił się wysoki, brodaty mężczyzna w czarnej szacie, który gestem nakazał zachowanie ciszy. Tłum posłuchał i kapłan zaczął mówić coś niskim, głębokim głosem. Z każdego jego słowa bił gniew. To wystąpienie sprawiło Partów w szal. Tłuszcz zaczęła przeciskać się w kierunku żołnierzy, w związku z tym strażnicy znów mieli pełne ręce roboty. Musieli wręcz użyć siły, żeby zaprowadzić porządek, a wielu mieszkańców na własnej skórze poczuło włócznie.

– Kapłan podgrzewa atmosferę – przed prawdziwym spektaklem – powiedział Brennus.

– Mówił o tym, co dzieje się z tymi, którzy zagrażają Partii – szybko wyjaśnił im Etrusk. – Krassus był agresorem, ale potężni bogowie Partów pomogli im pokonać rzymskich najeźdźców. Teraz bogowie pragną ofiary.

Romulus spojrział na scenę i zadrzał. Kampanii od początku towarzyszyły złe omeny, które tylko głupiec mógł zlekceważyć. Tymczasem Krassus zignorował każdy z nich, a jego monumentalna arogancja doprowadziła do śmierci tysięcy ludzi. Wciąż nie wierzył w to, co ma się wkrótce stać z ich wodzem, ale nic nie mógł zrobić. Starał się oddychać głęboko, żeby się uspokoić.

Wreszcie brodaty kapłan skończył swoje wystąpienie, zadowolony z tego, że publiczność dobrze rozumie znaczenie zbliżającego się rytuału. Niesamowitą ciszę przerywały teraz tylko jęki ukrzyżowanych oficerów i szloch prostytutki.

Wszyscy legionieści wpatrywali się w Krassusa i budzące litość kobiety. Gdy kapłan wyciągnął zza pasa długi sztylet, na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Stanął za pierwszą prostytutką i wypowiedział kilka słów.

Słowa te tłum przyjął z entuzjazmem.

Kobieta, która miała stać się pierwszą ofiarą dla bogów, odwróciła przestraszona głowę, jednak kapłan złapał ją brutalnie i przekręcił tak, żeby patrzyła prosto na plac. Następnie jednym płynnym ruchem podciął jej gardło.

Krzyczący natychmiast umilkli.

Prostytutka szarpała się szpatmatycznie, machając kończynami, a fontanna krwi z otwartej rany na szyi spryskała strażników i ich więźniów. Kapłan puścił bezwładne ciało, po czym stojący obok niego wojownik zrzucił trupa z podwyższenia potężnym kopnięciem. Rzymscy żołnierze pod sceną odskoczyli,

chcąc uniknąć kontaktu z okaleczonym ciałem.

Kolejne prostytutki czekał ten sam los. Wkrótce na scenie pozostał jeden więzień. Krassus. Platforma podwyższenia spływała krwią, a ziemia poniżej zasłana była trupami. Tłum jednak nie miał jeszcze dość.

Partowie dyszeli żądzą zemsty.

– Dzikusy! – warknął Brennus.

Myśli Romulusa popłynęły do Fabioli. Równie dobrze ona mogła znaleźć się wśród zamordowanych tu kobiet. Jego z takim trudem wypracowany spokój ducha natychmiast się ulotnił. Zawrzał. Nagle zapragnął za wszelką cenę odzyskać wolność. Nie chciał już nigdy nikogo nazywać swoim panem. Ani Gemellusa. Ani Memora. Ani Krassusa czy któregośkolwiek z Partów. Spojrzał na najbliższych strażników, próbując ocenić, jak szybko zareagują, jeśli ich zaatakuje. Mógł wybrać swój los.

– Powrócisz do Rzymu – odezwał się cicho Tarkwiniusz. – Widziałem twoje przeznaczenie. Nitka życia nie urywa się w Seleucji.

Gdy znów odezwały się ogłuszające bębny obwieszczające koniec rytuału, wszyscy aż przymknęli oczy.

*Bądź silny. Jak Fabiola. Przetwaj.*

– Patrzcie! – Gai wskazał gestem scenę.

Strażnicy nie próbowali odwiązać ostatniego więźnia. Dźwignęli klatkę i przenieśli ją z wozu na platformę. Zostało to przyjęte z głębokim, niemal pierwotnym rykiem zgromadzonej widowni.

Nadszedł czas, żeby Krassus zapłacił za swoją żądzę.

Wyczuwając, że zbliża się jego koniec, więzień krzychał i kopał nogami. Bezskutecznie. Unieruchamiające go liny były grube i mocne, więc po chwili zmęczył się i opadł na nieheblowane drewno. Jego twarz była szara z wyczerpania i strachu. Podczas tej walki wieniec laurowy zsunął się z jego głowy, opadając na jedno oko. Wojownicy pokazywali go sobie palcami i wyśmiewali.

Kapłan znów stanął na środku sceny, wygłaszając ognistą tyradę, opisującą czyny człowieka, który pogwałcił traktat pokojowy z Królestwem Partów i najechał ich ziemię. Krzychał tak, że z jego ust wylatywały drobinki śliny. Motłoch był z wściekłości i tłum znów napał na skrzyżowane włócznie strażników. Tarkwiniusz zastanawiał się, czy nie przetłumaczyć słów kapłana, ale zgromadzeni wokół niego żołnierze aż nazbyt dobrze wiedzieli, o co się ich oskarża. I tylko garstka z nich spoglądała z żalem na Krassusa.

Gdy kapłan skończył swoją przemowę, odczekał chwilę, aż tłum się uspokoi.

Wreszcie ludzie nieco się cofnęli.

Generał podniósł wzrok i zaczął przyglądać się grupie poszarpanych więźniów. Mimo że ich ubrania były w strzępach, zorientował się, że patrzy na rzymskich żołnierzy.

Jednak w ich oczach, zamiast współczucia dla swojego wodza, dostrzegł tylko nieme oskarżenie.

Jego głowa opadła na pierś, gdy zdał sobie sprawę z nieuchronności swojego losu i z tego, że nawet jego ludzie nie są w stanie go uratować.

Romulus czuł jednak gniew. Gdyby mógł stanąć do walki z Krassusem, pewnie nie miałby oporów przed jego zabiciem, ale całym sercem sprzeciwiał się takiej publicznej egzekucji, która była wbrew jego naturze. To było tak samo brutalne doświadczenie, jak najgorsze nieuczciwe walki organizowane na arenie. Spojrzał na Brennusa i mógłby przysiąc, że Gal czuł to samo.

Za to Tarkwiniusz jak zwykle wydawał się zupełnie spokojny.

Kowal pochylił się nad ogniem i zanurzył w kotle dużą chochlę. Gdy wyciągnął ją z kąpieli, małe białe kulki płynnego złota spłynęły z jej brzegów i spadły na podest. Szczęściu tylko zawdzięczał, że nie trafiły w jego stopę. Mężczyzna ruszył w kierunku sceny z rozpostartymi szeroko ramionami.

Tłum kipiał z niecierpliwości, a Romulus przeniósł wzrok z powrotem na Krassusa.

Tymczasem dwóch strażników odchyliło jego głowę do tyłu, unieruchamiając podbródek na skośnej drewnianej belce. Wykorzystali pętlę liny tak, żeby unieść twarz w kierunku nieba. Kapłan wykorzystał małe metalowe imadło, które umieścił między zębami więźnia. Przekreślił uchwytem, odciągając szczęki i blokując język.

Gdy Krassus zorientował się, co go czeka, zawył przeciągle. Nie przerywał, gdy kowal pokonał kilka schodków i pojawił się na podwyższeniu, wyciągając przed siebie chochlę z płynną zawartością.

Zniecierpliwiony kapłan zachęcił go do pośpiechu.

– Złoto szybko stygnie – odezwał się Tarkwiniusz.

Oczy unieruchomionego nieszczęśnika skakały od kapłana do oprawcy z chochlą z szaleńczą szybkością. Krassus czuł już na twarzy ciepło gotującego się złota. Szarpnął mocno, aż zatrzeszczała drewniana rama. Rozpaczliwie próbował się uwolnić.

Wielka łyżka znalazła się wysoko nad jego głową i zastygła w tej pozycji.

Kapłan zaczął intonować niskim głosem jakąś modlitwę, która została przywitana okrzykami aprobaty.

– Prosi bogów, żeby przyjęli ofiarę, która symbolizuje zwycięstwo nad Republiką – mruknął Tarkwiniusz. – Chce pokazać, że z Partią nie ma żartów.

Ręka oprawcy trzymającego chochlę zaczęła lekko drżeć od ciężaru złota. Nagle na brzegu pojawił się mały złoty koralik, który stoczył się w dół i wylądował na oku Krassusa. Kulka pękła po uderzeniu, a ofiara wydała z siebie straszny krzyk, jakiego Romulus chyba nigdy nie słyszał. Po chwili na policzek generała wypłynął jasny płyn i strumień krwi.

Drugie oko Krassusa wydawało się studnią szaleństwa i bólu. Pomiędzy jego nogami uformowała się kałuża moczu.

Kapłan zaczął odmawiać ostatnią modlitwę i w końcu wykonał gwałtowny ruch prawą ręką.

Gdy złoto spływało w dół strumieniem roztopionego ognia, z ust Krassusa wyrwał się niedający się powtórzyć jęk bólu i rozpacz. Wszyscy dobrze słyszeli syczenie kipiącej cieczy, która znalazła drogę przez otwarte usta do gardła, w jednej chwili uciszając generała na zawsze. Jego ciało drgnęło i wygięło się spazmatycznie w agonii. Gdy krew osiągnęła temperaturę wrzenia, nad więźniem przez chwilę unosiły się ledwo widoczne spirale pary. Tylko mocno zaciągnięte liny uniemożliwiły Krassusowi zerwanie się z ramy. W końcu strumień szlachetnego metalu dotarł do serca i płuc, spalając wszystkie najważniejsze organy.

Krassus znieruchomiał i opadł bezwładnie.

Był martwy.

Obserwujący ten spektakl mieszkańcy Seleucji wpadli w szal. Przez jakiś czas słychać było tylko wycie widzów, brzęk dzwonek i dudnienie bębnow.

Wielu żołnierzy wymiotowało. Inni zamknęli oczy, nie chcąc być świadkami tej dzikiej egzekucji. Kilku zapłakało. Romulus przysięgł sobie w duszy, że ucieknie bez względu na koszty.

Gdy tłum trochę się uspokoił, kapłan dźgnął palcem bezwładne ciało Krassusa, kierując teraz swoje słowa w stronę więźniów. Zamilkł jednak po kilku słowach.

A zatem ten spektakl jeszcze się nie zakończył.

Tarkwiniusz pochylił się do przodu.

– Daje nam wybór.

Znajdujący się najbliżej żołnierze ustawili uszu.

– Jaki wybór? – warknął Brennus.

– Możemy wybrać krzyż – Etrusk wskazał na oficerów – albo ogień.

– Naprawdę? – Feliks splunął na ziemię. – Wolę zginąć w walce – pociągnął za linę krępującą ruchy szyi.

Żołnierze zaczęli wydawać z siebie gniewne okrzyki.

– Mamy jeszcze jedno wyjście.

Widząc, że Tarkwiniusz tłumaczy jego słowa, kapłan uśmiechnął się i uniósł sztylet, wskazując na wschód.

Oczy wszystkich zwróciły się na Etruska.

– Możemy dołączyć do armii Partów i walczyć z ich wrogami.

– Walczyć dla nich? – zapytał Feliks z niedowierzaniem.

– Ta sama praca. Różni panowie – stwierdził Brennus. Po horrorze egzekucji odzyskał równowagę. – Gdzie?

– Na dalekich rubieżach imperium.

– Na wschodzie? – spytał spokojnie wielki Gal.

Tarkwiniusz skinął głową.

Romulus również zachował spokój, ale inni legioniści byli wręcz przerażeni.

– Czy możemy im ufać? – skrzywił się Feliks, widząc, jak strażnicy dźgają kilka razy bezwładne ciało Krassusa włóczniami.

– Sami dokonajcie wyboru – powiedział Tarkwiniusz. – Pozostawili nas tak długo przy życiu i pokazali śmierć Krassusa jako przestroagę. – Etrusk odwrócił się i wykrzyczał jeszcze raz propozycje kapłana.

Gdy skończył, brodaty kapłan odezwał się ponownie, tym razem zwracając się bezpośrednio do niego.

– Musimy wybrać teraz! – zawołał Etrusk. – Jeśli ktoś chce dokonać żywota na krzyżu, niech uniesie prawą rękę!

Żadna dłoń nie powędrowała w górę.

– Kto chce umrzeć jak Krassus?

Brak reakcji.

Tarkwiniusz przez chwilę nic nie mówił. Pot spływał mu po twarzy, ale mówił spokojnie, pewnym głosem.

Romulus zmarszczył brwi. Etrusk był niewiarygodnie opanowany.

– Kto chce dołączyć do armii Partów?

Zapadła cisza. Nie słychać było nawet jęków ukrzyżowanych. Tłum spoglądał na

rzymskich legionistów z zapartym tchem.

Romulus uniósł brwi i spojrzał na Brennusa.

Gal podniósł prawą rękę.

– To jedyny rozsądny wybór – powiedział. – Dzięki temu pozostaniemy przy życiu.

*I będę mógł spełnić moje przeznaczenie.*

Romulus również uniósł rękę. Tarkwiniusz uczynił to samo.

Wokół nich pojawiało się coraz więcej wyciągniętych rąk. Więźniowie zaakceptowali swój los. Trudno przypuszczać, aby ich towarzysze zza palisady podjęli inne decyzje.

Kapłan skinął głową z zadowoleniem.

Dziesięć tysięcy legionistów pomaszeruje na wschód.

## *Manumissio*



Rzym, jesień 53 r. p.n.e.

**M**inęło trochę czasu, zanim Fabiola zdecydowała jak najlepiej rozwiązać problem ze zdraziecką Pompeją. Mogła się spokojnie zastanowić, gdy prała zakrwawioną pościel, a Wettiusz poszedł wyrzucić ciało węża do ścieków. Potem próbowała zachowywać się normalnie i wiedząc że Wettiusz znajduje się niedaleko i wszystko słyszy, spokojnie dołączyła do grupy kobiet w łaźni.

Twarc Pompei najpierw zrobiła się szara, a potem czerwona ze złości. Jednak przy tak wielu świadkach nie mogła nic zrobić. Gdy pozostałe prostytutki wyczuły napięcie między wrogo nastawionymi do siebie dziewczynami, w łaźni zapadła nienaturalna cisza. Starając się zupełnie zignorować Pompeję, Fabiola zaczęła rozmowę na temat nadchodzącego święta, dzięki któremu dziewczyny mogły spodziewać się większej niż zwykle liczby gości. Atmosfera stopniowo się rozluźniała.



Jak Fabiola podejrzewała, Pompeja nie zniechęcała się łatwo. Właściwie to niczego innego się po niej nie spodziewała. Wkrótce rudowłosa prostytutka znalazła jakąś wymówkę, żeby opuścić łaźnię. Udała się wprost do pokoju Jowiny.

Wtedy Fabiola zdała sobie sprawę, że nie ma odwrotu. Miała gotowy plan. Skrzywiła się, udając ból i skarżąc na gwałtowne skurcze. Wyszła z łaźni, po czym wróciła do swojego pokoju. Po kilku głośnych wizytach w toalecie każdy, kto słyszał jej jęki, wiedział już, że cierpi na jakieś zatrucie pokarmowe. Niedługo później, po umiejętnym podmalowaniu twarzy sproszkowaną farbą ołowiową, błagała jedną z koleżanek, żeby poinformowała Jowinę, że tej nocy nie będzie w stanie pracować.

Dzięki podsłuchującemu Jowinę Benignuszowi Fabiola dowiedziała się, że Pompeja uzyskała zgodę na opuszczenie Lupanaru pod osłoną ciemności. Jej eksprzyjaciółka tłumaczyła podobno, że pragnie skonsultować się z wróżbitą w sprawie swojego najlepszego klienta. Oczywiście tak naprawdę chciała się dowiedzieć, czy znajdzie się jakiś inny sposób usunięcia Fabioli. A może nawet kupić nową truciznę? Fabiola uśmiechnęła się ponuro do tej myśli. Wydawało się, że po trzech nieudanych próbach zabójstwa bogowie rzeczywiście mają na nią oko. Mogła się tylko modlić, aby tak samo przychylnie patrzyli na Romulusa.

Godziny przed zachodem słońca na ogół były spokojne. Fabiola klęczała w samotności przed ołtarzem Jowisza, modląc się o to, aby nic tego spokoju dziś nie zmąciło. Musiała mieć szansę opuszczenia Lupanaru niezauważona. To była najbardziej ryzykowna część jej planu. Jej alibi zależało od tego, czy wszyscy uwierzą, że spędza czas w swoim pokoju, zwijając się z bólu.

Bogowie nadal obdarzali ją swoimi łaskami.

W całym Lupanarze panował spokój, wszystkie prostytutki odpoczywały lub spały w izbach. Po południu nie pojawił się żaden klient i Jowina też poszła do swojego pokoju, pozwalając sobie na rzadką przyjemność – krótką drzemkę. Żadna ze znuzonych kobiet w przedpokoju obok recepcji nie zwracała uwagi na Pompeję, która wyszła na dwór w towarzystwie Wettiusza. Kilka chwil później, niezauważona przez nikogo, wymknęła się też Fabiola, która skrywała twarz pod kapturem długiego płaszcza. Benignusz pozostał przy wejściu, nerwowo obracając w rękach swoją pałkę. Obaj ochroniarze chcieli pomóc Fabioli w zrealizowaniu jej planu, ale jeden z nich musiał zostać w Lupanarze. Wettiusz obcesowo odmówił. Gdy zobaczył na własne oczy dowód niecznych działań rudowłosej prostytutki, bardzo się rozłościł i wręcz upierał się, że to właśnie on powinien towarzyszyć Pompei.

Fabiola nie miała żadnych problemów ze śledzeniem ich z daleka, pozostając przy tym niezauważona.

Wettiusz wiedział, gdzie będzie na nich czekać.

Pompeja rozpamiętywała jeszcze szczegóły przepowiedni wróżbity. Nie zdążyła zaprotestować, gdy znalazła się w bocznej alejce, dziesięć kroków od wąskiej ulicy, która prowadziła z powrotem do burdelu. Wettiusz był dwa razy większy od niej i dobrze wiedział, jak radzić sobie z narzucającymi się bogatymi klientami Lupanaru, nie czyniąc im jednak żadnej krzywdy.

Nagle zorientowała się, że hałasy ulicy cichną i nie słyszy już skrzypienia wozów ciągniętych przez woły ani sprzedawców reklamujących swoje produkty. Ściemniało się i w półmroku, pogłębionym przez cienie uliczki, trudno jej było wyczytać coś z twarzy Wettiusza. Pod stopami chrzęściły kawałki pobitej ceramiki, a ścieżkę pokrywały zgniłe warzywa, wymieszane z ludzkimi odchodami, brudną słomą i popiołem z piecyków, które utrzymywały ciepło w pobliskich *insulae*. Jakiś sparszywiały pies, który szukał w tej samej uliczce resztek pożywienia, szczechnął raz, po czym uciekł zaskoczony intruzami.

Myśląc, że Wettiusz ma na nią ochotę, Pompeja odezwała się, udając onieśmienie.

– Do tej pory nie wiedziałam, że jesteś tym zainteresowany, wielkoludzie – posłała mu wyćwiczony uśmiech. – To nie jest najlepsze miejsce. Przyjdź do mojego pokoju jutro rano po pracy. Nie pożałujesz.

Wettiusz nie odpowiedział. Z nieodgadniętym wyrazem twarzy popychał rudowłosą prostytutkę dalej w głąb alejki. Dobrze wiedział, jak zachowywać się w ciasnych zaułkach, w których nieraz przyszło mu już toczyć walki. Schowany w pochwie gladius wisiał na pasku przerzuconym przez prawe ramię.

– Nie możesz się doczekać? Typowy mężczyzna – Pompeja już nie protestowała, lecz zatrzymała się i zaczęła zdejmować ubranie. – Chodź tutaj, tu jest trochę czystiej.

Coś nagle wylądowało pod jej nogami.

Nawet w słabym świetle zaułka Pompeja rozpoznała głowę węża. Krzyknęła i odskoczyła, szeroko otwierając usta ze zdumienia.

Jeden rzut oka na twarz swojej byłej przyjaciółki wystarczył Fabioli, żeby dowiedziała się wszystkiego, co chciała wiedzieć. Wyszła z cienia, wymierzając w nią groźnie czubek sztyletu Wettiusza.

Twarz Pompei przybrała barwę popiołu. Tu nie wystarczy sprawienie przyjemności strażnikowi Lupanaru. Cofnęła się i zachwiała z powodu zalegających na ziemi śmieci i odłamków ceramiki.

– Proszę... Nie krzywdź mnie.

– Dlaczego nie? – zdziwiła się Fabiola. – Próbowалаś mnie zabić. Trzy razy. A ja ci nic nie zrobiłam.

W kącikach oczu Pompei pojawiły się wielkie łzy żalu.

– Zabierasz wszystkich najlepszych klientów – wymamrotała.

– Przecież tyłu ich jest! A ja robię to dla mojego brata.

– On już dawno nie żyje – odpowiedziała wściekła Pompeja. – Augur się zarzekał.

Mimo świadomości swojej trudnej sytuacji Pompeja wciąż nie potrafiła zrezygnować z jadawitych docinków.

Fabiola zdawała sobie sprawę, że Pompeja może mówić prawdę, a mimo to ogarnęła ją wściekłość. Niewiele myśląc, wyciągnęła dłoń ze sztyltem i przycisnęła ostrze do gardła swojej ofiary. Poczowała się lepiej, widząc przerażenie w jej oczach. Jednak nadal niezbyt podobała się jej myśl o zamordowaniu kobiety z zimną krwią. Odetchnęła głęboko, uspokajając szybko bijące serce. Musi być jakieś inne rozwiązanie.

Pompeja zwietrzyła swoją szansę.

– Zabij mnie, a będziesz stracona – splunęła. – Wiesz, jaka jest Jowina.

Nie zdawała sobie sprawy, że właśnie wydała na siebie wyrok śmierci.

Wszyscy znali historię prostytutki, która kiedyś próbowała uśmiercić właścicielkę Lupanaru. Najpierw torturowano ją rozpalonym żelazem, a następnie oślepieno. Ostatecznie nieszczęsna skończyła na krzyżu na Campus Martius, a niewolnicy i dziewczyny pracujące w Lupanarze musieli na to patrzeć. Ta historia, powtarzana z ust do ust, sprawiała, że nikt nie ośmielił się zrobić czegoś, co spotkałoby się z krytyką Jowiny. Prawie nikt.

Fabiola wiedziała już, że nie ma odwrotu. Pompeja była owładnięta nienawiścią i nie mogła jej już zaufać. Ułożony wcześniej plan trzeba będzie zrealizować do końca. Dziewczyna spojrzała na ziemię, na rozgniecioną głowę węża. Ten widok sprawił, że odrzuciła wszelkie skrupuły. Pompeja nie miałaby dla niej litości.

– Głupia koza... – Fabiola odezwała się. – Jowina myśli, że leżę w łóżku z powodu rozstroju żołądka. – Pompeja otworzyła usta i po chwili je zamknęła. – A Wettiusz starał się, jak mógł, żeby obronić cię przed bandytami z *collegia*, ale co

mógł zrobić jeden przeciwko ośmiu?

Pełne przerażenia oczy rudowłosej prostytutki spoczęły na Wettiuszu.

Ten wyciągnął swój gladius i wzruszył wymownie ramionami, po czym pociągnął ostrzem po lewym przedramieniu. Krew pociekła strumyczkiem, ale wielki mężczyzna nawet się nie skrzywił.

– Pani będzie musiała uwierzyć, że zostałem zaatakowany – powiedział łagodnie.  
– Muszę dorobić się też kilku siniaków w drodze powrotnej do Lupanaru, żeby wszystko wyglądało przekonująco.

Gdy Pompeja zdała sobie sprawę, że jej los został przesądzony, zaczęła krzyczeć. Na próżno. Nie było szans, żeby ktokolwiek przyszedł jej z pomocą. Niewielu obywateli tego miasta miało tyle odwagi, aby ingerować w spory uliczne, nie mówiąc już o szukaniu kłopotów w takiej wąskiej, ciemnej alejce. Zrobiła niepewnie kilka kroków do przodu, a potem do tyłu.

Nie było ucieczki.

Wettiusz blokował jedną stronę alejki, Fabiola pilnowała drugiej. Oboje mieli zdecydowane spojrzenia.

Rudowłosa prostytutka otworzyła usta, chcąc znowu wezwać pomocy. To była ostatnia rzecz, jaką zrobiła w swoim życiu.

Fabiola wystrzeliła do przodu ze sztyletem w dłoń i otworzyła gardło Pompei. Cofnęła się szybko, żeby nie zostać ochlapana krwią, która biła mocnym strumieniem z żył jej byłej przyjaciółki. Pompeja osunęła się cicho na ziemię z wyrazem zaskoczenia na twarzy, po czym przekreśliła się na brzuch. Wokół niej zaczęła formować się wielka kałuża krwi.

– Mój brat żyje – powiedziała Fabiola z przekonaniem i nadzieją i splunęła na trupa. *Tak właśnie Romulus musiał czuć się na arenie* – pomyślała. *Zabij albo daj się zabić.* To było aż takie proste.

Wettiusz obserwował Fabiolę z podziwem. Zawsze wiedział, że jest mądra i piękna, ale teraz u jego stóp leżał dowód tego, że jest również bezwzględna. Nie była tylko głupiutką, bezradną kobietą, która potrzebowała jego ochrony. Oto stał przed nim ktoś, za kim mógłby pójść w ogień. Głos Fabioli przywołał go do rzeczywistości.

– Pozwól mi opatrzyć ranę, zanim stracisz za dużo krwi – wyciągnęła zza pazuchy jakiś kawałek materiału i ciasno obwiązała ramię Wettiusza.

Gdy dziewczyna pochyliła się nad nim i pocałowała go w policzek, Wettiusz uśmiechnął się do niej w odpowiedzi. Teraz łączyła ich tajemnica.

– Poczekaj tu chwilę. Potrzebuję czasu, żeby wrócić niezauważona – Wettiusz skinął głową. – Gdy znajdziesz się w Lupanarze, rób wiele hałasu – mówiła. – Muszę udawać, że ledwo zwlokłam się z łóżka, żeby dowiedzieć się, co stało się tobie i biednej Pompei.

– Dobrze, pani.

Dopiero po jakimś czasie Fabiola zdała sobie sprawę, jakimi słowami zwrócił się do niej Wettiusz.

Teraz był raczej jej niewolnikiem niż Jowiny.

Jowina nie miała wiele do powiedzenia, gdy Wettiusz pojawił się w Lupanarze cały we krwi. Jego historia była bardzo przekonująca i właścicielka przybytku, która nie chciała więcej kłopotów, natychmiast zakazała wszystkim prostytutkom opuszczania budynku aż do odwołania.

Satysfakcja związana z myślą o pozbawieniu życia Pompei i usunięciu obaw o swoje życie nie trwała długo. Fabiola mocno przejęła się tym, że rudowłosa prostytutka twierdziła, iż Romulus nie żyje, choć na początku udawała sama przed sobą, że w to nie wierzy. Martwiła się. Dzień i noc. Coraz bardziej żarliwie modliła się do Jowisza. Jak dotąd wieści ze wschodu były raczej pomyślne: w mieście mówiło się o drobnych potyczkach i bogatych okupach, dostarczanych przez zdobyte przez Krassusa miasta. Fabiola próbowała zapomnieć o swoich obawach. Bez wielkiej bitwy prawdopodobieństwo, że akurat Romulus zginie od ciosów wroga, było raczej znikome. Jednak wszyscy wiedzieli, że Krassus nie spocznie na laurach, gdyż marzy o sukcesie na polu bitwy.

I wszyscy wiedzieli, że jego celem jest Partia.

Fabiola, gdy wyobrażała sobie, na jakie niebezpieczeństwa narażony będzie jej brat, czuła, że robi jej się niedobrze.

Sytuacja uległa zmianie, gdy do Rzymu dotarła wiadomość o wielkiej klęsce pod Carrhae. Longinus szczęśliwie uratował Legion VIII, wyprowadzając go bezpiecznie z piekła pustyni i stając nad Eufratem. Jako że był legatem, relację, którą przekazywał, można było uznać za wiarygodną. Publiusz nie żył, dwadzieścia tysięcy żołnierzy poległo, a dziesięć tysięcy trafiło do niewoli. Utracono siedem orłów legionowych. Co więcej, symbolem tego, jak bolesna była dla Rzymu ta klęska, było to, że Krassus znajdował się w niewoli w Seleucji. Triumwirat został ograniczony do dwóch członków.

Chociaż akurat ta informacja niezawodnie ucieszyła Pompejusza i Cezara, dla

Fabioli okazała się druzgocącym ciosem. Romulus pewnie już nie żył. A nawet jeśli przeżył reż pod Carrhae, zapewne już nigdy go nie zobaczy. Zawsze, odkąd pojawiła się w Lupanarze, potrafiła skrywać swoje prawdziwe uczucia, ale świadomość utraty brata sprawiła, że coś w niej w końcu pękło.

Jeszcze kilka tygodni po rozprawie z Pompeją udawało się jej ukrywać emocje – nawet przed Brutusem. Śmiała się głośno i rozdawała uśmiechy swoim klientom, tak jak czyniła to dotychczas, jednak skrywany głęboko w jej wnętrzu smutek wydawał się nie znać granic. Zamiast słabnąć, wraz z upływem czasu coraz bardziej się rozprzestrzeniał. Fabiola czuła, jakby cień opanowujący jej serce każdego dnia pochłaniał ją coraz bardziej. Ich matka od dawna już nie żyła. Stała się kolejną bezimienną ofiarą kopalni soli. A teraz dołączył do niej Romulus. Fabiola trzymała się z coraz większym trudem. Jej cała inteligencja i mądrość przestały być ważne, bo dziewczyna traciła chęć do życia.

*Po co mam żyć? Jestem niczym. Nikim. prostytutką.* Z goryczą stwierdziła, że jej sytuacja się nie zmieniła. Niezmiennie dalej jest tylko niewolnicą bez rodziny. Jeśli nie liczyć człowieka, który ich spłodził. I choć zemsta na gwałciicielu wciąż wydawała się słodka, wiedziała, że to zadanie może okazać się niewykonalne. Na razie miała tylko podejrzenia i nie udało się jej zbliżyć na krok do Cezara. Widziała tylko jego podobizny, takie jak posąg w domu Maksymusa. Uczepiwszy się tej iskierki nadziei i pragnienia zemsty, pracowała w odrętwieniu, podczas gdy umysł podsuwał jej straszne obrazy związane z Romulusem. Myślała o tym, jak Gemellus siłą zaciągnął go do *ludus*. Jak niewiele dzieliło ich od spotkania w tamtą noc, gdy pod murami Lupanaru doszło do bójki. Myślała też o tym, że mogła odnaleźć go szybciej, gdyby wcześniej zdecydowała się przyjmować Memora. Poczucie winy przygniatało Fabiolę od świtu do zmierzchu.

Gdy w Lupanarze pojawiła się nowa dziewczyna z Judei, Fabiola zdobyła nieco więcej informacji na temat krainy, w której zginął Romulus. Rozmowy z nią miały się stać dla Fabioli sposobem pogodzenia się z losem i pożegnaniem smutku. Jednak to, co usłyszała, przerażało ją: żar lejący się z nieba, brak wody, wojownicy pustyni z zabójczymi łukami. Wyobrażenia Fabioli została zalana powodzią strasznych obrazów, a każdy kolejny był bardziej makabryczny od poprzedniego. Miała trudności z zasypianiem i często budziły ją koszmary. Wkrótce zaczęła brać mandragorę, która ułatwiała zasypianie.

Mimo że ranek już dawno zamienił się w przedpołudnie, Fabiola nie wychodziła

z łóżka. Nie miała siły, żeby zmierzyć się ze światem. Jej depresja trwała już dwa miesiące. Mimo że Jowina zaproponowała jej kiedyś lepszy pokój, Fabiola nie chciała zmieniać swojej małej izby, którą dostała podczas pierwszego dnia pobytu w Lupanarze. W jego zaciszu czuła się trochę lepiej. Ulubione ubrania wisiały na żelaznych hakach wbitych w ściany, na niskim stoliku przy łóżku zgromadziła butelki i buteleczki ze środkami do makijażu i z pachnidłami. Jeden z rogów izby zajmował mały ołtarz z posągami Jowisza, otoczonym dziesiątkami świec wotywnych. Fabiola spędziła w tym rogu wiele godzin, modląc się na kolanach za członków rodziny. Próbowwała też przebłagać bogów hojnymi datkami w ogromnej świątyni na Kapitolu.

Wszystkie jej wysiłki poszły na marne.

Romulus i jej matka odeszli.

Fabiola była przekonana, że przed wieczorem nie wybiera się do niej żaden ze stałych klientów. Całe szczęście, bo niewiele spała, a gdy już udało się jej wreszcie odpłynąć w sen, budził ją koszmar, w którym jakiś dziki wojownik rozplątał Romulusa mieczem. Ten obraz prześladował ją jeszcze długo, gdy tylko zamykała oczy.

– Romulus...

Pochyliła głowę i pozwoliła, żeby w kąciku oka zebrała się łza. Po niej pojawiły się kolejne. I jeszcze następne. A potem tama pękła. Smutek w końcu ją pokonał i Fabiola zaczęła zanosić się płaczem, uwalniając ból, który zgromadził się głęboko w jej duszy. Nie płakała od pierwszego dnia pobytu w Lupanarze. A teraz nie mogła przestać.

Oplakiwała matkę. Romulusa. Płakała z powodu utraconej niewinności. Płakała nawet, wspominając Jubę, który zawsze był dla niej dobry.

Delikatne pukanie ją zaskoczyło.

– Fabiola? – głos zza drzwi należał do Docilosy.

Fabiola przełknęła ślinę i skrajem koca osuszyła policzki.

– Tak?

– Przybył Brutus. Chce cię zobaczyć.

Jej ukochany miał odwiedzić ją dopiero za dwa dni. Jak miała teraz udawać szczęśliwą?

– Teraz?

Docilosa otworzyła drzwi i zajrzała do komnaty. Wystarczyło jej jedno

spojrzenie. Weszła cicho do środka.

W ciągu ostatnich czterech lat starsza kobieta wiele razy udowadniała, że można na nią liczyć. Załatwiała sprawunki, robiła zakupy i przekazywała ważne informacje na temat Jowiny. Fabiola mogła ufać jej bardziej niż jakiegokolwiek innej prostytutce. Na żadnej dziewczynie nie można było całkowicie polegać, bo każda z nich brała udział w wyścigu, w którym o pozycji decydowała popularność. Nie. Nie po tym, co stało się z Pompeją.

– O co chodzi? – Docilosa usiadła na łóżku i objęła dłonią rękę Fabioli.

Dziewczyna nie potrafiła powstrzymać łkania.

– Powiedz mi – zażądała Docilosa głosem stanowczym, ale i pełnym współczucia.

Wszystko się z niej wylało. Fabiola opowiedziała Docilosie o wszystkim. O gwałcie na Welwinnie i nocnych wizytach Gemellusa. O tym, że Romulus ćwiczył walkę na miecze z Jubą, co było powodem sprzedania go do *ludus*. Opowiadała o tym, co czuła, gdy znalazła się w Lupanarze.

Docilosa słuchała, nie mówiąc ani słowa. Gdy dziewczyna skończyła swoją opowieść, pochyliła się i delikatnie pocałowała Fabiolę w czoło. Ten gest miał dla spłakanej dziewczyny wielkie znaczenie.

– Moje biedne dziecko. Tak wiele przeszłaś... – Docilosa westchnęła, a jej oczy były ciemne od smutku. – Życie może być bardzo trudne. Ale mimo wszystko warto żyć.

– Po co? – spytała Fabiola głucho.

Docilosa objęła ją ramieniem.

– Choćby dla tego przystojnego arystokraty! Brutus zrobi dla ciebie wszystko – pogładziła lśniące włosy Fabioli. – Wiesz, że zrobi...

Fabiola wiedziała, że Docilosa ma rację. Brutus był naprawdę miłym, przyzwoitym mężczyzną, a ona go lubiła. Rezygnacja z największej szansy wydostania się z Lupanaru byłaby bardzo głupia.

– Wytrzymaj łyż i się ubierz – powiedziała Docilosa. – Nie możesz pozwolić, żeby czekał za długo.

Fabiola poczuła się lepiej i w podzięcie skinęła głową, wstając z łóżka, żeby zrobić ze sobą porządek. Szczera rozmowa z kimś, komu mogła zaufać, sprawiła, że czuła się, jakby kamień spadł jej z serca. Docilosa pomogła jej wybrać dłuższą, jedwabną szatę, nałożyć nieco ochry i skropić się perfumami. Na szczęście jej ładna cera nie wymagała wspomagania pastą ołowiową.



– Dziękuję – powiedziała ciepło.

Docilosa skinęła głową.

– Przypominasz mi moją córkę. Musi być teraz podobna do ciebie.

Fabiola poczuła ukłucie poczucia winy. Nigdy o nią nie pytała.

– Co się z nią stało?

– Sabina została mi zabrana, gdy miała sześć lat – odpowiedziała Docilosa bez emocji. – Sprzedano ją do jednej ze świątyń, gdzie została akolitką.

– Czy widziałaś ją później?

Docilosa pokręciła głową przecząco. Oczy jej się zeszkliły.

Fabiola wyciągnęła rękę i przytuliła się do starszej kobiety.

– Niech bogowie cię błogosławią – wyszeptała.

Docilosa uśmiechnęła się i szybko odzyskała panowanie nad sobą.

– Idź już – powiedziała rażno. – Jest tam, gdzie zwykle.

Fabiola zniknęła w korytarzu.

Jej ukochany czekał w sypialni, w której spali ze sobą po raz pierwszy. Brutus nie chciał korzystać z żadnego innego pokoju, a Jowina nie miała nic przeciwko temu przywilejowi. Klienci tak bogaci i tak wierni, jak oficer sztabowy Cezara, pojawiali się w tym miejscu dość rzadko.

– Co za niespodzianka! – Fabiola wkroczyła do pokoju, upewniwszy się wcześniej, że jej dekolt jest dobrze wyeksponowany.

W powietrzu czuć było mocny zapach kadzideł. Zapalone były tylko dwie lampy oliwne. Na łóżku Docilosa rozsypała płatki róży. Świetnie się spisała, przygotowując pokój tak szybko.

Brutus wstał, co trochę zaskoczyło Fabiolę. Zazwyczaj od razu ładowali w łóżku. Tego dnia wydawał się jednak niezwykle poważny.

– Wszystko w porządku? – zapytała nieco zaniepokojona. – Nie powinnam kazać ci tyle czekać, ale musiałam się przygotować, bo dziś się ciebie nie spodziewałam.

Brutus uśmiechnął się, gdy go pocałowała.

– Nie o to chodzi.

– Tylko o co? – spytała niepewnie Fabiola, mrugając szybko powiekami. Miała nadzieję, że mężczyzna nie zauważy jej zaczerwienionych oczu.

– Rozmawiałem z Jowiną.

Dziewczyna zdrętwiała i przyglądała mu się z uwagą. Zazwyczaj konwersacje starej wiedźmy z Brutusem ograniczały się do niezbędnego minimum. Oficer

podzielał opinię Fabioli na temat Jowiny.

– O czym?

Nie potrafił się już dłużej powstrzymać. Wyciągnął w jej kierunku prawą rękę, którą do tej pory chował za plecami.

Fabiola spojrzała na zwinięty w rulon pergamin. Krew odpłynęła z jej policzków.

– Czy to jest...?

Skinął głową w odpowiedzi.

– Twoje *manumissio*.

Serce waliło jej jak młotem. Chwyliła pergamin w dłonie. Ze wszystkich rzeczy, jakich dziś mogła się spodziewać, dokument, dzięki któremu stawała się wolnym człowiekiem, był chyba ostatnią. Rozpierała ją radość! A przecież jeszcze przed chwilą czuła, że nigdy nie wydobędzie się z ciemnej otchłani i zostanie w Lupanarze na zawsze. Mimo całej swej wspaniałości i luksusów wciąż był tylko burdel pełen drogich dziwek. *Może Docilosa coś wiedziała?* Życie naprawdę bywa zaskakujące.

Fabiola wzięła głęboki oddech i spojrzała na Brutusa.

– Ale dlaczego teraz?

Brutus wydawał się zakłopotany.

– Faktycznie powinienem zrobić to już dawno – mruknął – ale wciąż byłem czymś zajęty. Wiesz, jak to jest. Układ sił pomiędzy Pompejuszem i Cezarem zmienia się codziennie.

Fabiola położyła dłoń na jego ramieniu i uśmiechnęła się promiennie. To był ten uśmiech, który tak uwielbiał Brutus.

– Co się zmieniło, moja miłości?

– Sytuacja w mieście pogarsza się z dnia na dzień – skrzywił się. – Klodiusz zerwał się ze smyczy Cezara już dawno temu, a Milon nie zwykł nikogo nazywać swoim panem. Ich gangi już prawie całkowicie kontrolują miasto. Wybory zostały przełożone, bo urzędnicy, którzy mają znaleźć się w komisjach, boją się o swoje życie. Rzym staje się zbyt niebezpieczny.

Fabiola skinęła głową. Od czasu, gdy do Rzymu dotarły wieści o klęsce Krassusa i jego niewoli, akty przemocy zaczęły się nasilać. Coraz częściej słyszało się o morderstwach. Codziennie dochodziło do zamieszek. Płonęły budynki publiczne. Gdy o władzę w Rzymie walczyli tacy politycy, jak Klodiusz Pulcher i Titus Milon przyszłość Rzymu rysowała się w ciemnych barwach. Ponieważ Cezar na dobre utknął w Galii, Pompejusz próbował zachować neutralność, czekając, aż senat zacznie

go błagać o pomoc.

– Chcę, żebyś znalazła się w jakimś bezpiecznym miejscu – powiedział Brutus. – Zanim w mieście się nie uspokoi. Wydało mi się, że to dobra chwila, aby kupić twoją wolność.

Serce Fabioli skakało z radości.

– Niech bogowie wiecznie cię błogosławią! – wykrzyknęła i znów go pocałowała.

Zachwycony jej reakcją Brutus natychmiast zaczął opowiadać o swojej nowej willi w Pompejach i ulepszeniach, które zamierzał tam wprowadzić. Fabiola słuchała go przez dłuższy czas, ale wkrótce jej poczucie winy dało o sobie znać ze zdwojoną siłą. Wolna! Zaledwie od kilku uderzeń serca. A już zapomniała o Romulusie? Łzy znów napłynęły jej do oczu i musiała odwrócić twarz.

Brutus przerwał w połowie zdania.

– Fabiola?

– To nic. Ja... – próbowała znaleźć jakąś wymówkę, ale podbródek drżał już jej niebezpiecznie.

Brutus pogładził jej twarz.

– Musisz mi powiedzieć, co się dzieje. Mogę ci pomóc.

Fabiola uwielbiała jego troskę.

– Chodzi o mojego brata bliźniaka – wyjaśniła ze smutkiem.

– Masz brata? Jest niewolnikiem? – Brutus się roześmiał. – No to uwolnię i jego!

– Nie możesz.

Brutus uśmiechnął się łagodnie.

– Nie będzie kosztował więcej niż ty...

Chciała o to zapytać, ale Brutus położył palec na jej ustach.

– Jowina potrafi się targować – powiedział tylko tyle. – Opowiedz mi o swoim bracie.

– Romulus zaciągnął się do armii Krassusa.

Brutus wyglądał na zmieszanego.

Bez ujawniania swoich źródeł Fabiola opowiedziała, czego dowiedziała się od Memora i Wettiusza o ucieczce Romulusa z *ludus* i jego prawdopodobnym udziale w inwazji na Królestwo Partów.

Brutus wiele razy brał udział w walkach w Galii i dobrze wiedział, jak ciężkie jest życie zwykłego legionisty. Słyszał o tym, co stało się pod Carrhae, i wiedział, że prawdopodobieństwo tego, iż Romulus wyszedł z tej bitwy cało, jest bardzo małe.

Zastanawiał się długo, co mógłby powiedzieć pocieszającego. Poklepał Fabiolę niezręcznie po ramieniu.

Przez jakiś czas żadne z nich się nie odzywało. Nagle jednak twarz Brutusa się rozjaśniła.

– Może trafił do niewoli – powiedział z udawaną pewnością siebie. – Po kilku miesiącach sytuacja się unormuje i zobaczymy, czy będę mógł wysłać kogoś na wschód. Być może nawet uda się go wykupić.

Choć Fabiola zdawała sobie sprawę, że Brutus robi dobrą minę do złej gry, poczuła, jak kusząca jest wiara w jego uspokajające słowa. Musiała mieć coś, czego mogła się trzymać. Poza zemstą. Pozwoliła sobie na to z pełną świadomością. Jej myśli pobiegły do dziesięciu tysięcy żołnierzy uwięzionych przez Partów. Tylko bogowie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Zamknęła oczy, modląc się w duchu z taką intensywnością, jak nigdy przedtem.

Jowiszu, spraw, żeby mojemu bratu nic się nie stało.

Gdy opadła już początkowa euforia z powodu uzyskania wolności, Fabiola poprosiła Brutusa o inną przysługę. Był zachwycony, że mógł coś dla niej zrobić, a koszt kuchennego niewolnika był dla niego naprawdę niewielkim wydatkiem. Dzięki towarzyszeniu Cezarowi w Galii Brutus zdobył wielką fortunę. Po uwolnieniu Docilosy Fabiola mogła zabrać do willi kochanka powierniczkę swoich sekretów. Nie chciała być sama, gdy Brutus będzie załatwiał swoje sprawy w Rzymie. Dziewczyna poprosiła też Brutusa, żeby wykupił dwóch ochroniarzy z Lupanaru, ale Jowina odmówiła, nie wdając się w żadne dyskusje. Wettiusz i Benignusz byli dla niej o wiele cenniejsi niż Docilosa.

Fabiola dzień, w którym opuściła Lupanar, będzie wspominać i pielęgnować w swojej pamięci przez resztę swojego życia. Jowina wzdychała i frasowała się, nieszczęśliwa, że jej najlepsza pracownica odchodzi. Inne prostytutki to śmiały się, to płakały na zmianę. Claudia zmarkotniała i dąsała się, zazdroszcząc szczęścia swojej przyjaciółce. Czarnowłosej piękności ze szczególnym trudem przyszło pożegnanie się z Benignuszem i Wettiuszem, którzy bardzo zmartwili się na wieść o jej odejściu.

– Nie zapomnij o nas – wymruczał Wettiusz, zwiesiwszy głowę. Nie zapomni. Ludzi tak lojalnych, jak te wielkoludy, ze świecą szukać.

Dzień później kochankowie znajdowali się już w drodze do Ostii, miejscowości pełniącej funkcję portu dla Rzymu. Przy jednym z pomostów przycumowała liburna Brutusa, nosząca wdzięczne imię „Ajax”. Niższa i mniejsza niż trirema, wyróżniała

się dwoma rzędami wiosła. Była dla Brutusa źródłem dumy i radości. Kapitan okrętu starał się trzymać blisko brzegu, aby nie pozwolić sztormowej pogodzie zepchnąć jednostkę na pełne morze. Stu wyzwoleńców pracowało przy wiosłach, poruszając nimi synchronicznie, zgodnie z rytmem wybijanym na wielkim bębnie. Zmierzali do Pompei, miasteczka nad popularną Zatoką Neapolitańską. Podróż na południe miała trwać około sześciu dni.

Fabiola stwierdziła, że nie lubi kołysania statku. Mimo że była chroniona przed deszczem i wiatrem przez gruby tkaninowy baldachim i spędzała czas w prawdziwie luksusowych warunkach przy ciepłym koszu z palącym się drewnem, uderzenia wody o kadłub ciągle przypominały jej o kruchości życia. Jednak Brutus był w swoim żywiole i przez całą podróż opowiadał jej o swoich doświadczeniach z kampanii w Galii.

Fabiolę naprawdę zaintrygowały te opowieści. Jeśli prawdą miałyby okazać się choćby połowa z tego, co jej o Cezarze opowiedział Brutus, był on naprawdę wielkim liderem i wspaniałym taktykiem. Pompejusz będzie musiał się nieźle napracować, żeby wygrać wyścig o władzę. Do szóstego dnia podróży Brutus nie zająknął się nawet słowem na temat buntu Wenetów, do którego doszło trzy lata wcześniej i który został stłumiony właśnie dzięki jego inteligencji i umiejętnościom dowódczym. Gdy dziewczyna delikatnie mu to wypomniała, Brutus nawet oblał się rumieńcem! Jego skromność i bezpretensjonalność były tymi cechami, które Fabiola lubiła najbardziej.

– Wenetowie poddali się Rzymowi dwanaście miesięcy wcześniej. Jednak podczas długiej zimy druidzi plemienia przekonali wodzów, żeby uwięzili grupę naszych oficerów, którzy znaleźli się na tych terenach w celu rekwizycji dostaw. Tym psom wydawało się, że dostaną z nich ogromny okup. Wycofali się do swoich twierdz, które zostały zbudowane na wyspach w obszarze ujścia rzek. Nie można się było do nich dostać po ziemi, chyba że tylko w czasie odpływu.

Fabiola nigdy wcześniej nie słyszała całej historii starcia z Wenetami. Pokiwała głową zachęcająco.

Gdy Brutus już zaczął mówić, Fabiola nie musiała się mocno starać, aby zachęcić go do opowiedzenia całej historii ze szczegółami.

– Gdy przyszła wiosna, zbudowaliśmy flotyllę trirem na rzece Liger i skierowaliśmy się wzdłuż wybrzeża. Naprawdę udało nam się zaskoczyć tych drani!

Fabiola przez chwilę poczuła się niepewnie, gdy „Ajax” zawisł na grzbiecie fali, po czym zjechał w dół, w kolejną morską dolinę.

– Daleko jeszcze? – zapytała niecierpliwie.

Brutus natychmiast zawołał kapitana, twardego, starszego już Greka, który chodził po pokładzie boso i spędzał czas głównie przy sterze, wrzeszcząc często na niewolników. Brutus słuchał uważnie odpowiedzi.

– Już niedługo. Jakiś czas temu minęliśmy Misenum i wpłynęliśmy na wody zatoki.

Fabiola uśmiechnęła się.

– Czy Wenetowie nie mieli przypadkiem pełnomorskich okrętów?

– To prawda! Pływali na dużych jednostkach, o dużym zanurzeniu i z ogromnymi żaglami, które były o wiele lepsze niż nasze triremy – potwierdził Brutus, uśmiechając się triumfalnie. – Ale Mars pobłogosławił nas bezwietrzną pogodą i któregoś popołudnia powiosłowaliśmy w stronę ich portu, osaczając okręty przy pomostach i pobliskich skałach klifów. Żeby mieć pewność, że nam nie uciekną, kazałem przygotować kilkadziesiąt kos przywiązanych do długich tyczek, dzięki którym nasi marynarze pocięli ich olinowanie na kawałki.

Fabiola wciągnęła głośno powietrze, okazując podziw i szacunek dla wiedzy Brutusa.

– Oddziały abordażowe wylały się na pomosty i błyskawicznie zdobyliśmy fortecę. Udało się nam również uwolnić oficerów – Brutus westchnął. – Cezar chciał, żeby stłumienie buntu Wenetów stało się odstrasającym przykładem dla innych plemion. Zabiliśmy wszystkich ich przywódców, a reszta plemienia została sprzedana w niewolę.

Fabiola poprawiła perłowo-złotą broszkę, którą spinała włosy, i próbowała nie myśleć o tym, co stało się z Wenetami. Jednak nie mogła uciec od obrazów podsuwanych jej przez wyobraźnię: krzyki rannych i umierających wojowników na okrętach, morze czerwone od krwi i mnóstwo kołyszących się na wodzie zwłok. Kryte słomą dachy domów w ogniu, cierpienia bitych kobiet i dzieci, ludzi pętanych linami. Nowi niewolnicy, dzięki którym Rzym stawał się jeszcze bogatszy. Trudno usprawiedliwić to, czego dopuszczał się Cezar w imieniu Republiki. Życie jest ważniejsze niż wojna i niewola.

Wyczuwając jej niepokój, Brutus wziął ją za rękę.

– Wojna jest brutalna, kochanie. Gdy jednak Cezar w końcu przejmie władzę, nie będzie już musiał podbijać innych krain. W Republice wreszcie zapanuje spokój.

*Twój generał dziesiątkował plemiona i plądrował obce krainy, żeby spłacić swoje długi u Krassusa i stać się człowiekiem bogatym – pomyślała z goryczą Fabiola. Z pewnością był zdolny do tego,*

*żeby przed osiemnastu laty zgwałcić niewolnicę samotnie przemierzającą ulice.*

*Muszę się z nim spotkać. Dowiedzieć się, czy to naprawdę on.*

– Kiedy w końcu przedstawiś mnie Cezarowi? – Fabiola zatrzepotała rękami. – Chcę zobaczyć człowieka, którego tak uwielbiasz.

Cezar miał zwyczaj spędzać zimę w Rawennie, dwieście mil na północ od Rzymu. Gdy Fabiola przyzwyczai się już do życia w willi, oficer sztabowy popłynie na swoim okręcie wzdłuż wybrzeża, aby skonsultować się ze swoim generałem.

– Mówił, że chciałby cię zobaczyć – powiedział Brutus, spoglądając na nią zadowolony. Jednak wyraz jego twarzy nagle się zmienił. – Ale to nie stanie się w najbliższym czasie. Ci przekłęci optymaci w senacie naciskają na Pompejusza, żeby zmusić go do powrotu do miasta. Chcą, żeby Cezar stanął przed sądem za przekroczenie uprawnień jako prokonsul w Galii.

– Katon i jego poplecznicy?

Na twarzy Brutusa pojawił się grymas gniewu.

Fabiola miała sporą wiedzę na temat młodego senatora, który z obrony Republiki przed osobami uważanymi przez siebie za pazernych oportunistów uczynił swoją życiową misję. Razem z kilkoma innymi politykami, którzy podzielali jego poglądy, stworzył ugrupowanie nazywane Optymatami. Cezar stał się ich wrogiem numer jeden. Jako były kwesor Katon potrafił przemawiać i żył w surowych warunkach, podobnie jak jego największy wróg. Często ubierał się w czarne szaty, ponieważ początkujący politycy nosili się na fioletowo. Raz odwiedził nawet Lupanar z przyjaciółmi. Odmówił jednak wszystkim przyjemności cielesnych, gdy Jowina zaproponowała mu towarzystwo kobiet, a potem chłopców, ograniczając się do relaksu w łaźni. Takie zachowanie było niepodobne do rzymskiego nobila, ale Fabiola, podsłuchująca w swojej kryjówce rozmowę mężczyzn, uznała, że jest godzien szacunku.

– I jego kompan, Domicjusz – skrzywił się. – Cezar jest powoli osaczany.

– Ale nie rzeknie się władzy nad swoimi legionami?

– A dlaczego miałyby to zrobić? – Brutus wykrzyknął. – Po tym wszystkim, co zrobił dla Rzymu?

Fabiola skinęła głową, przypominając sobie niedawno usłyszane plotki. Cezar zostanie potraktowany gorzej niż pies, jeśli wróci do miasta jako zwykły obywatel.

– Co się stanie, jeśli Pompejusz rozwiąże swoje legiony?

– Te przebiegłe skurwysyny nie poproszą go o to – Brutus uderzył pięścią w dłoń. – Stosują podwójne standardy.

Fabiola westchnęła. Dwóch potężnych nobili walczyło o władzę. Obaj mieli do swojej dyspozycji potężne armie, a osłabiony senat znajdował się między młotem i kowadłem. Naprawdę wyglądało na to, że Republikę nieodwołalnie czeka wojna domowa.

Wkrótce liburna dotarła do Pompei i zatrzymała się przy drewnianym pomoście. Wyczerpani wioślarze mogli wreszcie odpocząć. Wykonali swoją pracę. Podczas gdy kilku marynarzy złapało za bosaki, żeby utrzymać burty „Ajaksa” w miejscu, inni wdrapali się na molo z linami, cumując okręt bezpiecznie przy dużych kamiennych słupach. Brutus zamienił kilka słów z kapitanem, żeby mieć pewność, że jednostka będzie w każdej chwili gotowa do wypłynięcia z portu. Fabiola pozwoliła, żeby Brutus pomógł jej opuścić pokład, przytrzymując suknię jedną ręką. Docilosa zeszła na ląd za nią.

Znajdujący się w niewielkiej odległości na południe od miasta port był znacznie mniejszy niż ten w Ostii. Pomiędzy większymi triremami uwijały się statki rybaków, a mocno obciążone barki niemal całkowicie blokowały ujście rzeki Sarnus, wokół którego wzniesiono mury kurtynowe. Pompeje były ważnym, zatłoczonym portem handlowym. Za nimi do portu wpłynął prom pełen pasażerów, zatrzymujący się w Pompejach w drodze z Misenum do Surrentum na drugim końcu zatoki.

Nad miastem i portem górował Wezuwiusz. Fabiola długo wpatrywała się w potężny wulkan, obserwując szare chmury, w których chował się szczyt, lasy pokrywające jego stoki, farmy i puste pola poniżej. Widok był naprawdę imponujący.

– Mówią, że mieszka tam sam Wulkan – powiedział Brutus. – Ja w to nie wierzę – zaśmiał się. – Krater na szczycie robi przerażające wrażenie. Latem jest tam gorąco, a o tej porze roku pada śnieg. Nie widziałem żadnych śladów boga. Ale to nie powstrzymuje tutejszych mieszkańców przed próbami przebłagania go w czasie święta zwanego Wulkanaliami. W ciągu świątecznego tygodnia ludzie wrzucają do ognisk więcej ryb, niż jedzą w roku. Przesądni chłopci!

Dla jej kochanka liczył się tylko jeden bóg. Mars, bóg wojny.

Fabiola zadrżała i musiała lepiej owinąć się swoim wełnianym płaszczem. W zimnym powietrzu wyraźnie wyczuwało się smród gnijących ryb i ludzkich odchodów. Spojrzała w dół, ku ciemnym wodom zatoki i skrzywiła się na widok tego, co w nich pływało.

– Ścieki z miasta – wyjaśnił Brutus. – Nie martw się. W naszej willi jest czysto. Dom posiada dobrą kanalizację, a rury wychodzą pół mili dalej.



Na ich przybycie czekało już ośmiu niewolników i duża lektyka. Pozwolili, aby ciesząca się wolnością Docilosa przypilnowała rozładunku bagaży, podczas gdy sami wsiedli do lektyki, którą niewolnicy zanieśli do willi.

Ulice Pompejów wydawały się niemal całkowicie opustoszałe. Widzieli tylko nielicznych mieszkańców, którzy spieszyli do łaźni lub na rynek. Schylali się pod wpływem przenikliwego wiatru. Po ulicy dreptał stary augur, który przyciskał ręką czapkę, żeby uniemożliwić wiatrowi jej porwanie. Tuż przed nimi przebiegła grupka jakichś obdartych dzieciaków, które krzyczały z radości, bo udało im się ukraść bochenek chleba. Goniły ich gniewne okrzyki.

Forum miejskie robiło dobre wrażenie jak na tak niewielkie miasteczko, chociaż wyglądało na to, że właśnie jest przebudowywane. Ważnym budynkiem forum była niedokończona jeszcze świątynia Jowisza, obok której znajdowały się, zwykle lokowane w takim miejscu: teatr, biblioteka publiczna i inne sanktuaria. Posągi bogów umieszczone były też na frontonach wielu innych budynków. Większość otwartej przestrzeni zajmował brukowany rynek, gdzie swoje stoiska roztawili sprzedawcy. Kiepska pogoda i wiatr tłumili krzyki kramarzy.

Lektyka podskakiwała, kołysała się i trochę trwało, zanim znaleźli się na drodze prowadzącej do willi na północnych przedmieściach. Brutus zdawał się nie zauważać, że Fabiola jest zmęczona po morskiej podróży. Opowiadał z zaangażowaniem o miejscu, do którego się udają.

– Willa została wybudowana przez arystokratę, ale dom przejął jakiś bogaty kupiec ze trzydzieści lat temu, gdy nastały trudne czasy – Brutus mrugnął porozumiewawczo. – Znaleźli się po niewłaściwej stronie Sulli.

Fabiola roześmiała się nieco wymuszenie w reakcji na ten makabryczny żart. Za czasów rządów dyktatora zginęły tysiące ludzi.

– Augurzy twierdzą, że pech prześladuje złych ludzi. Ale może to dlatego, że kupiec mieszkał na Awentynie... – Brutus wrzucił ramionami. – W każdym razie musiał sprzedać willę dwie zimy temu, gdy nie było zbyt wielu zainteresowanych nabywaniem nieruchomości – uśmiechnął się. – Kupiłem ją za bezcen.

– Od kupca? – spytała Fabiola, pochylając się z nagłym zainteresowaniem. – Z Awentynu?

Brutus spojrział na nią zaskoczony.

– Tak. Stary, śmierdzący i tłusty. Dlaczego pytasz?

– Jak się nazywał?

Brutus przecesał dłonią krótkie, brązowe włosy, zastanawiając się nad

odpowiedzią.

Fabiola czekała cierpliwie, czując przyspieszone bicie serca.

– Gemellus? Tak, chyba nazywał się Gemellus.

Zwykle opanowana Fabiola aż jęknęła, usłyszawszy to imię. Myśl, że stała się nową panią willi należącej do jej byłego właściciela, wydała jej się rozkosznie wręcz słodka. O niczym lepszym nie mogłaby marzyć.

– Znasz go? – zapytał zciekawiony Brutus.

Wzięła go za rękę, którą mocno ścisnęła.

– To właśnie on sprzedał mnie do Lupanaru.

– Sukinsyn!

Nie spodziewała się takiego wybuchu Brutusa, który zwykle w każdych okolicznościach zachowywał spokój.

– Gdyby tego nie zrobił, nigdy bym cię nie poznała – powiedziała nieśmiało.

– To prawda – nieco spokojniejszy już wyjrzał z uśmiechem zza zasłony lektyki.

– Jeśli to będzie dla ciebie jakimś pocieszeniem, słyszałem, że teraz klepie biedę. Stracił fortunę, gdy na dno poszły okręty z dzikimi zwierzętami z Egiptu, które kupił z myślą o sprzedaniu na areny.

Fabiola poczuła delikatne ukłucie smutku. Przypomniała sobie, że kiedyś fantazjowała z Romulusem na temat tego, żeby zapolować na dzikie bestie z bestiariuszem. Wydawało się, że od tamtej chwili minęły wieki.

– Lichwiarze ścigali go od świtu do zmierzchu – dodał Brutus. – Musiał sprzedać swój dom na Awentynie.

W miejscu bólu pojawiło się poczucie ulgi. Gdy w końcu ujrzała wysoki mur otaczający jej nowy dom, była już pewna, że w jakiś niewytłumaczalny sposób, znany tylko bogom, Jowisz postanowił otoczyć ją opieką.

Sprawiedliwości stało się zadość. Gemellus był bezdomny i stał się jednym z tych żebraków, którzy spędzali czas na rzymskich ulicach, błagając przechodniów o jałmużnę. Jako że kupiec cenił sobie pieniądze bardziej niż cokolwiek innego, jego życie pewnie stało się dla niego koszmarem, losem o wiele gorszym, niż gdyby ktoś dźgnął go nożem między żebra w jakiejś wąskiej alejce. *To była odpowiednia kara* – pomyślała Fabiola – choć poczułaby się jeszcze lepiej, gdyby mogła zapukać do drzwi Gemellusa i poinformować go, że to właśnie ona znajduje się w posiadaniu jego ukochanego domu. Żałowała tylko, że ani Romulus, ani jej matka nie mogli dożyć tej chwili i dzielić jej radości. Ale miała nadzieję, że patrzą na nią z zaświatów.

Fabiola mogła teraz, jako oblubienica wpływowego arystokraty, skoncentrować się na odkryciu tożsamości gwałciciela swojej matki. Brutus – świadomy tego faktu czy nie – miał w tym planie do odegrania kluczową rolę. Z radością pomoże jej w zajęciu odpowiedniej pozycji w rzymskim społeczeństwie, w prowadzeniu życia na takim samym poziomie, na jakim żyli ludzie, którzy dawniej by z niej szydzili. Znajdzie jakieś wskazówki i podpowiedzi, jak to uczynić. Może nawet tu? W jej nowym domu może narodzić się nowy plan.

Jego realizacja zajmie pewnie trochę czasu, ale nie spocznie, dopóki jej matka nie zostanie pomszczona.

# Marsz



Na wschód od Seleucji, jesień 53 r. p.n.e.

Pusty horyzont stanowił bramę do nieskończoności.

Za plecami żołnierzy rozciągało się potężne pasmo górskie, biegnące z północy na południe. Jego pokryte śniegiem szczyty ostro kontrastowały z piaszczystą równiną, po której się przemieszczali. Pokonanie niezliczonych wąskich przełęczy, lodowatych strumieni i krętych ścieżek wzdłuż krawędzi przepaści zajęło im kilka tygodni. Setki legionistów zginęło w wyniku osunięć kamieni lub zmarło z przegrzania, zimna lub braku wody. Nagie stoki nie dawały wielu szans znalezienia pożywienia lub czegoś do picia, a mięsa z upolowanych, okazjonalnie pojawiających się w pobliżu kolumny górskich kozic nie starczało dla wszystkich. Przaśny chleb, kawałki suszonego mięsa i czysta determinacja pozwoliły pozostałym przy życiu więźniom pokonać postrzępione szczyty.

I może jeszcze wizja natychmiastowej egzekucji, jaka czekała każdego, kto

odmówił dalszego marszu. Dyscyplina w partyjskim wojsku była jeszcze ostrzejsza niż w rzymskim.

Tego ranka kolumna, składająca się z ponad dziewięciu tysięcy rzymskich żołnierzy, wreszcie ochoczo ruszyła w dół zbocza po ostro wijącej się ścieżce. Już samo dotarcie na płaskowyż wydawało się sukcesem. Przywitały ich niskie wydmy, ciągnące się po obu stronach drogi przez kolejną pustynię. Przejrzysty błękit bezchmurnego nieba kalały tylko małe punkciki uparcie podążających za nimi sępów.

Jednak perspektywa marszu przez pustynię nie była już teraz tak przerażająca, jak wówczas, gdy ruszali na wschód po pokonaniu Eufratu. Ci ludzie znieśli niewiarygodne cierpienia, widzieli straszne sceny. A mimo to przetrwali. Teraz czekała ich po prostu kolejna próba. Aby przeżyć.

Romulus poprawił chustę na głowie i otarł pot z czoła. Hełm młodego żołnierza wisiał na jarzmie przerzuconym przez jedno ramię. W odległości setek mil od nich nie było żadnego wroga, więc nie było po co go zakładać.

Obok niego pewnie maszerowali Brennus i Tarkwiniusz. Podczas przeprawy przez góry ich umiejętności przetrwania okazały się bardzo przydatne dla pozostałych przy życiu żołnierzy legionów. Skóry wilków, które złapał Tarkwiniusz w sidła, służyły jako koce. A Brennus, świetnie posługujący się łukiem, który wyprosił u strażnika, regularnie przynosił jakąś antylopę albo kozicę.

W związku z tym, że wszyscy oficerowie nie żyli, żołnierze zostali pozbawieni przywództwa. Armia potrzebowała liderów, a w sytuacji, gdy znajdowali się w niej żołnierze z tak różnych legionów, trudno jej było się zorganizować. Na szczęście partyjscy oficerowie podzielili ludzi według jednostek, w których dawniej służyli, ale nieuniknionym efektem rozprężenia i niskiego morale była niechęć do podporządkowywania się jakimkolwiek rozkazom.

Jednocześnie jednak wielu legionistów zaczęło uważać Tarkwiniusza za swojego nieoficjalnego przywódcę. Haruspik od miesięcy zajmował się leczeniem rannych, a jego umiejętność przewidywania przyszłości przestała być dla kogokolwiek tajemnicą. Ponadto Etrusk znał język Partów i to naturalnie zwróciło na niego uwagę strażników. Mistyczne umiejętności również przydawały się, gdy chodziło o zdobycie szacunku Partów oddelegowanych do eskortowania ich na wschód. W uznaniu wszystkich zasług Tarkwiniusz został awansowany do stopnia będącego odpowiednikiem rzymskiego centuriona i odpowiadał przed oficerem dowodzącym za jedną ze zreformowanych kohort. Chociaż haruspik nie służył wcześniej

w legionie regularnej armii rzymskiej, legionistom łatwiej przychodziło przyjmowanie rozkazów od jednego „ze swoich”.

Kohorta dowodzona przez Etruska była na razie jedyną, której żołnierze mogli znów nosić broń, co stało się źródłem prawdziwej dumy dla Romulusa i Brennusa. Ale tylko Tarkwiniusz wiedział, dlaczego tak się stało. Reszta żołnierzy przez jakiś czas mogła maszerować bez obciążenia. Za nimi dreptała kolumna mułów z pozostałą bronią, żywnością i wodą.

– Kiedy dotrzemy do Margiany? – zapytał Romulus.

– Za pięć, sześć tygodni – odpowiedział Etrusk.

Romulus jęknął. Miasto, do którego zmierzali, znajdujące się na północno-wschodnich rubieżach imperium Partów, jakoś wcale nie wydawało się bliżej.

– Przynajmniej ci dranie też muszą maszerować na piechotę – Brennus wskazał wojowników zabezpieczających obie strony kolumny.

Nawet jeśli Rzymian było dwadzieścia razy więcej niż Partów, przewaga liczebna i w tym przypadku znaczyła niewiele. Znajdowali się ponad tysiąc mil na północny wschód od Seleucji i... gdzie mieliby się udać? Jakikolwiek opór nie miał większego sensu. Tylko ciemnoskórzy miejscowi wojownicy znali lokalizację źródeł wody, umożliwiające życie w tej ogromnej pustce pełnej piasku, i Rzymianie nie mieli innego wyboru, jak tylko iść tam, gdzie im każą. Bez wody nikt nie przetrwa na pustyni.

– Dlaczego nie wysłali katafraktów, żeby nas pilnowali? – zastanawiał się Romulus.

– Rzym rzadko akceptuje porażki – zauważył Brennus. – Orodes prawdopodobnie potrzebuje ich na wypadek kolejnego ataku.

Tarkwiniusz roześmiał się.

– Król może tego nie wie, ale nikt w Rzymie nie myśli teraz o zemście. Cezar nie ucieszy się, że stracił sponsora, ale teraz jest zbyt zajęty innymi sprawami. A Pompejusz dziękuje bogom, że Krassus już się nie liczy w rozgrywce o władzę. Dzięki temu może skupić się na Cezarze.

Romulus westchnął. Polityka w Rzymie w tym miejscu nic nie znaczyła.

– Jeśli Rzym nie będzie chciał odwetu, to jakim sposobem mielibyśmy kiedykolwiek wrócić do domu? Maszerujemy przez pustkowia i zmierzamy ku krańcom ziemi.

– Znajdziemy własny sposób, żeby wrócić – szepnął Tarkwiniusz.

Gał nie usłyszał tego komentarza.

– Jesteśmy Zapomnianym Legionem! – zawołał cynicznie, wskazując na coś z przodu.

Wszystkie oczy podążyły za jego wyciągniętym ramieniem.

Oficer eskortujących ich Partów, noszący imię Pakorus, był na tyle sprytny, że zabrał ze sobą jeden ze srebrnych orłów, które wpadły w ręce wroga pod Carrhae. Podczas gdy pozostałe insygnia udekorowały pałac Orodessa, ten był z Rzymianami i znajdował się zawsze na przedzie kolumny.

Brennus ponownie wskazał palcem metalowego orła, bo dobrze wiedział, jak ważny jest dla Rzymian. Miał on wielkie znaczenie dla dowódców nowego legionu i stał się najważniejszym symbolem żołnierzy wysłanych na dalekie wschodnie rubieże. Wokół słyhać było pełne dumy gardłowe okrzyki. Od czasu Carrhae życie jeńców było tylko pasmem niekończącej się udręki. Aż do teraz.

Partowie nadstawili uszu zaciekawieni, ale nie zareagowali od razu. Od czasu gdy opuścili miasto, dyscyplina w szeregach była nieco mniej rygorystyczna. Zginęło już tak wielu nieposłusznych jeńców, że pozostali dobrze wiedzieli, czym grozi każde nieposłuszeństwo. Dopóki jednak Rzymianie nie zmierzają się z wrogami imperium partyjskiego, nie mogą liczyć na to, że ktoś obdarzy ich wielkim zaufaniem.

Tarkwiniusz się uśmiechnął.

– Dobra nazwa.

– Ma coś w sobie – przyznał Romulus.

– Dobrze! – Brennus milczał przez chwilę, po czym obrócił się w stronę szeregów legionistów. Wykrzyknął: – Zapomniany Legion!

Rzymianie szybko podchwycili okrzyk bojowy Gala i wkrótce gorące powietrze pustyni wypełniło się krzykami z wielu gardeł.

Gdy krzyk przemieszczał się ku coraz dalszym szeregom kolumny, wielu Partów poczuło się niepewnie i zaczęło sięgać po broń. Ich jeńcy nigdy wcześniej tak się nie zachowywali!

Pakorus, który znalazł się w pobliżu, pochylił się w siodle, aby zamienić kilka słów z Tarkwiniuszem. Gdy zrozumiał znaczenie tego krzyku, uśmiechnął się i wyrzucił z siebie jakieś rozkazy w swoim ojczystym języku. Słyszając je, Partowie trochę się rozluźnili. Pakorus spiął konia, by wrócić na czoło kolumny. Chciał sprawdzić, czy zwiadowcy natknęli się na podróźnych podążających tą samą drogą. Należał do tych dowódców, którzy zawsze dowodzili żołnierzami z pierwszej linii.

– Czego chciał? – zapytał Romulus.

– Pytał, dlaczego krzyczymy. Powiedziałem mu, że staliśmy się Zapomnianym Legionem. Stwierdził, że spodziewa się po nas wielkich czynów.

Brennus wyszczerzył zęby zadowolony z takiej reakcji.

– Powiedział też, że nasi bogowie nas opuścili.

– Odwrócili się od nas, gdy przekroczyliśmy rzekę – stwierdził Feliks. Zaradny Gal trzymał się blisko trójki przyjaciół już od czasu opuszczenia Seleucji.

– Możliwe że odwrócili się od niektórych z nas – zgodził się poważny Brennus – ale nie od Zapomnianego Legionu.

– Może masz i rację – Feliks złożył dłoń w znak mający chronić przed złem. – Nadal żyjemy!

Romulus pokiwał głową i po cichu podziękował Jowiszowi za ochronę. Coś kazało mu spojrzeć na Etruska, na którego ustach błędził słaby uśmiech. Nic, co wiązało się z wyprawą na wschód, nigdy go nie denerwowało. Stwierdził, że to dość dziwne. Chociaż Brennus teraz wydawał się zadowolony ze swojego losu, większość legionistów wcale nie cieszyła się na myśl o tym, że zmierzają na skraj cywilizowanego świata. Jednak Tarkwiniusz po prostu się tym rozkoszował. Co kilka dni robił na starej mapie notatki, opisując to, co widział. Wyjaśniał wszystkie znaki, gdy Romulus pytał go o to, co zapisuje. Dzięki tym lekcjom młody żołnierz również zaczął cieszyć się podróżą, patrząc z większym szacunkiem na gorące pustynie i potężne szczyty, które pokonywali. Obraz Aleksandra w jego umyśle nabrał niemal mitycznego znaczenia. *Lew Macedonii musiał być niezwykłym liderem – myślał. Może Tarkwiniusz cieszy się, że zmierza po jego śladach?*

– Aleksander był jednym z najbardziej charyzmatycznych przywódców, jacy się kiedykolwiek narodzili – powiedział Etrusk.

– Krassus w ogóle nie próbował nas zainspirować, prawda? – skomentował Romulus.

– Nie, ten głupiec tego nie potrafił. Dlatego złe wróżby tak mocno wpłynęły na jego ludzi. Gdyby kochali swojego wodza, tak jak Aleksandra kochali jego żołnierze, może potrafiliby pokonać swój strach.

– Przewodzić, dając przykład – Romulus wypowiedział słowa, które pojawiły się w jego głowie znikąd. – Tak jak ty to robisz, Tarkwiniuszu. Zajmując się chorymi i rannymi.

Usta Tarkwiniusza drgnęły, gdy odwrócił głowę, spoglądając na jasne niebo.

– Prognozy na resztę drogi są dobre. Do Margiany i Scytii dotrzemy bez



niespodzianek.

Brennus nie odważył się zapytać, czy to właśnie tam dane mu będzie uratować przyjaciół, choć język aż go świerzbił. Uznał, że może lepiej nie wiedzieć, kiedy przyjdzie mu wypełnić obietnicę. Wyrzucił z pamięci tę myśl i skupił się na marszu.

Romulus obserwował przyjaciela kątem oka. Było oczywiste, że Brennus nigdy nie mówił o swoim przeznaczeniu, a Tarkwiniusz wiedział coś na temat przyszłych losów Gala, o czym wołał milczeć. W otoczeniu setek żołnierzy trudno jednak było znaleźć czas i miejsce na rozmowę na osobności. Nawet gdyby taka okazja się nadarzyła, sam Romulus nie był do końca pewien, czy chce o tym rozmawiać. Czuł się i tak dziwnie, uzmysławiając sobie, że Etrusk tak dużo wie. Romulus znał Tarkwiniusza już dwa lata, ale ciągle do końca nie przyzwyczał się do niezwykłych umiejętności haruspika, który korzystał ze wskazówek na nieboskłonie, przepowiadając przyszłość z wiatru i ptaków w przestworzach. Od czasu do czasu Tarkwiniusz wyjaśniał, co robi, i mówił o ważnych znakach na niebie i ziemi, dzięki czemu Romulus wkrótce sam potrafił przewidzieć pewne zdarzenia – choćby takie jak opady deszczu. To było fascynujące i chłopak czuł ekscytację za każdym razem, gdy haruspik wyjaśniał mu jakieś nowe zagadnienia. Jednak Tarkwiniusz wiele rzeczy zachowywał tylko dla siebie.

– Wiele z tego, co wiem, jest święte – mówił z żalem – i może być ujawnione tylko przeszkolonemu haruspikowi.

Romulus zwykle nie protestował. Życie może być prostsze, jeśli nie znasz całej przyszłości. Wystarczała mu wiedza, że przeżyje czas służby dla Partów. Ta świadomość pozwalała mu marzyć o tym, że kiedyś wróci do Rzymu.

Odnajdzie swoją rodzinę.

W czasie długiego marszu Romulus miał taki okres, w którym obwiniał matkę za to, co ją spotkało. Przecież mogła zabić Gemellusa przy każdej okazji, gdy ten znajdował się w jej łóżku. Nie zrobiła tego. Dlaczego? Gdy myślał o tym, jak łatwo można było uciszyć kupca na zawsze, czuł coraz większy gniew. W końcu jednak jej rozumowanie stało się dla Romulusa jasne. Nie była wyszkolonym wojownikiem. Welwinna była matką z dwójką małych dzieci. Robiła wszystko, co w jej mocy, aby je chronić. Pozwalała, żeby Gemellus gwałcił ją co noc, dbając o bezpieczeństwo bliźniaków. Ten gorzki wniosek sprawił, że Romulus poczuł wstyd. Dlaczego wcześniej nie był w stanie docenić poświęcenia swojej matki? Tego rodzaju myśli sprawiały, że coraz bardziej pragnął śmierci Gemellusa. Jednak trudno było nie stracić nadziei. W przeciwieństwie do Brennusa Romulusowi z trudem przychodziło

uwierzyć w niektóre, bardziej niesamowite, przepowiednie Tarkwiniusza. W sytuacji, w jakiej się znaleźli, powrót do domu wydawał mu się zwykłą mrzonką.

– Margiana? – odezwał się Feliks. – Nigdy o niej nie słyszałem.

– Zaufaj mi – odpowiedział figlarnie Tarkwiniusz. – To miejsce istnieje.

– Jak tam jest?

– Zielono. Przez tę żyzną krainę przepływają szerokie rzeki.

Feliks wskazał gestem pustynię.

– Wszystko będzie lepsze niż ta patelnia.

Romulus wybuchnął śmiechem. Feliks, który był jednym z nielicznych żołnierzy ocalałych z kohorty Bassiusza, okazał się jak dotąd dobrym towarzyszem podróży.

– Kto zamieszkuje te tereny? – zaciekał się Brennus.

– Potomkowie Greków. A to oznacza, że będziemy mieli do czynienia z ludźmi, którzy wiedzą, co to cywilizacja. Ale i z koczownikami. Orzechami o złotej skórze, czarnych włosach i skośnych oczach.

– Czy nie tak właśnie wyglądają demony? – mruknął Feliks.

– Ci ludzie krwawią jak wszyscy inni.

– A jak walczą? – Brennus jak zwykle wykazał się swoim pragmatyzmem. Zawsze będzie przede wszystkim wojownikiem.

– Używają łuków i walczą konno.

Z ich gardeł wyszedł jeden przeciągły jęk zawodu.

– I nie są przyjaźnie nastawieni do Partów?

Tarkwiniusz pokręcił głową.

– Maszerujemy na drugi koniec świata tylko po to, żeby nas zmasakrowali – powiedział Feliks z sarkazmem. – Znowu.

– Nie. Nic się takiego nie stanie, jeśli tylko mój plan się powiedzie – odpowiedział Tarkwiniusz. – Musimy pokryć wszystkie tarcze jedwabiem.

– Co? Tym materiałem, z którego Partowie wykonują swoje sztandary? – zapytał Gal. Ogromne, jaskrawo kolorowe proporce miały swoją rolę w osłabieniu morale żołnierzy Krassusa przed Carrhae.

– Tym samym. Jedwab zatrzyma strzały – Etrusk wyciągnął palec, wskazując kołczan Brennusa.

Żołnierze znajdujący się w pobliżu i słyszący tę rozmowę poczuli się nieco pewniej. Liczyli, że haruspik wie, co mówi, i naprawdę uda im się przetrwać deszcz strzał, które uśmierciły tyłu ich towarzyszy.

Romulus wiedział, że niektóre kobiety arystokratów zasiadających na trybunach areny zakładały lekko połyskujące jedwabne szaty.

– Ale jedwab kosztuje fortunę, prawda?

– Nie musi być drogi, jeśli znajdziemy jakąś karawanę.

Romulus i Brennus nie ukrywali swojego zainteresowania.

– Za dwanaście dni natkniemy się na kupców z Judei powracających z Indii – powiedział Tarkwiniusz.

Partia była właściwie jednym wielkim pustkowiem, zamieszkiwanym przez małe koczownicze plemiona. Od czasu opuszczenia Seleucji kolumna legionu tylko z rzadka napotykała małe grupy podróżnych. Teraz jednak nikt nie kwestionował słów Etruska, który posługiwał się piątym zmysłem. Jeśli Tarkwiniusz mówi, że coś się stanie, to tak właśnie będzie.

– To długa podróż – powiedział Romulus ze zdziwieniem. Widział na starej mapie Tarkwiniusza, że Indie znajdowały się jeszcze dalej na wschód niż Margiana. To, że ktokolwiek chciałby udać się w taką podróż dobrowolnie, wydawało mu się niewiarygodne.

– Która musi przynieść jakieś korzyści – uśmiechnął się zagadkowo Tarkwiniusz.

Brennus tracił cierpliwość. Widząc minę przyjaciela, Etrusk rzucił kilka słów wyjaśnień.

– Karawana będzie transportowała przede wszystkim różne przyprawy. I wiele beli jedwabiu.

– Wystarczy, żeby pokryć nim nasze tarcze... – powiedział zamyślony Brennus. – Trzeba będzie przekonać Pakorusa. A Orodes nie będzie zbyt zadowolony, słysząc, że jeden z jego dowódców okrada kupców.

Tarkwiniusz popatrzył na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– Kto powiedział, że mamy kogoś okraść?

Brennus prychnął.

– A jak chcesz przekonać kupców, żeby oddali nam swój towar?

– Ja ten jedwab kupię!

– Na to potrzeba więcej złota niż ta główka – odpowiedział Gal, wskazując *lituus* wiszący u pasa Tarkwiniusza.

Gdy Pakorus zdał sobie sprawę z umiejętności Etruska, haruspik nie musiał już ukrywać symbolu swojego zawodu. Wielu żołnierzy znało z dzieciństwa mnóstwo opowieści o haruspikach i patrzyło na laskę Tarkwiniusza z mieszaniną szacunku

i podziwu, dzięki czemu kohorta Etruska zajmowała szczególne miejsce w Zapomnianym Legionie.

Jednak pewność siebie Etruska jakoś niespecjalnie przekonywała Romulusa. Jedwab był najcenniejszą z tkanin i drogim, importowanym towarem, który przywożono z daleka. Na rynek w Rzymie trafiały tylko niewielkie ilości tego materiału. Żeby zdobyć jedwab na pokrycie ponad dziewięciu tysięcy tarcz, trzeba było wydać fortunę porównywalną z okupem za jakiegoś króla.

– Czym to mielibyśmy za niego zapłacić? – dopytywał się Gal.

Tarkwiniusz długo nie odpowiadał.

– Muszę porozmawiać z Pakorusem – oznajmił w końcu.

Brennus przewrócił oczami.

– Nie powie nam – stwierdził Romulus. – Powinieneś się już przyzwyczaić.

Gal tylko wyszczerzył zęby.

Przyzwyczajony już do tajemniczości Tarkwiniusza Romulus też wolał nie pytać. Przeżyli rzeź pod Carrhae i pokonali bez większych problemów ponad tysiąc mil na wschód. Nie czuł niepokoju, chociaż rzeczywiście nie umiał wyobrazić sobie, jak mieliby zdobyć jedwab bez odpowiednich funduszy. Jednak inteligencja i wiedza haruspika powinny wystarczyć, żeby przekonać Pakorusa i zdobyć tyle tkaniny, aby można ją było dobrze wykorzystać. O ile powrót do Rzymu wydawał się wręcz niemożliwy, to zaopatrzenie w jedwab całego legionu wcale nie musiało być niewykonalne. Romulus maszerował pewnie po gorącym piasku, wydającym skrzypiące dźwięki pod podeszwami jego sandałów.

Tarkwiniusz zrobił dokładnie tak, jak obiecywał. Tej samej nocy zostawił swoich towarzyszy skulonych przy małym ognisku, posilających się chlebem i suszonym kozim mięsem. Gdy legioniści przysięgli wierność Partii, eskorta zaczęła ich traktować trochę lepiej, a dzięki temu poprawiło się również wyżywienie. Nie było powodu głodzić ludzi, którzy mieli walczyć dla imperium.

Przechadzając się w ciszy po obozie, Etrusk obserwował odpoczywających żołnierzy. Chociaż w pewnym sensie ciągle byli jeńcami, w oddziałach panowała dyscyplina, wyczuwało się jakiś naturalny porządek. Namioty rozstawiono w równych liniach, centuria po centurii. Wzniesiono nawet tymczasowe wały, a czujki patrolowały obszar wokół obozu. Miejsce wybrane na nocny postój przypominało typowy obóz wojskowy, tyle że ci żołnierze znajdowali się obecnie dalej od Rzymu, niż kiedykolwiek zapuścił się jakiś rzymski oddział.

Gdy ludzie zdali sobie sprawę, że nikt nie zamierza ich natychmiast uśmiercić, morale rosło z każdym upływającym dniem. Będą walczyć, jak ich uczono, zwłaszcza gdy Tarkwiniusz znajdzie sposób na ochronę przed śmiertelnościami pociskami wystrzeliwanymi z łuków refleksyjnych.

– Stój! – krzeczy wojownicy wymierzili w niego ostrza swoich włóczni. Namiotu Pakorusa w nocy pilnowali strażnicy. – Kto idzie?

– Haruspik.

W oczach strażników pojawił się ledwo skrywany lęk.

– Czego chcesz? – zapytał jeden z nich.

– Zamienić słowo z Pakorusem.

Naradzili się krótko, po czym pierwszy strażnik kazał mu poczekać pod czujnym okiem drugiego, a sam udał się do dużego namiotu, znajdującego się kilka kroków za nimi. Szybko pojawił się z powrotem i unosząc wykonane z materiału drzwi do namiotu, wskazał głową, że Tarkwiniusz ma wejść do środka.

Etrusk pochylił się nisko pod połą namiotu, a strażnik pozostał na zewnątrz, nerwowo ściskając broń.

W przeciwieństwie do namiotów rzymskich żołnierzy ten, w którym nocował Pakorus, był bogato urządzone. Na podłodze znajdowały się grube wełniane dywany, a ogień w stojącym w rogu koszu ogrzewał nocne powietrze. W głębokich naczyniach płonęły nasączone olejem pochodnie, rzucając długie cienie. Podłoga w namiocie usłana była poduszkami, ale broń ułożona na drewnianym kozle nie pozostawiała wątpliwości, że jest to namiot wojownika. Niewolnicy uwijali się przy ogniu, przygotowując posiłek. Inni stali gotowi do służenia swojemu panu z talerzami pełnymi jedzenia i tacami z napojami. Namiot wypełniał kuszący zapach pieczonego mięsa.

Etrusk poczuł, że w ustach zbiera mu się ślina. Wiele czasu minęło od chwili, gdy po raz ostatni kosztował świeżo upieczonej baraniny. Wróciły do niego obrazy czasu spędzonego z Olenusem w jaskini. Zmówił szybką modlitwę dziękczynną za wiedzę, którą przekazał mu mądry starzec. Haruspik wiedział, co przyniesie najbliższa przyszłość.

Pakorus siedział przy promieniującym ciepłem koszu ze skrzyżowanymi nogami. Pomachał w pół ogryzioną kością, wskazując, żeby Tarkwiniusz zajął miejsce na ziemi. W ogóle nie wydawał się zaskoczony.

– Zjedz ze mną – powiedział, kiwając głową szorstko w kierunku najbliższego sługi.

Part z brodą ociekającą tłuszczem zerkał z ciekawością na swojego gościa. Wieczorem zamienił swój luźny kaftan na drogie szaty i białe, workowate, bawełniane spodnie. Na nogach miał miękkie skórzane mokasyny z zaostrozonymi końcówkami na palcach. Złoty pas w talii wydawał się delikatny, a mimo to wisiały na nim dwa ciężkie zakrzywione sztylety. Pakorus był przecież przede wszystkim wojownikiem.

Tarkwiniusz usiadł, przyjmując talerz z mięsem i drewniany kubek z całkiem niezłym winem. Gdy pił i się posilał, w namiocie zapadła cisza. Unosząc wzrok znak talerza, Etrusk widział, że Pakorus przygląda mu się uważnie.

– Jak mają się moi nowi żołnierze? Czy będą bez szemrania wykonywać rozkazy nowego wodza?

– Mają mały wybór.

Pakorus pochylił się.

– Powiedz mi... Czy legioniści naprawdę będą dla mnie walczyć? Czy uciekną jak pod Carrhae?

– Mogę odpowiadać tylko za swoją kohortę – odpowiedział Tarkwiniusz z przekonaniem. Gdy Pakorus zgodził się zwrócić ludziom broń, morale legionistów wydatnie wzrosło. Żeby to osiągnąć, wystarczyło tylko poinformować Partów, które przełęcze górskie zostały zasypane śniegiem. Ta cenna informacja prawdopodobnie uratowała wiele ludzkich istnień i zaoszczędziła im wszystkim kilku niepotrzebnych dni marszu. – Będą raczej walczyć do ostatniego człowieka, niż pogodzą się z kolejną klęską.

Pakorus wyprostował się, najwyraźniej zadowolony z takiej odpowiedzi. Jako dwaj szanujący się wrogowie wymieniali przez jakiś czas drobne uprzejmości, poświęcając kilka chwil na rozmowę o tym, jak przebiega podróż i jaka sytuacja panuje w obszarach przygranicznych. Tarkwiniusz jednak dawno wiedział, że całe wschodnie rubieże imperium Partów są mało bezpieczne i podstawowym zadaniem Zapomnianego Legionu będzie przywrócenie spokoju na granicach.

– Po co przyszedłeś? – spytał w końcu Pakorus.

Etrusk przeszedł prosto do sedna sprawy.

– Mam dla ciebie propozycję.

Pakorus uniósł rękę i natychmiast przy jego ramieniu stanął niewolnik z miską ciepłej wody. Obmywając palce i twarz, Part uśmiechał się.

– Więzień ma propozycję dla strażnika?

Tarkwiniusz skinął głową.

Lekko poirytowany Pakorus odezwał się mniej przyjaznym głosem.

– Słucham...

– Wkrótce przetnie nam drogę karawana kupców z Judei.

– W drodze powrotnej z Indii – Pakorus chwycił ze srebrnej tacy pomarańczę.

Zaczął ją obierać. – Co to ma wspólnego z nami?

– Będą wieźli duże ilości jedwabiu.

– Nic w tym dziwnego.

Tarkwiniusz zmienił taktykę.

– Jakie jest podstawowe zadanie Zapomnianego Legionu?

Jego rozmówca uśmiechnął się na dźwięk nazwy oddziału.

– Ma ochraniać imperium przed wrogami. Baktrianami, Sogdyjczykami i Scytami...

– ...którzy to są uzbrojeni w łuki kompozytowe. Takie same jak te używane przez Partów... – Pakorus stawał się coraz bardziej rozdrażniony niejasnymi sugestiami Tarkwiniusza. – Wasze strzały zmasakrowały naszą armię pod Carrhae. I to samo zrobią nomadowie, jeśli nie wymyślimy, jak temu zaradzić.

– Mów dalej... – powiedział Pakorus lodowatym tonem.

– Orodes nie będzie zadowolony, jeśli jego nowy garnizon przygraniczny zostanie zniszczony wkrótce po przybyciu na miejsce. Wtedy dojdzie do nowych najazdów na Partię.

Pakorus włożył do ust kawałek pomarańczy i żuł zamyślony.

– Co proponujesz?

– Jedwab jest bardzo mocny. – Mina Parta świadczyła o tym, że jest nieco zdezorientowany. – Jeśli przymocujesz na tarczach kilka warstw jedwabiu – kontynuował Tarkwiniusz – nie przebiją ich żadne strzały.

– Skąd wiesz?

– Wiem wiele rzeczy.

Pakorus wreszcie zrozumiał, do czego zmierza Tarkwiniusz.

– Kupcy płacą nam za każdym razem, gdy docierają do Antiochii i Seleucji – powiedział. – A nasz król nie toleruje okradania uczciwych podróżnych. Większa część bogactwa Partii bierze się właśnie z opłat nakładanych na karawany powracające ze wschodu.

– Nie będziemy nikogo okradać.

– To jak mamy im zapłacić?

Tarkwiniusz wyciągnął zza pazuchy skórzany woreczek. Rozwiązał sznurek i pozwolił, żeby ogromny rubin zaślśnił w jego dłoni. Nosił go przy sercu od czasu, gdy wyjął klejnot z rękojeści miecza Tarkwina. Po siedemnastu latach nadszedł wreszcie czas, aby wykorzystać bezcenny dar Olenusa.

– Dzięki niemu kupimy tyle jedwabiu, ile będzie trzeba.

Pakorus zacisnął usta.

– Widzę, że udało ci się zatrzymać nie tylko *lituus*.

Tarkwiniusz nic nie odpowiedział.

Part wpatrywał się w kamień wzrokiem, w którym pojawiła się chciwość, przesuując lekko rękę w kierunku jednego ze swoich sztyletów.

– Bardzo łatwo mogę ci go odebrać.

– Ale tego nie zrobisz.

– Jesteś sam i nie masz broni – Pakorus spojrzał na swoich strażników. – Na zewnątrz czeka jeszcze dziesięciu moich ludzi.

– Mógłbym przekląć cię na wieczność – ciemne oczy Tarkwiniusza błyszczały w świetle pochodni, gdy chował swój woreczek. – A moja kohorta również nie byłaby specjalnie zadowolona.

Pakorus przełknął ślinę. Ten człowiek o jasnych włosach przyczynił się do tego, że kolumna bezpiecznie pokonała góry. Potrafił przewidywać osypiska na kilka dni wcześniej przed tym, jak się zdarzyły, i widział burze, zanim niebo zakryło się ciemnymi chmurami. Mówiono też, że przewidział klęskę rzymskiej armii pod Carrhae.

Etrusk wstał i z uśmiechem podszedł do wykonanej z jedwabiu ścianki, dzielącej namiot na pomieszczenia.

– Mogę ci coś zademonstrować?

Pakorus skinął głową.

Tarkwiniusz zdjął kolorowy materiał ze szkieletu ścianki i owinął go kilka razy wokół poduszki. Następnie wycofał się pięćdziesiąt kroków aż do wejścia do długiego namiotu. Z tej odległości pocisk wystrzelony z łuku przebijał każdą tarczę, tak jak pod Carrhae. Zostawił poduszkę na ziemi i wrócił, zabierając po drodze z drewnianego stojaka mocno wygięty łuk oraz kołczan.

Strażnik stojący przy wejściu od razu rzucił się do przodu z włócznią w pogotowiu.



Wystarczył jednak jeden krótki rozkaz Pakorusa i cofnął się na miejsce.

Gdy haruspik znalazł się ponownie przy gospodarzu, uważnie przyjrzał się broni.

– Świetnie wykonany – skomentował, sprawdzając naciąg – i ma wielką moc.

– Przygotowanie dobrego łuku zajmuje kilka tygodni – powiedział Pakorus. –

Róg i ścięgna muszą być właściwej grubości, a drewno odpowiednio przygotowane.

Tarkwiniusz obrócił się w kierunku celu, wyciągnął strzałę i założył ją na cięciwę.

Unióśł łuk i zastygł w bezruchu w półobrocie.

Pakorus wciągnął powietrze.

Haruspik cofnął lekko rękę, koncentrując się na razie na dobrym wycelowaniu. Po chwili jednak użył całej siły i zamknął jedno oko, skupiając spojrzenie na celu majaczącym niewyraźną plamą w słabym świetle. Wypuścił strzałę z lekkim chrząknięciem. Ta pomknęła z sykiem, przecinając powietrze. Trafiła w cel z głośnym pacnięciem.

– Przynieś to tutaj! – krzyknął Pakorus.

Strażnik szybko wykonał rozkaz. Z wyrazem twarzy znamionującym podziw podszedł do dowódcy, ukłonił się i wręczył mu poduszkę.

Pakorus wpatrywał się w nią zafascynowany. Strzała wbiła się zaledwie na głębokość dwóch palców. Wyciągnął ją łatwo po delikatnym szarpnięciu. Ostro zakończony grot uwiązał w tkaninie.

Jedwab nie nosił żadnego śladu przerwania lub uszkodzenia.

Partyjski wojownik wytrzeszczył oczy, nie dowierzając temu, co widzi.

– Jeśli przymocujesz do *scutum* kilka warstw jedwabiu, będziesz miał armię, która może wytrzymać każdy ostrzał.

Pakorus patrzył na haruspika z szacunkiem, którego wcześniej nie było widać w jego oczach.

– Widziałeś, jak wygląda rzymska dyscyplina pod Carrhae przed atakiem katafraktów. Legioniści tworzą najlepszą ciężką piechotę na świecie – powiedział Tarkwiniusz. – Z tarczami osłoniętymi jedwabiem Zapomniany Legion będzie niepokonany.

– Nasi wrogowie będą liczni.

– Nie mają szans – powtórzył Tarkwiniusz.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Ani moi przyjaciele, ani ja nie chcemy umierać. Mieliśmy szczęście, że przeżyliśmy ostatnią bitwę – Tarkwiniusz unióśł brwi. – Jeśli będą musieli stanąć

naprzeciwko wroga z takimi łukami po raz drugi...

Pakorus był zaintrygowany. Etrusk tego nie wiedział, ale zadanie, jakie otrzymał dowódca Zapomnianego Legionu od Orodessa, było naprawdę trudne. Przez wiele lat konnym łucznikom i katafraktom udawało się utrzymać w ryzach stepowych nomadów. Ale wojna z Rzymem uszczupliła garnizony na granicach do niebezpiecznie niskiego poziomu i do stolicy dochodziły wieści o kolejnych grupach najeźdźców docierających daleko w głąb imperium. Od chwili opuszczenia Seleucji Pakorus zastanawiał się, jak powstrzymać tak licznych wrogów z kilkoma partyjskimi łucznikami, których ma do swojej dyspozycji.

Part dołał sobie wina...

– Oto i twoja karawana – powiedział Brennus, osłaniając oczy przed słońcem.

Romulus się uśmiechnął. Od czasu nocnej wizyty Tarkwiniusza u Pakorusa obaj z niecierpliwością wypatrywali znaków na horyzoncie.

Minęło dokładnie dwanaście dni.

Gdzieś w połowie odległości ku horyzontowi w gorącym powietrzu wzbijały się w górę kłęby pyłu. Na równinie, która zastąpiła płaską pustynię pełną wydm, nietrudno było dostrzec poruszające się obiekty. Z obłoku wyłoniła się długa linia wielbłądów.

Pakorus również zauważył zwierzęta i natychmiast wydał rozkaz zatrzymania kolumny. Odezwały się bębny, zamieniając dalsze rozkazy na formę dźwiękową. Większość żołnierzy poznała już podstawowe rozkazy armii partyjskiej i teraz nie miała problemów z ich wykonaniem. Inteligentny oficer dowodzący legionem uznał, że najlepiej wykorzysta nowe oddziały, jeśli będą one walczyć tak, jak je szkolono. Dzięki Tarkwiniuszowi poznał wiele rzymskich manewrów. Dzień wcześniej postanowił zwrócić broń wszystkim legionistom. I tym razem tylko Etrusk wiedział, dlaczego to uczynił. Mimo że żołnierze początkowo nie kryli zadowolenia z tego, że mogą maszerować bez obciążeń, teraz znów z dumą dźwigali oszczepy, miecze i tarcze.

W reakcji na rozkazy kohorty natychmiast zajęły pozycje obronne w formacji szerokiej na sześć i głębokiej na trzy oddziały. Dwie kohorty zabezpieczyły tabory. Wszyscy żołnierze wbili w ziemię włócznie i odłożyli *scuta*, po czym przywarli ustami do bukłaków, czekając na dalsze rozkazy. Szczupli i zahartowani rzymscy żołnierze przywykli już do marszu w upale, przez co nie groziła im utrata sprawności bojowej i wyczerpanie marszem. Mimo że znajdowali się głęboko na terytorium

Partów, niewielu z nich martwiło się dostrzeżoną właśnie małą grupą.

Minął jakiś czas. Karawana zbliżała się i w końcu znalazła się na tyle blisko, że dało się dostrzec więcej szczegółów. Kolumna składała się z około trzydziestu wielbłądów z pojedynczymi garbami. Zwierzęta poruszały się powoli, majestatycznie, charakterystycznym płynnym ruchem. Po obu stronach garbów wisiały ciężkie worki.

– Nadzwyczajne zwierzęta. Potrafią obywać się przez wiele dni bez wody – odezwał się Tarkwiniusz.

Romulus przypatrywał się uważnie wielbłądom, które z każdym krokiem zbliżały się coraz bardziej. Pod Carrhae były za daleko, żeby mógł się im dobrze przyjrzeć.

Za objuczonymi wielbłądami jechało około pięćdziesięciu mężczyzn. Większość wyglądała na wojowników wynajętych do ochrony kupców i ich towarów. Wszyscy nosili długie szaty i nakrycia głowy chroniące przed słońcem. Większość z nich uzbrojona była we włócznie oraz łuki. Przy kilku pasach Romulus dostrzegł miecze. Ochrona nie wydawała się zbyt dyscyplinowana. Wśród członków karawany wyróżniało się kilku zwiadowców. Wykonali swoją pracę – ostrzegli kupców o Rzymianach – a teraz nerwowo zerkali na uzbrojonych po zęby żołnierzy.

Tarkwiniusz rzucił w kierunku ochrony karawany szybkie spojrzenie.

– Mieszanka Hindusów, Greków i Partów. Wystarczy, żeby nie bać się lokalnych bandytów.

– Pół centurii wystarczy, żeby sobie z nimi poradzić – powiedział Romulus.

– Nie będzie takiej potrzeby – Brennus się uśmiechnął. – Spójrz tylko na nich.

Karawana zatrzymała się w niewielkiej odległości od linii żołnierzy. Wzniesiony przez nią kurz zaczął już osiadać. Wielbłądy ryczały głośno, zadowolone, że mogą wreszcie odpocząć.

Było oczywiste, że widok rzymskich żołnierzy musiał kupców nieco zdenerwować. Ochrona karawany chwyciła za broń, zajmując pozycje na rozstawionych szeroko nogach, ze stopami wbitymi w gorący piasek. Ciemne oczy na ich opalonych, spoconych twarzach błędziły niespokojnie po rzymskich szeregach. Niewiele mogli zrobić w świetle tak przytłaczającej przewagi. Wokół przez wiele mil ciągnęła się tylko płaska równina, niedająca szans ucieczki.

– Chyba nie spodziewali się zobaczyć na tym pustkowiu takiego widoku – stwierdził cierpko Romulus.

Słysząc było śmiechy żołnierzy. Widok dziesięciu tysięcy legionistów w samym środku Królestwa Partów rzeczywiście mógł wydawać się dziwny.

Po jakimś czasie przed karawaną pojawił się niski mężczyzna w przybrudzonym białym ubraniu. Zbliżał się do Rzymian, trzymając wysoko uniesione ręce w geście oznaczającym pokojowe zamiary. Za nim niezbyt chętnie podążało trzech wojowników innych członków karawany. Człowiek ten zatrzymał się w połowie drogi, czekając na reakcję.

Pakorus spojrział na Tarkwiniusza.

– Oddział dziesięcioosobowy – zawyrokował. – Zająć pozycje. Za mną!

Etrusk zasalutował niedbale i sam stanął na czele eskorty, składającej się z Brennusa, Romulusa, Feliksa oraz siedmiu innych legionistów, tak, żeby zająć pozycję za plecami dowodzącego Parta. Jako że towarzyszący mu żołnierze szli na piechotę, Pakorus starał się jechać wolno. Zatrzymał się około dwudziestu kroków przed emisariuszem z karawany. Tarkwiniusz wydał rozkaz i żołnierze utworzyli tyralierę zwróconą w kierunku kupca, z tarczami w pogotowiu i dłońmi na mieczach.

Starszy człowiek w brudnej szacie pochylił się do przodu, opierając na mocno zniszczonym łęku. Przyglądał się uważnie żołnierzom. Luźne białe pasma włosów okalały inteligentną twarz, na której największe wrażenie robił duży haczykowaty nos. Skóra kupca po wielu latach spędzonych na słońcu przybrała głęboki brązowo-orzechowy kolor. Wyglądało na to, że ulżyło mu trochę, gdy zobaczył, że oddziałem dowodzi Part.

– Podaj swoje imię – zażądał Pakorus. – Dokąd zmierzasz?

– Jestem Izaak – odpowiedział szybko nieznajomy. – Podróżuję do Syrii przez Seleucję. – Kupiec zamilkł na dłuższą chwilę, zanim odważył się zapytać.

– Z kim mam do czynienia, ekscelencjo?

Pakorus zaśmiał się cicho.

– Z oficerem armii króla Orodosa – Part odwrócił się w siodle, wskazując na szyk kohort. – A tu są jego ostatni rekruci.

Izaak aż otworzył usta ze zdumienia.

– Wyglądają jak legionieści.

– Twoje stare oczy cię nie oszukują – przyznał Pakorus. – Kilka miesięcy temu rozbiliśmy potężną armię rzymską na zachód od stolicy. To ci, którzy przeżyli. Zapomniany Legion.

Kupiec tym razem umiejętnie ukrył zdziwienie informacją o inwazji.

– To rzeczywiście wspaniałe wieści – skomentował zrecznie. – A zatem szlak prowadzący do stolicy jest bezpieczny i możemy swobodnie kontynuować naszą

podróż?

– Oczywiście – Pakorus skłonił głowę. – Możecie ruszać dalej, ale najpierw winien wam jestem gościnę. Król życzyłby sobie, abym traktował kupców z należnym im szacunkiem.

Izaak uśmiechnął się, odsłaniając psujące się zęby. Nie wszystkim Partom można ufać, ale usłyszana właśnie propozycja była z gatunku tych nie do odrzucenia.

– Przyda się nam dzień odpoczynku – powiedział Judejczyk, po czym odwrócił się i głośno wydał kilka poleceń ludziom pilnującym wielbłądów.

Mimo że było dopiero południe, Pakorus rozkazał rozpoczęcie prac nad przygotowaniem obozu. Większość żołnierzy bardzo narzekała, że przyszło im przewalać wielkie ilości ziemi znacznie wcześniej niż zwykle. Wykopanie rowu i wzniesienie wału w pełnym słońcu okazało się niezmiernie ciężką pracą, ale w kohorcie Romulusa nikt się nie skarżył. Wszyscy byli przekonani, że haruspik ma jakiś plan.

Wielbłądy uwiązano do wbitych w ziemię kołków kilkaset kroków dalej. Zmęczone zwierzęta domagały się jedzenia, wydając z siebie gniewne ryki. Nieznający tych dziwacznie wyglądających stworzeń Rzymianie obserwowali je zafascynowani. Wyłupiaste oczy, długie rzęsy i szerokie wargi sprawiały, że zwierzę wydawało się inteligentne, jednak wielbłądy okazały się zwierzętami wyjątkowo złośliwymi i temperamentnymi, bo kopały i opluwały każdego, kto za bardzo się do nich zbliżył.

Ochrona karawany pomagała kupcom w ustawieniu dużych, przestronnych namiotów. Do największego z nich znoszono coraz więcej towarów. Izaak postanowił jak najlepiej wykorzystać przymusowy postój.

Romulus z trudem panował nad emocjami. Jeśli nie liczyć ćwiczeń z bronią i lekcji Tarkwiniusza, od czasu, gdy opuścili Seleucję, działo się niewiele. Nudził się już całymi dniami wypełnionymi marszem. Przeszli pustynie, potem pokonali góry, a teraz znów przemierzali tylko piaszczyste nieużytki. Codziennie to samo. Nie potrafił opanować podniecenia na myśl o opowieściach z dalekiego wschodu i możliwości obejrzenia rzadko widywanych towarów.

Minęło kilka godzin i tymczasowy obóz był gotowy – jak wiele razy wcześniej. Zmęczeni żołnierze mogli wreszcie odpocząć nieco w cieniu namiotów. Kilka kropli wody pozwoliło zmyć kurz z zaschniętych gardel. Legioniści zdali trudny egzamin, ale teraz dobrze wiedzieli, jak oszczędzać życiodajny płyn, który wydawał się

złotem. Wszyscy znali już też sztukę Tarkwiniusza, który zachęcał do ssania kamyków.

Pakorus wyczekał do wczesnego wieczora i dopiero wtedy zaprosił Izaaka do swojego przestronnego namiotu. Gdy słońce rozpoczęło swój marsz ku horyzontowi, żar lejący się z nieba zelżał, temperatura spadała, a nawet pojawił się lekki wietrzyk. Dowódca legionu uzupełnił swoją straż przyboczną o dziesięciu legionistów, którzy towarzyszyli mu dziś na spotkaniu z kupcem. Jedna centuria czekała w pobliżu w pogotowiu. Ten pokaz siły miał na celu onieśmienie wieczornych gości.

Dwie grupy żołnierzy pilnujących namiotu patrzyły na siebie z trudno skrywaną podejrzliwością. Niewiele się zmieni, dopóki nie przyjdzie im walczyć ze wspólnym wrogiem. Jak dotąd obie strony konfliktu przelały zbyt wiele krwi, walcząc przeciwko sobie.

Tarkwiniuszowi kazano wejść do środka, podczas gdy Romulus i Brennus stali tuż przy ścianie namiotu, próbując usłyszeć coś z tego, o czym mówiono w środku. Niestety, Pakorus i haruspik rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Jak on zamierza zdobyć ten jedwab? – zastanawiał się głośno Feliks.

Romulus też łamał sobie nad tym głowę.

– Zaufaj mu – od chwili, gdy opuścili Seleucję, Gal wierzył Tarkwiniuszowi bez zastrzeżeń.

Feliks mruknął i zamilkł, a Romulus dalej przekręcał głowę na różne strony, usiłując usłyszeć choć fragment rozmowy.

Czekali jakiś czas, oganiając się przed muchami i wymieniając spojrzenia ze stojącymi po drugiej stronie namiotu Partami.

Wreszcie ujrzeli kupca zbliżającego się w towarzystwie trzech prywatnych ochroniarzy. Czwarty pilnował jego tyłów. Dotarli do wejścia, Izaak wymienił kilka słów z partyjskim wartownikiem.

Pakorus skłonił się uprzejmie, gdy Judejczyk pojawił się w jego namiocie.

– Partia wita uczciwych kupców.

– Dziękuję, panie – Izaak odpowiedział wolniej. Znalazł się tu pod przymusem, ale musiał zachować pozory.

Natychmiast doskoczyli do niego słudzy Pakorusa z mięsem, winem i owocami. Starszy kupiec wypił od razu dwa kubki wina, a następnie zmiotł jedzenie z podanego mu talerzyka. Żując kawałek jagnięciny, przyglądał się z zaciekawieniem Tarkwiniuszowi.

Etrusk jednak na razie ostentacyjnie go ignorował.

– Ile trwa wasza podróż? – zapytał Pakorus, gdy stwierdził, że jego gość już się posilił.

– W sumie? – Judejczyk zaśmiał się głośno. – Jak na razie minęły dwa lata, panie. Indie. Scytia. Margiana.

– Twoje wielbłądy są mocno obciążone.

– Mam za sobą udane transakcje – przyznał niechętnie Izaak. – I ta podróż może mi przynieść mały zysk. Jeśli wrócę bezpiecznie do Damaszku.

– Co wieziecie? – Tarkwiniusz odezwał się po raz pierwszy.

Kupiec zmarszczył brwi. Niepewny statusu żołnierza o jasnych włosach spojrzął na Pakorusa, który skinął głową.

– Mirrę, *olibanum* i jedwab. Trochę kości słoniowej i indygo. – Te towary osiągały wysokie ceny w Rzymie, ale Izaak mówił o nich tak, jakby były czymś zupełnie bezwartościowym.

– Coś jeszcze?

Izaak zrobił minę, jakby był zwierzyną łowną.

– Słucham? – Pakorus odezwał się mniej przyjaznym głosem. – Wszystkie towary muszą być zadeklarowane królewskim urzędnikom.

– Trochę kamieni szlachetnych, ekscelencjo – powiedział niechętnie kupiec. – Lapis, agat. Kilka diamentów.

– Znasz się na klejnotach? – zapytał zniecka Tarkwiniusz.

W oczach kupca zamigotał płomyk zainteresowania.

– Wiem to i owo...

– Ile wieziecie indygo?

– Trzy *modii* – kupiec ściągnął usta, bo wcale nie podobało mu się to przesłuchanie. Popatrzył na Pakorusa, szukając wsparcia. – Wszystkie należne podatki zostały zapłacone w całości, ekscelencjo. W Antiochii.

Part rozciągnął usta w uśmiechu.

– Jeden *modius* wystarczy do zafarbowania tysięcy tóg! – Tarkwiniusz wyduł policzki. – Będziesz bogatym człowiekiem.

– Najpierw będę musiał opłacić farbiarzy w Tyrze – zaprotestował Izaak. – Zedrą ze mnie mnóstwo pieniędzy!

– I tak zostanie niezła sumka, staruszku – stwierdził Pakorus sucho.

– Ryzykuję życie, podróżując przez pół świata, ekscelencjo – mruknął Izaak. –

Czy nie mogę nic zarobić?

– Oczywiście, że możesz! – Tarkwiniusz roześmiał się, podnosząc obie ręce w pojednawczym geście. – Ile masz jedwabiu?

Wyczuwając zainteresowanie, kupiec natychmiast zmienił swoje nastawienie.

– Ponad sto bel najlepszej tkaniny – powiedział ostrożnie. – Chcecie zobaczyć?

Etrusk spojrział porozumiewawczo na Pakorusa, wskazując, że to Part ma tu decydujące zdanie.

– Pokaż.

Izaak powiedział coś szybko do swoich rodaków, którzy czym prędzej opuścili namiot, ale szybko wrócili z dwiema dużymi belami materiału. Zmierzając w kierunku tych, którzy zostali w namiocie, kupcy umiejętnie rozwijali materiał, żeby pokazać go w pełnej krasie. Gdy zdjęli ciężką osłonę, w powietrze wzbija się chmura pyłu. Kremowy jedwab znajdujący się pod nią był jednak wyjątkowo czysty. Nawet w słabym świetle namiotu mienił się i lśnił.

– Ten jedwab wart jest tyle złota, ile waży – szepnęła Tarkwiniusz, podchodząc bliżej. Sprawdził materiał między palcem wskazującym i kciukiem. – Czy tkanina ze wszystkich bel ma taką samą grubość?

Izaak zapalił się nie na żarty i zaczął teraz głośno zachwalać swój towar.

– Jesteśmy zainteresowani twoim jedwabiem – stwierdził wreszcie Tarkwiniusz bez ogródek, kończąc grę pozorów.

Judejczyk był zdezorientowany.

– Chcecie wszystko?

Tarkwiniusz skinął głową.

– On jest wart fortunę – Izaak zaprotestował, po czym skłonił się przed Pakorussem. – I bardzo wątpię, czy jest dla was w... odpowiednim przedziale cenowym.

Tarkwiniusz sięgnął pod tunikę.

– Przyjrzyj się temu – powiedział, rozsypując skórzany woreczek.

Izaak wyciągnął ostrożnie brudną rękę. Rubin opadł na jego wyciągniętą dłoń.

– To powinno wystarczyć za zapłatę – powiedział Etrusk.

Na chwilę Judejczyk oniemiał. Rubin był większy od kurzego jaja.

Tarkwiniusz zaśmiał się cicho, zdając sobie sprawę, jakie wrażenie zrobił klejnot na kupcu.

– Nie jestem pewien, czy ma tak dużą wartość – Izaak uniósł rubin do światła,



zamykając jedno oko. – Widzę jakieś niedoskonałości.

– Jest godzin królów – warknął Tarkwiniusz. – I dobrze o tym wiesz.

– Weź rubin – głos Pakorusa był zimny. – Jedwab jest nasz.

– I mirra – dodał Tarkwiniusz.

Izaak zrozumiał, że nie ma sensu się spierać.

– Oczywiście, ekscelencjo – kupiec skłonił się nisko, podczas gdy drogocenny kamień zniknął już w połach jego szaty. – Są wasze. Wystarczy je tylko przetransportować z mojego obozu.

Odwrócił się, żeby wyjść.

– Ty zostajesz – powiedział Tarkwiniusz tonem nieznoszącym sprzeciwu – aż do chwili, gdy dostaniemy cały jedwab.

Kupiec zatrzymał się w pół kroku.

– W rzeczy samej... – rzucił kilka słów do swoich ludzi, którzy natychmiast wybiegli z namiotu.

Tarkwiniusz zwrócił się w stronę Pakorusa.

– Jest mocny i gruby. I te bele powinny wystarczyć nam na pięć tysięcy tarcz.

– To tylko połowa...

– Tyle z pewnością wystarczy – Etrusk spojrział na dowódcę legionu, przewiercając go swoimi ciemnymi oczyma. – Widziałem wielkie zwycięstwo nad Sogdyjczykami.

– Mówią, że przewidziałeś klęskę rzymskiej armii pod Carrhae?

– Kilka tygodni zanim do niej doszło.

Pakorus rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

## Margiana



Margiana, jesień 53 r. p.n.e.

**Z**aginiony Legion przeszedł liczący tysiąc pięćset mil rzymskich szlak z Seleucji do Margiana. Żołnierze nie ulękli się zmiennej pogody i niestraszne im były trudne warunki terenowe. Dla wszystkich było to niezwykle doświadczenie. W czasie poprzedzającym kampanię Krassusa nikt nie pomyślał o tym, aby przygotować rzymskich żołnierzy do tak trudnych warunków. *Optiones*, którzy przeżyli rzeź pod Carrhae i przetrwali niewolę, nieustannie zachęcani do doskonalenia swoich umiejętności przez Tarkwiniusza, wzmocnieni twardą dyscypliną panującą w armii partyjskiej, wyćwiczyli podległych im ludzi w stopniu graniczącym z perfekcją. Trzy miesiące później żołnierze byli sprawniejsi niż kiedykolwiek wcześniej, dobrze przygotowani fizycznie i opaleni na ciemny brąz. Ich proweniencję zdradzały tylko podarte łachmany, które niegdyś stanowiły podstawowe wyposażenie legionisty. Dlatego w pierwszej kolejności trzeba było pomyśleć o nowych ubraniach

i pokryciu jedwabiem pięciu tysięcy tarcz. Każdego wieczoru Tarkwiniusz nadzorował żołnierzy, którzy mocowali warstwy cennej tkaniny na drewnianych *scuta*. Hełmy i włócznie lśniły w słońcu. Żołnierze pokonywali bez trudu po dwadzieścia mil dziennie w równych szeregach. Legion wciąż wykorzystywał trębaczy do przekazywania rozkazów, ale Pakorus przeszkolił także kilku ludzi, żeby rozpoznawali sygnały wygrywane przez bębny.

Zapomniany Legion robił teraz naprawdę niesamowite wrażenie, ale w czasie marszu nie było okazji sprawdzenia sprawności bojowej jego żołnierzy, bo nie uczestniczyli oni jeszcze w żadnej potyczce. Legioniści szybko się przekonali, że rozległe pustkowia centralnej Partii zamieszkiwało niewielu ludzi. Nikt jednak nie narzekał. Wszyscy aż nadto dobrze pamiętali, co stało się pod Carrhae.

Kilka tygodni po spotkaniu z karawaną Izaaka opuścili płaski, suchy teren i ujrzeni pasmo wzgórz, pokryte suchymi krzewami i drzewami. Po pokonaniu tej ostatniej bariery legioniści wkroczyli na zielone równiny Margiany. Z wielkim zadowoleniem stwierdzili, że w tej krainie nie brakuje rzek i strumieni, zasilanych wodą płynącą z gór, które otaczały równinę ze wszystkich stron. To była naprawdę żyzna ziemia, którą łatwo dawało się uprawiać. Jakże skrajne przeciwieństwo nieużytków, które zostawili za plecami! Kraina przypominała Romulusowi tę, przez którą podróżowali w drodze z Rzymu do Brundisium.

Bukłaki codziennie można było napełnić świeżą wodą, a w lasach nie brakowało zwierzyny. Przyjemne temperatury nikomu nie mogły dokuczać. Każdego wieczoru żołnierze raczyli się mięsiwem. Partyjscy strażnicy złagodnieli. Życie stało się przyjemniejsze. Uszczupliła się nawet grupa sępów, która podążała w ślad za nimi aż od Seleucji. Któregoś dnia te ptaki już się po prostu nie pokazały.

Bogowie wreszcie obdarzyli legionistów łaską i chyba skierowali swój gniew na kogoś innego.

– Miałeś rację! – Feliks z zachwytem omiatał wzrokiem zieloną scenę. – Rzeki. Żyzna gleba. Gospodarstwa rolne.

– Mówiłem... – odpowiedział Brennus z uśmiechem. – Zaufaj Tarkwiniuszowi.

Feliks pokręcił głową, nie dowierzając własnym oczom.

Maszerowali wśród pól uprawnych i skupisk niskich lepianek. Minęli też kilka większych wiosek, ale Pakorus nie chciał się w nich zatrzymywać. Celowo robił wszystko, żeby legion nie rzucał się w oczy. Tylko raz zatrzymali się na dłużej, spędzając kilka dni w pobliżu małego miasteczka, otoczonego murami obronnymi, które wyglądało jak greckie polis.

Tarkwiniusz i Pakorus wybrali się we dwóch do miasta, składając zamówienia na broń u każdego kowala, jakiego znaleźli. Stal z Margiany znana była z wysokiej jakości i używano jej do konstrukcji zbroi katafraktów. Wrócili trzeciego dnia po południu, prowadząc muły z ładunkiem tysięcy długich włóczni. Broń została natychmiast rozdzielona między połowę żołnierzy. Następnego dnia rano rozpoczęto szkolenie. Legioniści uczyli się nowych manewrów i tworzenia nieznanych wcześniej formacji. Wielu głośno narzekało z tego powodu.

Nikt nie wyjaśniał im, dlaczego to robią, choć Romulus i Brennus mieli swoje podejrzenia. Jak to zwykle bywało, Etrusk zachowywał się niezwykle tajemniczo.

Licząc na jak najszybsze dotarcie do granicy, Pakorus prowadził Zapomniany Legion w kierunku północno-wschodnim na przełaj przez urodzajną krainę dopóty, dopóki nie dotarli do rozległych trawiastych równin. Dziewiczo zielony krajobraz ciągnął się milami po horyzont, ciesząc oczy bogactwem fauny i flory. Stada antylop stały się odtąd codziennym widokiem, a specjalne grupy łowieckie dostarczały armii jeszcze więcej świeżego mięsa. Aby urozmaicić dietę, Romulus i Brennus często łowili ryby w strumieniach.

Od czasu do czasu kolumna natrafiała na obozowiska pełne dużych, okrągłych namiotów ze spiczastymi dachami, wokół których, na pastwiskach zapewniających bujną trawę, pasły się stada koni, owiec i kóz. Zwierząt pilnowali mężczyźni i chłopcy na koniach, przysadziści, o żółtej skórze, ciemnych włosach i skończych oczach – tacy, jak we wcześniejszych opisach Tarkwiniusza.

– To niecodzienny widok, rzeczywiście... – skomentował Brennus, gdy mijali okazałą grupę namiotów – ...ale ci ludzie wydają się pokojowo nastawieni.

Obcy jeźdźcy obserwowali beznamiętnie maszerujące kolumny piechurów. Ich wykonane z podrzędnych materiałów kaftany i spodnie pokrywało jesienne błoto. Byli uzbrojeni w tradycyjne łuki i noże myśliwskie. Rzadko który legionista w ogóle zwracał na nich uwagę. Ludzie zamieszkujący te tereny nie byli dla legionu żadnym zagrożeniem.

Tarkwiniusz skinął głową.

– Osiedli już na tych terenach. Jednak Sogdyjczycy, którzy najeżdżają tę krainę, wyglądają bardzo podobnie.

Brennus przyglądał się płaskim nosom i wysokim kościom policzkowym jeźdźców.

– Założę się, że nigdy nie widzieli takich ludzi jak my...

– Ani człowieka twojej postury! – odezwał się Romulus.

Roześmiali się.

– Ich przodkowie mieli ku temu więcej okazji – Tarkwiniusz był zawsze dobrze poinformowany. – Aleksander założył znajdujące się niedaleko miasto o nazwie Antiochia, które wciąż jest stolicą Margiany. Większość karawan ze Wschodu przechodzi właśnie przez bramy Antiochii.

– Lokalne legendy mówią o dobrze zbudowanych żołnierzach z bladą skórą i jasnymi włosami, którzy nie znajdowali sobie równych na polach bitew – Pakorus słyszał końcówkę wymiany zdań.

Ci, którzy potrafili już zrozumieć język partyjski, rozejrzeli się wokół z zainteresowaniem.

– Grecy! – wykrzyknął Romulus, wyobrażając sobie, jak mogła wyglądać armia, która dotarła tak daleko od domu prawie trzy wieki wcześniej. Jak zawsze takie rozmyślenia przemawiały do jego wyobraźni.

Tarkwiniusz już to wszystko wiedział...

– Ten obszar znajduje się pod naszą kontrolą zaledwie od pokolenia – tłumaczył partyjski oficer. – Lokalni mieszkańcy niespecjalnie nas lubią i często zdarzają się bunty. Z kolei plemiona z północy uważają, że mogą swobodnie wypasać tu swoje konie i płądrować miasta. Zadaniem Zapomnianego Legionu jest udowodnić im, że się mylą.

– Czyli czeka nas wiele bitew, prawda? – w oczach Brennusa pojawił się błysk.

– To całkiem prawdopodobne – zgodził się Pakorus – a na dodatek wcale nie są one znowu takie odległe w czasie.

Romulus poczuł dumę, słysząc w ustach Pakorusa nazwę legionu. Od innych żołnierzy wiedział, że czują to samo co on. Nadal byli rzymskimi legionistami. Wciąż szli za orłem. Pamięć o tożsamości jest kluczowym elementem przetrwania. Bez niej nic by nie znaczyli. Staliby się więźniami bez przyszłości, zesłanymi na krańce ziemi.

– Jesteśmy potrzebni na granicy – powiedział niespodziewanie Tarkwiniusz.

Pakorus aż otworzył usta ze zdziwienia.

– Dziś rano dotarli posłańcy z wiadomością – przyznał ponuro. – Sogdyjczycy przekroczyli granicę. Są ich tysiące. Uderzyli na kilka miast na północ od stolicy. Wszystkie doszczętnie spalili.

– Żołnierze są gotowi, dowódco – Etrusk wskazał tarcze pokryte jedwabiem i długie włócznie. – Gdybym mógł tylko zamienić słowo...

– O co chodzi? – spytał Part podejrzliwie.

– Mam pewien pomysł na niespodziankę dla wroga.

Pakorus skinął głową zachęcająco.

Wszyscy z zapartym tchem obserwowali, jak Etrusk opuszcza szereg, żeby porozmawiać z dowódcą w cztery oczy. Tarkwiniusz wyjaśniał coś, gestykulując rękami, podczas gdy jego rozmówca tylko słuchał. Dyskusja nie trwała długo.

Pakorus rzucił rozkaz, który natychmiast powtórzyli trębacze. Oddziały uzbrojone w tarcze z jedwabiem zatrzymały się w miejscu.

– Oby ten plan się powiódł, wróżbito.

– Powiedzie się – powiedział Tarkwiniusz spokojnie.

Chwilę później zastępca dowódcy poprowadził drugą połowę legionu na zachód, w kierunku Antiochii. Gdy ludzie Tarkwiniusza zdali sobie sprawę, że ich towarzysze nie będą uczestniczyli w czekającej ich bitwie, posypały się obelgi. Maszerujący żołnierze zareagowali na nie śmiechem i drwinami.

– Dokąd zmierzają? – zapytał Feliks.

– Ich zadaniem będzie obrona stolicy – Etrusk się uśmiechnął. – I mają przygotować obóz. Gdy wrócimy, nie trzeba będzie kopać rowów.

– Wrócimy? Skąd? – dociekał podejrzliwie Feliks.

– Znad nadgranicznej rzeki.

Zewsząd słyhać było kolejne pytania, bo ludzie chcieli wiedzieć coś więcej na temat czekającego ich zadania.

Jednak Tarkwiniusz nie odpowiadał, szybko zajmując z powrotem swoją pozycję w szeregu. Wpatrywał się z uporem w horyzont.

Zabrzmiały trąbki i bębny. Oficerowie słuchali rozkazów i wykrzykiwali polecenia. Żołnierze ruszyli. Tysiące podkutych żelazem sandałów znów wytrwale miało trawę.

– Te skurwysyny prawdopodobnie uciekły... – Pakorus wpatrywał się intensywnie w mgiełkę mającą na horyzoncie. – Spóźniliśmy się.

Na południu aż po horyzont rozciągały się równiny pokryte trawami. W oddali majaczyły wzniesienia jakiegoś pasma górskiego. Od czasu do czasu zdarzała się jakaś kępa drzew, która była jedynym urozmaiceniem tej panoramy. Nad głowami żołnierzy spokojnie śpiewały ptaki, konkurując z szumem dźwięków wydawanych przez niezliczone owady. Powietrze zastygło w oczekiwaniu, przenosząc najcichsze

dźwięki na duże odległości. Nieco dalej pasło się stado antylop, które nerwowo zerkąły w stronę żołnierzy. Po chwili zaczęły niespiesznie odchodzić, nie rezygnując jednak z okazji do skubnięcia co smakowitszych kęp traw. Żyzną ziemię oświetlało jasne słońce. W pobliżu nie zauważyli żadnego śladu ludzkich osad. Ten obszar leżał zbyt blisko granicy z Sogdianą.

Czekali na zastępy dzikiego plemienia z nagich stepów.

– Nie ma żadnych śladów ich przejścia – odezwał się uspokajająco Tarkwiniusz.

Partowie zajęli pozycje za długimi szeregami legionistów. Wśród nich znajdowało się kilku sygnalistów z trąbkami i bębniami. Za ich plecami toczyła wody szeroka rzeka o wartkim nurcie. Ślady w błocie w pobliżu miejsca, w którym się zatrzymali, prowadziły prosto ku wodzie. Wszystkie znaki na niebie i ziemi świadczyły o tym, że znajdowali się w pobliżu brodu, który umożliwił bezpieczne pokonanie rzeki. Odciski kopyt wskazywały, że pokonujący bród jeźdźcy poruszali się głównie w kierunku Margiany. Od razu stało się jasne, że w ciągu ostatnich dni niewielu podróżnych udawało się na północ.

Pakorus przyjrzał się uważnie śladom prowadzącym do brodu.

– Sam powiedziałeś, że dotarcie do tego miejsca zajmie im trzy dni.

Pakorus burknął tylko coś z irytacją.

– Na razie na północ wróciła tylko niewielka część armii wroga. – Pomimo łączących ich coraz bliższych relacji Tarkwiniusz starał się odzywać do Parta z należytym szacunkiem.

Pakorus zmienił temat.

– Ludzie dobrze się spisali. Pokonanie ponad pięćdziesięciu mil w dwa dni to nie lada wyczyn. Czy mimo to są gotowi do walki?

– Oczywiście, że tak – Tarkwiniusz wskazał ręką długie włócznie legionistów. Zakończone ostrymi głowniami grube piki były dwukrotnie dłuższe niż standardowe *pila*.

Śniady wojownik pokiwał głową z aprobatą.

– Czy to na pewno jest jedyny bezpieczny bród? – zapytał Etrusk dla pewności.

– Trzydzieści mil w każdym kierunku nie ma innego – Pakorus się skrzywił. – Muszą przejść tędy!

Tarkwiniusz już się nie odzywał. Nie ruszał się nawet. Zamarł bez ruchu na tak długo, że Part zaczął nerwowo wiercić się w siodle. Po naprawdę długiej chwili harusplik rozciągnął usta w uśmiechu.

– Będą tu wczesnym popołudniem – Tarkwiniusz użył prostych słów, ale nikt nie miał wątpliwości, który z tych dwóch mężczyzn ma większą władzę. – Nie później.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Pakorus obserwował skraj nieodległego lasu.

– A ci w ukryciu?

– Nie ruszą, dopóki nie usłyszą sygnału.

Zapadła cisza. Pozostało tylko czekać.

Tarkwiniusz miał rację. Jak zawsze. Słońce właśnie osiągnęło zenit, gdy na horyzoncie pojawiło się kilku pędzących galopem zwiadowców. Krótco po nich w oddali zamajaczyła duża chmura. Obciążeni łupami Sogdyjczycy wracali na swoje ziemie. Mieli być nieostrożni, a nawet aroganczy, bo cieszyli się łupami z zakończonego powodzeniem najazdu. Z rozmowy z Pakorusem wynikało, że jest mało prawdopodobne, iż ktokolwiek im się opierał. Oddziały Partów w Margianie zostały niebezpiecznie przetrzebione i miasta położone na południu musiały zapłacić za to wysoką cenę. Nomadzi raczej nie spodziewali się natknąć na tysiące legionistów, blokujących szlak na północ.

Dziewięć kohort zajęło pozycje obronne w sporej odległości od rzeki. Pięć stanęło w centrum, po dwie na każdym ze skrzydeł. Legioniści ustawili się w rzędach o szerokości sześćdziesięciu i głębokości ośmiu żołnierzy. Mężczyźni w przednich czterech rzędach uzbrojeni byli w długie włócznie, a ci w kolejnych czterech ściskali *pila*. Każda tarcza pokryta została kilkoma warstwami jedwabiu. Pomiędzy jednostkami zostawiono małe odstępy, które dawały swobodę manewrowania, gdyby doszło już do walki. W rezerwie pozostawały oddziały partyjskich wojowników, przesunięte na tyły, oraz dziesiąta kohorta, ukryta w kępie drzew pięćset kroków z przodu i nieco z boku.

Odezwały się *bucinae*, nakazujące przyjęcie szyku bojowego. Kohorty na skrzydłach przesunęły się nieco do przodu, tworząc lekko zagiętą linię obronną. Byli gotowi.

– Nadchodzą! – Romulus próbował zobaczyć coś przez grubą gęstwinę liści. – Tylko że ja nic nie widzę!

– Cierpliwości... – Brennus spokojnie ostrzył swój długi miecz kamienną osetką. Etruskowi jakimś sposobem udało się załatwić zgodę Pakorusa na przekazanie Galowi jego nietypowej broni i wyposażenia. Ten miecz był jego



pamiętką spod Carrhae. Gal nosił go teraz w pochwie przewieszanej przez szerokie plecy, podczas gdy gladius do walki na krótkich dystansach nadal wisiał u jego pasa.

– Jeszcze dużo czasu. Na dodatek nasza rola zaczyna się dopiero pod koniec.

Romulus westchnął. Nigdy wcześniej nie oglądał bitwy z boku. Mały lasek znajdował się na południu od sił głównych. Był na tyle gęsty, że skutecznie ukrywał pięćuset ludzi. Pozostaną w ukryciu aż do chwili, gdy wrogowie uderzą całą siłą na kohorty ustawione w szyku na otwartej przestrzeni.

Żołnierze zajmujący pozycje w gęstwinie palili się do walki. Od miesiący nie brali udziału w żadnym starciu i większość z nich cieszyła się na myśl o jakiejś odmianie. Walczyli razem pod dowództwem Krassusa, bo to był ich obowiązek, ale Carrhae i tysiącpięćsetmiłowy marsz sprawił, że łączyły ich teraz silne więzi braterstwa broni. Byli więźniami, a teraz chętnie będą walczyć i umierać za swoich towarzyszy – bo nikt inny już im nie pozostał.

Dobrze zbudowany dowódca kohorty, noszący imię Darius, należał do grupy tych nieco bardziej sympatycznych Partów. On też usłyszał dźwięk trąbek. Podjechał bliżej i zsiadł z konia, przywiązując jego wodze do niskiej gałęzi.

– Damy tym psom nauczkę – powiedział kiepską łaciną. – Zniechęcimy do plądrowania terytorium Partów.

Romulus wyszczerzył zęby. Niewielu nowych partyjskich dowódców w legionie skłonnych było uczyć się języka swoich żołnierzy, ale Darius był wyjątkiem.

Brennus zamachnął się swoim mieczem.

– Po prostu pozwól nam dorwać tych sukinsynów! – odpowiedział. Przez chwilę zastanawiał się, czy już dotarli na koniec świata. Czas stanąć do walki. *Z wrogiem, z którym nie mógłby wygrać nikt. Nikt poza Brennusem.* Przywołał z pamięci słowa Tarkwiniusza. Jeśli nadeszła ta chwila, Brennus jest gotowy.

Darius cofnął się trochę, wyraźnie onieśmielony ogromnymi mięśniami i dziwną bronią Gala.

– Jesteś Rzymianinem?

– Nie! – Brennus zgarnął ręką swoje warkocze i zarzucił je do tyłu ze złością. – Jestem Allobrogiem! – Part spojrział na niego nierozumiejącym wzrokiem. – Galem. To inne plemię, dowódco.

– Dlaczego walczysz dla Rzymu? Chodzi o pieniądze?

– To długa historia. Byliśmy niewolnikami – Brennus roześmiał się, mrugając do

## Romulusa. – Gladiatorami.

Darius przewrócił językiem, powtarzając nieznane słowo.

– Gla... dia... ..torami?

– Płacili nam za walkę, żeby inni mogli popatrzeć. To taki rzymski sport.

– Zawodowi wojownicy! A teraz jesteście partyjskimi żołnierzami.

Romulus i Brennus wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Sogdyjczycy pojawili się nad rzeką zaraz za zwiadowcami. Z ukrycia Romulus i inni Rzymianie mieli świetny widok na to, co działo się przy brodzie.

Zgodnie z przewidywaniami armia plądrująca pogranicze liczyła kilka tysięcy jeźdźców, poruszających się w długiej kolumnie, szerokiej na piętnastu czy dwudziestu wojowników. Dalej z tyłu znajdowali się pasterze, pilnujący stad uprowadzonych owiec i kóz, żywności zebranej w celu przetrwania nadchodzącej zimy. Żółtoskórzy, czarnowłosi najeźdźcy byli niewielkiej postury. Zatrzymali swoje małe, zwinne koniki całkiem niedaleko linii drzew. Większość z nich nosiła futrzane czapki, skórzane kaftany oraz spodnie. Główną ich bronią były kompozytowe łuki, okrągłe tarcze i miecze. Właściwie każdy koń był mocno obciążony workami z łupami.

Gdy jeźdźcy zbliżyli się na tyle blisko, żeby móc rozpoznać przeciwnika zastępującego drogę, w ich szeregach zapanowała konsternacja. Zaczęli szarpać gwałtownie za lejce i głośno dyskutować. Ich krzyki były wyraźnie słyszalne nawet wśród żołnierzy ukrytych pomiędzy drzewami. Machali ze złością rękami, wygrażali bronią. Nie byli zadowoleni. Uspokoiли się dopiero wtedy, gdy na czele kolumny pojawiła się grupa nowych jeźdźców.

Wydawało się, że dowódcą armii był właśnie jeden z nowo przybyłych, śniady, krępy człowiek z brodą. Gdy przemówił, kłócący się wojownicy natychmiast ucichli. Lider wpatrywał się spokojnie w dziewięć kohort, naradzając się ze swoimi oficerami.

– Nie spodziewał się oporu tak blisko granicy – zaśmiał się cicho Darius. – Od czasu, gdy Orodes usłyszał, że Krassus szykuje się do inwazji, nie było tu żadnego wojska.

Sogdyjski lider nie był tchórzem. Po krótkiej naradzie wykonał gest, wskazując swoim wojownikom rzekę. Grupa dwustu jeźdźców w metalowych hełmach i kolczugach pozostała przy wodzu, a reszta od razu ruszyła po szerokim łuku w stronę linii rzymskiego szyku.

W powietrze wzbilo się stado ptaków, zaskoczonych hałasem kopyt. Jeźdźcy ruszyli na Pomniany Legion z łukami w rękach, na wół naciągniętymi już cięciwami.

Rozległ się kolejny sygnał. Mężczyźni znajdujący się w pierwszej linii opadli na kolana, żeby chronić nogi przed strzałami. Tysiące *scuta* zwarły się z głośnym trzaskiem, gdy każda kohorta tworzyła *testudo*. Formacja w żadnym razie nie wyglądała na śmiertelnie niebezpieczną.

Wojownicy wroga uśmiechali się z pogardą. Naciągnęli cięciwy i gdy znaleźli się w odległości, z której pociski mogły zabijać, rozległy się głośne jęki towarzyszące uwalnianiu strzał. Pociski z sykiem popędziły w kierunku pokrytych jedwabiem tarcz Rzymian. To był okropny dźwięk, przywołujący na myśl rzeź pod Carrhae. Jednak Tarkwiniusz dobrze wytrenował swoich ludzi. W murze tarcz nie było ani jednej szparki.

Pociski zasypały formacje.

Romulus zamknął oczy. Nie mógł na to patrzeć.

Brennus jednak roześmiał się i wykrzyknął.

– Na Belenus! Patrz! – I wyszeptał – udało się...

Z rzymskich linii dobiegł do nich stłumiony ryk. Strzały Sogdyjczyków utkwiły w wielu tarczach, ale żadna nie przeszła na wylot.

Romulus czuł coraz większy entuzjazm. Etrusk opowiedział im wcześniej, co stało się w namiocie, gdzie toczyła się rozmowa o wymianie rubinu na jedwab. Najwyraźniej ten zakup okazał się trafiony.

Gdy legioniści przekonali się, że niemożliwe stało się możliwe, wokół rozległy się podekscytowane szepty.

– Zachować ciszę! – Dariusz rozejrzał się po twarzach zadowolonych Rzymian. – To jeszcze nie koniec.

Mężczyźni uspokajali się, choć przychodziło im to z wielkim trudem.

Dowódca wrogiej armii nie wyglądał na zadowolonego. Rycząc ze złości, wysłał w kierunku Rzymian kolejny oddział. Ponowiony atak nie przyniósł wrogom żadnych sukcesów. Jego wojownicy wycofali się, a żaden legionista nie został nawet drażniony. Większość strzał została zupełnie zmarnowana. Gdy wróg się wycofał, Rzymianie zaczęli uderzać rękojeściami mieczów o *scuta*, szydząc z wroga.

Bród był niedostępny i tym razem nie było karawany wielbłądów, która dostarczałaby strzały Sogdyjczykom.

Nadszedł czas uderzenia ciężkiej jazdy. Wódz wrogiej armii zwrócił się do stojących w pobliżu opancerzonych jeźdźców, a potem wykrzyknął kilka rozkazów skierowanych do łuczników. Rozległy się trzaski opuszczanych osłon ciężkich

hełmów. Jeźdźcy chwycili w dłonie zakrzywione miecze i unieśli wyżej tarcze.

Dariusz wyglądał na zmartwionego. Pod Carrhae Rzymianie dowodzeni przez Krassusa nie oparli się uderzeniom ciężkiej kawalerii. Jednak w oczach Romulusa i Brennusa nie było ani szczypty niepewności. Wielogodzinne ćwiczenia prowadzone przez Etruska właśnie miały przynieść owoce.

Ciężko opancerzeni jeźdźcy uformowali wielki klin, licząc na to, że rozbiją formację wroga i przebiją się do rzeki. Ruszyli z impetem. W ślad za nimi ruszyła cała kolumna.

Tarkwiniusz i Pakorus byli już na to przygotowani.

Romulus widział, jak formacja *testudo* przechodzi transformację, a kohorty zajmujące skrajne pozycje na skrzydłach ruszają do przodu, tworząc wielki wygięty w środku łuk. W każdej kohorcie żołnierze z czterech pierwszych rzędów chwycili za długie włócznie, tworząc żywoplot najeżony ostrymi grotami. Mężczyźni w pozostałych czterech liniach przygotowali się do rzutu oszczepami, które miały spaść deszczem na pierwsze szeregi jeźdźców. Taki szyk bitewny różnił się znacznie od normalnej taktyki stosowanej przez Rzymian w polu.

Sogdyjczycy nigdy nie musieli walczyć z wrogiem w tak zwartej, zdyscyplinowanej formacji. Przeciwnicy, którzy nie uciekali po jednej lub dwóch salwach strzał, zawsze załamywali się po ciosie zadanych przez ciężką jazdę. Ignorując reakcję Rzymian, jeźdźcy pędzili na złamanie karku wśród bojowych okrzyków i zwykłych wrzasków. Wzbijający się w powietrze pył uformował gęste chmury. Nozdrza koni szeroko rozwarły się z wysiłku. Ziemia zadrżała.

– Konie nigdy nie wjadą prosto na taki najeżony ostrzami mur – powiedział pewnie Brennus, wskazując mur metalu i drewna. – Są zbyt inteligentne.

– Ten haruspik jest geniuszem – zawołał Dariusz, gdy zrozumiał, co się za chwilę stanie. – Bitwa pod Carrhae miałaby zupełnie inny przebieg, gdyby wasz generał go wysłuchał.

– Nigdy nie dostał szansy – odpowiedział Romulus z żalem. – Tarkwiniusz był wówczas tylko prostym żołnierzem.

– A teraz walczy dla nas. Powinniśmy dziękować bogom!

Gdy setki wojowników znalazły się tuż przed lasem włóchni rzymskich pozycji, w niebo wzbiał się potężny hałas, w którym dominował wizg koni. Zwierzęta za wszelką cenę próbowały uniknąć śmiertelnych ostrzy. Zapierały się kopytami, wpadając w poślizg na piasku i zrzucając wielu dosiadających ich jeźdźców. Pierwsza linia ławy została jednak wepchnięta na mur ostrzy siłą rozpędu tych galopujących

za ich plecami. Powietrze wypełniły krzyki Sogdyjczyków, którzy rozbijali się na nieprzeniknionej ścianie metalu. Ich rumaki czekał nie lepszy los. W niektórych miejscach linia legionistów cofnęła się pod ciężarem koni i ludzi. Jednak znaczna liczba długich drzewc włóczni wystających do przodu pozwoliła żołnierzom wytrzymać uderzenie. Szarża rozbiła się o rzymskie szeregi jak fala o skały. Dziesiątki wojowników zginęło na miejscu lub zostało rannych, a pozostali kręcili się w kółko bez celu, nie mogąc osiągnąć wroga.

– Czas na naszą odpowiedź! – syknął Brennus. – Tylko ci z przodu mają kolczugi.

Ledwo wypowiedział te słowa, żołnierze z oszczepami cofnęli się i wyrzucili w powietrze swoje śmiertelnie pociski. Ciemna chmura *pila* przesłoniła skupionych na niewielkiej przestrzeni Sogdyjczyków.

Na tak krótkim dystansie i przeciwko ludziom bez zbroi rzymskie oszczyepy zebrały śmiertelne żniwo. Dziesiątki jeźdźców zleciało z koni i zostało stratowanych. Trafione wierzchowce kręciły się w kółko, kopiąc szaleńczo kopytami. Ci, którzy przeżyli, zawrócili i popędzili ku otwartej przestrzeni. Przyzwyczajeni do łatwych zwycięstw nad słabo uzbrojonymi i niezdiscyplinowanymi mieszczanami teraz uznali, że to dla nich za wiele. Ocaleni uciekali ku tyłom, dającym iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa.

Legioniści nie okazali się litościwi dla tych, którzy zostali za plecami uciekających wojowników. Gdy tylko ci odjechali na większą odległość, żołnierze rzucili się przed linię formacji ku stosom ciał, żeby dobić rannych. Gdy poradzili sobie z tym makabrycznym zadaniem, formacja znów została szybko odtworzona i ponownie oczom Sogdyjczyków ukazał się niewzruszony mur z tarcz.

Romulus nie posiadał się z radości. Nowa taktyka zastosowana przez Tarkwiniusza miała rewolucyjny charakter. Gdy wieść o zakończonej niepowodzeniem szarży Sogdyjczyków dotarła do wszystkich żołnierzy ukrytej kohorty, w szeregach dał się słyszeć szmer zadowolenia.

– Ten głupiec spróbuje jeszcze raz – oświadczył Brennus.

Wódz Sogdyjczyków zbierał swoich ludzi, przygotowując się do ponowienia szarży.

– Najbliższy bród znajduje się dzień drogi stąd – wyjaśnił Darius. – Dotarcie do niego trwałoby dłużej, bo mają zmęczone wierzchowce. Zanim zrezygnują, spróbują jeszcze raz. Dokładnie tak, jak chcemy – zwrócił się do znajdujących się niedaleko oficerów. – Przygotować się do ataku!

Trąbki Pakorusa odezwały się dopiero wtedy, gdy wróg pokonał połowę drogi i znajdował się już bliżej legionistów. To był sygnał, na który czekała ukryta kohorta.

– Naprzód! – wykrzyknął Darius, spinając konia. – Biegiem! – Pokłusował między drzewami, wydostając się na otwartą przestrzeń.

Za nim natychmiast podążyli Romulus, Brennus i pięciuset żołnierzy gotowych do walki.

Przeciwnicy skoncentrowali uwagę na pierwszych rzędach Rzymian i nikt z nich nie patrzył do tyłu. Wszyscy pędzili do przodu, a ci w pierwszej linii starali się znaleźć jakąś lukę w długich włóczniach. Gdy dziesiąta kohorta pod dowództwem Dariusza wychynęła z lasu, skrzydła głównej formacji ruszyły do przodu, blokując plemiennym jeźdźcom trzy kierunki ruchu. Bardzo szybko walka toczyła się już na całej linii formacji. Wróg nie miał gdzie uciekać.

Chyba że na południe – tam, skąd przyszedł.

Miecze dzwoniły o obite żelazem krawędzie *scuta*, wzywając żołnierzy do jeszcze większego pośpiechu. Wkrótce odgłosy te przemieszały się z wrzawą walczących i jękami rannych, dźwiękami trąb, wykrzykiwanymi rozkazami. Tak jak w czasie pierwszej szarży, również i teraz większość koni odmówiła posłuszeństwa i próbowała zatrzymać się tuż przed najeżonym ostrzami murem. Tym razem jednak impet szarży sprawił, że kilku jeźdźców przebiło się przez tarcze i mogło wreszcie skrzyżować miecze z Rzymianami. Ich wierzchowce szybko zostały unieruchomione, a jeźdźców ściągnięto na ziemię i unicestwiono. Wielu Sogdyjczyków zaczęło zerkać ku tyłom, szukając drogi ucieczki przed niosącymi śmierć włóczniami. Gdy niektórzy dostrzegli zbliżających się Rzymian, w ich oczach pojawił się wielki strach. Wiedzieli, co stanie się za chwilę.

Dariusz krzyczał, popędzając i zachęcając swoich ludzi do jeszcze większego wysiłku.

– Szybko! Musimy zamknąć lukę!

Twarze żołnierzy poczerwieniały od wyczerpującego biegu w pełnym rynsztunku, z ciężkimi tarczami, jednak legioniści zdwoili wysiłki. Już pokonali ponad połowę odległości dzielącej ich od przeciwnika.

– Szeroka ława! Szerokość stu! Pięć rzędów!

Kohorta płynnie zmieniła formację, nie zwalniając tempa. Niektórzy żołnierze musieli lekko przyspieszyć, inni zwolnili, rozchodząc się w szerokim wachlarzu. Ćwiczyli to do znudzenia, gdy walczyli jeszcze dla Rzymu.

Kilka chwil później pierwsze szeregi dotarły do krawędzi prawej flanki formacji rzymskiej. Większość Sogdyjczyków nadal nie dostrzegała grożącego im niebezpieczeństwa, skupiona na rozpaczliwej walce. Ich dowódca walczył wręcz w pierwszej linii, starając się otworzyć swoim ludziom drogę do rzeki.

Pułapka została zamknięta.

Ludzie Dariusa całkowicie zablokowali drogę ucieczki przed „rogami byka”. Romulus wyszczerzył zęby, przypominając sobie lekcje Cotty. Tarkwiniusz postanowił odtworzyć taktykę zastosowaną przez Hannibala pod Kannami, gdzie zginęło ponad pięćdziesiąt tysięcy Rzymian.

Ciężko oddychając, pomachali do najbliższych żołnierzy z szyku formacji zajmującej pozycję na otwartej przestrzeni.

Tamci z radością unieśli broń w braterskim pozdrowieniu.

Sogdyjczycy byli już martwi, tylko jeszcze o tym nie wiedzieli. W walce na niewielkim dystansie żadna armia na ziemi nie dorównywała rzymskim legionistom. Wiedział to każdy Rzymianin.

Po upokorzeniu pod Carrhae myśl o nieodległym zwycięstwie sprawiała, że żołnierzom szybciej biły serca.

– Zewrzeć szeregi! – młodszy oficerowie popychali ludzi tak, żeby stanęli bliżej siebie. – Naprzód! Biegiem!

Legioniści schronili się za uniesionymi tarczami, pomiędzy którymi zostawiono tylko wąskie szpary na szerokość miecza. Długie włócznie były zbyt nieporęczne, żeby z nimi biec. Nad tarczami widać było jedynie linię zdeterminowanych twarzy w hełmach z brązu. Romulus i jego towarzysze przesuwali się szybko w kierunku wroga, który wreszcie zorientował się, że znalazł się w okrążeniu.

Żołnierze Zapomnianego Legionu usłyszeli teraz krzyki przerażenia.

Stojącemu w rzymskim centrum Tarkwiniuszowi oczy błyszczały z podniecenia.

Niektórzy Sogdyjczycy zawrócili wierzchowce i ruszyli z impetem w kierunku żołnierzy Dariusa. Powitała ich salwa wyrzuconych w biegu *pila*. Wkrótce na polu walki nie było już miejsca, żeby dobrze rozpedzić konie. Kohorty ruszyły do środka, pchając wrogów tarczami i kłując mieczami, które raz za razem zagłębiały się z dołu w czyjeś ciało.

To była krwawa i wyczerpująca praca. Gdy legioniści w pierwszych szeregach kohorty Dariusa zmęczeni się, po prostu zamknęli całkiem ścianę tarcz. Nieprzyjaciel, trzymany w szachu pomiędzy ścianami najeżonego ostrzami muru i ciałami zabitych w coraz wyższych stosach, nie mógł wiele zrobić. Jednak

Sogdyjczycy nie zamierzali się poddać. Część wojowników zeskoczyła z koni. W bitewnym szale przepychali się do legionistów, rozdając ciosy na lewo i prawo.

Romulus zajmował pozycję z Brennusem z jednej strony i Feliksem z drugiej. Każdy legionista był osłaniany przez żołnierza znajdującego się po lewej. Miecz młodzieńca wydawał się w jego ręku żyć własnym życiem, a każdy przeciwnik po krótkiej wymianie ciosów padał na ziemię. Kohorta Dariusa przesuwiała się nieubłaganie do środka, zmniejszając pole manewru Sogdyjczyków uwięzionych w środku. *Gladii* błyskały w magicznym tańcu. Tam i z powrotem. Każde pchnięcie oznaczało głęboką ranę. Krew zalewała ramiona legionistów. Nie można było nie trafić. Krzyki wypełniały powietrze i sprawiały, że rozkazy oficerów i dźwięki sygnałów stały się ledwo słyszalne. To nie miało znaczenia. Synchroniczny ruch wprowadzał w trans, a efektem tych makabrycznych pląsów była absolutnie przerażająca rzeź.

Przeciwnik nie został jeszcze pobity. Dowódcy Sogdyjczyków udało się w końcu zebrać pozostałych pięćdziesięciu wojowników z ciężkiej jazdy, korzystając z miejsca, które zawdzięczali uszczupleniem własnych sił o zabitych już wojowników. Zwrócili się w kierunku południowym i ruszyli prosto na ludzi Dariusa. Jedyną szansą dla nich było rozbicie linii legionistów, którzy nie chronili się za murem z długich włóczni.

Oczy Romulusa rozszerzyły się z niepokoju, gdy uświadomił sobie, że wróg pędzi wprost na nich. Uderzą w nich z ogromnym impetem.

– Ciasny szyk! – ryknął Darius. – Ostatnie szeregi do przodu!

Szczęknęły tarcze, które znów stworzyły nieprzenikniony mur. Ludzie dodawali sobie odwagi, stojąc ramię przy ramieniu. Nikt się nie cofnął. Nawet jeśli się przebija, będzie to tylko incydent na polu bitwy. Wynik tego starcia był już przesądzony.

Wróg był tuż, tuż. Konie zderzyły się ze ścianą tarcz, rozbijając ją na kawałki. Romulus poczuł, że wznosi się w powietrze i jakaś potężna siła odrzuca go na bok. Uderzył głową o ziemię. Na wpół oszołomiony przewrócił się na Feliksa. Przez kilka chwil nie ruszał się, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co dzieje się w jego pobliżu. W którymś momencie uświadomił sobie jednak, że niski Gal potrząsa jego ramieniem i coś krzyczy.

– Brennus! – z oczu Feliksa bił dziki blask. – To Brennus!

Romulus poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Stanął niepewnie na nogach, starając się ogarnąć wzrokiem wir migających mieczy szaleńczych



pojedynków, mężczyzn i pokryte pianą wierzchowce. Ze zdziwieniem stwierdził, że zwarte szeregi Rzymian nie rozstały się przed Sogdyjczykami i nie pozwoliły reszcie jeźdźców wyrwać się z okrążenia. Jednak w samym środku linii kohorty mężczyźni zbili się w jeden wielki kłęb zwierząt i ludzi, walczących o przeżycie. Tam gdzie wbił się klin ciężkiej jazdy, toczyły się indywidualne pojedynki, bo formacja rzymska się rozsypała. Teraz każdy myślał tylko o tym, jak najszybciej usiec najbliższego wroga.

– Tam! – krzyknął Feliks, wskazując coś gorączkowo.

Romulus w mgnieniu oka zrozumiał powagę sytuacji. Brennus również został odepchnięty przez impet uderzenia konnicy i zanim podniósł się z kolan, otoczyło go kilku Sogdyjczyków wciąż nieustających w wysiłkach wyrwania się na wolność. Na Gala nacierało co najmniej dziesięciu wojowników z długimi szablami do walki z siodła. Romulus natychmiast zorientował się, że Brennus wolniej niż zwykle reaguje na ciosy.

– Za mną! – krzyknął. Dostrzegł głęboką ranę na prawym ramieniu przyjaciela. Brennus był przecież praworęczny! – Nie mamy dużo czasu.

Feliks skinął ponuro głową i rzucili się na przeciwników, natychmiast zrzucając dwóch z nich z siodła. Ci natychmiast znieruchomieli na ziemi po szybkich pchnięciach gladiusami. Ich konie zakreśliły się wokół własnej osi i zebrały do biegu, otwierając drogę do miejsca, w którym toczyła się nierówna walka. Romulus chwycił lancę martwego wroga i wbił ją głęboko w bok najbliższego jeźdźcy. Zaparł się i pociągnął ją ku sobie, obserwując, jak wróg z krzykiem pada na ziemię i znika z pola widzenia. Wykorzystał tę samą lancę, żeby unicestwić innego wojownika, zanim stanął oko w oko z wielkim Sogdyjczykiem, który zastąpił mu drogę. Między kolejnymi pchnięciami mieczem Romulus rzucał rozpaczliwe spojrzenia na Brennusa. Gal jeszcze jakoś się trzymał. Ledwo. Zauważył kilka nowych ran na ramionach i twarzy przyjaciela, choć, co dziwne, Brennus wcale nie sprawiał wrażenia przestraszonego.

Romulus szybko dźgnął konia przeciwnika i gdy ten zwałił się na ziemię, pociągając za sobą jeźdźcę, jednym ciosem pozbawił go lewego ramienia. Czy to o tym mówił smutny Tarkwiniusz podczas odwrotu spod Carraha? Brennus umierający samotnie, mimo że wśród towarzyszy? Strach ścisnął jego gardło. To nie może tak być! Nie Brennus. Nie teraz.

Tymczasem Feliks okaleczył kolejnego przeciwnika, a trzech innych zostało zabitych przez legionistów, którzy dołączyli do nich. Na placu boju został tylko

brodaty dowódca i jeden wojownik z jego straży przybocznej. Widząc zbliżających się do niego Romulusa i Feliksa, rzucił swojemu człowiekowi krótki rozkaz i wskazał głową w ich kierunku. Wydawało się, że za wszelką cenę chciał zabić Brennusa.

Gdy specjalnie szkolony koń Sogdyjczyka stanął dęba i machnął kopytami, wielki Gal uśmiechnął się, myśląc, że znajduje się poza jego zasięgiem. Jednak wystarczyło jedno uderzenie końcówką kopyta w przednią część hełmu, żeby Brennus się zachwiał i po chwili opadł na kolana z szklanymi oczyma. Wódz Sogdyjczyków uniósł swoją lancę z okrutnym uśmiechem. Romulus obserwował tę scenę niczym w zwolnionym tempie. Wiedział, co się stanie za chwilę. Jednak przeciwnik blokował mu drogę do Brennusa! Niewiele myśląc, chłopak rzucił się do przodu i zanurkował między kończyzny wierzchowca. Miał nadzieję, że Feliks zobaczy, co się święci, i zajmie wojownika. Romulus nie zwalniał biegu, wyciągając jednocześnie sztylet.

Jakimś niewiarygodnym zrządzeniem losu Brennusowi udało się uniknąć pierwszego ciosu lancą, ale jego reakcje były niewiarygodnie powolne. Kolejny cios będzie ostatnim. Romulus nie wahał się ani chwili. Zamachnął się prawą ręką, po czym wypuścił sztylet, celując w niewielki obszar odsłoniętego ciała powyżej miejsca, w którym kończyła się kolczuga wodza Sogdyjczyków, a poniżej hełmu. Szansa trafienia była znikoma, zwłaszcza że chodziło o ruchomy cel w samym środku toczącej się bitwy.

Jednak ostrze pofrunęło prosto do celu. Dzięki sile i umiejętnościom Romulusa. Dzięki jego miłości do Brennusa. I utknęło głęboko w szyi dowódcy sogdyjskiej armii. Brodaty wojownik runął z siodła na ziemię i umarł.

Romulus głośno odetchnął. Poczul wielką ulgę. Jego serce waliło jak oszalałe. Zdążył. Brennus żyje.

– Romulus? – wymamrotał Gal. Uśmiechnął się szeroko i przewrócił na ziemię, tracąc przytomność.

Młody żołnierz rzucił się do przodu i stanął nad swoim przyjacielem gotowy bronić go przed każdym, kto chciałby zrobić mu krzywdę. Na szczęście w pobliżu nie toczyły się już żadne pojedynki. Napastników, którzy przedarli się przez lukę w murze tarcz, wycięto w pień jeden po drugim. Szybko dołączył do niego Feliks, który wcześniej poradził sobie z jeźdźcem ze straży przybocznej wodza. Mężczyzna leżał tuż obok na krwawym stosie innych ciał.

– Świetny rzut – powiedział niewysoki Gal z szacunkiem. – Myślę, że uratowałeś

mu życie.

Romulus przełknął ślinę, wyobrażając sobie, co by czuł, gdyby chybił. Ale trafił. Roześmiał się szczerze i z całego serca, gdy poczuł, że nic złego nie może się już stać. To był dobry dzień...

Zanim słońce rozpoczęło wędrówkę w dół i za horyzont, dogasały ostatnie walki. Było już po wszystkim. Tylko niewielu wojownikom przeciwnika udało się ocaleć z tego pogromu i przemknąć za rzekę, ale zdecydowana większość najeźdźców nigdy już nie sprawi Margianie żadnego problemu. Zwłoki Sogdyjczyków leżały w stosach między martwymi końmi. Z krwawej masy ciał zwierząt i ludzi wystawały połamane drzewce włócznie i wygięte *pila*. Otwarte usta, wybałuszone oczy, których nigdy już nie przykryją powieki, pętle jelit, wylewające się z otwartych ran brzucha. Wkrótce ciała pokryją chmary much, a ziemia w pobliżu zmieni się w krwawe, pociemniałe błoto. Na niebie już gromadziły się sępy.

Gdy szal bojowy ustąpił zmęczeniu, Romulus z niepokojem wodził wzrokiem po stosach martwych Sogdyjczyków. W końcu tak naprawdę ci ludzie nic złego mu nie zrobili. Ale niewiele mógł na to poradzić. Dopóki on i jego przyjaciele nie byli wolni, musieli walczyć z wrogami Partów, jak przystało na żołnierzy. Teraz wszystko znów sprowadzało się do prostej alternatywy, o której kilka lat temu mówił Brennus. *Zabij lub daj się zabić.*

Milczał, gdy legioniści zebrali się nad brzegiem rzeki. Brennus i inni ranni byli właśnie opatrywani, a pozostali weszli w nurt rzeki, żeby zmyć krew i zaspokoić straszliwe pragnienie. Walka na niewielkim dystansie była naprawdę wyczerpująca.

Pakorus promieniał. Podczas gdy jego ludzie zbierali łupy, sam siedział niewzruszony w siodle, obserwując z zachwytem pobojuwisko.

– Ile mamy ofiar?

– Około trzydziestu, czterdziestu zabitych – odpowiedział Tarkwiniusz. – Kilkudziesięciu rannych. Większość raczej lekko. Przeżyją.

– Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo! – oświadczył Part. W jego głosie znów pojawiła się nuta arogancji. – Orodes będzie zadowolony z zastosowanej przeze mnie taktyki.

Etrusk zaśmiał się cicho pod nosem.

– Inne plemiona dowiedzą się o tym, co tu zaszło – Pakorus machał podekscytowany rękami. – Zastanowią się dwa razy, zanim kiedykolwiek zagrożą Partii.

Tarkwiniusz milczał przez dłuższą chwilę. Potem jednak odezwał się pewnie.

– Król Scytii jest upartym człowiekiem. Wieści o naszym sukcesie nie pokrzyżują jego planów inwazji, do której dojdzie w przyszłym roku.

Uśmiech zniknął z ust Pakorusa.

– Widziałeś to?

– I widziałem też wkraczającą na te ziemie wkrótce potem armię z Indii.

– Ze słoniami?

– Tak.

Dowódca Zapomnianego Legionu zbladł.

– Zazwyczaj udawało nam się odpędzać te potwory – mówił coraz ciszej – zasypując je gradem strzał... – Niewielu łuczników miał teraz do dyspozycji.

Tarkwiniusz patrzył na wschód jakby w oczekiwaniu.

– Masz jakiś plan, wróżbito? – zapytał już mniej aroganckim tonem Pakorus.

– Oczywiście, że mam – haruspiak przewiercał rozmówcę swoimi ciemnymi oczyma. – Ale trzeba będzie zapłacić wysoką cenę...

Pakorus wodził wzrokiem po stosach ciał. Zapadła cisza. Bez Tarkwiniusza nie poradzi sobie z falami najeźdźców zalewających ten kraj.

– Opowiedz mi... – westchnął ciężko.

Późnym wieczorem setki świętujących legionistów wyległy na plac paradny przy północnej bramie obozu. Gdy tylko żołnierze wzniesli wały i wykopali rowy obronne, Pakorus pozwolił cieszyć się wszystkim, szczerze rozdając racje lokalnych trunków. Alkohol zniknął szybko w gardłach żołnierzy, zwycięscy żołnierze bowiem nie oszczędzali się i chcieli jak najszybciej zapomnieć o bitewnym stresie. W celu uzupełnienia nadwątlonych sił i wypełnienia brzuchów część zdobytych owiec znalazła się na rożnach nad wielkimi ogniskami, rozpalonymi przy jednej z krawędzi placu. Nieco zdezorientowani Partowie obserwowali cieszących się Rzymian, zadowoleni, że niedawni więźniowie stawali dziś tak dzielnie dla chwały Królestwa Partii.

Wybuchy śmiechu, głośne rozmowy i śpiew mieszały się w jeden wielki harmider. Pijani żołnierze leżeli pokotem na ziemi, podczas gdy ich towarzysze siłowali się lub grali w kości. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Rzymianie naprawdę mieli powody do radości i zamierzali to wykorzystać.

Żołnierze Zapomnianego Legionu nie wiedzieli, co kryje przyszłość. Prawdopodobnie wszyscy zginą. Ale dzisiaj to ich nie obchodziło.

Medyk założył szwy na rany Brennusa, którego ramię okrywał teraz gruby bandaż. Minie wiele tygodni, zanim będzie mógł znowu walczyć, ale to nie znaczyło, że tej nocy odpuści sobie kilka kubków alkoholu. Obok niego siedział Romulus, który również popijał ze swojego kubka z wyrazem rozanielenia na twarzy, wspominając noc z karczmie Publiusza. Myślał o Julii. Nie wypili jeszcze tyle, żeby nie móc ustać na nogach, i gdy przechodzący Tarkwiniusz na nich skinął i wskazał w kierunku wschodniej bramy, podążyli za nim bez szemrania. Za ich plecami słabły ochryple wrzaski świętujących. Wartownicy zasalutowali i przepuścili ich przez bramę, uśmiechając się szeroko. Po tak wielkiej wiktorii odniesionej tego dnia nikt nawet nie pomyślał o sprzeciwieniu się haruspikowi. Wszyscy wiedzieli, że jemu zawdzięczają zwycięstwo.

Szli w milczeniu wzdłuż brzegu rzeki, dopóki nie oddalili się od pogrążonego w zabawie obozu na wystarczającą odległość. Delikatny wiatr schładzał skórę na ich twarzach i marszczył taflę wody w głównym nurcie rzeki. To była piękna noc, z czystym, lśniącym milionami gwiazd niebem. Daleko na wschodzie ciągnęło się pasmo gór z ośnieżonymi szczytami, które teraz, gdy linii horyzontu nie zniekształcała fala gorąca, prezentowały się w pełnej krasie.

– To góry Qilian – powiedział Tarkwiniusz, który zatrzymał się na trawiastym pagórku. Usiadł i poklepał ziemię obok siebie, żeby zaprosić przyjaciół. Każdy z nich zagłębił się w swoich myślach. Haruspik, wojownik i młody żołnierz siedzieli w ciszy, obserwując spadające gwiazdy. Romulus polubił już to wspólne spędzanie czasu.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że trzeba wielu lat, żeby stać się wielkim wojownikiem? – zapytał nagle Brennus.

Romulus skinął głową, przypominając sobie, jak bardzo chciał zostać najlepszym zawodnikiem w *ludus*. Na tyle dobrym, żeby móc zabić Gemellusa. Wydawało się, że minęły całe wieki. Daleko stąd. W Rzymie.

Gal objął chłopaka umięśnionym ramieniem.

– Widziałem dzisiaj, jak walczysz – powiedział z uśmiechem. – Już prawie jesteś u celu. Jeszcze rok lub dwa, a będziesz lepszy ode mnie.

Romulus zdumiał się.

– Nigdy nie będę tak silny jak ty.

– Silny? Może nie. Ale lepszy. – W oczach Brennusa chłopak dostrzegł szacunek.

Romulus spojrział prosto w oczy przyjaciela.

– Jeśli tak, to dzięki tobie.

Brennus objął go mocniej.

– Jesteś dla mnie jak syn – powiedział dziwnym głosem.

Romulus nie potrafił tłumić emocji. Padł w ramiona Gala.

W ciemności żaden z nich nie widział twarzy Tarkwiniusza. Jednak Romulusowi było wszystko jedno. Czuł ogromną ulgę, ciesząc się, że Brennus przeżył bitwę. Że wciąż był obok niego.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Z wielką przyjemnością słuchali odgłosów wydawanych przez nietoperze, które to nurkowały ostro, to pędziły zygzakami nisko nad falami rzeki. Margiana była bezpieczna. Dzięki zwycięstwu nad Sogdyjczykami odniesionemu przez mężnych żołnierzy Zapomnianego Legionu.

Gdy Romulus uświadomił sobie, że Brennus przeżył bitwę, mimo że przyszło mu się zmierzyć z przeważającymi liczebnie wrogami, zaczął wierzyć w to, że któregoś dnia wrócą razem do Rzymu i odnajdą członków jego rodziny. Dzisiaj wszystko wydawało się możliwe.

Brennus cieszył się z tego, że przepowiednie Ultana i Tarkwiniusza były tak podobne. Jego poczucie winy i ból straty tego wieczoru nie miały już takiej intensywności. Uznał, że pewnego dnia bogowie pozwolą mu na odkupienie win. Ale jeszcze nie teraz i nie tutaj. Gdzieś na końcu świata.

Wspominając Olenusa, Tarkwiniusz zastanawiał się, czy jego misja znalezienia śladów świadczących o pochodzeniu Etrusków została już zakończona. O dziwo, nigdy wielki głód wiedzy od jakiegoś czasu wyraźnie osłabł i harusplik wiedział, że ma to związek z coraz silniejszymi więziami, jakie łączyły go z dwójką towarzyszy. Po odejściu Olenusa myślał, że nikogo nie pokocha tak bardzo, jak swojego mentora. Jednak chociaż Tarkwiniusz nie do końca zdawał sobie z tego sprawę, odważny i wielkoduszny Gal oraz pełen młodzieńczego zapału chłopak z Rzymu stali się dla niego wyjątkowo ważni. Romulus był mu bliski jak... no kto? Syn! Roześmiał się do swoich myśli. Jakie to ludzkie. Jakie... zwyczajne. A przecież... Tak dobrze się z tym czu!

Przyjaciele popatrzyli na Tarkwiniusza pytającym wzrokiem, ale pogrążony w myślach Etrusk nawet tego nie zauważył.

Jak mógłby zapomnieć słowa Olenusa? *Wiele z tego, co wiesz, przekażesz innym.* Romulus przez cały czas był obok niego. Był kimś, komu mógł przekazać tajniki sztuki i swoją wiedzę. Z jego ust wyrwało się ciche westchnienie zadowolenia. W końcu się odezwał.

– Nasza podróż będzie trwać latami – Tarkwiniusz wpatrywał się w horyzont

i przyjaciele spojrzeli w tym samym kierunku.

Na wschód.

– Czekają nas wiele bitew. I będzie nam grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

Przeszły ich ciarki, jednak żaden o nic nie zapytał.

Żyli. Na razie im to wystarczało.

# Komentarz autora

Czytelnicy, którzy posiadają większą wiedzę na temat realiów historycznych czasów, w których dzieje się akcja tej powieści, mogą świetnie zdawać sobie sprawę z tego, że nieco bardziej egzotyczne klasy gladiatorów – *dimachaerii*, *laquearii* i *scissores* – pojawiły się na rzymskich arenach dopiero w okresie imperialnym, a nie wtedy, gdy Rzym był republiką. Postanowiłem je wprowadzić tylko dlatego, że chciałem, aby sceny walk na arenie stały się barwniejsze i bardziej interesujące. Chociaż większość ludzi sądzi, że każda walka gladiatorów toczyła się na śmierć i życie, obecnie historycy podważają ten pogląd, podkreślając, że bardzo często zawodnicy byli po prostu zbyt cenni, żeby można było pozwolić na trwanie ich w każdej walce. Takie walki organizowano tylko przy specjalnych okazjach lub były one ostatnimi pojedynkami dnia.

Innymi głównymi bohaterami mojej powieści – oprócz gladiatorów – są Etruskowie. Ten dość tajemniczy lud kontrolował dużą część środkowej Italii od około 700 r. p.n.e. aż do mniej więcej 450 r. p.n.e., gdy dominującą rolę w regionie zaczęli odgrywać Rzymianie. Mimo że lud ten znajdował się pod wielkim wpływem antycznej Grecji, wiele etruskich zwyczajów nie zostało zaczerpniętych z kultury helleńskiej. Wydaje się, że ich źródła należałoby raczej szukać gdzieś dalej na wschodzie. Naukowcy spierają się na temat pochodzenia Etrusków. Istnieją teorie mówiące o tym, że przybyli do Italii z Lidii, leżącej w zachodniej części Azji Mniejszej, z Egiptu, a nawet że pochodzą z krain położonych jeszcze dalej – w Mezopotamii. Wiemy, że Etruskowie lubili muzykę, taniec, organizowali wielkie uczty i przepowiadali przyszłość z wnętrzości zwierząt ofiarnych. Nazywali siebie „ludem Rasenna”. Bardzo dużą popularnością wśród Etrusków cieszyły się wyścigi konne, zapasy i walki gladiatorów. Mimo że Etruria została podbita i ujarzmiona przez Rzymian, Etruskowie nie zostali zapomniani. Wiele ich zwyczajów zostało przejętych, a następnie było stale rozwijanych przez kulturę cywilizacji rzymskiej.

Wyprawa Krassusa jest wydarzeniem dobrze udokumentowanym historycznie. Rzymski wódz poprowadził wielką armię na wschód, aż do granicy Królestwa Partów, gdzie została ona unicestwiona w bitwie pod Carrhae. Historia wojen Rzymu rzadko notuje tak wielkie klęski. Przywódcy Republiki nie zbagatelizowali jednak wynikających z niej lekcji. Wkrótce jazda stała się integralną częścią każdej



rzymskiej armii. Angielskojęzyczny zwrot *parting shot* (tzn. nieprzyjemna, cięta uwaga na odchodne – *przyp. tłum.*) ma swoje źródło leksykologiczne w terminie „partyjski strzał”, który zrobił tak wielkie wrażenie na żołnierzach Krassusa pod Carrhae.

W wielu relacjach z kampanii Krassusa pojawia się stwierdzenie, że arogancki generał został zabity podczas rzekomych pertraktacji z Partami, ale z myślą o urozmaiceniu fabuły książki pozwoliłem sobie założyć, że wódz armii rzymskiej trafił do niewoli. Szczegóły egzekucji Krassusa mają źródło w legendarnej wręcz chciwości Rzymianina i przypominają sposób uśmiercenia pewnego niepopularnego rzymskiego namiestnika w Azji Mniejszej kilka lat wcześniej.

Z innych źródeł historycznych wiemy, że dziesięć tysięcy pojmanych po bitwie legionistów zostało odesłanych do Margiany, gdzie powierzono im zadanie strzeżenia granicy Królestwa Partów. Można sobie tylko wyobrazić, co czuli tak daleko od domów w czasach, gdy takie odległości musiały robić zupełnie inne wrażenie. Losy tej grupy Rzymian nie są znane, chociaż są tacy, którzy twierdzą, że ludzie ci służyli później jako najemnicy w armii Hunów.

# Słowniczek

*acetum* – kwaśne wino, napój alkoholowy często serwowany rzymskim żołnierzom.

*aedile* (l. mn. *aediles*) – edyl, urzędnik odpowiedzialny za utrzymanie dobrego stanu ulic rzymskich, nadzorowanie przebiegu uroczystości religijnych, zapewnienie porządku publicznego, zapasy kukurydzy i publiczne gry oraz rozrywki dla ludu.

*Aesculapius* – Eskulap, syn Apolla, bóg zdrowia i patron lekarzy.

*amphora* (l. mn. *amphorae*) – duże gliniane naczynie z dwoma uchwyty i wąską szyjką, używane do przechowywania wina, oliwy z oliwek i innych produktów. W starożytności służyło także jako standardowa jednostka pojemności, równa ok. 26 l wina.

*andabatae* – mocno opancerzony jeździec, który walczył na arenie w hełmie bez otworów obserwacyjnych. Ta klasa gladiatorów nie miała łatwego zadania i jeźdźcy tego typu prawdopodobnie pojawiali się na arenie głównie dla rozweselania widzów, a nie jako zawodnicy, od których oczekiwano zwycięstw w walkach.

*as* (l. mn. *asses*) – zdawkowa moneta miedziana, pierwotnie o wartości jednej piętnastej sesterca.

*atrium* – w domach mieszkalnych w starożytnym Rzymie (łac. *domus*) było to duże pomieszczenie, znajdujące się zaraz za komnatą przy wejściu. Najczęściej *atrium* było urządzone z przepychem jako centrum społeczne i religijne domu. W dachu *atrium* znajdował się otwór, a jego nieodzownym elementem był basen (łac. *impluvium*), w którym zbierała się deszczówka.

*auletos* – popularny w Etrurii instrument muzyczny, tzw. podwójny flet. Często można zobaczyć go na mozaikach na ścianach grobowców.

*aureus* (l. mn. *aurei*) – niewielka złota moneta warta 25 denarów. W czasach Republiki i do czasów wczesnego imperium aureusy wybijano raczej rzadko i nieregularnie.

*ballista* (l. mn. *ballistae*) – rzymskie maszyny miotające, które wyglądały jak wielkie kusze na statywie. Urządzenie to działało jednak na nieco innej zasadzie niż kusza, tj. z wykorzystaniem energii ciasno skręconej liny konopnej, przytrzymującej ramię wyrzucające. *Ballistae* różniły się wielkością – mogły mieć rozmiar człowieka (w wersjach mobilnych), mogły też być ogromnymi urządzeniami, wymagającymi wozów i mułów do transportu. Pociskami stosowanymi w *ballistae* były strzały lub kamienie, trafiające w cel z wielką siłą i precyzją. Ulubione rodzaje tych maszyn wojennych dzielono na takie urządzenia, jak onager (tj. dziki osioł azjatycki, znany z potężnego kopnięcia) czy skorpion (posiadający śmiertelny kolec jadowy).

*basilicae* – ogromne kryte hale targowe, które budowano na rzymskich forach. W budynkach tych znajdowały się także sale, w których obradowały sądy, ustawiano stoiska handlowe i pracowali urzędnicy miejscy. W *basilicae* zbierały się sądy na potrzeby publicznych rozpraw, a prawnicy, skrybowie i lichwiarze rozstawiali niewielkie stragany. Wiele oficjalnych komunikatów podawano do wiadomości właśnie w *basilicae*.

*Belenus* – galijski bóg światła, był także bogiem opiekującym się bydłem i owcami.

*bestiarius* (l. mn. *bestiarii*) – ludzie, którzy polowali na dzikie zwierzęta wykorzystywane na arenie w Rzymie. Choć to zajęcie zaliczało się do bardzo niebezpiecznych, było również bardzo lukratywne. Im bardziej egzotyczne łapano zwierzęta – słonie, hipopotamy, żyrafy i nosorożce – tym więcej można było zarobić. Trudno sobie obecnie wyobrazić, jak wielkich nakładów pracy wymagało takie zajęcie i związane z nim zagrożenia. Zwierzęta trzeba było złapać i przetransportować z naturalnych siedlisk do Rzymu. W późniejszych czasach termin *bestiarii* stosowano wymiennie z *venatores*.

*bucellatum* – twarde suchar, będący standardowym produktem spożywanym przez żołnierzy rzymskiej armii w czasie kampanii. Przyrządzano go z mąki, soli, oliwy z oliwek i jak najmniejszej ilości wody. *Bucellatum* wypiekano w piecach tak, żeby tworzyły twarde, suche „ciastka”.

*bucina* (l. mn. *bucinae*) – trąbka wojskowa. Rzymianie używali wielu typów instrumentów muzycznych – trąb, trąbek, rogów. Były one wykorzystywane do wielu celów: budzenia wojska każdego ranka, nakazania szarży, przekazania rozkazów zatrzymania jednostki lub rozpoczęcia odwrotu. Nie mamy pełnej wiedzy na temat tego, jak w praktyce wykorzystywano różne instrumenty muzyczne, np. czy wszystkie razem, czy jeden po drugim. Dla uproszczenia przekazu opisuję użycie tylko jednego z nich – *bucina*.

*bullae* (l. mn. *bullae*) – wisiołek wykonany w formie zaokrąglonego pudełka z ukrytym wewnątrz amuletem. Miał chronić nowo narodzone dziecko przed złymi duchami. *Bulla* była przekazywana w prezencie i noszona przez chłopców aż do osiągnięcia wieku dorosłego, a przez dziewczęta do ślubu. Biedniejsi obywatele nosili *bullae* wykonane ze skóry lub tkaniny, a bogatsi rodzice ofiarowywali wisiorzki wykonane ze złota.

*caldarium* (l. mn. *caldaria*) – w rzymskich łaźniach pomieszczenie, w którym panuje bardzo wysoka temperatura. Pełniło funkcję analogiczną do współczesnych saun. W większości *caldaria* znajdował się również basen z gorącą wodą. *Caldarium* ogrzewano gorącym powietrzem, które przepływało przez wydrążone cegły w ścianach i pod podłogą. Źródłem ciepła było *hypocaustum*, gorący piec z ogniskiem, podtrzymywany przez niewolników.

*caligae* – ciężkie skórzane sandały noszone przez rzymskich żołnierzy. Buty wykonane były z trzech warstw: podeszwy, wkładki i części górnej. Przypominały otwarte sandały współczesne. Paski można było regulować tak, żeby ściślej obejmowały stopę. Dziesiątki metalowych ćwieków na podeszwie dawały sandałom dobrą przyczepność, można je było również wymieniać w razie potrzeby. W chłodniejszych strefach klimatycznych (np. na terenach obecnej Wielkiej Brytanii) legioniści używali także specjalnych onuc, przypominających skarpetki.

*casus belli* – uzasadnienie prowadzenia działań wojennych.

*cella* (l. mn. *cellae*) – prostokątna, centralnie położona komnata w świątyni poświęconej bogu. Zwykle w środku znajdowała się statuetka lub pomnik odpowiedniego bóstwa oraz ołtarz.

*Cerberus* – potworny trójgłowy pies, który strzegł wejścia do Hadesu. Nie bronił duchom zmarłych wejścia, ale żadnego nie wypuszczał.

*collegia* – dawniej były to zgromadzenia przedstawicieli cechów rzemieślników, które znaleźć znajdowały się na każdym skrzyżowaniu w Rzymie. Były one zaskakująco egalitarne, otwarte zarówno dla obywateli, jak i niewolników czy wyzwolenców. W związku z rzekomymi powiązaniem z przestępczością zorganizowaną *collegia* zostały zlikwidowane w 64 r. p.n.e., jednak już w 58 r. p.n.e. zostały umiejętnie reaktywowane oraz zreorganizowane, zyskując formę przypominającą oddziały wojskowe, przez trybuna ludowego Klodiusza Pulchera. Jako patron *collegia* Klodiusz zdobył kontrolę nad rzymskimi ulicami.

*congiaria* – darmowe dystrybucje zboża i pieniędzy dla ubogich.

*consul* – jeden z dwóch najwyższych rangą urzędników miejskich wybieranych co roku, powołanych przez obywateli Rzymu i ratyfikowanych przez senat. W praktyce ludzie na tym stanowisku współrządzili Rzymem przez dwanaście miesięcy, podejmując decyzje w sprawach cywilnych i wojskowych. Konsul dowodził także wojskami Republiki podczas wojny. Każdy konsul mógł sprzeciwić się decyzjom podjętym przez drugiego, ale obaj mieli wykonywać wolę senatu. Nikt nie mógł pełnić funkcji konsula więcej niż jeden raz, ale do końca II w. p.n.e. wpływowi arystokraci, tacy jak Mariusz, Cynna i Sulla, w praktyce sprawowali tę funkcję przez wiele lat. To niebezpiecznie osłabiło rzymską demokrację.

*contubernium* – grupa ośmiu legionistów, którzy mieszkali w tym samym namiocie i wspólnie spożywali posiłki.

*cursus honorum* – ścieżka kariery dla przedstawicieli arystokracji rzymskiej. Teoretycznie kolejnych etapów na tej ścieżce nie można było przeskakiwać. Rzymianin z wyższych klas często rozpoczynał karierę służbą wojskową jako oficer sztabowy. Zanim nastały rządy Sulli, podniesiono limity wiekowe w celu spowolnienia zmian i uniknięcia sytuacji, w której wielu ambitnych młodych oficerów przechodziło na kolejne szczeble kariery po zakończeniu służby wojskowej. Po tych zmianach kwestorem można było zostać dopiero w wieku lat trzydziestu, pretorem po osiągnięciu wieku trzydziestu dziewięciu lat, a następnie,

jeśli dopisało komuś szczęście, trzy lata później objąć stanowisko konsula. Choć sprawowanie przez jakiś czas funkcji edyla i trybuna nie było konieczne do osiągnięcia najwyższych pozycji w rzymskiej hierarchii, przydawały się w *curriculum vitae* tym, którzy zamierzali piąć się po szczeblach *cursus honorum*.

*decurion* – oficer jazdy dowodzący dziesięcioma ludźmi. Później *decurion* dowodził *turma*, jednostką liczącą ok. trzydziestu jeźdźców.

*denarius* (l. mn. *denarii*) – podstawowa moneta Republiki, wykonana ze srebra i równa czterem sestercom albo dziesięciu asom (później szesnastu asom). Rzadziej używany złoty aureus był wart 25 denarów.

*dimachaerus* (l. mn. *dimachaerii*) – gladiator z czasów późnego imperium, który walczył bez tarczy, ale posługując się dwoma mieczami i nożami. Niewiele więcej wiadomo na temat zawodników tej klasy.

*Disciplina Etrusca* – starożytne księgi etruskie zawierające wiedzę o przepowiadaniu przeszłości przez haruspików. Istniały trzy tomy *Disciplina Etrusca: Libri Haruspicini* – księga omawiająca wróżenie z narządów zwierząt, *Libri Fulgurates* – opisująca interpretację grzmotów i błyskawic oraz *Libri Rituales* – zawierająca informacje na temat etruskich rytuałów i konsekracji świątyni, miast i armii. Rzymianie ukradli wiele egzemplarzy tych ksiąg podczas plądrowania miast etruskich. Uważali je za niezwykle cenne i trzymali pod kluczem w świątyni Jowisza w Rzymie. Zaglądano do nich tylko wtedy, gdy Rzym był w trudnej sytuacji. Każdy, kogo przyłapano na próbie lektury lub wykorzystywania zawartej w księgach wiedzy bez zgody, był karany zaszcieniem w worku, który wrzucano do Tybru.

*domus* – willa zamożnego Rzymianina. Zazwyczaj była skierowana do wewnątrz, to znaczy wszyscy obserwujący willę z zewnątrz widzieli tylko okalające ją mury. *Domus* zbudowany był na planie długiego prostokąta z dwoma źródłami światła słonecznego – z wewnętrznego *atrium* na przedzie i otoczonego kolumnami ogrodu w tylnej części domu. Części te rozdzielało duże pomieszczenie zwane *tablinum*. Wokół *atrium* znajdowały się sypialnie, biura, magazyny i kapliczki poświęcone przodkom, a izby wokół ogrodu zwykle służyły do organizowania przyjęć i ugaszczania gości.

*editor* (l. mn. *editores*) – sponsor *munus*, turnieju gladiatorów. Dawniej walki gladiatorów były obowiązkowym rytuałem ku czci zmarłych, później – już za czasów Republiki – stały się jednym ze sposobów uzyskiwania poparcia ludu rzymskiego. Przepych takiego spektaklu szedł w parze z pragnieniem editora, aby zadowolić tłumy.

*equites* – ekwici, „jeźdźcy”, klasa średnia rzymskiego społeczeństwa, składająca się pierwotnie z obywateli, którzy mogli sobie pozwolić na kupno konia i wyposażenie kawalerzysty we wczesnej armii rzymskiej. Po kilku wiekach, w późnych latach Republiki, tytuł nie miał już nic wspólnego z rzeczywistością, został przyjęty przez nobili, którzy zajmowali pozycję poniżej klasy senatorów. Niektóre rodziny senatorów również wołały być nazywane ekwickimi.

*familia* – po złożeniu przysięgi gladiator stawał się członkiem *familia gladiatoria*, małej grupy towarzyszy broni, będącej jedyną rodziną zawodnika często aż do śmierci.

*fascēs* – wiązka różg powiązanych ze sobą i z zatkniętym w niej toporem. Stanowiły symbol sprawiedliwości, noszony przez liktorów, grupę strażników przybocznych, którzy towarzyszyli wszystkim najważniejszym urzędnikom. Całkiem prawdopodobne jest to, że zwyczaj ten również ma korzenie etruskie, a wiązki różg symbolizują prawo władz do karania tych, którzy te prawa łamią.

*Fortuna* – bogini szczęścia i pomyślności. Podobnie jak wszystkie bóstwa była kapryśna.

*frigidarium* (l. mn. *frigidaria*) – pomieszczenie w łaźniach rzymskich, w którym znajdował się basen z zimną wodą. Zazwyczaj usytuowane było na końcu kompleksu łaźni.

*gladius* (l. mn. *gladii*) – niewiele wiadomo na temat „hiszpańskiej” wersji miecza armii Republiki, tzw. *gladius hispaniensis*, wyróżniającej się przewężeniem ostrza w kształcie liścia. Dlatego w książce odwołuję się do „wzoru pompejańskiego”, którego kształt wydaje się znany większości czytelników. Była to broń krótka, o prostym ostrzu licząca 420–500 mm, zakończonym sztychem w kształcie litery „V”, i szerokości w granicach 42–55 mm. Gladius był bardzo dobrze wyważoną bronią, służącą

zarówno do kłucia, jak i cięcia. Rękojeść, wykonana z kości, zabezpieczona była głowicą i drewnianą okładziną. Miecz zwykle noszono po prawej stronie, a tylko centurioni i wyżsi oficerowie mieli prawo nosić go po lewej stronie. Łatwo było wyciągnąć go z pochwy prawą ręką, a prawdopodobnie umieszczano go w tym miejscu z uwagi na lokalizację *scutum*.

*haruspex* (l. mn. *haruspices*) – wróżbita, wieszcz. Człowiek przeszkolony do przepowiadania przyszłości na wiele różnych sposobów: z wnętrzości zwierzęcych, kształtów chmur i lotu ptaków. Wątroba – uważana za narząd produkujący krew, a zatem samo źródło życia – była także podstawowym źródłem wiedzy haruspików. Co więcej, wiele naturalnych zjawisk przyrody – grzmoty, błyskawice, wiatr – mogło być wykorzystywanych do interpretacji teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. Wątroba z brązu, wspomniana w książce, naprawdę istnieje. Została znaleziona na polu w pobliżu Piacenzy we Włoszech w 1877 r.

*hora quarta* – czwarta godzina dnia; *hora undecima* – godzina jedenasta. Czas wg rachuby rzymskiej został podzielony na dwa okresy dwunastogodzinne – dzienny i nocny. Pierwsza godzina dnia, *hora prima*, zaczynała się o wschodzie słońca. Posługując się tym systemem, trzeba było się liczyć z pewnymi problemami w synchronizacji czasu. Podstawowym instrumentem służącym do określania pory dnia był zegar słoneczny, co oznaczało, że godzina zależała również od lokalizacji, tj. szerokości geograficznej miejsca pomiaru. W związku z tym czas rzymski różnił się od tego na Sycylii, leżącej daleko na południu. Ponadto różne długości dnia, zmieniające się w ciągu roku, oznaczały, że letnia godzina była dłuższa niż godzina w zimie. Musimy więc przyjąć, że w czasach starożytnych bardzo elastycznie podchodzono do kwestii ustalania czasu. Rzymianie opracowali również klepsydrę, czyli tzw. zegar wodny. Umieszczając wodę w przezroczystym naczyniu połączonym, o mierzalnej, regularnej wartości odpływu, możliwe było oznaczenie zmiany poziomu wody podczas każdej godziny dnia, aby następnie wykorzystać urządzenie do pomiaru upływającego czasu w nocy lub we mgle.

*hypocaustum* – system ogrzewania łaźni rzymskiej, którego najważniejszym elementem był piec, rozpalany z zewnątrz pomieszczenia. Dzięki kanałom powietrznym umieszczonym w podłodze i ceglanych kolumnom nośnym, oddzielającym podłogę łaźni od ziemi, możliwe było podgrzewanie gorącym powietrzem wybranych



pomieszczeń. Zdarzało się również, że dzięki pustym w środku kanałom wyłożonym płytkami ogrzewane były ściany.

*insulae* (l. poj. *insula*) – wysokie (trzy-, cztero- lub nawet pięciokondygnacyjne) budynki, w których mieszkała większość rzymskich obywateli. Już w 218 r. p.n.e. Liwiusz zapisał historię o wołu, który uciekł z rynku i wspiął się po schodach *insula* na trzecie piętro, wyskoczył i nie przeżył upadku. Na najniższym piętrze takich budynków często znajdowała się jakaś karczma lub sklep, do którego można było wejść prosto z ulicy dzięki otwieranym na oścież dużym, zwieńczonym łukiem drzwiom. Sprzedawca i jego rodzina mieszkali i spali w pomieszczeniach znajdujących się nad sklepem (karczmą). Wyżej były *cenaculae*, czyli mieszkania przeznaczone dla plebejuszy. Ciasne, słabo oświetlone, ogrzewane tylko dzięki opalanym osobiście piecykom i często niebezpieczne z punktu widzenia konstrukcji, *cenaculae* nie zapewniały ani bieżącej wody, ani urządzeń sanitarnych. Do mieszkań tych można było dostać się po lekkich schodach, osadzonych na ścianach budynku.

*Iuppiter* – Jowisz, często określany jako *Optimus Maximus* (największy i najlepszy), był najpotężniejszym z bogów rzymskich, rządził pogodą, sprowadzał burze. Był bratem i mężem Junony.

*Iuno* – Junona, siostra i żona Jowisza, bogini małżeństwa i kobiet.

*lacerna* (l. mn. *lacernae*) – pierwotnie płaszcz wojskowy, zazwyczaj w ciemnym kolorze. Wykonany z barwionej wełny płaszcz z kapturem był lekki i otwarty z obu stron.

*lanista* (l. mn. *lanistae*) – trener gladiatora, często właściciel *ludus*, szkoły gladiatorów.

*laquearius* (l. mn. *laquearii*) – mało znana podklasa zależna od *retiarius*a. Gladiator uzbrojony w taki sam sposób jak *retiarius* prawdopodobnie walczył za pomocą trójzębu, ale zamiast sieci używał *lassa*.

*latifundium* (l. mn. *latifundia*) – latyfundium, duża nieruchomość rolna z farmą, zazwyczaj własność rzymskiego arystokraty, w której wykorzystywano do prac dużą liczbę niewolników. Latyfundia pojawiły się w II w. p.n.e., kiedy rozległe obszary

Italii zostały skonfiskowane przez Rzym kosztem innych podbitych nacji, takich jak Samnici.

*liburnae* – okręt szybszy i mniejszy niż trirema. Liburna była zmodyfikowaną przez Rzymian konstrukcją wykonywaną przez lud Liburnian z *Illyricum* (współczesna Chorwacja). Z uwagi na dwa rzędy wiosł określano go raczej jako dierę niż triremę. Napędzana była żaglem, wiosłami lub korzystała z obu rozwiązań w tym samym czasie.

*licium* – lniana „bielizna” noszona przez rzymskich nobili. Bardzo prawdopodobne, że wszyscy rzymscy obywatele nosili jakieś wersje takiej bielizny, w odróżnieniu bowiem od Greków Rzymianie nie uważali za stosowne pokazywać się publicznie nago.

*lictor* (l. mn. *lictiores*) – straż osobista wyższych urzędników rzymskich. Pracę tego typu mogli otrzymać tylko dobrze zbudowani i sprawni fizycznie obywatele rzymscy, ponieważ polegała ona zasadniczo na ochranianiu konsulów, pretorów i innych wysokich rangą urzędników. Liktory towarzyszyli dostojnikom niemal ciągle podczas publicznych wystąpień. Liczba strażników różniła się w zależności od funkcji wypełnianej przez ochranianego. Każdy *lictor* niósł *fascēs* – symbol sprawiedliwości – wiązki różg z wsuniętym między nimi toporem. Do innych obowiązków liktorów należały aresztowania i karanie złoczyńców.

*lituus* – niewielka zakrzywiona laska noszona przez haruspików. Była symbolem ich statusu i wykorzystywano ją podczas różnych rytuałów.

*ludus* (l. mn. *ludi*) – szkoła gladiatorów.

*manica* (l. mn. *manicae*) – osłona ręki (tzw. naręczak) wykorzystywana przez gladiatorów. Zazwyczaj wykonana z trwałych materiałów, układanych z kilku–kilkunastu warstw, takich jak wytrzymałe płótno i skóra lub metal.

*manumissio* – w okresie Republiki akt uwolnienia niewolnika był w rzeczywistości dość skomplikowany. Wyzwolenia można było dokonać na jeden z trzech sposobów: przez wniosek do pretora, podczas ceremonii ofiarowania *lustrum*, którą

organizowano co pięć lat, lub w testamencie odczytywanym po śmierci właściciela niewolnika. Niewolnik nie mógł zostać wyzwolencem, zanim nie osiągnął wieku co najmniej trzydziestu lat lub miał jakieś obowiązki wobec swojego byłego właściciela. W czasach imperium proces uwolnienia był o wiele prostszy. Możliwe stało się wyzwolenie niewolnika poprzez ustne oświadczenie podczas uczty, a goście mogli pełnić funkcję świadków. Dlatego scena, w której pozwalam Brutusowi uwolnić Fabiolę podczas prywatnej rozmowy, jest efektem swobody twórczej autora.

*Mare Nostrum* – dosłownie „nasze morze”, stosowane przez Rzymian potoczne określenie Morza Śródziemnego.

*Mars* – bóg wojny. Wszystkie łupy wojenne konsekrowano dla niego, a żaden rzymski dowódca nie rozpoczynał kampanii bez wcześniejszej wizyty w świątyni Marsa w celu poproszenia o ochronę i błogosławieństwo.

*Minerva* – bogini wojny, a także patronka mądrości.

*modius* (l. mn. *modii*) – oficjalna rzymska miara objętości produktów suchych równa ok. 8,6 l. Aby uniknąć nadużyć, wszystkie miary i wagi (mokre i suche) w Rzymie zostały ujednolicone.

*modus operandi* – sposób pracy lub metoda działania.

*munus* (l. mn. *munera*) – walki gladiatorów, pierwotnie organizowane podczas obchodów związanych z uczczeniem zmarłego. Ich popularność sprawiła, że w ostatnich latach Republiki *munera* były organizowane regularnie i opłacane przez konkurujących ze sobą polityków w celu zdobycia popularności, przychylności opinii publicznej i przyćmienia przeciwnika.

*murmillo* (l. mn. *murmillones*) – jedna z najbardziej znanych klas gladiatorów. Wykonany z brązu hełm *murmillo* był bardzo charakterystyczny. Wyróżniał się szerokim rondem, wypukłą płytą czołową z otworami kratownicy w okolicach oczu. Hełm był często zdobiony na grzbiecie lub miał kształt ryby. *Murmillo* osłaniał prawe ramię *manica*, a na lewą nogę zakładał nagołenniki. Podobnie jak legionista, posługiwał się w walce ciężką prostokątną tarczą i uzbrojony był w gladius. Ubrany był jedynie w *subligaria*,

tj. misternie składaną płócienną bieliznę, oraz *balteus*, szeroki pas ochronny. W czasach republikańskich najczęściej jego przeciwnikiem na arenie był *secutor*, a później *retarius*.

*olibanum* – kadzidło na bazie aromatycznej żywicy, stosowane jako środek zapachowy, ale także i perfumy. W starożytności *olibanum* było wysoko cenione, a najlepsze podobno sprowadzano z obszaru obecnego Omanu, Jemenu i Somalii.

*optio* (l. mn. *optiones*) – podoficer w stopniu niższym od centuriona; zastępca dowódcy centurii.

*palus* – drewniana kolumna o wysokości 182 cm, mocno osadzona w ziemi. Korzystali z niej szkolący się w walce mieczem gladiatorzy i legionieści.

*Periplus* (z Morza Erytrejskiego) – bezcenny dokument, który powstał około I w. n.e. Najpewniej napisany przez kogoś dobrze obeznanego z geografiami, gdyż opisuje on nawigację i rynek kupiecki na obszarze całego wybrzeża Morza Czerwonego, aż po wybrzeża wschodniej Afryki, a nawet daleko na wschód, po tereny obecnych Indii. Autor opisuje bezpieczne przystanie, niebezpieczne miejsca i najlepsze punkty handlowe, gdzie można kupić cenne dobra, takie jak żółwie pancerze, kość słoniową i przyprawę. Na potrzeby fabuły pozwoliłem sobie zmienić nieco jego pochodzenie i zawartość.

*petteia* – w jednym ze znaczeń „kamyczki”. Dawna grecka gra planszowa, którą rozgrywano na różnej wielkości planszach za pomocą czarnych i białych pionków, rozstawianych na początku rozgrywki na przeciwległych krawędziach. Gra wymagała umiejętności logicznego myślenia, a jej celem było przejście lub unieruchomienie pionków przeciwnika poprzez umieszczenie ich pomiędzy własnymi.

*phalera* (l. mn. *phalerae*) – rzeźbiona płytką, będąca odpowiednikiem medalu nadawanego za odwagę. Noszona zwykle przez rzymskiego żołnierza na pasie piersiowym na zbroi. *Phalerae* były najczęściej wykonywane z brązu, ale dość często także z metali szlachetnych.

*pilum* (l. mn. *pila*) – rzymski oszczep. Składał się z długiego drzewca (ok. 120 cm)

i cienkiego żeleźca (ok. 60 cm), zakończonego hartowanym sztychem w kształcie stożka lub piramidki. Oszczep był bronią ciężką i po wyrzucie punkt ciężkości znajdował się za sztychem, co po uderzeniu w cel przekładało się na wielką siłę penetrującą oszczepu. Mógł przebić tarczę i zranić chroniącego się za nią człowieka lub utkwić w niej, czyniąc ją bezużyteczną. Zasięg *pilum* wynosił ok. 30 m, choć skuteczny zasięg był prawdopodobnie mniejszy, ok. 15 m.

*praetor* – wyższy urzędnik, który odpowiadał za organa wymiaru sprawiedliwości w Rzymie oraz w posiadłościach zamorskich, np. na Sardynii, Sycylii i w Hiszpanii. Mógł również sprawować funkcje wojskowe i miał inicjatywę ustawodawczą. Jako pierwszy zastępca konsula pretor zwoływał posiedzenia senatu w czasie jego nieobecności.

*Priapus* – bóg ogrodów i pól, symbol płodności. Był często przedstawiany z ogromnym penisem we wzwodzie.

*quaestor* – administratorzy i asystenci wyższych urzędników rzymskich. Wybieranym przez senat kwestorom powierzano przede wszystkim odpowiedzialność za finanse państwa. Kwestura była często pozycją wyjściową do rozpoczęcia *cursus honorum*, po jej sprawowaniu arystokrata mógł starać się o miejsce w senacie.

*retarius* (l. mn. *retarii*) – sieciarz, gladiator z trójzębem i siecią (nazwa pochodzi od *rete*, czyli sieci), również jedna z łatwo rozpoznawalnych klas gladiatorów. *Retarius* nosił tylko *subligaria*, a jego jedyną ochroną był tzw. *galerus*, metalowy naramiennik, który łączył się z noszonym na lewym ramieniu naręczakiem, zwanym *manica*. Posługiwał się obciążoną ciężarkami siecią, trójzębem i sztyletem. Dzięki temu, że nie obciążała go broń, sieciarz był znacznie bardziej zwinny i mobilny niż wielu innych gladiatorów, a bez kasku był również łatwo rozpoznawalny. Słabe uzbrojenie można wiązać z jego niskim statusem wśród gladiatorów.

*rudis* – drewniany gladius, symbol wyzwolenia gladiatora, który spodobał się edytorowi lub który odniósł na arenie wystarczająco dużo zwycięstw, aby zostać uwolnionym. Nie wszyscy gladiatorzy kończyli swoje życie na arenach. Zwykle nikt nie uwalniał jeńców wojennych czy przestępców, ale niewolnicy, którzy popełnili jakieś wykroczenie, mogli liczyć na *rudis*, jeśli przeżyli trzy lata w *ludus*. Po kolejnych

dwóch latach mogli liczyć na całkowite wyzwolenie (przestawali być niewolnikami).

*sammis* – klasa gladiatorów, która swoją nazwę zawdzięcza Samnitom, czyli ludowi, który zajmował tereny w środkowych Apeninach i został pokonany ostatecznie przez Rzymian w III w. p.n.e. W niektórych opisach czytamy o tym, że samnicy nosili na piersi metalowe dyski, podczas gdy na niektórych wizerunkach ukazani są gladiatorzy z nieosłoniętą piersią. Głowę gladiatora tej klasy osłaniał hełm z zasłoną i pióropuszem lub kitą, brzuch – typowy, szeroki pas, a mężczyzna uzbrojony był w owalną tarczę i zazwyczaj walczył włócznią.

*scissores* – tajemniczy typ gladiatora wschodniego imperium, prawdopodobnie jakiś wariant klasy *murmillio*. Wydaje się, że historycy różnią się w opiniach na temat broni, jaką posługiwali się *scissores*. W celu uniknięcia kontrowersji pozwoliłem sobie uzbroić Sekstusa i jego towarzyszy w topory bojowe.

*scutum* (l. mn. *scuta*) – wydłużona, owalna tarcza rzymskiego legionisty, o rozmiarach 120 cm wysokości i 75 cm szerokości. Wykonywana z dwóch warstw drewna, które ustawiano prostopadłe do siebie, a potem pokrywano płótnem lub skórą. *Scutum* były ciężkimi tarczami o wadze 6–10 kg. W środku tarczy znajdowało się duże wybrzuszenie zwane *umbo*, chroniące uchwyt znajdujący się po jej drugiej stronie. Na powierzchni tarczy często malowano różne dekoracyjne motywy, a gdy nie była ona używana (np. podczas marszu), chroniono ją skórzaną osłoną.

*secutor* (l. mn. *secutores*) – „ścigający”, klasa gladiatora. Zwany także *contraretiariusem*, *secutor* walczył zazwyczaj z sieciarzem. Właściwie jedyną różnicą między *secutorem* a *murmillio* było używanie hełmu o gładkiej powierzchni, bez wystających krawędzi i tylko z małym grzebieniem, co prawdopodobnie miało utrudniać zadanie *retiariusowi*, rzucającemu siatką. W przeciwieństwie do innych klas gladiatorów, hełm *secutora* miał tylko niewielkie otwory na oczy, co dość mocno ograniczało pole widzenia zawodnika. Możliwe, że taki hełm miał też na celu zwiększenie szans w walce słabszego, nie tak dobrze opancerzonego, *retiariusia*.

*sesterc* (l. mn. *sestertii*) – za czasów Republiki moneta srebrna o wartości równej czterem asom lub ćwierti denara, lub jednej setnej aureusa. Jej nazwa: „dwie jednostki i pół trzeciej” wywodzi się od pierwotnej wartości, tj. dwóch i pół asa. W ostatnich latach

Republiki sesterca stawał się monetą coraz bardziej powszechną.

*stola* – długa, luźna tunika z rękawami lub bez rękawów, noszona przez kobiety.

*strigil* – niewielkie, zakrzywione narzędzie z żelaza do oczyszczania skóry po kąpieli w łaźni. Zanim użytkownik łaźni mógł skorzystać z basenu, najpierw wcierał w ciało mieszanek oliwy z różnymi pachnidłami, którą następnie strigilem zeskrobywano, usuwając brud, pot i oliwę.

*tablinum* – izba znajdująca się za *atrium*. *Tablinum* zwykle przechodziło płynnie na zamknięty, otoczony kolumnami ogród.

*tepidarium* – największe pomieszczenie w rzymskich łaźniach, często pełniące funkcję głównego pomieszczenia do dyskusji i wymiany opinii przez jej użytkowników. W pomieszczeniu znajdował się duży basen z ciepłą wodą, zachęcający do spędzania czasu i odpoczynku.

*tesserae* – gra w kości; bardzo popularna wśród Rzymian wszystkich klas.

*tesserarius* – jeden z młodszych oficerów centurii, do którego obowiązków należało dowodzenie strażą. Nazwa wywodzi się od *tessera* – tabliczki, na której zapisywano hasło obowiązujące w danym dniu.

*testudo* – (żółw) powszechnie znana formacja w rzymskiej armii, tworzona przez legionistów, którzy unosili swoje tarcze nad głowami towarzyszy, podczas gdy żołnierze znajdujący się na bokach odpowiadali za utworzenie ściany tarcz. *Testudo* używano w celu ochrony żołnierzy przed salwą strzał lub podczas operacji pod murami miast w oblężeniu. Wytrzymałość ściany tarcz była podobno nietypowo testowana w czasie szkolenia wojskowego żołnierzy, którzy musieli utrzymać na tarczach wóz ciągnięty przez muły.

*thraex* – jak większość innych klas gladiatorów także i ta wywodzi się od wojowników, z którymi niegdyś mierzyła się armia rzymska. Mowa o Trakach, zamieszkujących tereny obecnie należące do Bułgarii. Wojownik, osłonięty małą kwadratową tarczą o wypukłej powierzchni, nosił nagolenniki na obu nogach i od

czasu do czasu także *fasciae* – ochraniacze na udach. Prawa ręka traka była osłaniana przez *manica*, a głowa przez hełmę typu greckiego, z zakrzywionym grzebieniem, zakończonym ozdobnym gryfem, w którym niekiedy można było umocować długie pióra.

*tribunus* – starszy stopniem oficer legionów, a także jedno z dziesięciu stanowisk politycznych w Rzymie, które obejmowali ludzie określani trybunami ludowymi, mającymi bronić praw plebejuszy. Trybunowie mogli zawetować decyzje senatu lub konsulów (jeśli nie były to decyzje podjęte w czasie wojny). Trybun ludowy w okresie swojej rocznej kadencji był święty i nietykalny (*sacrosanctus*), a osoba naruszająca ten przywilej stawała się przeklęta (*sacer*) i można ją było bezkarnie zabić.

*triremis* – rzymski okręt wojenny, poruszany dzięki pojedynczemu żaglowi i trzem rzędom wiosł. Każde wiosło obsługiwane było przez jednego mężczyznę, który urodził się wolny (i nie był niewolnikiem). Ta klasyczna jednostka była wyjątkowo zwrotna i mogła osiągać prędkość do ośmiu węzłów pod żaglami lub na krótkich odcinkach podczas wiosłowania. Trirema posiadała taran dziobowy wykonany z brązu, którym można było uszkodzić lub zatopić wrogi okręt. Na pokładzie często montowano także katapulty. Każda trirema miała załogę składającą się z maksymalnie 30 marynarzy i 200 wiosłarzy oraz mogła zabierać na pokład do 60 legionistów (zredukowana centuria), co oznaczało, że na okręcie panował stosunkowo spory tłok (biorąc pod uwagę wielkość jednostki). W efekcie triremy miały raczej niewielki zasięg, a wykorzystywano je do transportu wojsk i obrony wybrzeża.

*unctor* – masażysta, często niewolnik.

*velarium* – markiza z materiału znajdująca się nad siedziskami nobili na trybunach areny. Chroniła przed promieniami słonecznymi i pozwalała rzymskim kobietom zachować jasną skórę, która była wysoko ceniona przez rzymskich mężczyzn.

*venator* (l. mn. *venatores*) – wyszkolony zawodnik, który specjalizował się w walce z dzikimi zwierzętami. *Venatores* polowali też na antylopy, dzikie kozice i żyrafy albo na bardziej niebezpieczne zwierzęta, takie jak lwy, tygrysy, niedźwiedzie i słonie.



Zazwyczaj *venatores* uważano za najniższą klasę w *ludus*, a ich zadaniem było rozgrzanie publiczności przed główną atrakcją dnia, czyli walkami gladiatorów.

*vexillum* (l. mn. *vexilla*) – charakterystyczna, zazwyczaj czerwona, flaga, która wskazywała stanowisko dowódcy w obozie lub na polu bitwy. *Vexilla* były również wykorzystywane przez oddziały wydzielone, operujące daleko od swoich jednostek macierzystych.

*vilicus* – nadzorca niewolników lub osoba odpowiedzialna za pracę niewolników w *latyfundium*. Choć na ogół funkcję tę powierzano niewolnikom, pełnili ją też czasem opłacani wolni ludzie, których zadaniem było dbanie o to, aby gospodarstwo rolne przynosiło jak największe profity. Najczęściej polegało to na brutalnym zmuszaniu niewolników do pracy ponad siły.

Zapraszamy do lektury rozdziału  
z drugiej części trylogii  
*Kroniki Zapomnianego Legionu*

BEN KANE



SREBRNY  
ORZEŁ

W szaleństwie wojny, w obliczu zdrady  
żołnierze Zapomnianego Legionu  
walczą o swoje życie

HOBBYPOINT  
znak



## *Scewola*



Okolice Pompei, zima 53/52 r. p.n.e.

– Pani?

Zaskoczona Fabiola otworzyła szeroko oczy. Odwróciła się, żeby stwierdzić, że za jej plecami stoi kobieta w średnim wieku, o miłym wyrazie twarzy, ubrana w prostą suknię i zwykłe skórzane sandały. Uśmiechnęła się. Docilosa była jej jedyną prawdziwą przyjaciółką i wiernym sojusznikiem. Kimś, na kim zawsze mogła polegać i komu gotowa była powierzyć swoje życie.

– Prosiłam, żebyś się do mnie tak nie zwracała...

Usta Docilosy drgnęły, układając się w niemal niezauważalny uśmiech. W swoim czasie była niewolnicą, ale uzyskała wolność w tym samym czasie, co jej nowa... pani. Niełatwo przychodziło jej oduczanie się starych nawyków.

– Tak, Fabiolo... – powiedziała niepewnie.

– Co się stało? – zapytała dziewczyna, wstając na równe nogi. Była oszałamiająco

piękna. Szczupła, kruczowłosa, ubrana w prostą, ale wykonaną z drogiego jedwabiu i lnu szatę. Jej szyję i ramiona zdobiła kunsztownie wykończona złota i srebrna biżuteria. – Dociloso?

Starsza kobieta milczała przez chwilę.

– Dotarły wieści z północy... – znów zamilkła – ...od Brutusa.

Fabiola poczuła, że zalewa ją fala radości, która jednak po chwili przemieniła się w falę strachu. Przecież tego właśnie pragnęła! Chciała wiedzieć, co dzieje się u jej kochanka. Modliła się o to dwa razy dziennie przed ołtarzem w niszy przy głównym dziedzińcu willi. Jowisz wreszcie odpowiedział na jej prośby. Tylko czy to były dobre wiadomości? Fabiola przyglądała się twarzy Docilosy w poszukiwaniu jakichś wskazówek.

Brutus od wielu tygodni przebywał w Rawennie. Pełnił służbę w sztabie Cezara, generała, który planował powrót do Rzymu. Miasto to, położone dogodnie między stolicą Republiki a granicą z Galią Zaalpejską, było ulubioną zimową kwaterą legionów Cezara. Mógł stamtąd obserwować sytuację polityczną, ciesząc się bezpieczeństwem, jaką dawała jego armia. Nie musiał rozpuszczać żołnierzy legionów do domów, dopóki nie przekroczył Rubikonu. Przejście rzeki bez złożenia komendy zostałyby uznane przez senat za akt zdrady. Z drugiej strony rozwiązanie jednostek przed udaniem się do Italii oznaczałoby pojawienie się w Rzymie właściwie bezbronnym. Tak więc każdej zimy Cezar czekał i obserwował. Senat nie mógł nic z tym zrobić, a Pompejusz, jedyny człowiek obdarzony militarnymi talentami porównywalnymi z talentami Cezara, wciąż jeszcze nie opowiedział się po żadnej ze stron. Sytuacja zmieniała się codziennie, ale jedno było pewne.

Nadchodziły trudne lata dla Republiki.

Fabiola, spodziewająca się Brutusa lada dzień, została zaskoczona wiadomościami, które przyniosła Docilosa.

– W Galii Zaalpejskiej wybuchła rebelia. W wielu miejscach toczą się ciężkie walki. Podobno rzymscy osadnicy i kupcy w zbuntowanych miastach są masakrowani.

Dziewczyna walczyła z paniką. Powoli wypuściła powietrze z płuc. Jej Brutusowi groziło niebezpieczeństwo! Próbowwała się uspokoić. *Pamiętaj, przez co przeszłaś. Bywało gorzej niż teraz.* W wieku trzynastu lat Fabiola, jeszcze jako dziewczica, została sprzedana do luksusowego domu rozkoszy. Sprawcą tego nieszczęścia był jej ówczesny okrutny właściciel o imieniu Gemellus. Co więcej, ten sam człowiek sprzedał jej brata, Romulusa, do szkoły gladiatorów. Serce Fabioli zabiło mocniej na myśl

o bracie. Spędziła w Lupanarze cztery lata, oddając mężczyznom swoje ciało. *Wtedy nie straciłam nadziei.* Fabiola spojrzała w kierunku statuetki na ołtarzu. *I Jowisz wybawił mnie od życia, którym tak gardziłam.* Jej wybawcą został Brutus, od początku jeden z najbardziej oddanych jej kochanków. Wykupił ją od Jowiny, właścicielki burdelu. Cena, jaką za nią zapłacił, nie była niska. *Niemożliwe zawsze jest możliwe* – myślała Fabiola, uspokajając się. Brutus będzie bezpieczny.

– Myślałam, że Cezar ujarzmił całą Galię.

– Tak się wydawało... – mruknęła Docilosa.

– A mimo to ciągle wybuchają tam jakieś zamieszki. – Wspomagany przez Brutusa, wyróżniający się niezwykle śmiałością generał tłumił coraz to nowe bunty, mimo że jego krwawa kampania zakończyła się stosunkowo niedawno. – Kto tym razem?

– Wódz o imieniu Wercyngetoryks zażądał przysięgi lojalności od plemion galijskich. I otrzymał ją. Zebrał pod swoimi sztandarami dziesiątki tysięcy wojowników.

Fabiola zmarszczyła brwi. Nie takich nowin oczekiwała. Ponieważ większość sił rzymskich stacjonowała w kwaterach zimowych w Galii Zaalpejskiej, Cezar może mieć prawdziwe kłopoty. Galowie byli zawziętymi wojownikami, którzy bardzo skutecznie opierali się Rzymowi i ponieśli klęskę tylko dlatego, że wyjątkowo zdyscyplinowane legiony prowadził niezwykle uzdolniony taktyk. Jeśli plemiona galijskie naprawdę zdążyły połączyć siły, może to mieć katastrofalne skutki.

– To nie wszystko – kontynuowała Docilosa. – W górach na granicy spadło dużo śniegu...

Fabiola zacisnęła usta. Brutus w swoim ostatnim liście pisał, że wkrótce się zobaczą. Wygląda na to, że nie stanie się to zbyt szybko.

A jeśli Cezar nie dotrze do swoich żołnierzy na czas i nie stłumi buntu w zarodku, wiosną sytuacja może stać się naprawdę poważna, gdy powstanie rozprzestrzeni się na większe tereny. Wercyngetoryks wiedział, co robi, i wybrał właściwy moment. Dziewczyna znów zmarszczyła brwi. Jeśli to powstanie się powiedzie, wszystkie jej misterne plany obrócą się w proch. Bez wątplenia tysiące ludzi straci życie podczas walk, ale nie miała innego wyjścia, jak zignorować myśl o tych nieszczęśnikach. Niezależnie od jej pragnień ci ludzie i tak zginą. Szybkie zwycięstwo odniesione przez Cezara paradoksalnie oznaczałoby mniejszy rozlew krwi. Fabiola rozpaczliwie pragnęła właśnie takiego zakończenia buntu, ponieważ wówczas Brutus, oddany jej mężczyzna, powróci w glorii chwały. *Jednak nie chodzi tylko o to* – myślała szczerza do

bólu. *Jeśli Cezar odniesie sukces, będzie to oznaczać również, że i ja sama poprawię swoją pozycję społeczną.*

Fabiola poczuła ukłucie poczucia winy, że nie myśli przede wszystkim o bezpieczeństwie Brutusa. Oficer liczący na karierę w armii był bardzo odważny. Może zostać ranny lub nawet zabity! *To miałyby poważne konsekwencje* – pomyślała, ofiarując dodatkową modlitwę bogom. Choć nigdy nie pozwoliła sobie na obdarzenie jakiegoś mężczyzny prawdziwą, szczerą miłością, Fabiola naprawdę bardzo lubiła Brutusa. Zawsze był miły i delikatny, nawet wtedy, gdy zabierał jej dziewictwo. Potem przecież kupił jej wolność. Decyzja Fabioli o obdarzeniu właśnie jego swoimi względami od początku okazała się słuszna.

Wcześniej Fabiola przyjmowała wielu klientów, w większości wpływowych arystokratów, których opieka mogła zagwarantować jej dostęp do wyższych sfer rzymskiego społeczeństwa. Skupionej na swoim celu prostytutce udało się zapomnieć o tym, jak poniżającą pracę wykonywała. Choć oddawała swoje ciało, brała od mężczyzn to, czego potrzebowała. Mogło chodzić o złoto, informacje lub coś, co miało największe znaczenie: wpływy. Od początku jednak Brutus różnił się od większości jej klientów, co sprawiało, że dzielenie z nim łoża stało się trochę łatwiejsze. Szalę przechyliła świadomość tego, że był blisko Cezara, polityka, który wzbudzał zainteresowanie Fabioli, podsłuchującej rozmowy arystokratów odpoczywających w łaźni Lupanaru. Z informacji, jakie uzyskiwała od swoich rozluźnionych i zadowolonych klientów, wynikało, że Cezar jest naprawdę obiecującym liderem. *Może to sam Jowisz sprawił, że Brutus stał się moim pierwszym mężczyzną* – myślała Fabiola. Gdy kiedyś zabrał ją na ucztę w domu zamożnego arystokraty, zauważyła posąg Cezara, który wydał jej się uderzająco podobny do Romulusa. Tego dnia w umyśle Fabioli zostało zasiane ziarno podejrzeń.

Dźwięk głosu Docilosa sprawił, że wróciła do rzeczywistości.

– Gdy wieści o buncie Wercyngetoryksa dotarły do Rzymu, optymaci wydali wielką ucztę. Ich gościem honorowym został Pompejusz.

– Bogowie... – odezwała się Fabiola. – Coś jeszcze?

Cezar miał wielu wrogów. Zwłaszcza w stolicy. Triumwirat, który w praktyce rządził Republiką, po śmierci Krassusa składał się już tylko z dwóch osób i od tego czasu Pompejusz nie do końca wiedział, jak zniwelować talenty militarne Cezara. Tego ostatniego to akurat specjalnie nie martwiło. Jednak sprzeciwiający się mu politycy teraz próbowali przypodobać się Pompejuszowi, jedynemu poważnemu rywalowi dowódcy Brutusa. Cezar wciąż jeszcze mógł zdobyć władzę, ale uda się to



tylko wtedy, jeśli powstanie Wercyngetoryksa zostanie stłumione, a on zachowa wystarczające poparcie w senacie. Nagle Fabiola poczuła się bezbronna. W Lupanarze była dużą rybą w małym stawie. Jako wolna kobieta poza tym „stawem” znaczyła niewiele. Jeśli Cezar poniesie porażkę, przegra też Brutus. A bez jego wsparcia... jakie będzie miała szanse, aby osiągnąć swoje cele? Wprawdzie zawsze pozostawało rozwiązanie alternatywne. Mogła oddać się innemu mężczyźnie i wykorzystać jego wpływy. Na myśl o takiej możliwości Fabiola poczuła się niedobrze. Cztery lata w Lupanarze wystarczyły, żeby znienawidzić życie, jakie tam wiodła.

A zatem konieczne było podjęcie trudnych decyzji.

– Muszę wybrać się do świątyni na Kapitolu – oświadczyła Fabiola – żeby złożyć ofiarę i modlić się o szybkie stłumienie rebelii przez Cezara.

Docilosa z trudem ukryła zaskoczenie.

– Podróż do Rzymu potrwa co najmniej tydzień. Dłużej, jeśli pogoda na morzu nie dopisze.

Z twarzy Fabioli bił spokój.

– Wtedy będziemy podróżować lądem.

Teraz starsza kobieta naprawdę się zaniepokoiła.

– Skończy się tak, że ktoś nas zgwałci i zamorduje! Na drogach jest pełno bandytów.

– Nie więcej niż na ulicach Rzymu – odpowiedziała cierpko Fabiola. – Poza tym możemy zabrać ze sobą trzech ludzi, których zostawił Brutus. Zapewnią nam bezpieczeństwo. *Chociaż nie są tak dobrzy, jak Benignusz lub Wettiusz* – pomyślała, czule wspominając potężnych ochroniarzy Lupanaru. Obaj byli zbyt cenni dla Jowiny, żeby właścicielka domu publicznego zgodziła się ich sprzedać Fabioli. *Gdy wrócę do stolicy, będzie można jeszcze raz spróbować. Te wielkoludy teraz by mi się przydały.*

– Co powie Brutus, gdy się o tym dowie?

– Zrozumie – Fabiola odpowiedziała pogodnym głosem. – Robię to dla niego.

Docilosa westchnęła. Wiedziała, że nie wygra. A ich pobyt w niemal pustej willi nie obfitował w atrakcje, jeśli nie liczyć wizyt w łaźni lub wypraw na miejski rynek. Wizyta w Rzymie może okazać się przyjemna. Stolica zawsze przecież oferuje więcej rozrywek.

– Kiedy chcesz wyjechać?

– Jutro. Wyślij wiadomość do portu, żeby kapitan przygotował się do wyjścia w morze.

Brutus po dotarciu do kwater armii na północy odesłał okręt z powrotem do

Pompei, oddając go do dyspozycji swojej miłości. Liburna, napędzana siłą rządu wioseł obsługiwanych przez stu wyzwolenców, niewielka jednostka o niskich burtach, była najszybszym typem okrętów budowanych przez Rzymian. „Ajax” cumował w porcie w Pompejach, czekając, aż będzie potrzebny. Wcześniej Fabiola nie zamierzała z niego korzystać przed nastaniem wiosny. Teraz jednak wszystko się zmieniło.

Docilosa ukloniła się i wyszła z pomieszczenia, zostawiając Fabiolę pogrążoną w myślach.

Wizyta w świątyni będzie dla niej również okazją do zapytania Jowisza o to, kto zgwałcił jej matkę. Welwinna wspominała o tym zdarzeniu tylko przelotnie, ale z oczywistych względów nigdy nie potrafiła wymazać tego zdarzenia z pamięci i nie zapomniała o swojej krzywdzie. Odkrycie tożsamości ojca stało się celem życia Fabioli. A kiedy już uzyska pewność, jej zemsta będzie słodka.

Musiała poznać prawdę. Niezależnie od ceny.

Przejęcie odpowiedzialności za prowadzenie latyfundium pod nieobecność Brutusa na początku wydawało się Fabioli niezwykle wymagającym zadaniem. Jednak prowadzenie gospodarstwa sprawiało jej wiele satysfakcji. Posiadanie dużej nieruchomości było dla Fabioli dowodem tego, że jej oprawca i poprzedni właściciel latyfundium, Gemellus, poniósł zasłużoną karę. Dlatego też od początku postanowiła, że poświęci się temu zadaniu z odpowiednim zaangażowaniem. Po pierwszym obejrzeniu domu utwierdziła się w swojej opinii, że podobnie jak w rezydencji kupca w Rzymie także i tu wiele można było zarzucić smakowi i zmysłowi artystycznemu Gemellusa, który w wystroju wewnątrz preferował surowość oraz tanią krzykliwość. Z niezwykłą przyjemnością odnawiała i wyposażała pomieszczenie po pomieszczeniu: sypialnię, salę bankietową i biura. Wszystkie posągi Priapa z rzucającym się w oczy masywnym członkiem rozbito, przypominały bowiem Fabioli, jak wielkiego cierpienia Welwinny, męczonej przez Gemellusa, była świadkiem. Mozaiki na podłodze zostały odsłonięte spod grubej warstwy piachu i śmieci. Fontanny oczyszczono, a z basenów usunięto suche liście. Nawet zaniedbane rośliny na podwórku zostały wymienione. Wszystkie ściany ogrzewanej łaźni przydomowej zostały odmalowane. Pojawiły się na nich jasne obrazy bogów, mitycznych stworzeń morskich i ryb, co wyjątkowo cieszyło dziewczynę. Jednym z przyjemniejszych, niezapomnianych wspomnień z pierwszego dnia w Lupanarze była wizyta w łaźni. Tego samego dnia obiecała sobie, że kiedyś stanie się

właścicielką domu z równie piękną łaźnią. A teraz jej marzenie się spełniło.

Jednak tego samego dnia, gdy dowiedziała się o zakończeniu prac w łaźni, powróciło do niej poczucie winy. Podczas gdy jej nie brakowało niczego, Romulus prawdopodobnie musiał znosić wielkie niewygody lub już od dawna jego kości bieleły na piasku pustyni. W kąciakach oczu Fabioli zebrały się łzy. Gdy pracowała w Lupanarze, robiła wszystko, co było w jej mocy, aby odnaleźć brata. Po ponad roku odkryła, że jej brat żyje. Nawet w barbarzyńskim świecie areny gladiatorów Jowisz go ochronił. Wieść o tym, że Romulus zaciągnął się do legionów Krassusa, nie mogła osłabić jej wiary w przychylność bogów. Jednak potem doszło do prawdziwej katastrofy... Przed kilkoma miesiącami do Rzymu dotarły straszne wieści o rozbiciu armii rzymskiej w bitwie pod Carrhae. I wtedy Fabiola całkowicie straciła nadzieję, że kiedykolwiek zobaczy Romulusa żywego. Wyrwanie się ze szkoły gladiatorów po to, żeby dokonać żywota na jakiejś pustyni, wydało się jej wręcz niewiarygodnym okrucieństwem. Brutus pomagał jej, jak mógł, próbując dowiedzieć się jak najwięcej o losach żołnierzy pokonanej armii, ale nie miał dla Fabioli dobrych wiadomości. Wyprawa na wschód zakończyła się jedną z największych w historii Republiki klęsk militarnych. Rzym stracił ogromną liczbę doświadczonych żołnierzy. Fabiola wiedziała już, że Romulusa nie było wśród weteranów ocalałego z pogromu Legionu VIII, wyprowadzonego spod Carrhae przez legata Kasjusza Longinusa. Brutus wydał mnóstwo pieniędzy, żeby zdobyć informacje od legionistów. Niestety, Romulusa nie było wśród ocalałych. Fabiola westchnęła ze smutkiem. Wysuszone do białości przez słońce kości jej brata z pewnością leżały gdzieś w piasku, tam gdzie padł pod ciosami nieprzyjaciół. Albo zginął, albo Partowie uprowadzili go na koniec świata, do jakiejś zapomnianej przez bogów krainy, zwanej Margianą, gdzie podobno trafiło dziesięć tysięcy rzymskich jeńców.

Jak dotąd żaden z nich stamtąd nie powrócił.

Kilka łez potoczyło się powoli po policzkach Fabioli. Jeśli jest choćby najmniejsza szansa, że Romulus wciąż żyje, nie może rozpacząć. Teraz jednak przemawiał przez nią upór, a nie wiara. *Iuppiter Optimus Maximus, wysłuchaj mnie, proszę... Niech mój brat żyje. Jakimś cudem...* Zdeterminowana, żeby panować nad emocjami, Fabiola otarła oczy i poszła poszukać Korbulona, starszego vilicusa jej latyfundium. Znalazła go jak zwykle zajętego nadzorowaniem pracy niewolników. Fabiola nigdy wcześniej nie mieszkała na wsi i niewiele wiedziała na temat prowadzenia gospodarstwa czy ogólnie rolnictwa, więc większość swojego czasu w majątku

spędzała, ucząc się od Korbulona wszystkiego, co powinna wiedzieć. Wieści z Galii tego nie zmieniają. Odpowiadała za to latyfundiów.

Dowiedziała się od Korbulona, że sytuacja rolników, obywateli Rzymu, którzy pracowali na własnych gospodarstwach, pogarszała się z roku na rok w związku z rosnącym poziomem importu taniego ziarna z Sycylii i Egiptu. Przez czas dłuższy niż jedno pokolenie na obszarze Italii zaszły spore zmiany, a miejsce małych gospodarstw zajęły wielkie latyfundiów arystokratów, wystarczająco bogatych, aby skupować grunty i korzystać z taniej siły roboczej niewolników. Ludzie ci czerpali korzyści z imperialistycznych zapędów Republiki, która, prowadząc niekończące się wojny, dostarczała coraz większe rzesze niewolników ze wszystkich zakątków świata. Ludzie ci pracowali dla bogaczy, powiększając ich fortuny. Historia dawnego majątku Gemellusa nie różniła się specjalnie od historii innych mniejszych gospodarstw.

Jako świeżo upieczony wyzwolieniec Fabiola nienawidziła instytucji niewolnictwa. Na początku to, że przyjmując wolność z rąk Brutusa, automatycznie stała się właścicielem kilkuset osób – mężczyzn, kobiet i dzieci – mocno jej doskwierało. Ale co mogła zrobić? Uwolnienie Greków, Libijczyków, Galów i Gotów pracujących w jej gospodarstwie doprowadziłyby ją jedynie do bankructwa. Postanowiła skupić się na wzmocnieniu swojej pozycji jako wybranki Brutusa, pielęgnowaniu swoich relacji z jego znajomymi wywodzącymi się z arystokracji oraz odkryciu tożsamości ojca. Być może w przyszłości, z pomocą Romulusa, będzie w stanie zrobić dla tych niewolników coś więcej. Pamiętała, jak jej brat opowiadał o powstaniu Spartakusa, trackiego gladiatora, odpowiedzialnego za wybuch buntu niewolników, który pokolenie wcześniej zachwiał fundamentami Rzymu.

To wspomnienie wywołało uśmiech na twarzy Fabioli, która zamyślona dotarła do dużego dziedzińca na tyłach willi. W tym miejscu znajdowały się nędzne, zawilgocone chatki niewolników, które smutno kontrastowały z solidnymi pomieszczeniami magazynów. Na tyłach willi zlokalizowano także stajnie, dwukondygnacyjny młyn oraz liczne kamienne szopy. Te ostatnie stały na ceglanych fundamentach, które umożliwiały stały przepływ powietrza pod podłogą i jednocześnie utrudniały wszelakim gryzoniom dostęp do zgromadzonych w środku zapasów. Jedne wypełniono aż po sufit zebrany z zbożem i owsem, w kolejnych przechowywano inne produkty i płody rolne. Uszczelnione żywicą amfory z oliwą z oliwek ustawiono w stabilne, wielopoziomowe konstrukcje. W jeszcze innych składach zebrano beczułki z *garum*, popularną i bardzo cenioną

pastą rybną, którą magazynowano obok beczek solonych barwen i glinianych garnców pełnych całych oliwek. Przygotowane do użycia w czasie zimy jabłka, pigwy i gruszki starannie ułożono w rzędach na pokrytych słomą stołach. Obok znajdowały się małe piramidki z pękatych warkoczy czosnku. Na krokwiach rozwieszono suszone szynki i pęczki marchewek, cykorii oraz bukietów ziół: szałwii, kopru, mięty i tymianku.

Wino, jeden z najważniejszych produktów wytwarzanych w gospodarstwie, przygotowywano i przechowywano w specjalnych piwnicach w jeszcze innym budynku. Podczas produkcji sok z częściowo rozgniecionych winogron najpierw fermentował w *dolia*, ogromnych pojemnikach z gliny, pokrytych warstwą paku i zakopanych częściowo w ziemi, po czym przelewano go do innych naczyń, zamykano i odstawiano do starzenia. Tylko najlepsze roczniki zdekantowano do amfor i przenoszono do głównego budynku, gdzie leżakowały pod dachem nad jednym z głównych palenisk.

Fabiola lubiła przechadzać się po tych magazynach. Cały czas dziwiła się, jak to możliwe, że należy do niej tyle produktów spożywczych i żywności. Jako dziecko ciągle była głodna. Teraz miała więcej jedzenia, niż potrzebne by jej było do końca życia. Ta ironia losu dała jej wiele do myślenia, dlatego zawsze dbała o to, aby jej niewolnicy byli dobrze karmieni. Większość właścicieli ziemskich oszczędzała na pożywieniu dla niewolników, dając im tylko tyle, ile wystarczało pracownikom do przetrwania, nie myśląc o przyszłości i o tym, czy dożyją w dobrym zdrowiu wieku średniego. Może nie da im wolności, ale chciała być uważana za ludzką panią. Czasami trzeba było użyć siły, żeby wymusić posłuszeństwo, ale starała się, aby to zdarzało się tylko wtedy, gdy naprawdę nie było innego wyjścia.

W tym roku żniwa mieli już za sobą. Dzisiaj niewolnicy skupili się na bardziej przyziemnych zadaniach, ale na dziedzińcu zawsze wiele się działo. Korbulon przechadzał się po podwórku, wykrzykując polecenia. Fabiola zauważyła, że kilku ludzi pracowało nad przekuciem złamanego pługą i naprawą zużytych uprzęży dla wołów. Obok nich kobiety i dzieci zajęły się opróżnianiem wozów z ostatnimi warzywami, takimi jak cebula, buraki i słynna pompejańska kapusta. Inni pracowali w grupach przy przygotowywaniu wełny, która została zebrana latem z przyszyżonych owiec. Teraz była gręplowana – czesana i myta przed przekazaniem jej do przędzenia.

Korbulon skłonił się głęboko, gdy tylko dostrzegł Fabiolę.

– Pani?

Dziewczyna skinęła głową z powagą. Wciąż z trudem przyzwyczajała się do nowej swojej roli i tego, że ma realną władzę nad życiem innych ludzi.

Zarządca nie wyróżniał się jakoś specjalnie posturą. Miał okrągłą twarz i brązowe włosy, przyprószone tu i tam lekką siwizną. Trochę się garbił. Nie nosił żadnych zwracających uwagę ubrań. Tylko bicz na długiej rączce i srebrny amulet na rzemieniu zawieszonym na szyi mówiły o tym, że nie jest zwykłym niewolnikiem. Trafił do niewoli jeszcze jako dziecko, złapany gdzieś na wybrzeżu Afryki Północnej. Całe swoje dorosłe życie spędził w majątku.

To, że gospodarstwo należało teraz do młodej kobiety, sprawiało staremu zarządcy nieco trudności. Brutus zresztą postarał się przed wyjazdem, aby nikt nie miał wątpliwości, że w czasie jego nieobecności Fabiola jest panią domu. Korbulon cieszył się jednak, że wreszcie ma kogoś, kto mówi mu, co ma robić. Od kilku lat bowiem gospodarstwo podupadało.

– Jak idzie praca?

– Pilnuję, żeby się nie nudzili, pani – Korbulon wskazał najbliższą grupę niewolników. – Wciąż jeszcze jest wiele do zrobienia. Mam czym ich zająć.

Fabiola powoli przyzwyczajała się do codziennego życia latyfundiów. Jakoś jednak nie bardzo potrafiła wyobrazić sobie, żeby jej wcześniejszy właściciel zachowywał się podobnie.

– Czy Gemellus w ogóle interesował się majątkiem?

– Gdy kupił gospodarstwo – odpowiedział Korbulon – przyjeżdżał tu co kilka miesięcy.

Fabiola ukryła zaskoczenie.

– Sprowadził nowe drzewa oliwne z Grecji i nakazał wykopanie stawów dla ryb. Wybrał nawet stoki wzgórz, na których miała zostać posadzona winorośl.

Fabioli nie spodobała się myśl o tym, że jej były właściciel przejawiał jakąś kreatywność. W rzymskiej willi, w której dorastała z Romulusem, pokazywał głównie swoją drugą, brutalną twarz.

– Co stało się potem?

Zarządca wzruszył ramionami.

– Interesy szły coraz gorzej. Zaczęło się od straty towarów z Egiptu. Pamiętam, jak dowiedział się, że dwanaście statków z jego transportem zatonięło w czasie wielkiej burzy – pomarszczona twarz Korbulona wydawała się wyrażać udrękę. – Trudno było w to uwierzyć...

Fabiola westchnęła głośno, okazując udawaną empatię. W rzeczywistości zastanawiała się, jak taki człowiek jak Korbulon mógł martwić się tym, że jego właściciel ma kłopoty. Gdy Brutus opowiedział jej o okolicznościach sprzedaży przez Gemellusa tej willi, była wprost zachwycona. Wyglądało jednak na to, że identyfikowanie się niewolników z ich właścicielami było w pewnym sensie nieuniknione. Fabiola dobrze pamiętała, jak dumny był Romulus, gdy udało mu się dostarczyć wiadomość Gemellusa do Krassusa i bezpiecznie wrócić z odpowiedzią, grając na nosie osiłkom nasłanym przez lichwiarzy, którzy zawsze pilnowali bramy wejściowej. A przecież jej brat nienawidził Gemellusa tak samo mocno jak ona. Nawet niewolnicy mogą czuć dumę. Postanowiła więc, że nie będzie oceniać Korbulona. Mimo że pracował dla Gemellusa od ponad dwudziestu lat, do tej pory *vilius* okazywał się lojalnym, solidnym i pracowitym człowiekiem.

W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie wniosków Fabioli, Korbulon krzyknął na mężczyznę, który ostrzył długie sierpy powolnymi, obojętnymi ruchami.

– Włóżże trochę serca w to, co robisz, głupcze! – poklepał ręką bat wiszący u pasa. – Albo poczujesz, jak cierpną ci plecy!

Niewolnik schylił się szybko nad zakrzywionym żelaznym ostrzem, prowadząc teraz osełkę tam i z powrotem wzdłuż całej jego długości.

Fabiola uśmiechnęła się z aprobatą. Chociaż Korbulon nie był człowiekiem brutalnym, nie bał się używać siły. Jeśli groźba wystarczała, to był dobry znak.

– Myślałam, że Gemellus miał naprawdę duży majątek – powiedziała sondująco, licząc, że zdobędzie więcej informacji.

– Tak było – Korbulon westchnął. – Jednak bogowie się od niego odwrócili. Wkrótce wszystko, czego się tknął, obracało się w proch. Zaczął pożyczać pieniądze bez nadziei na ich spłatę.

Fabiola pamiętała, że *domus* Gemellusa był pilnowany dniem i nocą, a pod murem zawsze czekały jakieś bandziory. W kuchni, gdzie zbierali się niewolnicy, plotkowano o kłopotach kupca.

– Brutus wspominał, że nietrafione przedsięwzięcie ze sprowadzeniem dzikich zwierząt na arenę było kroplą, która przelała czarę.

Korbulon niechętnie skinął głową.

– Tak, pani. Ta inwestycja powinna była przynieść mu wielkie pieniądze. Wykupił jedną trzecią udziałów w wyprawie bestiariusza po dzikie zwierzęta w południowym Egipcie.

Fabiola odwróciła się, żeby ukryć uśmiech. Romulus często udawał bestiariusza, lecz został gladiatorem. Poczula wypełniający ją ogromny smutek, ale nie dała po sobie poznać zmiany nastroju, a Korbulon niczego nie zauważył. W Lupanarze dobrze nauczyła się ukrywać emocje przed wszystkimi. Nawet przed Brutusem.

Nagle w jej głowie pojawił się obraz z przeszłości. Przypomniała sobie, że niedługo przed tym, jak zostali z Romulusem sprzedani, jej brat podsłuchał rozmowę Gemellusa z księgowym. Dotyczyła właśnie wyprawy po dzikie zwierzęta, na których można byłoby dobrze zarobić, pokazując je gawiedzi w *circus*. To przedsięwzięcie mogło kupcowi przynieść ogromne zyski. Bliźniacy byli mocno zdziwieni, że Gemellus nie mógł pozwolić sobie na poniesienie kosztów inwestycji. Biednym niewolnikom bogactwo właściciela zawsze wydawało się ogromne.

– Zyski powinny być pozwolić mu na spłatę wszystkich długów – powiedziała spokojnie.

– Tyle tylko, że statki ze zwierzętami zatoniły – stwierdził Korbulon. – Znowu.

– Wszystkie?

– Co do jednego – odpowiedział *vilicus* ponuro. – Poszły na dno w czasie wielkiego sztormu.

– Prawdziwy pech... – Fabiola wciągnęła powietrze.

– Coś więcej niż pech. Pewien haruspik stwierdził, że to z powodu niełaski samego Neptuna. – Korbulon zaklął siarczyście. Natychmiast zrobił się czerwony na twarzy, bo przypomniał sobie, z kim rozmawia. – Przepraszam, pani – mruknął.

Fabiola nagle postanowiła zadbać o swój autorytet w oczach niewolników. Brutus często tak robił, twierdząc, że niewolnicy powinni go szanować, a odrobina strachu i respektu nigdy nikomu nie zaszkodziła.

– Pamiętaj, kim jestem! – rzuciła krótko.

Korbulon od razu pochylił kark i czekał na karę. Może jego nowa młoda pani nie różniła się od Gemellusa?

Tak naprawdę Fabiola słyszała w Lupanarze o wiele gorsze przekleństwa, ale przecież Korbulon nie mógł o tym wiedzieć. Wciąż jeszcze onieśmielona podczas wydawania rozkazów Fabiola poczuła, że reakcja zarządcy zwiększyła jej pewność siebie.

– Kontynuuj... – odezwała się łagodniejszym tonem.

*Vilicus* skinął głową uspokojony, że nie zamierzała go ukarać.

– Gemellus nigdy nie wierzył w prorocтва, ale na krótko przed tym, jak stracił



statki z ładunkiem, wspomniał o jednej przepowiedni...

Fabiola wydeła wargi.

– Haruspikowie karmią ludzi kłamstwami. – Wiele dziewcząt z Lupanaru wydawało znaczną część swoich skromnych oszczędności na wizyty u wróżbitów z nadzieją na jakiś znak od bogów, że któregoś dnia będą mogły porzucić swoje uwłaczające zajęcia. Fabiola nie знаła wielu przepowiedni, które się sprawdziły. A jeśli już tak się stało, zwykle nie miały one wielkiego znaczenia. Była przekonana, że nie powinna polegać na nikim innym oprócz siebie. I wierzyć w dobrą wolę Jowisza, który w końcu odpowiedział na jej modlitwy o odzyskanie wolności.

– To prawda, pani. Gemellus mówi to samo. Ale wtedy kupiec nie zapłacił za usługi jakiegoś oszusta, jednego z tych, których mnóstwo kręci się w pobliżu wielkiej świątyni. Ofiarę celebrował nieznamy haruspik z gladiuszem, który zgodził się na to tylko w drodze wyjątku – mężczyzna zamilkł nagle, po czym dokończył szybko. – I właściwie wszystko się spełniło.

To wzbudziło jej ciekawość. Wróżbici nie nosili broni.

– Wyjaśnij – zażądała.

– Ten człowiek przewidział, że Krassus opuści Rzym i już nigdy nie wróci.

Fabiola otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Wszyscy wiedzieli, że trzeci członek triumwiratu pragnął odnieść sukces militarny, aby zdobyć względy zwykłych obywateli. Wybór Krassusa na namiestnika Syrii był czymś więcej niż tylko sprzyjającą okazją do inwazji na Partię. Jednak kto mógł zakładać, że jego wyjazd do Syrii będzie podróżą bez powrotu? Chyba tylko prawdziwy haruspik. Ktoś, kto może powiedzieć jej coś więcej na temat losów Romulusa.

– Co jeszcze powiedział? – spytała cicho.

*Vilicus* z trudem przełknął ślinę.

– Że sztorm zatopi jego statki i straci zwierzęta.

– To wszystko?

Korbulon nie patrzył jej w oczy. Unikając jej spojrzenia, zerkał to w prawo, to w lewo.

– Było jeszcze coś – przyznał zdenerwowany. – Gemellus wspomniał o tym tylko raz, gdy widziałem go po raz ostatni.

Fabiola nie zamierzała odpuścić.

– O co chodziło?

– Haruspik powiedział, że pewnego dnia jakiś człowiek stanie pod jego drzwiami.

Zamarła. *Romulus?*

– Wydawało mi się, że ta sprawa nie dawała mu spokoju – podsumował Korbulon.

– Nie miał to być przypadkiem gladiator?

– Nie, pani...

Nadzieja zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– Żołnierz.

Serce niemal wyskoczyło jej z radości.

Korbulon spojrział niepewnie na dziewczynę zdziwiony jej zainteresowaniem.

Zobaczył jednak tylko nic nieznaczący, spokojny uśmiech. Z twarzy Fabioli niczego nie dało się wyczytać.

*Nie gladiator! Przez głowę przelatywały jej szaleńcze myśli. Żołnierz! Przecież Romulus po ucieczce z Rzymu zaciągnął się do armii.* Gemellus wiedział, że Romulus go nienawidzi. Perspektywa spotkania się z nim oko w oko musiała wydawać się mu przerażająca. Teraz wizyta w świątyni Jowisza stała się dwa razy ważniejsza niż wcześniej. Gdyby tylko mogła odnaleźć tamtego tajemniczego haruspika, może mogłaby wypytać go o losy Romulusa. To była tylko iskierka nadziei, ale Fabiola już dawno nauczyła się, że nigdy nie wolno się poddawać.

Ta właśnie niezachwiana wiara i pragnienie zemsty utrzymywały ją przy życiu.

Zza murów okalających dziedziniec dobiegło ujadanie psów. Od czasu przyjazdu do Pompei Fabiola słyszała ten hałas już kilka razy, ale zwykle dochodził z oddali. Teraz jednak, w miarę jak stawał się coraz głośniejszy, zauważyła, że coraz większa liczba niewolników zerka ze strachem w oczach w kierunku, z którego dochodził.

– Co się dzieje?

– Psy. I *fugitivarii*, pani – gdy Fabiola spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem, zarządca wyjaśnił. – Łowcy nagród. Ścigają uciekiniera.

Dziewczyna poczuła szybsze bicie serca, ale nie wpadła w panikę. *Jestem wolna. Nikt mnie nie ściga.*

W poszukiwaniu źródła dźwięku wyszli na rozległe, płaskie pole otaczające willę. Każde takie pole dzielił od sąsiedniego mały murek z kamieni, rząd nagich drzew lub niski żywopłot. Wokół majątku rozciągały się pasy żyznej ziemi, które o tej porze roku leżały ugięte. Dwa tygodnie wcześniej pola zostały zaorane, żeby ziemia mogła odetchnąć, zanim zostanie obsadzona na wiosnę. Na części rosła jednak ozima pszenica, która zresztą już prawie dojrzała do zbiorów.

Fabiola lubiła spacerować wokół willi i podziwiać okolice. O tej porze roku krajobraz był raczej surowy, ale uwielbiała przyglądać się hałaśliwym wronom

spieszącym do gniazd, wdychać rześkie powietrze, cieszyć się samotnością, wolnością i przestrzenią. Na ulicach Rzymu zawsze panował tłok. Życie w ciągle pełnym krzątaniu Lupanarze było zupełnie inne. Latyfundium dawało jej możliwość ucieczki od brutalnej rzeczywistości świata.

Jednak wkrótce i ten spokój miał się okazać iluzoryczny.

Korbulon pierwszy zauważył ruch.

– Tam! – wskazał na coś na polu.

Fabiola po chwili również dostrzegła postać, która pojawiała się i znikwała w lukach żywopłotu jakieś dwieście kroków dalej. Korbulon miał rację. Uciekinierem był młody mężczyzna w poszarpanych łachmanach. Niewolnik. Wydawał się wyczerpany. Dolna część jego ciała pokryta była grubą warstwą błota, a na twarzy rysowała się desperacja.

– Pewnie chciał oszukać pościg i ukrył się w rzece – stwierdził *vilius*.

Fabiola wielokrotnie spacerowała wzdłuż brzegu małej rzeczki, która oddzielała jej gospodarstwo od majątku najbliższego sąsiada. To miejsce już nigdy nie będzie wydawało się jej takie samo.

Korbulon się skrzywił.

– To się nigdy nie udaje. *Fugitivarii* zawsze sprawdzają brzegi rzeki za pomocą długich tyczek. A jeśli ktoś nie próbuje skryć się w rzece, psy od razu naprowadzą ścigających na ślad.

Kobieta nie mogła oderwać oczu od uciekiniera, który nie przerywając biegu, rzucał spojrzenia za plecy.

– Dlaczego oni na niego polują? – spytała głucho, choć tak naprawdę znała odpowiedź.

– Bo jest niewolnikiem. A niewolnik jest własnością swojego pana.

Fabiola dobrze wiedziała, jak wygląda okrutna rzeczywistość. Wychodząc z tego samego założenia, Gemellus wielokrotnie gwałcił Welwinnę. Sprzedał ją i Romulusa. I pozbawił życia Jubę, wielkiego Nubijczyka, który uczył jej brata, jak używać miecza. Właściciele niewolników mogli z nimi robić wszystko, co tylko chcieli. Byli panami ich życia i decydowali o śmierci. Rzymski system prawny – system, z którego dumni byli wszyscy obywatele – wspierał niewolnictwo i nie przewidywał żadnej kary za torturowanie czy zabicie własnego niewolnika.

Z najbliższego gaju wyskoczyła nagle wataha wielkich psów gończych, które na przemian wachały ziemię i wciągały powietrze, szukając zapachu zbiega.

Fabiola usłyszała, jak młody mężczyzna jęknął z przerażenia. To był okropny dźwięk.

Obserwowali rozgrywający się przed ich oczyma spektakl w milczeniu.

Na polu pojawiła się teraz grupa uzbrojonych mężczyzn, zachęcających psy okrzykami i gwizdami. Gdy ludzie ci dostrzegli wyczerpanego niewolnika, rozległy się ich radosne krzyki.

– Skąd on jest?

Vilicus wzruszył ramionami.

– Kto to wie? Mógł uciekać wiele dni. Jest młody i silny. Słyszałem o pościgach, które trwały ponad tydzień – powiedział Korbulon niemal współczująco. – Ale te sukinsyny nigdy się nie poddają. A nikt nie może biec bez końca o pustym żołądku.

Fabiola westchnęła. Nikt nie nakarmi uciekiniera ani nie udzieli mu pomocy. Dlaczego ktoś miałby to robić? Rzym stawał się imperium, które wznosiło się na fundamentach z wojny i niewolnictwa. Jego obywatele nie mieli powodu, aby pomagać tym, którzy chcieli pozbyć się krępujących ich pęt. Nikt nie przejmował się tym, że niewolnicy muszą znosić srogie kary, straszne warunki życia i głód. Oczywiście nie każdy niewolnik miał aż tak źle, ale to nie zmieniało faktu, że byli oni końmi roboczymi Republiki. To dzięki niewolnikom powstawały wspaniałe budynki, to oni pracowali w warsztatach i przy zbiorach. Rzym potrzebował niewolników. *Nie mają wielkiego wyboru* – myślała gorzko Fabiola. *Karą za udzielenie pomocy uciekinierowi jest śmierć. A kto chciałby umrzeć na krzyżu?*

Dramat miał właśnie osiągnąć punkt kulminacyjny. Młody mężczyzna zdążył zbliżyć się do nich na jakieś pięćdziesiąt kroków, ale wyczerpany padł na kolana na wilgotną ziemię. Uniósł ręce w niemym błaganu. Fabiola musiała zamknąć oczy. Próba przeszkodzenia ścigającym, którzy wykonywali zlecenie zgodnie z prawem, nie byłaby dobrym pomysłem. Jeśli nie chciała ryzykować pozwu właściciela niewolnika, nie mogła nic zrobić.

Po chwili psy dopadły chłopaka.

Gdy specjalnie szkolone zwierzęta zaczęły brutalnie szarpać uciekiniera, jakby był szmacianą lalką, powietrze przeszyły jego straszliwe krzyki. Fabiola musiała otworzyć oczy i obserwowała wszystko z przerażeniem. Mogła odetchnąć dopiero po kilku chwilach, gdy jeden ze ścigających wreszcie odciągnął zwierzęta. Wkrótce pojawili się pozostali *fugitivarii*. Na cały zespół składało się kilkunastu mężczyzn, wyglądających na twardzieli, ubranych w ciemne szaty, uzbrojonych w łuki, włócznie i miecze. Spod wełnianych płaszczy widać było miejscami błyszczący

pancerz. Otoczyli uciekiniera ze wszystkich stron, śmiejąc się z głębokich ran od ugryzień na jego rękach i nogach. Widać, że dobrze się bawili. Jak zawsze.

Fabiola próbowała się powstrzymać. Co innego mogłaby zrobić?

Ciesząc się swoją zdobyczą, *fugitivarii* wydawali się nie zwracać zupełnie uwagi na obserwatorów. Moręgowate psy warowały na ziemi z wywieszonymi czerwonymi językami, zwisającymi z szerokich paszcz pełnych ostrych zębów. Podobne zwierzęta pilnowały willi Fabioli. Na noc spuszczano je z łańcuchów, żeby pilnowały domu przed niepożądanymi gośćmi. Te jednak były o wiele lepiej umięśnione i wyglądały jeszcze bardziej złowrogo.

Leżący na ziemi niewolnik przyjął pozycję embrionalną. Teraz jęczał już cicho, a krzyczał tylko wtedy, gdy któryś z oprawców go uderzył. Potem coś się zmieniło. Najbliższy z mężczyzn pastwiących się nad chłopakiem wreszcie zauważył Fabiolę i Korbulona. Gdy dostrzegł dobrze ubraną kobietę, noszącą biżuterię, wycedził cicho kilka słów, zwracając się do krępego mężczyzny, który wydawał się dowódcą grupy. Ten, zamiast odpowiedzieć, wymierzył potężnego kopniaka w pierś niewolnika.

Chłopak wydał stłumiony krzyk.

Fabiola nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Kopnięcie było tak mocne, że mogło złamać żebra.

– Zostaw go w spokoju – krzyknęła. – Jest ciężko ranny.

Stojący obok niej Korbulon chrząknął niepewnie.

W kręgu oprawców pojawiła się luka. Twarde, bezlitosne twarze obróciły się w stronę atrakcyjnej kobiety i zarządcy. Gdy mężczyźni przyglądali się czarnowłosej piękności, ich twarze zniekształciły żądze, a kilku pozwoliło sobie nawet na sprośne uwagi, choć na razie wypowiedane cicho. Zamożni ludzie budzili szacunek.

Fabiola zignorowała te głosy. Korbulon obserwował mężczyzn niepewnie.

Tymczasem oprawcy pozwolili niewolnikowi wstać. Jeden z *fugitivarii* dobył miecza i szturchnął chłopaka, sugerując, że może iść. Ruszyć przed siebie, oddalając się od nich, a zмирzając w stronę Fabioli. Zdezorientowany niewolnik nie wiedział jednak, czego od niego oczekują. Kolejne dźgnięcie ostrzem miecza wystarczyło, żeby znów zaczął szlochać. Tym razem jednak zrozumiał sugestię i zrobił kilka niepewnych kroków w kierunku willi. Zachwiał się, co zostało przyjęte drwinami i śmiechem. Kilku mężczyzn zaczęło rzucać w niego bryłkami ziemi. Chłopak zwiększył tempo marszu.

– Co oni robią? – zapytała przerażona Fabiola.

– Bawią się nim. I z nami. Czas wracać do domu, pani – Korbulon mruknął, a na

jego twarzy pojawił się blady odcień szarości. – Zanim sprawy wymkną się spod kontroli.

Stopy Fabioli tkwiły w ziemi, jakby zapuściła korzenie.

Niewolnik znalazł się już całkiem blisko. Teraz zauważyła, że całe jego ciało było jedną wielką raną, na którą nie składały się tylko ugryzienia psów. Pod starą, poszarpaną tuniką widać było sączące się rozcięcia, które tworzyły brzydką kratownicę. Nie miała wątpliwości, że to efekt okładania batem na rozkaz jakiegoś brutalnego właściciela. Czy to dlatego uciekł? Niewolnik był młody. Fabiola oceniła, że nie może mieć więcej niż piętnaście lat. To był jeszcze chłopiec. Pot i spływające łzy tworzyły ciemne smugi na jego szczupłej twarzy. Był wychudzony i pewnie głodny. Z jego oczu wyzierała rozpacz.

– Pani... – Korbulon nalegał. – To nie jest bezpieczne.

Fabiola nie mogła jednak oderwać wzroku od uciekiniera, który nie odważył się nawet na nią spojrzeć.

Minął ich jak w transie i ruszył dalej w stronę dziedzińca. Jak mysz raniona przez kota nie miał szans uciec zbyt daleko.

*Fugitiviarii* ruszyli za nim, a żołądek Fabioli podszedł jej do gardła. Rozejrzała się, ale żadnego z jej ochroniarzy nie było w zasięgu wzroku. Do tej pory rzadko zdarzało się, żeby byli potrzebni, i zwykle kręcili się gdzieś w pobliżu kuchennego pieca. Spędzali czas przy stole na opowiadaniu sprośnych dowcipów. Nawet niewolnicy znajdujący się na podwórku nie zauważyli, że dzieje się coś niedobrego.

Strach Korbulona stał się niemal namacalny. Zarządca zaczął nawet delikatnie ciągnąć Fabiolę za rękaw.

W tym momencie kobieta poczuła, że musi pomóc chłopakowi. Obróciła twarz w kierunku zbliżających się mężczyzn. Chociaż się bała, nie miała zamiaru chować się w willi, żeby uniknąć konfrontacji z tymi łajdakami.

A oni nieubłaganie zmierzali w jej kierunku. Zbliżyli się. Cisi. Z niecznymi zamiarami.

– Kto tu dowodzi? – wykrzyczała pytanie, składając dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie.

– Pewnie chodzi o mnie, pani. Nazywam się Scewola, najstarszy *fugitivarius* – wycedził lider, bezczelnie składając się w półukłonie. Potężnie zbudowany mężczyzna miał krótkie brązowe włosy i głęboko osadzone oczy. Nosił kolczugę legionisty, która osłaniała go od szyi do połowy ud, gladius w bogato zdobionej pochwie i sztylet na pasie. Jego nadgarstki zdobiły grube srebrne bransolety.

Oznaka statusu. Wydawało się, że polowanie na uciekinierów było opłacalnym zajęciem. – Jestem do usług...

Jego oddanie się do dyspozycji było bardzo wieloznaczne. I takie miało być. Wyzywające. Pełne niedopowiedzeń.

Pozostali mężczyźni dobrze wiedzieli, o co chodzi. Zarechotali z zadowoleniem.

Fabiola zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę jest bezbronna. A mimo to odezwała się pewnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

– Wyjaśnij, co robisz na mojej ziemi.

– Na twojej ziemi? – Scewola zmrużył oczy. – Gdzie jest Gemellus?

Fabiola nie odpowiedziała.

Mężczyzna chwycił się jedynej szansy.

– Jesteś jego ostatnią kurwą?

Tym razem jego ludzie nie kryli się ze śmiechem.

Fabiola rzuciła mu lodowate spojrzenie.

– Ten zdegenerowany tłuscioch nie jest już właścicielem majątku. Teraz ja jestem tu panią i masz mi odpowiedzieć!

Scewola wyglądał na zaskoczonego.

– Nie wiedziałem – przyznał. – Od miesiący przebywaliśmy daleko na północy. Mieliśmy dobre łowy. Mnóstwo plemiennych szumowin ucieka z Galii.

– Cóż za szkoda, że wróciłeś na południe.

– Po prostu wykonujemy swoją pracę – odpowiedział *fugitivarius*. – Ścigaliśmy tego niewolnika przez trzy dni. Czy nie tak, chłopcy? Ale nikt nie ucieknie staremu Scewoli i jego ludziom!

– Czy sprawia ci przyjemność torturowanie niewolników, których złapiesz? – zapytała Fabiola cierpko.

Scewola uśmiechnął się, odsłaniając ostre zęby.

– Dzięki temu moi chłopcy są szczęśliwi. I ja też.

Mężczyźni zaśmiali się nieprzyjemnie.

Fabiola rzuciła mu miazdzące spojrzenie.

– Ten brudas miałby więcej powodów do krzyku, gdyby nie było tak cholernie zimno – Scewola zwierzył się niemal przyjaznym głosem. – Muszę rozpalić porządne ognisko, żeby dobrze rozgrzać żelaza! Ale poradzimy sobie z tym później. W obozie.

Teraz Fabiola poczuła przepelniającą ją wściekłość. Doskonale wiedziała, co Scewola ma na myśli. Jedną z najczęstszych kar, jakie wymierzano uciekinierom,

było wypalanie im na czołach litery *F* jak *fugitivus*. To miało być ostrzeżenie dla innych niewolników. A jeśli tak ukarany niewolnik podjął drugą próbę ucieczki, najczęściej kończył swoje życie na krzyżu. To może tłumaczyć, dlaczego większość niewolników godziła się ze swoim losem. *Ale to nie dotyczy mnie* – pomyślała Fabiola – *ani Romulusa*.

– Znikaj stąd – wskazała tam, skąd przyszli. – Natychmiast!

– A kto mnie zmusi, pani? – Scewola spytał szyderczo i wskazał głową Korbulona. – Ten stary głupiec?

Jego ludzie sięgnęli po broń.

*Vilicus* zbladł jak ściana.

– Pani... – wyszeptał – ...musimy wrócić do willi.

Fabiola wzięła głęboki oddech, uspokajając szybko bijące serce. Podjęła decyzję konfrontacji ze Scewolą i teraz nie miała już innego wyjścia, chyba że poddać się i pogodzić z upokorzeniem.

– Jestem wybranką Decimusa Brutusa – oznajmiła głośno i wyraźnie. – Wiesz, kim on jest, ty szczerze kanałowy? – Na twarzy Scewoli pojawiła się zimna maska wyrachowania. – Jednym z najbliższych współpracowników Juliusza Cezara – ciągnęła z dumą – i wysokim stopniem oficerem legionów. – Spojrzała na *fugitivarii*. Żaden z nich nie miał dość odwagi, aby teraz odwzajemnić jej twarde spojrzenie. Żaden, z wyjątkiem Scewoli. – Jeśli coś mi się stanie, Brutus gotów jest zejść do Hadesu, żeby znaleźć i odpłacić się odpowiedzialnej za to szumowinie.

Przez chwilę wydawało się, że słowa Fabioli zrobiły na nich wrażenie. Odwróciła się, żeby odejść.

– Kurwa jednego ze sługusów Cezara, co? – odezwał się Scewola, przeciągając sylaby. – Policzki Fabioli zapłonęły, ale nie miała szansy zareagować. – W Rzymie są ludzie, którzy dobrze płacą za to, żeby zwolenników Cezara... – mężczyzna uśmiechnął się, sprawiając, że jego słowa zmroziły krew w żyłach – ...usuwać z gry.

Jego ludzie natychmiast okazali zainteresowanie.

Fabiola zamarła. Ludzie w Pompejach przekazywali sobie plotki o brutalnych morderstwach wielu mniej wpływowych sojuszników Cezara. Takich, których nie pilnowało zbyt wielu ochroniarzy. A Fabiola miała tylko trzech.

– Spodziewasz się Brutusa? – Fabiola nie odpowiedziała. W brzuchu poczuła pierwsze macki zimnego strachu. – Nie martw się – Scewola oblizwał wargi – ty nam wystarczysz. Chłopcy?



*Fugitivarii* przesunęli się do przodu, jakby byli jednym organizmem.

Przeżrana Fabiola spojrzała na Korbulona. Ten zachował się, jak na mężczyznę przystało. Ściskając bat w prawej ręce, zrobił pół kroku i stanął tak, żeby ją osłonić.

Scewola zaczął się śmiać głębokim, nieprzyjemnym śmiechem.

– Zabijcie tego głupiego starucha – rozkazał – ale sukę chcę mieć całą i żywą. Jest moja.

*Jowiszu, największy i najlepszy* – pomyślała zrozpaczona Fabiola – *po raz kolejny potrzebuję twojej pomocy.*

Usłyszała tylko syk mieczy wyciąganych z pochew. Korbulon wyprostował się i zrobił jeszcze jeden krok do przodu.

Fabiola poczuła dumę wypełniającą jej serce na myśl o tym męznym, acz zupełnie beznadziejnym akcie odwagi. Potem spojrzała na zbliżających się oprychów. Żołądek podchodził jej do gardła. Umrze. Bez wątplenia zostanie najpierw zgwałcona. A nie ma nawet pod ręką żadnej broni.

Jednak *fugitivarii* zatrzymali się nagle zaledwie kilka kroków od zarządcy.

Twarz Scewoli zrobiła się fioletowa ze złości.

Fabiola i Korbulon wymienili zdziwione spojrzenia, a potem poczuli za plecami jakiś ruch.

Fabiola obróciła głowę i zobaczyła, jak w ich kierunku pędzili niemal wszyscy niewolnicy z podwórka. Ściskali w rękach kosy, młotki, siekiery, a nawet zwykłe deski. Było ich co najmniej czterdziestu. Nie ulega wątpliwości, że zostali zaalarmowani przez uciekiniera, który pojawił się na podwórzu willi, i spontanicznie podjęli decyzję, aby bronić swojej pani. Chociaż żaden z nich nie wiedział, jak walczyć z *fugitivarii*. Na myśl o tym, jakie ryzyko podejmują, w gardle Fabioli uformowała się wielka gula.

Gdy dotarli na miejsce, stanęli w szerokim półokręgu.

Zbiry Scewoli nie wyglądały na zbyt szczęśliwych. Uzbrojeni czy nie, teraz ich przeciwnicy mieli wyraźną przewagę liczebną. A po buncie Spartakusa dwadzieścia lat wcześniej wszyscy wiedzieli, że niewolnicy też potrafią walczyć.

Fabiola spojrzała prosto w oczy Scewoli.

– Opuść moje latyfundium – nakazała. – Natychmiast.

– Nie odejdę bez uciekiniera – Scewola warknęła. – Przekaż mi go.

Korbulon pochylił głowę i posłusznie ruszył w stronę podwórka.

– Stój!

*Vilicus* zatrzymał się w miejscu.

– Nie dostaniesz tego nieszczęśnika – powiedziała spokojnie. – Zostaje tu.

Korbulon był wstrząśnięty.

Scewola uniósł brwi.

– Co powiedziałaś?

– Słyszałeś – odrzekła cicho Fabiola.

– Ten skurwysyn należy do Sekstusa Roscjusza. Nie do ciebie – ryknął *fugitivarius*.

– To, co robisz, jest pogwałceniem prawa.

– Tak samo jak twoja napaść na obywatela. Ale nad tym się nie zastanawiałaś – odpowiedziała impulsywnie Fabiola. – Zapytaj tego kupca, ile chce za chłopca. Natychmiast wyślę mu pieniądze.

Wściekły Scewola zacisnął pięści, najwyraźniej nieprzyzwyczajony do tego, że mu się odmawia ani do przegranych gier, które mogły doprowadzić do utraty twarzy.

Przyglądali się sobie w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– To jeszcze nie koniec – *fugitivarius* mruknął przez zaciśnięte zęby. – Nikt, zwłaszcza taka wywyższająca się suka jak ty nie wchodzi w drogę Scewoli bez konsekwencji. Słyszysz? – Fabiola nie odpowiedziała. – Mam nadzieję, że ty i twój kochanek macie w drzwiach dobre zamki – w jego prawej ręce pojawił się nagle nóż. – I pół kohorty strażników. Będziecie potrzebowali jednego i drugiego.

Jego towarzysze zaśmiali się nieprzyjemnie, a Fabiola zadrżała.

Wsparty na duchu pewnością siebie właścicielki majątku Korbulon wykonał drobny gest. Niewolnicy ruszyli kilka kroków do przodu z uniesioną bronią.

Scewola zmierzył ich wzrokiem pełnym pogardy.

– Wrócimy tu.

Zebrał swoich ludzi i wycofał się tą samą drogą, którą tu dotarł, prosto przez błotniste pole. Psy posłusznie podążyły za nimi.

*Vilicus* powoli wypuścił powietrze z płuc i odetchnął z ulgą.

Fabiola stała sztywna, obserwując *fugitivarii* dopóty, dopóki nie znaleźli się poza zasięgiem wzroku. Wewnątrz była strzępką nerwów. *Co ja zrobiłam? Powinnam była pozwolić im zabrać chłopca.* Jednak ta druga Fabiola, bardziej ludzka, cieszyła się. Czas pokaże, czy jej decyzja okaże się mądra, czy nie.

– Pani?

Odwróciła się do *vilicusa*.

– Scewola jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem – Korbulon ważył słowa. – Opłaca go Pompejusz. – Fabiola posłała mu wdzięczny uśmiech i stary *vilicus* rozpląnął się całkowicie pod jej urokiem. – Co więcej, ten parszywy pies naprawdę nie żartuje. Jego wrogowie po prostu znikają. Ci ludzie... – wskazał niewolników zgromadzonych wokół nich – ...następnym razem nie wystarczą.

– Wiem – odpowiedziała poważnie Fabiola, żałując po raz kolejny, że nie ma przy niej Brutusa.

Mogła to rozegrać inaczej. Tymczasem narobiła sobie groźnych wrogów.

Podróż do Rzymu zyskała teraz nowy wymiar i stała się o wiele pilniejsza.

Tytuł oryginału  
*The Forgotten Legion*

Copyright © by Ben Kane 2008, 2009, 2011  
First published as THE FORGOTTEN LEGION by Preface

Projekt okładki  
Adam Pietrzyk

Ilustracja na pierwszej stronie okładki  
Steve Stone

Opieka redakcyjna  
Krzysztof Chaba

Korekta  
Irena Gubernat

Ilustracje wewnątrz książki  
Adam Pietrzyk

Copyright © for the translation by  
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak Sp. z o.o., 2015

ISBN 978-83-240-3085-9

The logo for the publisher 'Znak' consists of the word 'znak' in a bold, lowercase, sans-serif font. The letters are white and are set against a solid black rectangular background.

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Wydanie I, Kraków 2015

Plik opracował i przygotował Woblink

